

SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

PRZEZ

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK 1908. TOM IV.

WARSZAWA

Adres Redakcji: Hortensja 4.

—
1908.

K-15/68
Wrut/2010

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUWC006074

0838
11/05



II/05

Spis rzeczy, zawartych w tomie IV „Sfinksa”.

(Październik, listopad i grudzień r. 1908).

I. Studja i rozprawy literackie i artystyczne.

Odczyty o Juliuszu Słowackim, przez Cyprjana Norwida (V i VI)	21
Rzeźba współczesna, przez Jana Kleczyńskiego 102 i	313
„Śpiewacy mistrze norymberscy“ R. Wagnera, przez Ad. Chybińskiego	126 i 263
Słowacki i Komierowski (na podstawie listów poety przyczyniek do jego życiorysu), przez Leopolda Méyeta	177
Sztuka współczesna u Czechów, przez Adolfa Nowaczyńskiego	223
Ze wspomnień o Adamie Asnyku, przez Józefową Kotarbińską	298 i 506
Poetka Idei, przez Wł. Bukowińskiego	375
Słów parę o twórczości Milтона przez Wł. Bartkiewicza	450
Mickiewicz a ideały Szyllera, przez Helenę Duninównę	462

II. Poematy, wiersze liryczne, powieści, nowele i szkice.

Z poezji i improwizacji Deotymy	9
Z „Sobieskiego pod Wiedniem“ (zakończenie śpiewu trzeciego), przez Deotymę	17
„Rówieśnice“, powieść, przez Zofję Rygier-Nalkowską	41, 336 i 392
Fragment z poematu „Savitri“ (z sanskrytu przełożył i objaśnieniami zaopatrzył Antoni Lange)	86
„Pełnia“, fantazja księżycowa, przez Annę Wolffową	119
„Nietota“, powieść z tajemnej księgi Tatr, przez Tadeusza Micińskiego	193 i 487
Z podań Wschodu, przez Antoniego Szecha	236
„Do duchów“ (ustęp z poematu „Oblęd niebieski“), przez Marję Grossek	249
„Na schodach“, przez Marjana Zbrowskiego	255
„Zamiast wiązanki kwiatów“, przez Edwarda Słoińskiego	262
„Zabawa“, nowela, przez Wacława Grubińskiego	278
Z poematu dramatycznego „Samson Siłacz“ Johna Milтона (przekład Wł. Bartkiewicza)	454

III. Wspomnienia pozgonne, odezwy i sprawy bieżące.

Deotyma, przez Wł. B.	1
Pierwszy zjazd stowarzyszeń spożywczych, przez d-ra. R.	361
Do przyjaciół i czytelników „Sfinksa”	271
Na fali, feljeton, przez Wł. B.	148, 345 i 527

IV. Oceny i sprawozdania.

Literatura polska.

„Listy do Pana Boga” Zofji Wójcickiej-Chybowskiej, przez Savitri	153
„Miasto” i „Doktór Tomasz” Tadeusza Jaroszyńskie- go, przez Jana Grabowskiego	155
„Malarze” i „Grający las” Henryka Zbierzchowskie- go, przez tegoż	156
„Białe pawie”, komedia w 3-ch aktach Tadeusza Kon- czyńskiego, przez Jana Iwańskiego	157
„Miłość pasterska” Wł. Orkana, przez tegoż	158

Teatr, muzyka i plastyka.

„Aspazja” Świątochowskiego, przez—Wł. B.	160
Z teatru łódzkiego—przez Jana Iwańskiego	165
Stuki plastyczne, przez J. Kleczyńskiego	364
Z muzyki, przez Juliusza Frankowskiego	522

V. Dodatki artystyczne.

Portrety: Komierowskiego i Ksawerego Dunikowskiego
(w zeszycie XI), Marji Konopnickiej (w zeszycie XII).
Dodana osobno do zeszytu X reprodukcja rzeźby
Vigelandy p. t. „Szatan”.

Fragment z pomnika Medyceuszów (rzeźba Michała
Anioła) str. 118.

Reprodukcja „Stańczyka” Matejki (str. 148).

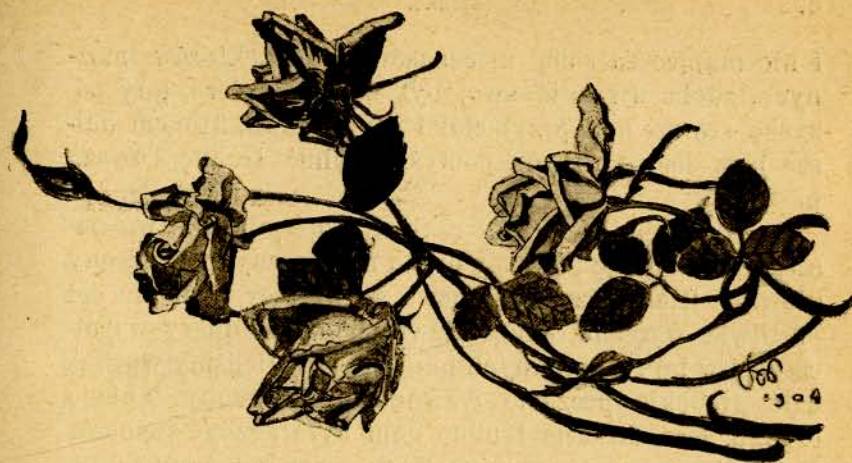
Widok Wrocławia w r. 1847 (str. 177).

Reprodukcje obrazów A. Slavicka (str. 222), F. Kupki
(str. 230), R. Bema (str. 235), J. Rembowskiego (str.
313). Rysunki i winiety p. p.: A. Ankowskiego, Bogu-
sławskiej, Chybińskiej, Jankowskiego, St. J. Kozło-
wskiego, H. Minkiewicza, E. Okunia, Z. Plewińskiej,
M. Płonowskiej, St. Popowskiego, J. Rembowskiego,
A. Tabińskiego, M. Trzebińskiego (str. 147), Wło-
darczyka, Wolmana i ś. p. Stanisława Wyspiańskiego
(str. 371).

Książki nadesłane i ogłoszenia.



Maryja Konopnicka



DO PRZYJACIÓŁ I CZYTELNIKÓW „SFINKSA”.

W dobie przednoworocznych zapowiedzi i obietnic pragniemy i my zwrócić się do Przyjaciół i Czytelników „Sfinksa”, aby w dalszym ciągu pismo nasze polecić ich życzliwości, poparciu i opiece. Nie stać nas na szumne reklamy i bogate prospekty, nie chcemy rzucać przed Was pięknie brzmiących frazesów, ani uczestniczyć wogóle w powtarzającej się co rok licytacji.

Pracowaliśmy od założenia „Sfinksa” z zapałem, nie szczędziliśmy sił, ani kosztów, by pismo nasze postawić odrazu na możliwie wysokim poziomie. Staraliśmy się dawać w nim utwory piękne i wartościowe, rozprawy i studia gruntowne i głębokie, unikając przytym wszelkiego sekciarstwa i wyłączności, szukając Prawdy i Piękna wszędzie, gdzie dostrzegaliśmy szczere tych skarbów umiłowanie i gorętsze ku ich ołtarzom dążenie.

Rozumieliśmy jednak od pierwszej chwili, że pismo takie, jak „Sfinks”, nie będące spekulacją wydawniczą

i nie mające za sobą mecenasów i protektorów możliwych, zdoła utrwalić swój byt wtedy dopiero, gdy pozyska szersze koła przyjaciół i czytelników, którym dalsze jego losy i rozwój pomyślny choć trochę zaważą na sercu.

Przystępując przed rokiem do wydawnictwa naszego, zakładając poważny organ miesięczny, poświęcony głównie literaturze i sztuce i stawiający sobie za cel możliwie wszechstronne odzwierciedlenie duszy współczesnej w jej różnorodnych przejawach, mieliśmy wprawdzie głębokie poczucie wewnętrzne potrzeby takiego organu, lecz zarazem trudno nam było pozbyć się obaw i wątpliwości, czy zadaniu podejmowanemu sprostamy, czy pismo nasze, przy swych szczupłych zasobach finansowych, zdoła bodaj rok jeden przetrwać. Tyle czasopism powstawało w dobie ostatniej, tyle ich ginęło po numerach paru, nie mogąc wywalczyć sobie bytu trwalszego...

Lecz pierwszy rocznik „Sfinksa” doprowadzamy szczęśliwie w terminie właściwym do końca. A chociaż nie pod każdym względem odpowiada on pragnieniom i marzeniom naszym, choć brak niejeden widzimy w nim sami, bez przechwałki i bez wstydu fałszywego stwierdzić możemy, że daliśmy w nim Czytelnikom ilościowo i jakościowo znacznie więcej, niż nam naprawdę pozwalały warunki. Obfity napływ wartościowego materiału rozsadził od zeszytów pierwszych projektowane pierwotnie ośmio lub dziewięcioarkuszone ramy; daliśmy w ciągu roku o *dwadzieścia z górą* arkuszy, o *dwa grube zeszyty* więcej od zamierzonej początkowo i zapowiadanej normy, a nie chcąc podnosić przed upływem ostatniego kwartału obliczonej zbyt nisko ceny prenumeracyjnej, musieliśmy mimo tysiąca kilkuset odbiorców, którzy już w roku pierwszym zgrupowali się przy „Sfinksie”, ponieść niezbyt miłe konsekwencje materialne braku doświadczenia finansowego...

Lecz na progu noworocznym stajemy nie zniechę-

ceni bynajmniej; owszem — z nowym zasobem zapłać, z otuchą i wiarą dawną w pomyślny rozwój organu, któremu czytelnicy w listach, a koledzy w prasie nie szczędzili pochwał i zachęty. Jeżeli istotnie „Sfinks” jest społeczeństwu potrzebny, ono dopomoże do utrwalenia jego bytu. Przy zaznaczonym już w przeszłym zeszycie niewielkim podniesieniu ceny prenumeracyjnej, która za wydanie zwykle wynosić teraz będzie rb. 8 w Warszawie, rb. 9 z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie, a 10 zagranicą, wystarczy drobny bodaj przyrost prenumeratorów na rok przyszły do utrzymania pisma na dotychczasowym poziomie i umożliwienia mu dążeń do dalszego rozwoju literackiego i artystycznego. Ale przyrost pewien jest potrzebny.

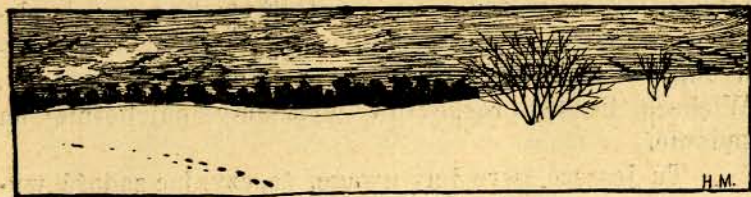
Do Przyjaciół i dotychczasowych Czytelników „Sfinksa” zwracamy się więc z prośbą gorącą o dotzymanie nam kroku w dalszym pochodzie ku krainom Prawdy i Piękna, o rozpowszechnianie wiadomości o „Sfinksie” i zjednywanie mu odbiorców nowych. Każdy ze szczerych przyjaciół pisma, a takich zastęp spory mamy już niewątpliwie wśród Czytelników naszych, znajdzie z pewnością w kole swych znajomych choć jedną osobę, dla której „Sfinks” stanie się pożądanym i która nawzajem zrozumie i odczuje potrzebę popierania usiłowań naszych.

W celu ułatwienia tej nietrudnej a szlachetnej propagandy, której powodzenie odbija się przedewszystkim na wewnętrznej i zewnętrznej wartości pisma, dołączamy do zeszytu niniejszego po dwa egzemplarze prospektu „Sfinksa” na rok 1909, w których znajdują Czytelnicy wyszczególnienie najbliższych naszych planów i zamierzeń, oraz premjów literackich i artystycznych, przeznaczonych dla prenumeratorów całorocznych. Większą liczbę prospektów wyszliśmy najchętniej na żądanie.

Tu jeszcze zwrócimy uwagę, że, czyniąc zadość wymaganiom pewnej liczby Czytelników, którzy, ze względu

na winiety, rysunki i inne reprodukcje dzieł sztuki, chcieliby otrzymywać pismo na lepszym papierze, drukować będziemy od stycznia miesięcznik nasz w dwóch wydaniach: jedno na papierze dotychczasowym, drugie na wykwińtym welinie. Prenumeratę na wydanie droższe (rb. 10 rocznie w Warszawie, 12 z przesyłką pocztową) przyjmować będziemy *najmniej na pół roku z góry*, stosując nakład ściśle do ilości zamówień. Mamy nadzieję, że zewnętrzny wygląd tego wydania odpowie wybrednym nawet wymaganiom. Należy jednak pospieszyć się z zamawianiem egzemplarzy takich, zaznaczając wyraźnie, że się je otrzymywać pragnie.

Dodamy wreszcie na zakończenie, że najdogodniejszym dla nas z różnych względów jest otrzymywanie prenumeraty bezpośrednio od Odbiorców naszych. Prosimy więc usilnie, aby nadsyłali ją wprost do Administracji naszej (Hortensja 4, w Warszawie) i w miarę możliwości czynili to już teraz *bez zwłoki*, lub uprzedzić nas raczyli w paru słowach, że „Sfinksa” nadal odbierać nie chcą, co zresztą — nie jest pożądané.



WŁ. BUKOWIŃSKI.

Poetka Idei.

Gdy przed trzema laty purpurowa zorza wolności rozdarła — na krótko, niestety — ponure chmury, skłębione nad naszymi głowami, niby czarne sztandary śmierci, jedną z pierwszych, która pieśnią pozdrowiła olśniewającą błyskawicę życia, była, jak zawsze, Marja Konopnicka, ta najczulsza u nas na wszystkie drgnienia bólów i radości społecznych i narodowych, złotostrunna harfa poezji. Z pozdrowieniem swoim poetka zwróciła się przede wszystkim do bojowników, walczących i ginących dla idei, i wyśpiewała wtedy to znane zapewne czytelnikom naszym a precudne swoje:

„Ty, coś walczył dla Idei,
Chwała ci!
Boś wykrzesał z swej nadziei
Nawskroś burzy i zawiei —
Jasne dni...

Ciebie niosły w wielkie boje
Archanielskie skrzydła twoje,
I odzianyś jest przed światem
Blaskiem ducha i szkarłatem
Własnej krwi!”

Purpurowa zorza, która rozdarła i postrzępiła chmury, na razie przynajmniej nie była jeszcze zwiastunką bez-



pośrednią a upragnioną złotego słońca swobody; po chwilowych uniesieniach radosnych przyszedł znowu dni niepewności, przygnębienia i niedoli. Ale poetka, wierząc niezachwianie w blizki już, zarówno dla nas, jak i dla człowieczeństwa wogóle, rozświt promienny wielkiego dnia wyzwolenia, braterstwa i miłości, nie dała zbić się z tropu przemijającym tryumfem potęg dawnych.

Ona wie, że chwilowo muszą być jeszcze wahania i zmiany, że ołowiany, posępny dzień wczorajszy nie ustąpi bez walki pełnemu blasków jutru, ale rozumie zarazem, że to jutro nadejdzie, że nadejść musi, bo ziemia podminowana już jest, jak wulkan, prochami, które w niej leżą, a „każde ludzkie pokolenie, co gorącym czuciem wzlata ku jutrzennym brzaskom świata“, „każde wielkie ludzkie serce, co się rozsiewa w swym grobie w posiew miłości“, „każda pieśń, w której śpiewa przyszłych dni natchnienie — rozpalają w łonie ziemi wulkany tajemnicze, których wybuch rychły wszystko już zda się zapowiadać. Wtedy dopiero „z popiołów i kurzawy, z dymów i płomieni bicia, z pośród gorejącej lawy, co się rzuca łożyskiem nigdzie niewidzianym, dobędzie się zawierucha nowego życia, nowego ducha“...

W taki sposób reaguje wielka poetka nasza na chwilę obecną i takie stawia horoskopy na przyszłość. A że przez całe lat dziesiątki była ona wśród nas jednym z najwrażliwszych, najczulszych narzędzi muzycznych, w którym miały wprawdzie swe struny bóle i cierpienia, lecz dźwięk ich nie głuszył wcale tej najdonośniejszej, nie milknącej nigdy struny nadziei; że w chwilach najcięższych krzepiła w nas serca otuchą i wiarą w przyszłość lepszą; że, niby ognisty słup Mojżesza, wskazywała zawsze jutro świetlane; że przez skwarne, piaszczyste, najezżone kamieniami pustynie i okropną gehennę dni najcięższych doprowadziła nas w końcu, z tą swoją wiarą niezachwianą, aż do progów wolności, — więc ufać możemy śmiało, że i tym razem nie zawodzi jej bynajmniej ten jej bystry wzrok orlicy i że naprawdę blizki już

jest dzień, gdy pod ciosami nieubłaganego młota konieczności dziejowej runą wreszcie zmurzałe bramy wszystkich bastylji ducha, pokruszą się, jak spalona glina, więzy odwieczne, a wolność i sprawiedliwość zatryumfują.

* * *

Konopnicka jest przede wszystkim poetką Idei, wielkiej powszechno-ludzkiej Idei swobody, miłości, sprawiedliwości i światła, bojowniczką i zwiastunką upragnionego jutra, wyłaniającego się stopniowo z ponurych i mrocznych całunów dnia dzisiejszego. Jest ona — niezeleźnie od tego — mistrzynią formy, jest niezerównaną śpiewaczką duszy chłopa, jego pragnień, tęsknot, smutków i niedoli („Pan Balcer“), jest znakomitą malarką i rzeczniczką wiecznego piękna natury i sztuki krain klasycznych („Hellenica“, „Italia“, „Drobiazgi z podróży teki“ etc.); ale ta jej pierwsza, buntownicza, prometejska struna, przechodząca niekiedy w potężne tony proroków biblijnych, brzmi jednak najsilniej na jej harfie i uderza na wstępie każdego, kto tylko nie jest świadkiem głuchym i ślepym rozgrywających się przed oczyma naszymi walk tytanicznych.

Na strunie tej niewyrobioną jeszcze artystycznie ręką wygrała poetka przed laty swe pierwsze urywki dramatyczne („Z przeszłości“) i upominała się w nich o krzywdy duchów śmiałych, torujących ludzkości nowe drogi rozwoju. Na strunie tej rzuciła niebawem światu i niebu szereg pytań, palących mózgi, jak rozżarzone żelazo, i budzących ogół inteligencji naszej z zabójczego *dolce farniente*, powołujących ją do walki i pracy dla zdobycia lub choćby przybliżenia tylko nowych a lepszych form bytu. Któż z nas, z pokolenia, które przyszło na świat około r. 1870, wśród dalekich ech granatów pruskich, szturmujących do murów Paryża, nie zna, nie pamięta „Fragmentów“ lub „Obrazków“ Konopnickiej? Kto nie powtarzał z poetką tego długiego, płomiennego łańcucha

do dziś dnia cisnących się do mózgu, do dziś dnia nie rozwiązanych zagadnień? Komu zwłaszcza nie brzmi dotąd w duszy to pierwsze, najistotniejsze może, najboleśniejse ze wszystkich:

„Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany,
A taka straszna, jak rozwarte rany?“

W tych krótkich urywkach, pisanych najczystsza, najgorętszą krwią serca, Konopnicka dała istotnie usta „wszystkim krzywdom ziemi i wszystkim nędzom i tęsknotom ducha“, a chociaż do swych słuchaczy i czytelników nie mogła mówić, „jakby chciała, ani do głębi serca im otworzyć“, to jednak czuła dobrze, że kto nie-domówioną treść jej pieśni zrozumie, ten „będzie się czuł ogarnion tą mocą, co do gniazd pędzi ptaki obłąkane, i ludy pędzi pod zorzę jutrzenną i jest tęsknotą wielką i bezsennością; a pewną była, że ją te serca usłyszą, „które nawykły samotnym swym biciem gadać z tęsknotą, z nadzieją i życiem“.

* * *

Druga połowa przedostatniego dziesięciolecia wieku ubiegłego, lata mniej więcej 1887 — 1890, daleka była od tego bujnego, wielobarwnego rozkwitu poezji, który widzimy w dobie obecnej. Rozpoczęły dopiero swą twórczość lub kształciły się jeszcze talenty nowe, które po roku 1890 rzucić miały obfity posiew obrazów, uczuć i myśli na odrodzoną niwę poezji polskiej. Ale wtedy już na pokolenie młode wywierała u nas wpływ doniosły autorka „Fragmentów“ i „Obrazków“, zawartych między innymi w trzech pierwszych serjach jej utworów, które wyszły właśnie między rokiem 1881 a 1887. W paru słowach chociaż chcę zaznaczyć, w jaki sposób

oddziaływała jej poezja na tę garść młodzieży, wśród której spędzałem ostatnie moje lata szkolne w jednym z gimnazjów prowincjonalnych. Przypuszczam, że gdzieindziej płomienne pieśni Konopnickiej odgrywały rolę podobną.

Jako reakcja przeciwko uciskowi szkoły apuchtinowskiej i jej dążnościom rusyfikacyjnym, jak wszędzie prawie w tym czasie, pomimo najsurowszego nadzoru, zaczęły tworzyć się i w naszym zakątku kółka samokształcenia, zaczęły powstawać skromniutki na początek biblioteczki. Zamiast, jak przedtym bywało, zbierać się na karty lub szukać pokątnych rozrywek w bocznych pokojach cukierni i restauracji, schodziliśmy się raz lub dwa razy na tydzień, najpierw w sześciu tylko, potem w liczniejszym znacznie gronie, by wspólnie rozprawiać, czytać, deklamować, by układać tygodnik literacko-społeczny, przepisywany kolejno przez uczestników tych zebrań. Zabraniano nam (bezsukutecznie co prawda!) w obrębie murów szkolnych rozmawiać w języku ojczystym, nawet języka polskiego (pamiętne „pierewody“ na rosyjski!) kazano się uczyć po rosyjsku, więc poza szkołą zapoznawaliśmy się z dziejami i literaturą polską, czytaliśmy z zapalem „Dziady“, „Kordjana“ i inne arcydzieła „zakazane“, zaznajamialiśmy się z pracami historycznymi i rozprawami społecznymi, dysputując zawzięcie nad ich treścią. Dzięki rozumnej pomocy kilku osób starszych, dla grona tej młodzieży, złożonej z uczniów klas wyższych, otworzyły się gościnnie drzwi paru domów prywatnych; obok kolegów i przyjaciół znalazły się wkrótce młode znajome i koleżanki, ożywione temi samymi, co my, dążeniami. Pamiętne na zawsze zebrania u „pana Franciszka“ „na facjatce“! Niezapomniane nigdy „czytania“ niedzielne!...

Lecz obok arcydzieł literatury polskiej i obcej, obok „Dziadów“, „Irydjona“, „Kordjana“, tragiedji Shakespeare'a, poematów Byrona etc., obok utworów „poważnych“ Smolki, Bobrzyńskiego i Limanowskiego, sięgaliśmy raz po raz i do skarbcza poezji współczesnej, zaczynając do niej zaliczać nieśmiało i pierwsze własne próby poetyckie. De-

klamowaliśmy więc z poetów starszych utwory Seweryny Duchnińskiej („Będę psem!“), Filleborna, Zmorskiego; z młodszych, nim jeszcze dotarły do nas sonety ludowe wraz z wiązką innych gorących również wierszy Kasprowieza lub takie rzeczy, jak „Z dymem pożarów“ Napierskiego (ówczesny pseudonim A. Langeo), powodzeniem dużym cieszył się na zebraniach naszych „Orzeł“ Czerwińskiego. „El mole rachmim“ i „Na Kanonji“ Gomulickiego, „Daremnne żale“ i wszystkie inne melodyjne i głębokie pieśni Asnyka, którego forma cudowna czarowała nas poprostu. Ale najbardziej, ale przede wszystkim zaczytywaliśmy się i zadeklamowywali Konopnicką.

Nie było poprostu zebrania, na którymby w gronie naszym nie rozbrzmiewały jej pieśni. „Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechniona—deklamował jeden „Do kobiety—co znaczy „kocham“, to najświętsze słowo?“ Inny lub inna wzruszali nas obrazem sieroty, co to, jak wiecie, „drobny, wychudły, z oczyma jasnymi, w których łzy wielkie i srebrne wzbierały, jak ptak, wyjęty z gniazda i już mrący“, stał w sądzie wiejskim przed kratą i doczekał się — w wierszu poetki — mądrego i litościwego wyroku: „Pójdź, dziecko, ja cię uczyć każę!“ Szczęśliwszy od brata swego z wielkiego miasta, od owego dziecka bruku, które „wobec ciemnego, milczącego gmachu“, wiemy również, „skonęło — bez dachu“. To znowu przejęci obrazem czworga dzieci, które przed gankiem dworskim stanęły z szopką na mrozie, powtarzaliśmy z poetką jej groźbę końcową lub współczuliśmy losowi Jasia, który „nie doczekał“, chłopskiemu sercu, które pękło, a jeszcze bardziej może doli robotnika, który w sobotni wieczór „od zgrzytającej zębami maszyny, powstał znużony z osłupiałym okiem“ i poszedł — szukać wytchnienia do szynku, lub krwawej doli jego brata, „wolnego najmity“, co to —

„chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;

Czy się utopi, czy chwyci się pracy,

Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spytał...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!“

Cokolwiek o tych wszystkich utworach zawyrokowali potym wykształceni na „dekadentach“ i „symbolistach“ krytycy, potępiający „tendencyjność“ w poezji i głoszący rozpowszechnioną i dziś zasadę „sztuka dla sztuki“, nie ulega wątpliwości, że „fragmenty“ i „obrazki“ Konopnickiej osiągnęły i osiągają po dziś dzień najpiękniejszy cel wszelkiej twórczości: wzruszały i wzruszają dotąd młode, wrażliwe dusze i budzą w nich uczucia szlachetne. Któż z nas nie pamięta n. p. tego potężnego wrażenia, z jakim słuchaliśmy w naszej gromadce dźwięcznego, doniosłego głosu ośmnastoletniego wówczas Kazimierza Krauza, który — najzdolniejszy, najdzielniejszy pod każdym względem z nas wszystkich,—deklamował z zapalem i przekonaniem głębokim lapidarnie, jakby z marmuru wykute, wyznanie wiary poetki:

„Wierzę w ducha potęgę i w wiedzy zdobycze;
Wierzę w cel życia wzniosły, święty, choć daleki;
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem, białym od promieni,
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej strażnicy...“

Dla gromadki naszej los był dziwnie okrutny: najzdolniejszych, najlepszych może z pośród nas śmierć zabrała przedwcześnie. Oto zmarły już Zygmunt Rostkowski, autor wydanych przed kilku laty „Starganych strun“, już w dwudziestym roku życia przykuty został do łóża boleści. Obezwładniony straszną chorobą, złamał pióro w tym wieku, kiedy inni tworzyć dopiero zaczynają.

A chluba nasza Kazimierz Krauz, którego kochaliśmy, którym szczyliciliśmy się wszyscy, rodzaj Zana naszej małej filareckiej drużyny, choć wybił się na szerokiej widowni świata, choć pozostawił w nauce i w życiu trwałe ślady działalności, zmarł również przed kilku laty na obczyźnie w trzydziestym trzecim roku życia, i to w przededniu niemal chwili, gdy dla jego pracy społecznej otwierało się pole szerokie, gdy niepospolite jego zdolności pełnym blaskiem zaświecić miały. Ale właśnie cała szlachetna, pełna poświęcenia i zaparcia się siebie działalność społeczna Krauz'a świadczy może najwymowniej, że wpływy i wrażenia pierwszej młodości bywają niekiedy bardzo, bardzo silne, jak również, że idee, rzucane przez poetów, trafiają czasem na grunt bujny i żyzny. Był on bowiem aż do chwil ostatnich jakby żywym wezieniem wielu haseł i dążeń, wypowiedzianych tak płomieniem przez Konopnicką, do niego więc w całej pełni zastosować się dadzą dalsze słowa przytoczonego na wstępie jej wiersza:

„Ty, coś poległ dla Idei,
Chwała ci!
Boś padł w progu twej nadziei,
Nie czekając swej kolei
Jasných dni...
U twych prochów, u mogiły,
Będą wieki szukać siły
I naznaczą twoje kości
Wielką drogą, ku przyszłości,
Śladem krwi.“ —

Po „Obrazkach“ i „Fragmentach“, po przecudnych melodjach „Na fujarce“ poetka nasza pomnożyła jeszcze i rozciągnęła promienie natchnienia. Fujarka pastusza zmieniła się w lirę, na której strunach czary Hellady i Italji odżyły na nowo, zajaśniały wszystkimi barwami tęczy i zagrały pieśń, pełną plastyki i niezrównanego za-

razem artyzmu słowa. Ale dominujący ton twórczości Konopnickiej, uмиłowanie idei i walki dla niej, wiara w lepszą przyszłość, w zwycięstwo sprawiedliwości i prawdy, ton, który autorkę „Fragmentów“ i „Obrazków“ uczynił oddawna ukochaną śpiewaczką tych wszystkich, którzy przez ciernie i głogi teraźniejszości ku blaskom nowych zórz podążają, nigdy na dłużej ze strun jej nie schodzi.

Poetka dzierży wysoko muzyczne swoje narzędzie, gotowe w każdej chwili zmienić się w jej ręku w potężną harfę proroków hebrajskich i tak, jak oni, oplakując umarłych, powoływać żywych do czynu. Ona wie, że cierpienia nie łamią duchów krzepkich i narodów, przeznaczonych do życia. Jedne i drugie, jak żelazo w ogniu, stają się w nich raczej twardszemi tylko i hartowniej-szemi. „Nie w domu szczęścia i nie w domu ciszy, ale na Patmos i w ducha ucisku Jan orłów miewał za swych towarzyszy i objawienie przyszłości w zabłyску“. „Dum spiro—spero“, dopóki żyję, nie tracę nadziei—woła w jednym z silnych, prawdziwie męskich wierszy swoich (w zbiorze „Lińje i dźwięki“), nawołując tych, którym szczęścia osobistego zabrakło, by „od zachodu własnej zoczy“ na „wschód wszechżycia“ lico obrócili:

Od życia swego błahej fali,
Co smętne mdleje gdzieś na piasku,
Pchnij łódź na głębie srebrnej dali,
Gdzie wieczny przypływ z hukiem wali,
Oceanowy przypływ blasku!

Weź w siebie burzę — ty spokojny,
Weź płomień w zimną pierś wygasłą!
Idź na żołnierza wiecznej wojny,
Idź między hufiec duchów zbrojny
I dnia przyszłości weźmij hasło.

Do tej przyszłości apeluje poetka stale, wierząc w zbliżanie się godziny sprawiedliwości powszechnej.

W tym samym, wydanym już dosyć dawno, lecz niebardzo jeszcze rozpowszechnionym u nas zbiorze „Linje i dźwięki“, jest garść fragmentów lirycznych pod ogólnym tytułem „Z mojej biblij“, nacechowanych dziwną powagą i spokojem, oraz tą właśnie wiarą niepożytą, że już nadchodzi grom, co „na prochy zetrze jesienne drzewo ludów, trzęsące się w wietrze, i nowe latorózgi dobędzie z korzeni, i żywym majem starą niwę uzieleni“. Poetka tak jest pewna ostatecznego zwycięstwa nad dzisiejszymi mrokami oczekiwanych, upragnionych zórz złotych, że jej nie trwożą już nawet przemijające tryumfy krzywdzicieli, ani ucisk i łzy krzywdzonych, bo wszak wszystko to — chwilowe tylko:

Kto krzywdę płodzi, niech jeszcze ją płodzi,
A który płacze, ten jeszcze niech płacze,
Noc się przesila i dzień już przychodzi:
— Obaczę!

Kto ucisk mnoży, niech jeszcze go mnoży,
A który milczy, niech chowa swą ciszę!
Rychło się błękit nad światem otworzy:
— Usłyszę.

Kto cięży ziemi, niech jeszcze jej cięży,
Kto pomsty żąda, niech wstrzyma swą żądzę,
Rychło się szala u wagi natęży:
— Rozsądzę!

A w parze z tą imponującą pewnością zwycięstwa, która nawet serca trwożliwe i małoduszne powinnyby uspokoić i zagrzać, idzie chwilami liryka najrzowniejsza, jak w czterowierszu owym, gdzie poetka na szacie Bożej pragnie być króplą rosy, „nie iżbym w sobie odbiła niebiosy, lecz abym drżąc przed stopy twoje mi ułagała, była dla tej ziemi!“ Obok piękności takich już tylko apoteoza altruizmu najczystszej („kto dla braci pracuje, ma moc za miliony, rośnie w siły, jak olbrzym o ziemię

rzucony“) i głęboka miłość tych rzesz ludowych i robotnych, względem których przeszłość zawiniła najsrożej, którym się od przyszłości należy najwięcej...

Są dwa króciutkie wiersze w tym zbiorze, które pragnąłbym wyrzeźbić w sercach wszystkich synów naszych i córek, całego młodego pokolenia mieszczańskiego i szlacheckiego, niezawsze jeszcze zdającego sobie sprawę z wartości i czcigodności pracy, z nieocenionych nigdy zasług tych, którzy w zgrzebnej świtce lub bluzie robotniczej, z sierpem lub młotem w ręku, twardym trudem i znojem swoim utrzymują życie ogółu. W jednym z tych małych klejnotów natchnienia („Wstań, o dziecię!“) poetka wysyła młodego czytelnika swego na pole, ukazuje mu lud, pracujący pod jasnym naszym niebem, pochylony nad łanami zboża, każe wsłuchać się w odgłosy pracy ludzkiej i szum niw złotych, chlebobajnych, w nadziei, że w końcu serce jego zrozumie, „jakie to tam rosy świecą, jak ma uczcić dolę kmiecia i zgrzebną sukmanę“. W drugim urywku („Kiedy widzisz iskrę...“) składa hołd ręce, zbrojnej w młot i kielnię, nawołując młodych do uczczenia pracy wogóle:

Uchyl czoło, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi,
Lud i praca — to są siły —
A świat cały niemi stoi.

* * *

Bogata i różnostrunna jest harfa poetki naszej, jak bogata i złożona jest jej dusza. Wszystkie barwy tęczy, wszystkie tony i melodje współczesne może tam czytelnik odnaleźć i wybrać z nich te, której mu najbardziej przypadają do serca. Ciekawe jednak bywa zawsze zagadnienie, jak sam twórca pojmuje powołanie swoje, jakie zadania i cele sam sobie stawia do osiągnięcia. Pod tym względem hasła, rzucane przez Konopnicką, pozostają

w zupełnej harmonji i zgodzie z głównym, zasadniczym tonem jej twórczości. W jednym z dawniejszych fragmentów swoich w precudowny sposób charakteryzuje poetka swego ducha, wykreślając rzutem śmiałym tę orbitę promienną, po której ma on się ku szlakom wieczności posuwać. „Duch mój — woła — ptak Boży,

co go Pan w czas ranny
I w czas wiosenny wypuścił pod niebem,
A z rąk mu daje przeczystych ros manny
I karmi chlebem.

A zaś go lotów uczy i za skrzydła
Niemocne trzyma, by zwyknał w przestrzeni,
I blaskiem cichych odziewa promieni,
I strzeże sidła.

A z pieśni onej wielkiej, którą wieczność
U stóp mu śpiewa, głos jeden mu daje,
I każe lecieć *nad smętnych ziem kraje*
W przyszlą słoneczność“.

W wydany przed kilku laty zbiorze pieśni wielkiej poetki (Marja Konopnicka: „Nowe pieśni“, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, rok 1905, str. 208) jest dział osobny, poświęcony „Braciom pieśniarzom“, gdzie autorka rozwija szerzej swój pogląd na twórczość i twórców. Więc w pierwszym zaraz wierszu tego cyklu (zatytułowanym pierwotnie: „Dekadentom“) protestuje gorąco przeciwko bezideowemu staniu poetów „w tęczy kolorach“, „barwieniu się w róże i w pióreczka pawie“. Bo my są,

„sosny, czerniące się w borach,
Bo my są krzyże w przydrożnej kurzawie,
Bo my są wierzby o płaczących korach,
By my są z jękiem lecące żórawie,

Co hejnał krzyczą skroś zmierzchów tej ziemi
Na puste pola, gdy sen je oniemi“.

I w dalszym ciągu każe pieśniarzowi „w spiż sere ludzkich bić, jak biją dzwony“, każe mu „śpiewać zgrzytem strun rwanych i krzykiem — i nie słowiczym, lecz orlim przemawiać językiem“. Pieśniom naszym nie wolno dzisiaj, jej zdaniem, „stroić lutni wstęgą i sławić rozkosz, niby trubadury“. Z lutni poetów śpiewaczka idei chciałaby przedewszystkim izajaszowe wydobywać tony; pieśń ma z ducha królewskość brać, nie z purpury; nie kwieciami kwitnąć, ale iść w kłosy:

Nie nam, pieśniarze, biec pustą gonitwą
Za blaskiem lir tych, co sere próchnem świecą...
Bo jest pieśń nasza o świty modlitwą
I skowronkowe legje za nią leca,
Bo o *słoneczność dla ziemi jest bitwą*,
I brzaski od niej przyszłe już się niecą,
Bo jest pieśń nasza jutrzeńką i zorzą,
Z której dzień buchnie nam za mocą Bożą!

W pięknej „Modlitwie pieśniarza“ o jedno błaga przedewszystkim. Niech inni mają lot i pióra chyże, niechaj im pieśń maluje kwietne łąki, niechaj im czoła wieńczą dębowe korony, z ich głów niech powiewają pióropusze. Poetka nie chce tryumfów, sławy, uwielbienia, o jedno błaga, jednego pragnie: „*Mnie tylko daj te bratnie wzruszyć dusze*“. „Nie ja stroję gęśle moje — mówi gdzieś — ale miłość braci“. Pieśń ma w bój wołać, hejnałem zorzy budzić z marnych snów; ma w niej grom huczeć i porażonych dębów trzask. W tak pojmovanej pieśni mieści się jednak wszystko. Ma ona bowiem mieć zlepione gniazdo „pod niskiej strzechy belką“, ale zarazem — nieogarniona i wielka — szyć dumnie ku niebu:

I daj jej płynąć, jak płynie zdroj,
Błękitną ciszą w zorze,

— A zaś jej pęd daj, i huk, i strój
Rzek wielkich, rwących w morze!

I daj swej pieśni poszept ros,
Gdy z polnych ziół oblata,
— A zaś tak wielkim uczyni jej głos,
Jak wielkim jest ból świata!

Tak rozumiejąc zadania poezji, takie ideały stawiając przed oczy pieśniarzom, największa poetka współczesna pozostaje w bezpośrednim *pokrewieństwie ideowym* z tym z trójcy wieszczów naszych z pierwszej połowy przeszłego stulecia (inni dzisiaj przejmują się przeważnie jego *formą tylko*), który w płomiennym wierszu „Do autora trzech psalmów“ protestował również namiętnie przeciwko „splatanu i rozplatanu włosów“, omdlewaniu w poezji z kochankami i traceniu technienia w błyskawicy, nakazywał natomiast „twardo i jasno wśród narodu swego stać, myślać, chorągwie rwać, świecić czynu tarczą własną“. Wępież też można do niej właśnie zastosować wspaniałą fanfarę z dalszego ciągu tego samego wiersza:

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa,
Bo są światu jak zjawiska,
Jako jutrznią są różowa,
Jak ogniste meteory,
Stopom ludu podścielone“...

* * *

Wspomniałem o wydanych niedawno „Nowych pieśniach“. Ukazanie się jego zbioru utworów Konopnickiej przypadło na tak gorączkowe u nas podniecenie umysłów ówczesnymi wypadkami politycznymi, że wobec poezji czynów, a potem ich grozy ponurej, na piękne pieśni nie zwrócono należytej uwagi. Wywarły one mniejsze stosunkowo wrażenie, niż im się to należało. A jednak, obok motywów dawnych, obok powtórzenia paru ładnych rze-

czy z książek poprzednich, jak np. mało znanego dotąd, a pełnego jakiejś dziwnej tęsknoty i czaru „Trębacza“ i zajmującej legiendy „Na Libanie“, uderza w tym zbiorze pewien ton, który w nim podkreślić warto. Jest to jakgdyby wzmożenie się nuty narodowej i powracanie do niej uparte.

Nie będzie to właściwie motyw u Konopnickiej nowy. Miłość ziemi i tęsknota do niej na obczyźnie, zrozumienie, odczucie i ukochanie ludu, wrażliwość na krzywdy narodu, na sprzeniewierzenie się — drobne choćby — ideałom narodowym, wszystko to, niby obfita garść szczerzonych nici, przewija się przez cenną przędzę twórczości poetki, łącząc się harmonijnie z wrażliwością na krzywdy społeczne i na nowe hasła życia, zmierzające do naprawienia tych krzywd. A jednak nie będzie to zapewne przypadkiem, że w dobie pracy nad wykończeniem wspaniałej epopei ludowej — „Pana Balcera“, mającej tak godnie ukoronować dotychczasową twórczość wielkiej poetki, wypływają z pod jej pióra takie rzeczy, jak „Śpiewnik historyczny“, jak liczne ustępy o zabarwieniu wyraźnie patryjotycznym w zbiorze „Ludziom i chwilom“, jak wreszcie taki przepyszny „List imci pana Rudominy“ z roku 1621 i cały dział „Ku chacie“ w zbiorze wymienionym.

Z miłością dziwną, wzruszającą, poetka zwraca się ciągle do motywów swojskich: do Śląska piastowego i Kujaw, do dziarskich Mazurów i Kurpików, do starych gródków chociażby, o których wręcz powiada: „Takich gródków, jak te nasze, niema w całym świecie“. Niezrównanym balsamem technie dla niej niwa ojczysta, woń najcudniejszą mają dla niej lipy rodzime. Nauczona doświadczeniem tułaczym, wie dziś już dobrze, że człowiekowi „nie odtęsknić swej zagrody, nie wydumać zadumania, które stary dom przesłania, stary, pszczelny ul“:

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie

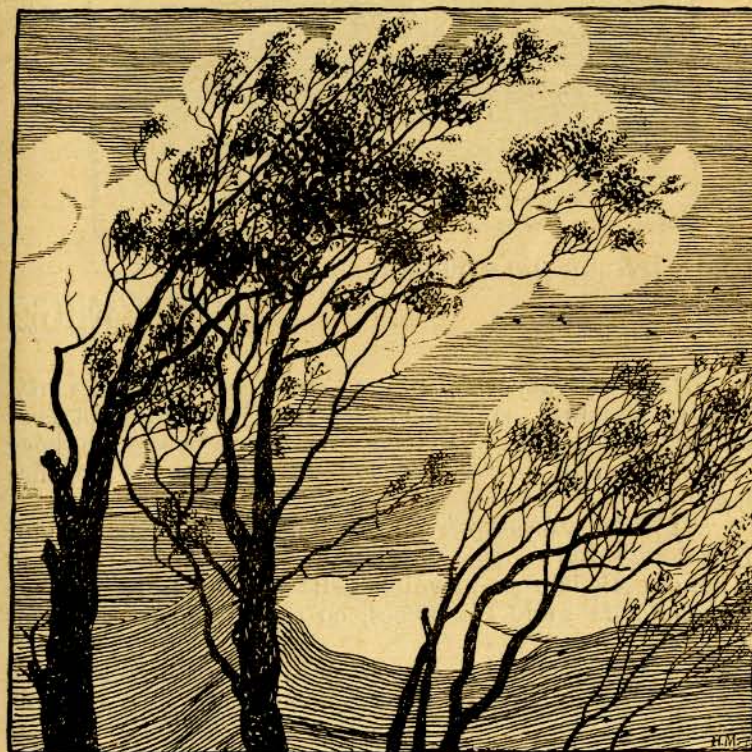
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać na przemiany,
Co tam, gdzie, i jak...

Nie wdając się w analizę przyczyn, stwierdzić jednak fakt ten należy, że w tej najnowszej dobie swej twórczości wielka poetka nasza, nie zrywając bynajmniej z ideałami dawnymi, zwraca się coraz częściej i z coraz większą miłością do ziemi i coraz silniej odczuwa, że w niej właśnie „jest rdzeń jej i serce“. Uczucie to zresztą łączy się u niej harmonijnie z podkreślanym już wielokrotnie dążeniem „do słońca“, jak świadczy chociażby piękny toast, z którego przytoczymy jeszcze dwie strofy:

Stawicie przedemną miodowy ten dzban,
Gdzieś z lipy ojczystej sycony a bran...
Więc toast podnoszę za stary nasz ul,
Za wonność łąk naszych, za wonność tych pól!
I wznoszę swój toast na duchów tych cześć,
Co z kwiatów żywota miód śpieszą nam nieść,
Co puhar młodości trzymają nam wzwyż
I brzęczą *ku słońcu* wśród martwych dnia ciszą!

Serdeczna nuta narodowa i uczucie gniewu i buntu społecznego przenikają też ogłoszony świeżo w trzecim rozszerzonym wydaniu (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, rok 1908, str. 402) „Wybór poezji“ Marji Konopnickiej. Obok dawnych znajomych naszych, „Obrazków“, „Fragmentów“, „Słowicznych pieśni“, „Na fujarce“ etc., znajdujemy tu cały cykl „Ave Patria“, znany już częściowo z „Nowych pieśni“, mamy garść sporą utworów mniej znanych a pięknych, a w ich liczbie apostrofę do „Młodego żołnierza“, który „w śmiertelny idzie bój, w śmiertelny trud i znój, w śmiertelny proch i pył, w bój, który wiecznie był i wiecznie trwa“.

„Wieczny rewolucjonista“, pod męką ciał, leżący duch“, czuwa zawsze w pieśniach Konopnickiej. Więc też chciałoby się rzucić poetce raz jeszcze na zakończenie jej własne pozdrowienie gorące: „Ty, co walczysz dla idei, chwała ci... Ciebie niosły w wielkie boje archanioelskie skrzydła twoje, i odzianaś jest przed światem blaskiem ducha i szkarłatem własnej krwi...“





ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA.

(Dokończenie).

RÓWIEŚNICE.

Pani Awratyńska, ubrana w szarą suknię i mały, okragły kapelusz, zaproponowała Hani, czy nie chciałaby jej towarzyszyć na cmentarz. Leży na wierzchu góry i ładny stamtąd jest widok. Warto obejrzeć też niektóre nagrobki.

Mówiła wszystko z pewnym uśmiechem, ale naogół smutniejsza była nieco, niż zazwyczaj. Marjeta została w domu. „Będzie się pewnie bawiła ze swojemi rzesami” — przypomniała sobie Hania coś, co było jeszcze za czasów szczęścia.

— Korzystam z tego, że męża niema — rzekła pani Awratyńska. — Nie lubi okropnie, kiedy jadę na grób Miecia — —

Zabierała ze sobą mnóstwo kwiatów, ułożonych w dużym koszu. Na wierzchu leżał nieporównany wieniec, nad którym ogrodnik trudził się od rana.

Hania, jak zwykle, powoziła. Droga wiodła między zbożami jeszcze prawie zielonemi. Ogromne, białe niebo

schylało się nad pogodnym światem, słońce rozsypane było w powietrzu, jak brylantowy pył. Pani Eliza trzymała w dłoni jasną parasolkę w oryginalne, pastelowe desenie i cień jej kierowała starannie na powożącą Hanię. Sliczne, rude konie przebiegały cienkimi nogami prędko i równo, jak automaty.

Hania chciwie piła świeży wiatr, rozpędzający upalne, niewidzialne zwoje powietrzne. Jej nieuspokojona dusza przytulała się żałośnie do błękitu i do słońca. Wyżebrywała od słicznej natury możliwość życia.

Smutek pani Elizy uczynił ją bliższą Hani i jeszcze milszą.

— Już dziesięć dni, jak jestem u państwa — rzekła Hania.

— Czas szybko leci — rzekła Awratyńska takim tonem, jakby to było coś nowego. — Widocznie dobrze nam ze sobą, mnie przynajmniej — ciągnęła z roztargnieniem, o czym innym myśląc. — Niechaj pani sobie wyobrazi, że to już sześć lat minęło, odkąd umarł mój syn —

Zamilkła nagle i zmieszała się jakby. Hania, ośmielona tym, że tamta pierwsza mówił na ten temat zaczęła, spytała:

— Młodszy był od Marjety?

— O tak... Miał zaledwie pół roku, kiedy umarł. — Straszliwie go kochałam — dodała jakimś ostrym tonem.

Hanią zdziwiło to trochę. Awratyńska była wogóle delikatna i dobra, lecz w szczególności, jako matka, nie odznaczała się niezwykłymi cnotami. Marjetę niebardzo się zajmowała i rzadko ją pieściła. „Widocznie dlatego, że syn” — wyjaśniła sobie Hania.

— O, tutaj — pokazała Awratyńska.

Hania skrzyła i zatrzymała konie przed ozdobną bramą żelazną. Chłopak wziął lejce, a one obie weszły na cmentarz.

Uderzył je zapach upajający bzów, które kwitły tu w niesłychanej ilości. Od drzew rozłożystych i bujnych krzaków padał cień wilgotny na aleje między szeregami grobów i małych domków bez okien, przytulających śmierć. Wokoło pomników dyszały świeżością i bogactwem kolorów świetne grzędy kwiatów. Głębokie, czysto wybielone wnętrza grobów murowanych były dnia tego pootwierane. Wgłębi, na wystęпах ścian, pozostałych po wmurowaniu trumien, leżały snopami kwiaty cięte, irysy, konwalje, niezapominajki, narcyzy, w wazonach

stały wielkie bukiety białego bzu. W ten majowy dzień cały cmentarz wyglądał, jak królestwo kwiatowe.

Wkrótce stanęły przed małym domem renesansowym, o ścianach, wyłożonych marmurem. Na tympanonie wyrzeźbione było złotem, głębokimi literami nazwisko pani Elizy. Dołem, wzdłuż ścian, rosły kwiaty, na gzymsie wokoło i na dachu poustawiane były niezliczone doniczki rzadkich roślin kwitnących. Wnętrze tego grobu otwarte było również. Tam wrzuciła pani Eliza wszystkie przywiezione kwiaty, a wieniec zawiesiła na wmurowanej w ścianę tablicy. Później usiadła na ziemi i przez niedługą chwilę tępo wpatrywała się w białe podziemie, zasypane kwiatami, w miejsce wystające, gdzie wmurowana była ostatnia trumienka.

Wstała, otrzepała z piasku suknię.

— Chodźmy, pokażę pani teraz niektóre piękniejsze nagrobki...

Zapuscili się w czarodziejskie korytarze o sklepieniach z liści i ścianach z kwiatów, w małe gaje, nęcące chłodnym cieniem po upale drogi, w uroczę klomby, prawidłowe systemy alei. Bokami wznosiły się budowle wszelkich stylów, białe, strzeliste kapliczki, niby miniatURY słynnego II Duomo, ciężkie kłocę granitowe, misterne koronki z żelaza, kute w kamieniu wyobrażenia licznych bóstw katolickiego Olimpu. Dziewicza postać bogini z białego marmuru tuliła się pod cicho dygocące listki jakiejś dziwacznej, rozstrzępionej akacji. Piękny, młody bóg o twarzy semickiej schylał się wiecznie pod ciężarem straszego narzędzia tortury. Drobniejsze bóstwa, o oczach marzących i długich skrzydłach, wyrastających z ramion ponad rękami, przytulały swe alabastrowe skronie do ciemnych obelisków albo zakrywały dłońmi dziecinne, zasmucone twarze.

Szły coraz dalej, zatrzymując się u krat żelaznych, pochylając głowy nad coraz świetniejszymi gatunkami wonnych, kwitnących istot, podziwiając ten świat uplastycznionych, najdziwniejszych wyobrażeń fantazji. Że wszystkiego najmniej było tu śmierci.

Na niektórych pomnikach widniały wmurowane wizerunki osób umarłych — z żywymi oczami i uśmiechami na ustach. Był jeden portret wyblakły ślicznej, młodej kobiety, w kunsztownym uczesaniu staromodnym, w bogatej sukni balowej, odsłaniającej ramiona królewskie i szyję, kilkakrotnie okręconą sznurem wielkich pereł.

— Słynna niegdyś piękność tych okolic — objaśniała pani Eliza. — „Zmarła w dwudziestej trzeciej wiosnie życia“... Mama Awratyńska opowiada o niej całe baśni —

— *La vanité des vanités* — pomyślała i powiedziała Hania. Ale zupełnie tego nie uczuła. — Jakaś radość niejasna, trwożny powrót nadziei łopotąły cicho nad jej czołem, jak szmaragdowe skrzydła cmy wiosennej.

Później stanęły przed pomnikiem, wyróżniającym się z pośród wszystkich innych. Z wysokiego, prostego marmurowego bloku wyrastało popiersie przepysznej roboty, kształtna głowa mężczyzny o rysach mocnych, prawidłowych, bez zarostu. Puste, białe oczy patrzyły zimno w chmury zieleni.

— Gdyby tylko wieniec na skronie, byłaby głowa rzymskiego cesarza — rzekła Hania.

— Robota jednego z rzeźbiarzy włoskich. Nie pamiętam nazwiska — niedbale mówiła pani Eliza. — Grób młodego Stańskiego, syna tych Stańskich, co mają najlepsze konie na całą gubernję. Jedyne dziedzic ich milionów, pan o bajecznym gieście, mistrz w upijaniu się czarami życia...

— I tak młodo — — ?

— Gdzieś zagranicą, w głupim jakimś pojedynku o włoską śpiewaczkę... Z powodu ordynarnej burdy w teatrze...

Hania z uwagą przyjrzała się kamiennemu profilowi Stańskiego. I tutaj — w tym marmurowym posagu pomiędzy liśćmi i kwiatami — tak mało przecież było śmierci, tak wiele pamiętania wieczystego o minionym, radosnym, ukochanym życiu. Każdy napis zawiera tutaj dzieje życia, każdy nagrobek jest jego pomnikiem.

Awratyńska położyła na kamieniu dwie wążki róże, które dotąd trzymała w ręku. Potym zbliżyła się do Hani, wzięła ją wpół i obie stały, patrząc. Hani przypomniał się taki dawny obrazek, na którym wyrysowany był prymitywnie grób poety, poległego w pojedynku, i dwie dziewczyny, trzymające się wpół, wpatrzone w nagrobek. Powiedziała półgłosem:

*„I często w letniże dasugi
Sjuda chadili dwie padrugi“...*

Pani Eliza pokiwała głową na znak, że także sobie przypomina. Uśmiechnęła się dobrotnie i, nie nie mówiąc, zaczęła wolno iść po alei, jakby w roztargnieniu.

Hania domyśliła się, że chce być przez chwilę sama na grobie dziecka — i pozostała na miejscu. Naprzeciwko grobu Stańskiego stała ławka. Hania usiadła tu, bo była już zmęczona.

Przychyliła wtył głowę i z oczami napół przymkniętymi słuchała dziwnego szumu liści wysoko pod niebem. Przypominała sobie z trudem ową rozmowę z duszą. Dusza pocieszała: „na cmentarzach rosną kwiaty cudne, drzewa, łączące podziemia śmierci z królestwem bytu“ — „I tam w koronach kwiatów — — między liśćmi — — ?“ z przerażeniem zapytała wówczas ona. Takim smutkiem przejęła ją wiadomość, że dusza umrze razem z nią...

Dziś nie lękała się tego zupełnie — Marzyła o tym ślicznym mieszkaniu, jak o raj. Bardziej bałaby się przestrzeni międzyplanetarnych, bezświetlnych obszarów, gdzie gwiazdy zagasłe pędzą ślepo przed siebie po niewidzialnych orbitach — owej dziedziny straszliwej dusz drapieżnych, dusz nieśmiertelnych. Wolała, że po śmierci bliska będzie życia, korzeniami drzew wielkich i ślicznych wessana w górę, odradzająca się niewiednie w barwach wiosennych i nieodpowiedzianej woni kwiatów, niepamiętająca wielkiej krzywdy, która jej się stała...

Nagle wydało się Hani, że z serca słonecznego przebiegł po drutach z promieni piorun i ugodził ją w czoło — w miejsce, gdzie miała złotą gwiazdę światła, przedzierającego się poprzez liście. Schyliła głowę nisko na kolana — i z obudzonym zniecierliwieniem bólu myśleć zaczęła o Worosnickim. Stało się to tak nagle, że chciała krzyknąć. Uczuła zestrzelony w sobie cały piekielny pożar tego słonecznego dnia. Zaprażyła ujrzenie Worosnickiego w owej chwili takim obłądnym napięciem żądy, że dygotała całym ciałem. „Najmilszy, ach, ukochany mój“ — wyszeptwała cichutkim skowyt. „Przecież jabym wszystko...“ znów mówiła. „Ja przebaczyłabym“ — dokończyła ze zdumieniem. Otoczyła ją ciemność głęboka, ciemność purpurowa powiek maleńkich, któremi zasłonić można cały nieskończony świat. „Nie pamiętałabym — byłeś mię kochał — jeszcze — —“ błagała.

Zrozumiała po chwili, że ktoś nachyla się nad nią — i ogarnął ją wstyd przed słodką panią Elizą. Wstała i ręce od oczów odjęła. — Uczyniło jej się na chwilę straszno, gdyż okazało się, że jest zupełnie sama.

Poszła w tę samą stronę, w której zniknęła Awratyńska. Tam, jak sądziła, powinienby się znajdować grób

jej dziecka. Szła prędko, spieszyła się kwiatową aleją — ale spostrzegła, że idzie złą drogą. Za sobą usłyszała kroki Awratyńskiej i głos przytłumiony:

— Haniu — —!

Stała zaraz i odwróciła się poza siebie. Stała bez ruchu. Pani Eliza nie było. Za najbliższym grobowcem kryła się zwolna dama w czarnym stroju. Twarz jej była niewidzialna mimo małego oddalenia, była przezroczysta. „Dusza — czy śmierć“?...

Teraz w innej stronie słyszała wyraźny krzyk. Biegła znów. W bocznej alei ujrzała niespodziewanie Awratyńską, klęczącą przed grobem otwartym, na ziemi. Obiema rękami trzymała się wysoko za żelazny pręt ogrodzenia, a głowę miała spuszczoną bezwładnie pomiędzy ramionami. Modliła się bezdźwięcznymi poruszeniami warg. Gdy wstała, Hania w twarz jej patrzyła ze zdziwieniem. Rysy delikatne były wykręcone jakimś żalem beznadziejnym, stare; oczy nabiegły krwią i mokre były od łez.

— Niech się pani nie dziwi. Przepraszam — powiedziała prędko. — Ale przecież tu jest całe moje życie — wyjaśniła z tym jakimś ostrym, nieznany dotąd Hani akcentem — i giętem ręki objęła cmentarz.

— Chodźmy już — poprosiła Hania.

— Dobrze.

Wracały ku widniejącej wdali ozdobnej bramie.

— Moja złota Haniu — z roztargnieniem mówiła Awratyńska — proszę pamiętać, że o tym ani słowa nie można mężowi. Tak się gniewa zawsze, jak się dowie... — Józefie — panu nie powiesz, gdzieśmy jeździły — zwróciła się już z półśmiechem do chłopca.

— Rozumiem, proszę pani —

Awratyńska starannie okrywała twarz gęstą, białą woalką.



Według ścisłych relacji Marjety, Johannesen od lat czterech zakochany był w pani Elizie, „tylko mama jest taka niemądra i udaje, że zupełnie tego nie dostrzega“. Johannesen przyjechał tylko na praktykę, a teraz zajął miejsce dyrektora fabryki i z papą w najlepszych jest

stosunkach. Nie żeni się, chociaż łowiła go nawet bardzo bogata jedna panna. Marjeta nie lubi go ogromnie — a ma do tego specjalne przyczyny.

Johannesen przyjeżdżał z fabryki prawie codziennie — na długim i wysokim koniu, w sportowym kostjumie bez ceremonji wchodził do salonu i wogóle był chętnie widziany. Miał miły głos i czytywał pani Elizie, gdy ta haftowała, „zaszywała swoją duszę w kwiaty“, jak mówił. Z niechęcią Marjety igrał słodkimi słowami. Wreszcie był cierpliwym i wyrozumiałym uchem dla politycznych i socjologicznych rojeń pana Awratyńskiego.

W swych butach wysokich i obcisłej kurtce wydawał się dziwnie wysmukły, podobny do rycerza: delikatne rysy jego twarzy nie miały nic kobiecego, pomimo łagodności wyrazu. Dla Hani Johannesen okazał się miłym towarzyszem. Poznała w nim duszę skomplikowaną i rozumną, ubraną w niesłychanie grube zasłony z kultury. Lubiała rozmowy z nim. Pomimo różnic rozlicznych porozumiewali się z jakąś bystrością błyskawiczną, zapomocą stenograficznych niemal skrótów myśli. Nieraz pomiędzy ludźmi spojrzeniem przelotnym komunikowali sobie w jednoczesnym uśmiechu jakieś spostrzeżenie identyczne.

I rzecz szczególna. W Hani natychmiast zrodziła się myśl, aby skorzystać z tego zwiewnego zdarzenia w życiu — i kotarą kwiatową zasłonić niezapomnianą rzecz umarłą. Ale to było niemożliwe. Ten człowiek taki ładny, taki niezmiernie ujmujący — nie zdołał w pamięci Hani zaćmić Worosnickiego ani na jedną chwilę. Widziała tamtego nieustannie, poprzez wszystko, myśli jej napróżno więzione w kręgu wiosny, wpadały wciąż do tamtej przepaści.

Kiedys Hania słuchała w salonie muzyki Marjety. Było czerwcowe popołudnie. Do wielkiej sali dawnej struktury o białych ścianach z marmuru, pięcioma czworokątami płynęło po ziemi różowawe słońce. Jak zwykle o tej porze przyjechał Johannesen. Wszedł do salonu cicho, by nie przerwać muzyki, dworsko uklonił się Hani i ucałował podaną sobie łapkę, niby przedmiot kultu. Popatrzył na Marjetę; gdy jednak grała dalej, nie odwracając się, usiadł niedaleko Hani.

Słuchali w milczeniu. Hania odchodziła w swój utracony świat, w krąg zaczarowanych ślicznych tytułów, melodji znajomych, tonów przypominających. Wyobraźnia konkretyzowała wówczas wspomnienia w stopniu niemal

halucynacji, odbudowywała nastroje minionego z drobiazgowością nonjuszową — dając w ten sposób treść rzeczywistości najbardziej istotną, ważniejszą od współczesności jej z chwilą przeżywaną. Hania czasami tak silnie ulegała złudzeniu, że mogła o Worosnickim myśleć bez smutku. I przyjmowała zdarzenie takie z radością, z pogodnym bohaterstwem, zdobytym w przecierpianej klęsce — chociaż nie zapominała ani na chwilę, że wiecznie krążąc po pierścieniu męczeńskim, znaleźć się będzie musiała po drugiej stronie przemijającej chwili, — że po tej retrospektywnej halucynacji szczęścia stanie znów na początku owej drogi krzyżowej, którą przebyła raz w życiu prawdziwym, a razy setki w myśli nieustannej. — W sporcie marzenia doszła do wprawy niezwyklej, odchodziła w swą krainę niepowróconą zpośród ludzi, w dzień jasny — jakby zamało było jeszcze długich nocy — — —

W dziejach odtwarzanych były momenty, których Hania nie mogła znieść nerwami. Marszczyła wówczas brwi i krzywiła usta. W takiej chwili podniosła oczy i ujrzała wzrok Johannesena.

— Wie pan, tęsknię często za moimi rybami — wyjaśniła pobieżnie, głosem przyciszonym. — Mam w domu takie akwarja — i tam są ryby i inne jeszcze zwierzęta. Naprzykład trytony — —

Pochylił się ku Hani, by nie podnosiła głosu — tak, że oglądała zgóry jego jasną, misterną głowę. Szeptem odrzekł:

— Czytałem w bajce jednej, że kiedy syrena otwori okna swego pałacu na dnie morza, to do pokoju wchodzi ryby, pływają zwolna pomiędzy meblami — i dają się głaskać. Nie wiem dlaczego jest to takie śliczne, — to, że właśnie dają się głaskać — mokre, błyszczące ryby — z wiecznie otwartymi oczami z boku — — — A pani ryby można głaskać?...

— Nie... Wiosłują tak prędko swoimi pletwami — — nawet złapać trudno... Już trytony są lepsze —

Hania się uśmiechała.

— Czy pani odpędziła już śmierć z myśli swoich? — zapytał, lekkomyślnie zmieniając temat.

— Myślę jeszcze — — ale już nie tak smutno — — A pan — naprawdę nigdy?

— Czasami — tak. Ale zawsze z punktu widzenia życia: jako o *repoussoir*'ze z czarnego aksamitu dla alabastrowych kamei i kwiatów — — haftowanych — — —

— Dziwne, dziwne — — Ani o tak zwanej — *pour ainsi dire*—zagadce bytu?... nie trapi to pana zupełnie— — ?
Mówili wciąż prawie szeptem, podczas gdy Marjeta grała.

— Na to jest lekarstwo — och, niezawodne — —

— Aby o tym nie myśleć?

— Tak — —

— Oprócz *calium bromatum*?

— Obok w każdym razie. Powie pani pewnie, że to banalne, a jednak tak jest właśnie: trzeba sobie urządzić w życiu miłość.

Ujął twarz w białe ręce, by zakryć rumieniec przełotny. Hania przygryzła wargę dwoma ząbkami.

— Broń obosieczna conajmniej—zauważyła.

— Miłość owija się koło myśli takich, jak dzikie wino, okrywa je zasłoną, której przenikać nie można, chociaż składa się z pojedynczych, malutkich liści...

— Trzeba dodać: miłość szczęśliwa...

— To znaczy — — ?

— Bo nie rozumiem — — Wszakże pan właściwie —
Hania urwała zmieszana.

— Myśli pani o tym pewnie, że ja — kochając, nie jestem kochany — — —

„Cóż za szczerść“—zdziwiła się Hania i wyznała:—
Rzeczywiście.

Johannesen wyjaśnił:

— Nie leży to ani w zamiarach mych, ani w charakterze mego kochania. Wierzę bowiem, że w dziedzinie tej—szczęście pozostaje w stosunku prostym do tego, co daje się w swojej miłości, nie zaś do tego, co się w miłości odbiera — —

Hania pomyślała chwilę. Pomyślała obrazowo — i zaraz znów zaczęła marzyć.— Wpatrzyła się z tęsknotą w wielkie zwierciadło, zawieszone naprzeciwko szklanych drzwi na taras i tak nachylone, że odbijało w sobie całą perspektywę głównej alei parkowej, wiodącej wdół, ku niewidzialnej rzece i zakończonej łazienką, misternym budynkiem, bielejącym starożytnie na tle bogatej zieleni. Cała ta historia w lustrze wydawała się matową bardziej, mniejszą i podobną do pięknego obrazka.

Marjeta grała coś znajomego. Owa melodia delikatna i aleja parkowa za lustrem, niedotykalna, nieistniejąca parkowa aleja... „Smugami światła białego pośród drzew, błędnymi drogami nieznanych ogrodów“ — grało wspom-

nienie cudne, nieodżałowane — „Skróć droga, przytulona do skroni, długie włosy na oczach kochających — — —“

Nie mogła znieść... Wstała, przeszła kroków parę i w innym miejscu usiadła. Johannesen podniósł się i stanął przy niej, badawczo patrząc. Roześmiała się cicho, obróciła na niego oczy dziecinne, szmaragdowe, szklane od łez.

— Ja chyba zupełnie wiele dałam — wyznała z kolei w tym uśmiechu. — I gdyby szczęście — — A przecież mnie miłość dopiero nauczyła śmierci — —

Johannesen z delikatnością niezwykłą prawil:

— Wniosek tylko, że miłość jest rządzącą potęgą życia, skoro gienieżą być może tak zupełnie odmiennych rezultatów. I wniosek dalszy: że w bogactwie odmian swych stanie się dla pani w czasie niedługim źródłem radości klasycznej, promiennego uśmiechu — —

Marjeta grać przestała, otrzepała w powietrzu zmęczone palce, ziewnęła krótko, przymykając oczy. W milczeniu pobieżnym podaniem ręki przywitała składającego ukłon Johannesena i krokiem sprężystym wyszła na taras.

— Jak pan może zawsze być taki? — dziwiła się Hania. — Nigdy nie widziałam w panu najmniejszego odgięcia od tej pogody nastroju, jakiegoś łaskawego optymizmu... Co w panu jest? czy siła woli? czy takie dobre nerwy? — —

— To rezultat przystosowania do geograficznych warunków—tłumaczył żartobliwie. — Pani wie o tym, że eskimowie są wszyscy nadzwyczaj weseli i dobrodusznymi — ci bowiem, co byli ponurzy, nie mogli przetrwać nocy kilkomiesięcznej i zimna — i wymarli. U nich na przykład walka odbywa się na pieśń! Pod niebem południowym wykołysały się marzenia najbardziej mordercze — a w czasie podbiegunowej nocy ciągle śni się słońce — —

Hania nieśmiało zapytała:

— Powiedział pan sam — więc to upoważnia mię... Pragnęłabym wiedzieć, jak to się robi, aby niedobra miłość mogła dawać szczęście. Nie pojmuję — — Wiedzieć, że ta kobieta... że kocha przecież tego swego męża, że oddalona już jest od życia o całe mile... Że to napewno w samej istocie swej—jest bez przyszłości — — —

Johannesen z rumieńcem bladym mówił.

— Och, to nic, zupełnie nic. — Inaczej nie byłaby godna kochania — — — Uśmiechał się łagodnie, mówił głosem miękkim:—Kobieta dawna zupełnie, racząca istnieć

reminiscencja owego nieporównanego wdzięku wymierających rodzin magnackich, z hyperkulturą uczucia na niekorzyść intelektu, nie dotknięta demokratycznym piętnem „wyzwolenia“... Jest coś stałego, coś niezmiennego, coś bezpiecznego nad wyraz w takim typie kobiecym — coś, co jedynie przeciwstawia się wszystko niszczącej, ewolucyjnej rzece życia — — I tego psuć nie można — Szczęście jest w tym, że tak pozwala się kochać, tak zimno i tak łaskawie — — Tak właśnie jest dobrze... Znalazłem ten punkt stały, ognisko, skupiające w swym obrębie treść życia. Dlatego jedynie mogę dalej żyć — — —

— Więc jednak — dawniej — — ?

— Tak — — Johannesen schylił głowę. — Dawniej inaczej jakoś było. Znajdowałem się już na ostatniej krawędzi... Takie niezwalczone przerażenie życiem — — — Czyż inaczej znalazłbym się tu — „na dalekim wschodzie“ — szukać schronienia przed tym przerażeniem — ? Minęło już cztery lata — —

— A gdy — — pani Eliza — wyjeżdża na zimę całą — ?

— Czytam, nawet piszę niekiedy — uśmiechnął się skromnie. — Chodzę po parku, po salach — i myślę: „tut widział ją, tu ona była...“ Czekam dobrej wiosny — — przypominam — Tak właśnie jest dobrze — —

Hania westchnęła.

— Ach, posiadać tajemnicę tego kunsztu, taką umiejętność szczęścia — —

— W sobie znaleźć można moc, umiejacą przekształcić w szczęście każde zdarzenie, sprowadzić rzecz każdą tylko do naszego o niej wyobrażenia, narzucić jej nasze najgorętsze żądanie — —

Po chwili mówił:

— Nie rozumiem uczuć romantycznych, tęsknot chmurnych, morderczych marzeń. Kochanie moje pogo-dne jest, jasne. Nie ubóstwiam duszy jej i nie pragnę ust: kocham delikatną damę o oczach przezroczystych. Nie chciałbym widzieć jej nagiego ciała — kocham kobietę w sukni. Duszy jej widzieć nie chcę — więc ubieram ją w swoją miłość — kocham duszę z prawdziwych koronek... Miłość moja jest właściwie pseudoklasyczna — —

— Krócej: pseudomiłość — rzekła Hania z uśmiechem.

Johannesen roześmiał się także, ale zaprzeczył:

— Nie — nie — —



Wroński czytał do późnego zmierzchu. Później wyciągnął się na swym żelaznym łóżku, palił papierosy i przecierał piekące powieki. Rzeczy przeczytane układały się w mózgu jego prawidłowymi warstwami, jak składniki strącone z roztworu. Na dno spadały myśli najcenniejsze, najbardziej ukochane zdarzenia. I miały tam być już zawsze. Wroński z dobrym uśmiechem patrzył na wzrastające swoje bogactwa, na wielkie skarby, składane w podziemiach świadomości, niewidzialne, przechowywane tajemnie do dnia, w którym zapagnie je wydobyć na światło samowiedzy, odczarować jednym drob-nym natężeniem pamięci — jako materiał czynu.

Pokój wypełniał się cieniem letniego wieczoru w mieście, niby chmurami. Dym tytoniu, rozwieszony na zastygłym powietrzu, chwiał się sennie, jak zakurzona, stara pajęczyna.

Okno, wychodzące nad podwórze, było otwarte. Zdołu szły echa życia, głosy przycichłe, poplątane bezładnie. Niewiadome palce grały gdzieś, pośród murów, prymitywne fortepianowe etiudy, przenikając powietrze niezmierzoną melancholją. Z samego dna dochodziły urywane okrzyki, odgłosy gonitwy i sporów: tam, w głębi bawiły się blade dzieci, które nie pojechały na wieś.

Tak samo codzień było już od miesiąca. Ale Wrońskiego nie raziła monotonia. Mieszkał teraz u niejakiego Danistowskiego, młodego prawnika, dobrego i wesołego chłopca. Tamten latem przebywał głównie u ojca swego na wsi — i tylko niekiedy przyjeżdżał. Wroński miał swobodę i samotność.

Był to czas, w którym jedynym losem ludzi, podobnych do Wrońskiego, była jakaś ucieczka. Jedni kończyli tajemnie lub samobójczo, inni dogorywali w nędzy. Nie wiedziało się o losach najbliższych przyjaciół. Było ich już zresztą tak niewielu. Moda przeszła — i nikt się niemi więcej nie zajmował. Ci, których nie porwano, uciekali sami. Czasem uciekali też porwani. Chronili się do dziedzin bezpiecznych, gdzie przeczekać mogli jakoś szary, żałobny czas, dzielący od następnego dnia. Po świetnych ulicach obcych stolic błakali się zapomniani, obdarci, zgłodnieli zbiegowie ze wschodu.

Dla Wrońskiego niedostępna była taka nawet ucieczka. Chronił się więc do własnej duszy, zapuszczał we własne głębinę — w poszukiwaniu wytechnienia, jako źródła

mocy. Powracał do punktu wyjścia swej działalności, to jest do marzenia. Cofał się jaknajdalej od rzeczywistości świata, żył nazewnątrzą czasu i przestrzeni — jakby odsadzał się do skoku, by z większym rozmachem wiary i chcenia przetrzącić się o nowym dniu w rzeczywistość. W posępne godziny rozpamiętywał, w bezgwiezdną noc włóczęgi po cmentarzu roztrzaskanych posągów alabastrowych — marzenie było jedyną obroną przed rozpaczą.

Wroński rozmyślał sobie o jasnych równinach, które zapadały się pod ziemię, o zatopionych miastach nad morzami, o jeziorach osuszonych, zmienionych w bagna rozległe. Marzył o owych rzekach tajemniczych, wiecznie płynących w podziemiach, rzekach bez nazwy, nieznanym oczom. Miejsce, gdzie płyną w głębinach, rozpoznaje się tylko po huczeniu skały pod stopami. Marzył o kraju szczęśliwym, gdzie rzeki podziemne z brzegów wysokich rzucają się wodospadami do kryształowego oceanu i topią w nim swe tajemnice bezsłoneczne.

W pokoju stało się zupełnie ciemno. Głosy życia z zewnątrz oddaliły się w jakąś głębinę, fortepian zamilkł o pewnej niezauważonej chwili. Powietrze stało się ciche, duszne i bezsenne. W ciszę wpadł nagle łoskot rozkołysanej ramy okiennej, do pokoju wdarł się wicher i zaszumiał papierami. Wroński wstał, podszedł do okna. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy, wicher podrywał się do lotu ciężko i złowrogo, mieszkańcy kamienicy zamykali pośpiesznie okna. W ciemnościach krzyknęło światło zielone pierwszej błyskawicy, warstwami wichrów potoczył się kamienny grzmot. Wkrótce po blasze dachu dzwoniąco dudniał rzęsy deszcz letniej burzy.

Wroński przymocował na haczykach latające ramy okienne i przyglądał się burzy z uwagą. Porwane wichurą, wpadały do pokoju kule wody i z chłodnym pluskiem biły go po twarzy i rękach. W przestrzeni raz po raz dygotały błyskawice, wlokące za sobą po kołach niewidzialnego nieba ciężkie łomotania grzmotów.

— Ach, burza — — Wroński westchnął przez zęby zacięte.

Przy jednej błyskawicy wydało mu się, że nie jest już sam w pokoju. Wyczuł raczej, niż usłyszał cichy szelest oddechu. Zapalił zapalkę i nim rozmrużył powieki, cofnął się przed głośnym śmiechem Małgorzaty.

— Co to jest? Skąd się tu wzięłaś? Zupełnie jakby na skrzydłach błyskawicy — —

— Wpuścił mię śliczny jakiś pan. Wszedł razem ze mną, pokazał, że tu mieszkasz, uklonił się cudownie i zniknął w drugich drzwiach. Przyglądam ci się już przez chwilę...

Twarz Małgorzaty pełna była życia i uśmiechów. W dygocącym świetle świecy oczy jej połyskiwały złotem. Usiadła swobodnie na brzegu łóżka, zdjęła kapelusz i otrzepywała go z wody o poręcz żelazną.

— Zmokłam, jak kura, objaśniła. — Cóż patrzysz? Powinszuj naprzód. Zaraz wszystko opowiem — —

Wroński z rąk jej przyjął kapelusz i ostrożnie złożył go na kupie zakurzonych książek.

— Dwie nowiny: przedewszystkim Janek zdrowy, prawie zdrowy. Łazi sobie po ogrodzie, wczoraj zaczął nawet gonić się z psem. To jedno. A drugie — wyobraź sobie! — posadał Bajeczne miejsce — i wyjazd zagranicę. Pieniądzy starczy na doskonałe życie Janka i nawet na długie. Wszystko przez poczciwego Szarzyńskiego, który wynalazł taką cudowną historję. W dowód wdzięczności wyswatałam go z panną Manią Nowicką. Cóż chcesz? — będzie miał głupią żonę. Przecież to jest fortuna — —

Wroński słuchał, siedząc bokiem na oknie, z jedną nogą w powietrzu. Na niebie dogasały zwolna błyskawice. Deszcz padał jeszcze, ale coraz słabszy.

— I ten zbieg szczególny! Przecież nie mogłabym jechać, gdyby Janek nie był zdrowszy. Widzę w tym zdarzeniu jakieś wyroczne odwrócenie kolei losu. Taka rzecz stała się po raz pierwszy w moim życiu — —

— Rzeczywiście — chyba to pierwszy raz widzę cię, śmiejącą się ze szczęścia — — powiedział Wroński.

Nie odrywał oczów od jej twarzy. Usiłował za wszelką cenę dojrzeć Małgorzatę poprzez blask jej radości. Ale nie mógł jej już zobaczyć — cała stała się tym blaskiem.

Uśmiechając się, wodziła palcem po deseniach koca, leżącego na łóżku. Mówiła żartobliwie:

— Otom się obróciła do życia, oto jestem jedną żądzą wolnych przestrzeni, szalonych przygód. Ze wszystkimi potęgami rozpocznę teraz radosną grę, jak tancerka będę się bawiła piłką swego przeznaczenia. Dosyć już wiecznego przewidywania. Wszystko, co we mnie jest, oddam grze — i wezmę wzamian całość życia. Wpra-

wiłam się na sobie do zwycięstw — a teraz oto zwycięzę świat — — Ziszczę w sobie pragnienie wielkiej bitwy, czystemu zwycięstwu służyć będę — nie męczeństwu. Bo wojowniczką bardziej jestem, niż bojowniczką — —

— Po takim zwycięstwie przekonasz się tylko, jak sama jesteś od niego odległa — —

— Iść przecież można po zwycięstwach swoich, jak po tarasach z marmuru jasnego i zimnego. — Pomyślała chwilę i znów się uśmiechnęła. — Jak ładnie na białym marmurze wyglądają pęki purpurowe róż — —

— Co mówisz — — —?

— Ach, w drodze takiej będę przecież spotykała kwiaty...

— By je odrzucać — —

— Czy ja wiem... Może już i nie odrzucać... Chcę wszystkiego.

Wroński opanował bezsensowną jakąś mękę zdziwienia. Małgorzata usuwała się z przed jego oczów w niedostępną odległość, w słoneczną perspektywę.

Nagle spytała: — Czy to ty mówiłeś, że mam oczy podobne do lamy?

— Nie — może — — Nie pamiętam — —

— Ktoś mówił: „Kobieta o oczach lamy“... To musiało być w jakimś marzeniu. Może w „śnie o złocie“ — Takie ładne... Dlaczego znowu nie mówisz nic?

— Tak strasznie się zmieniłaś — — —

— Wiesz — tak mię zmieniła odmiana losu. Jakby się przekręciły w zawiasach moje dzieje. Widzisz — według konsekwencji wszelkiej powinno było spotkać mię jeszcze to nieszczęście ostatnie. Wyzdrowienie Janka zaprzeczyło memu światopoglądowi. Jakiś wicher pachnący porwał mię w tę stronę słoneczną. To po raz pierwszy w moim życiu zwyciężyło nad śmiercią życie. To pierwsze radosne zwycięstwo — —

Znowu popadła w zadumę. Brwi ściągnęła. — Rzuciła niespodziewane pytanie:

— Deszcz już nie pada?

— Przestał.

Patrzył tak, jakby jej drogę zagrozić chciał tym spojrzeniem. Nie dostrzegała.

— Ono jest szalenie piękne —

— Co?

— Życie — Odwróć się teraz od marzenia. Sprężyna, ciśnięta przez długie lata młodości, odegnie się teraz

z bujnością szaloną, z bogactwem nieobjętym. Ach — przecież i marzenie moje prawie zawsze było marzeniem o życiu.

Wroński skrzywił swe brzydkie wargi w pierwszy dziś grymas uśmiechu.

— Teraz więc będę ci niepotrzebny już — powiedział głosem swobodnym. — Byłem przecież tylko partnerem twojego marzenia.

Ona się roześmiała:

— Cóż znowu — rzekła z uprzejmością, niedbale. — Ty jesteś — książęcy trubadur, paż — kochający — wylawiała bezmyślnie z pamięci dawno mówione słowa. — Wilhelm Cabestan... Chcesz? będę do ciebie mówiła: Wilhelmie — —

— Poco?

— Ach, rzeczywiście, masz rację. Poco. — Małgorzata zasunęła się głębiej na łóżko i plecy oparła o ścianę. Oczy przymknęła. — Była burza, kiedy przyszedłem. Cóż się takiego zmieniło?... zastanawiała się półgłosem. — To jest dziwne niezmiennie — —

— Co dziwne — — ?

— Jesteśmy wszyscy (ludzie) — właściwie tylko przyrządami do życia. Pewnej określonej wielkości i konstrukcji. Takie zabawne zadanie: żyć. — Czy nie sądzisz czasem, że mówię głupstwa?

— Skądże — —

— A zadanie samowiedzy naszej: wyzwolić z niebytu, wyczarować z nieskończoności zdarzenia, życie usprawiedliwiające — — Dotąd byłem tylko takim przyrządem do życia. A dziś dopiero żyć zaczęłam. Ponieważ chcę.

Wroński rozjaśnił się nagle.

— Nie będę smutny — postanowił.

— Co to znaczy?

— Bo przecież ty marzysz, Małgorzato — —

— Marzę? — nie, nie, dlaczego? — To jest właśnie już rzeczywistość. Ciągłe teraz mam wrażenie, że coś bardzo ważnego ominęłam w życiu. Ale to jeszcze nie przepadło. Jeszcze czas — —

— Co mianowicie?

— Czy ja wiem. Muszą być przecież takie rzeczy — A teraz — jedno jeszcze mi powiedz: kto to jest ten śliczny pan, który z tobą mieszka?

— Kto? — ach, tu naprzeciwno wszedł? — To musiał przyjechać Danistowski — —

— Jak mówisz? Danistowski?
 — Tak właśnie nazywa się ten śliczny pan...
 — Nie wiesz, nie pracował kiedy w kancelarii
 Uluskiego?

— Owszem. To właśnie ten, o którym myślisz.
 Małgorzata westchnęła.
 — No, pójdę już. Wypogodziło się zupełnie. Takie
 gwiazdy — — —

W otwartym oknie stojąc, patrzyła się na niebo.
 „Więc to Hania kochana była przez tego człowieka?“...
 Z rąk Wrońskiego wzięła kapelusz i szpilką przypinała
 go do włosów.

— No tak. Odjadę sobie już z tego miasta. Zabawne
 to, że człowiek taki jest przerażony, kiedy marzenie
 przestaje już być marzeniem. Niewiarogodność tego przeji-
 muje trwogą. Zupełnie, jakby to nie była rzeczywistość.
 Bo przecież rzeczywistość może być tylko zła — — —

Wyciągnęła rękę. Wroński zęgnął się w milczeniu,
 jakieś krzesło usunął z jej drogi. W przedpokoju zapytał.

— Zobaczymy się jeszcze przed twoim odjazdem?

— O tak — — —

W roztargnieniu nie określiła dnia ani pory. Ode-
 szła pospiesznie, jeszcze na zakręcie schodów skinęła
 głową z bezmyślnym uśmiechem. „No, cóż właściwie
 utraciłem takiego?“ niechętnie ze wzruszeniem ramion
 pytał Wroński.

Wchodząc znów do przedpokoju, ujrzał zgrabną fi-
 gurę Danistowskiego. Stał w swoich drzwiach z jakąś
 kopertą w ręku i mówił:

— Słuchaj, mój drogi, nie wiesz, kiedy przyszedł
 do mnie ten list?... Tu jest data na stemplu, a dzisiaj --

— Baby się pytaj, skądże ja mogę wiedzieć?

— Właśnie gdzieś poszła... A jakże z tobą? — pytał
 serdecznie. — Dają ci dotąd spokój?

— A tak, tak... Dzisiaj przyjechałeś?

— Prosto z pociągu. Powinieneś mi podziękować,
 bom ci sprowadził kobietę. Cóż-eś taki nieszczęśliwy po
 wizycie tej dziewczynki? — Czy to może z dziedziny
 „czystego marksizmu“?... U-uch, nie zazdroścę w takim
 razie...

Wroński niezdecydowanie machnął ręką i wszedł do
 swego pokoju. Zgasił świecę, położył się na łóżku i płakał.



Ciche łkanie w ciemnościach — aby nie dosłyszały
 myśli...

Wroński pochylił się nad swymi podziemiami, bez-
 szeleśnie przesuwając zasłony okien niewidzialnych, kry-
 tych wejść. Z głębin pamięci dobywał żalostne dzieje
 brzydoty pośród dziejów świata. Były tam potwory i karły,
 zakochane w syrenach, więżące z miłości cudne, zacza-
 rowane królowny. Raz pole świadomości wypełnił swia-
 tłem dziwnym obraz niezapomniany: urodziny infantki,
 wizja w zwierciadle, jakaś róża — — Później jeden cudny,
 złocisty włos, nawinięty na paleczkę z kości słoniowej —
 skarb najcenniejszy karła, odebrany przez okrutnego
 księcia — na urągawisko...

Rozwagał straszliwą niewolę brzydoty w nieubłaga-
 nym władztwie piękna. Jej rozpaczliwe wycieczki w sferę
 dobra i bohaterstwa, w sferę marzenia — dla rehabilitacji,
 dla prześlągania piękności, dla odwrócenia oczów...

Zły to już znak, jeżeli odwoływać się trzeba do
 „piękna duszy“, do wszelkiej dziedziny marzenia. Piękni
 nie potrzebują marzyć. Brzydota tylko ratuje się ma-
 rzeniem. Brzydota wymyśliła piękność duszy — ów naj-
 większy błąd estetyczny świata, — brzydota wymyśliła do-
 bro. Pięknym bowiem może być to tylko, co nie potrze-
 buje być dobrym, — to, co jest widzialne.

Istnieje jedna zemsta, jedno zadośćuczynienie dla
 brzydoty: narzucić pięknu dobro, czynowi marzenie, grze-
 chowi cnotę, życiu śmierć. Ach — jakże w każdej religji,
 w każdej moralności tryumfuje brzydota! Wiary każdej —
 niby oręża — używa przeciwko pięknu.

W upokorzeniach — przez ciąg długich wieków —
 zdobyła hardą moc — za dnia i płacz cichy — pośród
 ciemności...

Najbardziej nikczemną staje się wówczas, kiedy ko-
 cha. Choremi oczami magnetyzuje piękność i drogami
 nieszczęścia zwabia ją do dziedziny swojej zemsty, do
 krainy dobra, cnoty, marzenia, śmierci.

„Czyż to wszystko jest prawda?“ — przerażał się
 Wroński.

Właśnie: drogami nieszczęścia. Czemuż tak dziką
 nowiną było dla niego szczęście Małgorzaty? — Nie chciała
 więcej marzyć... Usuwała się z pola jego jedynej wła-
 dzy — — Nie potrzebowała już dobra, przyjaźni, brater-
 stwa... Zapomniała o bohaterstwie...

Wroński odwrócił się nagle od jednej myśli. Była to mowa najgłębszego instynktu, syk żądzy, ścinającej krew.

Zapragnął całym instynktem życia, aby Małgorzata stała się znów nieszczęśliwa, aby ugodził w nią najgorszy cios. Wtedy wróci — —

Ogłuszył go wir projektów, zuchwałych propozycji, rzuconych przeznaczeniu. Na te więc krawędzie prowadzi brzydotę miłość?

Marzył, że wróci — taka, jak dawniej, lękająca się zapachu konwalji, z zielonych szpalerów życia wygnana. Marzył, iż nie zdarzyło się nigdy to straszne, iż jest szczęśliwa, — że to nie ona siedziała tu przed godziną na łóżku, oparta o ścianę, bezładnie rozważająca swoje szczęście, oddana radosnym niepokojom... Księżniczka z zamku wypędzona, żebraczka bezdomna — na pustce życia jednego tylko znalazła, pogardzonego dawniej, króla. I od jej pocałunku stał się piękniejszym, niż młody król, którego była kochała — — — Marzył o pocałunku księżniczki.



W przedpokoju zakołysało się światło, drgnął szelest cichych kroków. U drzwi uchylonych stanął Danistowski.

— Nie śpisz — — ? usłyszał Wroński pytanie. Opanował wyraz twarzy. Pogodnie odrzekł:

— Nie, nie — proszę cię...

— Zupełnie zasnąć nie mogę — tłumaczył się ten. — Myślałem, że jeżeli i ty nie śpisz — — Nie zrobię ci różnicy?

— Ależ wejdź. Bardzo chętnie.

Danistowski wsunął się w kostjumie niedokładnym. Postawił świecę na stole.

— O, tu siadaj — zaprosił Wroński, usuwając nogi z brzegu łóżka.

Z nową, zaostrzoną ciekawością patrzył Wroński na „ślicznego pana“, ze szczególnym uderzeniem serca, ze śmiechem, zaczajonym do obelgi, badał krytycznie jego urodę. Zły był, że Danistowski przychodzi sobie do niego, kiedy chce, że pod postacią słodkich ciężarów przyjaźni zdziera zeń okup za mieszkanie, oraz dziesiątki pożycz-

nych bezpowrotnie mankietów i kołnierzyków, że narzuca mu zwierzchnia mnóstwa swych awantur miłosnych. Wrońskiego denerwował zwłaszcza wysocy niesmaczny sposób, w jaki Danistowski mówił o swych niezliczonych ofiarach. Owo lekceważenie oficjalne, nieodłączne od roli zdobywcy serc, wypływające wyłącznie z przewagi fizycznej, z głupiej pychy ładnego organizmu.

Zarazem jednak dziś właśnie najbardziej pragnął nie okazać mu tego wszystkiego. Zagaił z uprzejmością:

— A cóż — na ten list dostałeś wreszcie odpowiedź?

— Tak — właśnie — —

— I — — ? czyżby odwróciły się od ciebie losy? — wyraził Wroński nieśmiało radosne przypuszczenie.

— Nie — cóż — — Nie się właściwie nie zmieniło... Przykro jest tylko dowiedzieć się, że właśnie ta jedyna kobieta, którą uważało się za inną — — —

Urwał. Wroński milczał.

— Jeżeli chcesz zresztą... Mam tu nawet, zdaje się — — — Danistowski wydobył z jednej kieszeni list, niby przez nieuwagę zabrany.

Wroński z przyjemnością konstatował wyraz prawie dzieciennego zakłopotania w nieprawdziwym, chcianym uśmiechu ust, w oczach błękitnych, we wzniesieniu brwi.

Wziął w rękę podany list. Obejrzał się tylko. Danistowski wstał i przyniósł bliżej świecę, postawił przy łóżku. Wroński czytał:

„Panie —

„Skądże takie przypuszczenie? Dowód miłej pamięci pańskiej uczynił mi tylko przyjemność — i dziękuję Panu za nią zupełnie szczerze.

„A tamte rzeczy — — Wyznam, że rozmyślałam nawet przez cały jeden ładny wieczór nad tym, jak mam na zapytanie owo odpowiedzieć. Jest to sumienność niezwykła. Ale nie wynalazłam nic nowego. I tak samo, jak kiedyś, odpowiadam.

„Chociaż — mam wątpliwości. Czyżby Pan rzeczywiście naprawdę odpowiedzi mej oczekiwał? Takie listy, jak myślę, pisze się jedynie w chwilach znużenia. Czy jest potrzebny odzew wtedy, gdy chwila przelotna minie?

„Wytłomaczę się jednak jeszcze i tym razem — po prostu wiedziona kurtuazją, do której zobowiązała mnie w liście pańskim — jak i zwykle dawniej — owa niezmiennie ujmująca forma.

„Zdaje mi się, że spotkaliśmy się poprostu w nieodpowiednich epokach życia. Każdy bowiem mężczyzna przebywa trzy fazy: rozpusty, miłości, wreszcie małżeństwa. Jest to oczywiście teza, antyteza i synteza. Też same fazy przechodzi kobieta—tylko w ściśle odwrotnym porządku, to jest naprzód małżeństwo, później miłość, a dopiero na końcu—rozpustę. Z tego właśnie, jak sądzę, wypływają wszystkie różnice zasadnicze. Miłość naprzekład jest dla mężczyzny zawsze antytezą rozpusty, u kobiety zaś—daje się zazwyczaj odnaleźć w rozpuszczeniu, jako syntezie. Miłość jest dla kobiety zwykle antytezą małżeństwa, dla mężczyzny zaś—jego częścią składową.

„Co do mnie—przeżyłam już niestety dostojną epokę miłości. Pan zaś nie posiada jeszcze żony. Skądże porozumienie?

„Przepraszam zresztą za całą tę dylektykę erotyczną. Właściwie mówiąc, mam Panu do zarzucenia to tylko, że jest Pan nazbyt ładny i nazbyt kochany. A zarzut ten nie sprowadza się bynajmniej do pańskiego „zepsucia“. Ja bowiem jestem bardziej zepsuta od Pana o całą moją enotę. I dlatego właśnie nie mogę już myśleć o „kochaniu“, nie chcę być przystanią dla pańskiego znużenia. Wrogi mi jest patos, przebijający z każdego słowa pańskiego listu. Jest mi niewygodnie na tych koturnach. Ja sobie chcę szukać dzikich kwiatów po uroczych bagnach ziemi“.

— Kwestja dosyć wyraźnie postawiona — zauważył Wroński, przerywając czytanie. Z pewnym zniechęceniem oglądał pozostałą jeszcze, zapisaną szczelnie ostatnią stronicę.

— Co ty mówisz?—surowo jakby rzucił Danistowski.

— Nie więc? — w dalszym ciągu na takich wyżynach? — To dziwne — u ciebie dziwne właśnie. Wierzaj — kobiety wszystkie są jednakowe (Wroński po raz pierwszy dziś myślał i o Małgorzacie), lubią, jak je wlec po ziemi za długie włosy—ponieważ trzeba zdarzenia, że to na ziemi właśnie rosną kwiaty... Ta twoja jest tylko wyjątkowo szczerą. I powiedziałbym, że ma poniekąd słuszość. Przyznaj, że z owych wyżyn właśnie najchętniej ucieka się do lupanaru... Potrzeba równowagi — moralnej, że tak powiem — — Wroński uśmiechał się dobrotliwie. — A równowaga moralna jest fundamentem spokoju społecznego...

Danistowski stał w oknie otwartym i patrzył na noc.

Ręce, z których rękawy opadły do łokci, skrzyżował na piersi. Czoło kwadratowe bieleło pod włosami. Z miękiego kołnierza nocnej koszuli wychylała się naga szyja, mocna i gładka, jak na starożytnej rzeźbie. Wroński widział go z profilu. Wydał mu się piękny, jak młody bóg, obejmujący w posiadanie świeży, soczysty czar nocy.

— Każdy człowiek musi mieć jedną taką rzecz, aby żyć, jedną rzecz świętą, nietykalną, inną — — Słuchaj, ty nie wiesz... Ja nie śmiałem przecież całować jej rąk — — Ja jej nie obraziłem ani jednym spojrzeniem — — — I czemuż każda—tylko nie ona właśnie?...

Wroński chichotał cicho.

— Tak, tak—to jest znana rzecz... Egoizmu naszego zupełnie to nie obchodzi, iż dama nudzi się śmiertelnie na tych gwiazdach, gdzieśmy ją usadowili dla zrehabilitowania naszych własnych, nieco wykolejonych instynktów... A damy się buntują... Po całej literaturze kobiecej rozbrzmiewa teraz to błagalne beczenie: „o niechże mię kto stąd zabierze, bo sama boję się zleźć, a tak mi nudno—“ Ale duch rycerski upadł w dzisiejszej epoce...

Danistowski nie słuchał prawie. Jego jasne czoło marszczyło się, usiłowało pochwycić, utrwalić jakąś myśl.

— Nie chcę wierzyć—przerwał.—Prawdą jest, że nie kocha mnie poprostu. To tylko jest prawdą. A wszystko tamto tylko tak sobie napisała. Zobacz sam, proszę cię. Przeczytaj do końca.

Wroński usłuchał.

„Od mężczyzny chcę“—czytał—„bym dla niego była nie tylko jedną kobietą, ale także — jedynie kobietą. Tamto inne wszystko (sny, tęsknota, marzenie, o których Pan pisze tak poetycznie), musi pozostać moją dziedziną własną i niedostępną. Tych drzwi ostatnich nie otwieram przed żadnymi oczami.

„Piszę tak szczerze, gdyż przypuszczam, że może znużenie pańskie już przeminęło i oczy powróciły od bram nieskończoności. W takim razie będzie to Panu miłe, że odpowiedziałam tak właśnie, a nie inaczej. W wypadku przeciwnym zrozumie Pan przynajmniej, że od wszelkich dostojenstw tego typu uchylam się bezpowrotnie.“

— Podpis — nieczytelny, zakończył Wroński. — Kobiety najostrożniejsze są wówczas, gdy mówią „nie“. — Cóżes ty jej właściwie zaproponował?

— Ja?—Danistowski zmieszał się.—Tak, to jest bez-

wątpienia naiwna rzecz. Jabym przeprowadził rozwód z tym idiotą —

— Z mężem? — przecież to nie o niego najbardziej chodzi — — —

— A jednak był czas, kiedy napewno mię kochała — powoli mówił. — Tylko właśnie wówczas ja nie umiałem ocenić całej jej wartości — — —

— Wszystkie są jednakowe — powtórzył Wroński ze szczególną mocą przekonania. — „Innemi“ wydają się tym, których nie kochają. Póki cię kochała, nie „oceniałeś“ jej, to jest — była także „jednakowa“. Dopiero teraz stała się „inna“ — — —

— Nie — nie — — Gdybyś ją zobaczył...

Wroński uśmiechnął się.

— Pokazywano mi kiedyś tę kobietę. Czy nie nosi słodkiego imienia Hania?

— Hania? — powtórzył powoli Danistowski. — Nie, nie — zupełnie inaczej się nazywa... Skądże ci do głowy przyszło? Hania — — —

— Tak myślałem —

— Skądże. Plotka jakaś — Danistowski z przejęciem wpychał list do koperty.



Pan Awratyński — duży, rasowy, długobrody człowiek — był raz, przelotnie, deputatem do jednego z parlamentów — i zdarzenie to pozostawiło mu na całe życie niezatarte piętno grandezzy w słowach, giestach, a zwłaszcza sposobie myślenia. Brodę siwą gładził w sposób hjeratyczny, przemawiał pełnemi zdaniami i nigdy się nie uśmiechał. Nie czytywał książek beletrystycznych z zasady i od tej zasady nie odstępował pod żadnym pozorem, na ruch kobiecy zapatrywał się bardzo sceptycznie i od wielu lat zbierał materiały do dzieła o potrzebie zastępowania wyrazów pochodzenia obcego wyrazami rdzennie swojskimi.

Hania bała się jego powagi zupełnie tak samo, jak dzieci boją się ciemności. Awratyński należał do tych ludzi, z którymi rozmawiając, miała wrażenie, że właśnie w jej towarzystwie najbardziej się nudzą. Jego posuwi-

ste zdania przywalały ją nieodpartym ciężarem. Zwłaszcza, gdy była mowa o jakichś sprawach „naukowych“.

Raz tak się zdarzyło, że z oględzin pewnej nowo sprowadzonej maszyny gospodarczej wracali właśnie we dwoje z Awratyńskim. Objaśniał uprzejmie i nader zasadniczo jej ogromne znaczenie dla przemysłu agrarnego. Hania nie słuchała zupełnie i tylko od czasu do czasu, dla uspienia czujności, zadawała krótkie pytania, które Awratyńskiego wprawiały w zdumienie brakiem wszelkiego związku z tematem. Hania tego nie dostrzegała i była z siebie zupełnie zadowolona. W rezultacie jednak oboje mówić przestali. Czas pewien szli w milczeniu ku domowi.

Po chwili rozwagi odezwał się Awratyński:

— Pragnąłbym, aby na jedno pytanie mogła mi pani odpowiedzieć z całkowitą szczerością.

— Proszę, niechaj pan mówi — odparła Hania.

Po przerwie zapytał:

— Czy pod nieobecność moją nie wyjeżdżały panie z żoną na cmentarz?

Hania się zmartwiła.

— Pani Eliza prosiła mię, by panu o tym nie wspominać — wyznała z prostotą i westchnęła. — Dlatego wolałabym, by pan był łaskaw zachować się wogóle tak, jak bym zaprzeczyła — dodała roztropnie.

— Jak pani sobie życzy. W każdym razie dziękuję bardzo za szczerość. Pojmuje pani, że trudno mi jest zwracać się z tym do służby, albo do mej córki — i dlatego niepokoiłem panią. Chodziło mi jednak wyłącznie o upewnienie się — gdyż domyśliłem się odrazu. Żona moja jest osobą nerwową — i ta wycieczka zawsze niezmiernie ją wykoleja. Odrazu to poznają po jej usposobieniu i wyglądzie. — Dlatego taki jestem przeciwny i tylokokrotnie ją prosiłem, by bezemnie zwłaszcza, nie jeździła na cmentarz.

Hania słuchała tych objaśnień z pewnym zdziwieniem. Rzecz była smutna niewątpliwie, ale nie tak znów ważna. Widziała w tym przesadę pewną.

— Może jednak pani Elizie doprawdy bardzo zależało na tym, aby pan nie wiedział.

Awratyński zaprzeczył.

— Wie przecież, że o nią mi tylko idzie. Sobie szkodzi tym najbardziej — —

Weszli przez bramę wjazdową. Od strony kwiatów

wego ogrodu doszedł słodki głos pani Elizy, nawołującej cierpliwie:

— Cip, cip, cip! Siadła, maleńka, siadła — — —

Hania rozstała się z panem Awratyńskim i poszła w tę stronę. Okrążyła róg domu i zatrzymała się przeornie.

U żelaznej furtki, wiodącej na plac, gdzie znajdował się podjazd, klęczała na piasku pani Eliza z dłonią pełną pszenicy. Naprzeciw niej stała duża, ładna, mleczna, jak łabędź, kura z czubem, nazwana przez Johanna-sena Beatryczą. Pani Eliza głosem błagalnym wabiła ją do siebie. Kura podchodziła ku pszenicy z wahaniem, wyciągała niemożliwie szyję, przyglądała się wyciągniętej dłoni to jednym, to drugim jasnożółtym okiem, pełna niedowierzania, prawie niechęci, zcichła, powoli gdała, jakby zastanawiając się i dziwiąc głęboko. Wreszcie zastygła w zupełnej nieruchomości — w tej samej, naprzód zdążającej pozycji, z wyrazem niesłychanego zdumienia w spiczastej fizjonomji.

— Ostrożnie, złota pani Haniu—poprosiła Awratyńska, nie zmieniając głosu.—Cip—cip— — Niech pani nie przestraszy Beatryczy — — —

Kura mrugnęła tylko okrągłemi oczami, podnosząc zdołu sinawe powieki, i dalej trwała tak bez ruchu, z szyją wyciągniętą.

— Ptaszek drogi—roztkliwiała się pani Eliza.—Siadła... Wie pani, znowu zdziczała od wczoraj. Dawała się już głaskać — —

„Jak tamte ryby syrenom“—przypomniało się Haniu. Z upodobaniem przyglądała się „scenie“.

— Cip — cip —

Pani Eliza posunęła się po ziemi nieznacznie i bystrym ruchem ręki przytrzymała kurę, która wobec tego natychmiast „siadła“, wedle prawideł kunsztu, pokornie garbiąc skrzydła.

Znalazłszy się u pani Elizy na rękach, Beatrycze natychmiast oddała się całkowicie konsumowaniu pszenicy, atakując każde poszczególne ziarno na dłoni z nieproporcjonalną do celu energją. Piękny pióropusz biały drżał przytym na jej główce, a grzebień ciemnoróżowy kiwał się nad dziobem.

— Probowwała pani kiedy patrzeć na kurę *en face*?— spytała pani Eliza.—Jaki osobliwy wyraz twarzy.

— Powaga w połączeniu z sentymentem — — —

— Ach, Beatrycze jest taka sentymentalna... Pan Johannesen utrzymuje, że ona jest wcieleniem wiecznej kobiecości... Taki wdzięk niesłychany i słodycz charakteru. Jeżeli ją dzióbnie jaka większa kura, to zupełnie się nie mści, tylko swoją główkę śliczną schyli i czeka, jak skamieniała, póki sobie tamta nie pójdzie...

Siedziały we dwie na stojącej tu ławeczce. Pani Eliza głaskała i pieściła kurę, która już teraz z zupełnym zaufaniem spoczywała na jej kolanach. Tylko raz po raz przeginała głowę na jedną i drugą stronę, jakby nadziwić się nie mogła, jak się to stało, że niema już tej pszenicy, którą sama zjadła.

— Beatrycze, daj dziób — rzewnie powiedziała pani Eliza i pocałowała kurę.

Ptaszek przyjmował pieczyoty pani z zupełną rezygnacją i obojętnością.

Nagle przez furtkę energicznie wtargnęła Marjeta z rumieńcami na twarzy i pękiem jakiegoś zielska w rękę.

— Mama wie, co się dzieje w kuchni? — spytała.

— Cóż takiego?—zainteresowała się pani Eliza, podnosząc głowę z ponad Beatryczy.—Tylko nie krzycz tak, bo kura się boi...

— Gospodyni wymówiła miejsce Nastce. Dziś właśnie miała odejść—i okropnie płacze —

Pani Eliza się zmieszała.

— No cóż ja — — Nie mogę się wtrącać. Gospodyni musi mieć przyczyny. Ona tu jest przez całą zimę — i lepiej odemnie — —

Marjeta przerwała surowo:

— Jaktó, więc mama nie wie, że Nastka jest w ciąży i dlatego ją wyrzucają —

— Ależ, Marjeto?

— Proszę mamy, to wcale nie jest żadne głupstwo. Mamie pozwolić na to nie wolno, nie wolno—jako kobiecie. Zato, że jakiś łotr ją uwiódł (pani Eliza wtrąciła: „Jezus Marja!“) i teraz porzucił, nie można jej oddać, bo co ona teraz zrobi ze sobą i z dzieckiem? Niech mama pamięta, że to się stało u nas właśnie—więc mamy obowiązek — —

Awratyńska zapomniała o kurze i głaskała ją automatycznie. Niespodziana napaść córki uczyniła ją zupełnie nieszczęśliwą.

— Dobrze, dobrze — [powiedziała prędko, — zajmę

się tym. Każ, Marjeto, przywołać gospodynię do mego pokoju.

— Okropne to są rzeczy — zwróciła się żałośnie do Hani, gdy już odeszła Marjeta. — Nie ma pani pojęcia, ile mię to kosztuje — wglądać w te brudy — — Ależ ta Marjeta!

Kiwała głową w bezradnym zdumieniu. — Tak dawno odeszłam już życiem i myślą od tych rzeczy, nie chcę nic — nic — nic o tym słyszeć! I tu córka własna! Przecież to jest okropne! I wreszcie ja nie mam zamiaru żadnego zakładać tu przytulku dla osób, spodziewających się słabości i potrzebujących dyskrecji — mówiła ze złościwością.

Spochmurniała. Podniosła się, puściła kurę na ziemię, by iść do domu. Pomyślała chwilę.

— Ładna bardzo ta Nastka. Pani ją zauważyła? — zupełnie greczynka — —

Poszły obie w kierunku domu. Hania zatrzymała się w małym saloniku, przeglądając zaczęła na stole jakąś nowość beletrystyczną. Przerzuciła wzrok poza książkę.

Doznała szczególnego wrażenia nudy, przesyconej bezimienną trwogą. Czuła się obca, odosobniona, zbyt czarna, otoczona nieskończeniem dalekimi ludźmi. Nie wiedziała, skąd wzięła się w Neanderthalu i pocięła się tu znajduje. Czy nie myślała tego niekiedy o niej i oni także. Bo cóż z niej mają, skoro jest taka inna i obojętna. Co znaczy taka rozmowa z Awradyńskim? I cała ta Beatrix i Nastka? Wszystko to do niczego nie jest potrzebne, staje się przypadkowo, przelotnie, przerażająco. I ona wewnątrz tego — poco? Rażą ją drobiazgi różne, przesada, narzucający się koloryt domu, nuda. To jest złe („ach, żeby do domu“), to jest wrogię...

Pod jednym odkryciem aż się ugięła: i dotąd tak często wszystko stawiało przeciw niej, ale ta rzecz jedna (Woroński) — była. Teraz, kiedy i on przeszedł do rzeczy wrogich, — Hania po tej stronie zostawała zupełnie sama. I jeszcze niekiedy z nawyku, poszukiwała tak wokoło siebie tej dobrej, wspierającej mocy. A było pusto — pusto — —

Hania zerwała się, aby znaleźć Marjetę. Ta dziewczyna jedna — najbardziej jakoś prosta, ufność budząca. Jasną galerią doszła do drzwi jej pokoju. Czy będzie właśnie tu?

Pchnęła niezamknięte drzwi. Na łóżku zobaczyła wyciągniętą Marjetę z twarzą w poduszkach, z rękami

na oczach. Podniosła się na stukanie kroków, nie odejmując rąk.

— Co to? Ach — przepraszam cię. Czy płaczesz?

— Nie, bawię się. Okropnie jest nudno. W to się można bawić bez słońca. Naciska się mocno powieki i widzi się niestworzone rzeczy: na przykład w ciemnościach śliczna szafirowa dziura, a naokoło rama ze złotego pluszu. I to się samo rusza. A może też być i innego koloru. Niech się pani i tego nauczy —

— Oczy bolą od takiego przyciskania.

— To nic, że boli, ale jest ładne — —

— Nie, nie, wolę już nie próbować.

Hania była zniechęcona. Oglądała się leniwie po zwiewnych meblach i drobiazgach, po jasnych ścianach pokoju. Patrzyła przez okno w ogród. Marjeta otworzyła oczy i mrugała powiekami.

— Swoją drogą ogromnie jest trudno przyzwyczaić się do rzeczywistości — rzekła. — Chociaż, czy właściwie to wszystko (niedbale obwiodła przestrzeń ręką) jest bardziej rzeczywiste od tamtej malutkiej szafirowej przepaści z brzegami złocistymi?... Czy bardziej rzeczywiste jest to wszystko z Nastką na przykład?... Bo gdyby to była prawda, ja powinienam się przecież zabić. Ale ja tego nie czuję do dna... Jakby przez sen, jakby z oczami zamkniętymi. — Czasami zdaje mi się nawet, że i mama niezupełnie jest prawdziwa. No, bo papa na przykład — to wiadome, że zrobiony jest z terrakoty... Ale nawet mama — — —

Marjeta zamyśliła się, sposepniała, ściągnęła czarne brwi.

— No, tak — postanowiła. — Ja przyrzekłam pani kiedyś, że powiem, jaka jest ta moja tragedia — — —

Hania poprosiła z zainteresowaniem:

— Dobrze. Opowiedz.

— I dlatego właśnie to, że mama tak dzisiaj z Nastką — — — Marjeta urwała. — A nasza tajemnica rodzinna to jest taka, że rodzice nie rozeszli się tylko przemennie...

— Twoi rodzice? — — —

— Tak. I ja od początku, od bardzo dawna, ciągle czuję tę ofiarę — — — To jest moja tragedia — chociaż niby właśnie: dla mojego szczęścia — — —

— Czy nie zdaje ci się to czasami? Pocóż właściwie mieliby się rozejść? — — —

— Ach, poco. — Marjeta lekceważąco się uśmiech-

nęła i nagle głos 'zniżyła. — Ten mój brat mały, który umarł, to wcale nie jest syn papy. Pani rozumie? Mama miała kochanka — —

— Co ty mówisz? — cicho wyrzekła Hania. — Skąd znów wiesz takie rzeczy?

— To wszyscy wiedzą tutaj. Mama wciąż wtedy wyjeżdżała za granicę, czasami nie było mamy przez cały rok — — I właśnie tam. Bo papa był zawsze jakiś niezdrowy... Raz mama wróciła bardzo prędko. I wtedy była ta straszna, straszna awantura, kiedy papa chciał mamę po prostu wyrzucić z domu. Słyszałam to wszystko, chociaż mnie zamknęli z boną, rozumiałam już wtedy. Mama wciąż powtarzała: „zaklinam cię na córkę naszą, pomyśl, jakie będzie jej życie, cała przyszłość“ i tak dalej. I papa wreszcie przebaczył — ze względu na mnie, ale okropne rzeczy mówił mamie. Musiała przyrzec, że nie będzie więcej wyjeżdżała na tak długo, że się poświęci wychowaniu mnie, że przynajmniej będzie dobrą matką. Później mama naturalnie była chora i wtedy urodziło się dziecko. Ale niedługo umarło. — — I wie pani, mama tylko zato tak ojca kocha, że jej wtedy przebaczył, że jej nie wypędził z domu, taka mu jest zato wdzięczna... I od tego czasu życie zupełnie dla niej nie istnieje, wyrzekła się wszystkiego... Ma tylko tę pasję do haftowania — —

— No — a ten człowiek?...

— Ach, ten! O, on już nie żyje. Właśnie wtedy zabili go tam zagranicą w pojedynku — i dlatego mama wrócić musiała tak prędko — —

— Stański? — nagle spytała Hania.

— Tak. — Pani wie?

— Widziałam śliczny pomnik na cmentarzu — —

— On właśnie.

Hania przypomniawszy sobie te dwie róże, które położyła tam pani Eliza. „O włoską aktorkę“ — ze smutkiem wynalazła jeszcze w pamięci.

— I odtąd haftuje tak chętnie, powiadasz — — snuła powoli, w zamyśleniu. — A wiesz, Marjeto, — mama obiecała, że i mnie nauczy haftować kwiaty... Wczoraj zaczęłyśmy właśnie robić we dwie taką poduszkę do kościoła — —

Hania patrzyła gdzieś daleko — marząca. „Więc to tak — więc to tak“ — — — wyszeptwała. Myślała teraz o sobie.

Po obiedzie przywieźli pocztę. Z listu od męża dowiedziała się Hania, że za tydzień przyjedzie po nią. I że przyjedzie nie sam. O tym samym czasie wybiera się też do Neanderthalu pan Woroński. Słowa rzeczywiście, napisane osobnemi literami. Dzika prawda.

Zdradnie wymknęła się z domu w ogród. Dom cały drzemał o tej godzinie wedle zwyczaju. Marjeta krążyła kędyś w okolicach podwórza i kuchni, śledząc surowo, by odpowiednio uwzględniono niedawne ulaskawienie Nastki. Było pusto i cicho. Od upału sennie.

Hania szła w głąb parku, ocierała się twarzą gorącą o jedwabne liście wiszących kochanych gałęzi.

— Ach, ty! ach, ty! — mówiła sobie półgłosem, dziko rozradowana.

W odległe, radosne zdarzenia przyszłości słała wzrok. „Co tam jest?“ pytała, rozczapierzając ręce w powietrzu, jakby to była kotara ciemna, zasłaniająca daleką perspektywę. „Może, na przykład, ogromne, śliczne życie, pełne kochania?...“ W chwili owej uczuła napewno, że przecież niedługo jedyną było rozstanie — a inne wszystko luźną kombinacją przywidzeń. „Teraz już będę dobra“, postanowiła (tak, jakgdyby to zupełnie nie on był zły), „nie nie będę udawała, powiem, że kocham, że zawsze kochałam. I nie będę się o nic kłóciła.“

Doszła do miejsca, gdzie wisiał hamak pomiędzy pniami dwóch modrzewi. Musiała być tu przedtym pani Eliza, bo na leżącej w hamaku ciemno-różowej poduszce błyszczała bursztynowa szpilka do włosów, a obok na trawie leżała książka Huysmansa.

Hania wskoczyła do sieci, wyciągnęła się, rękami zasłoniła oczy i dziko marzyła o miłości. Widziała, jak będzie tu z nim chodziła między drzewami, roiła całe długie rozmowy, jak zwykle, obmyślała słowa słodkie, wabne, przerzucane z mądrą gracją, jak róże. Śniła cicho pocałunki, którym nadstawi usta bezbronne, zamknięte oczy, piersi. Nie mogła już przecież żyć tak dłużej. „Ach!“ — opanowywała siłą ostry krzyk pragnienia, radosny krzyk rozkoszy.

Wyczarowywała z pamięci jego oczy, spojrzenia o dziwnej wymowie, uśmiechy nagłe, które czyniły go zupełnie ładnym. Wywłóczyła z cieniów ukochane wspomnienia, z którymi pieściła się już tyle razy, że stały się nieświeże, pogniecione, jak kwiaty powiędłe — ale daleko

bardziej pachnące. „To róże, kiedy umierają, tak pachną, to bzy, kiedy umierają, tak sennie pachną” — — przypomniała sobie jakieś pieśniane słowa, w których znajdowała czar nieskończony. „To bzy, kiedy umierają, tak sennie pachną” — — — szeptała, jak wyznanie, „to róże” — —

Kołysała się w długiej sieci — i przeżywała myślą jakieś niewiarogodne zdarzenie z dziejów tamtej rozkoszy. Było na samej granicy świata, blizkie niezrozumiałej, niedostępnej syntezy ciała i ducha. Pamiętała: delikatne, lekkie pocałunki na włosach, na czole, na powiekach zamkniętych, pocałunki pełne dobroci niewypowiedzianej, tkliwości nadkobiecej. A zawsze był przecież taki zły i zuchwały. Po raz pierwszy w stosunku do niego miała wówczas owo cudne wrażenie bezpieczeństwa, uczucie ufności nieogarnionej do człowieka najbliższego na całej ziemi. I z wdzięczności, z czułości bezgranicznej, poprzez łzy i uśmiechy nie broniła mu już potem pieszczot zuchwałych, opłaconych temi pocałunkami duszy.

„A wtedy właśnie — już”, zorjentowała się nagle Hania. I uderzył ją ten sam pierwszy piorun zdumienia i żalu śmiertelnego, nie mającego granic i miary. „Ach, nie myśl, nie myśl już o tym, Haniu”, rozkazała prędko. „Przecież i ty także, ty sama — wówczas właśnie” — usiłowała myśl narzucić męce. Ale usta jej stały się blade i dygocące, a między stulonemi rzęsami leżały łzy.

Powoli, powoli ucichał ten ból pierwszy. Nadzieja rozlewała się ponad nim, jak woda błękitna nad zawałoną kopalnią. Wyczulone zmysły Hani oddzieliły od ciszy śpiew przeczysty, sopranowy do ostatnich kresów wiolinu, precudny, niedosłyszalny śpiew, zwany brzęczeniem komara. Melodja o subtelności nieodróżnianej, o zwiewności słonecznego pyłu.

Nagle wydało jej się, że na tych pajęczynach zaciężył wyraźny, aksamitny szelest gniecionej trawy. Powoli otworzyła oczy — i zobaczyła, że przy hamaku stoi Johannesen.

Zaczerwieniła się, nie wiedząc czemu, z grzbiotu przekręciła się na bok i oparła na łokciu. Skuliła nogi.

— Kiedyż pan przyjechał? — zapytała, podając rękę.

— Wcześniej dziś — jako w dzień przedświataczny. —

Wygląda pani w tym, jak syrena, wyciągnięta z wody siecią Pana boecklinowskiego — —

Stał blisko — wysoki, zgrabny, dziwnie ładny, podobny do rycerza. Hania spojrzała nieumyślnie na jego

usta — i drgnęła od niespodziewanego dreszczu. Zapra gnęła nagle oczy nanowo zamknąć, ręce wyciągnąć i te usta śliczne uczuć na ustach.

Wzdrygnęła się z lęku wobec konkretności tego pragnienia. Podobnych rzeczy nie było u niej nigdy w stosunku do Johannesena. Doznała tego samego wrażenia rozkoszy, połączonej z trwogą, znanego już wrażenia *grzechu*. Tym razem dlatego najbardziej, że Johannesen kochał panią Elizę.

Wbrew temu śmiała się do jego uśmiechu bezsilnemi ustami. Widziała, że już rozumiał. Jego rysy delikatne przysłonił słaby rumieniec. Starał się mówić coś, mówił nawet jakieś ładne rzeczy. Hania nie słyszała.

— ...wszystko, co jest afirmacją życia, radosnym przyświadczeniem jego czarom...

Widziała tylko ruchy warg, mówiących niepojęte wyrazy, widziała niepokój oczów. Wyginała szyję ku niemu, jak ptak, który chce wody.

— Gorący, gorący dzień — powiedziała przelotnie.

Nagle odzyskała swe samowładztwo. Szybko opuszcła nogi z hamaka, siadła, chwytając rękami sznury naprężone, by wstać. Jedną rękę wziął wtedy Johannesen, pocałował w dłoń, przytulił do oczów i zaraz puścił, zanim zdążyła podnieść powieki.

— Co to się zrobiło? jestem bardzo ciekawa — —

— Ogromnie ładne zdarzenie — rzekł łagodnie.

Hania medytowała żartobliwie, ale czuła, jak z przeobrażenia bije serce. Kręciła głową.

— Zdaje się, że „usta piękne mają prawo całować” — rzekła, nie patrząc na niego. — To jest formuła mego przebaczenia... I zresztą stało się tak, że jestem dzisiaj szczęśliwa — więc nie chcę chmur i gniewu. Zato spełnić pan musi rozkaz jeden — —

— Każdy rozkaz pani...

— Zupełnie zapomnieć.

— A — —

— Więc nie?

— Tego jednego nie mogę. Musiałoby się stać coś jeszcze ładniejszego, abym zapomnieć mógł tamto — —

Hania zmarszczyła brwi, w milczeniu szła ku domowi. „Dziwne bardzo”, myślała, „dotąd zawsze mężczyźni, którzy mnie kochali, całowali inne kobiety... A może to — „idzie się w górę po szczeblach grzechu”, jak śliczny Johannesen mówi...”

— Musi pan być teraz bardzo dobry i miły, abym pana nie znienawidziła — — mówiła idąc —

— Będę miły — przyrzekł.

Hanię opadł smutek nagły. Znów ta myśl, że się coś popsuło... Czyż rzeczywiście?... czyżby naprawdę podobał jej się teraz Johannesen?... Czemuz *taki* nie jest Danistowski, który dotąd pamięta?...

Dziwaczne, dziwaczne drogi marzenia, krawędzie przerażające miłości — —



Gdy słońce było już nisko nad widnokręgiem, Hania poszła sama na spacer w pole.

Nie było tu nic nadzwyczajnego, więc w tę stronę nigdy się nie chodziło. Z głębokiej, bezdennej łąki wyrastały dalej równe, ruchome pola, zachodzące w trawę długimi półwyspami, niby brzegi morskie w wodę. Na miękkich równinach sterczały po pas zatopione w falach zbóż dzikie grusze, jak oddzielne góry zielone. Z drugiej strony pole kończyło się odległym szeregiem dachów szarawych, zatopionych w klombach i wałach zieloności; tam leżała wieś.

Hania szła powoli waziutką miedzą i szyję miała na poziomie górnej powierzchni zbóż. Zielone, złotniejące zaledwie baty żytnie były ją łagodnie po piersiach i ramionach, a później zamykały się za nią półokrągłemi, zwisającymi powiewnie arkadami. Pośród wielkich kłosów chwiały się brunatne, aksamitne mgły traw kwitnących. W gąszczu poplątanym, w cieniu bliżej ziemi, stały na zielonych kandelabrach granatowe płomyki bławatków. Bładoróżowe lejki powoju tuliły się w zieleni przyziemnej, jedwabnymi klamrami spinając stopy słom i źdźbeł w uścisk wspólny.

Hania patrzyła w zielone dno pola, tajemne, nieznane i bogate, jak dno morza. Były tam niezliczone malutkie rośliny o bezsilnych listkach bladoseledynowych, o niedostrzegalnych białawych kwiateczkach, snuły się miękie taśmy traw szarawych, sterczały zielone kły skrzypów. Na ziemi rozpostarte były najdelikatniejsze, przezroczyste tkaniny roślinne, zwoje gipiury malachitowego koloru, rozwieszone na wiotkich łodygach i badylach. Cały taki

świat dziwaczny, samoistny, zamknięty, oglądała w przekroju, w przypadkowym odsłonięciu między, świat zakryty szczerlnie powierzchnią chodzącej za wiatrem zbożowej fali.

Słońce duże, czerwone, w które już można patrzyć otwartymi oczami, wyszło z pod długiej fioletowej chmury o brzegach złoto-różowych — i rzuciło po polu promienie bez blasku, prawie już równoległe do poziomemu zboża. Idąc, Hania widziała kładące się na słonecznym kręgu najwyższe kłosa, zupełnie czarne na takim tle królewskim.

Szła tym dziwnym, dawno nie oglądanym państwem, jakby ojczyzną swoją. Doznawała szczególnego wzruszenia, ściśnięcia gardła łzami, tęsknoty nieokreślonej, rozlewnej, nad miarę rozkosznej i rozzwierającej serce. Marzyła przelotnie jakieś ziszczenia napół uchwytnie — i odrzucała z rozpaczą: nie to — nie to — nie to — —

Przypomniła sobie, że raz już było zupełnie tak samo — dawno bardzo, w głębinach dzieciństwa. Słońce odchodzące na tamtą stronę ziemi i żyto z bławatkami. I było to samo ściśnięcie gardła smutkiem niewysłowienie pięknym, tęsknotą, wieszczącą szczęście straszliwe, tęsknotą za światem nieznanym — —

I oto — po latach — — —

Poznała wszystko — i wie, że *tam* niema już więcej. Bywała szczęśliwa dziko i strasznie, patrzyła, jak szczęśliwi byli inni. Znała odmiany szczęścia tak różnorodne, jak odmiany kwiatów. I oto teraz — po latach — wracała. Znowu zobaczyła słońce odchodzące i żyto z bławatkami — —

A przecież tęskni nanowo. I wie teraz, że szczęścia najwyższe życia nie usprawiedliwią tej tęsknoty, wie, że gdyby w otchłań jej wrzucić rozkosz wszystkich pocątków świata, to pływałyby po niej, jak bukiet róż czerwonych po oceanie —

I pojmowała fizjologicznie, łzami, dziwną rzecz, dawno już wiadomą myśl. Że rozkoszą największą ludzkiego świata jest owa tęsknota sama w sobie, nie mająca usprawiedliwienia po tej stronie życia. Że tym dreszczem najświętszym nie jest zapowiedź cudu, tylko objawienie jego nieistnienia. Że negatywnie tylko skonstatować cud możemy, z poczucia braku powziąć myśl czarodziejską o jego bycie, przez ogrom pustki w nas istniejącej jasnowidzenie mieć równoważającą ją pełni.

Ach — jakie smutne — — —

Czuła w tej chwili cielesnie, że proces percypowania wrażeń polega na wiecznym wymierzaniu otchłani między zjawiskiem a naszym o nim wyobrażeniem hipotetycznym, że jedyną formą poznania jest rozczarowanie. Wszystkie bowiem rzeczy świata są jednakowe; złe i brzydkie są te, których obraz dobry i piękny przed ujrzeniem mieliśmy w sobie. Rzeczywistością właściwą jest dopiero ten stosunek tragiczny, reszta z odjęcia rozczarowania od marzenia.

Ach — jakie smutne — — —

Miedza zielona, którą szła, uchodziła do głębokiego, przecinającego pola, rowu, jak strumień zielony do zielonej rzeki. Po drugiej stronie rowu zaczynała się pszenica, w której ciemniały wielkie maki z purpurowego, przezroczystego jedwabiu. Na brzegu pszenicy rosła grusza pełna o pniu grubym, zatopionym w zbożach i trawach, i chmurę ciemności rzucała na malachitową głębinę rowu, ściśniętego dwoma murami zbóż, wypełnionego trawą, sięgającą zwieszonych gałęzi drzewa. W kącie tym tworzyła się głusza nieopisana, przepastne zagubienie, dyszące chłodem i świeżością. Z toni trawnej wystrzelały świetne kwiaty na długich, sztywnych łodygach, rozety białe wielkich złocieni, dzikie cykorje z niebieskimi gwiazdami, wywrócone puchary kampanuli, złote mgły, podobne do kwiatu mimozy, oplątane włosami bogatej, dzikiej, wilgotnej już trawy.

Hania uklękła na ziemi, schyliła czoło ku trawie, położyła się powoli. Gładziła rękami rosę matową, niewidzialną, chłód jej brała na rozpalone oczy.

Rozwiała się, zagubiła zupełnie w naturze. Leżała cicho, zamknięta w trumnie z zieloności, otoczona wysokimi kwiatami. Granice świata sięgały brzegu żyta i pszenicy, zenit zawieszony był w gałęziach gruszy, nadir, jak kwiat, leżał pośród trawy. Och — i nic, nic już nie było więcej — — —

— Zasnąłś, duszo?

— Nie — nie —

— Duszo — — —

— Rozpięłam nad nami namiot z mgły opalowej...

Nad jednym światem dalekim zachodzi teraz słońce...

— Kocham cię — — Teraz już mogłabym umrzeć...

— Nie trzeba jeszcze. Drogami kwiatowymi doszłam do prawdy bezmiernie jasnej i pogodnej, do wiary, dającej ukojenie —

— Powiedz — —

— Niema przepaści pomiędzy tym, co jest szczęście, i tym, co jest cierpienie... W przestrzeń rzucony jest most, uczyniony z myśli, najdalej idących w wieczność —



Małgorzata chodziła wieczorami (gdy nie było widać jej podartego ubrania) najpiękniejszą, wielkimi drzewami ubraną ulicą miasta na spacer. Było jeszcze za wcześnie po tamtym, aby znieść mogła widok nieustanny tych samych ścian, tego samego ogrodu. Uciekała stamtąd ze swoim milczeniem.

Na ostatniej ławce spotykała zwykle Wrońskiego. Cekał na nią nieruchomy pośród przeciągającego tłumu — drobny, opuszczony, wstrętny, przerażony tajemną radością swoją z tego, że nanowo stał się jej potrzebny. Cekał kamiennie, napewno wiedząc, że przyjdzie, że musi przyjść. I przychodziła.

Wylaniała się z pośród tłumu w swej wieczystej sukni czarnej — z senną ociężałością w ruchach, wywołaną przez upalne, duszące powietrze nocy letniej.

Siadała obok, zaplatając na kolanach ręce, białe w ciemności, wyciągając na długiej szyi zmęczoną głowę — w pozie tak naturalnej, jakby znajdowała się sama w zamkniętym pokoju. Nieświadoma była otaczającego ją świata, niepamiętna na życie, wiodące się dokoła bezzmiennie.

Znajdowali się tu dziwni ludzie, żaloszny gatunek pod poziomem świetności życia egzystujących istot, ludzie, którzy pozostają przez ciąg pięknego, pogodnego lata w paszczy wielkiego miasta. Ci sami, co w dni świąteczne wyjeżdżają gromadami do półdziewiczych lasów podmiejskich, gdzie na mchu leżą papierki od karmelków i karłowate sosny drzewieją w pożarze słonecznym pośród bezmiaru białych piasków. Ci, co po dniu pracy jadą z dzielnic odległych tramwajami na ową najpiękniejszą ulicę miasta, do wrót miejskich ogrodów — by tu przeżywać sen swój o naturze, poezji i miłości.

Niezliczeni kochankowie przesuwali się trotuarem, jak w teatrze smutku, siedzieli wokoło na ławkach, szepotali. Z cieniów tryskał czasami śmieszek kobiecy, dochodziły urywki niepojętych djałówów. Gdzieś przy ziemi

ulicznik wygrywał na ustnych organkach obmierzłą melodyjkę, drugi sprzedawał natarczywie zwiędnięte róże, które kochankowie kupowali dla swoich kochanek, targując się o cenę.

Świat szczęśliwy, świat wesoły, świat władny — był stąd daleko, w zielonych dolinach pośród gór, nad chłodnymi morzami, u źródeł, z których woda perlata darzy długą młodością, w jasnych salach przewiewnych, gdzie przy śpiewie muzyki roznoszą chłodzące napoje w dzbanach ze szkła kryształowego.



Siedzieli na wzgórzu w Parku Nowym i patrzyli zgóry na wierzchy puszyste młodych drzew. Ciężki, czarny namiot nieba odgradzał świat od nieskończoności. Poza drzewami, w niewyraźnej, jakby dymem ciemnym owianej perspektywie, leżała szklista powierzchnia wody, podobna do jeziora zaczarowanego. Dalej, za wodą, biała odległa budowla perłowego koloru z oknami ciemnymi, jak w opuszczonym baśniowym zamczysku. W przestrzeni szumiały przemykające zdala pojazdy, gwar życia kołysał się nad wielkim miastem, jak chmura.

Było późno i w parku pozostały tylko pary miłosne. Obejmowali się tu bez przeszkody, bładzili pod ciemnymi gałęziami, mówili ciche słowa, wysławiające szczęście życia, w ciemnościach zamieniali długie, soczyste pocałunki.

Gdy wchodzili w pas światła, widać było ich zdegirowane nędzą pokoleń figury, ramiona wysokie, sztywne grzbiety, trupio blade, bez słońca żyjące, senilistyczne twarze, płaskie piersi, ruchy starcze. Zdawało się, jakby dnia tego wypuszczono wszystkie okazy zwyrodnienia z jakiejś olbrzymiej kliniki. Jedynym mostem, przerzuconym stąd na brzeg niedostępny radosnego świata wybrańców była dla tych nędznych miłość.

Ale prędko zatapiali się w ciemność — i wydawało się znowu, że to rycerze najprzedniejsi i kwiat trubadurów z damami serc przechadza się po uroczych zagajach zamkowych ogrodów.

— Podobne to jest do państwa Alcyny — mówił Wroński półgłosem. — Na wyspie dalekiej, gdzie zaniósł Rogiera koń skrzydlaty, mieszkała w krainie, obwiedzio-

nej wysokim murem ze złota. — Chcesz — powiem ci, pamiętam z Ariosta.

Kiwnęła głową. Wroński mówił:

*Tu lekka stopa wiecznie w kwiatach brodzi,
Tu strug szemrzących nigdy lód nie zetnie.
Tu młódź przy grzecznych pannach, jaknajśłodziej
Lub w lutnie brzęczy, lub dmie w dźwięczne fletnie,
Tu się po gajach snują wiecznie młodzi,
Lub w chłód się pieczar chroniąc w skwary letnie,
Kochanków roje — każdy swój ze swoją —
Kłócą się, godzą i rozkosznie broją.*

Małgorzata słuchała bez uśmiechu. Patrzyli razem w dal mgławą nocy, gdzie poza wodą wznosił się ów dom jasny z oknami, martwo połyskującymi od światła zewnętrzných.

— W tym ogrodzie ukazały mu się dwie dziewice...

*Na jednorozcu każda z nich siedziała,
Bielszym od śnieżnej gronostajów bieli...*

Wroński zamyślił się... — Ty wiesz, jak wygląda jednorozec?... To jest u Flauberta. Ukazał się świętemu Antoniemu i mówił: mam kopyta z kości słoniowej, zęby ze stali, głowę koloru purpurowego, sierść śnieżno białą, a róg na czole różnobarwny, jak tęcza... Tak sam o sobie mówił —

— Musiał być ładny — powiedziała Małgorzata.

Wroński ciągnął opowieść.

— Te dziewice zawiodły Rogiera do pałacu rozkośszy i tam u boku przewrotnej czarodziejki, Alcyny, zapomniał o dobrej Bradamancie.

— Jak ty pamiętasz — — Czytałam sama kiedyś.. I co się później stało?

— Wybawiła go dobra wróżka, Melissa. Dała mu pierścień, który sprawił, że Alcyna zupełnie dla niego zbrzydła. Powiedział później, „że oczy ludzkie nie widziały baby tak sprośnej, ani tak zgrzybiałej“ — i wrócił do zdradzonej Bradamanty. A Bradamanta była prababką rodu Esteńskiego.

Małgorzata słuchała, milcząc. Mrużyła oczy. Tak powinno się było stać — tam, za wodą ujrzeć te śliczne zwierzęta fantazji o kopytach z kości słoniowej, z tęczowym rogiem nad oczami.

— Tam chodźmy. — Wskazała ręką na drugą stronę stawu.

Wstali i zeszli wdół, wymijając wciąż maskary miłosnego festynu. Na pustej drodze, pomiędzy zwartymi krzewami, Wroński rzekł jakby po namyśle pewnym:

— Odkąd stało się to — jesteś wolna —

— Odkąd umarł Janek — nazwała Małgorzata słowami ową rzecz.

Zdziwił się, że mówiła tak spokojnie i cicho.

— Teraz nie kochasz już nic — — Wszystkie mosty, ku rzeczywistości przerzucone, — zawałyły się — — Ostatnie mosty — —

Nie odpowiadała w zamyśleniu. Przechodzili teraz nad popielatym, widzialnie parującym stawem, który stamtąd, z góry — wyglądał był, jak zaczarowane jezioro. Wszędzie tu włóczyły się te obmierzłe, rozkochane figury, do których była taka podobna ona i Wroński.

Obejrzała się na wzgórze, gdzie przedtym byli siedzieli: na ławce tamtejszej było w miejscu tym samym tak samo dwoje ludzi. Małgorzata doznała na chwilę wrażenia niemiłego, że nie dość dokładnie wyczuwa nie-tożsamość siebie i tamtej; zbudziło się w niej przelotne podejrzenie, że może jest tam zarazem — i tutaj. W ciemności i mgłach zacierała się minimalna wobec wszechświata różnica między „ja“ i „nie ja“ — — Inne jakieś rzeczy stawały się najważniejsze, rzeczy będące nazewnątrż, przedmioty. Małgorzata gubiła się teraz dla własnej świadomości, ginęła niedostrzegalnie w obszarze rzeczy ważniejszych, bardziej istotnych. Aby powrócić do siebie, odnaleźć się myślą, obierała drogi dalekie, obiektywne. Poszukiwała tak: „na jednej z planet jednego ze słonecznych systematów, pośród lądów wschodniej półkuli, w plemieniu ludzi, w jednym z większych miast pewnego podbitego kraju“... i tak dalej, aż do swego nazwiska, sytuacji. Jakże strasznie mało ważne było jej istnienie, tą odległą drogą sformułowane i ustalone — —

Małgorzata była zmęczona. Przymrużyła oczy.

Znaleźli ławkę wolną w jakimś gąszczu, z którego widać było tylko niebo. Usiedli znowu.

— Teraz nie kochasz już nic — mówił Wroński. — I słuchaj — zato, że odległość i mrok są piękna dla nas warunkami nieodzownymi, za to, że w pałacu Alcyny mieszka bankier, który wyjechał na Rivierę — i dlatego okna są ciemne, za to, że ludzie ci tacy są straszni, gdy tylko wyjdą z ciemności, za ohydę wszystkiego, co jest prawdą — — czyż nie dosyć — — —?

Łokcie oparła na kolanach, twarzą przechyloną, w rękach trzymaną zwróciła się ku niemu. Słuchała z napięciem, nie pojmując jakby, wpijała się weń dwoma cieniami żalobnych oczów — z głębin mroku, zamknięta w sobie i tajemna.

Wyszeptał po chwili:

— Kobieta o oczach lamy — —

Nie poruszyła się. Przypominała sobie burzę ową i tego nieznanego człowieka, który jej pokazał mieszkanie Wrońskiego... Takie zdarzenie, taka burza — były tylko raz jeden w jej życiu. Uśmiechnęła się niewidzialnie, a potem odetchnęła głęboko i ciężko.

Wroński zrozumiał zaraz.

— Wiesz — i tego Danistowskiego niema już — —

— Tak? — zapytała.

— Podobno spotkał go jakiś srogi zawód miłosny, — chętnie komunikował. — Wyniósł się do „wielkiej na północ stolicy“ — — — od miejsca klęski jaknajdalej — —

Wroński skrywał zły, radosny śmiech. Mówiąc z Małgorzatą nachylał się pełen mistycznie trwożnej uwagi nad ciemnościami podziemnymi swojej duszy.

Kochał teraz tę kobietę dziwnie i straszliwie, więcej nierównie, niż wtedy, kiedy była szczęśliwa i przychodziła z błyskawicami. „Byłoby to współczucie?“ — żartobliwie zapytywał siebie, gdy chmura nieznanego rozkoszy mąciła mu wzrok na myśl samą o głębokości cierpienia, w jakim tarzała się po śmierci Janka Małgorzata. Z radością potajemną, pełną dygocącego, cudownego wstydu, rozważał w wyobraźni ten miecz z ognia, który przeszedł był przez serce jej chłodne i chmurnie zadumane o swojej mocy. Widział niekiedy, jak twarz jej, przedtym zimna niezmiennie, — w zamyśleniu okrywała się nagle rumieńcami męki, aż łyzy, niby dwie szyby, zasłaniały jej śliczne, zagaszone oczy lamy... Jakaż cudna była w tym złamaniu swoim i męce, jaka miękka i kobieca, jaka złagodniała i bezsilna — — — zawieszona uwagą u dźwięków jego mowy —

— Zato — mówił Wroński dalej, jakgdyby tamto było w nawiasie — zato, że drogą jedyną, jaką duma nasza otworzyć może — jest pogardzanie życiem i szczęściem. Zato, że jedyną bramą dostojności stało się dla nas wyrzeczenie — — i za to, za to najstraszniejsze, że jest gdzieś inna, tryumfalna, ubrana kwiatkami — — — Odkąd stało się to. —

Małgorzata nie nazwała już.

— Odkąd stało się *to*, masz w sobie dosyć nienawiści—

— Tak, bólu — potwierdziła.

W ciemność padł, jak deszcz, trywialny turkot grzechotki. Zamykano park. Podnieśli się, aby wyjść.

Sunęła tłumnie, wyłoniła z otchłani, czereda kochanków. Tryumfalny pochód miłości—za bramę.—Pośród ulicy rozpraszali się znowu, zajmowali porozstawiane ławki, albo defilowali przed zamkniętą bramą. I był jakby sens głęboki w owej bramie zamkniętej i w wypędzonej, z ogrodu wygnanej miłości...

Wroński i Małgorzata szli pustoszącą ulicą, wzdłuż kraty żelaznej, za którą majaczyła drzewna głębina.

Mówił zbliża:

— Posłuchaj — — teraz nie masz już przecież nikogo, oprócz mnie, nie masz nikogo — Ja jeden tylko — Co robiłabyś teraz, gdyby nie ja...

— Czy ja wiem... — — wyznała bezbronnie.

— Pora, abyśmy sojusz zawarli, sojusz przeciwko wszystkiemu w imię marzenia.

Mijali ciemny gmach kościoła, budowany w pięknym stylu świątyni pogańskiej. Wielkie wrota, rzeźbione bogato, ujęte w ciężkie okucie—były również zawarte.

— Mówi się w chwilach takich: „będziemy razem kochali ludzkość“. Słuchaj, a my uczynimy zobowiązanie nienawiści —

Małgorzata nie rozumiała znowu.

— Rzeczywistość jest nie tylko nieprawdą życia, lecz nieprawdą wobec innych rzeczywistości—ciągnął Wroński.— Mam już jedno tylko ostatnie pragnienie: abys wierzyła ze mną w tę samą nieprawdę. Jest to jedyne braterstwo dostojne, możliwe tu — — — chcę, żeby pomiędzy nami było...

— To znaczy co?

— Chcę, żebyś znenawidziła wszystko, co nie jest z marzenia — bo wszystko takie i moja jest nieprawdą... Chcę, żebyś znenawidziła szezęście — —

Odrzekła:

— Dobrze.

— I zgodzisz się być marzenia mojego—pastwą?...

— Tak — —

— A dziejów naszych ponura legenda stanie się dla nas już na zawsze—świątynią marzenia.



Nadszedł dzień ostatni pobytu Hani w Neanderthalu. Pan Ułuski nie mógł pozostać tu dłużej, niż cztery dni, i zabierał Hanię ze sobą. Na drugą połowę lata mieli wyjechać nad morze południowe. Woroński zaś przybył do państwa Awratyńskich na czas dłuższy.

Owe cztery dni były zupełnie inne, niż oczekiwała Hania. Z przerażeniem patrzyła na czas przemijający. Wycieczki, obiady, wizyty po sąsiedztwach, uroczystości powitalne i pożegnalne wypełniły owe jedyne dni po brzegi. Z Worońskim kilkakrotnie rozmawiała — zupełnie towarzysko i obojętnie, jak to zwykle dawniej czynili pomiędzy ludźmi. Ale nastrój ten, cały ton stosunku — opanował teraz i chwile przelotne, kiedy znajdowali się sami. Nie było ani zakłopotania, ani niepokoju. Zupełnie tak, jakgdyby naprawdę nigdy nie było. Hania pojąć nie mogła, jakim sposobem taka rzecz jest możliwa. — Woroński był zresztą w chwilach owych spokojny, ale, jak dawniej, małomówny. Cały więc ciężar dialogu, cała odpowiedzialność za koloryt słów — spadały na Hanię. Wkrótce zaczęła bać się tego i unikać. Teraz najczęściej znajdowała się w towarzystwie Johannesena, który uspakajał ją dziwnie swym głosem miękim i pogodnym światopoglądem, ale nanowo przestał dla niej istnieć, jako mężczyzna. Tylko zdala, niewidocznie spoglądała na Worońskiego — z jakąś bezdenną męką. Był zazwyczaj otoczony różnemi damami, które rozmawiały z nim o muzyce. Przeważnie słuchał tylko — z tym samym zasmuconym wyrazem oczów. Czasami sam coś mówił, uśmiechając się — i wówczas stawał się prawie ładny, pomimo grubych, kościstych rysów. Zupełnie tak samo, jak dawniej. Często obracał w palcach kwiat jakiś, zerwany przez którą z kobiet — jak tamtą małą, pierwszą chryzantemę. — Hania ani razu przez ten czas nie natknęła się na jego spojrzenie.

Zdarzyło się tylko jedno. Przedostatniego dnia stała w salonie przy oknie otwartym, trzymając się ram rozczapierzonemi rękami. Rozmawiała z Marjetą, która po drugiej stronie zrywała kwiaty. Prosiła o jedną różę. Marjeta obiecała znaleźć ładniejszą. Wtedy przyszedł mąż z Worońskim. Szli ku oknu, ale Ułuski zatrzymał się z Marjetą i razem wybierali różę, a Woroński zbliżył się do okna sam. I niespodzianie powiedział: „ma pani zawsze jeszcze ten sam dziwny ruch...“ Ona, zaskoczona, spytała bez sensu: „co?“ „Ręce rozpostarte zupełnie jak

skrzydła". Tyle myśli wszczęło się naraz w jej głowie, że nie odpowiedziała nic; dziwiła się tylko, że serce może bić w gardle. I zaraz przyszła Marjeta z różą i z męzem. — To było wszystko.

Woroński był dla Hani tajemnicą zupełną, niedocieczoną. — Czy możliwe jest na świecie takie zdarzenie? Jak to mogło się stać, że wszystko tamto odpadło tak od niego bez śladu? Że zupełnie nie czuje potrzeby jakiegoś wyjaśnienia, sformułowania tego, co się pomiędzy nimi stało, wyraźnego powiedzenia słów — chociażby rozstania.

Wówczas na wiosnę, przed wyjazdem do Neanderthalu, Hania dwukrotnie nie przyjęła Worońskiego. Więcej nie stało się nic — żadnego słowa, sceny, żadnego listu. Wiedział więc wszystko, żadnego nie żądał wyjaśnienia. Czy może obraził się poprostu. Czy może za niewłaściwe uważał jej powitanie tutaj — — Podał mu rękę, nic nie mówiąc. Rozmawiała tylko z mężem. Przecież jedyne, co udać była w stanie — to był chłód. Czyż nie rozumiał tego, jak straszliwie bała się tej chwili —

Z mężem stosunki były teraz bardzo miłe. Miał dobry humor i był z Hani zupełnie zadowolony. Zwłaszcza chwalił ją za to, że z panią Elizą haftuje poduszkę do kościoła. Podobało mu się to ogromnie ze względów czysto estetycznych. Bo zresztą był człowiekiem wolnomyślnym i w gabinecie swoim miał na ścianie portret Voltaire'a z olbrzymim nosem.



Był wieczór pożegnalny dla państwa Uluskich. W rozległej starodawnej sali jadalnej stał po przekątnej długi stół, zastawiony i zasypany kwiatami. Z wysokich wazonów kryształowych biły fontanny kwiatów. Dziwaczne, wielkie gwoździki brunatno-fioletowe i złotawocieliste, gladiolusy, podobne do mieczy zakrwawionych, zielone pióra paproci, zawierające w sobie całe piękno marzenia o kwiecie nieziszczonym, maki jasnopurpurowe, kampanule, obwieszane stalowymi hełmami, róże białe i czarno-ponsowe, róże złotawe, koloru wnętrza pomarańczy, róże, jasno-bronzowe, seledynowe nici jakiejś trawy, podobne do włosów rusalek. Na obrusie rozstawione były

długie, powyginane szklane korytka, wypełnione wodą, w której na krótkich łożyskach stały poutykane bratki wspaniałych odmian, wielkie i zabarwione cudnie, jak skrawki bogatych, fioletowych adamaszków, brunatnordzawych aksamitów. Wokół całego stołu przewijał się pośród naczyń zastawy, kapryśnie powyginany wąż bratkowy. Wszędzie kwiaty pachnące, roześmiane, mrużące oczy przed powodzią nieznajomego, rzęskiego światła starych kandelabrow.

Hania z główką opuszczoną siedziała, oszołomiona blaskiem i wesołością, zatracona w wielkim gwarze uczy. Z poczuciem nicości własnej spoglądała po wieńcu wspaniałych, roślących dam wiejskich, postrojonych wielobarwnie i bogato, patrzących tępo i śmiejących się tylko ustami. Wyglądała pomiędzy nimi w wyciętej sukni makowego koloru, jak minjaturowy portret z początku zeszłego wieku. Na długiej, zwężającej się ku górze szyi główka maleńka, ogrągła, z muszlami warkoczy na uszach, głęboko zasmucona. Oczy niewinne, szmaragdowe, brwi wysoko narysowane na czole niskim. — Przygniatała Hanię niepomierna ilość mężczyzn wielkich i tęgich, jak słonie, o straszliwie donośnych gardzielach, o barach rozłożystych, o mańjerach oswojonych gruboskórnych. Cała ta rasa robiła wrażenie, jakby żywiła się jeszcze surowym mięsem. W każdym razie byli to napewno ludzie z okresu łowieckiego. Pomimo pewnej naturalnej odrazy, Hania zazdrościła im niemal tego, że mogą być takimi, jakimi są.

Cała przejęta była bezustanną świadomością, że wieczór ten jest ostatni i bezpowrotny. Że jeżeli nie dzisiaj, to już nigdy.

Woroński siedział dość daleko z tej samej strony, zupełnie niewidzialny. Obecność jego konstatowała wszystkimi władzami. Nie patrząc, widziała kobietę, z którą rozmawiał, białoróżową pannę z największym posagiem w okolicy, spokojną i obojętną, jak klacz, wprost przygniatającą tą jakąś chłodną, apatyczną pewnością siebie. Pamiętała, że rozmawiać z nią zaczął na kwadrans za ledwie przed kolacją, a potem stało się tak, że ją właśnie prowadził do stołu. Uświadamiała sobie, co znaczy przy nastroju uczyt kobiety najbliższej siedząca, — i przejął ją lęk charakterystyczny, przeszywający dreszcz zazdrości, zadzierający wszystkie przeżyte męczarnie. Śmieszne

było. Czegóż bowiem jeszcze obawiać się mogła po tamtym, co już przeżyła?...

Mozolnie wymieniała leniwe słowa z siedzącym obok Johannesenem. Opowiadał jej o Beatryczy, która, jak się wyraził, dnia owego właśnie zginęła śmiercią cyniczną. Stąd smutek pani Elizy, którego nawet wobec gości nie jest w stanie opanować.

— Dla czego „cyniczną”? — spytała Hania.

Szło o to, że Beatrycę rozszarpał nie w porę z łańcucha spuszczonego pies podwórzowy. A właśnie od greckiej nazwy psa pochodzi wyraz cynizm (*psizm*, jakby powiedział pan Awratyński ze względu na czystość języka).

— Niewątpliwie lepiej byłoby dla Beatryczy, gdyby poprostu została zarżnięta — mówił. — Bo byłaby to przynajmniej śmierć humanitarna...

Hania była mu wdzięczna za to, że żartował, aby ją rozweselić, ale żal jej było dobrej, białej kury. Słuchając namów Johannesena, wypijała z wysokiego kieliszka mnóstwo chłodnego wina. Śmiała się z cicha i spoglądała na niego. Taki inny był, niż wszyscy tutaj, o tyle przecież ładniejszy od Worośnickiego. Wyglądał, jak pan średniowieczny, pełen był światowego wdzięku, niezrównanego towarzyskiego kunsztu. A jednak to nie on był właśnie.

Przez małe serduszko Hani przepływała fala dygocąca krwi, pomieszana z jasnołotym winem. W odużeniu uparcie powracał obraz jeden. Widziała dawne — za małemi sztachetami białe chmury drzew kwitnących na tle niskiego granatowego nieba. Na zielonej ziemi pyły turkusowe niezapominajek...

Było coś takiego w życiu — przypominała sobie. Mały sad na przedmieściu. Ostatnia wiosna. Wówczas — ach, w żałosny ów czas, kiedy, gnana szałem pierwszej męki, przebiegała ulicę radosnego miasta, zębami rozgryzała jęki i szlochania...

Ze zdziwieniem spojrzała — obudzona — w wizerunki zwielokrocone światła, w rozchwiane twarze biesiadników, w kwiaty za szkłem — — To łyzy, łyzy takie ogromne w oczach?

Obie łapki podniosła, poprawiając włosy nad uszami — I zaraz ruchem obmyślonym, dziecinny zaczęła wierzchem dłoni przecierać oczy wilgotne, jakby senność przelotną chcąc rozegnać! Rozbrajająco uśmiechnęła się do Johannesena. Nie poznał nikt — — —

Wstali wszyscy, odchodząc bez ukłonów i uścisków dłoni. Przez salon szli na taras.

Johannesena przywołała pani Eliza. Hania znalazła się niedaleko męża. Poczuła do niego sympatię nagłą i nieusprawiedliwioną. Wydał jej się dobry i bliski. W bezgranicznej samotności znalazła swojego człowieka, najbliższego pomimo wszystko, znajomego od tak dawna. W przegrodzie z kamieni, w murze, sięgającym nieba, znalazło się przy ziemi jakieś okno małe, przez które ręce podać sobie mogli.

— Czemu nie jesteś weselsza, Haniu? — zapytał.

— Nie potrafię — — —

Pan Ułuski zniżył głos:

— A powinnaś być bardzo zadowolona. Opowiem ci, to się ucieszysz — — Udała mi się nareszcie ta kombinacja z Awratyńskim, nad którą rozmyślałem przez sześć miesięcy. Zgadza się wejść do spółki — — Słuchaj — w mojej karierze to jest zupełny zwrot. A połowę tego zawdzięczam tobie... Za rok możesz być zupełnie bogatą kobietą...

Hania pokiwała głową, udając, że doskonale rozumie. Uśmiechnęła się, zamykając powieki, jak dziecko.



Po kolacji tłum znużony rozsnuwał się po kątach. Znaczna część towarzystwa obsiadła w dalszych salach stoliki do gry; było tam też kilka kobiet, przeważnie starszych. W cieniach ogrodu majaczyły niezliczone sylwety. Noc duszna, ciężka sennym szałem kładła się na myśli bezsilne. Oczekiwano burzy. Pod niebem gwiazdzistym chwiały się niejednolite, ciemne, aksamitne chmury.

Jasno ubrana pani Eliza błąkała się dobrotliwie między gośćmi, dźwiękiem słów własnych usiłując rozprościć głębokie swoje zamyślenie. Otwierała szeroko przezrocyste oczy, by dojrzeć coś w ciemnościach tej nocy męczącej.

Wymieniała miłe, puste słowa z napotykanymi ludźmi, płątała się samotnie po cieniach i alejach, podświadomie wybierając drogi coraz odleglejsze. Mgłą białawą przewijała się u stóp drzewnych olbrzymów, mają-

czyła nad klombami uśpionych kwiatów, jak ich woń w kształt zakłęta. Kiedyś uklękła na chwilę marzenia nad kępą datury, rozwijającej biały kielich swój tylko wieczorem i z kryształowego kwiatu napila się jadowności tego powietrza.

Johannesen prawdę mówił Hani: pani Eliza przez cały dzień ten była smutna. Dwóch rzeczy odpędzić od siebie nie mogła: tego smutku i jednej melodji, którą nuciła wbrew chęci od rana, chociażby tylko w myśli. Była to część środkowa „Jesieni“ Czajkowskiego. Snuła się ta melodja koło jej oczów i skroni, wyciągała, jak wyginana taśma, ścisłała za szyję. I miała zupełnie taki sam kolor, jak smutek dzisiejszy.

Nie było to jednak tylko z powodu Beatryczy, chociaż taka była dobra i łagodna, prawie zupełnie już oswocona... „Ptak drogi...“ Nietylko dlatego była dziś smutna pani Eliza.

Zasmuciła ją tak dziwnie wesołość dni ostatnich. Zabawy te przypomniały jej czas dawny, kiedy tak samo bawiono się w tym pałacu — a ona była jeszcze młoda i naprawdę ładna. Temi samemi drogami chodziła tutaj, przypominała sobie tylu znajomych ludzi, którzy już nie żyli, dzieje smutnej miłości, związane z temi drzewami. Tak więc jednakże wszystko przeminęło —

Smutek podobny był zupełnie do tej melodji. I zupełnie tak samo nieodstępny. Zanurzał się w ową jasną stronę, wtulał wspomnieniami w jedyny słoneczny czas życia — i jeszcze ciemniejszy powracał, oplatał oczy i skronie, jak taśma jedwabna ścisłał szyję.

Pani Eliza zbliżała się znów ku pałacowi, ominęła jakąś rozśmianą gromadę młodzieży.

Podeszła do tarasu od strony, gdzie z ponad białej balustrady wisiały długie liście znużonych palm. Przez marmur rzeźbiony patrzyła cicho. Patrzyła na Johannesena.

Oto uśmiech ostatni życia, ostatnie pozdrowienie, dochodzące jeszcze z porzuconego wybrzeża. Usłyszała w sobie nagły, oszalały krzyk serca; przycisnęła ręce do piersi, uśmiechnęła się pełnemi ustami.

Myślała teraz o wierszu cudnym, który czytała kiedyś. Były tam opisane bratki i kobieta, do której za późno przyszło szczęście...

I znowu ta melodja —

Obeszła róg tarasu i wstąpiła na schody. Szła jakby szeptem, pieszcząc łagodnie brzegiem miękiej sukni taflę marmurową.

Mała Hania siedziała na plecionej kanapce obok męża, który pił wino. Po drugiej stronie stołu, zastawionego kloszami, pełnemi owoców, stał Johannesen. Obcierał w papierową serwetkę zmoczone chłodnym sokiem owocowym palce i z cichym uśmiechem patrzył na wchodzącą. Przez okna otwarte szły w noc i ciemność tony muzyki. Grał Woroński.

Pani Eliza w milczeniu przysunęła się do Hani i przy niej usiadła. Patrzyła w ciemność, zapadającą, jak ciężka kotara tuż poza brzegiem światła, rozstawionych na tarasie. Z czarnej przepaści połyskiwały tylko jakby z blachy zrobione liście najbliższego drzewa.

Wzięła rękę Hani, popatrzyła jej w oczy, jak siostra.

— Czemuż i pani smutna? — spytała cicho, gdy już Woroński grać przestał i stanął we drzwiach tarasu.

Hania żywo zaprzeczyła i roześmiała się, zamykając oczy.

— Wcale nie jestem smutna —

Pan Ułuski poprawił:

— Nic dziwnego, że ten wieczór ostatni w domu państwa, gdzie żona czuła się otoczona taką życzliwością —

Zamilkli.

— Noc taka ciężka, upalna — chłodnym, łagodnym głosem mówiła Awratyńska.

Johannesen odezwał się:

— Jest pani w niej, jak kryształowe źródło chłodu —

Uśmiechnęła się, nie podnosząc powiek z nad oczów przezroczystych.

— Rzeczywiście — tak zimno mówi pani o upale — rzekła jak przez sen Hania.

Pani Eliza rozważała w myśli jakieś spostrzeżenie, w rzeczach odległych doszukiwała się podobieństwa.

— Kazałabym zaprząć — może kto chciałby przejechać się... — proponowała uprzejmie. — Jako gospodyni wprost zażenowana jestem tym nastrojem znużenia... Pani Haniu — po raz ostatni — kasztanki —

— Ach, dobrze! — zdecydowała się Hania.

Pan Ułuski tłumaczył się z półukłonem:

— Ja muszę wracać do panów. Na chwilę tylko zwolnili mię od gry —

— Pani nie pojechałaby ze mną? — spytała Hania.

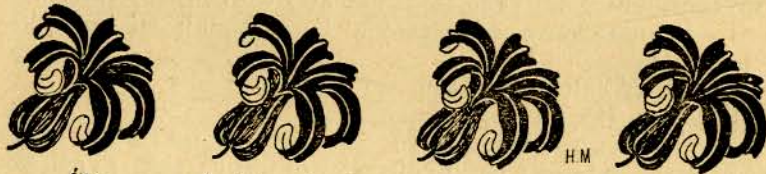
— Ach — ja nie mogę... Chyba gdyby wszyscy — Ale, mój Boże, znajdzie się przecież ktoś... Panie Gustawie, ma pan ochotę przejechać się? Zobacz pan, jak pani Hania powozi — — — Albo może pan Johannesen — dodała dobrotliwie dla formy, gdy już Worośnicki godził się z całą gotowością.

Hania drżała, słysząc wydawane przez panią Elizę polecenia. Naprzód kasztanki, a później jeszcze konie do obu powozów.

— Tylko, Haniu, tak nie puszczę — mówił, odchodząc, pan Uluski. — Nad ranem chłodno się robi — —

— Płaszcz czarny i szal — cyzelowała Hania, zaciśniętą zębami.

Przed zwierciadłem okręcała głowę w czarny jedwab, przetykany złotem. Pani Eliza poprawiła coś przy jej warkoczach. I znów to zajrzenie wgląd oczów z jakimś siostrzanym porozumieniem.



Śliczne, złociste konie wyglądały nocą, jakby zrobione z brązowego pluszu. Wyrwane z drzemania ogładywały się ironicznie, kiwały głowami z niesmakiem. Hania wypadła na schody radośnie, jak dziecko, — nie patrząc na towarzysza.

Z pomocą Worośnickiego wskoczyła na stopień wysokiego tarantasu. Chłopiec, z tyłu siedzący, oddał jej lejce. Usiadła, zagarnęła płaszcz, czyniąc miejsce obok siebie. Nie spojrzała ani razu.

— Już? — Do widzenia! — kiwnęła głową zostającym.

Wolno jechali koło kraty parku. Z ciemnej otchłani słychać było kryształowy głos pani Elizy, zbierającej więcej chętnych do przejażdżki.

— Pani Elizol! — krzyczała Hania.

— Słucham? — płynął ciemnościami głos.

— Do jaru jedziemy! Spotkamy się?

— Dobrze. Nie czekajcie — dogonimy —

— Więc do jaru! do jaru! Obejrzymy wschód słońca!

Wyteżała kocie oczy, wypatrując drogi pośród mroków. Wypuściła konie i tarantas podskakiwać zaczął na

nierównościach drogi spadzistej. W tych miejscach za dnia nawet jeździło się powoli. Hania drżała z lęku, czując obok siebie chłód nerwów, opanowanych wrogą, nieubłaganą wolą. Pragnęła przerazić jego także, wprawic w to drżenie męki.

Ciężka była minuta, duszna, jak powietrze tej nocy. Hania oddech chwytała z trudnością. Nieczym nieusprawiedliwione, najśloneczniejsze nadzieje zapalały się prędko w odmętach myśli i gasły prędko.

Można było rozszarpać to milczenie, słowem jednym — bardzo oczywistym, bardzo rozumnym — oprócz rozmowy o ton żądany, codzienny, towarzyski. Hania wiedziała to, wiedziała, że Worośnicki zgodziłby się na to od razu — prawdopodobnie chętnie nawet. Wiedziała — lecz tym razem nie chciała. Było jakby umówione z losem, jakby narzucone propozycją pani Elizy, że ta noc ostatnia będzie tą właśnie.

Worośnicki nie mówił nic, milczeniem żądał jej słowa. Z milczenia tego Hania wydzieriała głodnie zapowiedź prawie radosną, dziką, huczną nadzieję, ostatnią nadzieję życia. A jeżeli — jeżeli — jeżeli — — ? Ta rozmowa, która wisi nad niemi, jak chmura — — Jada przecież, aby obejrzeć wschód słoneczny...

Ściągnęła lejce, konie skrzyły szybko, wjechali na równą, prostą, obeschłą lekko drogę, elastyczną, jak wyprężona skóra, „ziemienną“. Po obu stronach rozwarły się dwie niewidzialne nieskończoności. Pod niebo samo — gdzieś u niewidzialnych widnokręgów, przeżyły się stępy nieobjęte, przymarłe z zapartym oddechem dławionej ciężarem powietrza ziemi.

Nie miała już co robić z końmi: biegły, równo, prędko niewidzialnie. Męka stawała się niedozniesienia w tym czarnym piekle. Sekundy mijały z ogłuszającym łoskotem. Powiedziała prędko i bezmyślnie:

— Takie ciemności — —

Urwała, brwi zmarszczyła z całej siły i roześmiała się krótko, ze złością.

Po chwili spytał półgłosem:

— Pani na długo wyjeżdża?

— Nie wiem, nie wiem — — Z udręczeniem konstatowała nieubłagane zimno jego głosu.

Puste słowa padły w ciszę i umarły. Konie biegły niezmiennie. Widziała teraz ich wyginające się, lśniące grzbiety, obciążone jakby pluszem brązowym.

Stawało się jakoś dziwnie. Opadła ich nagle zimna szarość. Po prawej stronie niebo i kawał stepu ucyniły się nagle jaśniejsze nieco, niż noc. Duszość powietrza rozdarł szybko wiatr nagły, prawie mroźny.

Hania otrząsnęła się. Skonstatowała: „świt”—i ucyniła jej się teraz żal nocy.

Woroński spytął się po cudzoziemsku:

— Myśli pani, że jestem łotr—prawda?

W głosie był teraz półton żartu, a zarazem coś miększego, wkradającego się w zaufanie. Serduszek Hani skurczyło się. Zdziwienie, przerażenie prawie... Naprędcę wyławiała z pamięci mnóstwo djałów kunsztownych, które tyłokrotnie obmyślała w czasie tragicznym niespanych nocy. Błyskawicznie przerzucała w myśli niezliczone wyrzuty krwawe, szarpiące serce niedobre, prośby płomienne, zakłęcia na miłość dawną, na życie... Zatrzymywała się na rozmowach łagodnych, układanych w dni żalu, rozmowach, z których poprzez słowa wydierały się łapki bezbronne do pojednania, uśmiechy wybaczące—

Odrzucała wszystko — prędko, prędko. Znalazła się w najwcześniejszej fazie owej męki, raz jeszcze przeżyła moment straszliwy, gdy uderzył w nią pierwszy piorun wieści.

Skupiła w sobie moc całą, na tej samej wysokości zaczepiła, której sięgał ból owoczesny... Na zapytanie rozśmiała się zabawnie, nie rozwierając zębów zaciśniętych.

— Pan? — Ach, nie, nie — co znowu. Przeciwnie — mam zawsze o panu wyobrażenie najlepsze, najbardziej życziwe — — Czyż mogłabym żal jakiś mieć? — Raczej wdzięczność za cały ten czas, który uprzyjemniła mi — znajomość z panem — —

Uśmiechała się z główką odchyłoną. Czuła swe serce, bijące w ustach, na wargach drżących.

Droga skręcała w tym miejscu na prawo. Bledniejące niebo stanęło teraz wprost przed niemi. Pod niebem, przy ziemi samej, wyrastała na martwych rozległościach stepu jakby kępka trawy: był to jar z lasem na zboczach.

Stawało się wciąż jaśniej i chłodniej. Świat był, jak bania z szarego kryształu.

— Wydaje się, jakbyśmy teraz jechali do słońca — rzekła znowu.

Było jej straszno. Myślała o jakiejś księżniczce, która, zdradzona przez kochanka, wypila truciznę — i na balu dworskim, na ostatnim balu—tańczy gawota. Aż do chwili, w której padnie bez zmysłów, — tańczyć będzie

z całym kunsztem i gracją. Byle nie poznał do chwili ostatniej, byle się tylko nie domyślił—po szalonych oczach, po stygnącym uśmiechu —

Potrząsnęła lejcami i konie pobiegły jeszcze prędzej. Szły teraz kłusem wyciągniętym, wyrzucały skrępowanemi łbami.

Wiatr ostry wiał od strony wschodu i mroził twarze.

— A jednak — rzekł Woroński — niech się pani przyzna: popsulem pani trochę krwi — —

Wyraźnie usłyszała zły śmiech w głosie. „Poco takie okrucieństwo?” — zapytała siebie naiwnie w samej głębi.

— Myśli pan może, że zaprzeczę gorąco. Nie. Był czas, kiedy mi naprawdę źle było — lekko mówiła, jakby nie dbając, czy słowom jej uwierzy. — I z pewną pychą czynię to wyznanie. Znaczy to, że młoda jeszcze jestem, więc dostępna różnym prześlicznym smutom życia. Rozczarowanie jest cennym darem młodości... Dlatego jeszcze raz mówię: zamknawszy tę skończoną kartę, oficjalnie składam panu podziękowanie za wszystkie moje radości i smutki, których pan był przyczyną. Tak, jak się stało, wszystko jest dobrze — —

Niespodziewanie przerwał:

— Nie mógłbym tego powiedzieć, niestety. Pani zrobiła mi wiele złego — zawsze obiecywałam przecież zemstę. A zemsta obróciła się tylko przeciwko mnie — —

Hania zataiła oddech, wyrazy brała w samo serce otwarte. Wyławiała z nich prawdę tajemną. W pierwszym momencie błysk szalony szczęścia oślepił oczy jej, jak błyskawica. Ale nie uwierzyła.

— I poco pan mówi rzeczy takie — — łaskawie rzekła. — Poco tonem nieszczerości psuć to chłodne rano naszego rozstania — — Dostojnie żegnać trzeba to, co przeminęło, nie ruszać karty zamkniętej... Przecież nie mam żalu, wyjaśnień nie żądam żadnych — —

Teraz umilkł zupełnie.

— Umieram z bólu — nagle najciszej wyszeptała dusza.

Hania porwała się z lekkim okrzykiem. Spojrzała bacznie. W tej chwili zatrzymała konie.

— Jar — rzekła.

Ruchem ręki ogarnęła obraz nieskończony.

W sinych mrokach przedświt u nóg rozwierała się przepastna rozpadlina ciemności, usłana widzianymi zgóry

wierzchołkami olbrzymich drzew. W otchłani lodowatym połyskiem migiała poprzez czarną zielen drzew rzeka. Drugi brzeg jaru leżał w dole i ginał pośród szarzyzny mroków. Na tarasach jego zbocza ciągnęły się trzema szeregami wielkie stawy, patrzące ślepo w ciemne niebo, jak oczy umarłe. Smugi lasów przewijały się między wodami i odchodziły w mgłę horyzontu. A naokoło pustynia stepu.

Wysiedli. Hania chciała oddać lejce chłopcu. Okazało się, że pogrążony jest w najgłębszym śnie. Chcąc go obudzić, łagodnie ujęła jego rękę. Zapragnęła jakiegoś aktu dobroci, czegoś takiego, co by zakryło straszliwie bolącą ranę.

— Wykręć no im mordy, Józef, — rzekła pocziwim do mieszanego i przerażonego chłopca. — Mordy w drugą stronę.

Śmiała się, gdy niezdarnie, prawie przez sen, zawracał konie.

— Tylko teraz przez chwilę nie zasypiaj, bo uciekną.

Znów cicho powtórzyła dusza:

— Umieram z bólu...

Tym razem nie przelekła się już.

— Zejdziemy kawałek po zbocz — dobrze? — rzekła do Worośnickiego. — Znam to miejsce. Trzeba tylko iść powoli i mocno obcasy wbijać w ziemię — objaśniała.

Szybko zeskoczyła z nasypu drogi i poszła w głąb, w tunel słoczony, pod niską, litą oponą koron drzewnych, spoczywającą na pniach, jak na filarach. Szarozielony świat staczał się w otchłań z dziką szybkością. O parę kroków perspektywa zapadała w błądy mrok i tuman; chwilami zdawało się, że tuż u stóp zaczyna się stalowe morze, pełne jakichś olbrzymich wodorostów, widmowych obrazów. Kiedy indziej przez mrok zjawiało się nagle dno i połyskująca rzeka. Czasem zponad szczytu niżej rosnącego drzewa rozwierał się straszliwy, nie do zniesienia widok — na nieskończoność.

„Skoczyć — skoczyć — skoczyć — dziko marzyła Hania. — Ciało malutkie, umęczone ciało rozbić, rozedrzeć w strzępy o pnie buków i dębów, białe pnie brzóz umalować krwią ciemnoróżową. I żeby jemu było smutno — —“

Kroki jego słyszała za sobą, ostrożne na wilgotnej trawie. Tak blisko — —

— Można podać pani rękę?

— Nie — ach, nie.... Dziękuję...

Rozmyślała męcząco: oto umilkł, gdy zarzuciła mu nieszczerłość. Nie odpowiedział nic, nie odparł zarzutu — chociaż tak czekała zaprzeczenia... Czy obraziło go przypuszczenie samo? Ach — pocóż, pocóż mówiła... Czy może rad był, że sama odgadła, uwolniła go od trudnych tłumaczeń?...

Zaczynał się zwarty gąszcz przyziemny. Pomiedzy gałęziami rozbrzmiewała zabawna gadanina świeżo obudzonych ptaków. Hania, znająca przejścia niewidoczne, prula piersią nawał liści i prętów, jak mała ryba wodę. Czasami stawiała pół odwrócona, w podniesionej ręce przytrzymując gałąź zieloną, niby arkadę, — i czyniła mu tak bramę do siebie. On pochylał się i z uśmiechem dziękując, przechodził. Wydało jej się to znów, jak figury starodawnego tańca.

— Dalej już iść nie można — powiedziała Hania.

Niżej było urwisko, które należałoby obejść o całą wiorstę bokiem. Nie było tam już drzew prawie wcale, tylko kanciaste krzaki, skaczące pomiędzy skałami i żalobnie zwieszające wdół wiotkie pręty. — Dosyć długo już szli, a odległość od dna jaru nie zmniejszała się zupełnie.

— W tym miejscu oczekuje się wschodu słońca — oznajmiła.

Patrzyli cicho. Nad jaśniejącym wschodem rozwieszone były porozdzierane chmury, jak marmur ciemnofioletowy w żyłki błękitne. Szeroka, rozlewna, martwa światłość rosła powszechnie, jakby nie posiadając źródła skupionego. Nieskończoności nieba i stepu zbiegały się koncentrycznie w punkcie, gdzie stali oboje, w środku całego świata. Umarłe oczy stawów patrzyły w zenit z nieruchomością przerażającą. Hania pomyślała, że znajduje się w mogile świata. Wydało jej się, że tej nocy słońce umarło — i w rano dzisiejsze powróci tylko duch słońca, widmo niematerialne. Przeszyła ją dzika, znana dobrze trwoga przed śmiercią, chociaż chciała jej przed chwilą. Z dna jaru płynął chłód, wiatr szedł, szeleszcząc liśćmi, jakby zrobione były z szarej blachy.

— Zimno mi strasznie — poskarżyła się cichutko Hania.

— Co pani mówi? — zbliżył się.

— Nie czekajmy już tego wschodu — poprosiła.

— Zmęczyła się pani, prawda? Wracajmy już — — Nie pytając tym razem, wziął ją pod rękę i wiódł

wgórę przebyta świeżo droga. Nad głową jej rozgarniał gałęzie, osłaniał od ostrych prętów wysoką swą postacią. Szła z zamkniętymi oczami w niezakłóconej ciemności niewidzenia, zatopiona w kontemplacji nieskończonego swego smutku, zdająca się bezwolnie na jego moc. Falami miłości napływała cała miłość dawna, chęć łzawych wyrzutów — ze skronią przytuloną do skroni — —

Ostatni raz ostrzegła ją pamięć chłodna: nie zapominać o krzywdzie, Haniu — —

Lekko weszła do tarantasu i leżąc znów do rąk wzięła. Usłyszeli turkot i gwar. O dwadzieścia kroków od jaru wyminieli towarzystwo, jadące dwoma powozami.

— Wracajcie państwo na chwilę — proponowała pani Eliza. — Cóż to, nie chcecie doczekać wschodu?

— Straszliwie zmarzłam — wrzasnęła Hania, potrącając lejcam, by konie prędzej szły.

Rwały ku domowi, gnały, jak wiatr. Zdążyli przed wschodem słońca.

Półnieprzytomną z bezsnu i znużenia odprowadził Hanię Worośnicki po schodach do samych drzwi pokojów gościnnych. Przez cały ten czas nie stało się już nic więcej.

Zatrzymała się u drzwi swojej sypialni, rękę położyła na szklanej klamce. W tej chwili przez okno zobaczyła słońce.

— Dobranoc panu — rzekła, podając rękę.

Przez czarny płaszcz, rozpięty z przodu, widać było wąski pas czerwonej sukni. W nagłym świetle, wchodzącym przez wysokie okno, czerwień wyglądała, jak krew, strugą płynącą od szyi do stóp i kałużą leżącą na ziemi. Hania zgłębiała się lekko i rozchylając płaszcz, ujęła tren sukni tak ostrożnie, jakby dłoń zanurzała w tej krwi. Z uśmiechem kiwnęła głową na ukłon Worośnickiego, otworzyła drzwi i w mrok pokoju o zasłoniętych oknach weszła, jak do grobu.



Oczy Małgorzaty stały się z bólu nowe zupełnie. Otrzymały władzę oglądania rzeczy maleńkich, rzeczy prawie nieistniejących. Pociągane były przez to wszystko, co w zestawieniu z resztą jest bez znaczenia, a je-

dynie samo w sobie posiada jakiś nęcący sens — przelotny i znikomy.

Małgorzata odkrywała teraz w świecie tajemnice, trwające jedną sekundę, zdarzenia, zachodzące głęboko pod poziomem znanego życia, nici nieujęte zwierzeń, komunikowanych sobie w przelocie przez odbryzgi minimalne duszy świata. Z uśmiechem nieświadomym brała na swoje ręce jakieś więzy magiczne, otulała się w siatkę pajęczą związków siostrzanych z duszyczkami roślin i istot niedostrzegalnych, z najbardziej nędznymi formami bytu ziemi. Wzrokiem łagodnym śledziła ognie słoneczne, przepływające wzdłuż nici tej pajęczyny, odbierała pocałunki światła na włosy, na oczach miała jego złote frendzle. Przytulała się do ziemi w beznamiętnym oczekiwaniu nieodzownego faktu śmierci.

Na cmentarzu swojej mocy miała teraz ogród japoński, pełen minjatur drzewnych olbrzymów i międzywrotnikowych kwiatów. Nie wspomnienia hodowała tam, tylko abstrakcje. W zmniejszeniu nieskończonym żyły tam wszystkie wyobrażenia świata, zakłute w żalosne twory ziemi. Małgorzata patrzyła na nie oczami cichego współczucia i macierzyństwa.

Od ostatniej rzeczy istotnej, która ją spotkała, zaszły jeszcze na jej drodze dwie rzeczy smutne, ale odległe jakieś i jakgdyby szybą światła odgradzone.

Pierwsza rzecz była ta, że dom, w którym mieszkała, i plac został sprzedany pod budowę wielkiej kamienicy. Oficynę mieli zacząć rozwalać dopiero na wiosnę, ale drzewa w ogrodzie wycięli odrazu. Miały wtedy swoje pierwsze liście jesienne — — Wycięli wszystko. Bez także, „bez, który można było wrzucać przez okno cho-remu bratu“ — mówiła z zamkniętymi oczami.

A druga ta odległa rzecz to była choroba ciotki. W dzień jeden przewróciła się nagle i okazało się, że jest sparaliżowana. Odtąd leżała w łóżku („tym samym“), zupełnie bezwładna, nie mówiąca, zdana na łaskę olbrzymiego świata, jedną tylko trwogą przejęta: aby nie umrzeć w szpitalu.

We wczesne, chłodne, jesienne rana, gdy ciotka spała, Małgorzata wychodziła do dawnego ogrodu. Była tam jeszcze wydeptana, drzazgami ścinanych drzew zasypana trawa i liście ostatnie niektórych kwiatów. W kącie samym, brzegiem zapomnianej ścieżki, rosły jeszcze kępy trójlistnych orlików. Tam Małgorzata klękała na ziemi

i w drogocennym świetle niskiego słońca rozpatrywała zjawisko umierających liści. Były brązowo-fioletowe, jakby skórzane, pokryte pleśnią i wilgocią. Godziny całe trwać mogła teraz kontemplacja owej rosy. Na każdym liściu leżały kulki jasnej wody, świecące, jakby podłożone małutkimi blaszkami ze srebra, bezpiecznie odbijające zimne słońce, które nie mogło ich teraz wysuszyć do samego południa. Pomiedzy kulkami na zamszowej skórze liści leżał rozprysnięty pył wodny — i to było już zupełnie, jak srebrny proszek. Od jednego liścia do drugiego poprzeciągane były na różnych poziomach szarawe nici — i wzdłuż nich srebrzał ten sam pył wodny — jak perełeczki, nawleczone na pajęczyny. W niektórych zagłębieniach takiej kępy, w gąszczu, leżała czasem na ciemności wielokątna pajęczyna, kawałek fantastycznej koronki szarej, przerabianej srebrnymi pyłami.

Cały ten strój brązowo-fioletowy, ubrany szarą koronką, wyhaftowany perłami i srebrem, — posiadał jakiś czar niewiedzący, ciągnął za sobą w szczelinę tajemnego, małutkiego świata. Tam, pod *takimi* liśćmi, musiało się coś dziać. Tam odbywały się jakieś dzieje nieznane. Te liście, rosa i pajęczyny — to był dopiero początek —

Zabierała z sobą jeden liść do domu. Stapając cicho, przyrządzała w kuchni kawę, drobiła do niej kajzerkę. Później szła do ciotki. Siadała na brzegu łóżka i z łagodnym, prawie niewiednym półśmiechem w otwierające się usta bezzębne wkładała łyżeczką rozmokłą bułkę. W oczy stare, które widziała zapłakane, patrzyła dobrotliwie, jakby odwagi dodając zapewnieniem, że nie stanie się już nic bardziej złego. Ocierała chustką wargi dygocące, odpowiadała na przypuszczalne zapytania z uśmiechem z ust nie schodzącym.

Czasami, siedząc tak, obejmowała ciotkę przez kołdrę, schylała się i twarz przytulała do ręki bezwładnej, zeszywniałej, powykręcanej w stawach, szarobronzowej. Wyczuwała wtedy swe głębokie pokrewieństwo z tym starym ciałem, napół już umarłym, związek swój nierozwalny ze wszystkimi takimi sprawami niepojętego życia. Pętały ją owe pajęczyny niewidzialne bezmiłosnego kochania, siostrzanego współczucia — z poza szyby ze światła. Pojmowała półsennie i pogodnie integralność siebie w owym życiu i owej śmierci. Szczególną bezosobowość cierpienia. I pełną spokoju, pełną jakiegoś wiel-

kiego odpoczynku świadomość, że nie stanie się już nic bardziej złego, że wszystko już się stało.

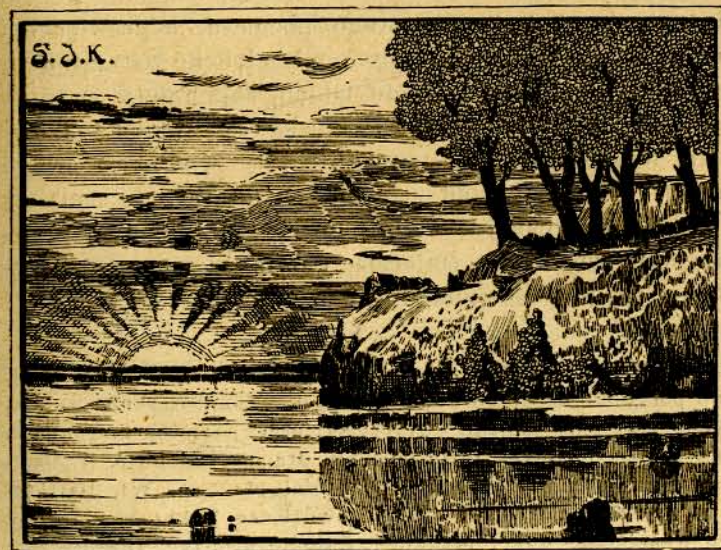
Dochodziła do wiedzy tajemniczej jakiegoś zasadniczego prawa, rządzącego wszystkimi temi zdarzeniami. Ze zrozumieniem bezimiennym patrzyła na siostrę matki swojej, widziała wolę nieodzowną, która przez owe lat czterdzieści pracować jej kazała mocą marzenia o starości szczęśliwej, — która marzeniem tym karmiła ją do dni ostatnich. A teraz rozpamiętywać każe historję marzenia.

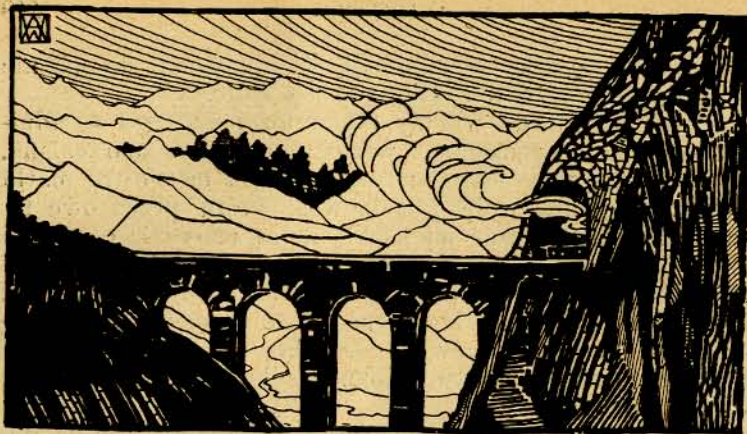
Raz wydało się Małgorzacie, że wyczytała w zamyślonym spojrzeniu oczów — — echo, cień ostatni obrazu sukni z czarnego atlasu, pięknej sukni, która miała być wzięta do trumny.

A wtedy pochyliła się tylko nad owym liściem potrójnym, przyniesionym z wyrąbanego ogrodu, nad liściem ze skóry, posypanej srebrem.

Przez okno wchodziło głęboko słońce jesieni, słońce śmierci, odejścia. Małgorzata siedziała cicho, trzymając w palcach liść brązowo-fioletowy — i patrzyła na smugę chłodnego ognia słonecznego — — —

1906—07.





WŁ. BARTKIEWICZ.

Słów parę o twórczości Milтона.*)

Plan głównego swego dzieła, „Raju utraconego“, nakreślił Milton jeszcze w latach młodości. Burza rewolucyjna, która powstała w Anglii, zmusiła go do odłożenia na bok rozpoczętego poematu, a poświęcenia swego pióra sprawom bieżącym tak głęboko wstrząśniętej ojczyzny. Po kilkudziesięciu latach, zepchnięty wraz ze swoim stronnictwem przez zwycięską restaurację, znużony walką, w której natężał wszystkie siły wielkiego swego umysłu, ociemniały, ze straconą na długie lata nadzieją wolności politycznej i religijnej, nawet ścigany i przez czas jakiś zagrożony śmiercią, w wiejskim ustroniu wykończył swoje wiekopomne dzieło.

*) W grudniu r. b. upłynęło trzysta lat od narodzin wielkiego poety angielskiego Johna Milтона. Zamieszczamy z tego powodu parę słów o jego twórczości, oraz początek nieznanego dotąd w polskim przekładzie poematu dramatycznego p. t. „Samson Siłacz“, przetłomaczonego w całości przez p. Wł. Bartkiewicza, któremu literatura nasza zawdzięcza również całkowity i—co ważniejsza—dobry przekład „Raju utraconego“ (Red.).

W tym głównym i najsławniejszym poemacie, Milton ukazuje u progu dziejów świata zwycięstwo potęg piekielnych i zapowiada tryumf ostateczny światła nad ciemnością. Tryumf ten spełnił Mesjasz, ale cała działalność Zbawiciela, jako przedmiot nowego poematu, przynajmniej równego poprzedniemu, nie leżała w zamiarach Milтона. Wyjął tylko jeden moment z życia Mesjasza, aby przedstawić przeciwieństwo zła kuszącego i niezachwianej cnoty, idealnego człowieka z pominięciem na ten raz jego boskiej strony. I stworzył „Raj odzyskany“, obraz, odpowiadający „Rajowi utraconemu“, lecz nie będący wcale dodatkiem do niego.

Ale „Raj odzyskany“, oprócz wskazanej wyżej idei przewodniej, ma jeszcze i poboczną cechę, godną uwagi: jest filozoficznym i teologicznym poglądem na zwycięstwo stronnictwa, z którym Milton walczył lat tyle. Niewątpliwie i „Raj utracony“ jest wytworem swojej epoki i środowiska, w którym powstał, ale to dotyczy tylko klimatu umysłowego, jaki się wytworzył pod działaniem wieków i kataklizmów dziejowych. Nie tak „Raj odzyskany“. Poza tezą ogólną zwycięstwa Miłości chrześcijańskiej i Prawdy nad fałszem i zmysłowością szatańską, czuć w tym utworze technienie złażen współczesnych, stosowanie do nich miary chrześcijańskiej i nadzieję przyszłego zwycięstwa światłości nad ciemnością.

Jednak bierne, cierpliwe znoszenie prześladowania i odkładanie nadziei na daleką przyszłość nie leżało w temperamentie Milтона. „Raj odzyskany“ nie był jego ostatnim słowem. Mógł on wprowadzić ponad bieg spraw świata podnieść się do nadziei czasów lepszych, ale nie mógł się z nimi pogodzić. Nie wystarczało mu uwielbienie cnoty cierpiącej, wielkiej w odparciu i zaprzeczeniu, łaknął czynu męskiego, wyzwalającego. Czczył „łagodnego Zbawiciela“ i jego dzieło Odkupienia, ale sam był tylko człowiekiem, można powiedzieć—jednym z przywódców stronnictwa, spoglądającym z bólem duszy na upojonych radością zwycięzców, szydzących z jego ide-

alów: jego śpiewem łabędzim stał się „Samson“, przekleństwo, rzucone ich panowaniu, proroctwo ich upadku.

Oczywiście, chrześcijańska łagodność opowiadania ewangelicznego nie nadawała się do takiego usposobienia, powrócił więc poeta do Starego Testamentu i w historii Samsona Siłacza znalazł potężny materiał, z którego, z siłą Michała Anioła, wyciosał olbrzymi pomnik swego bólu i gniewu. I tak w r. 1671 oba uzupełniające się poematy pojawiły się razem: „Raj odzyskany“, śpiew na cześć doskonałego Człowieka i zwycięskiego cierpienia, i „Samson Siłacz“, w którym uznanie swojej winy i chętna pokuta wracają łaskę boską i dają zwycięstwo.

„Samson Siłacz“ to utwór dramatyczny treści starotestamentowej w formie tragiedji greckich, z chórem i jednością czasu i miejsca. Całą akcję wypełnia ostatni dzień Samsona, tylko wsteczne rzuty oka objaśniają wielką przeszłość bohatera i tło historyczne. Nie podajemy tu rozbioru krytycznego tego utworu, zwrócimy jednak uwagę na liczne ustępy, dotyczące ślepoty, która dotknęła autora, zarówno jak i bohatera, oraz upadku wolności politycznej i religijnej, wspólnego też dla obu. Największy wdzięk tego dzieła leży w ciągle zwracającym uwagę ściąganiu się do losów i osobistości poety. Czuć, że pisze krwią swego serca. I on, jak Samson, był silnym bohaterem w walce o przegraną sprawę; i on, jak Samson, stał się pośmiewiskiem swoich nieprzyjaciół, Filistynów rewolucji. I jego niegdyś usidliła niewiasta z obozu nieprzyjacielskiego, a ta pomyłka zatrula mu najpiękniejsze lata życia. Nakoniec smutną noc ślepoty wspólną miał z bohaterem starotestamentowym. Samson przemawia, ale czasem słyhać jakby głos Miltona:

„Ślepy wśród wrogów — to cięższy ból,
Niż loch, okowy, nędza i zgrzybiałość,
Zagasało dla mnie światło, dar boży
Najpierwszy z danych. Niema pociechy!
O, ciemno, ciemno w blasku południa;
Noc czarna, wieczna noc mnie otacza“.

I w innym miejscu:

„Czuję, jak we mnie coraz gaśnie życie,
Wszystkie już moje uwiedły nadzieje,
Jakby już sobą znużona, wątłeje
Natura we mnie: tor chwały i znoju
I hańbym przebiegł. Wkrótce przy tych stanę,
Co spoczywają w pokoju“.

A nie tylko rozważanie własnych losów poety nasuwało to porównanie. Ogólne tło historyczne i polityczne, z którego występuje postać jego bohatera, czyni to dzieło pomnikiem owych czasów. Gdy Samson gromi przywódców Izraela, że „lekceważą wielki czyn oswobodzenia, jaki Bóg przez niego dokonywał“, komu nie przyjdą na myśl napomnienia, jakie Milton niegdyś zwracał do swoich ziomków? Boleścią przejęty, woła:

„Często się zdarza, że lud, zwyrodniały
Występnym życiem, idzie do niewoli,
Wyżej niż wolność ma w cenie kajdany,
Wyżej niż prostą wolność więzy złote;
Wtedy potwarzą zawistną obrzuca
Tego, co łaską bożą pobudzony,
Staje się ludu oswobodzicielem;
Gdy zacznie działać, wraz go opuszczają
I dzielne czyny płacą niewdzięcznością“.

Takie wspomnienia spraw i zdarzeń, jakie przeżył poeta, zwiększają nastrój melancholijny całego tego dramatu, ale łączą się też z dumnym przeczcuciem zwycięstwa. „Cała walka jest między Bogiem a Dagonem“, wykrzykuje Samson, a z nim i Milton. Wie, że zwycięstwo pozostanie po stronie Boga, w imieniu którego najszlachetniejsi synowie narodu podnieśli chorągiew wolności. Milton nie dożył drugiej świetnej rewolucji, ale proroctwo ją maluje. Ona, podobnie do przywróconego do siły bohatera, wstrząśnie filarami panowania Stuartów i w gruzy obróci pozorny gmach restauracji.



JOHN MILTON.

Z POEMATU DRAMATYCZ-
NEGO „SAMSON SIŁACZ“.

(Początek).

SAMSON (*prowadzony przez chłopca*).

Prowadź mnie, chłopcze,—jeszcze trochę dalej,
Pomóż niepewnym krokom, dalej trochę;
Tam ławka nawpół w cieniu, nawpół w słońcu;
Tam zwykłem siadać, gdy się trafi rzadka
Chwila zwolnienia od ciężkiej roboty,
Codzień mi w wspólnym lochu nakładanej.
Więzień w łańcuchach, zaledwie oddychać,
Mogę powietrzem, także uwiezionym,
Zamkniętym, stęchłym—ale tu mi lepiej.
Powiewy z nieba świeże, czyste, słodkie,
Dzieci jutrzeńki. — Tu daj mi odpocząć.
Dziś uroczystość wielką lud obchodzi
Swojego bożka morskiego, Dagona,
I zakazuje robót; ich zabobon
Przygodnie daje mi chwile wytchnienia;
A gdy mi wolno być zdala od zgielku
Pospółstwa, szukam w tym zacisznym kącie
Choć trochę folgi dla ciała, bo dusza
Nie ma jej nigdy: myśli niespokojne
Jak rój szerszeni, uzbrojonych w żądła

Śmiercią grożące, gdy zdybia samego,
Cisną się tłumnie, stawiają przed oczy,
Czym byłem niegdyś, a czym teraz jestem.
O czemuż Anioł z nieba urodzenie
Moje dwukrotnie wieścił, co spełniwszy,
W oczach rodziców moich wszedł w płomienie
Całopalnego ołtarza, wracając
Do niebios, jakby kolumną ognistą.
Zapowiadano mnie, jak wielką łaskę
Abrahamowym synom, powiedziano,
Że wychowany mam być, jak wybraniec
Bogu oddany, przezeń wyznaczony
Do wielkich czynów; po co, gdy mam umrzeć,
Zdradzony, w jarzmie, pozbawiony oczu,
Mych nieprzyjaciół wzgarda, pośmiewisko?
Na toż mam siłę, z nieba udzieloną,
By, jak niewolnik w kajdanach, mleć zboże?
O siło chlubna, wprzężona w robotę
Bydlęcą! Losie, gorszy od niewoli!
Gdzie obietnica, że mam oswobodzić
Z filistyńskiego jarzma Izraela?
Pytają, gdzie ten wybawca potężny?
W nieprzyjacielskim mieście go znajdują,
W Gazie, bez oczu, pośród niewolników
Przy żarnach, w dybach, więźnia Filistynów!
Lecz stój, zuchwale boskiej zapowiedzi
Nie czyn zarzutu, że się nie spełniła,
Bo może tylko z własnej twojej winy?
Kogóż mi skarżyć, jeżeli nie siebie,
Com się tak łatwo wyzbył daru siły,
Gdym nie zachował w ścisłej tajemnicy,
Gdzie jej siedlisko? Wydałem niewieście,
Natarczywością jej i łzą zmożony.
O niedołężny duchu w silnym ciele!
Czymże jest siła bez zdwojonej miary
Rozumu? Wielka a czcza, niedołężna,
Zarozumiała, do upadku może
Przywieść ją byle podstęp; nie panować,
Lecz służyć winna tam, gdzie mądrość rządzi.
Gdy mnie Bóg siłę nadał, by zarazem
Okazać marność daru, jego zasób
Umieścił w moich włosach. Lecz dość tego!
Nie wolno toczyć sporu z wolą Boga,
Który w tym względzie może ma cel pewny,

A mnie nieznany. Dość, że siła moja
 Jest moją zgubą, źródłem wszystkich nieszczęść,
 Tak licznych, wielkich, że każde z osobna
 Całoby życie oplakiwać trzeba.
 Z nich najgłówniejszym tyś, utrato wzroku,
 Największe we mnie ciągle budzisz żale.
 Słupy wśród wrogów — to ból stokroć cięższy,
 Niż loch, okowy, nędza i zgrzybiałość.
 Zagasło dla mnie światło, ów dar boży
 Najpierwszy, światło, co mnóstwem rozkoszy
 Mogłoby ciężar złagodzić niedoli.
 Teraz nędzniejszym od najnędzniejszego
 Człowieka, nawet robaka, ten bowiem
 Najlichszy, jeszcze przewagę nademną
 Ma niezawodną: czołga się, lecz widzi.
 Ja ociemniały, wystawiony codzien
 Na oszukaństwo, wzgardę, hańbę, krzywdę,
 W izbie, na dworze, zawsze jakby głupiec,
 Pod władzą cudzą, nigdy swej nie mając,
 Napół żyję, raczej nawpół zmarły.
 O ciemno, ciemno, choć blask południowy.
 Nigdy nowego dnia już nie zobaczę,
 Noc czarna, wieczna noc mnie otoczyła
 I nigdy już się nie zmieni!
 O pierwszy tworze, o potężne słowo:
 „Niech będzie światło, i stało się światło“!
 Czemuż z dekretu tego wyłączony?
 Czarne mi słońce milczy, jako księżyc,
 Kiedy na nowiu, noc już opuściwszy,
 Do swej się skryje jaskini.
 Gdy tak konieczne światło dla życia,
 Gdy samo nieledwie życiem,
 Gdy prawda, że i w duszy człowieka,
 Jest światło, że jest w całym świecie,
 Czemuż wzrok się ogranicza
 Do tej kulki w oczodole,
 Narażonej na zgaśnięcie?
 Czemuż, jak czucie, wzrok się nie rozdzieli
 Po wszystkich członkach, aby człek dowoli
 Mógł patrzeć na świat wszystkimi porami?
 Wtedy nie byłbym wygnańcem ze światła,
 W kraju ciemności, choć chodzący w świetle,
 Jak wpół umarłe życie, czy śmierć żywa?
 Czy gorzej w grobie? Ja sam sobie grobem,

Ruchomym grobem.
 Jam pochowany, ale śmierć i pogrzeb
 Nie chronią mnie od mąk, od krzywd;
 Jeszcze cięższymi je robią,
 Do wszelkiej życia nędzy
 Dodając życie w niewoli
 Pośród nieludzkich wrogów.
 Lecz ktoś tu idzie, słyszę liczne kroki
 Z tej strony. Może nieprzyjaciół
 Chce się napawać moją niedolą,
 — Lub lżyć... To jego zwykła zabawa.

CHÓR. — On tutaj; ciszej stąpajmy,
 Nie wpadajmy nań tak nagle.
 O dziwna losów zmiano, nie do wiary,
 I nie do wypowiedzenia!
 Leży niedbale, bez ruchu,
 Nawet z niepodpartą głową,
 Jak ten, co wszelką straciwszy nadzieję,
 Już przez wszystkich opuszczony,
 Nawet przez samego siebie;
 Leży w szacie niewolniczej,
 Żle zszytej, zdartej, splamionej.
 Czyżby mnie oczy łudziły?
 Toż to bohater sławiony!
 Samson niewyciężony,
 Z nim, choć bezbronnym, najsilniejszy człowiek,
 Ani najdzikszy zwierz nie mógł się mierzyć.
 Rozdzierał lwa, jak lew rozdziera koźlę,
 Na wojska w szyku w stal odziane wpadał,
 I sam bezbronny,
 Ośmieszał oręż, czyniąc miecz zbytecznym,
 Miedziane tarcze, dzidy, kute blachy,
 Stal chalybejską, żelazne koszulki,
 Hartu djamentowego!
 Gdy kroczył stopą niewstrzymaną,
 Bezpiecznym czuł się tylko taki,
 Kto nie stał na jego drodze,
 Bo, lekceważąc broń i sprzęt wojenny,
 Kładł trupem całe gromady żołnierzy.
 Przed jego lwimi skokami pierzchali
 Askalonicy pyszni; stare woje
 Swe plecy, blachą osłonięte,
 Pod jego piętę podawali,

Lub się czołgając, helmy zdobne w pióra
Walali w błocie. Potym jakąż lichą
Broń chwycił, szczękę osła zabitego,
I tą kościaną szablą zabił tysiąc,
Kwiat Palestyny, w Ramathlechi, sławnym
Jeszcze do dzisiaj. Wkrótce, pełen siły,
Wziął bramę w Aza, słupce wraz z wrotami,
I poniósł aż na wzgórze przy Hebronie,
Starej siedzibie olbrzymów.
Nad czymże bardziej ubolewać,
Nad jarzmem, czy też nad utratą wzroku?
W więzieniu drugie to więzienie,
I nierozłączna z nim ciemnota!
O najgorsze z wszelkich więzów!
Ty sam sobie jesteś turmą,
Twa dusza w istnym więzieniu,
Od zewnętrznego świata odjęta,
A wcielona w noc bezbrzeżną;
Gdy światło wewnętrzne, niestety,
Nie lśni widomym promieniem,
Zwierciadło naszej niemocy,
Dotąd na ziemi niebyłe!
Jak rzadkim byłeś przykładem,
Z jak wysokiej spadłeś chwały,
O najmocniejszy z śmiertelnych
Teraz w najgłębszej niedoli!
Nie ten u mnie na wyżynach,
Kogo wznosi urodzenie,
Lub fortuny zmienne koło,
Lecz ty, co, moc łącząc z cnotą,
Mogłeś podbić całą ziemię
Ku powszechnemu uwielbieniu.

SAMSON.—Słyszę zmieszane głosy, wiatr je mać,
Zaledwie jakieś dźwięki chwyta ucho.

CHÓR.—Podejdźmy bliżej, mówi. Niezrównany,
Niedawno chluba Izraela,
Teraz zmartwienie; przyjaciele twoi,
A także blizcy, znani ci sąsiedzi
Z Estaol, z Zora, bogatej doliny,
Przyszli odwiedzić cię i żal wynurzyć,
Lub może przynieść radę, pocieszenie,
Maść na bolączki. Często dobre słowo
Łagodzi duszy zgnębionej gorączkę
I jest balsamem na ropiące rany.

SAMSON.—O przyjaciele, nowe życie czuję
Za waszym przyjściem, bo nie ze słyszenia,
Lecz z doświadczenia własnego poznałem,
Jak sfałszowaną monetą jest owa,
Na której stempel przyjaźni wybity
(Większość przyjaciół mam tutaj na myśli).
W pomyślnych chwilach roją się dokoła,
W przeciwnych—kryją głowy; choćby szukał,
Nikt ich nie znajdzie. Widzicie, o bracia,
Jak liczne klęski obsiadły mnie kołem,
A z nich najgorsza ślepotą. Mniej teraz
Dręczę, co prawda, bo czyżbym, wzrok mając,
Mógł bez rumieńca wstydu podnieść głowę,
Sternik szalony, co rozbiłem okręt,
Którym mi niebo kierować kazało?
Tak zbrojny okręt! I dla słów, dla płaczu,
Głupiec, wydałem zdradzieckiej kobiecie
Sekret bożego daru! Przyjaciele,
Powiedcie, czy nie przeszedłem w przysłowie?
Czy nie śpiewają o mnie na ulicach,
Jako o głupcu? Czy nie mówią sobie:
„Dostało mu się to, na co zasłużył.“
Lecz cóż? Widzieli siłę niezmierzoną
We mnie, a rozum nie więcej, jak mierny,
Oboje w mierze dałyby pożytek;
Lecz w złym stosunku zgubą mi się stały.

CHÓR.—Nie gań rozrządzeń boskich, najmądrzejsi
Ludzie błądzili, najmądrzejszych zwiódł
I zawsze zwiedzie przewrotność niewieścia,
Choćby się nie wiem za jak mądrych mieli;
Zatym tak bardzo nie potępiaj siebie,
Gdyś już bez tego troską przeciążony.
Lecz, prawdę mówiąc, dość często słyszałem
Ludzkie pytania, czemuś Filistynki
Za żony bierał, nie z swego plemienia,
W którym piękniejsze są lub równie piękne,
Zresztą rodaczki i niemniej szlachetne.

SAMSON.—Pierwszą ujrzałem w Tamnat, pokochałem,
Lecz się rodzicom mym nie podobało
Moje małżeństwo z pogańską dziewczyną;
Że to z pobudki Bożej nie wiedzieli,
Lecz mnie wewnętrzny głos tak kazał czynić,
Więc przyspieszyłem gody, aby na nich

Rozpocząć dzieło, zlecone przez Boga,
 Oswobodzenia ludu Izraela.
 Jej fałsz poznawszy, wkrótcem pojął inną,
 W dolinie Sorek, imieniem Dalilę
 (Obym był tego nigdy nie uczynił,
 Ale życzenie próżne po niewczasie).
 Ten okazały potwór był mi zgubą.
 Równie jak przedtym czyn mój uważałem
 Za dozwolony i miałem na myśli
 Izraelowych zgnębić gnębicielei.
 Nie ona, ja sam mych cierpień najpierwszą
 Byłem przyczyną, kiedy, zwyciężony
 Czeczyc słów brzęczeniem (co za niedołęstwo!)
 Swą tajemnicę zwierzyłem niewieście.

CHÓR.—Mogę zaświadczyć, że nie pomijałeś
 Nigdy okazji do wyzwania wrogów
 Twojej ojczyzny, Filistynów, ale
 Izrael z syny swemi wciąż w niewoli.

SAMSON.—Nie moja wina, składam ją na rzadców
 I naczelników izraelskiej rzeszy,
 Co, choć widzieli, jak wielkimi czyny
 Tylko przezemnie Bóg gnębił ich wroga,
 Nie chcieli uznać, że ich Bóg obdarza
 Oswobodzeniem! Ja też ze swej strony
 Nigdy się swemi nie chełpił czynami,
 Same uczynki sprawę ogłaszały.
 Oni nie chcieli słyszeć ani widzieć,
 Aż Filistyni, ich władcy, zebrawszy
 Mnogie zastępy, przyszedli do Judei,
 Mnie poszukując, a mieszkalem wtedy
 W jaskini wśród skał Etham, nie jak zbiegły,
 Lecz by obmyśleć najodpowiedniejszy
 Punkt do napaści. Mężowie Judei
 Tymczasem, by kraj nie podpadł złupieniu,
 Rychło obozem swoim mnie oblegli.
 Chętniem szedł do nich na pewnych warunkach,
 A oni radzi oddali mnie w ręce
 Nieprzyjaciela, jak łup pożądany.
 Dwoma sznurami związano, lecz sznury
 Pękły, jak nici, płomieniem dotknięte.
 Bezbronny wpadłem na gromadę wrogów
 I wkrótce lichym orężem wytłukłem
 Ich kwiat młodzieży; ten tylko ocalał,

Kto uciekł. Gdyby powstała Judea
 Dnia tego, lub choć jedno pokolenie,
 Jużby posiadało mocne wieże Gazy
 I panowało tam, gdzie dzisiaj służy.
 Często się zdarza, że występny życiem
 Lud zwyrodniały idzie do niewoli,
 Wyżej niż wolność ma w cenie kajdany,
 Wyżej, niż prostą wolność, złote więzy.
 Wtedy potwarzą zawistną obrzuca
 Tego, co, łaską boską pobudzony,
 Jest ludu swego oswobodzicielem;
 Gdy zacznie działać, opuszcza go z wzgardą
 I niewdzięcznością płaci czyny dzielne.

CHÓR.—Przypominają mi twe słowa,
 Jak Sukkot i gród Penuelu
 Wzgardziły swoim oswobodzicielem,
 Wielkim, bez skazy wodzem Gedeonem,
 Gdy Madjanitów rozpędzał i wszystkich
 Ich królów w ciężkim boju pokonanych,
 A jak niewdzięczny byłby szczep Efraim
 Względem Jeftego, który słowem, czynem,
 Tarczą i mieczem bronił Izraela
 Od Ammonitów, gdyby jego męstwo
 Nie powściągnęło ich pychy w tej bitwie
 Krwawej, zaciętej, gdzie niejedyn dzielny
 Tylko dlatego ginął, że nie umiał
 Dobrze wymówić wyrazu: *Szybboleth*.

SAMSON.—Do tych przykładów dołącz mnie z kolei.
 Niech mnie opuści lud, byleby wierzył
 W oswobodzenia boską obietnicę!

Przełożył z oryginału angielskiego WL. BARTKIEWICZ.





HELENA DUNINÓWNA.

Mickiewicz a ideały Szyllera.

Duch poezji, o którym w jednym ze studjów swoich pisze Witkiewicz, że „zastępuje nam dzisiaj wszystkie zamki obronne, które zaniedbali wzniesć nasi królowie, strzeże granic ojczyzny silniej i skuteczniej, niż wielkie wojska, niż działa i karabiny, niż skarb pełen złota”, — ten duch poezji, który nad duszami ludzkiemi moc zdobywa i rozszerza panowanie naszej myśli, niemal zawsze był płomienną, żywotną siłą duszy polskiej.

Zbudzony bujnym prądem życia, płynącym z zachodu, wywołany palącą potrzebą ocucenia sumienia narodowego, stworzony niejako przeczuciem nieszczęść i nieuniknionych klęsk, roztoczył siłę swoją u świtu odrodzenia narodowego ducha. Spokój i dobrobyt materialny nie zdołał stłumić wszystkich serdecznych drgnień duszy, która, z długiego, średniowiecznego snu zbudzona do życia, rwała się w światy szersze, niosąc z sobą siłę uczuć pierwotnych, lecz młodych i żywotnych. W okresie rozkwitu spokoju i bogactw raz w raz budziły się głosy, będące świadectwem istnienia żywej duszy narodu i żywego ducha poezji. Lęk przed przyszłością, obawa następstw, które miały stać się nieszczęściem narodowym; zapatrzenie się w powinności i posłannictwo ducha ludzkiego — zrodziły to, co miało nosić nazwę poezji narodowej, co miało

stać się wodzem duchowym całego narodu polskiego. Przyszedł Rej, Kochanowski, Skarga, Modrzewski, w których, jak mówi Mickiewicz, „bije serce cierpiące narodu”, każdy z nich — rzecznik jednej wielkiej idei Odrodzenia, każdy z nich do jednego celu dążący, chociaż każdy wręcz odmiennymi drogami.

Nadeszły jednak czasy uspienia; wyczerpała się siła twórcza; letarg ogarnął dusze. Z długiego, przeszło stuletniego snu wyrwał je dopiero szereg wielkich klęsk narodowych. Trzykrotny rozbiór Polski, jarzmo, przemocą na kark nałożone, utrata wolności i ziemi ojczystej — były siłą, zdolną zbudzić narodowego ducha. Terytorjalnie pozbawiony ojczyzny, skazany na życie niewolnicze na gruzach wspaniałej przeszłości lub na tułaczkę bezdomną po świecie, naród polski we własnej duszy budować począł gmach niezniszczalnej i nieskazitelnej piękności: miłość ojczyzny; stworzył Polskę w sercach i myślach swoich, rozbudził ducha wieszczonego, który wiecznotrwała, a niepożyta moc nad duszami zyskał, — ducha poezji.

Poczynając się w „Żalach Sarmaty” Karpińskiego w „Bardzie Polskim” Czartoryskiego, w „Hymnie” Woronicza, w całej poezji legionów i pismach Brodzińskiego, dosięgnął potężnej, majestatycznej powagi i siły w nieśmiertelnych pomnikach romantyzmu. Powstał u nas Mickiewicz, ten, który posiadał „świętych skrzydeł dwoje”, który „lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzył” i wyrzekł: „nazywam się miljon”.

Wiek XVIII chylił się ku końcowi. Zbliżało się stulecie nowe, a z nim powstawał świat nowoczesny, niosący z sobą ideały uznania praw uczucia i serca, braterstwa ludów, swobody i równości. Klasyczne pęta, nałożone wiekami na duszę ludzką, rwały się i kruszyły; formy martwe, w które żywy duch był zakuty, padały w gruzy. Przypominały się zapasy konającego średniowiecza z młodym, żywotnym duchem Odrodzenia; szukanie nowych dróg przez twórców złotej epoki Zygmunta. W wieku XVI-ym, wieku rewolucji duchowej, padały również w gruzy ciasne formy i przesady lat dawnych, i tam tworzyło się życie nowe, młode, a nieznane dotąd. Nierozzerwalna nić łączy te pierwsze kroki narodu na drodze doskonalenia i szukania nowych zdobyczy duchowych z wspaniałym ocknieniem uspiętego gienjusz narodu u świtu XIX stulecia. Zarodki duchowej potęgi

i siły narodu polskiego, które w w. XIX wzrosły do gigantycznych rozmiarów, kryły się już w pierwszych przemówieniach narodowych twórców. Wiek XIX — to nie chwila narodzin twórczego, narodowego ducha, lecz chwila odrodzenia i przebudzenia z długiego, niemal dwuwiekowego snu.

Zjawiska, wieszczące rychły upadek wszechmocy klasycyzmu, mnożyły się po całej Europie zachodniej. Literatura angielska z Byronem, Schelleyem i Walter-Scottem na czele, w pierwszym zaś rzędzie niemiecka, z intelektualistą Goethem i idealistą Szyllerem, nie mówiąc już o ich zwiastunie krytycznym, Lessingu, działały na ościenną literaturę polską. Z pośród Francuzów, w roku 1813, pani de Staël swoją księgą „O Niemczech“ zwróciła ogólną uwagę, przedstawiając charakter, zwyczaje i obyczaje, a w szczególności twórczość Niemców. Już od r. 1815 pojawiają się polskie przekłady niektórych wyjątków dzieła p. de Staël, które na umysły polskie, bądź dlatego, że pochodziło od sympatycznych Polakom Francuzów, bądź, że mówiło o Niemcach, których język i literatura jednostkom tylko był dotychczas znany, wywierało duże wrażenie. Wpływ literatury niemieckiej na polską, do tej pory nieznany, zaczął się po raz pierwszy objawiać. Uznanie wartości poezji niemieckiej nie przyszło jednak odrazu; pierwszą oryginalnie napisaną rozprawką Jana Samuela Kaulfussa, dowodzącą wyższości literatury niemieckiej nad francuską, spotkała surowa krytyka; robiono nawet początkowo zastrzeżenia co do wartości literatury niemieckiej, nie dopuszczając do przyznania jej znaczenia pierwszorzędnego wśród literatur europejskich.

„Uczmy się od Niemców mineralogji, medycyny, sztuk mechanicznych i niektórych umiejętności, ale w rzeczach smaku i sztuki pisania zostawmy ich samym sobie“ — mówi Jan Śniadecki. „Romantyczność, najgorszy ten rodzaj, wprowadzany przez Niemców... może do zepsucia smaku i do potworów piśmiennych przywieść młode głowy... Boję się, żeby nas paradoksa pani de Staël i Schlegla nie uwiodły.“

Wkrótce jednak coraz częściej zjawiać się zaczęły przekłady z niemieckiego; „romantyczność“ poezji niemieckiej, ze swoim zwrotem ku narodowości, niezadowoleniem z form życiowych, dążeniem do ideałów — działała

coraz silniej, wywierając wpływ nawet na dusze twórców tak oryginalnych i tak potężnych, jak Mickiewicz.

Przeprowadzenie ideałów romantyzmu nie przeszło również bez walki. Przeciw rozprawie Brodzińskiego: „O klasycyzmu i romantyczności, tudzież o duchu poezji polskiej“, w której śpiewak „Wiesława“ po raz pierwszy sformułował dobitnie potrzebę rodzimości literatury w słowach „nie bądźmy echem cudzoziemców“; dowodził, że „pieśni ludu są źródłem najpiękniejszej poezji“; zabronił zrywania z przeszłością, zalecając nawet opierać się na niej i doskonalić ją; podnosił i zaznaczał cechy nowej poezji niemieckiej: uniesienie myśli i uczucia, filozoficzną głębię, ponurą fantazję, spożytkowanie pieśni ludu, — wystąpił Jan Śniadecki, drwiąc z wyrozumiałości Brodzińskiego dla romantyzmu niemieckiego, który „szkołą zdrady i zaraży“ nazywał, każąc nie słuchać „tych poduszczeń spiskowych“, które duszą ludzi oraz znoszą prawa nauki i rozsądku. Opinią ogółu nie przechylała się jednak na jego stronę. Śmiało napisane w „Pamiętniku Warszawskim“ uwagi ostro krytykowały Śniadeckiego, który „dyktatorską powagą tak śmiało chciał wyrokować w zawodzie zupełnie obcym sobie... Czyli przystało dla niego, aby mężów, niezaprzeczonym gienjuszem obdarzonych, szaleńcami mianował, aby o pisarzach, których dzieł wcale nie czytał (jak się to widocznie z rozprawy jego pokazuje), wyrok potępiający drukiem ogłaszał?“ — pyta autor „Uwag“. „Prawda, że dobrem narodu, chwalebny powodowany jest celem, ale i tu niechaj pamięta, że, chcąc narodowi w czym radzić, na rzeczy znać się potrzeba“.

W r. 1819, obok tłumaczeń i naśladowań Szyllera, ukazała się przeróbka sławnej „Lenory“ Bürgera, której autor, Krystyn Lach Szyrma, w uwagach swoich nad tym utworem oznaczył popęd poezji romantycznej do nawiązania łączności z twórczością ludową, myśl, która była wyrazem przekonania, przez wielu już wówczas podzielanego. Pierwszym naszym uczonym, który zwrócił uwagę badaczy na doniosłość zwyczajów, obyczajów, pieśni i podań ludowych, był Hugo Kołłątaj; w r. 1811 Ignacy Czerwiński opisał w osobnej książce zwyczaje i obyczaje ludu „okolicy Za-Dniestrskiej między Strjem i Łomnicą“; w r. 1814 Zorjan Dołęga Chodakowski, zapalony czciciel starożytności słowiańskich, wybrał się na pieszą wędrówkę po ziemiach polskich i ruskich, zbierając

klechdy, podania i baśni; Lach Szyрма tworzy pieśń ludu czerwono-ruskiego; Tomasz Zan pisze ballady.

Zbliżenie się do ludu, uznanie w nim człowieka, godnego praw ludzkich, zajęcie się pracą i twórczością jego, zrozumienie wartości i bogactwa poezji ludowej — wzrastało z biegiem czasu. W połowie XIX stulecia, w r. 1851 — Cyprjan Norwid pisze w „Promethidionie“, że „największym jest lud prosty poeta, co nuci z dłońmi ziemią bronzowemi“, a dalej, rozumiejąc konieczność wspólnej pracy, wspólnego narodowego czynu; bolejąc nad rozdziałem narodu, nad odsunięciem od wspólnego życia i działania tych, którzy najsilniej i najbliżej związani są z ziemią ojczystą, woła: „Kmiecie my wszyscy tu jesteśmy i od uczestnictwa w związku pracy nikomu wyminąć się nie wolno, pod karami wielkimi, które stąd na społeczeństwo spadają. A kara jest pierwsza i najstraszniejsza za to, że się słowo rozłamie na słowo ludowe i zewnętrzne ono słowo uczone...“

„Żadne się społeczeństwo nie ostoï“ — woła dalej — i żaden naród nie utrzyma, gdy przez harmonję tradycyjną powiązane z sobą słowo ludu i słowo społeczeństwa w dwie się strony rozpręgna.“

Silę i potęgę poezji, nie tej, która wprowadza w stan biernego zachwycenia, lecz tej, która jest sama w sobie czynem, dostrzega Norwid w ścisłym związku ducha poety z duchem ludu, tym, który swe wszystkie soki żywotne z ziemi czerpie i tej ziemi jest najprawdziwszym piewcą. To, co wypowiedzieć miał Norwid, a co wypływało z ogromnego ukochania ziemi i jasnej duszy polskiego ludu, co było jednym z dogmatów idei romantyzmu, przeczuwano już u świtu XIX stulecia.

Ażeby jednak dokonać zasadniczej zmiany w pojęciach literackich, trzeba było jakiegoś wielkiego słowa, które poruszyłoby do głębi dusze wszystkich; siły twórczej, która wszystkie marzenia i przecucia uzupełniłaby i zrealizowała; trzeba było, jednym słowem, takiej potęgi gienjusz, jaką miał Adam Mickiewicz.

Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w prosku, w każdej gwiazd iskerce,
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu:
Miej serce i patrzaj w serce.—

Temi słowy wystąpił Mickiewicz do walki z ideałami wieku oświeconego, zaznaczył stanowisko swoje, bunt-

ownicze względem tych, którzy się „wryli w księgi, w metal, w liczbę, w trupie ciało“, którzy nie sercem, lecz myślą dowiadują się dróg Bożych.

„Czucie i wiara“ to naczelný rys narodowego oblicza, a więc i rys najznamienniejszy duszy Mickiewiczowskiej. „Czucie i wiara“ związały duszę jego z ziemią ojczystą, ze złotem łąnów pszenicznych, z prostotą wiejskich chat; one połączyły go nieodwołalnie z ludem, tak, że pieśni jego mogły „pod strzechy zbłądzić“ i przemówić zrozumiałym językiem miłości do najbardziej prostaczych serc. Mickiewicz nie przeczuwał, lecz wiedział, skąd wytryska żywy źródło narodowej poezji; wiedział, że „wieść gminna“ jest arką przymierza między starymi i nowymi laty; że w niej składa lud kwiaty swych uczuć i swych myśli przędę, że ona stoi „na straży narodowego pamiątek kościoła“. Mickiewicz wiedział, że w twórczym duchu ludu należy szukać potęgi słowa i potęgi czynu; że twórca narodowy, ten, który stać się ma spowiednym głosem całego narodu, winien zadzierzgnąć więzy nierozzerwalne między duchem wszystkich bez wyjątku, którzy naród tworzą. „Książę, hrabia, chłop, żyd“ — oni wszyscy winni wspólnie żyć i wspólnie czynić; żadnych podziałów, żadnych klas i klasowych niechęci; „wszyscy“ — szczęście i dobro wszystkich — oto cel, a droga ku temu — walczyć „razem“.

I oto widzimy, że fala ducha, która przepłynąć miała przez słowa Norwida, wytrysła ze źródła duszy Mickiewiczowskiej. Że on był tym, który rzeczywiste hasła prawdy i piękna, będące dla nas „chlebem żywym“, tworzył, że on, „naród wcieliwszy w siebie“, stał się żywą narodu tego duszą i żywym narodu sercem.

Odrzucając bezwzględna powagę zimnego rozumu, ufając intuicji i uczuciom, uderzył Mickiewicz w zasadniczy ton narodowej duszy i, stanawszy na pewnej podstawie własnych przekonań i rdzennych wierzeń narodu, zwyciężył narzucone z zewnątrz i treści duchowej zasadniczo obce więzy suchego rozsądku, biorącego wszystkie przejawy życia pod skalpel anatomiczny.

„Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą, tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła, śledziła chód Twych planet, głab morza rozwarła; mam więcej; tę moc, której ludzie nie nadadzą, mam to uczucie, co się samo w sobie chowa, jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa. „Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!“ — woła.

„Widzisz to moje ognisko: uczucie? Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało, wbijam w żelazne woli mej okucie, jak nabój w burzące działo...”

I dlatego jest w pieśniach Mickiewicza pęd wielkiej siły: bo jest w nich ukochanie braci, nie tylko najbliższych, ale i nieznanych, a dalekich, bo jest w nich wiara, która „zwać i budować trony” może; bo jest nadzieja, widząca przez pomrok nieszczęść — jasny świt, jutrznię swobody i zbawienia słońce.

Żywotność i entuzjastyczna siła duszy Mickiewicza, nie tylko że z biegiem lat nie starzeje się i nie upada, lecz, przeciwnie, trwa w całej młodzieńczej mocy. Epoka mistycyzmu nie wykopała żadnej, istotnej przepaści, pomiędzy duchem poety a ideałami jego młodości. Zasadniczym hasłem ideałów swoich pozostał zawsze wierny: był zawsze orędownikiem braterstwa, sprawiedliwości i pracy dla jutra; nieśmiertelnemu hasłu „Ody do młodości”: „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele” — pozostał wiernym zawsze. „Jedyny cel człowieka i narodu jest żyć tak, aby tym, co po nas przyjdą, było lepiej”, mówi w jednym z artykułów, pomieszczonych w „Trybunie ludów”, a gdzieindziej: „Pracować dla interesów ogółu jest nie tylko obowiązkiem, jest prawem każdego. Wszystkie więc klasy mieszkańców kraju do pracy tej przyjmować i zachęcać trzeba: książę, hrabia, chłop, żyd — równie tu potrzebni”.

Znając duszę narodu polskiego, Mickiewicz wiedział, że w chwilach zwątpień i upadków ducha, nie słowo rozumnej rady ani zdanie uczonego mędrca, lecz jakieś wielkie poruszenie uczucia wywołać może reakcję, wzbudzić wiarę w możliwość działania i zapal do czynu.

Jego „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” — to jeszcze jeden dowód, że uczucie i wiara przemawiały do niego silniej, niż mędrca szkiełko i oko, nie tylko wtedy, kiedy, buntując się przeciw martwym więzom klasycyzmu, wołał: „bez serca, bez ducha — to szkieletów ludzi!” nie tylko wtedy, kiedy Boga wzywał do walki na serca, a kochał i cierpiał za miliony.

Jego dusza była wiecznie młoda i wiecznie jedna: tym, którzy zdaleka od ojczyzny ciągnęli taczkę swego bezdomnego żywota, swoim braciom-wygnąnciom, kazał wierzyć i czuć.

Celem życia i wszystkich praw Mickiewicza było zawsze „szczęście wszystkich i dobro wszystkich”. Całym

życiem swoim wykazywał związek, jaki istnieć powinien między ziemią ojczystą a sercem człowieka, między duchem pojedynczych jednostek a duszą narodu, a nawet duszą całej ludzkości. Ani w pieśniach filareckich, ani w „Księgach narodu i pielgrzymstwa”, ani w „Dziadach”, gdzie domagał się rządu dusz, aby móc dźwignąć i uszczęśliwić — nie sięgał po szczęście osobiste. Jedynie w „Panu Tadeuszu” pojawił się nowy, nieznany dotąd u niego rys: pragnienie szczęścia osobistego, szczęścia jednostki. — „Ciężkość życia wśród obcych”; potrzeba wewnętrznego utworzenia dokoła siebie atmosfery pól, lasów i chat ojczystych; pragnienie przeniesienia tam, gdzie upłynęło dzieciństwo jego „sielskie anielskie”, niosące jednak w sobie zarodek nie tylko „młodości górnej i chmurnej”, lecz i wieku męskiego, wieku klęski — stały się gienąją wspólną epopei narodowej. Była ona dla Mickiewicza wytchnieniem, odpoczynkiem w pracy, echem tęsknoty, trawiącej jego duszę. Ogólną jednak twórczość Mickiewicza cechuje zawsze dążenie do jakiegoś wytkniętego celu, pewien, jak mówi Konopnicka, „duchowy utylitaryzm”; a cel ten zwrócony jest zawsze ku dobru braci: serce Mickiewicza bije całe na zewnątrz, otwarte jest i jednakoż gorące dla wszystkich.

Bo nie jest światło, by pod korcem stało.
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych.
Bo piękno na to jest, by zachwycalo
Do pracy; praca — by się zmartwychwstało —

mówi Norwid, ów „pogrobowiec romantyzmu”. Tak samo słowo, czyn, pracę pojmował Mickiewicz: pieśni jego wzywały, aby wszyscy na wspólne dobro swoje zwrócili chęci, aby myśli i duchy zestrzelili w jedno ognisko i ziemię ruszyli z posad świata. Pieśni jego były nie tylko pobudką: były hasłem i nakazem wielkiej pracy dla jutra.

Jesienią 1817 r. koledzy uniwersytetu wileńskiego: Tomasz Zan, Jan Czeczot, Franciszek Malewski, Józef Jeżowski i Onufry Pietrunkiewicz — zawiązali tajne towarzystwo Filomatów, czyli miłośników nauki. Kochać ojczyznę, naukę i cnotę, pracować dla dobra kraju, szerzyć zamięłowanie oświaty, wyznawać zasady prawdziwej moralności, doskonalić się — oto były cele Filomatów. Z biegiem czasu stowarzyszonych przybywało coraz więcej; zamknęło ściślej koło pierwotnych inicjatorów; stowarzyszenie otrzymało stopień drugi — Filaretów. Prócz tego

Tomasz Zan stworzył jeszcze jeden okręg związku—t. zw. Promienistych. Stowarzyszeni nie mieli na myśli żadnych ukrytych celów politycznych: wytworzenie związku duchowego, kształcenie się wspólne, zachęcanie wzajemne do pracy — były jedynym ich celem. Tajność związku tłumaczyć należy chęcią wyswobodzenia się z pod kontroli i krytyki profesorskiej oraz pragnieniem pracy samodzielnej, prowadzonej na własną rękę. Drugim powodem tajemniczości był może duch, unoszący się wówczas w całej Europie; na zachodzie tworzone spiski i tajne stowarzyszenia; młodzież po uniwersytetach tworzyła związki burszowskie; we Francji zawiązywano spiski celem wypędzenia Burbonów, w Hiszpanji i Portugalji chwiała się trony. Młodzież filarecka, nie zakładając w organizacji swej celów politycznych, mimowoli przejmowała się zapewne duchem, panującym ogólnie. (Na sprawę tę rzucają nowe światło świeże odkrycia prof. Kallenbacha. *Red.*)

Dniem zebrania filareckich były niedziele. Odczytywano na zebraniach tych prace stowarzyszonych, początkowo rozprawy uniwersyteckie, przeznaczone dla profesorów, następnie rzeczy zupełnie samodzielne, naukowe lub literackie.—Duszą związku był Adam Mickiewicz.

„Radzono się go w rzeczach, tyjących się kierunku zasad i celów — pisze Domejko — bo jego sokoła oko widziało dobrze i daleko“.

Ważnością swego stanowiska w tajnym Towarzystwie był Mickiewicz bardzo przejęty: najlepszym dowodem jest jego wiersz, pisany w r. 1818, będący programem i pobudką dla Filomatów. Charakterystycznym niezmiernie dla psychologii twórczości Mickiewicza jest właśnie ten występ jego na polu poezji. Pisany przez młodego, dwudziestoletniego, chłopca i to w czasie, w którym w sercu jego zaczynało się budzić uczucie dla Marji Wereszczakówny, nie był ten wiersz pieśnią miłości. Poeta nie wyrażał w nim subiektywnych uczuć tęsknoty, smutku lub radości, nie skarżył się z osobistych zawodów, lub niepokoju; myśl jego w chwili, gdy po raz pierwszy schwytał za pióro, jakby zapowiedź całej jego przyszłej pracy twórczej, zwróciła się nazewnątr, na całe to pole działania, które przed nim leżało — na pole pracy wspólnej, pracy, wiodącej do udoskonalenia siebie i innych. Już nietylko ten sam zwrot myśli uderza w tym wierszu, lecz dziwna powaga i dojrzałość, jaka cechuje każde zdanie. Wiersz, w którym młody poeta podaje rozumne rady,

wskazówki i przestrogi, tak przydatne w przyszłości, płynnie równo i harmonijnie, wzorowany na trzynastozgłoskowcu Trembeckiego, kształcony na wzorach greckich.

„Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna“, woła poeta. Pole do pracy mamy obszerne, otwarte, „nowe tworzym gmachy na nowej posadzce“, trud nasz — wielki, ale cel — szlachetny! Pracujmy wspólnie; „wszyscy chciejmy dokonać“, a dokona ten, komu siły starczy. — I dalej uczy towarzyszy, zachęcając do wytrwałości i nieustawiania w pracy:

Tak, im kto wyżej stał, w większy trud się wpręga.
I tym się nawet zniża, że wyżej nie sięga...

Im wyżej, tym usilniej wyęzajcie pióra,
Ażby, sławy podniebne dosięgłszy opoki,
Innych tam braterskimi zachęcali wzroki...
Wszak praca — nasze bóstwo, przyjaźń — nasze godło;
Aby kiedyś świat cały, zgodnie wiążąc dłonie.
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie“.

Radząc następnie, aby, czyniąc wybór nowych członków Towarzystwa, przyjmowano jedynie godnych tego, kończy zapewnieniem:

Gdy, osobne urazy topiąc w niepamięci,
Każdy na wspólne dobro wszystkie zwróci chęci,
Zgodną przyszłość przeszłości zmierzając rachubą.
Będziemy wzorem innym, sobie samym — chluba

Pisany z głębokiego przekonania i poważnego przejęcia się zadaniami pracy społecznej, nie posiada jednak wiersz ten ognia entuzjazmu i zapału.

Mickiewicz pisał go więcej rozumem, niż sercem; wieszczy, entuzjastyczny duch, który miał mu dać wizję słonecznego celu i drogi, która ku niemu wieść miała, a który, jak płomień, miał w nim rozgorzeć, tlił się dopiero w pierwszych, nieśmiałych iskierkach. Nie stawał tu Mickiewicz, jako wódz, który do walki porywa; on występował dopiero, jako ten, który z pewną nieśmiałością jeszcze poddaje myśli; i nie zwracał się tutaj do wszystkich — ścisłemu kołu braci wybranych kazał iść w świat przebojem i walczyć. I dlatego jest „wieszcz filomacki“ tym żywym, wulkanicznym wybuchem natchnienia, który w dusze ludzi uderza, jak grom. Mickiewicz nie wiedział jeszcze wtedy, że tylko słowo, rzucone do wszystkich, że tylko nakaz, dany miljonom, może w sercach wzbudzić

ogień zapalał. Patrzył jeszcze tylko w dusze ściśle zamkniętego koła wybranych. Ale miała niebawem nadejść chwila, w której zawołał: razem! chwila, w której poznał i ukochał miliony.

Mieszkając w Kownie, w pobliżu Prus i Kurlandji, miał Mickiewicz sposobność zapoznać się z bogatą literaturą niemiecką. Głośna podówczas książka p. de Staël „O Niemczech“ zwróciła zapewne jego uwagę na przywódców ówczesnego ruchu literackiego: Goethego i Szyllera, oraz na poprzedników ich: Klopstocka, Lessinga, Wielanda i Herdera.

Epoka t. zw. „silnych duchów i zapędnych burzycieli“ była w Niemczech poprzedzona literaturą drugiej połowy XVIII stulecia, literaturą przejętą już duchem rewolucyjnym. Krytyczna filozofja Kanta, urodziła burzycieli dawnego literackiego i społecznego niewolnictwa.

Rozpoczęto zaciętą walkę z filisterją, przygotowując umysły otoczenia na przyjęcie wolnego, niespełnanego niczym ducha, który w całej jawności i sile miał się objawić w następnej gienieracji poetów.

Ponad wszystkimi drobniejszymi pracownikami na polu odrodzenia narodowej poezji — stał Klopstock, Wieland i Lessing. Kiedy Klopstock jednak trzymał się wzorów angielskich, a Wieland otwarcie zaliczał się do stronników wzorów francuskich, pierwszy Lessing, ów patryjarcha niemieckiej, duchowej wolności, zapragnął stworzyć rzeczywiście narodową, wolną poezję. Był on niejako zwiastunem krytycznym Goethego i Szyllera; dał hasło naturalnego pojmowania literatury i życia; pierwszy założył w Niemczech estetyczną krytykę. Za kapłana i apostoła ludzkości w literaturze niemieckiej — uważany jest Herder, twórca „pomysłów do filozofji dziejów rodzaju ludzkiego“, pisanych z wielką miłością świata i ludzi, którym wróży możność nieskończonego wydoskonalenia się. On pierwszy również otworzył swoim współczesnym oczy na Szekspira i Osjana, a pisząc swój „głos ludu w pieśniach“, zwrócił uwagę na niewyczerpane bogactwo źródeł ludowych.

Lessing i Herder stanowią przejście od poetycznych, krytycznych rozpraw do oryginalnej a gienjalnej twórczości, która miała się w krótkim czasie objawić. W końcu XVIII w. wytworzyły się w Niemczech dwie grupy poetów: północna i południowa; kółko młodzieńców, należących do grupy północnej, założyło w Gietyndze,

w r. 1772, związek poetów, oparty na religji, enocie i uczuciu. Czcili oni Klopstocka, jako Mesjasza poezji, a między sobą łączyli się czułą i rozmarzoną przyjaźnią. Duszą związku był Jan Henryk Voss, będący wybitną i prawdziwie męską postacią w historii literatury; w stosunku ze związkiem, oprócz członków rzeczywistych: Höltzera, Millera, Kramera, Hallera i Stolbergów — był między innymi Bürger, piewca uczuć wolności i prawdy.

Grupa poetów południowych nie łączyła się w żadne określone związki, tworzyła jedynie towarzyskie koło pokrewnie myślących ludzi. Całe to koło, pełne mocnych zapędów ducha, obdarzone siłą uczucia i trwałymi przekonaniami, składało się między innymi z Klingera, poprzednika bajronizmu i nowej francuskiej romantyczności, pełnego olbrzymiej śmiałości, zrywającej wszystkie zapory; Müllera, jednego z „zapędliwych burzycieli“, a wreszcie Jana Wolfganga Goethego. Na podstawie wzniezionej przez poprzedników, na sile i entuzjazmie zapędów rewolucyjnych grupy twórców z nad Renu i Menu, zbudował Goethe swoją poezję pozornej harmonji wszechbytu, ugruntował swój olimpijski spokój wielkiego twórcy. Podobnie, jak Goethe, i Szyller opiera o tego ducha burzenia tę dziwną oryginalność i siłę duchową, będącą cechą całego tego okresu. Pomiędzy dwoma przyjaciółmi są jednak różnice zasadnicze: twórczość Goethego wypływa z życia, — nawet poetyczne postaci, stworzone przez niego, są realne, rzeczywistości nadaje postać idealną. Szyller natomiast pragnie niemal zupełnie zniszczyć rzeczywistość, pieśni jego wypływają z rewolucyjnej pracy jego myśli, żyje cały w krainie ideału.

Gorąca, entuzjastyczna poezja Szyllera, zakładająca niemal wszystko na świętych związkach przyjaźni, podniecała szczególnie Mickiewicza. Rozczytując się w utworach jego, przejmując głębią myśli i uczuć, upajając się miłością wszechludzką i pewnością, że ta miłość świat przerodzi i wepchnie na nowe tory — mimowoli budził w swojej duszy echo wspaniałej odezwy niemieckiego wieszczka.

Jeżeli jednak mówić mamy o wrażeniu, jakie utwory Szyllera wywierały na Mickiewicza, należy zrobić pewne zastrzeżenie. Żaden duch prawdziwie twórczy nie może nigdy opierać się na ideach, zaczerpniętych ze źródeł obcych. Niepodobniestwem jest, aby czerpał z duszy obcej — i, aby czerpiąc z niej, nastrajał świadomie harfę

swoją na ton pokrewny. Duch twórczy nie może stać się zależnym, on w sobie samym kryje całą tajemnicę hasła wiekuistego piękna i prawdy. W nim od najpierwszej chwili jego poczęcia tkwi już to wszystko, co ma stać się tak dla niego samego, jak i dla tych, którymi przewodzi — nakazem, hasłem i całą ewangeliją życia. I dlatego wpływy obce ograniczać się mogą tylko do wrażenia. Mogą odgrywać jedynie rolę iskry, rozpalającej wielkim płomieniem tlejące ognisko. Nie są one ziarnem, zapładniającym duszę poety, one są tylko głosem, budzącym to, co istnieje, co jest, co było zawsze; one przyczynić się mogą jedynie do uświadomienia istotnej treści wewnętrznej, do samopoznania.

Podobnież działo się z Mickiewiczem. Iskry rewolucyjnej pieśni Szyllera padły w żarzące się już ognisko uczucia. Trzeba było tylko tej silnej podniety z zewnątrz, aby nieśmiało dotąd tlejący płomień wybuchnął nie po jedynym słupem ognia, lecz całym pożarem: miłości, piękna i ukochania czynu.

Ażeby dobrze zrozumieć wrażenie, jakie idealne porwy Szyllera wywierały na młodocianego poetę, należy dobrze zdać sobie sprawę z ówczesnego nastroju jego duszy. Przejęty ogromem i ważnością prac społecznych, posłannictwem i powinnościami każdego człowieka, a w szczególności każdego twórcy, podniecony tajemnym zadaniem związku filomackiego i swoim wpośród stowarzyszonych znaczeniem, był Mickiewicz niezmiernie czuły na wszelkie hasła ideowe.

Pragnąc wspólnej pracy dla wspólnego dobra, pracy, któraby świat istniejący odrodziła wewnętrznie i wprowadziła na inne, piękniejsze i szczytniejsze, drogi, pragnąc trwałych i prawdziwych związków przyjaźni, która dałaby w szranki walczących stanąć wszystkim i wszystkim walczyć wspólnie — miał Mickiewicz na myśli jedyny cel — uszczęśliwienie innych. I to jest dla psychologii jego niezmiernie ważne: doskonałość i nieskazitelność wewnętrzna nie była dla Mickiewicza celem sama w sobie, ona była niejako jedyną drogą, na której można osiągnąć szczęście, warunkiem, bez którego nawet on sam nie mógłby większego, niż Bóg, uczynić cudu: zanucić światu pieśni szczęśliwej.

„Co ja zechcę—niech wnet zgadną, spełnią—tym się uszczęśliwią“—mówi, a to, czego „zechce“, czego pragnie, co jest, według niego, koniecznym warunkiem uzyskania

szczęścia, to nakazuje tym wszystkim, których ukochał. Bo nie można powiedzieć o Mickiewicz, że on uczy. Czyż nauką jest „Oda do młodości“, albo „Pieśń filarecka“? Czyż można nazwać je wykładem zasad lub przepisem moralnym? Nie, one są hasłem i nakazem, one są wiekuistą ewangeliją pokoleń, pieśnią najwyższych prawd, one są jak potężny głos wodza, który w dusze ludzi uderza, jak grom, i woła: naprzód!

Gdy przeglądamy „Pieśń filarecką“ i „Ode do młodości“, jednocześnie z poematami Szyllera, mimowoli nasuwają się na myśl porównania i spostrzeżenia, dotyczące uderzających w obu utworach podobieństw. Uwagę naszą uderzają zarówno pokrewieństwa ideowe, pokrewieństwa treści, jak i strony zewnętrznej. Forma utworów, wykazanych niżej—pokrewna, zwroty stylu nieraz omal, że identyczne. W szczególności: „Die Freundschaft“, „An die Freude“, „Das Ideal und des Leben“—wywarły niezaprzeczone wrażenie na Mickiewicza, wrażenie, które przejawiało się w „Odzie do młodości“, nie będąc jednak bezwzględny i nie zacierając indywidualnych, charakterystycznych cech Mickiewiczowskiej poezji.

To, co głównie różni poezję Szyllera i Mickiewicza, co nadaje im ton, pomimo mnóstwa myśli i uczuć pokrewnych, wręcz odmienny—to różnica charakteru pojęć ich o cel, jakiemu hasłami swemi służą.

Poezja Mickiewicza jest poezją czynu, poezją życia. Mickiewicz nie lubuje się w tym, co nazywamy sztuką dla sztuki, hasłem jego jest sztuka dla życia; nie przyswaja sobie mglistych, tchnących mistycyzmem rojeń Szyllera. Przyjaźń i miłość, będąca dla Szyllera sama w sobie najwyższą rozkoszą ducha i celem najwyższym, dla Mickiewicza jest drogą do zdobycia „szczęścia wszystkich“. Młodzieńczość i żywotność natchnień jego nie dozwalała mu idealizować i roić bezcelowo. On widział zawsze przed sobą ten jasny, świetlany punkt, ku któremu dążył; on, poza swą świętą siłą i mocą duchową, był człowiekiem z krwi i kości, przyjacielem, który kochał nie marzycielsko, ale szczerze i prawdziwie, wodzem, który, widząc za sobą miliony ludzkich dusz, nie pragnął rozpląnąć się w bezkresnym morzu wiekuistej światłości, lecz w jedno ognisko kazał myśli i duchy zestrzelić, a ramionami silnie opleść kolisko ziemskie. W Mickiewicz, tkwił głęboki instynkt życia, który mu szeptał, że, aby przetrwać i uduchowić ludzką myśl, wiarę, sumienie, należy

opanować rzeczywistość, należy iść poprzez krew serdeczną, poprzez ból i cierpienie świata. Wiedział, że duch dany jest na to, aby rwał łańcuchy, aby przebojem wiódł naprzód w nowe, nieznane światy. Dojrzał także, że te światy nowe leżą w nas, w naszej energii i naszej woli i że drogę ku nim znajdziemy, wiedząc z sobą czyn. A czynem jest dla niego nie tylko walka orężna, nie tylko praca siły fizycznej; czynem wielkim i nieśmiertelnym stać się może dzieło myśli — jeden przemożny okrzyk nadziei i wiary.

Wręcz odmiennie przedstawiają się w tym wypadku pojęcia Szyllera. Jest on typem idealisty, oderwanego zupełnie od świata, żyjącego w krainie własnych marzeń i własnych snów. Rzeczywistość dla niego nie istnieje; ból, łzy i smutki świata niezdolne są poruszyć jego duszy, zatopionej w zaziemskich rojeniach. Do innych bezkresnych światów ducha, o jakich marzy, szuka drogi — Mickiewiczowskiemu czynowi wręcz odmiennie. Uniesienie się w krainy „wiecznie młodej fantazji“, przyczepienie do ramion skrzydeł czystych i nieskazitelnych, nie zszarganych krwią cierpiącej ziemi, zapatrzenie się ekstazy w słoneczną twarz bóstwa, królującego „ponad gwiazdami“, wyegzaltowanie uczuć miłości, wiary i przyjaźni — oto droga, wiodąca do „wyanielenia“. Droga to usiłowań mistycznych, droga, że tak powiem, pracy biernej. Życie i praca duchowa zabiły w Szyllera syna ziemi, człowieka, mającego w żyłach krew. Jego mocne, entuzjastyczne okrzyki nie robią wrażenia rwącej wszystkich tam, burzącej się krwi. To zapal i entuzjizm, mimo siły uczuć, zimny, bezkrewny, przeduchowiony i zbyt abstrakcyjny.

Gdy w górną wzlecieć chcesz drogę —
Z ziemskiego wyrwij się kału
I, ziemską rzuciwszy trwogę,
Szybuj w świat ideału!

— woła. Podobnież mówi Mickiewicz: „Młodości, podaj mi skrzydła! Niech nad martwym wzlecie światem. W rajską dziedzinę ułudy“. Ale wznieść się pragnie nie dlatego, aby o niedolach świata zapomnieć, lecz dlatego, aby stamtąd, z wysoka na ziemię spojrzeć i w perspektywicznym oddaleniu ujrzyć wieczną mgłę, wieczną gnuśność tej ziemi, która jest państwem „płazów w skorupie“ — samolubów, i móc potem skuteczniej do pracy wzywać

i skuteczniejsze hasła tworzyć. Szyller zaś myśli tutaj i czyni inaczej. On, każąc wznieść się w krainę ideału, dodaje:

Spal śmiało mosty za sobą,
Z ojczyzny wolnym ujdź ptakiem,
Boć wszystkie wiodą do grobu
Ścieżki, co życia są szlakiem.
Czym byłeś, ziemski mocarzu,
Coś posiadał, poświęć radośnie,
Niech na przeszłości cmentarzu,
Kwiat zapomnienia wyrośnie.

On każe o życiu przeszłym, o życiu ziemskim zapomnieć i raz na zawsze myśli od niego oderwać:

Bo w tej świątyni wolności
Złych wspomnień ujdziem natłoku,
Tam żal, ni troska nie gości,
Tam łza nie zaćmi ci wzroku.

Bo cóż dla niego znaczą ludzkie łzy, ludzkie niedole i smutki? Kraina piękna i sztuki jest dla niego światem rzeczywistym: „ewig jung ist nur die Phantasie“.

I tu już tkwi wyższość ideałów Mickiewicza; tu widać już większe bogactwo jego duszy. Szyller czuje tylko niebo, Mickiewicz umie odczuć i niebo i ziemię; Szyller ma wzrok wytężony jedynie w przyszłość, Mickiewicz bystrym okiem obejmuje i to, co było, i to, co jest, i to, co przyjść powinno. Tamten jest tylko duchem, ten łączy w sobie Boga i człowieka. Tamten widzi przed sobą tylko wymarzoną szczęśliwość, ten widzi przedewszystkim ból istniejącego porządku rzeczy.

I oto, co sprawia, że drogi, wiodące pozornie obu twórców do pokrewnych celów, stają się rozbieżnymi. Zasadnicza treść duszy każdego jest wręcz odmienna; źródło, z którego wypływają fale ich ducha, dla jednego jest źródłem ekstatycznych uniesień i radości, dla drugiego — źródłem umiłowania życia i bólu.

Co zadzierzgnęło te węzły silne, łączące Mickiewicza z ziemią, ludźmi i życiem? Co stało się powodem, że, nosząc w duszy hasła miłości i braterstwa ludów, pragnienie szczęścia całej ludzkości, był przedewszystkiem wieszczem własnego narodu, że, będąc człowiekiem, nie zapomniał być Polakiem? Jest na to jedna odpowiedź: rzeczywistość. Mickiewicz był synem „narodu tragicznego“,

żył, jak niewolnik, „okuty w powiciu“, patrzył na męki i krew braci. I ten ból niewolniczego istnienia narodu stał się jego bólem, krew, przelana męczeńsko, jego krwią, bunt, który się rodził z rozpacz, buntem jego duszy. Mickiewicz nie mógł bujać w abstrakcjach, nie mógł tworzyć ideałnych, bezkresnych krain szczęśliwej myśli;—on „naród wcielił w siebie“, a więc wcielił cały ogrom nie-
szczęścia jego niewoli, on naród chciał uszczęśliwić, a więc—dać mu wolność. I oto dotarliśmy do najgłębszej i najistotniejszej treści duszy Mickiewiczowskiej—pragnienia i umiłowania wolności.

Wszystko, co czyni i mówi Mickiewicz, jest walką o tę wolność; wszystko wie dzie tam, gdzie, po rozrzu-
niu niewolniczych pęt, zakwitnąć ma życie wielkie, nowe, wszechstronne. Bo Mickiewicz nie pragnie jednego tylko życia, życia duszy: on chce zwycięstwa na całej linji, on nie chce Polski zrobić „Chrystusem i żebrakiem“ narodów.

„Zwycięstwo! nie to, które wyrzeka się ciała i krwi i mocne się być zapowiada anielskimi skrzydły, a jego oblicze trupiego wdzięku tchnie urokiem zabójczym. Zwycięstwo... ze krwi i ciała, z woli żywej i żywej potęgi!“—(Wyspiański—„Wyzwolenie“).

I Mickiewicz naprzebój iść pragnie tam—i tam za sobą wieść, gdzie można wejść tylko siłą. Wie, że nie dosyć jest mieć ducha, należy mieć jeszcze wolę. Życie nie powinno tworzyć się samo, życie należy tworzyć. Stąd w słowach Mickiewicza wieczna walka, nie niosą nam one z sobą wolności — niosą dopiero walkę o nią, ale walkę, która się ze śmiercią nie kończy. Bo Konrad-Mickiewicz „jest w każdym człowieku, żyje w każdym sercu“.

Szyllerowski sen o wolności — to sen piękny, świetlany, promienny. Kryje się w nim radość wiekuista nieskazitelnej rozkoszy i harmonji dusz. Wolność to bez kresu, bez tam, nie oznaczona żadną granicą ziemską. Naród, państwo, ziemia, krew — pozostają gdzieś daleko, w dole, w zapomnieniu. Szyller śpiewa pieśni o duszy wszechludzkiej, zna tylko abstrakcyjną wolność ducha.

Dodać jednak należy, że Szyller wzrósł i żył w innych warunkach, że męki duszy narodu, pozbawionego wolności, były mu zupełnie obce. Nie znał więzów, dzierżących w żelaznych okowach ciało, nie znał jęków tortury i „mak sybirskich“. Boska światłość duszy ludzkiej

jest uwięziona przez ciało, tamujące jej rozwój — oto jedyna, znana mu niewola, przeciw której podnosi bunt.

„Człowiek, myślący tak górną, jest grzybem społeczeństwa, w którym raczy przebywać“—mówi Konrad-Wyspiański—i do pewnego stopnia ma słuszość. Należy bowiem zwrócić uwagę, że człowiek, który wogóle może myśleć jedynie „tak górną“, nie jest i nie był dla narodu swego taką bezwzględnie koniecznością, jaką był dla nas Mickiewicz. Wolny naród niemiecki nie potrzebował koniecznie wskrzesiciela, polski — istnieć bez niego nie mógł. Wiadomo, że niewola budzi stokroć silniejszą reakcję; naród polski pragnie pełni życia i pełni czynu. Konrad-Wyspiański mówi prawdę: „Oto Polska, Polska żywa, królestwo nie krzyża, lecz zbawienia jest duszy naszej własnością i tęsknotą“.

Leitmotytem twórczości Szyllera jest piękna, idealna miłość, obejmująca bezkresne światy ducha:

Natchnieni przez miłość
Bogowie; — przez miłość
Człowiek — obraz boży.
Miłość niebo zdwaja,
Z ziemi obraz tworzy...

Miłość jest warunkiem wejścia do ziemi obiecanej, blaskiem słonecznym rozjaśnia „kraj wiecznej nocy“. Szyller jest piewą miłości, tak jak jest głosicielem uczuć przyjaźni, radości i wolności, nosi w sobie entuzjazm dla wszystkich przejawów piękna i sztuki. Ukochawszy promienne światy idei, światy nieskazitelnej piękności dusz, Szyller rwie się ku nim, nie patrząc poza siebie. W miłości jego niemasz miejsca dla biednych i małych, dla tych, którzy cierpią cicho i skromnie. Uczucie jego wyrosło nie z więzów, łączących go z ziemią, bo on sam istnieje, jakby oderwany od życia, ale z rewolucyjnej, głębokiej pracy jego myśli.

I oto znów rys niezmiennie znamieny, bodaj, że jeden z najgłówniejszych, pozornie łączący nicia pokrewną utwory dwóch wieszczów.

Wszak i Mickiewicz głosi miłość, wszak jego niemal że najpierwsze słowo było: „miej serce“, wszak on w to serce każe patrzeć i jego sokami żyć. Ale, kiedy Mickiewicz woła: „za miliony kocham“, to zaraz dodaje: „cierpię...“; kiedy Mickiewicz ramiona miłosne na cały naród rozpostrze, to szaleje z męki. Bo on widzi, że cała

ziemia czarna jest od zakrzepłej krwi, a cały naród mrący w męce ukrzyżowania; bo u niego ból, który rodzi wszechpotężną miłość, jest właśnie bólem ziemi. I dlatego ukochanie jego — to ukochanie wszystkich, najdrobniejszych nędz tego świata. Mickiewicz cierpi i kocha, zarówno za wielkich i silnych, przebojem idących w świat, jak i za te miliony drobnych dusz, rwących się w męce codziennego istnienia. I w tym tkwi może przejmująca moc jego słów, to może sprawia, że, kiedy twórca niemiecki raczej wybranych i powołanych porwać za sobą może, Mickiewicz w każdym sercu wzbudzi echo pokrewne i każdego za sobą powiedzie.

Idea braterstwa ludzi panowała w duszy Mickiewicza. Przyjaźń była jego godłem i hasłem, porozumienie i łączność wewnętrzna — pragnieniem. Mickiewicz przyjaciół swoich kochał zdrowo, prosto i szczerze; gdyby zaszła potrzeba, oddałby za nich duszę, wymagał jednak wspólnej pracy i wspólnych wysiłków: „Razem! młodzie przyjaciele! W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele! Razem, na przód, jednością silni i szale — rozumni. Wszyscy dla wszystkich, nie — dla samego siebie.

Uczucie egoizmu dla Mickiewicza nie istnieje; „samoluby“ — to dla niego „płazy“, które gardzi; tylko ci, którzy ukochali „wszystkich cele“, godni są nosić miano ludzi.

Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy — mówi, Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.

Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie — Zapomnij o swym prosku, zważ na ogrom świata.

Walki, które wieść musiał z sobą Mickiewicz, aby zwalczyć czysto ludzkie uczucie miłości samego siebie, aby wytępić z duszy swej najdrobniejsze ziarna egoizmu — zakończyły się wielkim zwycięstwem umiłowania „miljonów“; całe życie jego stało się jednym, wielkim czynem altruistycznym. Stojąc na czele narodu, będąc wodzem jego, był Mickiewicz jednocześnie jego najniższym i najwierniejszym sługą. Mickiewicz nie tylko rzucał hasła i nakazy, on pierwszy stawał w szeregach walczących, a na czele szedł nie tylko, jako ten, który przewodzi, ale i jako ten, który pierwszy w pierś własną ciosy przyjmuje. Mickiewicz był w uczuciach swoich despota, bo narzucał je światu gromową siłą, był jednak jednocześnie pokornym żołnierzem Chrystusowym.

U Szyllera nie widać zdrowych, serdecznych uczuć braterstwa i przyjaźni. Prawda, hołduje im niemal każdym słowem, egzaltuje się i wpada w przesadne upojenie; miłość jego dla przyjaciół, opiewana przezeń wielokrotnie, nie daje jednak wrażenia siły i szczerzej, żywotnej prawdy.

...Przy boku twoim, drogi Benjaminie,
Gdzie rzesza duchów bezustannie płynie,
I ja chętnie podróż ważę.
Ciebie w milionów znalazłem zamęcie,
Z milionów — ciebie chwyciłem w objęcie,
Z milionów jesteś moim...
...Czyliż z ócz twoich skrzącego ogniska
Odbita, własna rozkosz mi nie błyska?
Jedynie w tobie się zachwyczę.
Piękniej oblicze widzę ziemi piękne,
W najczystsze niebo swoją duszą sięgnę —
Patrząc w twoje drogie lice.

(Tłom. Klemens Bogucki).

Nosi to cechy chorobliwie wybujałego uczucia, sentymentu, mogącego być jedynie wyrazem duszy rozegzaltowanej i rozmarzonej.

Kochając przyjaciół swoich, wywiera Szyller wrażenie, że ich kocha dla samego siebie. W utworach jego przebija się egoistyczne pragnienie szczęścia własnego. Życie, w którym poeta widzi szczęście osobiste, ma być życiem i szczęściem świata, nie, jak u Mickiewicza, u którego życie i szczęście świata ma się stać dopiero jego własnym. Duch, przejmujący Szyllera, jest raczej antyspołeczny, działalność jego raczej odśrodkowa, odrywająca od koliska ziemskiego, unosząca w krainy szczęśliwości mistycznej.

To życie w zaświatach, z samego już porządku rzeczy, wytworzyć u Szyllera musiało pogardę dla praw zimnego rozsądku, niechęć do „filozofowania“, zabijającego analizą porywy uczucia. W wierszu „An einen Moralisten“ twierdzi, że „filozofja bogów z ludzi nie robi“, gdzieindziej zaś mówi: „przez miłość ludzie stają się bogom podobni“, uderzając w ton, pokrewny Mickiewiczowi. Antagonizm między uczuciem a rozumem, między człowiekiem natchnieniem a człowiekiem scholastycznym, między „szkiełkiem i okiem mędrca“ a sercem choćby największego prostaka, — stanowi również jeden z motywów

twórczości Mickiewicza. I tutaj obaj schodzą się u jednego źródła: wiary w siłę i moc uczucia.

Przechodząc dalej, zwrócićby należało uwagę, jak u obydwoh twórców przejawia się uczucie wiary. O Mickiewiczu wiemy, że był religijny i wierzący od lat najmłodszych; epoka mistycyzmu, wpływy Towiańskiego utrwaliły i pogłębiły jego ufnosć i miłość Boga.

Szyller wierzy również; wierzy, że gdzieś, wysoko, „ponad gwiazdami“ króluje Bóg, dobry ojciec, który za trudy życia sownicie wynagrodzi.

Państwo szczęścia i piękna wiekuistego jest dla niego państwem Bożym.

Chyżo, jak te jasne słońca
Po wspaniałym mkną błękiecie,
Toczymy mężnie nasze życie
Do jasnego prawdy słońca —
Radość w prawdy tkwi kryształ — —

woła w swej pieśni „An die Freude“ —

...Nad gwiazdami wieniec splata
Bóg potężny naszej cnoty.

(Tłom. J. N. Kamiński).

„Radość w prawdy tkwi kryształ“ — woła — i oto nagle — to jedno słowo: radość — staje się dla nas tłumaczem duszy Szyllera. Szyller każe iść przed siebie z radością, w krainę obiecaną patrzeć z radością, tam, kędy wiecznie brzmi niemilknący hymn: „An die Freude!“ —

Dostrzegamy, że wieczna radość jest podłożem jego duszy; że to, co czyni, czyni w imię radości i szczęścia.

Radość dźwignią jej i duchem
W przyrodzenia wiecznym szyku,
Radość toczy koła ruchem
W wielkim świata godzinniku.
Wywołuje z ziarna kwiaty,
W głębiach nieba słońca budzi,
Po przestrzeniach pędzi światy —
Niedościgłe szklami ludzi!

(tłom. Karol Brzozowski.)

Szyller nie potrafi nawet odczuć bólu, nie ma najmniejszej umiejętności cierpienia. Wiodąc w światy nieznane, przeczuwa i widzi jeno radość z mogących nastąpić przewrotów duchowych; ból istniejącego porządku

rzeczy nie istnieje dla niego. I stąd pochodzi spokój i niezmacona pogoda jego utworów; Szyller jest piewą radości, jest apostołem szczęścia — przez szczęście.

I oto skąd wypływa jeszcze różnica natchnień Szyllera i Mickiewicza. Naprzeciw piewy radości — staje poeta bólu; dusza jego jest jasna i czysta, przepalona w próbach cierpień ogniowych, serce przepojone serdeczną krwią ziemi.

Rewolucyjna praca Szyllerowskiego ducha nie nosi na sobie znamion gwałtownych przewrotów, buntów i walk wewnętrznych; Szyller ufa, wierzy, kocha i śni w państwie radości, nie szarpiąc się wewnątrz i nie walcząc. Gdy myśli o Bogu, to jako o sprawiedliwym, dobrym i łagodnym panu świata; momenty rozpaczliwego buntu są dla niego zupełnie obce.

A Mickiewicz? Z jego duszy zrywa się lawina uczuć niehamowanych, nie znających tam, nie zaspokojonych. On się buntuje, walczy, zrywa łańcuchy; on pędzi naoslep tam, „gdzie graniczy Stwórca i natura“, błąka się wśród „gwiazd kołowrotu“, szaleje i w szaleństwie wzywa siły zdobywczej — z Bogiem lub nawet mimo Boga. Mickiewicz ponosi duch; poza brzegi przepelnia serce jego otchłań żądź istniejących i bezmiar wysnionego szczęścia.

Na zakończenie zwrócić muszę uwagę na garść rzeczywistych podobieństw, uderzających w Mickiewiczowskiej „Ody do młodości, oraz Szyllera: „An die Freude“, „An die Freundschaft“, „Das Ideal und das Leben“. Spotykamy tu wyraźne podobieństwa myślowe, w połączeniu ze zwrotami stylu, nieraz niemal identycznymi; są to, ma się rozumieć, podobieństwa nieświadome zupełnie; nie można mówić o jakimkolwiek naśladownictwie lub wpływach decydujących. W zasadniczych myślach swoich jest „Oda do młodości“ jedynie rozszerzeniem i pogłębieniem hasła wiersza filomackiego, a więc pobudką nawskroś oryginalną.

„Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy!“ — woła Mickiewicz, a nam mimowoli brzmi w uszach Szyllerowskie: „Martwe są bryły — w nienawiści ludzie, bogi — gdy toną w miłości uludzi!“ Mickiewicz każe wlatywać „w rajska dziedzina uludy“; Szyller wzywa „za sobą w krainę ideału. Mickiewicz każe iść naprzód, „choć droga stroma i ślizka“, — każe „poległym ciałem dać innym szczebel do sławy grodu“; Szyller wzywa: „Na świat lepszy — cierpcie, młodzi! Znoście trudów miliony“, a kiedy

mówi: „Nad losem tylko silny zapanuje — słabość legnie wśród pogoni“ — to słyszymy słowa Mickiewicza: „A ze słabością łamać uczmy się za młodu.“

„Hej! ramię do ramienia! wspólnymi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko, zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“. U Szyllera słowem tym odpowiada: „wyżej i wyżej dążmy ramię w ramię... Obra- mieniecie się, miliony... Pocałunek całej ziemi!“ — A kiedy dalej mówi: „Czyż to nie był ów popęd wszechmocny, Co ku wiecznym tryumfom miłości nasze serca pociągnął ku sobie?“ — słyszymy: „Oto miłość ogniem zionie, Wyjdzie z zamętu świat ducha; Miłość go pocznie na swoim łonie, A przyjaźń w wieczne skojarzy spółnie!“

Gdyby jednak przyszły komu na myśl refleksje na temat wspomnianych pokrewieństw, to najistotniejszym zaprzeczeniem naśladowictwa byłby duch, z „Ody do młodości“ bijący; byłby ten orli wiew skrzydeł, rwących w przestworza, byłaby ta młoda a nieugięta moc, która tworzy z niej nieśmiertelny zakon młodości.

O „Odzie do młodości“ i o ody tej sile pisze Artur Górski:

„W niebaczonej może chwili wybiegła ta pieśń na usta jego młodociane, i odtąd, jak urok rzucony, zabrała, spętała całe życie litewskiego śpiewaka. Odtąd duch jego, fatalną siłą objęty, zrywa się z ziemi, jak ptak olbrzymi, i ginie prawie w niebiosach. — A kiedy wraca z krainy gwiazd wraca na to, by rzucić się na ziemię, jak na łup, wpić w nią szpony spazmem serdecznym, całą ją osłonić skrzydłami. On bez ziemi do niebios nie wróci; on ją tam w szponach zaniesie, z win i błędów łzami własnymi obmyje — i odda niebu tak czystą, jak czystą była przy pierwszych słońca wschodach“. I dodaje: „takim jest lot jego życia, olbrzymi, orli krag; takim serce jego serca, wieczna młodość, wieczne excelsior, wola do wiecznej potęgi.“

— Przeszedłszy swój „Sturm und Drangperiode“, Szyller pozostał klasykiem w wielkim stylu. Było to konsekwentne następstwo jego stanu i prac duchowych; rewolucyjność myśli wiodła do spokojnej harmonii ducha. Mickiewicz dążył naprzód i walczył całe życie:

Kto wyżej stał, w większy trud się wprzęga —

I tym się nawet zniża, że wyżej nie sięga —

mówi. Całe życie być sługą jednej przewodniej idei; całe życie za sobą prowadzić naród! Bo naród, idei wiel-

kiej nie służący, kosztnieje, zatapia się w chłód martwoty, przestaje istnieć. Sięgać wiecznie po nowe życie, działać, bo wszelka bierność — to bezład i śmierć.

W kursach literatury słowiańskiej mówi Mickiewicz: „Różnica, jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych“. I w tych słowach tkwi główny dogmat mesjanizmu. „Duch, który pracuje, który się podnosi, który bezustannie szuka bóstwa, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane słowem, i staje się objawicielem.“

Chwila przeznaczona, chwila koniecznego przełomu, chwila dojścia do potęgi — była dla Mickiewicza chwilą Improwizacji.

I ta chwila wzięła na zawsze ducha jego w niewolę.

W twórczości Mickiewicza cechą niezmiennie charakterystyczną jest niemal zupełny brak obiektywności. Mickiewicz zawsze i wszędzie występuje w swoim własnym imieniu, nie tworzy całej galerii typów, jak Szyller, Goethe, Słowacki lub Krasiński. Jeśli tworzy postać Gustawa, to jest w niej on sam ze swoją słabością i smutkiem, a kiedy Gustaw umiera, a rodzi się w „Dziadach“ Konrad, to i w nim samym kona jakaś słabsza, uboższa część duszy, a budzi się do życia nowa, silna, ofiarna.

Gdy Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza“, to i tam był on sam ze swoją tęsknotą do łąnów pszenicznych i strzech słomianych. „Pan Tadeusz“ był dla niego wychnieniem, był niejako ucieczką od umęczenia pracą i życiem. Ale i ta jedyna powieść względnie obiektywna urywa się i kończy jakoś nagle, gwałtownie, jakby Mickiewicz sam spostrzegł, że nie ta jest droga, po której winien kroczyć. Nuta pragnienia szczęścia i spokoju osobistego urywa się, kończy i nie powraca już nigdy. Mickiewicz łamie pióro; czyn życia staje się dlań ważniejszym od czynu słowa. Porzucając poezję, stając jakoby naprzeciw słowa pisanego, snuje jednak dalej tę samą, nierozzerwalną pieśń swego życia. Bo Mickiewicza twórczość i życie, to jedna nierozzerwalna ciągłość. Nie można powiedzieć o nim, że zostawił nam tylko swoje utwory; on zostawił nam całe swoje życie.

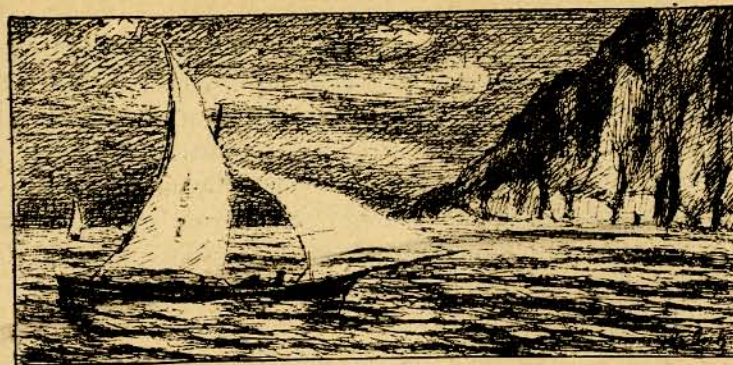
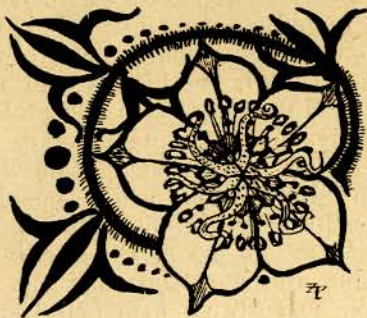
I w tym wypadku nie staram się nawet robić porównań z Szyllerem. Można poszczególnie cechy ich twórczości rozbierać, krytykować i porównywać, ale sama najgłębsza istota ich duszy, sama gienjalna treść ich życia —

nie znosi porównań i podobieństw; Mickiewicz z duszy własnej czerpał wszystkie soki żywotne; ona była dla niego źródłem wieczystym, z którego płynęły nieprzerwane fale wieszczego ducha. Mickiewicz był wieszczem narodu, w nim drżały wszystkie tęsknice, wszystkie bóle, wszystkie pragnienia zbiorowej, narodowej duszy. A że naród nasz żył, a on narodu tego był słowem i czynem, przeto był, przeto musiał być zawsze młody, zawsze nowy i zawsze żywy.

Jeżeli na końcu wspomnieć mamy o Szyllerze, to zaznaczyć trzeba, że, ze względu na Mickiewicza, poezje jego mają dla nas duże znaczenie. Stały się one podniętą dla jego twórczości, bodźcem w pracy, iskrą, budzącą płomień tlejący. Lecz do tego podniecającego wrażenia ograniczają się wszystkie jego wpływy.

Mieliśmy dotąd dwie epoki odrodzenia narodowego ducha: wiek XVI-ty i wiek romantyzmu. Ideały pierwszej epoki odrodzenia ducha — wieku XVI-go, będąc zarodkiem duchowej potęgi romantyków, roztopiły się w niej i zginęły, jak kropla wody w bezkresnym oceanie. Całą zaś ideę wieku romantyzmu wcielił w siebie Mickiewicz. Głosił Wolność, Czyn, Miłość, Braterstwo — hasła, które nie przeżyły się i nie przeżyją nigdy.

„Tym żyjemy — powtórzę za Konopnicką —, bo czymże innym żyć byśmy mogli?“



TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA

powieść z tajemnej Księgi Tatr.

(Ciąg dalszy.)

MESJASZ WSCHODU. W puszczy wśród niebosiężnych jodeł, pod sklepieniami olbrzymów, cichy żywot swój wloką paprocie, czekając na jedyną chwilę Nocy świętego Jana.

Z głazów ciemnozielonych, omszałych cichutko perłą się wśród mchów niteczki srebrzystej cieczy, przechodzą w tkanki lub wypite przez zabłąkany promień słońca w niebo idą na ubóstwiony żywot Obłoku. Naturalnemi mostami z brzegu na brzeg szalonego górskiego kryształnego potoku przerzucają się chmiele.

Potok toczy się pianą z mnóstwem ciemnych, to znów oslepiająco djamentowych wklęsłych zwierciadeł, zdaje się być żywą czarnoksięską baśnią wśród mroczni lasu. W zagęstwiu leśnym wznosił się Turów Róg.

Zbronzowiały i przyciemny, staroświecki zamek pamiętał Zawiszę Czarnego i młodą Jadwigę. Dokoła za-

rósł on trawą i zieleń, wielkie zielone baldaszki litworów roznoszą upajającą woń, jaką ma kwitnienie lip. Na podworcu piętrzył się zniesiony dawnym lodowcem gigantyczny głaz. Deszcze, burze i pioruny nadały mu tajemniczy wygląd jakiegoś, na szczęście nie nadającego się do muzeum zakopiańskiego bożyszcza; głębokie źródło iskrzyło pod nim, czerpak na łańcuszku zapraszał do picia.

Tu zmierzali wędrowcy.

Mag Litwor nachylił się i modlitewnie magnetyzował wodę, zaczerpniętą w dziwnego kształtu ów czerpak drzewny, z rączką, przedstawiającą głowę węża, podczas gdy czara wyobrażała wnętrze kaplicy.

Wodą Tatr odmładzał swoje serce, na zbyt strasznych wyżynach Himalajów przebóstwione.

Arjaman, niby Dantęjski cień, przesuwiał się przez gęstwinę litworów.

Przyglądał się tym okrucinom Polski, jak Wergiliusz Eneidzie na łożu śmierci, zanim wyszeptał przyjaciółom, aby ją spalili.

Mag Litwor odwrócił się i spojrzał w Arjamana, jak słońce, kiedy uderzy w skrzydła czarnego szerszenia i uczyni mrok jego modry, świetnym, niby Medjolańska zbroja.

Mury kamiennych, widno prastarych baszt, nadawały groźnego wyglądu zameczysku. Dziwem jakimś ocalał wśród nawałnic krajowych i wśród lekkomyślnego nierządu, jaki cechuje magnackie życie w Polsce. Moc i krzepota Lechicka były od tajemniczej, groźnej syntezy, którą przedstawiał Turów Róg.

Wstępując po kamiennych skrzyżalach schodów, Mag Litwor rzekł: — jeśli ją chcesz naprawdę, będziesz ją miał. —

Niespodzianami krzyżmi i jutrzeńkowym słońcem zdobne dzwierzce wymagały lepszego widza, niż Arjaman, w którego jakby runął piorun.

Rok wypisany świadczył, że terem stawiony był w czasach bitwy Grunwaldzkiej, a napis gotyckimi znakami wymieniał to dostojne imię: Zawisza Czarny.

Rozwarł Mag drzwi, u wejścia wisiały struny, których każdy wchodzący tu mimowoli musiał tknąć; Arjaman zaplatał się w nich tak, że zamiast cichej melodii, jęły brzmieć potwornie smętne dzwony.

Aż pod ręką Maga Litwora uciszyły się, on zaś, dotykając ich, zdawał się być królem Derwidem. Minęli ciemną sień z okienkami zakratowanymi, dalej jak rektor klasztoru dużą salę: wielki komin, gdzie drzewiej układały się całkowite smolne wykroty, a przy piekącym się odyńcu zgromadzali się myśliwcy, damy, księża i rycerze, spozierający na zielone kafle z historią biblijną polskiej księgi Kohelet: wznoszenie świątyni Marji Panny w Krakowie, zrąbywanie cedrów z Libanu i wysyłanie ich do Gdańska, ofiary sejmu konwokacyjnego, w którym uczestniczył Jehowa w piorunach, sen, w którym Jehowa daje mądrość zwątpiałemu Possewinowi, każąc, aby jechał do Moskwy i zepsuł na długie wieki zgodę Moskwy z Polską. Wreszcie wszystko zważone na szabli Kościuszki i przechylone w piekło Niewoli.

Mag Litwor dawno opuścił Arjamana, który, myślami zabłąkany w czasach, gdy nie było nawet Jehowy, biednego boga koczowników, lecz żyli jeszcze wedyjscy Riszi, mędrcowie, którzy wielbili wśród nocy zimowych w Himalajach — Ogień.

Wreszcie ruszył dalej, wejrawszy na niedźwiedzia litewskiego, który wyciągał łapy, jakby zapraszając do nieco niebezpiecznych objęć.

Snuł się tu jakiś poemat zaginiony z trzynastej księgi Pana Tadeusza, urzeczywistniał się jakiś zapomniany sen górnej młodości.

Arjaman zmusił się wreszcie do rozchmurzenia: wszak jest południe, tyle harf gra przed słońcem!

Mag Litwor wszedł już do komnaty, gdzie na wy-

zynnej powale z rzędu jodłowych grubych sozrębów zwieszały się śpiżowe, meczetowe lampy.

Pośrodku komnaty był istic mitologiczny dziw: jawór rósł tak niepołomny, że gałęzmi wspierał powagę, koroną wystrzelał nad obszar zamczyska.

Miał w sobie coś z mitu dawnej Arkony, zdawał się tych sięgać epok, gdy w Tatrach bóg Swiatowid wchodził do kniaziowskiego teremu, grom swój, jakby krywulę wędrowca, ustawiał w kącie i wypraszał młodą kniaziównę dla bohatera.

Arjaman uczuł w piersiach swych morze niezapomnianych uczuć, opromienionych zarzewiem wschodzącego księżyca melancholji; wystarczyło mu wsłuchać się, okropnie jęczał wiatr na wydarłej z wnętrza Bolesci strunie; dalekie morze wrzało jak ukrop i tu aż było go słyszeć...

Od dołu ścian piętrzyły się witraże, nad niemi przez okna słońce zalewało komnatę i ożywiało rycerskie zbroje, jakby żelazne Romancero o królu i wojsku w cieśninach Tatr.

Witrażami wchodziła muzyka nieziemnych tonów, krwawo-szkarłatnych zmierzchów niby Tristana i Izoldy; wieczysta zieleń wysp, na których żyją upiorne widma z kroniki św. Brandana.

Nie wiedział Arjaman, że to, co mu się wydawało tak irlandzkie, z głębin ducha było istic polskie. Zawisza Czarny na tle Łomnicy; święta Kinga, której anieli pomagają budować zamek w Pieninach; wojewoda Spytko z Melsztyna, jadący na dwór krakowski z młodzieuchną Jadwigą; pan Turzo, udający warjata w weneckiej odlewni kruszców, aby wydobyć jej tajemnice; Bolesław Chrobry z wojami swemi na Królewskiej Horze, Sejm w Wiślicy, Grunwald. Palono na stosie ateusza Łyszczyńskiego, huczał sejm czteroletni, Repnin i Katarzyna II, postacie legjonistów, Kopernik, zakreślający budowę świata; Zygmunt w izbie alchemicznej u Sędziwoja — tak snuł się epos historii naszej. Wallenrod i sceny z Dziadów,

wspaniałe wizje Króla Ducha, wygnańcy, idący na Sybir, Zorza borealna nad ujściem Leny — — — Anelli...

Muzyka niewypowiedzianie wspaniała, nieco żalobna, tych miejsc uduchowionych — jednała się z radosną symfonią słonecznych zenitów. Dobrze było tę chwilę stać niewidzialnemu za kolumnadą: tam widział Arjaman magiczny pięciokąt.

Jedna z kobiet była owa Pani przy lodowcach, mieszkanka główna Turowego Rogu, ubrana czarno, leżała okryta srebrzystą tkaniną, przed nią kwiat wyrastał ze szklanej zielonawej kuli — wielki tatrzański złotogłów. Dla osób wymownych kwiaty są ich wymową, dla tajemniczych — ich tajemnicą. Mędrzec Zmierchoświt przeglądał fotografie z obrazów Matejki. Mag Litwor rozmawiał z młodą blondyną, mniszką, która trzymała w ręce traktat filozoficzny Paskala; jednocześnie mimowoli Arjaman spojrział na Jawor i dojrzał nietoperze, jak mówią górale — gacopirze, zwisłe na kędziarach olbrzyma; już gotów był wejść w zadumę nad starzeniem się i zapleśnianiem wiedzy ludzkiej, w której Pascal jest tylko błędem od fundamentu, gdy wbiegła małpa z gatunku Maki i podkradała się do kameleona, zajętego drzemką; ten jednak wrażliwy na najłżejsze drgnienie latającego owadu — nie dał się podejść i rozpoczęła się szalona gonitwa cudaków.

Wśród komnat wysokich z niezmiernie grubych jednoliżni możnaby tę scenę z indyjsko-słowiańskiego teremu przenieść na widownię feackich izb króla Alkinoosa, dźwięcznych od cedrowego drzewa, miedzi i elektronu.

W ostatniej osobie ujrzał Arjaman Zolimę, była mu teraz na wylot daleka i obojętna. Ona też, jakby zapomniała o rozmowie w jaskini, siedziała roztargniona z podkrążonymi oczyma, notując sobie coś z księgi.

Mag Litwor, idąc nad górą Horeb tęsknoty za Ziemią Obiecaną — spoglądał w nich wszystkich, mając im rzucić olbrzymią wieść.

„Zbliża się chwila wyzwalań” — rzekł wreszcie cicho, jednak Arjaman, stojący na drugim krańcu komnaty, drgnął od stóp do serca.

Znieruchomiały kobiety, wpatrzone w tego, który im oddawna zjawił się, jakby „Pogoń” z innego świata.

— Lecz cóż! wszak Rosja musi zwyciężyć — rzekła Zolima. Moralna i artystyczna piękności nie wystarczają do tryumfu: inaczej, państwo Wschodzącej Jutrzenki otwarło by bramę nowym dziejom?

— I tak się stanie — rzekł Mag Litwor.

Kobieta w żałobie wlepiła w niego wzrok, jakby ją znienacka coś olśniło, drżała, nie mogąc wymówić wyrazu, jakby po ujrzeniu widma.

Wstała, szła, aż zbliżyła się ku samej kolumnadzie, u której wsparty Arjaman; rzucając mu błyskawicę oczu, szepnęła:

— Nazwał mię Arjaman niegdyś wieszczką przy mrocznych lodozwałach, a oto wszak zmartwychwstaje Polska i nawet ludzie.

Mówiąc to, wejrzała w Maga Litwora, jak kiedy wzrok duszy spogląda w wydobyty ze zmierzchu zapomnienia posąg.

— To dziwne, rzekła, dlaczego teraz dopiero spostrzegłam!

Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy jego już mieli w Petersburgu zabić, wykrywszy w nim Wallenroda.

Krażyły tajemnicze wieści wśród ludów Azji.

Więc to istotna prawda: Mesjasz Wschodu? —

Rozświećlała twarz Maga Litwora uśmiechem, którego nie umiano rozpoznać.

— Według wiedzy indyjskiej, Dusza nie jest utożsamiona z naturą! —

Nie chcąc jakby dłużej mówić, rozglądał obrazy, wyobrażające tatrzańską zimę, portret Mędrca Zmierzchoświta, oraz zabytki kultury góralskiej.

Pani Ameńska zdjęła jeden mały obrazeczek, — pułkownik w mundurze rosyjskim, z turbanem na głó-

wie, w płaszczu wschodnim i ze wspaniałym bucharskim orderem.

Twarcz jego była twarzą Maga Litwora: gienjalna, śmiała, zdobywca. Tylko różnica w tonie oczu, które u Maga były idące głębiej w mroku niezmiernych oceanów, jakby nie z tego już świata.

Nie mówiono więcej.

Pani Mara, gdyż tak ją nazywali najbliżsi, którzy w niej jakąś marę Polski dawnej widzieli — odeszła z Zolimą, aby ubrać stoły kwiatami.

Arjaman też był do tej obrzędowości zaproszony, nie chciał jednak przyjąć tego, czego by dawniej tak pragnął: znajdować się blisko Zolimy realnej, nie zaś widzialnej za przełęczą Bethowenowskich sonat.

Panie znosiły wazony z kwiatami, ustawiały na stole.

Arjaman postanowił się przemóc.

Będzie naturalnym t. j. najmniej sobą; będzie nawiązywał nici pajęcze z tym przeciwnikiem pięknym, którego w głębi swej duszy widział już jakby z za odległych gór.

Teraz będzie miał w ręce tę — która mu wymykała się tak długo.

Jakby ściętą głowę weźmie za włosy i przyjrzy się jej oczom.

Kto tu kłamał — dusza — Bóg — natura — czy diabeł? pisał kiedyś Prus powieść o Lalce — i Wokulskim — rozumnym człowieku, który dynamitowe maszyny podkłada dla wzruszenia kobiecego pudła z kapeluszem. Garszyn mówi o warjacie, który się zakochał w czerwonym kwiatku — i ten kwiatek — ten drobiazg stał się jego Bogiem, straszliwym tyranem.

Lecz nie, miłość nie da się zlekceważyć przez lalkę, nie jest czerwonym kwiatkiem warjackiego umysłu.

Jest to najgłębsza potrzeba urzeczywistnienia.

Wszelka moc, piękno, praca, chcą się urzeczywistnić przez mediumizm tego drugiego człowieka...

Jest to problem ważniejszy niż śmierć.

Jest to problem, czy spełnić swe przeznaczenie na ziemi —

czy zamknąć się w pustyni.

Przeznaczenie — nie małżeńskiej łożnicy, lecz związania najdalszych kresów swego jestestwa z tym drugim tajemniczym tworem — by utworzyć Blask.

Miłość jest poważna, tragiczna, wzniosła i zachłanna.

Lecz jeśli niema oddźwięku w innej istocie, staje się naraz dzika, rozpustna, zła, a bezlitośnie druzgocąca wszystko, co Boże.

Arjaman chciał miłości, lecz nie był do miłosnych serenad.

Więc przed pójściem w dale na Wschód, chciał wyzbyć się tego nad miarę przykrego uczucia zlekceważenia swej świątyni. Przecież, jeśli będzie leżał z przestrzelonym płucem na polach Mandżurji — niech dusza jego uczuje, iż jej światło zostało tam, w świętym kraju polskim.

Tragedja narodów rozwijała się z niepohamowaną szybkością, jak rydwan Boga Gromonoścy, lecący z gór przeznaczenia. Walka narodów zaczęła się toczyć niezmierzna, jakiej nie znano dotąd w dziejach nigdy! i nawet pochód falang Aleksandra Macedońskiego, zagarniających całe krainy, nawet bitwa Aecjusza z Atyllą, zdały się być tu chłopięcą igraszką.

Mając wyobraźnię, zapłodnioną wizjami Hekatonchejrów i Kronidów, postanowił Arjaman udać się na teren boiszcza. Nozdrza jego nasycali się zapachem cmentarnych pobojowisk, jak skandynawskie bogi dymem grodów i krwią zamordowanych w Walhalli.

Wyczekiwał wskazówek Maga Litwora, by życie swoje rzucić na szalę z równą łatwością, jak tych tysięcy marynarzy japońskich, którzy, chcąc być wybranymi na niebezpieczną wyprawę i wprost pewną zgubę, jako dowód swej decyzji, odciepli sobie — każdy z nich — jeden palec — i krwawiącym się podpisali prośbę do wodza.

Wprawdzie Arjaman z jednego nie zdawał sobie

sprawy: za co ma ginąć? za sprawę ludu na barykadach Moskwy lub Warszawy, ze wschodzącą Jutrzenką i Japończykami, czy wraz z temi tysiącami Polaków, którzy ginęli w mokradłach lub w szuwarach gaoljanu, tępieni przez nieudolność generałów w wojsku rosyjskim. Wybór tej drogi rozwidni mu Mag Litwor.

Lecz nagle wspomniął, że nie jest sam na świecie — i że umierać mu nie wolno. Wtedy naraz kwietna choć moczarna łąka marzeń, po której szedł, rozerwała się, i ujrzał mroczne jamy, otchłanie.

Jego zimny, wciąż morderczą stałą połyskujący ton musiał zdalić jeszcze głębiej za widnokrąg zajętą zupełnie czym innym Zolimę.

Tymczasem Mędrzec Zmierchoświt, czarujący obęściem radosnym, witał innych mieszkańców Turowego Rogu. Zasiedli pod wielkimi drzewami na ławach przy stole, zastawionym w kwiaty i wielkie dzbany z owocowym i chlebnym kwasem, proste potrawy przynosiło dwóch górali z kuchni. Wszysecy byli wzruszeni aż do głębin nieprzeczuwalnych przez się, żałując, iż nie mogą zaciągnąć się do walki wyzwolenia, gdyż byli to przeważnie ludzie chorzy.

Z powagą, choć ożywienie dysputujących nad wynikami tych wielkich spraw dla Ojczyzny — zostawiamy na werandzie Teremu. Wśród nich podwójnym źródłem wędrowców na pustyni jest Mag Litwor i Mędrzec Zmierchoświt.

LE ROI-VIERGE. Reszta towarzystwa młodego rozrzuciła się nad szumiącym potokiem wśród wspaniałego, ciemnego lasu.

Arjaman prosił Zolimę, aby mógł z nią pomówić sam na sam. Lecz ta wyznała, iż bawić się umie tylko co najmniej we troje.

Skłonił się Arjaman, przygryzł wargi i prosił wszystkie osoby przy stolikach, aby połączyły się w jeden krąg.

I gwarno, wesoło zaczęła się toczyć gawęda, w której Arjaman udziału nie brał. Książę Hubert, odgadujący w lot sytuację zbyt mrocznych i ciężkich chmur w umyśle Arjamana, zaczął opowiadać anegdotę, której cała młodzież i wogóle ludzie weselsi i uważający zawsze księcia Huberta za duszę towarzystwa wysłuchali z nabożeństwem, pełnym wykrzykników i gaudium.

— Hrabia August, mój najbliższy przyjaciel, z którym część ciemniejszą moich nocy spędziłem, był zapewne nieco wyuzdany, jak na naszą mieszczańsko-bezzębną epokę, ale miał dużo zdrowego rozumu.

I raz, kiedy nudził się w Warszawie podczas kaniukuły, spotyka się ze mną, jeszcze młodzieńskim księciem z Litwy; wspomniałem mu w rozmowie, iż są tu damy ze wsi bardzo przyzwoite, „ale bo ty, mój hrabio, zaraz je zrazisz swym cynizmem“.

— Niel

— Kiedyż bo nie można tobie ufać!

— Hrabia August pokaże, iż jeszcze wie, co to jest dobre wychowanie! Masz moje słowo. —

Zaprosiliśmy damy na kolację.

Hrabia August przyszedł z wielkim dogiem, który, jak wiadomo, jest prawie goły.

— To coś nieprzyzwoitego, rzekła Zolima, aby nie gorszyć maleństw, proszę tu przy mnie usiąść i pocichu dokończyć. —

Całe towarzystwo chórem zaprotestowało.

Więc ciągnął książę Hubert:

— Mówi hrabia o teatrze, nie klei się rozmowa. Damy się jაკają, zresztą zdania ich są okropne — takie ot z Zawierchlesia, czy z innego Repina! Mówić poczynamy o wsi, damy zaczynają poziewać! Tak trwa z pół godziny, aż ja, obłany zimnym potem, wychodzę. I dalej odbyło się tak, już bezemnie.

Hrabia August nagle przysuwa krzesło do jednej z dam, uderza ją w kolano i rzecze: „patrz no pani, jak mojemu psu świecą się łydki.“

Powstał śmiech i wesołość, jak teraz w szanownym towarzystwie; kiedy ja, zbyt młody i niedoświadczony jeszcze w Ars amatoria, wróciłem, gadali już najswobodniej o rzeczach, które jedynie ludzi obchodzą. Nieprawdaż, panno Zolimo?

— Jeżeli pan się zalicza do tych ludzi, ja wyrzekam się chętnie tego zaszczytu, odrzekła, mierząc księcia niezbyt chłodnym wzrokiem.

Lecz zaiste huczny i cerwantesowski zrobił się nastrój, nie mogły tu rosnąć i pęcznieć kaczany gniewu.

I właśnie zeszła rozmowa na króla Ludwika II w Bawarii, gdyż panna Zolima, koczująca wiecznie i tym przyzwyczajeniem tak mile wiążąca tradycję Gobi z wymaganiem towarzystwa najwytworniejszego z Hyde Parku, jeździła niedawno zwiedzać zamki w Neuschwanstein, Chiemsee i Lindenhof. —

Mówiła Zolima:

— Zamki są bankierskie, zimne i nadęte. Król Łąbądź chorował na mańję wielkości wraz z absolutnym upokarzaniem się przed skabotyńskim mistrzem Wagnerem lub aktorzyną Kaintzem, do których pisał nieprzyzwoicie czułe listy.

Opętany ideą wagnerowską wskrzeszenia dawnych rycerskich cnót, król Ludwik miał się za Parsifala.

Ale to było zawsze dekoracyjne i aktorskie — czy pan słucha, Arjamanie?

Zamki jego były w stylu tego opętania.

Neuschwanstein jest na nieprzystępnej skale, która wymagała niezmiernych przybudówek, bo skała ma niepewne miejsca.

Sala tronowa bizantyjska, gdzie Ludwik, upokorzony przez Prusy, odgrywał, siedząc z jabłkiem w ręku w pułtej sali, rolę władcy absolutnego.

W hotelach podpisywał się niby Filip II, w którego państwie słońce nie zachodziło: Yo el rey —

Ja król...

Wioskę, która się zwała Ettal, przemianował na Meicost Ettal, co jest przestawieniem liter w *L'etat c'est moi*.

Na widowiskach pasyjnych w Oberammergau chciał grać rolę Chrystusa i marzył, iżby umrzeć na krzyżu.

Wogóle, jak dziecko, żądał zabawek zbyt kosztownych i do tego niegustownych.

— Kobiety, szepnął książę.

— Nie, kobiety nie znosił... prawdziwej. Lecz ja będę opowiadała tylko pod warunkiem—że z towarzystwa nikt niczemu nie zaprzeczył... Wybudował w lesie chatę Zygryda, był tam dąb pośrodku i rycerskie zbroje, na skórze lubił sypiać król. W sieci tego domniemanego rybaka widniała wielka złowiona w Renie ryba z kartonu.

Ale nie myślcie, że pan Arjaman nie łowi prawdziwych rekinów w morzu pod Tatrami, albo że nie mieszka w jaskini z oszczepem w dłoni! tylko w jednym ustępuje królowi: ten w chacie Zygrydowej miał zręcznie ukrytą, doskonale urządzone kuchnię współczesną.

Pielęgnował dwa życia w sobie (och, tylko dwa, jak to mało byłoby dla Arjam!) zupełnie sprzeczne: absolutyzm króla Ludwika XIV i nastrojowość pneumatyka mistycznego, w rodzaju Titurela, z poematy Alberta Scharfenberga.

Wybudował wśród lodowców w nieprzystępnych górach zamek w stylu Wersalskim, gdzie było pełno wejść skrytych, oraz różowe buduary: ale nie wchodziła nigdy żadna dama.

Wolał o niej tylko marzyć!... lub ją unicestwiać piorunami w swej głowie!

W gabinecie miał obrazy, powiedzmy gorzej, tanie litografje Króla Słońca, pani Pompadour i ministrów owoczesnych.

W innym zamku wszędzie napotyka się łabędzie Lohengrina, lecz tak niewymagającym był król pod względem artyzmu, że wprost kupował za markę tandety ze stiuku lub z fajansu.

Jak wiadomo, Król Ludwik II swoim złym smakiem i żądaniem dekoracyjności, oraz tematu w obrazie, sparaliżował rozwój sztuki w Bawarii. Jego dziad i ojciec budowali łuki tryumfalne i loggie, takie same, jak widzieli w Paryżu i Florencji, Arjaman zaś—ach, przepraszam—król Ludwik II (czy nie pochlebia panu ta omyłka i zestawienie?) sięgał wyżej—aż do teatru!

Lecz naiwność jego występowała w teatrze poprostu w nagości tego dogma, o którym słyszeliśmy z ust Arbitra elegantiarum wytworną opowieść.

Aktor, który grał rolę szlachetną, był dlań szlachetny.

Kaintza aż do końca nazywał mój Didier! bo widział go w sztuce Sardou... Temu Kaintzowi, Izraelicie z Budapesztu, każe raz czytać sobie na głos przez 7 godzin książkę Hauffa: Człowiek na księżycu.

Jego siostra Elżbieta, cesarzowa austriacka, równie, jak król, niezwyklej piękności, lecz też błąkała się w ciągłych marzeniach.

Elżbieta nie miała, jak jej brat, talentu do wybierania ludzi (nie chrzakaj książę), Achilleion na wyspie Korfu jest trochę więcej niż średni, ale zato umysł cesarzowej był jasny, ironiczny i naprawdę poetycki, jeśli młody wielbiciel jej Christomanos biografji nie podmalował...

Umysł króla Ludwika II schodził coraz bardziej w zwykłe maligny:

słyszał za sobą kroki, każe sprzątać pajaka z posadzki zupełnie czystej.

Chce tworzyć Monsalwat, górę cnót, i jedzie do niej: w maneżu, zrobiwszy kilka kręgow, zatrzymał się, niby w oberży włoskiej.

Po kilku kręgach znowu zatrzymał się — jest już w jaskini nakręconych lwów.

Tym sposobem mógł jechać zadziwiająco daleko.

— Czy jeszcze nie dojeżdżamy? — szepnął książę.

— Król Parsifal miewał też napady furji:

ścisnął raz między drzwiami na śmierć kamerdynera,

opornych krytyków — nie, radców chce ze skóry obdzierać, wieszać, zamykać w celach podziemnych. Lecz nikt go już nie słucha.

Wstrząsające jest istotnie, gdy lekarze czają się nań w ciemnym korytarzu, kiedy król szedł na wysoką wieżę, aby się z niej rzucić.

Jako chory umysłowo, cztery dni tylko przebył nad jeziorem w zamku Starnberg.

Cokolwiek mówią, śmierć jego nie jest tragiczna, bo pragnąc uciec zagranicę do Austrii i walcząc z doktorem, skończył apopleksją w jeziorze, tam, gdzie było ledwie po pas głęboko. —

Tu zabrała głos przechodząca Pani Mara:

— Więc cóż to przeszkadza tragedji, że było głęboko tylko po pas? ja znam też Iksjona, który tworzy sobie najstraszliwsze wizje z najprostszych sytuacji....

Tragedja leży w samym człowieku.

Kto wie, ile przecierpiał biedny król, goniąc za swym ideałem, który był za obłokami!... —

Zolima zwróciła się już z wprost wyzywającym sarkazmem do Arjamana:

— Słyszałam, że pan buduje zamek w Tatrach nad morzem? czy tam będą tylko łabędzie?

Le Roi Vièrge nie dopuszczał kobiet innych, niż te, które śpiewały mu ukryte z za drzewa — lub jadąc zdala na łodzi...

Możeby zrobić też jak król?

ten kazał wykopać staw, aby mógł jeździć na swej łódce, jako Lohengrin. Gdy jednak ujrzał na dnie asfalt, był zrozpaczony, aliści ein Rath kazał wodę zabarwić na błękitno, aby robiła wrażenie głębi. Uczynił to bardzo prosto przy pomocy kobaltu miedzi.

Jednakże było za cicho w tych głębinach.

Podwodny młynek zaczął robić fale i tak groźny był efekt, że król Lohengrin wpadł do wody, gdyż łódź, jak całkiem nie mistyczny przedmiot, się wywróciła!

Co najgorsze, że staw ten był zbudowany na tarasie i kiedy kobalt zaczął wyżerać dno asfaltowe, woda wdarła się przez sufity do pokojów i uczyniła dekoracje w stylu już naturalnym.

Czy na pańskim morzu będą pancerniki?

czy w oranżerji ducha, gdzie hodują się tylko Kainotheria i węże siedmiomilowe, każe pan zrobić panoramę Tatr? mów, o Lohengrinie?

— Księżę zaśpiewał z jakiejś operetki:

Raz w piękny dzień moja matka,
kiedy ją łabędź w objęcia brał —
broniła się jemu do ostatka —
lecz któżby się łabędzia bał?

— Najpierw pani zapytała, rzekł Arjaman, czy mój zamek się buduje. Istotnie, jestem jedynym poważnym konkurentem barona de Mangra, gdyż biorę w posiadanie całe Tatry, buduję zamki, gdzie chcę, napelniam wodą wszystkie doliny, a Turów Róg oglądam sub specie fantazmatu, gdzie np. pani jest Księżniczką Morza, choć wiem, że lęka się pani morza i cierpi pani przy każdej sposobności.

— Tak, cierpię, cierpnę i tym podobnie, kiedy jaśnowidzący, zamiast mnie widzieć, widzi czarną Aurę dookoła mnie, a wszystkie kakofonie życia dyskontuje na me conto.

— Mimo wszystko pani oczy wyrażają morski żywioł — zaczął się plątać Arjaman i zaczerwienił się.

— A zatym, zaśmiał się księżę, będzie pani komentantem naszej konnej marynarki, która zechce i raczy łaskawie przyjechać do mego zamku Nowo-Łabędziogłazu, gdzie królewicz Arjaman będzie łaskawie zarządzał swemi poddanymi.

Powstał wesoły śmiech, każdy pytał Arjamana, jaką rolę niezwykłą zdobędzie w tym widowisku.

Młodzież wybiegła ku morzu, jedni zaczęli spychać łódź, inni poszli po konie —

Ku niemałemu zdziwieniu, a nawet zgorszeniu, ujrzeni wkrótce księcia Huberta, który sadził na olbrzymim skarogniadym ogierze, trzymając w rękę broniącą się Zolimę, a za nim, gałęzmi zielonemi zbrojni, pędzili inni jego przyjaciele.

Arjaman, zaciskając zęby, wściekły na swą dawną naiwną wesołość, zaszył się w najciemniejszą gąszcz, parowami szedł, w których naradzały się czystsze, niż kryształ, strumienie.

Wreszcie bezsilny legł na polanie zielonej, patrzył w niebo, zapalające się łunami niewidzialnego słońca. Zmroczało już w lesie, kiedy Arjaman postanowił iść do swej chaty nad morzem, ucałować swe dwoje ukochanych malców—i przeprosić Żonę. A nadto, przysięgając sobie, że to jest ostatnie głupstwo dla różowego tumanu zaprzepaszczać sprawy milion razy głębsze i świętsze! I leciał, jak wichur, pełen tęsknoty za domem.

Wśród nocy mrocznej, idąc szybko przez las, musiał przeskakiwać doły, strumienie i wielkie wykroty zwalonych drzew. Świecił sobie odłamem fosforyzującej hubki i kilku owadami świętojańskimi. Nad strumieniem głębokim przechodząc, poślizgnął się na wilgotnym kamieniu i nie upadł, lecz w skoku już nie zrównoważonym uderzył kolanem o skalisty brzeg przeciwny. W oczach mu zapłonęły ostre światła, czuł, że mdleje. Lecz wytrzymał chwilę, przemył wodą bolejącą nogę i szedł już z największym natężeniem. Wichur dał potężnie, zmieniając puszcę w jakiś beznadziejny sabat.

Myśli Arjamana były jak rozpacz, ściekająca jadem. Przejrzał naraz wszystko, widział tę ziemię, lecącą w mrocznych bezgranicach, o którą nikt na gwiazdach nie dba; widział to życie, krzewiące się w tysiącznych odmianach, którym zawsze jest koniec jednaki. Ludzkość—to wielkie stado drapieżne i nieszczęśliwe, pozostawiona jest sama. Niema prawa bożego. Prometeiczne wystarczanie sobie — dla duchów ludzkich najwyższych; dla innych — apetyt życiowy, metresa, noc lubieżna z kochan-

kiem, złota rulon, wsypyany do kasy ogniotrwałej, sława roznoszona przez dzienniki — nie, jeszcze nie to męczyło duszę Arjamana.

Lecz miał pewność, że jakieś piekło bez dna i bez granic czeka nań tuż—zaraz za temi drzewami.

Obiecywał sobie, że musi wszystko być odmienione: on wyrzeczce się pragnień szczęścia, stanie się cichym mędrce, dawnym Riszi-prorokiem. Będzie pracował w ziemi ornej—i stworzy sobie Religję.

Mag Litwor rozświetlił mu wiele tajni, inne będzie już rozwierał sam. Wszakże i on drogą Jazni iść może...

Teraz w tej chaotycznej, złowrogiej walce wszystkich przeciw wszystkim — on będzie Ogniem spokojnym, z najgłębszych cieni swej duszy wyłoni cud — żywe fosforescencje.

Nagle zatrzymał się, serce mu przestawało bić.

Miał wrażenie, że coś niewymownie podłego owinęło mu jakiś ołtarz—nawet nie żmija — lecz płaz inny — nie, nie zwierzęcego — abstrakcja — cień —

tak, to lęk...

Lęk złowrogi, że się coś może stać, czego nie widziały jeszcze gwiazdy — —

Wichur wyl — drzewa skrzypiały lub, kołysząc się, tworzyły szum potężnego morza.

I mówił sobie:

wszakże mam jeszcze takie skarby, takie uczucia, takie możliwości postawić drabinę i iść na słońce wprost..

Mówiąc to, płakał i polykał łzy.

Już był blisko domu. Paliły się tam jakieś światła.

Zapukał. Nie odpowiedziano mu. Sercu mu zabiło gwałtownie, wyrwawszy się naraz, jak zwierzę z ciemnej klatki. Rozwarł drzwi.

W wielkiej izbie paliły się gromnice. Kilka gałązek nakrywało trumienkę. Tam ktoś spał.

Poznał te cudownie piękne rysy i nieruchome szafiry. W drugim pokoju leżało dziecko drugie.

Widać chore. Lampka oświeślała straszliwą, krwawą, ropiejącą maskę na jego twarzyczce.

Oczy nie nie widzące patrzyły weń.

Cofnął się. Szukał wyjaśnienia. Był spokojny w powadze straszliwej, podobny Bogu. Drzwi, wychodzące do kuchni, były rozwarte. Na progu w półmroku siedział strach. Nie —

Jego żona...

Ten wyschły szkielet... Dotknął jej twarzy... Ona uchwyciła jego rękę i zaczęła całować mokremi ustami.

— Uspokójmy się — rzekł Arjaman, lecz głos jego wydał się mu tak dziwnym, jakby to rzekł upiór — zupełnie ktoś mu nieznany.

Żona powstała i głowę przycisnęła mu do piersi.

Arjaman ujął jej dłoń.

I ukląkł.

I coś szeptał do kogoś.

Ale były to myśli straszne szaleńca już z piekieł

On mówił, że, jeżeli nie stanie się teraz cud natychmiastowo, jeżeli mu te dzieci nie przyjdą wraz z uśmiechem wesołym — jak dawniej — jeśli ta ziemia czarna, podła — —

tak —

tym nożem on zamorduje — Tego na krzyżu — i tego jeszcze Tam...

Żona jego, ten szkielet, w którym było nierównym, ciężkim dygotem serce — jakby ono tylko pozostało z całego człowieczego istnienia —

żona — kochająca go nad wszystkie światy za grobem i tu —

ona tylko trzymała jego dłoń, czując, że z nim się staje coś potworniejszego, niż dusza ludzka znieść może.

On podszedł do dzieciątka jeszcze tętnącego.

Położył dłoń na jego czole i coś mu nakazał, jak Mojżesz swemu ludowi —

Wziął duszyczkę jego w swe możne jestestwo.

Upadła tam na głązy wiekuiste plama krwi z ustek —

i była to pieczęć straszliwa na tym oskarżeniu, które pisał.

Lampka krwawo pęgała przed obrazem M. Boskiej Częstochowskiej.

On patrzył w tę marę umysłu ludzkiego, który wymyślił sobie takie pomoce — i takie Opiekunki — wziął trupa małego i wyniósł w noc ciemną — z latarką szukał motyki, kopał — zrobił dwie mogiły.

Nakazał żonie nie płakać — mówił krótko, jak kapitan na okręcie tonącym.

Czynił wszystko bardzo spokojnie — w tę noc. W tę noc najwyższą, jaką przeżył na ziemi. Wspaniałszą w swym bólu, niż Bóg i jego niebiosy. Potym chciał, niewiadomo już dlaczego, ucałować nogi swej żonie, schylił się — i omdlał. I szkielet o wielkim, bijącym sercu cucił go i wołał do życia tym dziwnym, najdziwniejszym głosem miłości, która już wszystko oddała i nie bierze już nic.

Arjaman rozwarł oczy, odetchnął szeroko — podniósł się, rozprostował ramiona, wziął za rękę to widmo — rzekł:

— Jestem mocny. To straszne... Dobrze mi. Ja się zemścę. No tak... chodźmy... Daleko.

Wicher wstrząsał drzewami, jakby podły kat, który chce wymusić wyznanie z ludzi, którzy nie mogą już niczego więcej wyznać.

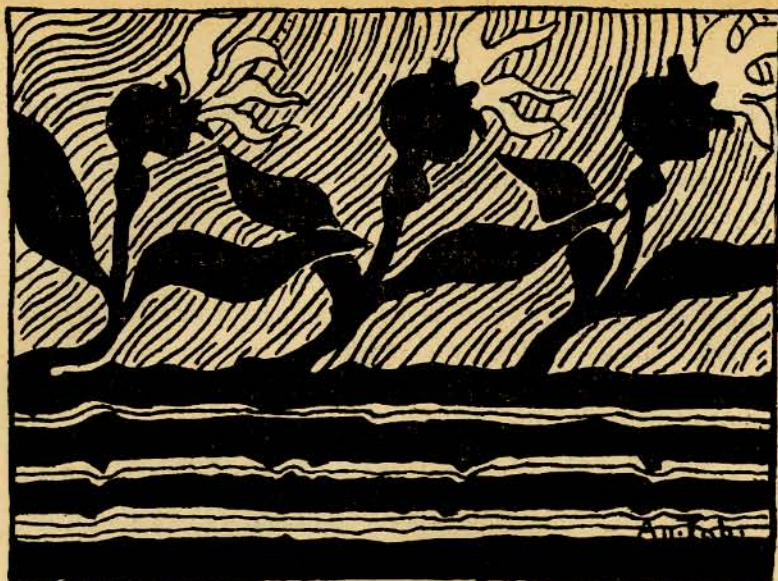
Niebo było czarne, złe, nikczemnie smutne, lecz on był spokojny i teraz dopiero widział, że Król Węzów ma rację, chcąc zniszczyć istnienie. Wszelka głębia musi unicestwiać. Nadmierna moc musi zabijać.

I na ziemi dalej nie było mu już nic droższego nad to widmo kobiety, której kostki czepiały się jego potężnego ramienia, — i tego, którego chciał odnaleźć i z nim wszystko już przemyśleć — —

Króla Węzów.

A serce leciało bezdrożem kamienistym, pod toczący się księżyc... i tak im świeciło! tak świeciło w tę Noc!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



JÓZEFOWA KOTARBIŃSKA.

Ze wspomnień o Adamie Asnyku.

(Dokończenie).

Odwiedził nas kiedyś Zacharjasiewicz. Przygnębiona była ta wizyta. Mało widział, wolno mówił i nudnie mówił. Robił wrażenie człowieka, który już zamarł i snuje się wśród żywych, z którymi jednak nie go nie wiąże, ani łączy. Smieszna niechęć do Sienkiewicza była jedynym tematem, który go jeszcze porywał.

— Jakże państwo chcecie — mówił Asnyk po jego wyjściu. — On chodził w nimbie — a tu zjawił się Sienkiewicz. Nimb mu zrywają, dają Sienkiewiczowi, który, nieświadom rzeczy, odchodzi najspokojniej i zostawia go — bez niczego.

Istotnie darować mu nie mógł — wielkiego talentu.

Asnyk, który często mówił o Orzeszkowej, i tym razem podziwiał u niej nie tylko brak wszelkiej zazdrości, ale wprost potrzebę manifestowania uczuć przyjaznych dla kolegów.

Rozmowa przeszła na „Burzę” Ostrowskiego i Ibsena.

— W „Burzy” niema subtelnej roboty scenicznej, aie jest pyszna psychologia figur i brutalna siła uczucia, zwalczająca wszelkie zasady.

Godził się jednak, że o wiele piękniejszą jest miłość zakazana z męką, z goryczą, z cierpieniem, aniżeli kompromis z grzechem, z pogodą traktowany i ze wszelkim zachowaniem pozorów.

— Ibsen dla mnie, mówił, jest niekiedy nazbyt symboliczny i te nazbyt symboliczne rzeczy — nie podobają mi się. Ja chcę na scenie widzieć i rozumieć. Co mi z takiego „Mistrza Solnessa”, którego wcale nie rozumiem, a w którym znajduję wprost mnóstwo scen niedorzecznych. Dlaczego np. ta kobieta, która opowiada o pożarze i ofiarach z dzieci i lalek, żałuje nadewszystko lalek? Nie rozumiem. Albo poco ta mała rozporządza się w czyimś domu w ten sposób, jak ona to robi? Albo czemu go pcha na to rusztowanie?

Myśl tej jego zazdrości względem młodzieży byłaby świetnym motywem, ale jest nierozwinięta, a to, co jest, jest ciemne. Uciera się czasem mniemanie, że coś jest piękne. Sonety Mickiewicza przez pietyzm chwaliliśmy, bo na prawdę, to zaledwie kilka jest ładnych. Aureola imienia Mickiewicza tylko je trzyma. (Z tym poglądem trudno się zgodzić. *Red.*)

* * *

Dépesze o chorobie Aleksandra III były dla nas nieobojętne. Ale co znaczyło nasze zainteresowanie się niemi w porównaniu z temi wrażeniami, jakie one wywoływały w Asnyku lub Sewerze.

Tu dopiero po raz pierwszy odczułam różnicę, jaka istotnie musiała zachodzić między uczuciami naszymi, ludzi popowstaniowych, a uczuciami tych ludzi, którzy brali udział czynny w 63 roku, którzy nieśli literalnie życie w ofierze ojczyźnie.

Coś w tych ludziach zawrzało, zakipiało, coś odedna poruszyło się w ich duszach. Odmłodnieli. Oczy im błyszczały.

Sewer Maciejowski, biegając po pokoju, wołał: „Nowy Car! Młody, liberalny i wspaniały! Będą zmiany! Muszą być! Adam! my wrócimy do kraju, tam... do Warszawy!”

Za gardło go chwytalo wzruszenie, krew waliła do głowy, pasował... nie mógł dalej mówić.

Asnyk milczał, był skoncentrowany, ale chwytal gorączkowo gazety: „przedewszystkim jedno obchodzi mnie dziś: co z Carem!”

Za „krajem” tęsknił.

Z Galicją nie zżył się. Marzył o zobaczeniu Warszawy, o odwiedzeniu rodzinnego Kalisza, prosił nawet p. G. K., aby, jako prawnik, zechciał zebrać potrzebne informacje co do możliwości zrealizowania tych marzeń. Nie zdążył, niestety, z nich skorzystać.

Rodzina jego, jak mi opowiadał, pochodziła z Pińszczyzny, „jacyś elektorowie tam osiedli. Ja byłem u rodziców jeden. Jeżeli jest jeszcze ktoś z tego gniazda — to może w Gdańsku.“ Co dzieje się w duszy człowieka po takim rozbiciu kraju, człowieka, który bierze udział czynny w jego ratunku?...

— Straszne! to jest tak straszne, że mówić o tym nie można. Ostatni raz przechodziłem granicę w nocy, pieszo, przez Dubie — potem oparłem się aż we Włoszech, z chorym na tyfus przyjacielem. Byłem długie tygodnie w szpitalu, pielęgnowałem go. Konał powolnie. Musiałem na to konanie patrzeć. Nie miał nikogo. Ja jeden byłem do ostatka. Straszne wieści przychodziły jedno po drugim, a kiedy się ocknął, już było po wszystkim. Potem przyjechała matka i tu zmarła. Niedługo pocho- wałem ojca, żonę, tak, że te wszystkie ciosy wyrobiły we mnie nieudolność czynu. Rozbiły mnie...

Zadumy, w którą wpadł po tym wyznaniu — długo nikt z nas przerwać nie śmiał.

* * *

— Czasy Kościuszkowskie minęły. Haseł i wykrzykników nie lubię, dziś trzeba robić, nie krzyczeć — mówił Asnyk. Do działania zagrzewała go jedna oświata ludu.

Był prezesem „Towarzystwa Szkoły ludowej“. Gó- rąco brał do serca jego rozwój. Na posiedzeniach zabierał głos, podniecał się w przeprowadzeniu swej woli, a jeśli trafił na przeszkody — łamał je. Rezultaty walnego posiedzenia, na którym być nie mogłam, opowiadał mi szczegółowo.

— Pan B. kilka razy pisał i mówił o tym, że szkoły ludowe na Rusi nie mają doniosłego znaczenia społecznego. On uważa, że tam jest tak przeważny żywioł ruski, iż ci Polacy, którzy są, muszą się zrutynizować. Że trzeba ich zostawić na pastwę wpływowi otaczającym. Tymczasem my jesteśmy innego zdania i nasze stowarzyszenie broni każdej jednostki.

Wiedziałem, że pan B. chce wejść do „zarządu“. Dlatego zamiast ciągłych kompromisów, na kartce kan-

dydatów bez nazwiska p. B. podpisałem moje nazwisko i jawnie, głośno powiedziałem, że, jakkolwiek cenię talent p. B. i jego zasługi i t. d., nie życzę sobie, żeby wszedł do „zarządu“.

Na to p. B. odpowiedział dość podniesionym głosem i zaczął dyskuszję... Wtedy znów zabrałem głos, mówiąc, że, zdaje mi się, iż jest prawo przyjęte, które nad zdaniem przewodniczącego wyłącza dyskusję. No i przerwa-łem mu ją. Widzi pani — taki jestem terrorysta, gdy trzeba. Za to nazwano moje zachowanie „presją Bade- niowską“. Ale przeszli moi kandydaci i to, co chciałem, że kapitał żelazny zostaje nienaruszony na szkołę w Białej. — Ja sam przyznaję i wiem, że za te pieniądze, które nas będzie kosztowała szkoła w Białej, mielibyśmy kilka- nście szkół ludowych, ale to trudno! podjęliśmy to i zro- bić musimy.

Na tymże posiedzeniu p. D. zaczął mowę, w której wcale niedwuznacznie zwracał się do mnie, mówiąc niby ogólnikowo, że musi zwrócić uwagę obecnych, iż tak, jak ongi nieopatrznie losy stowarzyszenia „oświaty“ przeszły w ręce konserwatystów, tak teraz losy „szkoły ludowej“ chcą oddać w ręce przeciwnej nam partji.

Ja znów zabrałem głos i odpowiedziałem p. D., że w sprawie, w której przemawiał, w której wprost do mojej osobistości robił alluzję, boć jestem przewodniczą- cym stowarzyszenia, proszę o fakty, daty, słowem bliższe szczegóły. Inaczej będę zmuszony uważać to wszystko za fałszerstwo.

Jedyna kwestja, która może mieć rzekomy związek z tym, co mówił p. D., jest to chyba, że pp. M. Si K. B., których nikt chyba o konserwyzm posadzić nie może, zwróciły się do mnie z zapytaniem, czy p. dra Jordana prosić do zarządu. Odpowiedziałem, że jako człowiek wy- sokich zasług społecznych, ma całe moje uznanie i że nie przeciw temu mieć nie mogę.

Na tym zakończyłem dyskusję.

Szkoła w Białej stanie. Niebawem pojedę do Lwowa. Wydział krajowy nie odmówi mi.

* * *

Bał, z którego dochód miał być przeznaczony na powiększenie funduszu dla szkoły w Białej, imienia As- nyka, zaalarmował całe miasto. „Kóło pań“ energicznie wzięło się do roboty, ale też nacisk był tak wielki, że odurzył na chwilę Asnyka.

Nie na długo. Uproszony przez „Koło pań“, zgodził się Asnyk na napisanie wierszy czy aforyzmów dla gorliwych gospodyń zabawy.

A jakkolwiek jęczał i narzekał, że pisanie mu nie idzie, po kilku dniach przyniósł już jeden z bardzo pięknych swych wierszy:

Bellerofon, gdy Meduzy głowę
Odciał jednym zamachem żelaza,
Ujrzał z krwi jej powstające nowe
Dwa zjawiska: lotnego Pegaza
I Chimere, która w pierwszym skoku
Ani chwili nie dotknęła ziemi,
Lecz w różowym zniknęła obłoku,
Ziejąc wkoło ogniami złotemi.
Odtąd służy ten rumak skrzydlaty
Do wycieczek w ponadziemskie światy,
A Chimere w nieskończonej toni
Serce ludzkie zawsze jeszcze goni.

A nazajutrz przyszedł z całym już zbiorem i czytał nam z kolei to, co napisał, a co przytaczam, bo wiersze te dotąd nie są objęte żadnym wydaniem. [Niektóre były drukowane w „Czasie“, „Nowej Reformie“ i „Dzienniku Poznańskim“ z przeznaczeniem dochodu na rzecz szkoły bialskiej, a są nawet takie, które wiem, że nigdzie drukowane nie były.

Jeżeli życia twojego ścieżka
Zawiedzie ciebie w gaje kwieciste,
Jeżeli szczęście z tobą zamieszka,
Niosąc ci wszystkie rozkosze czyste,
Jeśli nie doznasz nigdy zawodów
W tym, co najdroższem dla siebie zwiesz,
Korzystaj z życia weselnych godów,
Patrz w jasne niebo, kochaj i wierz.
Lecz pomnij, że ta szczęśliwość cała
Snem będzie tylko, co zmysły pieści,
Jeśli nie będzie z ciebie spływała
Na cudze smutki, łzy i boleści.

* * *

Ten jest prawdziwie samotnym na ziemi,
Kto nawet współczuć nie umie z drugiem.

* * *

Kto się waha z obawy, że myśl, co w nim drzemie,
Straci na swej piękności, zstąpiwszy na ziemię,
Przejść przez wszystkich walk ludzkich i zawodów stopnie,
Ten zwiędnie w pożądaniach, niczego nie dopnie.

* * *

Skoro kto rzuci myśl nową,
Opińja kręci swą głową,
Zaraz podnoszą się krzyki:
„Jakiż paradoks to dziki!
Dla ludzi i dla społeczeństw
Kryjący zbiór niebezpieczeństw“.
Lecz czasem, gdy coraz dalej
Z tą myślą się spoufali,
Woła opińji trybunał:
„Ależ to prosty komunął!“

* * *

Nie rozumiemy z ludzi nikogo
I właśnie dla tej przyczyny,
Swych bliźnich zawsze sądzymy wrogo
Myśli, uczucia i czyny.
I siebie samych pojąć nam trudno,
Więc znowu z tej samej racji
Nad swoją rolą, choćby obłudną,
Jesteśmy wciąż w admiracji.

* * *

Wszystko przemija — nawet ból i smutki,
I kiedy człowiek swego kresu blisko,
Spokojniej patrzy z swojej wątłej łódki
Na wściekłość burzy i fali igrzysko,
Inaczej sądzi sen żywota krótki,
I walk namiętnych niknące zjawisko...
Serca — rozpaczy nie szarpie mu żmija,
Bo już do brzegu cichego dobija.

* * *

Czasami kult równości jest ukrytą chętką,
By się wynieść nad innych skutecznie a prędko
I hasła wyrównania służyć za piedestał
Temu, co w duszy równym tłumowi być przestał.

* * *

Wierząc w serc ludzkich piękność idealną
I tą pięknnością karm się i napawaj,
I rosę uczuć zbieraj niewidzialną,
Lecz swego szczęścia na próbę nie dawaj
I nie doświadczaj tych uczuć trwałości,
Które ci sączą słodki sen miłości.

* * *

Zranionym sercom potrzeba
Błękitów nieba,
Skrzydlatej modlitwy gońca,
Pogodnych uśmiechów słońca,
Ciszy bez końca...
Lub burzy, która przygłuszy
Żrący ból duszy —
I czarnej, wyjącej nocy,
Co będzie osłonić w mocy
Ich płacz sierocy.

* * *

Niedrukowany nigdzie wiersz, którego autograf dostałam w dniu 14 Stycznia 1896 r., jest następujący:

Ruszając w drogę w życia poranek,
Widzimy w dali, w mgle, co się pali,
Zwodnicze szczęścia obrazy,
Kwiatów oazy,
Cudne postaci niebianek.
Gdy dochodzimy do kresu drogi
Cień spotykamy tylko złowrogi.
Zato za nami łśni się tęczami
Początek przebytej drogi.

* * *

Jeszcze był drobny wiersz jeden, ale nie zanotowałam go w tej chwili, w której nam go Asnyk czytał, potem już trudno było mi go wysledzić.

Z powodu żałoby nie byłam na balu. Ale na godzinę przed zabawą widziałam Asnyka.

— Nie uwierzy pani, jaką mam tremę. Mam rozpoczynać bal i wieść poloneza z p. Wodziaką. Cobym za to dał, żeby tego uniknąć. Nie można.

Bal świetnie się powiódł. Dochód był znaczny.

W jakiś czas potem Asnyk wyjechał do Lwowa i wrócił ze świetnym rezultatem.

Tego samego dnia był u nas.

— Towarzystwo Kościuszkowskie daje 15,000 na szkołę w Białej. Wydział Krajowy 10,000 — powiedział nam i był rozpromieniony.

Szkoła stanęła. Otwarcie jej było uroczyste. Imię Asnyka związane z tą zagrożoną placówką na wieki.

* * *

Spotykając się w domu naszym z p. J. M., Asnyk wielokrotnie prowadził z nim ożywione filozoficzne rozprawy i dysputy.

— Zajmuje mnie, mówił o nim, a ciekaw jestem, kto w nim kogo zwycięży. Wierzący, jako człowiek, jako filozof—skończony determinista. Lubię z nim mówić.

Dawał też tego dowody, a rozmowy te były nieraz świetnymi improwizacjami, pełnymi oryginalnych i głębokich błysków. Pod wpływem tych rozmów p. J. M. skreślił mi kiedyś następującą charakterystykę umysowości poety, którą przytaczam niemal dosłownie.

Kontemplacyjna natura Asnyka znalazła w młodości, podczas studjów, bogaty materiał myślowy w systemacie Hegla, którego filozofja panowała niepodzielnie na wszechnicach europejskich. Duch poety był jednak nazbyt niezależny, aby jednemu systematowi być wiernym całe życie: wierny był on tylko sam sobie.

Stało się z Asnykiem to, co się stało ze wszystkimi wybitnymi uczniami niemieckiego mistrza. Bogata prędkość myśli własnej i doświadczenie głębokie życiowe dostarczyły poecie własnych poglądów na świat i życie. „Z żywymi naprzód“ poszedł, „po życia sięgać nowe“.

Wiedzę nabytą—odsunął, własną myśl rozwijał dalej.

Był w poglądach swych na świat i dzieje idealistą o podkładzie realnym.

Wierzył, że świat dążyć musi do ideału wszechdobry i prawdy ludzkości, ale pojmował ten ideał po swojemu jako wcielony w wybitnych ludzi, którzy światu torowali drogę. Przeczul on niemal, bogatą swoją intuicją, Nietzschego i, choć w pewnej tylko mierze, wypowiadał te same myśli, które głosił nieszczęśliwy myśliciel-poeta niemiecki.

Asnyk był arystokratą ducha.

Jakkolwiek młodość jego upływała w czasie porewolucyjnym r. 1848, nie tego arystokratyzmu nie mogło w nim zburzyć:

— Ludzkość—to właściwie wielcy i wybitni ludzie, a reszta—szary tłum.

Dlatego też do końca życia swego pozostał wiernym temu światopoglądowi, wypływającym z jego silnej, wyraźnej i wybitnej indywidualności.

Na wszystkich polach myśli i działań ludzkich szukał tych wybitnych organizacji i ożywiał się w zadumie swej, gdy mówił o Giordanie Brunie, o Kancie, Napoleonie, Mickiewiczu i innych, w których widział urzeczywistnione w pewnej mierze ideały wszechludzkie.

Subtelny, dziwnie intuicyjny i głęboki umysł zdawał się wcielać w te postaci, a serce bijące, jak u młodzieńca, dla wielkich rzeczy, obejmowało ich w całokształcie, jak zjawiska cudowne.

Gdy go słuchałeś, zdawało się, że tych tytanów lepiej rozumiesz, że się ich bliżnim stajesz i żal ogarniał duszę, że ten wybraniec mówił do wybranych jedynie, a nie do całego świata, któryby mu wdzięczny był za te myśli, błyszczące wielorakim światłem. Ktoś inny, biorący udział w dysputach, twierdził, że idee Hegla ustąpiły w umyśle poety późniejszym teorjom filozofii ewolucyjnej, zostawiając jednak po sobie głębsze idealne skłonności.

Asnyk uznawał teorię darwinowską walki o byt i prawo wiekuistej przemiany, rozwoju, miał zresztą gruntowne wykształcenie przyrodnicze, ale łączył te idee z wiarą w ciągły postęp i doskonalenie się ludzkości, w nieustanny rozwój i odradzanie się ideałów. Stanowisko jego było podobne do poglądów, rozwijanych przez słynnego profesora uniwersytetu monachijskiego Maurycego Carrière'a, który także na dziejach ideałów ludzkości oparł swą znakomitą historjografię sztuki.

Pamiętam, jak wśród jednej z takich rozmów Asnyk wypowiedział myśli o najnowszych prądach mistycznych.

— Zwrot do religijności, mówił poeta — jest ponieważ wynikiem bankructwa nauki. Bo zwykle tak postępuje ta ewolucja: nauka szuka na każdej drodze prawdy lub jej równoważnika, szuka szczęścia pod względem socjalnym, wyczekuje zmian i rezultatów swych badań. Nie znajduje, więc fala umysłowości zwraca się w powrotnym ruchu do mistycyzmu.

W tych rozprawach, którym przysłuchiwałam się godzinami całemi, czasem niemal dniami... zauważyłam ten znamienity rys skromności, który cechował Asnyka zawsze. Nie mówił nigdy *ex cathedra*, nie wpadał w ton

nieomyślnej powagi, rzucał swobodnie, jakby od niechcenia uwagi i pomysły, które rozpryskiwały się i olśniewały barwą, jak wspaniałe kaskady, opromienione słońca blaskiem.

* * *

— Piszę coś dla Asnyka, ale nie wiem, czy napiszę. Jeżeli napiszę, dam panu Józefowi do przeczytania, mówił Tetmajer,—bo zbliżał się dzień uroczysty jubileuszu Asnyka.

Szczegóły dni tych zostaną jeszcze w moim notatniku.

Jubileusz odbył się serdecznie. Dużo było momentów podniosłych. Teatr, w którym grano „Braci Lerche“, przepełniony. Z ukazaniem się bladej, siwej głowy i smukłej postaci w łoży, wszyscy wstali, wszyscy złączyli swe hołdy w długim, serdecznym oklasku. Uczta przepełniła salę w Grand-Hotelu.

Tetmajer napisał wiersz gorący, podniosły, zapalny. Po odczytaniu go — Asnyk w jednej chwili znalazł się wprost Tetmajera. Rzucili się sobie w ramiona. Chwila niezmałowanej ciszy... a potem huczne oklaski.

Asnyk był szczęśliwy, miał łzy w oczach.

* * *

Liczne adresy, w artystycznych i kosztownych oprawach niektóre, upominki, listy, depesze... widziałam w pustych pokojach Asnyka—już po jego odejściu z tej ziemi, walające się w kurzu i pyle. Co się z nimi stało? Czy są i w jakie wpadły ręce—nie wiem. Wiem, że do współczesnych i żyjących należy wysłedzenie tego i staranie o trwałe dla tych drogich pamiątek siedlisko w „Muzeum Narodowym“. Jeśli to jest i u kogokolwiek jest, pamiętać się powinno, że to własnością prywatną nieczyją być nie może i że ogół tylko ma do tego prawo.

* * *

I zaczęły się: „...długie, ciemne, pełne cierpień noce, w których się ludzka rozprzega istota“.

I jak się rozprzegał

Asnyk zachorował po przyjeździe z Włoch w końcu kwietnia.

Stamtąd przywiózł zarodek tyfusu, z ostryg, które jadł w Neapolu, jak sam przypuszczał.

Kiedy doktor Pareński skonstatował gorączkę 38.3 i dziwił się, że Asnyk może jeszcze grać w winta i sie-

dzieć razem ze wszystkimi, już odtąd zaniepokojeni zaczęliśmy odwiedzać go — codzień.

Pierwszego i drugiego dnia — pokładał się w ubraniu. Wstawał, ile razy weszła która z kobiet, przeczuwał, że choroba będzie ciężka. „Byle nie tyfus“ — powtarzał... Był tyfus.

Prawie podczas całej choroby Asnyka bywałam u niego codzień, zmieniając się w nocnym czuwaniu z pp. Marją Maciejowską, dr. Pareńską i dr. Browiczową. Wyjechaliśmy, kiedy chory odsunął wszystkich, więc już w niczym nie mogłam mu być pomocną. A zresztą — po tyfusie przyszło zapalenie płuc i wywiązał się właściwie stan długiej, powolnej agonii. Chory był prawie nieprzytomny.

W całym przebiegu choroby i całym procesie wyzwoleń tego potężnego ducha z ciała — było coś tak tragicznego, że istotnie najciemniejszym dramatom Hauptmana nie dorównać ponurością — tej męce. W którymś swym wierszu mówi Asnyk: „jednego serca, tak mało mi trzeba, a jednak widzę, że żądam zbyt wiele!“ Miał dużo serc. Miał w chwilach żegnania świata wprost rozrzucające oznaki zbiorowego serca społecznego. Miał doktorów dbałych i oddanych. Miał młodzież uniwersytecką, która ofiarowała swe czuwanie nocne na zmiany. Miał kobiety, które ani na chwilę domu jego nie zostawiały bez opieki. Miał ofertę sklepów spożywczych, które za darmo gotowe były służyć w dostarczaniu wszystkiego, czego zapotrzebują doktorzy do podtrzymywania sił chorego. Miał kwiaty, które mu codzień przysyłał prof. Kostanecki. A jednak nie miał — *jednego serca*.

Tego serca, które słucha i przeczuwa. Tego, które odgaduje, bije jednym rytmem z drugim sercem, które drży w razie jego niebezpieczeństwa, które przyspiesza tętno — z każdą iskrą nadziei, że złe mija, które zamiera i kamienieje i stygnie — gdy zamiera tamto — drugie.

Takie bywa jedno. Takiego *jednego* nie miał Asnyk. Czemu go nie miał?

Czy dlatego, że jak mówił: „tę którą się kocha, porzuca się dla tej, w której się jest zakochanym“.

Czy dlatego że: „kochać się, to znaczy: kochać siebie w drugiej istocie i często zamęczać ją tym uczuciem“.

Czy może... że: „są ludzie, których szczęście nawet nie dotknęło, przeszło mimo nich w życiu“ — a oczy, kiedy to mówił, gasły, cofały się w głąb, zakrywały rzesą,

i coś dusza jakby odszukała we wspomnieniach, na czym westchnienie kładło pożegnanie...

Czy dlatego? Nie wiem.

Duszy Asnyka nikt dotknąć nie śmiał.

Mam jego fotografię, którą okala wieniec ze srebrnych liści. Ile razy ocieram z niej pył, liście, dotykając jedne drugich, wydają brzęk głuchy i chwilę potem — drżą.

Zawsze myślę wtedy, że tak bywało z Asnykiem. Drżał, jeśli kto niebacznie poruszył jaką nutę jego serca.

Na strunach jego duszy musiało się już nagromadzić tak dużo, może bezmiary żalonych melodji, że wsłuchując się w nie — wzdychał i cierpiał.

Był bardzo samotny. To nie. Im więcej jest się człowiekiem, tym bardziej musi się być samotnym. Ale im więcej się nim jest, tym mniej powinno się być osamotnionym.

Asnyk był osamotniony.

I to złe.

Ksiądz do spowiadającego się przed śmiercią Kor djana — mówi:

— Nie byliż ludzie przyjaciółmi twemi?

— Nikt.

— Tyś mi tego nie powiedział grzechu!

Nie mieć jednego choćby serca z życia całego — jest grzechem.

Może je miał i stracił. Może „miał — goniąc pustyni piaszczystych złudzenia“ lub rzucił, „za ognikami zdając błędniemi“, dość, że go nie miał.

Ten i ów był mu życzliwy — ale nie był mu oddany bezpodzielnie. Ta i owa go wielbiła, ale oddana była — nie jemu.

Tego kogoś na wyłączną własność brak tam było.

A brak ten dawał się uczuć we wszystkim. W zaniedbaniu domowym, w tym stosie rupieci, nagromadzonych bezładnie jedne nad drugimi, w tym pyle, który zaścielał całymi szerokimi warstwami każdą powierzchnię małych, biednych, opuszczonych pokoi, w tych szeregach kufrów, walizek, kamaszy — bezmyślnie porzuconych, ale nadewszystko w nim samym.

Póki nie zaczęła go dusza opuszczać, ta dusza wyczulona, estetyczna, pełna delikatności, subtelna, drażliwa, o wszystko tylko pokornie prosił, za wszystko — dziękował...

I było coś strasznie w tym bolesnego. Bo nie miał nikogo koło siebie, w tej ostatniej godzinie, od którego by z zaufaniem mógł czegoś chcieć, poprostu — chcieć, bez umizgu, z tą wiarą, że samo jego chcenie — jest radością, jest dla każdej posługi — nagrodą, dla każdego trudu ulżeniem, jest potrzebą, jest zdobyczą, jest bezpodzielna, drogą komuś własnością.

Więc z początku prosił i dziękował.

A potem?

Potem był cały szereg faktów, których przytaczać tu nie będę. Są okrutne.

W całej jeszcze pełni przytomności wypowiadał się wczesnym majowym rankiem u księdza, który był w tym oddziale powstańczym kapłanem, w którym walczył ongi Asnyk.

I wonczas, kiedy o śmierci mówiły latające świsty kul — przyrzekł towarzyszowi, że jeśli zechce spowiedzi — jego, a nikogo innego zawezwie.

W długie lata przyrzeczenia dotrzymał.

— „Mam już pasport na tamten świat, mówił mi, kiedy przyszedł rano, Mam i zawdzięczam go sobie, własnemu natchnieniu. Zrobiłem niespodziankę pewnej możnej damie, która pewno czyhała na zasługę pojednania mnie z Bogiem. Nic z tego. Sam księdzę wezwałem.

I potem już zaczął się coś, co istotnie dla mnie osobiście było tak bolesnym objawem, że wspomnienie o minionym sprawia mi niewymowne cierpienie.

Wszystko bowiem, co się nagromadziło w tym wielkim umyśle, co dała nauka, kultura, co dał świat, co dały jego zdobycze, gdzieś się z dnia na dzień podziewało. Duch ulatywał.

Zostawało zboliałe, zmęczone ciało — z trochę życia.

I to, co po odejściu tych duchowych, nabytych pierwiastków zostało, było samą prozą, samą jakąś dziwną, nie do pojęcia dziwną prawie pospolitością.

Wylazły, jak skryte dotąd polipy, jakieś harpie podejrzliwości, zawiści, goryczy, czasem złości... czyniąc atmosferę koło łóżka chorego nie do zniesienia.

Wszystko się „rozprzęgło“.

Ten i ów się zrażał, odsuwał. Serca szły do niego. Nie chciał ich — odpychał. W końcu kategorycznie odsunął wszystkich — zażądał płatnej najemnicy. Było to już zapewne objawem półświadomości, ale żądanie spełniono, prawie wszyscy się cofnęli. Nawet stara sługa Wa-

wrzącowa popłakiwała w kuchni, ale do pokoju nie wchodziła, pan nie chciał. A psina domowa zajrzała czasem i ze spuszczoneym łbem wychodziła, nie macając spokoju.

I tę ciszę, która go okalała — przerywał tylko głos obowiązku, płynący z „odpowiedzialności wspólnej człowieczeństwa“. Doktorzy nie odeszli, ale nikt męki nie słodził, nikt z anielską dobrocią nie przebaczał, nie osłaniał...

Był sam.

Przed odjazdem raz jeszcze poszliśmy żegnać go oboje.

Drzwi z przedpokoju do pokoju chorego — nie strzegł nikt.

Nie bywało już natrętnych.

Weszliśmy. Na łóżku, na wznak, z głową ciężko zapadłą w poduszki, leżało widmo człowieka.

Nad nim w tę i w ową stronę słupem krążyły muchy, z których jedna spacerowała po bladym i spoconym czole.

A obok, na krześle, ze zwiędłą, opuszczoną, zieloną gałęzią w ręku — drzemała znużona upałem i duszną atmosferą pokoju — czerwona, tęga, zdrowa — płatna najemnica...

Na toalecie, w rogu pokoju, stały poźółkłe konwalje od profesora K., jakaś stara pusta ramka, flaszeczka od perfum — bez korka i leżał motyl do szpilek o wypłowiałych, zgniecionych skrzydłach. Już żadna szpilka nie klęła jego zmarłego serca, a lustro pokrył kurz — niby szara krepa, równająca ton tych obumarłych momentów życia. Stanęliśmy bez słowa, jak przy umarłym.

Chory, po chwili, uchylił z trudem powieki, z pod których mętne źrenice już nie biegły w życie i „Witam was... ze mną źle... koniec...“ Powieki opadły.

Nie widzieliśmy go więcej.

Błada maska, która leży przedemną, raz jeszcze żywo wskrzesza mi w pamięci tę ciężką chwilę i tę postać, dostojności pełną, tego człowieka, który promieniował skarbami wiedzy, którego umysł ogarniał światy i zaświaty, a którego serce, któż wie, może mieściło w sobie tak olbrzymie góry żalu, goryczy, rozpacz... że nie było na ziemi dość słońca na ich opromienienie, dość ciepła na stopienie ich lodowych szczytów.

* * *

Zwłoki Asnyka leżą na Skałce.

— Do sprowadzenia zwłok Słowackiego nie przyłożę ręki, mówił nam.

Boję się, żeby się na mnie nie obraził, gdyby nie leżał na Wawelu, i dlatego jestem zdania, że jeżeli miałby leżeć na Skałce, to niech będzie tam, na obczyźnie.

Nie mam żadnego przywiązania do tego, gdzie ja będę leżał. Nigdy nie myślę o tym, żeby leżeć koło tych, których kochałem, którzy mnie kochali. Mogę nawet swobodnie myśleć o tym, że będę koło tych pochowany, którzy mnie nienawidzili. Jestem przecież dobrym Polakiem, a nawet to mi wszystko jedno, czy na naszej będę ziemi, czy gdzie na piramidach... byle nie na Skałce. Tam nigdy nie chciałbym leżeć. Ponuro, ciemno, czarno... Nigdy!

I właśnie tam leży.

Gdybyśmy byli w Krakowie w czasie śmierci Asnyka, bylibyśmy niezawodnie poszli do wielce szanowanego ówczesnego prezydenta Fridleina, który był szczerym przyjacielem Zmarłego, i prosili o uszanowanie tego—wprost wstrętu, jaki miał Asnyk za życia do tej pośmierćnej siedziby. Ale byliśmy wtedy w Szwajcarji. Ja — parę dni na pieszej wycieczce spędziłam w górach. Kiedyśmy się z mężem spotkali i otworzyli pocztę z kraju — już był pochowany.

Nazajutrz po przyjeździe do Krakowa, pod zachód słońca — wybrałam się na Skałkę. Niebo od strony Wisły zaciągało się czerwonymi smugami, a w naturze była cisza — układania się do snu...

Weszłam małą furtką od pola na renesansowy dziedziniec. Spokój i pustka klasztorna. Wyszukałam furtkę. Otworzył podkościelne sklepienie. Ciemno w nim, wilgotno, ponuro... Idziemy, z drżącym płomykiem kaganka... W tym — coś się poruszyło, coś zaszeleściło, coś jakby rzuciło we mnie garścią suchych liści z zawiędłych wieńców, okalających ściany krypty przedgrobnej, potem zaszumiało, załopotało skrzydłami tuż nad moją głową, falą powietrza dmuchnęło na płomyk światła i ...zginęło w klasztornym dziedzińcu.

To spłoszony nietoperz przy tych umarłych miał nocną straż.

Wyznaję, że cała drżąca składała ulubione przez Asnyka — konwalje, na pustej płycie, w ciemnej pieczarze grobu, w którym tak wbrew swojej woli — spoczął na wieki.

A wracając, w mroku, nad cichą, senną wodą Wisły, myśli odwrócić nie mogłam od słów:

We mgle wieczornej usiadło
Samotne blade widziadło
Przy drodze koło cmentarza —
I wzdycha — płacze — narzeka,
I o niewdzięczność oskarża
Serce człowieka.

* * *

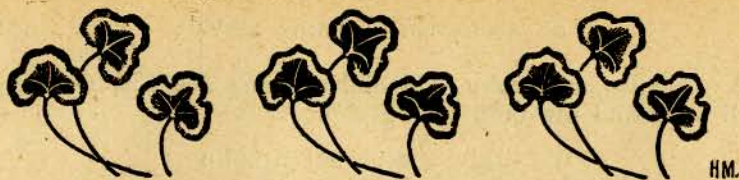
Mało grobów tak szczelnie zamknęło czyjaś sławę, jak grób Asnyka.

Myślą mierzył nieskończoność, przebywał na szczytach i nad głębią, mówił: „jako cząsteczka wszechświata myśląca, szukam w nim celu i o celu myślę“, a był i będzie rozkoszą tych „dziesięciu tysięcy“, które dążyć będą za myślą górną, dla których odpocznieniem będzie przebywanie w atmosferze jego ducha, którzy z nim razem rozumieją, że „dopiero w związku z wszechświata ogromem, człowiek granice istnienia rozszerza“. Ale miłując ludzkość, kraj, naród, ustroiwszy duszę swą w najświetniejsze klejnoty wyczuć, umysł we wszystkie skarby intelektu, w sercu nie wyhodował miłości dla... ludzi. Odszedł też niekochany, mogiła jego bezkwienna, zimna. Włókł się za nim leniwie żal zbiorowy — ale żadne „jedno serce“ poza grobem nie śledzi w mlecznych szlakach po niebie drogi jego ducha, nie tęskni, nie płacze... nad trumną nie załkało.

A blade widziadło na cmentarnej drodze zda się wciąż jęczy:

Ach, serce ludzkie tak zmienne,
Dawszy mi łożo kamienne,
Cień zapomnienia głęboki
Nad grobem mym rozpostarło...
Choć jestem całej epoki
Myślą umarłą.





OCENY I SPRAWOZDANIA.

Z MUZYKI.

„Śpiewacy-mistrze” na scenie warszawskiej. — Koncerty. — „Madame Butterfly”.

Pod przykrym chyba wrażeniem opuszczać musi Operę Warszawską każdy choćby przeciętny słuchacz po wysłuchaniu „Śpiewaków-mistrzów Norymberskich”. Opera nasza zaiste bardzo ubogą być musi, jeżeli największą, najwdzięczniejszą rolę, rolę, w której prawdziwy artysta iskry najszlachetniejszego zapału z duszy słuchacza wykrzesać by potrafił, powierza p. Alma-Kiersnowskiemu...

Dowodzi to rzeczywiście wielkiej nędzy głosowej na scenie warszawskiej, p. Kiersnowski bowiem nie posiada dostatecznych danych na to, aby otrzymać taką rolę, jak Hansa Sachsa. Pominąwszy już braki głosowe (a raczej brak głosu) pan Kiersnowski i jako aktor — wiele pozostawia do życzenia.

Nie jest to winą artysty, że gra rolę, którą mu wyznaczono, tymbardziej, że z przyjętego zadania stara się wywiązać jak najlepiej, ale jest winą dyrekcji, że powierza najtrudniejsze role artystom, którzy zadaniu wprost podołać nie mogą. Dyrekcji również zawdzięczamy chyba, że p. Metaxian, obdarzony tak wspaniałym materiałem głosowym, dostał rolę, w której nie miał najmniejszego pola do popisu.

O p. Dygasie, jako Walterze, powiedzieć można mniej więcej to samo, co i o wszystkich innych jego kreacjach; piękny głos jego zbyt dobrze znany jest publiczności, aby się o nim szerzej rozpisywać. Chwilami tylko gra p. Dygasa robi wrażenie trochę przesadnej; (głównie w scenach niemych); dało się to szczególnie zauważyć w scenie na schodach w akcie III i w przedostatniej scenie II odsłony. Jest w tym może trochę winy samej roli Waltera, w innych bowiem występach p. Dygasa sztuczności tej dopatrzyć się trudno.

Reszta artystów z p. Mokrzycką na czele wywiązała się ze swego zadania zupełnie poprawnie, zwłaszcza p. Lewicki, jako Beckmesser.

Orkiestra wyteżała, zdawało się, wszystkie siły, aby skutecznie zepsuć efekt „Śpiewaków”. To nie była orkiestra, towarzysząca solistom, ale jakaś orgja, jakieś rozpasanie się wszystkich dętych, rżniętych i perkusyjnych żywiołów. Słuchacz, siedzący w pierwszym rzędzie i znający dokładnie libretto, uważał się za szczęśliwego, jeśli jedno słowo na dziesięć wyraźnie wpadało mu w ucho. P. Reznicek zapomniał widocznie, że prowadzi operę, a nie dyryguje koncertem symfonicznym, w czasie którego mniejszą by mógł zwracać uwagę na natężenie orkiestry; biedny Hans Sachs zagłuszany był prawie stale.

23-go Października odbył się t. zw. „Wielki koncert” na rzecz założonego w roku zeszłym towarzystwa „Przedświt”. Że koncert był wielki, to prawda, może nawet za wielki ze względu na 15 wykonawców! Wszystkiego, nawet dobrych rzeczy, może być za dużo; tego zdania była i publiczność, która po drugiej części tłumnie poczęła salę opuszczać. Obawiać się należy, że to zbyt bogactwo programów zniechęci publiczność naszą do następnych koncertów na korzyść „Przedświtu”.

Zupełnie inne wrażenie wywarł przedostatni koncert Towarzystwa Muzycznego w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa: tam było tylko pięć numerów, ale tak dobranych, że publiczność usilnie domagała się „bisów”. Wypełnili program pp. Comte-Wilgocka, Bogucki, Michałowski, Domańska i Męczyńska. O dwojgu pierwszych rozpisywać się niema potrzeby; zanadto są znani i w świecie artystycznym i wśród publiczności szerszej. Idzie tu głównie o tych, którzy po raz pierwszy samodzielnie już na estradę wstąpili, chociaż studjów muzycznych nie ukończyli jeszcze; znać na nich wszystkich znakomitą szkołę prof. Domaniewskiego. Dziecinny jeszcze prawie wiek p. Domańskiej i p. Michałowskiego nie pozwala o nich powiedzieć, że są to artyści skończeni, można im jeszcze pewne braki zarzucić; nie tyczy się to już zupełnie p. Męczyńskiej, która studjów fortepianowych nie ukończyła jeszcze, lecz na estradzie śmiało już występować może, gdyż duże ma poczucie i zrozumienie stylu i daleko posuniętą technikę; czasem temperament unosi ją może trochę zdaleko, ale z wiekiem to przejdzie. Szkoda, że p. Męczyńska grała bardzo efektowny, ale nie-

ładny koncert Hillera; w innej kompozycji więcej potrafiłaby może wykazać jeszcze uczucia, kiedy nawet w tak niewdzięcznym utworze można je było zauważyć.

Prawdziwą ucztą artystyczną dla miłośników muzyki były w ostatnich czasach występy w operze p. Gembarzewskiej i p. Dimitrescu, których w „Żydówce“ np. słuchało się z prawdziwym zachwytem. P. Gembarzewska porywa siłą dramatycznego wyrazu i grą, nie mówiąc już o głosie; w śpiewie p. Dimitrescu zauważyć się daje pewne osłabienie; przed laty kilku głos jego silniejsze miał brzmienie; w każdym razie i dziś jeszcze umie czarować; szczególnie pięknie w interpretacji jego wyszła znana arja „Rachelo, kiedy Pan“...

Towarzystwo Muzyczne od jakiegoś czasu urządza koncerty, których powstydzić by się nie mogła żadna z koncertowych sal europejskich. Szczególniej interesującym był koncert ostatni w sali Ratuszowej: Dygas, Metaxian, Frenklówna, Mieczysław Frenkiel, Pilawa; same te nazwiska mówią za siebie, a wszyscy wywiązali się z zadań swych znakomicie. Poznaliśmy jeszcze na tym koncercie młodą siłę, która przy odpowiedniej pracy może się pięknie rozwinąć, jest to p. Smidowicz, uczeń prof. Michałowskiego, ma on już niezłą technikę (gdyby tylko chciał mniej mazać pasaże w „Mazepie“ Liszta) i dużą siłę, brak mu tylko śpiewności tonu.

Jednym z najciekawszych koncertów w sezonie bieżącym był występ p. Heleny Zielińskiej, prof. „Schola cantorum“.

Ogólne było mniemanie, że samo głośnie nazwisko wirtuozki na tak rzadko używanym instrumencie, jak arfa, pociągnie tłumy, zresztą i ciekawość przecież coś znaczy: p. Zielińska gra na arfie „chromatycznej“ i bez pedałów. Samo to ogłoszenie powinno by zrobić wrażenie na naszej publiczności, tak żadnej każdej nowej sensacji, ale tym razem reklama zawiodła: daliśmy dowód, że nie „uznajemy“ arfy chromatycznej i — byliśmy nieobecni. Pokazało się tymczasem, że arfa, choć bez pedałów, jest instrumentem bardzo pięknym, a p. Zielińska gra na nim prześlicznie. Nie mówiąc już o technice, bajecznie rozwiniętej, muzyka jej dużo ma w sobie uczucia i zrozumienia. Szkoda tylko, że grała rzeczy tak starożytne; może repertuar ten odpowiada charakterowi instrumentu, ale wrażenie artystyczne traci na tym.

Tyle o arfie, ale czy i orkiestra Filharmonji nie

umie grać nie więcej, prócz kompozytorów XVIII w.? Czy chodziło o dostrojenie się do repertuaru solistki? Doprawdy, taki koncert Haendla wystarczyłby chyba na jeden wieczór, czyż trzeba było jeszcze wykonywać rzecz tak wysoce „interesującą“, jak uwertura Cherubini'ego?

Ostatni koncert Towarzystwa Muzycznego dowiódł, jak dalece artyści nasi poczuwają się do spełniania swych zobowiązań: w programie, jako „great attraction“, figurowały nazwiska p. Pietraszewskiej, „primadonny“ opery „La Scala“, i p. Artura Rubinsteina.

Z przykrością zaznaczyć musimy, że na estradzie ani p. Pietraszewskiej, ani p. Rubinsteina nie ujrzelśmy: p. Pietraszewska „podobno“ wyjechała zagranicę na parę godzin przed koncertem, pomimo formalnie zawartej umowy, a p. Rubinstein... widocznie na ów wieczór znalazł odpowiedniejsze dla siebie miejsce, niż estradę koncertową, gdyż także „świecił nieobecnością“ i dotąd nawet nie raczył się wytłomaczyć ze swego postępowania przed organizatorami koncertu. Zagranicą, artysta, któryby podobny zawód śmiał uczynić, o ileby nie odpowiadał sądownie, conajmniej byłby napiętnowany przez opinię publiczną — ale u nas... u nas nazajutrz już dostał parę nowych zaproszeń i... cicho!...

Ci artyści za to, którzy dopisali, starali się luki w programie tak zapełnić, iż — doprawdy — braku ani p. Pietraszewskiej, ani p. Rubinsteina, publiczność nie odczuwała. Jest to tylko dowód, iż piękny koncert można urządzić i bez „primadonn“ opery Medjolańskiej.

O p. Boguckim, jako głównym wykonawcy programu, możnaby jedno tylko powiedzieć: szkoda, że się na estradach naszych ukazuje tak rzadko, że tak zazdrośnie skarby swego głosu chowa dla siebie; do niedawna scena „Nowości“ nie mogła mu dawać dostatecznego pola do popisu, ale dziś, gdy z operetką wziął już rozbrat zupełny, spodziewamy się, że częściej da się nam słyszeć. Artystę, któryby z takim odczuciem i zrozumieniem odtwarzał wykonywane kompozycje — nie codziennie się u nas spotyka.

Na tym samym koncercie poznaliśmy dwie młode, nieznanne zupełnie dotąd siły: p. Cygańską, która niedawno dopiero ukończyła studia wokalne w Rzymie, obdarzoną miłym głosem mezzosopranowym, wcale dobrze postawionym i o wyrównanej już technice, i p. Marję Szrajberównę, uczennicę prof. Michałowicza, która ma, zdaje się, wielką przyszłość artystyczną przed sobą. Bardzo

duży ton, zupełnie rozwinięta i uporządkowana już technika i ogromnie wiele uczucia—oto cechy charakterystyczne jej gry.

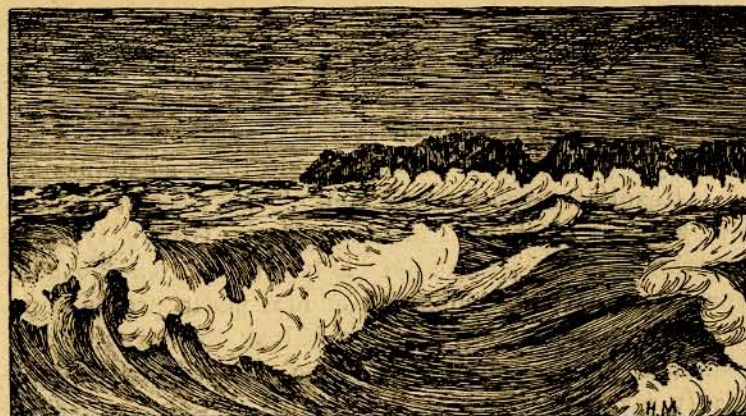
Załowac tylko należy, że na pierwszy występ dano młodej artystce tak nudną i długą rzecz, jak koncert Dawida: pomimo wszystkich dodatnich cech gry, pomimo znakomitego frazowania koncertantki — słuchacz czuł się już znużonym przy końcu.

Mówiąc o Towarzystwie Muzycznym, niepodobna pominąć tak ważnego i radosnego zarazem faktu, jak zorganizowanie własnej orkiestry mieszanej, której brak dotąd dotkliwie uczuwać się dawał. Fakt to tym donioslejszy, że nowoutworzona orkiestra nie jest zbieraniną wszelakich „amatorów“, jak to u nas bywa często w różnych zespołach: jest to orkiestra poważna, złożona z członków „Związku muzyków“, która zczasem — trzeba mieć nadzieję — pod tak wytrawnym kierunkiem, jak prof. Singera — najwybredniejsze nawet wymagania zaspokoić potrafi.

W operze warszawskiej zainteresowanie duże wzbudziła niegrana dotąd u nas zupełnie opera Puccini'ego „Madame Butterfly“. (Czy nie możnaby zapytać dyrekcję opery, co znaczy wydrukowany na afiszach i programach wyraz „*Madama*“? Jeśli jest to omyłka zecerska, to czy nie czas byłoby już ją usunąć, gdyż sprawa wrażenie wprost śmieszne). Opera, jako dzieło muzyczne, nie przedstawia nic nadzwyczajnego (z wyjątkiem duetu w akcie II i chóru za sceną, kończącego tenże akt), ale warto być na niej ze względu na grę artystów z p. Bellincioni na czele. Choć w głosie jej daje się już odczuć pewne zmęczenie, i dziś jeszcze śpiewa prześlicznie, a jako aktorka jest wprost nieporównana. Treść opery zostawia dużo do życzenia, i gdyby dzieło to wykonywane było przez inny, mniej doskonały personel śpiewaczy — można byłoby je uważać za plód poroniony.

P. Malawskiemu tylko zwróciłbym uwagę na jedno: grał dobrze, bardzo dobrze nawet, ale ruchy jego i mimika odpowiedniejszeby były do operetki, niż do poważnej opery; rolę swoją p. Malawski traktował zanadto humorystycznie; nawet scena, kiedy grozi z okna Cho-cho-sun, wywołuje raczej uśmiech, niż uczucie grozy.

JULJUSZ FRANKOWSKI.



Na fali.

Pisałem właśnie sprawozdanie z „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego, wystawionej po raz pierwszy w Krakowie 28 Listopada w pierwszą rocznicę śmierci wielkiego poety—gdy w dziennikach pokazano mi wiadomość: „wydawnictwa „Dzień“, „Przegląd Poranny“, „Głos Warszawski“ i „Nowa Gazeta“ skazane zostały w drodze administracyjnej na grzywny w wysokości 100 rb., a „Tygodnik Ilustrowany“ i „Scena i Sztuka“ w wysokości rb. 25 — za wydrukowanie korespondencji z Krakowa o „Nocy Listopadowej“.

Obliczyłem skrupulatnie zapasy złota w ogniotrwałych kasach „Sfinksa“; rzuciłem melancholijne wejrzenie na sążniste rachunki zakładów drukarskich, papierniczych, fotochemigraficznych, introligatorskich i wszelkich innych, z którymi łączą mnie tak sympatyczne a ściśle stosunki od chwili zdobycia w hierarchji społecznej zaszczytnego stanowiska — redaktora i wydawcy „Sfinksa“; spojrzałem na przygotowaną listę niezadowolonych „hono-

rarjów“ autorskich z ostatniego zeszytu i pomyślałem pobożnie o blizkim już terminie opłaty komornego za kwartał najbliższy i o pogroźkach pana rządcy, że mi je podniosą wkrótce (zapewne również tytułem kary administracyjnej za świetne interesy, jakie robię na „Sfinksie“).

Rezultat mych kontemplacji nie był wesoły. Skażają — nie skażają — trzebaby stukać w palce. Gdyby tylko na 25 rubli — byłoby jeszcze pół biedy, ale na sto... Możnaby wprawdzie, wzorem kolegi Belmonta, podać prośbę o pozwolenie „odsiedzenia“ kary, że jednak i tę przyjemność poznałem już wszechstronnie, więc skrzydła natchnienia opadły jakoś, a głos rozsądku szepnął do ucha: „poczekaj ze sprawozdaniem aż do zniesienia wszelkich stanów wzmocnionych i nadzwyczajnych...“ Trochę to może za długo, że jednak „Sfinks“ warszawski, jak jego brat egipski, ma przed sobą co najmniej pięć tysięcy lat bytu, więc może pokolenia, które po ich upływie żyć będą, dowiedzą się ze szpalt naszych szczęśliwie, jak pięknie grała pani Irena Solska rolę Joanny, jak głęboko p. Sosnowski pojął niezapomnianą postać jej małżonka, jakim pysznym Lelewelem był p. Edmund Weychert, jakim świetnym artystą i dyrektorem, no — i gospodarzem gościnnym, jest p. Ludwik Solski... Podziwiałem szczerze jego talent, zapał i werwę, widząc zwłaszcza, jak po trudach i męczarniach premjery, w której odtwarzał aż trzy role, i po „skromnym posiłku“, którym (do trzeciej w nocy) podejmował serdecznie gości premjerowych, nazajutrz o trzeciej popołudniu walił hołupce w „Carze Samozwańcu“ Nowaczyńskiego i wogóle grał świetnie trudną i męczącą rolę Dymitra, by o 7-ej wieczorem kierować znów przedstawieniem „Nocy Listopadowej“ i odtwarzać w niej rolę Potockiego, pierwszego Satyra (w obmyślanej znakomicie scenie w teatrze), oraz przykutego do armaty Łukaszyńskiego... „Noc Listopadowa“ wypadła wogóle w teatrze krakowskim znakomicie i żałuję szczerze, że o niej pisać nie mogę...

Pierwszą rocznicę śmierci Wyspiańskiego teatr war-

szawski pominął zupełnie. Uczczono ją koncertem w Filharmoniji, na którym jednak nasza publiczność szanowna „świeciła — mówiąc językiem reporterskim — nieobecnością“.

Publiczność ta jest, niestety, wogóle dosyć bezmyślna, a przynajmniej — bardzo kapryśna. Pełno jej podobno w kabaretach, ucześnie tłumnie na farsy i operetki, a nawet na sensacyjniejsze odczyty. „Nie dopisała“ jednak na wieczór uroczysty, poświęcony pamięci twórcy „Warszawianki“ i „Wesela“, niezbyt licznie zebrała się przedtym kiedyś, gdy zdarzyła się jej okazja wysłuchania w dobrej interpretacji nietylko ciekawego programu muzycznego, lecz i — po raz pierwszy w Warszawie — paru nieznanych jej zapewne scen z „Samuela Zborowskiego“.

To też nie bez zdziwienia patrzyłem w tych dniach na szczelnie dosyć wypełnioną salę Filharmoniji podczas koncertu na rzecz niezamożnych uczniów gimnazjum, popieranego przez Tow. Kultury Polskiej. Koncert miał naprawdę poważny i piękny program muzyczny, a w dodatku konferencję Ignacego Grabowskiego o „Księżu Niezłomnym“, z którego scen kilka wypowiedział świetnie p. Tarasiewicz przy akompaniamencie orkiestrowym Opieńskiego. Wobec takich nadzwyczajności — szanujący się Warszawiak powinien był wieczór ten spędzić podniośle na zwyczajnej farsie lub słuchać ordynarnych śpiewek w najpospolitszym kabarecie; okazuje się jednak, że są między Warszawiakami i — nie szanujący się...

Konferencję swoją zakończył p. Ign. Grabowski życzeniem, by na progu setnej rocznicy dnia urodzin Słowackiego Warszawa domagała się jednogłośnie — wystawienia „Księcia Niezłomnego“ w teatrze Wielkim.

Jak prędko zmieniają się czasy! Przed rokiem marzyliśmy o sprowadzeniu do Warszawy zwłok Juljusza, o wzniesieniu mu pomnika w sercu Polski, o zbudowaniu teatru Jego imienia; zakładaliśmy komitety jubileuszowe, snuliśmy projekty i marzenia. Ale — jak mówi przysłowie — na święty Wit słowiczek cyt, a słowiki jubileuszowe przed świętym Witem bodaj zamilknąć u nas musiały. I teraz,

gdy—„przeminął czas rapsodów, sławy i miecza—zmały pieśni pośród nas i pierś zmała człowieka”— marzymy już tylko o „Księciu Niezłomnym” na scenie warszawskiej, a i to marzenie okaże się wkońcu zbyt śmiałym, zwłaszcza, że główny reżyser nie tęskni, jak się zdaje, do Słowackiego.

Gdybyż z zamiarów i projektów wszystkich, jakimi uczcić miano Twórcę „Króla Ducha”, urzeczywistnił się był choć ów—jeden z najskromniejszych—założenia Towarzystwa literackiego Jego imienia. Gdybyż ci chociaż, których „fatalna siła” wielkiego poety wynieść już nieco zdołała ponad poziom zwykłych zjadaczów—kuropatw i jarząbków, ułatwione mieli zbliżanie się i poznawanie wzajemne, wymianę myśli, popularyzowanie dzieł mistrza i pracę badawczą nad jego twórczością. Sądzę, że sprawa ta, mimo trudnych warunków chwili, jest jednak do urzeczywistnienia, byle się ktoś zajął nią naprawdę gorliwie. A wydaje mi się ważną, bo wierzę, iż przyczyniłoby się mogła do owego powiększenia i polepszenia dusz, za którym, według „Ksiąg Pielgrzymstwa”, ma iść podobno polepszenie praw i powiększenie granic...

Dziwnie beznadziejnie i smutno kończy się ten rok... Smutek straszny gryzie, jak wampir, nasze dusze, choć niezawsze uświadamiamy go sobie w całej pełni. On — po ponownym pożegnaniu się społeczeństwa ze sporą garścią złud i marzeń, rozwianych tak prędko po świecie szerokim, ogarnął stopniowo wszystkich, co czuć i myśleć są zdolni. Więc jedni uciekają ze świata, jak owi trzej młodzi nauczyciele-koledzy, którzy jednocześnie prawie wpakowali sobie kule w mózgi; inni—gotowi głuszyć ból, w piersiach utajony, choćby lubieżną piosenką rozpustnej dziewczyny; inni jeszcze pchają beźmyślnie taczkę życia, byle zepchnąć dzień jeden za drugim.

Lecz każdy z nas — ma podobno w duszy ziarno przyszłych praw i miarę granic przyszłych, tylko że o powiększenie i polepszenie duszy nikt prawie nie dba rzetelnie.

A jednak — nam rozpaczać nie wolno i nie wolno pozbywać się wiary „w cel życia wzniosły, święty, choć daleki”, ani tracić z oczu przyszłego ludów braterstwa, ani przestać wsłuchiwać się „w hasła tajemnicze, które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki...”

„Bo błysnie dzień,—mówi poeta — bo błysnie dzień, w którym duch ludzki nanowo ożywi zwiędły życia pień girlandą kwiecia różową. I z prochu, w który dziś się wpił na dawnych marzeń ruinie, zaczerpnie zapas twórczych sił i znowu w niebo popłynie...”

Wierzyć musimy w blizki już może rozświt tego dnia wielkiego, którego nadzieją krzepiły nas duchy mocne w chwilach cięższych bodaj i gorszych od dzisiejszych.

A zresztą dziś—gdy wieczór wigilijny nadchodzi — wolno nam łudzić się choćby, że będzie on dni lepszych zwiastunem; wolno w każdym razie życzyć sobie tego wzajemnie, łamiąc się symbolicznym opłatkiem. Z temi przedewszystkim, co wspólnie z nami zasiądą do tradycyjnej wieczerzy, lecz—sercem przynajmniej — i z temi—co, od ognisk rodzinnych oderwani, mocniej, niż zwykle, zatęsknią może dziś do nich i—z obczyzny dalekiej—do pagórków leśnych i przyprószonych śniegiem łąk ziemi oczystej wyciągną ze łzami ramiona.

Niech ta noc wigilijna da im chwilę ukojenia i spokoju. Niechaj im ześle marzenia błogie o szczęśliwych, niezapomnianych nigdy dniach dzieciństwa; niech we śnie chociaż zapłonie im setką ogników—radość chwil niepowrotnych — choinka; niechaj dokoła niej ujrzą raz jeszcze zebrane kochające i ukochane grono najbliższych swoich — tych, co tęsknią do nich, tam w kraju, i tych, których już może niema na świecie, którzy tylko, jako wspomnienie drogie, żyją w kilku duszach kochających.

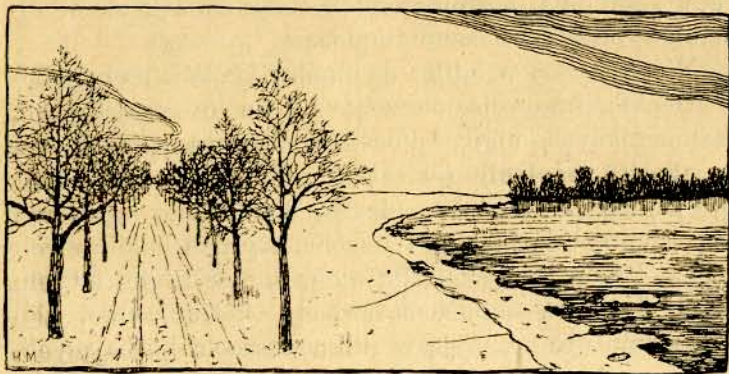
Wszystkim nam zresztą—i tym, co z obczyzny dalekiej tęsknią do kraju, i tym, których dusze tu na miejscu ścierają się, jak ziarna, na miał we młynie marnych codziennych trosk i zabiegów, przydałby się taki krótki bodaj, lecz orzeźwiający sen o dzieciństwie, jeśli ono

przynajmniej szczęśliwym było dla nas. Więc niech nam zapachnie w tę noc wigilijną żywica choinek z lat dawnych, niech nam zaszumią choć we śnie stare lipy wiossek rodzinnych, niech najdroższe oblicze Matki nachyli się raz jeszcze nad twą zboląłą głową, o strudzony wędrowece skwarnych i kamienistych pustyń życia, i zapomnijmy, zapomnijmy przede wszystkim o tym, co gnębi i boli, o nieziszczonych snach naszych i niespełnionych nadziejach, o wszystkich, wszystkich rozczarowaniach i zawodach—jedynym bogactwie życia...

Zapomnijmy na chwilę nawet i o tym, że—niedalej jak wczoraj, Warszawski Sąd Wojenny wydał znowu—siem wyroków śmierci.

23/XII.

Wł. B.



Widok Wrocławia w 1848 r. według współczesnego sztychu (ze zbiorów L. Méyeta.)

LEOPOLD MÉYET.

Słowaeki i Komierowski.

(Na podstawie listów poety przyczynek do Jego życiorysu.)

Niewielkie kółko przyjaciół otaczało autora „Lilli Wenedy“ w ostatnich latach jego życia. Byli tam Cyprjan i Ludwik Norwidowie, Szczęsny Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski, brat po duchu i lutni Kornel Ujejski, Karol Pettinaud, malarz francuski i wykonawca jego testamentu, a serdeczny stosunek nawiązał się również między poetą a Józefem Komierowskim.

Komierowski, syn Tomasza, właściciela dóbr Sielce, w powiecie pułtuskim (ur. 1813, zm. 21 paźdź. 1861 r.) w młodości służył wojskowo i w bitwie pod Ostrołęką wzięty był do niewoli. Po wypuszczeniu na wolność osiadł w majątku swym Wąsew, w powiecie ostrołęckim.

Między 1846 a 1850 r. znany był w kraju i nazwisko jego miało pewien rozgłos. Zdaniem ludzi, którzy go blisko znali, był jedną z najoryginalniejszych postaci swego czasu, a zawsze ząną, prawą, uczynną i bardzo szlachetnego sposobu myślenia. Już w r. 1846 uwłaszczył i oczynszował włościan w swoim majątku. Za wielką też zasługę poczytać mu należy serdeczne, uparte szukanie prawdy i apostołską gorliwość w propagowaniu tego, co mu się prawdą wydawało. Z usposobieniem do mistycyzmu, pozbawiony praktycznego zmysłu, party pragnieniem prawdy, przerzucał się z doktryny w doktrynę, niosąc wszędzie swą dobrą wiarę i swoją egzaltację. Z socjalisty stał się towiańczykiem i z całą goryczą zawiedzionej wiary rzuca mistrzowi w oczy broszurę p. t. „Moje stosunki z Towiańskim i towiańczykami“ i staje się wkrótce ultramontaninem. Że zaś raz przyjętą przez siebie teorię chciał natychmiast w ciało przyoblec i zastosować w życiu, więc wywołał o sobie sądy rozmaite. Upatrywano w postępowaniu jego oryginalność, posuniętą do dziwaczności, w stosunkach z ludźmi niestałość i nierówność. mieszaninę wielkiej szlachetności i odstręczającego egoizmu, bezgraniczne zaufanie i upokarzającą niewiarę.

W Paryżu, gdzie często przebywał, poznał się z najwybitniejszymi przedstawicielami emigracji, zbliżył się do Mickiewicza i zaprzyjaźnił ze Słowackim. W r. 1851 poślubił Zofję Sobieską (obecnie wdowa po Władysławie Radwanie), która pobyt z mężem w Paryżu 1853 r. opisała w artykule p. t. „Dziennik Zofji Komierowskiej“ („Bluszcz“, numery 1 — 6 z 1889 r.)

Synowie: Konstanty i Józef mieszkają w Warszawie, a Bronisław w Królestwie.

Józef Komierowski wydał bezimiennie: „August z Kości, dramat bez końca“ — Poznań, nakład i druk W. Stefańskiego, 1844 r.; nadto tamże w 1849 r. „Piekło i Ludzkość“, dramat w trzech odsłonach“, podznaczony literami N. N. Bezimiennie również: „Polska zagranicą i w Królestwie Polskim“, Poznań, W. Stefański, 1848 r.

Pod pseudonimem „Nieznajomego“ przytoczone przez Estreichera bez wskazania autora (Bibliografia Polska III, 239): „Pieśni dla braci“, Poznań, 1846, oraz „Uwagi o tegorocznym zapatrywaniu się na sprawę Polską“, Berlin, nakład E. Grossa, 1861, str. 43. Autorstwo wspomnianej broszury: „Moje stosunki z Towiańskim i towiańczykami“, Paryż, 1856, Estreicher, a za nim wielu innych, mylnie przypisuje Janowi Franciszkowi Kołosowskiemu. Na to, że autorem broszury był Komierowski, mamy poświadczenie przede wszystkim jego małżonki, której mąż tę książkę dyktował, a fakt ten potwierdza również w liście prywatnym do mnie p. Władysław Mickiewicz, jeden z wielu już, niestety, znawców dziejów emigracji naszej w Paryżu. Od kilku starych towiańczyków, których rzecz ta bliżej obchodziła, dobrych znajomych Komierowskiego, słyszał p. Mickiewicz, że broszura ta jego jest pióra. A zresztą cały przebieg opowiedzianej sprawy zgadza się z tym, co wie o stosunkach Komierowskiego, z Towiańskim.

O przyjaznym zbliżeniu się Komierowskiego do Słowackiego kilka zaledwie wzmianek znajdujemy w listach poety do matki z d. 12 i 20 sierpnia, oraz 11 września 1848 r. Lecz z nazwiskiem Komierowskiego nie spotykamy się tam nigdzie. Słowacki nazywa go tylko „przyjacielem z Gdańska“, bo Komierowski przebywał często w tym mieście, pozostając w stosunkach ze znaną tamtejszą firmą handlową: „Makowski, Kędzior i S-ka“ (później „Aleksander Makowski i S-ka“).

Była to ostrożność, której w owym czasie przestrzegano ściśle, by nie narażać rodaków z Królestwa lub Cesarstwa na prześladowanie policji. Utrzymywanie bowiem stosunków lub prowadzenie korespondencji z emigrantem uważano wówczas za przestępstwo stanu.

W wydaniu swoim „Listów Słowackiego“ objaśniłem, że tym przyjacielem gdańskim był Józef Komierowski (Lwów, Księgarnia Polska, t. II, str. 316). Z korespondencji tej poufnej i ożywionej, trwającej do zgonu poety,

kilka zaledwie ocalało listów. Jeden z nich z dnia 27-go czerwca 1848 roku pochodzi z czasów krótkiego pobytu Słowackiego we Wrocławiu. Wiadomo, że już na wiosnę t. r. poeta wyjechał do Poznania, dla wzięcia czynnego udziału w wypadkach ówczesnych. Po niepowodzeniach oręża polskiego w Wielkopolsce i prześladowaniach ze strony władz pruskich w Poznaniu, zmuszony był wyjechać do Wrocławia, gdzie po kilkunastoletniej rozłące spotkał się z matką swoją. Drugi list z d. 30 września tegoż roku, pisany z Paryża, znajduje się w zbiorach Akademji Umiejętności w Krakowie. Trzeci wreszcie bez daty i adresu ogłosił dr. H. Biegeleisen (Dzieła Juljusza Słowackiego, Lwów, Księgarnia Polska, 1894, t. V, str. 494 i inne), jako list do Józefa Reitzenheima. Na ten domysł mogła doprowadzić zasłużonego autora tytu prac o Słowackim tożsamość imion i pokrewieństwo tematu, poruszonego w tym liście i w urywku listu do Reitzenheima, a nadewszystko brak listów Słowackiego do Komierowskiego, które wyszły na jaw dopiero w ostatnich kilku latach. Listy te uzupełniają się wzajemnie.

Ten trzeci list bez daty i adresu przypada na miesiąc lipiec lub na początek sierpnia t. s. 1848 r. i nastąpił bezwątpienia po liście z 27 czerwca. „Kończę list — pisze Słowacki — bo mnie upał dociska“, więc mowa tu o upale, panującym zwykle w tym czasie w Paryżu, a wzmianka o „szesnastoletniej pracy emigracji“, licząc niezawodnie od 1832 r., wskazuje rok 1848. Już w liście z d. 12 sierpnia t. r. Słowacki donosi matce o pobycie Komierowskiego w Paryżu, więc list poety, który poprzedził ten przyjazd, mógł być z lipca lub najpóźniej z pierwszych dni sierpnia. Po wyjeździe Komierowskiego korespondencja zawiązała się na nowo; odpowiedzią zaś na list jego było pismo, noszące datę 30 września.

Ustaliwszy datę będziemy mogli obecnie udowodnić, że to nie był list do Reitzenheima, lecz tylko do Komierowskiego. Już ze słów w tymże liście: „a sława twoja będzie moją sławą“ wniesć można, że stosują się one

do rozpoczynającego niejako zawód pisarski. Wstępującym na arenę literackiej i publicystycznej działalności był właśnie Komierowski, a nie Reitzenheim. Następnie Słowacki porusza w liście tym sprawy i stosunki poznańskie, i widać, że pisał go do osoby, będącej podówczas w Poznaniu. Komierowski odwiedzał krewnych swoich w ich majątności rodzinnej, Komierowie, w Prusach Zachodnich, stąd też bardzo często przebywał w Poznaniu i był tam zadowolony, a tylko do takiego zaufanego przyjaciela mógł Słowacki zwracać się z temi różnemi sprawami, które tak gorąco w swym liście traktuje. Nie było żadnej racji pisać w takich kwestjach do Reitzenheima, który stale mieszkał w Paryżu i zupełnie inną rozwijał działalność. Nadto z listu Juljusza do matki z dnia 1 sierpnia 1848 r. wiadomo, że Reitzenheim bawił podówczas u matki swej we Lwowie, w liście zaś z dnia 29 tegoż miesiąca i roku znajdujemy wzmiankę, że 20 lipca zamierzał do Lwowa wyjechać, a tymczasem, nie pojechawszy tam, zostawił żonę i dzieci bez żadnej dalszej o sobie wiadomości i miejsca swego pobytu. Dopiero w liście z dnia 9 października t. r. do wuja swego, Teofila, mieszkającego w Ubieniu, niedaleko Lwowa, donosi Słowacki o powrocie Reitzenheima do Paryża. „Wczoraj — pisze — Reitzenheim przyniósł uściśnienie twoje“.

W ten sposób nieobecność Reitzenheima w Paryżu możemy oznaczyć na pierwszą część czerwca, na lipiec, sierpień, wrzesień i pierwsze dni października 1848 r., w którym to okresie czasu już w lipcu nie dawał o sobie żadnej wiadomości. Nie pisałby więc Słowacki listu obszernego, w ważnej sprawie, do osoby niewiadomej z pobytu, lecz skreślił, jak to widać z pierwszych słów tego pisma, odpowiedź na list otrzymany. Nadto słowa listu: „Jeżeli tej wiary *nie wywiozłeś z Paryża*, toś stąd bardzo biedny wyjechał“, mogą być zwrócone tylko do osoby, odwiedzającej Paryż, a nie zaś stale tam przebywającej. Wzmiankując wreszcie o Krasińskim, nie mógł w żadnym razie Słowacki pisać tego w liście do Reitzenheima. „Zobaczysz zapewne Zyg-

munta...—pisze—pozdrów go odemnie“. Słowa te również mogły być zwrócone do Komierowskiego, który miał możność widzieć autora „Irydjona“ w Warszawie, nigdy zaś do Reitzenheima, bawiącego we Lwowie, gdzie Krasiński znajdować się nie mógł.

Przechodząc w tej korespondencji od spraw ogólniejszych do zwierzeń osobistych, do wyrażania przyjaznych dla Komierowskiego uczuć, Słowacki w liście z Wrocławia odzywa się w te słowa: „...Taki więc idealny — i taki więc kochający Cię, jak zawsze, czekam Ciebie — i wyglądam gdziekolwiek bądź na ziemi, abyśmy się zobaczyć mogli, a ową zimę w Paryżu przebytą — nieco rozjaśnili“. W liście ostatnim z dnia 30 września pisze: „Proszę Cię, nie wątp, żeś ze mną w najświętszym duchu złączony, że wszystko, co Cię osłabia, mnie osłabia — a każde silne drgnięcie ducha twojego — jest mi mocą i do nowego rycerstwa zapala.“ W liście bez daty czytamy: „Ja też, pracując, nieraz zadumam się i — oprę się na tobie, jako na dobrym chcącym celów Bożych współpracowniku — a sława twoja będzie moją sławą — tu ukrytą — widzę w niebiosach... Tam bowiem jasno się okazują te nici, które tu miłością i współczuciem nazwane, wiążą duchy i do jednych je celów prowadzą“.

W tych wszystkich wynurzeniach przewija się ten sam tok myśli, brzmi jednaka nuta serdeczna, zwrócona do jednej i tej samej osoby. Byłoby zaś dziwnym i niczym niewytłomaczonym, gdyby Słowacki z podobnym wynurzeniem zwracał się do Reitzenheima, z którym od tak dawna w Paryżu przebywał.

Następnie przytoczyć wypada pewien szczegół ciekawy i poniekąd rzecz rozstrzygający. Oto w liście tym pisze Słowacki: „Dedykacja mi twoja była miłą — choć wprawdzie zarumieniłem się, nazwany publicznie *cnottliwym*“.

Reitzenheim należał do niewielu serdecznych przyjaciół Słowackiego, zwracał uwagę współczesnych na genialność jego utworów, pocieszał go w samotności, a po zgonie był stróżem jego sławy i — mogiły. Jednak żad-

nego z pism swoich Słowackiemu nie poświęcił i takiej dedykacji, o jakiej wspomina poeta, nie znajdujemy w żadnej z książek Reitzenheima w owym czasie lub później wydanych.

Komierowski ofiarował „Augusta z Kości“ Marjanie Boleskiej, a Słowackiemu zapewne swe „Pieśni dla braci“. I gdybyśmy tę dedykację odnaleźli, wszelkie dowodzenia byłyby zbyt liczne. Lecz z temi „Pieśniami“ stała się rzecz niezwykła. *Habent sua fata libelli*. Żadna z bibliotek publicznych i prywatnych na całym polskim obszarze, ani Biblioteka Polska w Paryżu, ani Rapperswil, ani Biblioteka Raczyńskich lub Królewska w Berlinie, ani nawet zbiory Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk tych „Pieśni“ nie posiadają. Tylko w rodzinie Komierowskich znalazł się jeden egzemplarz zdektowany: bez kartek tytułowych, a więc i bez owej możliwej dedykacji.

Wzmianka wreszcie o Młodzianowskim w tymże liście bez daty i adresu i w liście z d. 27 czerwca 1848 r., do Komierowskiego adresowanym, również za tym przemawia, że oba te listy do jednej i tejże samej pisane były osoby.

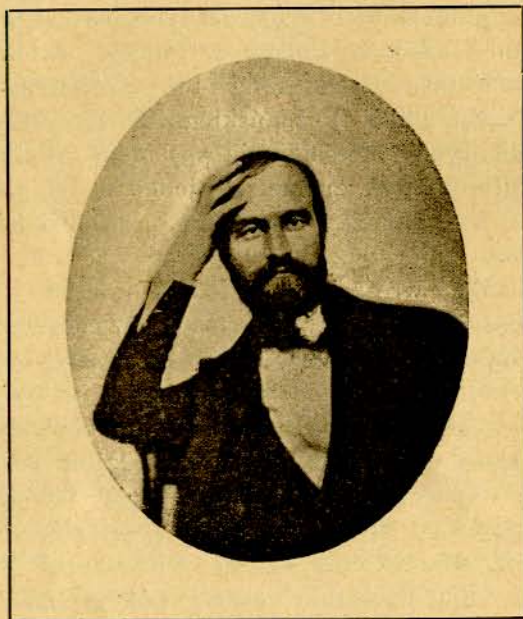
Może tego listu bez daty i adresu nie wysłał wcale Słowacki, skoro nie znalazł się on w rodzinie Komierowskich, lecz w pośmiertnej puściźnie poety. Te wszystkie cenne pamiątki po Słowackim rodzina, jak wiadomo, ofiarowała prof. Małeckiemu, który zużytkował je z tak znakomitą dla literatury naszej pożytkiem. Czy to jednak jest list sam, czy też jego bruljon, to w niczym natury rzeczy nie zmienia, a wyrażone w nim poglądy poety na ówczesny stan polityczny Europy ciekawe są i oryginalne. Fragmenty zaś tej korespondencji odsłaniają trochę szczegółów o tym tak bliskim i serdecznym stosunku przyjaźni między wielkim poetą a wybitnym i szlachetnym obywatelem kraju, jakim bezwątpienia w owej epoce przynębienia i ucisku był Józef Komierowski.

I jeszcze jeden szczegół, wydobyty z niepamięci,

a wynikający ze stosunku Słowackiego z Komierowskim.

W liście poety z d. 30 września znajdujemy wzmiankę o Kolbem, któremu przepowiada, że „niepospolity będzie z niego człowiek“.

Był to Tomasz Kolbe, siostrzeniec Komierowskiego, urodzony w r. 1828 we wsi Sielce (pow. Ostrołęcki), syn Ferdynanda, majora wojsk polskich, który zginął pod Grochowem. W kilka lat po zgonie ojca stracił matkę



Józef Komierowski, według fotografii ze zbiorów L. Méyeta.

i pozostawał odtąd na opiece wuja swego. Uczęszczał do szkół w Pułtusku, Warszawie i Krakowie, a następnie kształcił się czas pewien pod kierunkiem Trentowskiego we Friburgu. Przebywał następnie w Strasburgu, Berlinie i Dreźnie, a zaskoczony wypadkami 1848 r., przyjechał w czerwcu t. r. do Paryża, gdzie za pośrednictwem Komierowskiego poznał się ze Słowackim, który go po-

lubił bardzo i ku sobie pociągnął. Aczkolwiek opieka i towarzystwo umierającego poety trwały niedługo, to jednak wywarły wpływ potężny i zbawienny na piękną, poetyczną, a zarazem zapalną naturę Kolbego. „Pod czarodziejskim słowem mistrza—powiada bezimienny autor artykułu w czasopiśmie „Wytrwałość“ — rozwinęły się w nim wszystkie szlachetne popędy, znaczne uczucia nabrały potęgi, pojęcia jasności, wrodzony instynkt dobra i piękna wyrobił się i wykształcił, a ściganie za ideałem i wiara w niego stały się potrzebą jego życia. To też pamięć Słowackiego i chwil z nim przepędzonych pozostała w Tomaszu do końca, otoczona czcią prawdziwie religijną“ *).

Kolbe, powróciwszy do kraju już za panowania Aleksandra II, wziął w dzierżawę małą wioskę w Przasnyskiem. Wybiegał jednak z niej często w okolice sąsiednie, i w dalsze, i do Warszawy, a wszędzie rozwijał gorącą działalność społeczną i wśród obojętnych i zmateralizowanych sfer towarzyskich zasiewał ziarna wznioślejszych i szlachetniejszych dążeń. Gdy zaś po wypadkach lutowych w Warszawie ruch patryjotyczny ogarnął kraj cały, Kolbe stał się odrazu gorliwym i szczerym agitatorom w okolicy swojej i dla tej idei poświęcał wszystek czas, zapal i energję. Był on z ramienia Komitetu Centralnego organizatorem sił zbrojnych, a potem sam, stanawszy na czele garstki zbrojnych, walczył kilkakrotnie ze znacznie przewyższającymi siłami. Nareszcie w końcu kwietnia 1864, budząc walecznością swoją podziw przeciwników, zginął śmiercią bohaterską w oddalonym i mało znanym zakątku województwa Płockiego.

* * *

*) „Wytrwałość“, dziennik narodowy, polityczny i literacki, Nr 1—6. Wychodził 2 razy tygodniowo w Brukseli od 30 października 1864 r., do 25 maja 1865 r. pod redakcją Wł. Sabowskiego.

Z nader uprzejmego daru prof. Małeckiego posiadam w zbiorze swoim autograf listu bez daty; p. Konstantemu Komierowskiemu zawdzięczam list z Wrocławia. Podaję niżej te trzy listy w wiernym odpisie, z zachowaniem pisowni i przestankowania autora. Nieznany jest list z Wrocławia i, o ile mnie pamięć nie myli, nie pojawił się też w druku list z d. 30 września, tylko, jak wyżej wspomniano, dr. Biegeleisen ogłosił ów list bez daty. Książka ta jednak jest dziś dość rzadką, a ze względów cenzuralnych nigdy u nas wstępu nie miała: dla ogółu więc naszego i ten list będzie nowością.

I.

Wrocław 27 Czerwca 1848. r

Kochany Józefie!

Jestem tak zajęty Matką moją, która kilka dni temu, po ośmnastoletnim niewidzeniu się ze mną, tu przyjechała, że zaledwo mogę tę parę słów napisać do ciebie—aby Ci podziękować za pamięć Twoją i zatrzymał dobrą rękę twoją w sypaniu na mnie gradem srebrnym—którym zgodziłbym (się) chętnie być oblanym—gdyby mnie Bóg był w tej chwili z soków owych, karmiących ciało, wysuszył—Prosto i szczerze i bez figur mówiąc—szlachetnyś jest i rozrzewniłeś mię ofiarą twoją—i troskliwością twoją czujną, która mnie nieprzygotowanego znalazła bom nie przywykł, aby się tak ludzie w usługach względem mnie kwapili—i dla tego nie wiem jak mam daru nie przyjąć bez obrazy dającego...*)

Najszczerzej więc powiem — że pieniędzy mam dosyć—że zamierzam wrócić wkrótce do Paryża, na kilka miesięcy—i tam spodziewam się ciebie zobaczyć—że chciałbym nanowo i silniej zrealizować jedność i braterstwo, które już nas wiek łączy, a potem znów uderzyć... i tak czynić—aż nowy światły sztandar zacznie być widzialnie przytomny na globie—W tym duchu i z wytężeniem ku celowi jednemu zawsze pracuję—a z idei, które wiesz że są mną, nic nie utraciłem — Taki więc ide-

*) O tej przysłudze przyjacielskiej nie omieszczał Słowacki donieść matce swej, bo po powrocie do Paryża pisze w liście z d. 12 sierpnia t. r.: „Przyjechał tu ten przyjaciel, który, jeżeli pamiętasz, ofiarował mi był 200 talarów“.—

alny—i taki więc kochający Cię jak zawsze czekam ciebie—i wyglądam—gdziekolwiek bądź na ziemi, abyśmy się zobaczyć mogli—a oną zimę w Paryżu przebytą—nieco rozjaśnili. Ściskam Ciebie—i Młodzianowskiego*) ściskam serdecznie — Piszę ten list, jak na dyszlu — Do widzenia się

Juliusz Słowacki.

Brat Czarnowski**) przyłącza tu list swój—żądania jego spełń jeśli możesz—

Na pierwszej stronie u góry, odwrotnie do tekstu dopisano:
Pisz do Wrocławia na poste restante.

Na ostatniej stronie adres:

à Monsieur

Monsieur

Joseph Komierowski

Dantzig

Chunde (!) Gasse

Grade über die Post —

Stemple pocztowe:

Breslau 27/6 3—4

Danzig N 30/6 I

Czerwonym atramentem: 4.

II.

Kochany Józefie—Obudziłeś mię twoim listem—ale ocknienie moje było pełne przestachu; wyczytałem bowiem w nim wieść okropną. Piszesz mi zimno i spokojnie, że w Polsce urodziła się już myśl o połączeniu się chwilowem z M.... przeciw Niemcom.... Oddawna już w powietrzu i we mgle przedstworzonych Światów widziałem tę marę zarazy.... jak rosła, czołem przenosiła już nasze lipy wiejskie takie dobre! takie pocziwe; a sama, z całym urokiem Skandynawskiego widma, jawiła się oczom zatrzwożonym, chustami skrwawionemi wiejająca.... Miecza dobyć—i rzucić się na świat.... i panować siłą....

*) Franciszek Młodzianowski, właściciel dóbr Łoniewo w pow. plockim. W r. 1848 poślubił p. Krystynę Kolbe, siostrę Tomasza, zmarł 1859 r. —

**) Jan, krewny Komierowskiego, urodzony na Podlasiu; był w 12-m pułku linjowym wojsk polskich. —

któż się oprze takiej tentacyi djabolicznej?—Dopomóż temu który jednym tchnieniem teraz wywrócił Austryę, pracą szesnastoletniej emigracji posłużył się jakby wojskiem własnym Demokratami chłopcy rozegrał—Arystokratami szlachtę podczupurzył—Meternichem jak swoim knutem klasnął, i rozmoczył we krwi zeszlą skórę Ministerjalną niemiecką... a z drugiej strony we Włoszech posiał z fartucha żony swojej, (na miejsce dawnej siejby republikańskiej)—myśl już nie senną, lecz praktyczną—protektoratu Sardyńskiego—która to siejba już sama teraz krzewić się będzie, i podgryzać Meternichową potęgę—aż nareszcie Dunaj lecąc do morza o paszport Moskiewski poprosi...

Drogi mój! — Kto w duchowym świecie widzi to Rossyi działanie—ten musi, albo uczuć w sobie, że jako drugi duch globowy stanie, i przeciwko Rossyi wichrowym ramionom równie wielkie i potężne ramiona podniesie; albo też... musi... (jako ci nędzarze o których piszesz) zachwiać się... i cząsteczkę swojej duchowej tęgości—odać z ust—w usta wichrowe Moskale... Że ta myśl w Poznaniu się urodziła, nie dziwię się—jest ona bronią polityczną—i przez jakiś czas dobrą na Niemców... ludzie którzy ją głosić zaczęli z dwóch stron będą głaskani... Król Pruski rozpieszczy poznańczyków—a Car przez Granicę każe ich wonią różaną przez sikawki oblewać... tak wyniańczeni doczekają się lat Mathuzalowych—a potem grobów które są na rozstajnych drogach narodów—przez obie strony wyklęte...

Lecz Polak z ducha—jednej chwili uronić nie może... z oblicza jego nigdy zejść nie powinna szczerza otwartość... złagodnieć mu wolno względem ludzi wrogów — ale dla narodów nigdy twarzy mniej groźnej mieć nie należy... Dziś lub jutro—dotrwajmy—a wszystko nasze...

Dedykacya mi twoja była miłą — choć wprawdzie zarumieniłem się nazwany publicznie *cnotliwym*... Wyraz ten już tak dawno nie słyszany — a taki wielki! spadł na mnie jak cały Pantheon... pod ciężarem posagu Katonowego rozkruszony... Xięgarz nabożny który ma twoją książeczkę, z uśmiechem ją drwiącym sprzedaje, właśnie dla tego to staropolskiego wyrazu, i dla tej wskrzeszonej nagle idei — która już między trupami leżała...

Ponieważ o xięgarzu piszę... powiem ci iż trzeba koniecznie aby wszystkie wolne pióra piszące w Poznaniu, zaczęły drukować w Paryżu—zaraz inaczej myśleć

i pisać będą skoro zrobią ofiarę z imion... a na duchy ludzkie jako duchy niewidzialne i wolne z daleka uderzą—Na to trzeba koniecznie aby się tu xięgarnia utworzyła niezależna i szlachetna... tyle młodzieży biednej przy druku mogłoby zarobić... a Poznań małą ofiarą coroczną pieniędzy mógłby to wszystko utrzymać—aż dzieła wydane same opłacać się zaczęły — Oto jest myśl lepsza od ogólnego związku naukowego o którym piszesz... Zrób to, a wielką potęgę na przyszłość urodzisz... Zbieranie bibliotek to rzecz trupia — nam trzeba koniecznie stworzyć przyszłość—trzeba koniecznie mówić ci—Bóg tego chce, i Aniołowie Niebiescy pomogą.

Cała Polska widzi teraz że nie dosyć chceć Polski—trzeba wyrobić w sobie narodową *ideę*... Niechże przez jakiś czas Sokratesową bronią nie pogardza... Niech słucha... proś wszystkich i zaklinaj niech słuchają głosów wolnych... inaczej roztargani będą myślami — i to będzie podział kraju prawdziwy — gorszy niż ów na ziemi jego dokonany. Proś — pracuj — każde słowo jest czynem.

Obaczysz zapewne Zygmunta...*) pozdrów go ode mnie.

Mile mi, bardzo mile było to miejsce listu twego, gdzie mi piszesz że wiecznie i zawsze, duchowi memu dasz jakiś udział—w myślach i czynach twoich... Ja też pracując nieraz zadumam się i—oprzę się na tobie, jako na wiernym i dobrym i chcącym celów Bożych współpracownikowi—a sława twoja będzie moją sławą—tu ukrytą—widzę w niebiosach—... Tam bowiem jasno się okazują te nici które tu miłością i współczuciem nazwane, wiążą duchy i do jednych je celów prowadzą. Nie zasypiaj więc proszę cię abyś mnie o sen nie przyprowadził—Mówisz że Poznań spi... teraz więc czas jest że słowa życia powinny mieć ogromną potęgę... Jeżeli w zwyczajnym czasie za grosz sprzedają czterech *wróblików*, to wróbliki te same żywe i wolne, w czasie zupełnego wystrzelania ptaszków, powinny mieć cenę kanarków... Ufaj Bogu—lada świegotem ptaszka obudzony—duch narodowy wstanie groźniejszy niż przedtem. Słów takich kilka żywych Młodzianowski w Rzymie powiedział—a one aż tu do Paryża zaleciały—i wieść o wskrzesitelnej jakiejś potędze—której nagle usta młodzieży polskiej dostają — zadziwiła starce i trupy. Pisano o nim z zadziwieniem: pisano, że

*) Krasieńskiego.

wielkie rzeczy gada — a wszakże nie Towiańszczyk... tajemnica go owiała — Pan Bóg dalej poprowadzi... bądźcie razem i kochajcie się...

Co za roskosz, drogi mój, jeżeli za lat kilkanaście — usłyszysz głosy nasze w głosach ludzi — jeżeli sobie w duchu i przed Bogiem będziemy mogli powiedzieć żeśmy się sercem naszym rozdzielili — niby chleba łamaniem — a wszyscy jedli i najedli się — i jeszcze zostało dla przyszłych pokoleń... Zaprawdę — jeżeli tej wiary nie wyniosłeś z Paryża — toś stąd biedny wyjechał — bo obdarty z wielu jak widziałem politycznych illuzji... a cóż dopiero gdybyś słyszał głos pewien na obiedzie Londyńskim — gdybyś świadkiem był tych oglupień w które teraz wszystkie zawiercone głowy wpadają...

Bądź zdrow — kończę list bo mię upał dociska... jeżeli będziesz pisał do Cebulskiego*) pozdrów go... bo tak jakeś przewidział — szczerść jego, naprzód na usta moje uśmiech wywołała... a w tym uśmiechu jakaś dziwna miłość pełna szacunku dla niego urodziła się, tak jak się to zdarzało Olimpijskim bóstwom — że ze mgły lub z uczucia wylęgały się jako z jaja — skrzydlaci amatorowie.

III.

D**) 30 Sept. 1848.

Kochany Józefie!

Wychodzi teraz odemnie jeden człowiek — któremu gdy utyskiwał nad obecnym stanem rzeczy — tłumaczyłem, jak w rewelacyjnej potędze ducha Polskiego rozkochamy kiedyś całe Słowiaństwo — i za Słowiaństwem pociągniemy Słowiany dla samej dziś tylko *slawy* w braku *słowa* żyjące — Otóż i tobie, na cały twój list, tym odpowiadam — bo widzę że różnych dotknąłeś się ludzi — i zesmętniałeś nigdzie pewności nie widząc —

*) Cybulski Wojciech, uczony polski, ur. 1808 r. w Koninie † 1867 r. w Wrocławiu. Kształcił się w Poznaniu, a następnie w uniwersytecie berlińskim, poczym dwa lata spędził w Austrii, celem nauczania się języków słowiańskich. Od r. 1841 był profesorem języka i literatur słowiańskich w uniwersytecie berlińskim, a od r. 1860 we wrocławskim. W r. 1848 uczestniczył w kongresie słowiańskim w Pradze, zaś w roku następnym był deputowanym do drugiej izby pruskiej. Ogłosił sporo cennych prac historycznych i literackich w języku polskim i niemieckim. (Estrejcher Bibl. Polska, I. 226).

**) Przekreślono: 29.

A wszakże jesteś w bliskości tej wieży Toruńskiej gdzie niegdyś jeden człowiek poczał w sobie całą dzisiejszą syntezę światowej fizycznej wiedzy — i wszystko dzisiejsze postawił — bo nawet na grawitacji stoi dzisiejsza industria około jednego centrum narodowego usiłująca obracać jak największe kręgi — bo nawet Zolverein (!) pruskie — i zjednoczenie Włochów dzisiejsze w jedność — na myśli słoneczno-fizycznej gruntuje się — i za Ojca swego Kopernika wyznaje — Nie troszcz się więc — a tylko myśl nad tem — jaka to bieda była niegdyś że ten Kopernik musiał sam sobie strugać te linie drewniane, których do rysowania obbiegu planet używał — dziś każdy fizyk — może się o narzędzia udać do rzemieślnika — lecz w Polsce nie tak jest — każdy słysząc o wynalazku — oddala się i myśli aby sam podobnego czegoś został wynalazcą — a tymczasem narody postępują... Patrz jak Lerroux*) w Izbach francuskich na Trojcy chce konstytucją nową i Francją nową budować — a wszakże to ta Trojca z Nas idzie — a od izb francuskich jako wygnanka do nas będzie powracać przymuszona — i zamieniać się w Troję**) inne — dawno wywoływane... Niechże się dzieje wola Boża — więcej nie mogę.

Nie martw się jednak bo wszystko dobrze idzie. Pan Bóg sam stróżem jest skarbów ducha polskiego i nie pozwala aby przez francuzów ręce były roztrwonione —

*) Piotr Leroux (ur. 1798 zm. 1871 r.) filozof, publicysta polityk francuski, redaktor i współpracownik wielu czasopism, jak: „Le Globe“, „La Revue encyclopedique“, „Revue des deux mondes“, „Revue independante“, „Revue sociale“ i dzieł treści filozoficznej oraz socjalnej, między którymi najznakomitsze jest: „De l'humanité, de son principe et de son avenir“ (1839, 2 t.). W dziele tym przeprowadza ideę ustawicznego postępu człowieka i natury do doskonałości. Doskonałość ową, idąc drogą myślicieli dawniejszych, pojmuję jako pewnego rodzaju troistość, tajemniczą Tryjadę, prawo powszechne, potrójną harmonię wrażeń zmysłowych uczucia i wiedzy. — Po rewolucji lutowej wybrany na członka Zgromadzenia Prawodawczego wygłosił w miesiącu wrześniu 1848 r. kilka sławnych mów o polepszeniu losu robotników, o równouprawnieniu politycznym i społecznym kobiet, o tryjadach i t. d. Dnia 25 września t. r. zaprojektował odrzucony przez Zgromadzenie wniosek o „urządzeniu władz publicznych, tworzących konstytucję Rzeczypospolitej według zasady troistości, opisywanej przez wszystkie wielkie religie i wszystkie wielkie filozofie“. Po zamachu stanu (2 grudnia 1851 r.) powrócił do swych zajęć naukowych. Wydał też bezimiennie przekład „Werthera“ Goethego (1843 r.) poprzedzony przedmową George Sand.

**) Przekreślono: Bonsfr...

tak jak Chrystusowe były niegdyś przez Rzym—pomieszane ze śmiecią Atheńskich *) kościołów.—Nie—czysta i świeża i po chłopsku mówiona prawda Ducha — przez izby Francuskie nie przejdzie—ani na bagnietach czerwono-nożnego wojska będzie rozdawaną ludom... Nabożni będziemy w duchu — w najstraszniejszych nawet czynu godzinach.

O dramacie twoim**) mówię zawsze to samo — Chciałbym abyś go logicznie zakończył—i zrobił zeń wielką Alegoryę—a wtenczas będzie potrzebny. Wszystko co teraz się pisze z potrzeby powinno wychodzić. W Grecyi się tak kiedyś wszystko rodziło. Gdy cię więc potrzeba przycisnąć pisać a nie dbaj o to jak piszesz—wszystko dobre będzie—i cześć cię nie pozbawi.

Kolbe, który pisze listy ciemne, nie odemnie ma zaćmienie bo się rzadko ze mną widuje—Siedzi i дума—ale sądzę że z niego będzie niepospolity człowiek.

Serce twoje złote poznałem stąd, że o perłach myślało.

Proszę Cię — nie wątp żeś ze mną w najświętszym duchu ściśle złączony — że wszystko co cię osłabia mnie osłabia — a każde silne drgnięcie ducha twojego jest mi mocą i do nowego rycerstwa zapala.—

Kolbi przysyła po list — ściskam więc ciebie serdecznie i polecam Bogu

Juljusz.

Na odwrotnej stronie adres:

à Monsieur
Joseph Komierowski.

Na boku obcą ręką, zapewne Kolbego:

Słowacki mówił, żeby wszystkie egzemplarze jego mowy Wujowi przesłać, aby ona tu między emigracją się nie rozchodziła.***)

*) Wyraz poprawiony.

**) Wspomniany wyżej: „August z Kości“.

***) Zapewne „Głos Brata Juljusza Słowackiego do zgromadzonych i w klub zawiązać się chcących polaków“, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowej reformy konfederacyjnej (19 marca 1848 r.). Paryż, w drukarni L. Martinet, str. 8.



TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA

powieść z tajemnej Księgi Tatr.

(Ciąg dalszy.)

TURÓW RÓG.

JERNESTA. W wielkiej izbie ustawione było łożo Wieszczy Mary, która leżała chora, dokoła zaś niej były choinowe drzewka, wniesione tu dla balsamu.

I była sama, chwytając powietrze choremi płucami.

Wspomniała swe dzieciństwo, kiedy malutką dziewczynką stała przed sądem wojennym; i potem, gdy z Ojcem swym na wygnaniu w Kireńsku przemysliwała nocami całemi, jak uczynić coś dla Polski.

Straszne tarakańczyki szeleściły ohydnyemi gromadami dokoła niej, te wstrętne insekty, których nie wolno było ruszyć, gdyż gospodarze Mordwini wynajmowali z tym warunkiem, żeby świętych tarakańczyków nie niszczyć.

Tarakańczyki niejednemu, śpiącemu mocno, czy pijanemu, odgryzały nozdrza lub uszy aż do kości, że wyglądał, jak dawny katorżnik „klejmionyj“, i dziewczynka Mara przeraźliwie ich się lękała, w ciemności szlochając w swym łóżeczku.

Tak, nocami tych lat długich myślała nad Polską i zrozumiała w przeczuciu swym, że nic dla niej wielkiego uczynić nie zdoła!

Widziała i знаła tych dziwnych ludzi, tych wygnańców, jak Krajewski — melancholik milczący; — żył zdala od innych wygnańców, głęboki, najmędrszy z nich.

Ten kochał tylko dzieci, i dziewczeczka Mara była jego ulubienicą. Opowiadać umiał cudownie...

Potym już panną dorastającą wieziona z jednego zakładu dla chorych do innego — z Paryża do Kaltenleutgeben, poznała najdziwniejsze tajnie życia.

I ową straszną historję z rubinami Księcia de Mariny... mieszkająca naprzeciw domu, gdzie była ta kobieta, kochanka Księcia....

Fantastyczna, przepiękna dziewczyna cyganka!

Zabił ją blondyn wymokły, Książę — kazał sobie zrobić rubinowe spinki do mankietów i gorsu. Cały Paryż wiedział o tym morderstwie, lecz Książę stał się najmodniejszym z ludzi w salonach.

Znała w Tyrolu Niemca doktora, przyjaciela Polaków, który miał pokój, zawieszony Grotgerem.

Wyglądał jak nietoperz, w płaszczu, niziutki. Mówił tylko gwarą tyrolską. Żył samotnie w zamku.

Znała różne potworne historie z obląkanemi Polkami, miłości silne, jak śmierć! lecz mało z nich było tak dziwnych, jak tej góralki Jernesty, która służyła w Chacie teraz.

W zimie, podczas 26^o mrozu, przyszła w białym kaftaniku, w spódnicy niebieskiej letniej. Nie miała serdaka, ani chusty. Wszystko przepijał jej Józik.

Była tak limfatyczna z wyglądu, blada, piękna, w stylu Maeterlinkowskim, wysmukła, z oczyma niewidzącemi, zda się, nic, zapatrzonemi tylko we własne uczucie, iż stawało się zupełnie niewiadomo, gdzie mogła się kryć jej szalona, potworna namiętność?

Ubóstwiany Józik było to chłopisko szpetne, pija-

nica, drażał niezgrabny, co wrócił z wojska i donaszał mundur.

Nie chcieli nigdzie Jernesty trzymać. Nawet to, że była siostrą zbójnika, sławnego Sierotowicza, olbrzyma, który większe pół młodego życia przesiedział już na Wiśnicz — nawet takie potężne tarcze nie zasłoniły jej: była we wzgardzie u górali i u państwa.

Wieszczka Mara wzięła ją, zresztą wyborną kucharkę, bo u hrabiów jakichś pomagała kucharzowi, który był pijakiem i więcej spał, niż pracował, za to całej wiedzy udzielił Jerneście.

Ta była cicha, niemowna, jakby indolente, lecz robota czyniła się sama, w godzinę obiad najwytworniejszy na dwanaście osób umiała podać.

Z góralami była grzeczna, lecz obojętna — z temi pięknymi przewodnikami, z półbohaterami, jak Jaś Krzeptowski!

Jednego wybrała — i na zawsze już.

Józik był niezły może chłop, lecz dla niego była za tragiczna. Brał od niej datki na wódkę i miał pozwolenie przychodzenia jawnie. Wieszczka Mara chciała tę miłość uczynić prawem.

Bywało kilka dni dobrze; nagle ze strychu słychać było łomot zlatującego Józika pijanego, krzyk Jernesty, — i potem wśród lasu nad rzeką jej okropny lament.

Już wtedy na kilka dni nie była zdolna czynić obiadu, lękała się tylko Pana, który, chory śmiertelnie na promienicę, leżał w zacisznym pokoju. Za to do Wieszczki Mary przychodziła; tuląc się u jej kolan, wszystko jedno, czy był to mrok północy — nieprzytomna, ustami coś żuła — gryzła podartą Józika fotografię!...

Pani Mara schylała się, aby ją podnieść, Jerneścia nie dawała się — i tak zostawały obie na ziemi, razem płaczące — modliły się razem za nieszczęsnego Józika, aby go cosik odmieniło.

Kiedy znów uspokoiła się, chodziła wśród pracy domowej, nie widząc nikogo.

Pan Melanchtonius, najwytworniejszy z dżentelmenów w Turowym Rogu, blady też, wysmukły też, wodził za nią oczyma, z zachwytem, mówiąc do Wieszczy Mary:

— C'est une femme! c'est une femme! c'est moi qui vous le dit, Madame!

Sąd anachorety o tej Manon Lescaut był w tym wypadku ostatnią najwyższą instancją znawstwa.

I teraz Jernesta przysła, Pani Mara opowiada jej swój sen:

widziała gdzieś, na czarnej przepaści cudne arabeski...

taki więc dywan czynią razem, Pani Mara rysuje, maluje kulfonikami, Jernesta przynosi włóczki, dobierają razem, tworzą — a wykonywa krawiec, hafciarz od serdaków, idjotowaty góral Dyrula, w którego wmówiła Jernesta, że Pani go kocha! — i on nietylko dla papirka dziennika, ile dla Pani Wielkomożnej haftuje i naszywa piknie.

Tak powstało arcydzieło — pierwszy haft sztuki stosowanej w Tatrach!

i ten dywan stanowi dumę Jernesty: „zrobiliśmy takie, czego nikt nie zrobił!”

Łoże Pani Mary zarzucone resztkami włóczek...

Jernesta wyżenia się w końcu.

Ślub smutny, życie stało się już piekłem zupełnym.

Pijaczysko nie wychodził z karczmy.

Chcąc oduczyć od pijaństwa, opychała go słodyczami, robiła mu sławne w Turowym Rogu ciasta Rzymusy, których nauczył ją hrabiowski kucharz. Zawsze u niej, jak na Wielkanoc, było zastawione; Wieszczyka Mara czasem zajeżdżała do niej, dziwiła się temu:

— Abo widzi Pani, ja tak chcę Józika nauczyć, że mu w domu najlepiej...

Ale Józik, noc spędziwszy w karczmie, rano pałaszował ciasta, potym drzemał — i znów szedł pić.

Tak przetrwonął całą chudobę, dom porządny, kawał lasu; Żyd karczmarz wziął to mniej, niż we dwa lata.

Jest prawo austriackie, które takie długie chłopskie,

w karczmie powstałe, bardzo surowo kontroluje i chłopów wydziera z rąk lichwiarza pijawki.

Na skargę Jerneści, miała Pani Mara jej bronić przez Sędziego Zygmunta — ale prosto po tej żalobie Józik poleciał do karczmy, powiedział Żydowi, że go Sędzia weźmie w kluby.

Żyd w nocy pojechał do Nowego Targu; co uczynił? kogo przekupił? czy tylko od kogo wymógł przyspieszenie likwidacji — dość, że w parę dni Jernestę wyrzucano, — i tułali się w okropnej nędzy po Krakowie. Jerneścia była już przedtym bita przez Józika za jakiś grzech... teraz poszła drogą kobiety nierządnej... prędko dostała się do szpitala, stamtąd pisała list do pani Mary; był w nim tragiczny i wzniosły krzyk:

— Pani nie ma prawa mnie sądzić, bo Pani jest królowa Jadwiga, a ja jestem kobieta!...

Wspomniała, jak noce całe przemodliły się razem! —

I nie sądzono jej zresztą nigdy źle w Turowym Rogu.

Umarła.

Józik wpadł w rozpacz — coś przejrzał.

Teraz wyrzucał sobie, że kaby on był jak się patrzy chłop, a nie pijanica, — Jerneścia by nie zatraciła się i nie umarła!

Coś w pół w roku i on poszedł za nią.

Został chłopaczyna, szpetny, jak jego ojciec, kochany do szaleństwa przez matkę, póki żyła.

Jerneścia całą namiętność swej młodości przemieniła w miłość do tego chłopca, lecz musiała go opuścić, idąc do Matki Ziemi na nowe przeobrażenia.

Taką była Manon Lescaut Turowego Rogu.

KIELO TA PANI GŁUPIA! Burgrabią Turowego Rogu był zwarzowany góral Gandara.

Chodził se po słonecznych galerjach — przytupywał wesoło, kiedy był rad, śpiewał piosnki z dzikim hipkaniem —

a kiedy głód go dojął i ujrzał Mistrza Teodoryka, pytał:

— Dali wam jeść?

— Dali.

— A mnie nie dali!

Gandara miał się za władcę niepomierzonych obszarów, niby Hamlet, lecz nie zamykał ich w skorupie orzecha. On widział je—on okazywał na całe Tatry:—syćko moje!

Raz usiadł z Arjamanem na słonecznej przyźbie i, przyspiewując, tak gadał:

— Wicie, jako w Białce kościół z jedli?

— Z jedlinowych balów?

— E, wyście mądrzy, to nie uwierzycie, ale głupi to myślą, że kościół zjedli!

— Wybudowali kościół z pni wielkich jedlanych, hru-
bych, jak ten skrzyżał (ukazał wielki płaski głaz u schodów).

I był taki gazda, co syćko zabijał: barany, owce, woły, ludzi syćko zadziobywał.

(Tu Arjaman miał widzenie olbrzymiego, czarnego, skrzydlatego człowieka, który syćko zadziobywał!...)

No i było mu już na śmierć.

Ale jako ta do księdza pójdzie?

Kto mu da rozgrzeszenie?

Namówili go przecie. Ksiądz pyta: no, ile ta może być tego, co zabiłeś?

Tak mówi ten zbój:

„Jakbym ze Żuru do Jargowa zrobił płot, telo by on mógł objąć, com nazabijał.“

To mówi mu Ksiądz: klęknij w kościele, zrób krydą koło i módl się, a nie daj się wziąć złemu.—

Zostawili go.

Modli się.

Noc — ciemno! żebyś djabłów zjadł, a nie widział.

A tu widzi ogień buchnął — kuźnia!

Takie pięć pieców bucha ogniem, jako w Hamrach, kie żelazo robią — rude oczyszczają. Kręcą się też różne

sieleniejakie duki. Mieli ułać dzwon, a na tyn dzwon wsziscy dawali pieniądze stare, spilki połamane, abo i całe—syćką miedź i srebro. Zewsząd ludzie umarci schodzili się, dawali, a Ksiądz dorzucał.

I postawili na tym grzysniku dzwon.

I młotem biją, a taki huk, że jak uderzy młotem, to wszyscy głuchną w Zakopanym.

I tak mu strasznie dzwonili, kując na nim.

Rano nie chce nikt wejść do kościoła—tak się brzydili grzyśnikiem.

Ale Ksiądz wszel:

widzi go, iże klęczy w kole.

I nie pytał już więcej, dał mu rozgrzysenie. On wiedział, kielo musiał wycierpieć tę noc. To już mu więcej potraza nie było! — —

I śmiał się Gandara do Słońca, które ogromne bla-
ski rozsiewało na lazurowy przepych zimowego krajo-
brazu Tatr.

Gandary znaną jest historia.

Mędrzec Zmierzchoświt rzekł mu: napisałem o was książkę.

— A co to? spytał.

— No, jest taki człowiek, nazywa się Gandara.

— Jak śmieliście? to ino Żydzi wołają Gandara! a ja, się zowie Adalbertus Łukascyk z Murza Sichla!

— — —
Kiedy te słowa Kronikarz Turowego Rogu pisze, wicher okrutny duje za ścianą, — tam idzie Gandara już nieboszczyk:

prosty jak był starzec, wyglądający na młodzika hardy — nieprzystępny.

Kiedy go pokrzywdzili, zabrali mu grunta orne, na których wysiewu miał 23 korce, i łąki szmat, i lasu godnie, i z chałupy wygnali mu dzieci i żonę za jakiś mały dług 3 korcy kartofli, cztery razy zapłaconych u Żyda a bez kartki —

on leżał po oborach chory z połupaną czaszką od kijów.

Wyszedł, jako warjat.

Sąd przysądził mu 4,000 za ono pobicie i chorobę, nie miał kto ich pobrać — żona umarła z rozpacz, synowie byli mali.

Gandara chodził po świecie, czasem bywał ponury i kłął.

— Wsy me żreją, katany i obucia nimam, a syćcy mi rozkazują: ino pracuj! Dość jo się napracował, a jeszcze pirwej byłem w wojsku — w Nietalii: w Peskierze i Werunii — w Milanie! mój pułk się nazywał Wilam Princ Preis fon Fridlik este regiment lunero cwancik! mój gienerał nazywał się Kostia Zeman, jedno miał oko gdzie trza, a drugie tu: (pokazywał żuchwę).

W Nietalii syćkie panny chciały się za mię wydać — nie chciałem.

A i tu mówi do mnie ta, co w Kuźnicak: podobacie mi się, Gandaro!

Niechce was, boście głupia!

— Jakże tak można pannie ubliżać? pyta Zmierchoświt.

— No, toć jej tu niema, a że ona głupia, to je prawda! —

Wogóle Gandara nie był łaskaw dla kobiet.

W bajce o Adamie i Ewie mówił:

„jesce ta Jadomisko, jako Jadomisko, niezły chłopisko był, pracował ciężko — ale ta! tu machał pogardliwie ręką na tę, która wydobyla mysz z pod czapki mimo zakazu Boskiego i przez to sprowadziła tyle biedy na świat, ba, i Chrystusową mękę!

Gandara szanował nadzwyczajnie pracę przy ziemi.

Księżniczkę Wisznu za to chwalił, gdy widział ją pielącą ogród, mówił, że ojciec jej (Mistrz Teodoryk) oślepnie od książek, ino ta go zdoła utrzymać!

Wogóle jednak kobiety niegodne były jać się pracy przy ziemi — to nie dla bab!

Widząc, że Wieszcza Mara nie chowa świnek, nie karmi ich własnoręcznie, ogrodów i puszczy Turowego Rogu nie oddaje pod ziemniaczki — mawiał: kielo ta pani głupia!

Wpadał nieraz o zmierzchu straszny, z obłądnym wzrokiem i upominał się:

— Ka moje grunta? cemżeście mnie dali osukać? co wyście za pany?! —

i wielką kosą, wziętą ze ściany, wywijał nad Wieszcza Marą.

Wśród zmierzchu ten warjat z kosą szalejący — i pani Mara nieruchoma na swej kanapie, cichemi słowy uspokajająca! obraz, jak wszystko najlepsze, nienamalowany!

Nachodziła go śmierć, kończyły mu puchły, czerwieniały — wpadłszy w śnieg, nie mógł się już sam wydobyć.

I tak opowiadał o tej utarczce swej ze straszną bezoką Mocą:

— Kazałem hadwokatowi, aby pisał o śmierć.

A ten pyta: gdzie jej zamieszkanie?

Jak ci dam w kark, to zaros będziesz wiedziół, gdzie je ona! —

I chichotał...

Mędrzec Zmierchoświt zapewnił mu izbę dostatnią, gdzie miał codzień to, co tak lubił: mliczko i ciepło.

Wzgardził po tygodniu kątem:

— Co ja tam będę robił? babsko je stare, brzyckie. Takie to dziady!... —

Gandara był strojniś, wybredzał, nim co raczył przyjać. Umiał do żywego wydrwić niefortunnego ofiarodawcę starych butów lub niewyborowych rękawic zimowych.

Chodziła po nim gawiedz, t. j. insekty swojskie, ale dusza jego była krynicą wielkiej mądrości, swobodnego tworzenia swego własnego, z głębin natury chłopskiej wydobytego światopoglądu.

Na św. Szczepan, w ostatni dzień umierającego roku, przyszedł do Wieszczy Mary bardzo smutnej, która była

sama. Pijąc Nietalijskie, jak myślał, a właściwie Dalma-tyńskie wino, tak się dziwnie rozwieszczył, że mówić począł w natchnieniu ogromnym, zawierając całą mądrość chłopską w potężnych Ezechjelowych słowach:

— Obłoki się otwierały, jako tu u was dżwirze do pokoja, do piątego razu się odmykały do nieba!

A wicie co to niebo?

Jak się niebo zamkło, upadł na ziem krzyz.

A ja podniós ten krzyz, bo żaden nie kciał go dźwignąć.

Telo głupik wte było, co i dziś!

Krzyza to nie miał kto podnieść, to ja go wzion ten krzyz i podźwignon i poseł z krzyzem po świecie...

A kazdy na mnie do dziśka woła: tyś głupi! tyś głupi! Tak mnie wej wysło!...

A kieś ty mądry, cemuś ty nie wzion krzyza, nie wzion i nie poniós, tylkoś me do śmierci zabił? —

„Zje to mój las, zje to mój las, zje to moja ziemial“ —

A to nie twój las, nie twój las, ani nie mój las, ino Boski, i ta ziemecka święta nie twoja, nie twoja, ani nie moja — ino Boska...

A jak się zamkły obłoki, to tak łupło!

A łańcuch leciał na ziem, a jak doleciał — to zgasonon, bo był tak, jakby z ognia...

— — —

A głupi nie wiedzieli, co to niebo wskazywało.

Jeden głupi krzycał: — Bedzie mór! — drugi głupi krzycał: — Bedzie wojna! — trzeci głupi krzycał: — Bedzie głód! A to niebo wskazywowało skarby: lase, ziemie, wody, sól.

Cicho! cicho ze bądźcie! Nie mówcie nic, coby was głupi nie słyseli! My tu dziś ino sami dwa mądrzy!

Słuchajcie, jako wam powiem: Śrybła, złota człowiekowi nie trza. Śrybło, złoto, to ino z dyjabła, to jest dyjabelska rzec.

Pan Bóg dał człowiekowi sytko, sytko, co mu trza.

— — —

Słuchajcie ze, jako wam mówiem. Pan Bóg dał człowiekowi te ziem świętom. — W imie Ojca i Syna i Duka świętego. Jamen. I ku temu dał Pan Bóg człowiekowi jesce lasy, wody, ziemie i sól — więcej nie nie trza. A ty cierp i pracuj!

A nie trza nigdy ślubować od wódki. Moi ostomiljon! Pamiętajcie! Pamiętajcie! Wódka najpotrzebniejsza, bo to z Boskiego daru, ze ziemniacków.

A ściaga zoładek i śmiałości dodaje, ze i do śniega hipnies! A ognia dodaje, choćbyś nie nie zarł!... —

— — — — —

W kilka dni później zaziębił się na srogim mrozie, jadąc ku Nowemu Targu do sądu po swe majętności — po te syckie hale w Tatrak... co je widzicie haw!

Siostra miłosierdzia w szpitalu gdy Gandarze powiedziała, że to już jest to, Gandara rzekł: Kielo razy już o nią pisałem!... —

Umarł Gandara, król przestworzy, w przeodzieniu Tomka biednego, towarzysz Mędrca Zmierchoświta, który był Królem Lirem Turowego Rogu.

Wszyscy byli Gandarze w życiu radzi i wszyscy byli śmierci jego radzi.

Mędrzec Zmierchoświt, przynosząc wieść o jego zgonie, śmiał się prawie radośnie, roniąc łzy.

— No, już się stało, droga pan! rzekł, już naszemu Gandarze jest dobrze!... —

— — — — —

W PUSZCZY. Chodziła z Mędrce Wieszczka Mara, idąc ku puszczy. Spotkali tam lwa wspaniałego z grzywą płową, który żył w jaskini z małym, nędznym kundysikiem.

Lew był zmęczony żarem, kładł się, łapy wyciągał, muchy go gryzły.

Obrzydliwa psina targał za uszy — gryzł, wyrывał mu kudły —

lew znosił to ze spokojem królewskim.

Kundys ten był nie do zniesienia, jakiś marny, nudny — i co zmuszało lwa znosić takie towarzystwo?

Potrzeba kontrastu? potrzeba być wspaniałomyślnym? czy też wprost — ten fiber serca, który szukał kogokolwiek, cokolwiek? — —

Jodły były tak rozłożyste w słonecznych srebrzeniach, chmury płynęły tak dalekie od wszelkiej troski, na swym błękitnym morzu, że i w serca ludzi wpadała przez jakiś otwór szturmem zdobyty — radość, jakby młody Apollo z mieczem.

Wielkie, posępne skały mroczyły się, zwrócone od słońca, zapadłe w morze.

Straszny jęk dobywał się z nad fjordu.

To Otaria utraciła towarzysza!

Miesiące mijały — i to wielkie wspaniałe zwierzę, pokrewne fokom, nie odchodziło od brzegów, przepływało tylko fjord to tu, to tam —

szybka, jak syrena, goniąca okręt Odyseusza na morzu.

— Te zwierzęta są bardzo szczęśliwe, mówił Arjama, wskazując na głazach rozwalone foki i lwy morskie: nurzają się w rozkoszy żywiołu Tetydy całym swym jestestwem i tak łatwo mogą zdobyć kontrapunkt radosnego, leniwego wypocznienia na skalistej wyspie!

A potem znów płynąć gromadnie, jak armja, po tych głębinach z niesłychaną szybkością, w dni kilka przenosić się ze stref polarnych w umiarkowane regjony! Iście Böcklinowski tryton! jakie Odyseuszowe najady!

— Tak, są szczęśliwi — jeśli mogą być szczęśliwi?! rzekła Wieszcza, dygocąc całym ciałem na rozpaczny głos biednej Otarii, która samotna, niedopuszczająca nikogo w pobliże, wyła przerażająco! milkła tylko, zanurzając się na krótko w ciemną toń.

Przypisek kronikarza piekielnego. Te wzruszające — hm, hm, opowiadania mogą iść zaiste w zestawienie tylko z kwiateczkami świętego Franciszka... także bredy! nie

razi nas to, że lew znalazł się w Tatrach — akurat w czasie, gdy z mrozu Gandara dostał zapalenia płuc, bo jeśli tylu osłów upasa się na krytyckich prerjach różnych stolic, o każdej porze dnia, nocy, roku i stulecia — to czemuż nie miałby się znaleźć i jeden Felis Leo w Tatrach — zimą?... Więc nie to razi nas, ale skąd wjeżdżamy znowu w jakiś elegijny nastrój? skąd ja do tego przychodzę, że bym się miał zajmować cenzorowaniem tych skryptów o bekowisku fok, o wszach Gandary i Rzymusach, które piekła kucharka swemu strażakowi? to ma jakiś zaraźliwy nastrój gromnic i Wielkiego Piątku, Biblii dla ubogich duchem w Milwaukee lub Massachusetts i ostatnich — tamże chrześcijan! Myśleliśmy, że po rozmowie Arjamana z Magiem Litworem o Krisznie — i w kronikach Turowego Rogu zapanuje chłodne, tęgie powietrze, ale to darmo, na wszystkich Polakach widać, że jest to „nacja przetrącona!“ —

Koniec przypisku.

POGRZEB. Nikt nie mógł być na pogrzebie Gandary: jedni byli sami zbyt chorzy, inni za obojętni.

Wieszcza Mara, zapłakując się dniami całymi nie za Gandarą, ale z powodu faktu śmierci, z którą nigdy pogodzić się nie mogła, prosiła Arjamana, żeby ten był na pogrzebie od Turowego Rogu.

Wybór padł źle.

Dla Arjamana nie było ze strony Gandary śmierci, poprostu zabrakło go, jak jednego z ptaków, albo obłoka na niebie, albo przeminionego dnia.

Śmierć mogła się zjawić przed Arjamanem tylko jako otchłań w jego własnym sercu. Lecz serce jego całe było już otchłanią.

I teraz Niniwę niechby ziemia pochłonięła, on ze swemi pięcioma ukcehanemi mógłby trwać w stanie tego badacza meteorologii na szczycie góry Dant, który zapisuje stan psychiczny atmosfery ludzkiej: Zeus + 40, burza od Archipelagu Księżniczki Wisznu, Chrystus — 12,

sucho, obłoki Cirrusowe sceptycyzmu. — Arjaman nie mógł darować Wieszcze Marze tych łez wylanych na próżno, tej boleści, która nikogo widzieć nie chciała, tylko przed Mędrce występuje z twarzą wesołą, by jemu nie powiększać smutku.

Czyżby zaś Mędrzec cierpiał z powodu, że W. Mara cierpi?

gdyby Mędrzec Gandara widział te żale nad tym, co już nie istnieje, czy nie powiedziałby znowu: Kieło ta Pani głupia?

Gandara jest lub go niema —

a słońce jednak potoczyło się kulą rubinową za kurhan Osobitej; jednak śnieg cudowną, mocną pokrywą oszreżył bezmiary śnieżne, po których leciał na nartach Arjaman.

Nie znaczyło to, żeby on był wesoły, nie:

ujrzał przy mogile Gandary ohydnie zjedzoną przez raka twarz jego córki, czarownicy, w której czarach był rozkochany. A że nie mowa tu o czarach fizycznych, to się rozumie, lecz o zamawianiu na ciężkie smutki, którego to zamawiania używał kiedyś Arjaman.

Czy z powodzeniem?

z takim samym conajmniej, jak na swego raka w twarzy biedna Łukasycówna!

I był jeszcze tam na tym cmentarzu obmarzłym zachlipły z nosem czerwonym karzeł Jaś, syn już podstarzały Gandary...

Takie się to obrodziło szpetne potomstwo temu, którego upragnęły syckie panny w Nietalii i nawet ta z Kuźnie, ino bez to że głupia, to jej nie wziął!...

Tak, jest Polip, który ssie duszę świata:

obrzydłe Przeznaczenie ze skośnemi oczyma handlarza ludzkim towarem, z rurką zamiast nosa, z gębą ukrytą między strasznymi ramionami...

I jakże to nazwać — ten Absolut, tak niepodobny do ciszy lodowców Getego, do piorunowej na cherubimach toczącej się chmury Mojżeszowego Boga?...

Przyszedszy na grób Gandary, Arjaman rzucił kilka jedlin do jamy, rozmyślając jak wejść do zamku Muzaferida? słońce zmierzające w swej kuźni przypominało mu, że należy się nie oglądać choćby na trupy i krew.

Teraz, siedząc przy kolacji z Wieszczką Marą, dowodził, iż Hamlet jest pełen radości. Melancholja Hamleta jest tylko kolorem głębin. Ale na wybrzeżach swych on pieni się srebrem, szaleje setkiem tęczowych katarakt.

I to miejsce dramatu:

„Być czy nie być?” —

przez intuicyjnego aktora powinno być mówione podczas rwania krasnych gwoździaków przy oczekiwaniu niespokojnym, kiedy na zegarze zamkowym wybije godzina siódma, kiedy Poloniusz pójdzie na nabożeństwo do kaplicy i na grę kostkową w kurdygardzie; Ofelja zaś, idąc przez chór kościelny, w jednej z nisz uczuje rękę Hamleta, który obejmie ją wpół i wprowadzi ją do misterjów, lub jak chcą inni — do porubstwa.

Wieszcza Mara, zażywszy walidolu, prędko jęła przychodzić do stanu normalnego pogodnej mądrości.

Lecz, niestety, nazwa tego lekarstwa przypomniawszy Arjamanowi sułtankę Walidę z czasów rozbioru Polski i popędził on myślą do tych zacnych krajów, gdzieby mu wolno było porwać Zolimę do haremu —

i przez cudne arabeskowe okna mówić z nią na tarasie, podsuwając jej figi smyrneńskie, rachatlakum, wino Lacrimae Christi i to lepsze jeszcze Lacrimae Veneris z wyspy Cypru...

Ach, obnażyłby ją, tę wysoką, gibką, cudną kobietę o włosach kruczonych, z oczyma szafirowymi —

i nie byłoby wtedy mowy, żeby Zolima miała ślepotę kurzą, nabytą z książek ekonomicznych, i nie wiedziała, kim jest Mangro, a kim Arjaman!

I cóż zostaje? porwać?!

Tak.

Arjaman pragnął zakłść Turów Róg w jeden z nieopisanych przez Dantego zakamarów piekła, gdzie w ciepłych, żarzących się od lawy, ogień wygryza po kolana ciało księżniczkom Zolimie i Wisznu, wjeżdża aż na jęłita Arjamanowi, Wieszcza Mara, wisząc na krzyżu, zaprasza, aby jeść wyborne ukraińskie konserwy z berberysu, a do miski dodać śmietany (Wspaniała Złota poganka, pokutująca w tej wychrzczonej, niestety, Duszy!), Mędrzec Zmierzchoświt wzniesiony na palu — i wtedy właśnie oni najwytworniej bawią się w japońską grę go, rzucając sobie najdowcipniejsze jettatury, najgłęsze uroki. Smutek dla Wieszcza Mary był tym dłułem, bez którego już nie może się wyrzeźbiać dusza.

Dla Arjamana był to Ocean, którego nienawidził, a po którym płynął jeno do krainy, pełnej najcudniejszych kobiet, drzew chlebowych i mądrych mitów, zaklętych w rzezanym kamieniu przy świątyniach Oceanicznego Djabła.

Arjaman mówił te i tym podobne baliwernje.

Wtym Wieszcza Mara wstała, długo nie wracając. Zamyślony Arjaman patrzył przez okno.

Ujrzał naraz Wieszczkę Marę, która szła w swej czarnej, drobnej postaci wśród drzew, brnąc w śniegu — i płacząc...

Kieło ta Pani głupia! —

ŻAŁOBNICE. Często gośćmi były w chacie dwie żalobnie ubrane wdowy. Jedna ze Żmudzi, druga z Ukrainy. Pierwsza była rumiana, mimo wszystko z naiwnym wyrazem twarzy włościanki, lecz z niepożytą siłą duszy, jaka się trafia tylko wyjątkowo. Pasła krowy do 14-go roku, potym los jej pozwolił się uczyć i w osiemnastym roku zdała już egzamina z gimnazjum, nauczywszy się zupełnie jej obcych języków: polskiego i rosyjskiego. Pojechała zagranicę do Szwajcarji na uniwersytet, chcąc zarabiać na młodego literata litewskiego, w którym się zakochała, a który miał suchoty.

I byli razem w Szwajcarji.

Nędza, niejadanie całymi tygodniami — uczyniła stan literata beznadziejnym. Kiedy żona jego posiadała patent i przyjechała do Zakopanego zarobkować, i kiedy już mogła dać ukochanemu człowiekowi wszystkie wygody — on już kończył ledwo zaczęte bezlitośnie twarde, smutne życie. Podobno wszyscy litwini z ludu, idący ku nauce, dostają tuberkułów z powodu nędzy!

Wielka wspaniała głowa poety z uśmiechem sardonicznym, leżąc na poduszce trumny, zdała się spoglądać wzrokiem zakamieniałej boleści w tę — która klęczała na śniegu cmentarnym, złożwszy ręce, z wyrazem chłopskiego tępego bólu, który pyta Boga pierwszy raz w życiu — i ostatni:

— Czemuś mię tak pokrzywdził?

A może — Ciebie niema? —

I to straszne dla dusz głęboko pierwotnych zapytanie wyłoniło się też, jako najwyższa waga życia przed tą drugą wdową.

Jej oczy czarne, postać zdająca się być tylko w czarny jedwab zamkniętą chmurą, jej wyraz przedelikaconej mimozy pytał o to samo.

Weszły one do chaty Wieszcza Mary, zapytując prawie na progu, czy jest Bóg!

Wieszcza Mara naraz uwierzyła, naraz wyciągnęła rękoma po tę władzę, którą miała lub zdawało się jej, iż miała ukrytą w misterjach duszy na straszną potrzebę.

Potwierdziła, że Bóg jest — i dusze są — i ci dwaj skrzydlaci rewolucjoniści — tam są.

Lecz obie wdowy zaczęły zaprzeczać.

Mąż żmudzinki był niewierzącym socjaldemokratą i melancholikiem. Tylko przed samą śmiercią widział się na słonecznej żmudzkiej ziemi wśród lasu — i było tak szczęśliwie — tak oddychało się pełną piersią — i tam był Bóg!..

Lecz mąż ukrainki, znany bogacz, proletarjateczyk, człowiek zdumiewająco zdolny, umierał w spokoju filozofa,

mówiąc, iż nie chce księdza — i nie mógł przypuścić nawet na chwilę takiej niedorzeczności, jak życie pośmiertne! Żona, która mu towarzyszyła aż do końca w niewierze, zostawszy sama wśród pustych ścian — zaczęła wywoływać jego ducha, słyszała w muzyce swojej tęsknej na fortepianie jego głos za sobą, widziała go w snach, widziała na jawie z otwartymi oczyma, przestała kochać nawet jedynego synka — i szła za duchem, gasnąc, niknąc...

Nocami te dwie wdowy tworzyły seanse, miały widzenia, odpowiedzi duchów.

Więc przyszły wreszcie do Chaty, czując, iż umysł im się miesza, i prosząc tylko o jasne, proste zapewnienie, iż Boga niema.

I wieszczka Mara (kobietą!) uczuła naraz, że Bóg jest!

Zacząła dawać Go im w płaczu i w wysłuchaniu dziwnego ich życia — i w zapomnieniu, iż sama dla siebie doszła do innych pewników!...

Żmudzinka była zawsze milcząca, ta druga zaś mówiła tak, jak śpiewają łabędzie — pieśń przedśmiertną,

Krwawej piękności wspomnienia!... w więzieniach Kijowskich, w tych szalenie odważnych drukowaniach na maszynie, szukanej przez całą policję miasta, przez Nowickiego żandarma, — właśnie, kiedy ruch wydawał się zdławiony.

Ta wówczas szczęśliwa kobieta, a zawsze nikła mimoza, drukowała płomienie, rozrzucała je po mieście —

i jeszcze przychodziła do generała Nowickiego, ujmując się za więźniami, grożąc mu sądem za bicie i wyrzucanie za drzwi kobiet z prośbami.

Jej brat jest na Sybirze! Raz już uciekł i schronił się zagranicę, lecz wrócił do Warszawy, wiedząc, iż go szukają, bo musiał i chciał należeć do Rewolucji.

W dzień przyjazdu aresztował go agent ochrony — przesiedział rok w więzieniu na Długiej — i chorego z nadpęknętymi do szaleństwa nerwami wysłano na osiem lat katorgi.

— Więc tak poprostu, pytając Drogą Panią i nie męcząc już naszymi opowieściami, czy jest Bóg?

A drugi brat jest księdzem. Nawrócił się z hulaki tak strasznego, iż był zgorszeniem i wstydem całej rodziny!

Ten brat jest księdzem i narodowym demokratą, nie lubi, potępia rewolucję, potępia też wywoływanie duchów, ale kiedy on zacznie mówić o Bogu —

to jest tak, jakby mówił o którymś paragrafie katolickiego Swoda zakonów. —

Późno w noc przeciągały się rozmowy tych trzech wdów ze sobą.

WIESZCZKA MARA. W górach mrocznych Bolesci żyje Wieszczka Mara;

w górach osłoniętych od światła senną żaluzją chmurnego milczenia;

w tych górach nieznanach, jak były nieznane przez lat tysiące góry Nieba, z których wypływa Nil, jezioro Njanza i wielka Zambezi;

w tych górach smutniejszych, niż lawy księżycy...

w tych górach osamotnionych, jak ponury wulkan Tristan da Kunja, otoczony morzem i z Antarktyki płynącymi górami lodu;

w tych górach przeczuwalnych i wyliczanych w przybliżeniu, jak dziewiąta planeta Neptun, nim ją odkrył potężny teleskop Astronoma;

w tych górach ubłogosławionych, jak Góra Czaszek, kiedy spełniła się na niej ofiara Miłości;

w tych górach, osypanych zwałem wszystkich polskich trumien, jakie były od czasów Króla Popiela;

w tych górach mądrości nieprzewyższonej, dobroci zawsze zawiedzionej — Zniczów nigdy niegasnących, przyświecania lampą wiecznego serca nad kaźniami więźniów i zesłańcami wśród głuchej mroźnej Nocy syberyjskiej:

tam żyjesz Ty, Wieszczko Maro, najdawniejsza w Trójkacie Magicznym, Wielki Brahma kobiecy —

wiedząca jak —

i wiedząca, gdzie są najwyższe Golgoty dla Twych oczu, szukających w mroku niepohamowanym, krzyczącym wśród grobów zamurowanych — bez echa!

Tu — w Twoim królestwie Niemocy Gwiazdzistej ogrodziłaś dla dobrych i zaiste dziwnych ludzi w Polsce Turów Róg —

i tu dzieją się cuda wielkie, nigdy nikany nie mające podobnych sobie!

Tu po Tatrzańskich puszczech skaczą małpki, które gdzieś ze Surabaji i Jawy wieziono i zbiegły — — i te powabne zwierzątka wieszają się nad melancholją olbrzymich smreków, żywiąc się rzucanemi im jabłkami lub orzechami leszczynowemi, gdy pogonią aż na węgierską krainę...

W tym zwierzyńcu lub jak pieśniarz żydowski powiedział — w tym Zwierzeniu, istnieją również twory, które wyobraźnia ślepego Sabaly utworzyła, jako posiadłość pana Ofa:

w potoku płyną wielgoryby i turlają się na trawie; wszystkie zwierzęta praojca Adama żyją tu na powierzchni lądu lub w głębinach morza, w podziemnych aż na Oceany amerykańskie wychodzących labiryntach Kościeliskiej i Bialskich Tatr.

Tu Wieszcza Mara ugaszcza niezliczonych magnatów ducha, wędrujących z całej Polski, zarówno jak chłopów siermiężnych i gazdów: latem nad zielonym dywanem, usianym w przepych modrych gencjan, wiosną — nad łanami zaśnieżonych fioletowych krokusów... Wita radością i sadza na tronach kamiennych z doliny Chochołowskiej Wiecznych Wędrowców, którzy schronili się tu, nim wstąpią w Dolinę Śmierci!

Inni, nie znając nawet wieszczyki Mary, idą w nocy wyjącej bez rozelsnień błyskawicowych, stukają do drzwi chaty w ciemnym nieprzebytym lesie —

i tu w dali za tłumem ohydnej publiki czują się wykopanemi z zimnych duszących mgieł życiowej głupoty.

Tu przychodzą Magowie z gwiazdą Potęgi Myśli-

cielstwa Polskiego; starcy kapłani dobrodusznie wierzący w „Papiża“; dziewczęta, mające iść rzucić bombę, komuniści, lepiący nieudolnie i niedźwiedziowato swe zbawcze falanstery; tu orli człowiek, biały Tytan, będąc lekarzem swego narodu, wie, jak Mojżesz w Tatry!

Tu historycy, przesubtelnieni w wątpliwościach, rozmawiają z założycielami klasztorów; tu powieściopisarze, ogarniający bezkresne fantastyczne stepy Ukrainy dawnej i mający tę niepożytą zasługę przed narodem, że przyszedli z animuszem rycerskim wtedy, gdy naród po powstaniu był, jak chory człowiek ze szpitala, storturowany, nie wierzący w swą siłę!

Tu gieologowie z młotem w ręku rozbijający Mrok tajni Pratatr — i jak zwykle w Polsce, domierający głodem — i suchotami... Staszice młodził...

Tu przychodzą spowiadać się ewangeliczni ludzie i natury drapieżne, władcze, nieprzebaczące nigdy zdraśnięcia na herbowych bramach swej skały Pysznej serca; i nadewszystko starzy gazdowie, jak wiekowy ogromny Zych, który rzucał się całym swym ogromnym wzrostem na podłogę i modlił się głośno do swego Boga, w odmiennym z czasów Zbójników i prawie z przed Chrześcijaństwa pacierzu.

Tu przychodziły Wiedźmy Czarownice, umięjące odczyniać uroki, lub rzucać je w formie złowrogich hymnów; — tu dziewczątka góralskie skamlały do zbójnickich opowiadań.

Tu wreszcie do okna przylatał nigdy w Zakopanem niewidziany ptak: Mentyl Pomurnik, tłukł się w okna, krążył swym motylim lotem, wirując dokoła siebie, jakby radował się tą pustelnią świętszą, bezpieczniejszą, niż wysokie nieprzystępne turnie!

Tu nadewszystko przychodził z głębokich, zapadłych Tatrzańskich jezior Mędrzec, kapłan i w jednej osobie bóg żmujdzki, stawiający świątynie, lub też piorunem bijący w Bagno ludzkie, lęgnące się za Turowym Rogiem!...

Ściany belkowań tej chaty uginają się pod nieopisaną boleścią wszystkich spraw Polski, wszystkich duchów, które nocami ciemnymi zaglądają do wnętrza i zastając gorączkowy oblędu bliski wzrok Wyczekiwania—nie śmia wejść z kruzami pełnymi łez narodu, z łachmanami nieureczywistnień po strasznych, gorszych niż Maciejowickie, bitwy: zadeptywaniach Ognia!... plwania w dar Wieczności!...

Wszystkie chóry zakonnic i świętych oplotły litanją duszę Wieszczy Mary:

Krystyna, zwana Dziwną, kryła się w przerębłach, wdrapywała się na szczyty wież i na wirchy gór, w zagęstwia wysokich drzew przed obmierzłym zapachem ludzkiego jestestwa;

Aniela z Foligno, która się radowała, że umarł jej mąż i synowie, bo nie już nie przeszkodzi jej oddać się w pełni Bogu;

Katarzyna ze Sieny pisywała traktaty do papieżów i monarchów, umierając w wieku lat trzydziestu;

Jan XXII — owa Papieżycą, zdumiewała mądrością, każąc przed wyznawcami Islamu w grodach Małej Azji—

a niemniej duszę Wieszczy Mary tworzył i straszny Ataman Wychowski, którego pogrobowczynią jest ona; nie rozstaje się też nigdy z cudownym obrazem na karparysowej desce, w barwach poematu Beniowskiego o świętej Rodzinie; ten obraz wisiał w namiocie zuchwałego hetmana Zaporozża, grożącego nawet swej Macierzy — Polskiej Rzeczypospolitej!

Pogrobowczyni tego straszego człowieka towarzyszy na Sybir Ojcu; w trudach zesłania na młodość jej padają krwawe zorze Anhellego.—

Kronikarz Turowego Rogu spędzał noce długie, zwane żartobliwie Wsienoszczami, jak są po cerkwiach całonocne nabożeństwa,—

i słuchał epickich opowiadań tej Wieszczy, która by powinna mieć koło rycerskie z obrazów Mistrza Matejki.

Będąc kruczowłosa, śniada i ubrana czarno, robi jed-

nak wrażenie posagu ze złota, który się utworzył z inkrustacji mrocznego strumienia,

płynącego z piekieł polskiej męki. Wydaje się swastiką tajemniczą, a żywą, która leży na grobie Targowicy—i Cecory.

Wszystkie bóle wsiąkły w jej pierś, jakby w ziemię żywną wiosenną, lecz nie mogącą wydać innego ziarna, niż ciche słowa — i nie mającą innego żniwa nad wielkie Milczenie.

Idzie zgięta pod naręczem drzewa wonnego na ten Znicz, z którego zacna publiczność będzie kiedyś wybierać węgle do samowara narodowego! lub jeszcze gorzej: gdyż w Polsce wszystko oddadzą trzodzie chlewnej i bezczelnym!

Nie pojmie nikt tych myśli Kronikarza Turowego Rogu, który za to, iż odczuł żywą piękność Polski — maluje Wieszczykę Marę, jakby królową Sabę w domu oblakanych; bo według miary rozsądnych warjatów—Ona to niezmierne skarby swoje na wodach cichych przed wschodami z olbrzymich granitów rozsiewa w głębinach, z których nie znurkuje nikt nigdy nikany niczego.

Jest to jakby na szaleńczym i nieistniejącym obrazie Quentyn Massysa lub malarza Koronacji N. Marji Panny —

heretycka święta, która nalewa w kielich trucizny, aby ją wypić, nie chcąc obarczyć Boga tym strasznym wyrzutem, że wszystko tak jest, jak być musi, i że łamają się wirchy serc w ciśnieniu potwornego Oceanu Nicości.

Dusza Wieszczy Mary zakwitła, jakby ogród bujny strzelistych Eukalyptusów, uzdrawiających okolicę od maremmy!

(ogród zapadający aż w groty Ornaku — —)

Lecz prastare tysiącletnie jabłonie rozkwitają deszczem kwiecia nad twarzami Xiężniczek Morza i Tatr, nad Wisznu i nad Azudem, gdyż tak Arjaman nazywa Zolime, nie chcąc wymówić wprost Meduza! najbardziej

zaś nad Mędrceem z jezior Tatrzańskich, który jak Orzeł ukryć chce ostatnią godzinę swoją...

— — — — —
Ty ścieżyny czynisz w górach wszystkim dalom Chrystusowym i Dionyzyjskim misterjom życia!

Ty, Gromownica, strącasz głązy budowne z wielkich przeznaczeń ku Polsce!

Ty, wieszczko zakrytych bram Ornakul

Ty, najbiedniejsza z tych, którzy rozdali swe królestwa, Ty, płomienna siostró zmartwychwstać niemogącego Polskiego Łazarza — wyczekująca i biegnąca wciąż na spotkanie Pana!

Ty, nie mieszcząca się już w Turowym Rogu, lecz idąca wciąż dalej!...

Wciąż potworniej opuszczona, z dziwną Apokaliptyczną literą Człowieczo-boskości na swym sercu, idziesz — aż tam, gdzie, jak Ty osamotniony, czeka Cię kurhan przy ujściu Leny do Lodowatego Oceanu — tam, gdzie nie był jeszcze nikt, chyba skrzydlaty duch Eloi!

— — — — —
Na gędziolkach grał, idąc przez Krokusową łąkę, stary ślepiec Sabała — Homer tych miejsc.

Pani Mara, stojąc w oknie wschodzącego brzasku, przyzywała starca ręką, lecz on nie widział — i zresztą choć od dziesiątków lat znał, nigdy jej nie widział i zawsze się dopytywał: jak wyglądacie? — gdyż był niewidomy.

Raz już konał na jej ręku; a nie chciał Xiądz szambelan odwiedzić z Panem Bogiem starego zbójnika, zły, iż starzec mówił kiedyś: Kie bede mówił niezadługo z samym gazdo — nie trza mi pacholka! Ale teraz tak wyczekiwał, tak wyglądał, tak prosił Xiędza Jegomości...

Xiądz się zaciął, udawał, że się zbiera... dość niepilno! zaiste!

Wreszcie Sabała nagle porwał się ku słońcu, — i jał biedz — jakby skrzydła miał, a ptakiem był... Biegł wciąż, oczy ślepe zwracając ku słońcu, w które zawsze już patrzył żrenicą nieprzymkniętą.

I przesłoneczniony wszedł do Turowego Rogu, gdzie wodą życia napojony przechadzał się, nie czując brzemienia grobu, niepoddany złym urokom Wiedźmy Kostuchy.

A w ogrodach Turowego Rogu wśród jodeł drzewały przedpotopowe jednorożce, krzyczały w puszczech pawie, iguanodonty, wielkie jak kościół w Zakopanem, pożerały trawę i drzewa.

I ów straszny w mrokach morza, kryjący się nawet przed blaskiem gwiazd, potwór Kainotherium!

Wielkie cudne gaje wrzosów, jak gigantyczne kandelabry, fosforyzowały kielichami swych kwiatów...

Coby dał teraz Arjaman, żeby naraz wszystko się odmieniło — i on szedł tak z Xsieźniczka Azudem po tych nieobjętych myślami Górach — i mógł przemysleć ten cięższy od łańcuchów, na których wiszą Gwiazdy — rachunek życia nowego, które rozpoczyna się z rąk Mędrca Zmierzch-świta — polskiego Zarathustry!...

— — — — —
Przypisek kronikarza piekielnego. Heureka! znalazłem... wiem teraz dlaczego muszę takie tortury przechodzić, słuchając tych niekończących się litań uwiłbień... Oto jak na palimpseście jest kilka pism — jedno na drugim — tak w Nietocie kilka osób, w różnych epokach, bez porządku chronologii, ani wypadków, zapisywało swe Mementa... Kto pisze naiwne franciszkańskie opowiadki, kto suchym tonem chronografa? nie wiem. Małe uwy-puklenia sytuacji, jak tam, gdzie będzie mowa o Fauście i Małgosi, będą mego skromnego pędzla. Lecz wiem, iż tam, gdzie się zjawia, jak kościół w Zakopanem wielkie iguanodonty i gdzie krzyczą w puszczech pawie — a panna Zolima staje się obiektem tropikalnego upału — tam, jeśli nie wprost pisał, to cyklonami fosforycznymi myślenia swego wywiewał wszelki zdrowy sens nie kto inny, jeno p. Arjaman. Ważniejsza, kto napisał, lub choćby wymy-slił hymn na cześć Wieszczki Mary? cóż to za święta in partibus infidelium? wszakże Mara w Indjach oznacza

djabła... czyżby to nie był kto z naszych? tedy bym ją nazwał—Précieuse!

I ja jestem patrjota polski — lecz chcę widzieć djabłów w Polsce takich, jak Stadnicki, jak sławny Samuel, jak Nietzsche...! jak Bonaparte, jak Stieńka Razin, jak generał Nogi, jak Żelazny Kanclerz!

Obrzydliscie mi, kiepska polska narodowości obecna!

Turów Róg nie zbawił Cię, niechby Cię choć piekło uwierzytelniło!

Ja tu za ludzi interesujących Nas uważam tylko Zolime, księcia Huberta--no i jeśli się okaże podejrzenie me słusznym, owego Mara...

Ale, niestety, muszę zostawić rzeczy ich naturalnemu rozwojowi, i dalidjasek — wytrzymać jeszcze będę musiał całą pielgrzymkę odpustową po Turowym Rogu!

Ale co później, to już moje!

Wtedy się trzymajcie!

Chór djabłów w kominie:

— Bo słuchajmy i zważmy to w sobie,
że wedle Czarciego rozkazu,
kto nie kochał się nigdy w djablicy —
ten nie był Djabłem — ni razu!

ro! Jedyna istność, przed którą korzyła się Wieszcza Mara, była Śmierć.

Nie zgadzała się na nią nigdy, choć była przy tylu konających.

Nienawidziła jej za tę potworną pustynię, jaką ta Królowa Prerażeń szerzyła, sama gnieźdząc się wśród gór boleści najprzeróżniejszych, wśród otchłani łez nigdy nie wymarzłych.

Jeśli władczynią Turowego Rogu żyjącego była Wieszcza Mara —

rządzicielką tych nieprzeliczonych rzesz, tych co nigdy nie wracają, tych co odeszli w krainę Duchów lub Nicości —

była Śmierć.

Jakby dwie siostry, walczące ze sobą — ta miłością i swastiką, tanta milczeniem, jeśli nie rechem przedzgonnym w akompanjament dzwonów...

Mówiliśmy o pójściu w krainę duchów lub Nicości.

To łatwe gramatyczne związanie powyższego zdania przez lub —

jest właściwie największym kontrastem, jaki stworzyć można!

Śmierć — Muza, chłodząca skronie bohaterom wśród pól Elizejskich; rozwierająca bramy Nieba i Piekieł Dantejskich; śmierć — Walkirja, potrząsająca włócznią piorunową przed zastępami w Walhalli; śmierć, która staje za Konradem, kiedy on bluźni przeciw Bogu; śmierć, która prowadzi wielkie legiony astralne po niezmiernych pustyniach wszechświata z pochodnią, co rozsiewa sercom mędrców blask: Scio ut credam!

— — — Śmierć, z którą umawia się Chrystus, kiedy idzie przed jaskinią z martwych wznieść Łazarza — ta śmierć nie jest straszną!

Owszem, każdemu śpieszy się przepłynąć przez taki Kocyt, wstąpić na taki wirch Anafielasu!

Ale my wiemy już napewno, że śmierć jest inna. Ogromne, prawie aż pocziwe, Nic!

Rozwiązanie zadania żyjącego w formie rzeczypolitej z kilkudziesięciu milionów komórek w organizmie ludzkim...

Nie daje o tym pojęcia, ani zgaszenie lampy, ani opadnięcie liścia.

Jest to zniknięcie tego, który dzień temu, chwilę temu był Absolutem:

dzięki któremu Ocean był Oceanem, Bóg Bogiem, Miłość Miłością, rozwarcie kolan kobiety ukochanej — szczęściem!...

Bez niego nie istniał Byt.

W nim wiązało się, jakby w zworniku, gotyckie sklepienie świata. Śmierć uczyniła zaś z tego cudownego rachunku — zupełny absurd.

Turów Róg takiej śmierci nie uznawał.

Śmierć w Turowym Rogu miała swój zakon i swoją świątynię o trzech kondygnacjach.

Wechodziło się do niej, jak do kościoła w Assyżu: najpierw ciemne nawy z niskimi sklepieniami, tysiące witrażowych lśnień promieniowało na freskach Syna Cieniów, symbole starego Zakonu przed zjawieniem się Mickiewicza — i On — On widzący kres tych katorg sybirskich...

W tym kościele zawsze musiała zwyciężać Moc duszy, prawda polskiego serca i umysłu. Tu był duch Archanioła, kreślący Polskę: *In hoc signo — vinces!*

W kościele górnym były jasne zielonawe barwy życia Tatrzańskiego, na freskach cuda świętego Zmierzchoświta, jego życie wniebowzięte; księżniczka Wisznu i jej brat, dalej oddzielna kaplica dla przekornego i z różkami lecz niemniej najukochańszego fetysza — Zolimy!

W kościele podziemnym trzecim — w krypcie ponurej odprowadzała się Wieczna Msza, u wejścia stał tam posąg świętych Franciszka i Klary.

Wieczna Msza mówiła wśród bezmiarów głosem tych, dla których wszystkie gwiazdy zmieniły się w dwa płomienie serca... oddzielone otchłanią.

I był tam jakiś tak bezbrzeżny czarny ból, jak w grobie Chrystusa, kiedy nad nim legł Rozpaczny, Tryumfujący Mrok.

Tak, w Turowym Rogu były katakumby, były krypty, od których wiał zimny, przerażający chłód.

Wieszczka Mara w dni pewne przeżywała swe Zadaszki, w których nie widział jej nikt — po których jednak postrzegano tylko jej bladą twarz, jakby krew ze serca wyssał jej Wampir.

Arjaman miał pogląd inny na śmierć.

Była dla niego tajemnicą, za temi zaś potwornymi mrokami wierzył, że jest Najwyższy Sens.

Ten Lohengrin, Don Kichot i Faust w jednej osobie, wypijając życie całą mocą swą wyobraźni, najwyższe

drzewo rozkoszy, najzłociwszy owoc wiedzy chował sobie za ten wirch, którym się kończył życia padół.

Stąd była w Arjamanie jakaś nieczułość dla umierających, zarówno jak dla żywych.

I dopiero spotkanie się z Mędrceem Zmierzchoświtem zmusiło Arjamana do bardziej rzetelnych przemyśleń i zrozumienia najwyższej wagi tego, co jest, albowiem za chwilę będzie już niepowrotne.

To co umarło — umarło na milion wieczności i nie wróci tak, jak nie wrócą wielkie ptaki Moa na Nowej Zelandji!

Przeminęło — oto co stanowi tajemny logarytm duszy Zmierzchoświta.

Istnieje stokroć wyżej — wyrastało Arjamanowi z każdego źdźbła.

Gdyż spotkanie Arjamana z Magiem Litworem, niewątpliwa rzeczywistość mocy proroczej i potęg telepatycznych zmuszała Arjamana do niezadawalniania się już tym mrocznym pesymizmem, dla którego jedyną prawdą była dobroć ludzka. Arjaman niegdyś siedł wśród zamieci padających gwiazd. Jazń jego ogarniała wszechbyt.

Potym całą metafizykę skupił na jednym małym punkcie — sercu kobiety, i spotkawszy mądrą, bezdennie mądrą trzeźwość — wytrzeźwiał też. Stał się mistykiem nienawidzącym!... Jakby odwrotny Faust, wzgardziwszy, zagadnieniem Małgosi, nasz Faust chciał problem kobiety rozwiązać przez najgłębsze zwątpienia, chciał mózdz, jak Jahwe, rzec swoim mrokom: *Fiat nox — Hewa!*

I tak z lodowatej bryły mroku narodzić swe ostateczne szczęście.

Arjaman, zajęty gienezyskiemi problemami, nie objawił tej prostoty uczuć, jakich wymagała Wieszczka Mara. To też z wyrzutem mówiła mu nieraz, iż ma w sobie duszę hiszpana, że i Chatę będzie naprawdę rozumiał, gdy legnie Wieszczka na marach, gdy cały Turów Róg przeprowadzi się na Ornak; wtedy Arjaman zagra na ty-

siącu organowych trąb ze spiżu i złota, wtedy będzie mógł tragedję zreżyserować nad tym, co utracił...

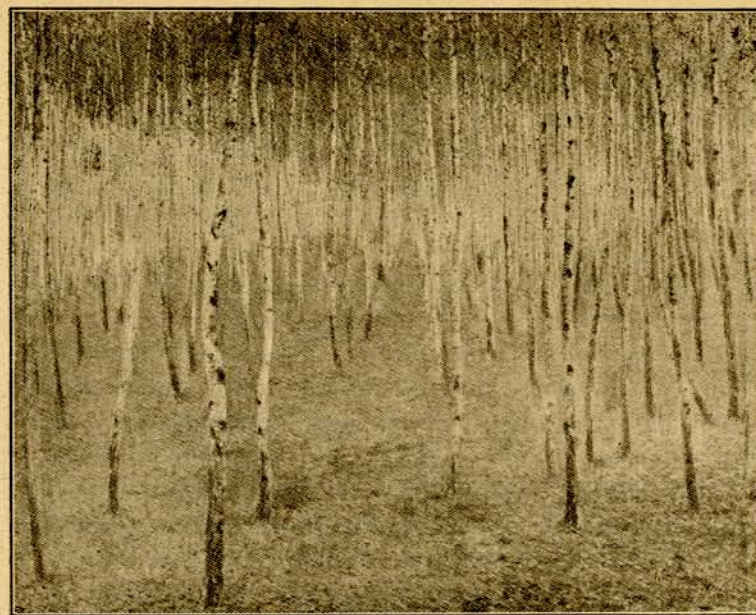
I nie przeczył temu Arjaman.

Wiedział bowiem w głębi swego serca, że cały Turów Róg jest dla niego tylko szmerem padających liści, przy których on wsłuchiwał się w głos Mocy Ostatecznej.

Od wielu miesięcy nie widział już Arjaman Maga Litwora. Ten bowiem zniknął tajemniczo, może brał udział w walkach na Wschodzie, może przemawiał do robotników w Zagłębiu?

I jakimże szczęściem było dla Arjamana, gdy pewnej nocy zastał kartkę na swym rowkowanym ołtarzu dawnych ludzkich ofiar w jaskini — i kartka ta wieściła mu, żeby wyszedł na spotkanie Maga Litwora jutro o świcie na Bukowinę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Antoni Slawicki: „Gaj brzoźowy”.

ADOLF NOWACZYŃSKI.

Sztuka współczesna u Czechów.

Genealogja malarstwa dzisiejszego w Czechach nie liczy wiele pokoleń poprzedzających. Oto mniej więcej z pierwszym przebudzeniem się z letargu całego narodu pojawiają się po pierwszych twórcach intelektualnych, pierwsi wyraziciele plastycznych wartości. Spojrzenie retrospektywne w przeszłość poucza o mniej więcej takiej samej kolei przemian malarstwa, jak gdzieindziej u Słowian. Pierwsze dzieła sztuki przynoszą i rozdają twórcy obcy: Włosi, Francuzi, a jak w Czechach—Niemcy. Wyższe warstwy oswajają się z delikatnym kunsztem i uczą się ocenić utajone skarby zaklęte na małej przestrzeni płótna lub w niewielkim złomie marmuru.

W Czechach, narodził się dosłownie demokratycznym, stara sztuka cudzoziemcza zamknięta jest po galeriach zamków przeważnie zniemczonej arystokracji; pierwsza zaś sztuka o tyle narodowa, że przez narodowo już uświadomiony element uprawiana, wiąże się z imionami dziś mało mówiącymi; Tkadlika, Ženíška, Hittussiego i Brožíka, i swym t. zw. rozkwitem przypada na lata 60-te i 70-te. Do tych jednakże czasów klassycystycznego naśladownictwa przynależy jeszcze jeden artysta, nie wiążący się wcale z bezduszną atmosferą społecznego misjonarstwa swych rówieśnych, pewną zaś, zresztą dość umiarkowaną wytwornością i spokojem swej wyodrębnionej pracy nadający się bardzo na protoplastę i patryjarchę tej sztuki, która nie chce się kierować gustem mobu, gotowego na kupno tylko apetytnych lub pedagogicznych dzieł sztuki. Mowa tu o Józefie Manesie.

Był to twórca średniego rejestru ale o bardzo szlachetnej rezerwie wobec życia i jego prymitywnych *in artibus* domagań. Gentilhomme kosmopolityczny w swym smaku i ukochaniach artystoskich a bardzo czeska, radosna, prosta, szczerza dusza. W epoce wielkich płócien, wyłącznego konterfektowania Świętych Pańskich, w epoce *sosów* asfaltowych, patetyzmu akademickiego i oleju, oleju za każdą cenę, Manes pracuje guachą, tuszem, w drzeworycie, akwarellą i wypowiada się rzetelnie w ornamentacjach, inicjałach, dyplomach, supraportach, dekoratywnych ilustracjach.

Zgodnie z duchem czasów, rozkochany w gienjalnym falsyfikacie Rękopisu Królowońskiego ilustruje go; zapalony etnografista z wędrowek po całej Zachodniej Słowiańszczyźnie, zwozi stosy niezwykle delikatnych kolorowych zapamiętań, wspominek i ukochań dziarskiego ludu. W ilustracjach Królowońskich łączy słodki, intymny czar M. Schwinda z tęgą dramatycznością Dorégo. W rzeczach olejnych, którym to sposobem ostatecznie także nie całkiem gardzi, okazuje przy doskonałym paryskim opanowaniu arkanów zawodu, czarujący sentyment

słowiański i pełnię ściśle sensualnego patrzenia na przyrodę (jeszcze u niego kosmopolityczną) i na koronę przyrody—kobietę, u niego francusko-powabną, miękką, ciepłą, często niepotrzebnego balastu sukien pozbawioną i wtedy (do dziś dnia, od r. 1865) żywą karnacją się lśniąca. Pod wezwaniem tego to rycerskiego, romantycznego wiernika sztuki, zmarłego w r. 1871 po dwóch mężeńskich latach obłędu, założyła się dziś dobrze znana w Europie gildja młodych artystów czeskich: Manes, co, aczkolwiek z łacińskiego tłumaczone, znaczyłoby „cienie“, atoli tym samym kojarzeniem dźwięków pamięciowych przypomina słowo „zostanie“; *verba volant, Manes manet*.

Malarstwo czeskie, jak każde inne w Europie, zelektryzowało i postawiło na nogi dopiero odkrycie we Francji światła i powietrza dla obrazów. Studjowanie w Monachjum Niemców i import niemieckiej kultury malarskiej z jej akademizmami nazareńskimi czy düsseldorfskimi doktrynami, redutowo-teatralnym komponowaniem pejzażu „byłe ze skałami“, z „wdzięczną rodzajowością“ i „sympatyczną martwą naturą“, mogło doprowadzić do zupełnie obrzydłego apreturowania wszystkiego dla estetycznych domagań filistra, t. j. w Czechach zubożonego chłopca; gdyby... gdyby nie „dobra nowina“ francuskiego plenerizmu.

Słynny okrzyk francuskiego mistrza w szkole: „Moi panowie, jabłoń zakwitła, proszę wynosić się z pracowni!“ stał się hasłem i w dalekiej Bohemji. Malarze Schikaneder i Sochor przywieźli z Paryża przepisy nowej ewangelji o pełnej powietrzości. Ich prace dały pierwsze dokładnie oglądaną przyrodę, „przetłumaczoną dosłownie“ na język barw. Rzeczywistość oglądana bez arrangement. Realizm in optima forma, jako pierwszy stopień do nieba późniejszych orgji barwnych, świetlanych *féeries* i bajek z „Tysiąca jednej nocy“.

Na przełomie dwóch okresów stoją jeszcze kochankowie narodu w malarstwie i rzeźbie, mistrze: Hynais i Mylsbek. Obaj formalnie doskonali, obaj momentalnie

monumentalni. Pierwszy panteonowo-plafonowy, słodko a fałszywo-grecki. Każda jego do renesansu anemicznie tęskniąca inspiracja, czy „nauka“, czy „sztuka“, czy „postęp“, musi być albo blondyną, albo smukłą brunetą, mieć albo gołą łydkę albo gołe ramię i w rączce trzymać emblemat; bez emblematu i bez kawałka marmuru gdzieś, i festonu, i lauru, nie obszedłby się mistrz Hynais, czeski jakby Siemiradzki.

Również ze strony formalnej nie można zarzucić rzeźbom reprezentatywnym mistrza panteońskiego Mylsbecka, jak to tylko jedno, że się o ich nieskazitelnym konwencjonalizmie błyskawicznie zapomina. Nadto tak w rysach św. Wacława, jak i św. Kanuta, tak w popiersiach poety Kollara, jak i Smetany, jest przy najwerniejszym podobieństwie najwiarogodniejsza modelowa bezdusność. Ci dwaj bezsprzecznie wielcy technicy, Hynais i Mylsbek, konkludują swojemi dziełami pewne czasy w sposób wcale chlubny i czcigodny; ale terażniejszość, jak i przyszłość, należy już do osobników z całkiem innego artystycznego globu.

Towarzystwo imienia „Manesa“ skonsolidowało się w korbach pewnej określonej selekcji, w zasadach krytycznego doboru. Inaczej być nie może. Sztuka nie jest żadną demokracją. Twórca nieuznany kupowanemu malarzowi i kleksydrze wcale nie jest równy. Ścisłe przestrzeganie hierarchiczności—to kardynalny warunek dobrze unormowanego gospodarstwa artystycznego.

Dlatego też w plejadę Manesa wchodzi tylko ci malarze, którzy w swym światopoglądzie artystycznym, w swej wierze w piękno, w swej obojętności na placet i protekcję compact-większości mieszczańskiej wywodzą się od czeskiego *Manesa*, ale w arkanach swej techniki, w żarliwym kulcie powietrznosci, w żądzy najsilniejszych napięć świetlnych idą w prostej linii od francuskich majstrów Maneta i Moneta. Można by paradoksalnie powiedzieć o czeskim malarstwie, że to tylko w nim jest interesujące, co jest francuskim w intencji technicznej, w powzięciu twór-

czej ręki, w podpatrzeniu sprawności i wynalazczości szeregu gienjalnych Francuzów, gdzieś od Courbety, Fantin-Latoura i Puvisa poczynawszy, a na Degasie, Raffaelim, Pisaro skończywszy; z tym większą swobodą można ten paradoks lansować, gdy się to samo myśli o malarstwie polskim i rosyjskim. Niektórzy z młodych Czechów tak o tej prawdzie są przekonani, że nawet w osnowach swych prac nie chcą opuszczać świętego terenu Lutecji Parisiorum. Panowie: Stretti, Simon, Spillar żyją dopiero i oddychają na bulwarach wieczorem przy deszczu, gdy stalowe modre łyśki idą po asfalcie, a jarzące kwadraty szyb kawiarniowych odbijają się enigmatycznie w dotykanej wilgotności. Produkują oni tylko najśłodsze reminiscencje z Mi-Caremów, po Lautrecosku zapamiętanych, z Palais de Glace'ów, tak już przez Vebera wścieklizną plam opiewanych, z Café-concertów, z Montmartru, St.-Denis, Bois de Boulogne, nadbrzezi Sekwańskich, z Notre-Dame, gdzieś po Raffaellowemu wdali jedną wieżę uciętą się rysującej. Swój zmysł paryżjanizmu tchną oni już to z pomocą rozkładu barw systemem Seurata i jego koliska, t. j. punktowaniem i przecinkowaniem (z blizka tak rażącym, zdala tak wibrującym i prawdziwym), już to wypróbowaną techniką urodzonych pastellistów, już to w drobiazgowej cyzellerskiej sztuce akwaforty czy akwatinty. Nawet w Bruges, czy w Oniwal, w Normandji—nie assymilują! się czescy Paryżanie do pejzażu flandro-gotyckiego czy celtycko-morskiego, ale zostają bulwarowcami w dostrzegawczości i w szyku ba — nawet, radzi nie radzi, powróciwszy w rodzinne pielesze, starają się jeszcze usekwanić Welftawę, zbulwaryzować zakłętą w swej barokowości uliczki; jako rybki są na piasek żywcem rzucone...

Chorażowie hufu Manesa to pejzażyści. Tu kilka imion nabędzie z biegiem czasu nieprzemijającego waloru. Tu dopiero siła twórcza rasy wypowiada się z energią niepokonalną. Recypują to, co widzą, a widzą szeroko, mocno i miłośnie, chociażby często i zbyt naiwnie, zbyt prostotliwie. Na początku odkryli Pragę dla nowocze-

snego oka. Podobnie jak Moskwę Serow, Korowin, Lewi-
than, jak Kraków—Wyczółkowski, Fałat, Szczygliński.

Miała stara Luksembursko-Jagiellońska Praga swego
Tondosa w akwarelowych referatach architektonicznych
V. Jansy. Cichych atoli uroków i dyskretnych ukrytek
tej słowiańskiej Gandawy doszukali się w niej dopiero
artyści o tęższym poczuciu kolorystycznym, jako to: Fiala,
Kaspar, Koula, Stibral, Balszanek, Liebscher. Równocześnie z odkryciem czeskiej Pragi idzie odkrycie czeskiego nie z doktryny, ale czeskiego w odczuciu i w pojęciu pejzażu.

Jak zawsze i wszędzie, lud i jego bezpośrednie dzierżawy są pośrednikiem wymarzonemu. Manes, apostoł ludowości, piewca zdrowia fizycznego, wędrownik nieznudzony, będzie tu znowu patronem i sternikiem duchowym.

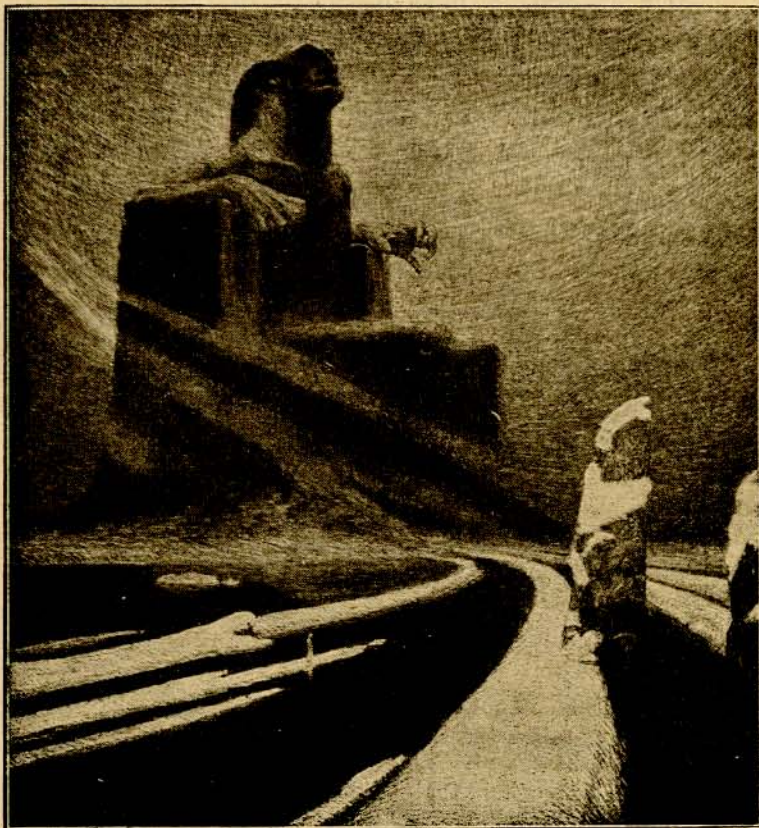
Od czasów Chittussiego wzrósł kunszt pejzażu na wielką skalę. Są melancholicy i są anakreontycy, a u jednych i drugich unosi się z obrazów istotny zapach czeskiej gleby. Leży w tych obrazach wielka powaga miłośnego ziemioznawstwa mistrzów z Okcydentu: Milleta, L'Hermitta, Bastien-Lepage'a; nie trzeba też zapominać o Glasgowskiej szkole, ni o Segantinim, Leibl'u i legjonie z Worpswede. Więc tedy z posród wszystkich synów ziemi Czeskiej wyłania się on słoneczny Józa Uprka, brat przyrodni proszowickiego Tetmajera. Może u niego pejzaż i nie *pryncypium regnans* jeno figury, ale pejzaż ten głównie zna się zapamiętanie... najdłużej. Manes kochał Hanaków i Hanaczki, Uprka nie zna świata poza Słowaczyną. Skwarno tu i przejasno, jurno i świetlano. Jak u Maljawina rosyjskiego bucha pstrością białozielonoczerwoną. Praca i taniec, radość i modlitwa, wypoczynek a znów praca i ot krótki korowód ludowego bytu. Ogólny ton: *dur*, szczęście, *dur* szczęście, *evviva vita!*

Zgoła biegunowo różny nastrój duszy zaklęty jest w mollowych pejzażach. To królestwo melodji wiolonczellowych, elegijne pieśniarstwo przyrody, albo rankami mgławkami boleśnie rodzącej wiosnę, albo zamierającej

w ostatnich akordach wieczorów jesiennych. Oglądamy jakieś tajemne mokradła, grążone w ciemniach, to jakieś bez litości opuszczone sadyby sielskie, to rozgniewane, kłębiące się zwały chmurzysk nad ugornym polem. Corotskie przypominasz sobie sine mgły porankowe i znowu Cotteta obumierające w deszcz samotnie, i godziny po zachodzie na wsi, a czasem to (jak u Liebermana) we mchu wykrotów leśnych zagubione leniwie — spoczywają sobie żółte plamiska słońca. Schikanedr i Hudecek zdają się muzykalne ballady komponować zestrojami swoich neutralnych, smutnych kolorów. Jarosław Panuszka ulubił zwały śniegowe, a w nich zagrzebane ludzkie schroniska, dachy i kominy. Kalwodę porównać można z Pruszkowskim w jego prospektach moczarowych, kącikach łóz, trzeć, szuwarów i sitowia, w wodach modrych, płytko rozlanych, w bajecznie intensywnych zieleniznach. Engel-müller jest tym w pejzażu czeskim, czym u nas Ruszczyc, w Rosji Mussatow. Panteista trochę i romantyk. Wyrazistość i prostota innych znika u niego przed poetycznie czarodziejską koncepcją motywów dobieranych, przed religijną tęsknicą i ogarnięciem wszystkiego, jako delikatnie barwne, przytłumionego w sile i w modelacji, ale esencjonalnego w efekcie sennego mirażu. Jak Engel-müller marzycielem jest pejzażu, bardzo subiektywnym i odrębnym, tak Sławicek jest jego prozaikiem, w sposób obiektywnością swoją omal fotograficzną utrwalający fakty pejzażowe o szerokim zakresie; więc łany kłosiste, uznajone orki, jakieś wielkie pola makowe, szerokie wyże, zamkowe gniazda, chatyny w gęstwicach drzew, dworki stare, klasztorne podwórza. I to wszystko z energicznym rozmachem impresjonistycznym, z doskonale ustosunkowaniem perspektywami, z techniczną skrupulatnością zebrane, w emocjach swych atoli dziwnie spokojne, epiczne, kojące.

I gdy się jeszcze przechodzi wspomnieniem te rzetelne, umiarkowane w swym impresjonistycznym liberalizmie prace innych twórców, jak Kotery, Maraka, Tomeca,

Ullmana, Prejsiga, Dworaka, Hofbauera i takich dwóch djonyzejczyków, jak Knüpfera i Kupkę boeclinowskiego, przypomina się jeszcze jedna nuta odrębna: to pastorałe Preisslera. W gąszczach wykrotów leśnych, na kwietnych dywanach jakieś niesamowite sielanki, hieratyczne foe-



F. Kupka.

miny-prynCESSy u stóp krzepkich junochów chłopskich. Lekka to, niedopowiedziana, dekoratywna fantazja, łącząca się już z dużym, niesłychanie oryginalnym światem, ewokowanym z niebytu przez skroś gienjalnego fabulistę, dziś

profesora Akademii Hanusza Szwejgera. Za tym prze-miłym, popularnie-romantycznym a tak bogatym w moc szczegółów fantastą, za tym flamandzkim poławiaczem szczurów i bajczarzem pół-gotyckim widać już i kilkun jego naśladowców; z tych Panuszka ma swą odrębną pomysłowość groteskową. Inni, jak Horky, Zeyer, Adamek, całą tę powabną potworkowość, niespodziankowość leśnych głębin, wierzby-samograjki, baby-Jagi, katów bardzo czerwonych, młyny czarodziejskie, dziatki opuszczone, rycerzy krwi chciwych i całą tę strachajłową grozę wesółą fabrykują już nieco rzemieślniczo, bez przekonania, omal handlarsko.

Ten to wymyślny swiatek z fantazji klechd poetycznych idzie gienetycznie z przedziwnie różnorodnego awanturniczo-romantycznego krajobrazu czeskiego, z wypadlin, turni, uroczysk i jarów Karkonoszów, Szumawy, Śnieżki. On daje oto czeskiemu malarstwu także tę nutę, dzieciom przystępną, którą w rosyjskim reprezentują: S. Malutin, Helena Polenow, Marja Jakuńczykowa, a której brak u nas mocno uczuwać się daje.

Portretowy kunszt, niezbyt wybitny, leży w rękach: sobowtóra Lencowego, sumiennego, oficjalnego i twardego realisty Pollaka, i w rękach paryżan: miękkiego, elegancckiego *du monde*, H. Böttingera i R. Bema, który przy olbrzymim napięciu swej woli twórczej może kiedyś dla swej uczuciowości zyskać godność Carrier'a czeskiego.

Był popularnym portrecistą Czermak w stylu naszego Simmlera. Obecnie wszędzie napotyka się chwalone prace Svabińskiego. Tego siła leży w rysunkach piórkiem i guachach delikatnych, a w czasem energicznych akwarelowych studjach fizjonomji znanych twórczych osobistości, w których utrwalaniu główniejszej psychologia i inteligencja artysty święcą tryumf.

Znacznie już wyżej stoi portretowa sztuka w bronzie i w glinie. Tu dwie tęgie indywidualności zapowiadają czeskiej plastyce dobre i sławne dni: pp. Sucharda i Ł. Saloun. Nauczyli się również dużo od Francuzów mięk-

kości, ciepła, przepuszczania szczegółików dla zyskania potencji w ogólnym wrażeniu. Znać w ich pracach pieśczośliwe dotknięcie kochających swój materiał artystów; może nie tendencyjnie, ale zawsze korzystnie pogłębiają psychikę swego modelu. Ich „dzieci w bronzie“ myślą, ich męskie biusta wypracowane są w momencie skupienia się i przymusowej koncentracji modelu.

Ale koncentracja władz dusznych dochodzi dopiero do prawdziwie olbrzymiej siły w takich portretach poetów-baśników Zeyera, Breziny, u jednego z największych dziś słowiańskich potetnatów plastyki: X. Franciszka Bilka. Indywidualność to w istocie na miarę Fidjasza. Samotnik, bytujący sobie na całkowitym uboczu, wszemspółczesny, niedzisiejszy, głową chmur sięgający, surowy, ale miłujący sędzia zdrożności i zbrodzieństw ludzkich, Mesjasza apostoł. Mam głębokie przekonanie, że mimo pewne techniczne ekscentryczności i jaskrawe i przekorne antikonwencjonalizmy wielkiego „myśliciela w drzewie“, imię to maluczko a zajaśniej niepożyty blaskiem, upokarzającym zgiełk i handel czasów. Oparty bezwzględnie na prawdach Ewangelji daje Franciszek Bilek swojego Chrystusa słowiańskiego. Pismo obu Zakonów jest Tetydą temu Anteuszowi. Tańcowi całego narodu koło złotego cielca przeciwstawia messjanista czeski monumenta narodowych kataklistycznych klęsk, wizje bezlitosnych zgnięceń i upokorzeń, postaci wielkich Pańskich cierpiętników i męczenników, usymbolizowane plemienia bole bezpamiętne i cierpienia bezsłowne. Jest ten posępny Kato sztuki mistykiem, aleć zgoła nie katolickim, lecz pierwotnie chrystjańskim. Biję odeń duma i potępiająca wżgarda kadielnic, wonnościami pełnych, katedr o krasnych witrażach, złotych figur i liturgicznej ceremońji i reżyserji. Pojmuje Bilek życie, jako różaniec cnót i nieszczęść; sztukę, jako pokorną a uroczystą służbę Zbawicielowi i jego wielkim przedradom: Dańjelowi, Jeremiemu, Jezajaszowi, Mojżeszowi. W starodawnym kościele Husytów u św. Marcina, w ciemnej i zimnej nawie rozstawione są plastyki

tego hieratycznego poety-psalmisty, który ma taką mniej więcej tragiczną koncepcję swojej ojczyzny-włości, jaką Woroniecz biskup mógł mieć o Polsce. Jeżeli z kim możnaby go porównać po pierwszej czysto formalnej impresji, to może z francuskim mistrzem średniowiecza, z Michałem Colombem. Umonumentalnienie drzewa, powrót do drzewa, jako najmniej zmysłowego materiału, oddanie religijnej rzeźbie patronatu w Sztuce, wielkolinijowa, twarda prostota, z oddali działająca i całkowite poniechanie jakiegoś przypodchlebiania się, ujmowania wdziękiem widza-grzesznika, oto dewizy-mementa ewangelicznej sztuki Bilkowej. Świat rzeźby należy ujmować w cykliczne scenerje i działać grozą, powagą i majestatem idei dramatycznej czy kosmicznej, wcielonej w znikomy kształt, w dzieło, w *signum*. Tak pojął on swego przepotężnego „Mojżesza, piszącego słowo: Adam“, tak działa „Przebudzenie się Kriszny ku wyższemu życiu“, „Ślepcy“, „Kłęski wojen“, „Święta Barbara“, „Święta Anna“, „Judasza“, „Matka“, „Ojciec nasz“, a wreszcie korona jego uznojonego, szlachetnego, istnie proroczego życia, gigantyczny model pomnika „rodu czeskiego po Białej Górze“. *Terribilitá*, ta nazwa, określająca wrażenie, jakie na człowieku czyni ogrom renesansu w Rzymie, to też jedyne określenie tej ascetycznej, odgródzonej, turniej, może i dewocyjnie upornej, ale głęboko szczerzej, duchownej, z ilów całego w nieszczęściach niewoli zahartowanego ludu czeskiego wynurzzonej sztuki Bilkowej. Cześć mu i sława!

Zdążamy do konkluzji ze summy radujących, mocnych i niezgasłych wrażeń odniesionej. Ogarniając cały kształt dzisiejszej sztuki czeskiej wyznajemy, że w iloczynie swym nie działa ona co prawda olśniewająco i zawrotnie, ale jest jak młody, zdrowy, rosnący las na ziemi świeżej, wilgnej, słońcem francuskiej sztuki ogrzewanej. Będą z tego lasu i wysokomasztowce, które kiedyś opłyną wszystkie kontynenty kultury. Społeczeństwo czeskie, które jeszcze do niedawna wojażujące po prowincji obraży niszczyło, krajało, skrobało, to społeczeństwa, które na jubileuszową po-

śmiertną wystawę Manesa wysłało cyfrę 1914 widzów (gdy wystawę Worpsswede zwiedziło Niemców 3178), to społeczeństwo, typowo-słowiańskie, sztuce wrogie, obojętne lub jej przedrzeźniające, powoli zaczyna się z utworami sztuki oswajać, kumać, ba — nawet przyjaźnić. Od 14 lat wychodzi w Czechach pismo, *tylko* Sztuce poświęcone, „Wolne prądy“, które piórami fachowych estetyków czeskich: M. Jiranka, F. X. Saldy, F. Krejciego, Miłosza Martena i t. d., oraz współpracą takich europejskich znawców, jak Meier-Graefe, Fromentin, C. Maclair, Barrès, Mourey, Benoit i innych, tłumaczą rzeszom cierpliwie i ofiarnie, co jest sztuka, a co drukowany „landszafft“, co „Ojcie nasz“ Bilka, a co np. „Ojcie nasz“ tego nieszczęsnego Muchy, który tak poszedł wcześniej na lep poliandrycznej wiedźmy Sary i zmarnował swój może słodki, ale wytworny talent orjentalnego Grasseta, alhambrycznie-arabeskowego stylisty. Od 14 lat opowiadają „Volne Smery“*) i dzielna plejada, koło nich zgrupowana, rzeszom swym o wszystkich przejawach i plonach sztuki europejskiej. Tu, w rocznikach, można było podziwiać talenta tak par excellence ilustratorów i wirtuozów konturu, jak judajsko-patetyczny refleksjonista F. Jenewejn, lub allegoryczno-primitywnie-sielski M. Ales; w jednym żyłastą grozę, w drugim wesołość, w jednym fantazję światoburczą i melodramatyczną, w drugim staromieszczańską zubożność.

Tu można się było na doskonałych reprodukcjach fotocynkograficznych przekonać, jak z jednej strony Bilkowy *mistyczny cień* kładzie się i na St. Suchardy kompozycjach pomnikowych Husa lub Palackiego... I jak z drugiej strony paryzjańska, pogodna, *pogańska kul-*

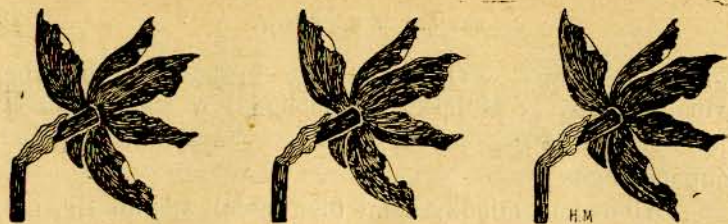
*) Pismo to wychodzi za dotacjami Wydziału Krajowego, Akademji Umiejętności, Izby handlowej, Rady Miejskiej i prowincjonalnych kilku rad miejskich (1). Od r. 1908 z dodanym miesięcznikiem „Styl“, poświęconym architekturze i artystycznemu rzemiosłu.

tura, szczepiona w Czechach jak krzew burgundzkiego wina, sadzony w Melniku... przechodzi w spadku po Manesie i po Musze na kapitalnych afiszystów, Spillara, Żupańskiego.

Albowiem między temi biegunami, zda mi się, oscyluje i oscylować będzie dusza sztuki czekiej... jak zresztą i każdej słowiańskiej. Manes... manent.



Rudolf Bem: „Chrystus“.



ANTONI SZECH.

Z podań Wschodu.

Opuścił Abraham miasto swe — i szedł. Nie wiedział sam, dokąd — i po co.

Szedł, bo za ciasno mu było w ścianach domu swego i nieznosnie wśród znajomych — i duszno, obco w swym mieście.

Niespodzianie, niewiadomo skąd i dlaczego, jak chmura, grzmiąca burzą, co znienacka, zdradziecko czysty lazur pochłania, jak północna wichura, co nagle kędyś z podniebia rzuca się w pustynię i w bałwany żółte, ruchliwe, straszne, zmienia ciche, uśpione wprzód piaski, — tak na duszę jego w dniu tym napadła tęsknota i serce jego w krwawe swe ujęła szpony i okrutną, nienasyconą paszczą swą szarpała całą jego istotę.

Tęsknota — ten potwór, straszniejszy od wszystkich, którego nie nasyciło dotąd nic nigdy i którego nie nigdy nie nasyci.

Dla którego wszechświat cały — i gwiazd złotych miliony, i słońce tumany, komet zawieje — nędznym, marnym drobiazgiem.

Tęsknota — ten duch straszny, co dręczy, jak piekło — To piekło serc.

Tęsknota — przekleństwo życia naszego —

I jego ozdoba, wartość, piękność, chluba —

I Anioł nasz, co po szczytach nieskalanych, śnieżnych, ponad najwyższymi wierchołkami podniebnych

cedrów, ponad niedosiężnymi wierzchołkami granitowych turni i kryształami górskich jezior, wśród wichrów poszumy, huczących tam w górze — w blaski prowadzi nas Boże —

Tęsknota — męka nasza — i szczęście —

Kalwarja — i Tabor żywota...

Szedł Abraham tak — długo, długo, z troską swą i z tęsknotą swą trwożną.

We mgłach sinawych oddalenia znikło za nim miasto rodzinne.

Ostre kamienie bezdroża cięły mu nogi raz po raz —

Pałacy oddech pustyni siekł go po twarzy i włosy targał na głowie, i brodę jego siwą rozwiewał, i szemrał coś, z szatami jego igrając —

Szeptały doń palmy, gdy szybko, tęsknotą swą gnany, przechodził koło nich, jęczały nad nim stada dzikich jastrzębi, co kędyś żeru szukały, mówiły coś skały, gdy wiatr je skrzydłem swym trącał —

On szedł. —

Gnał go wciąż naprzód ból duszy, która pustkę swą czuje, pchała tęsknota za tym, co duszę uspokoić może —

On nie wiedział sam, czego szuka, czego chce.

Głód jeno straszny czuł w duszy i czuł, że zaspokoić go musi, że nie spocznie, do domu nie wróci, aż duszę ukoi.

Umiłowania wielkiego szukał — przedmiotu czi wielkiej —

Czegoś, wobec czego on nicość swą poczuje, prochem się stanie, jako to źdźbło trawy, którą wiatr najmniejszy przegina, jako to ziarnko piasku, co pod stopą jego się korzy.

I jakiegoś przedmiotu, co godzien byłby miłości, piękniejszego, niż młode ciała jego niewolnic, niż żar namiętny ich oczu.

Abraham za Bogiem tęsknił — Boga znaleźć chciał —



Szedł Abraham i nie czuł zmęczenia; choć lat już brzemień dźwigał na sobie—o odpoczynku nawet nie myślał.

Szedł—i nie widział, że dzień już minał, że zachód czerwienił się jakąś niespokojną, jaskrawą czerwienią, że ptactwo latało niespokojne, trwożne i z krzykiem kryło się w szczelinach skalnych.

I nie uważał, że parne powietrze burzę zwiastuje, że ścichła, jakby trwogą przejęta, natura, że jakby przypadła do ziemi w bojaźni wielkiej przed czymś groźnym, strasliwym, co nadciąga —

I oddech swój wstrzymuje, i szmer każdy tłumi i mieni się blada, spokojna niby, cicha—a czuć, że drżąca, strwożona.

Aż nagle wichur rzucił się na ziemię, jak zwierzę rozjuszony, ryczący, straszny, z łopotem olbrzymich, jak świat, czarnych, tumannych swych skrzydeł—z impetem łap swoich potężnych, co gięły wpół palmy stuletnie i łono ziemi szarpały i darły, że tumanem piasku rzucała ona ku chmurom, jakby litości żebrząc.

I chmur kłęby zwały się skądciś na lazur, czerwienią zalany—czarne, jak smutek serca, kiedy zwątpienie w nie zstąpi — niespokojne, jak grzeszne sumienie — zmienne, jak postacie cierpienia — a groźne, straszne, jak rozpacz w śmierci godzinie.

Zamigotały słupy błyskawic i padły pioruny z łoskotem walących się kędyś z podniebnych wyżyn skalnych, granitowych złomów.

Nagła ciemność i ognie błyskawic, i gromowe grzmoty ocuciły wreszcie uwagę Abrahama — i lęk zdjął go, bo był on, jak człowiek nagle wizją straszną ze snu zbudzony. Wprzód, opętany tęsknotą swoją i smutkiem, zapomniał był o wszystkim.

Obejrzał się wokoło siebie, schronienia szukając, i wśród blasku błyskawic, co deszczem wstęg jakichś dziwnych spływały ku ziemi — ujrzał w głębi ścian granitowych, co się wznosiły ponure i groźne, jakby jakieś

mury tajemniczego miasta wieczności, otwór obszernej jaskini.

Tam wszedł i upadł na ziemię, znużony, strwożony.

A ta burza, co huczała wokoło—te pioruny, co kędyś z zaświatów rozgłosnie toczyły się ku ziemi, aż spadły — te wichry, co, jak tabun czarnych, spienionych koni pędziły hen, przed siebie w świat niewstrzymanym pędem, tumanem piasków okrywając pustynię—wszystko to było jakby odpowiedzią na burzę, co huczała w duszy jego, jakby dalszym ciągiem jego wewnętrznych stanów.

Wprzód huczało wszystko — rwało się — jęczało w duszy jego i w sercu, teraz wokoło niego—i zdało mu się, że ta burza—to z serca, z duszy jego wyszła i jęczy, huczy, miota się po świecie.

I oto huk piorunów oddalać się począł—coraz słabiej grzmiała ich muzyka—i deszcz błyskawic ustał—i drżały tylko ich światła kędyś z za gór, jak dogorywające smutne światła olbrzymiej lampy — słabiej, coraz słabiej, i ciemność spowiła wszystko, czarna, jak trumna—smutna i straszna, jak grób samobójcy.

Niebo i ziemia, ściany i złomy skał, co się wznosiły wokoło — rzekę, co zygzaki błyskawic odbijała wprzód—wszystko spowiła ciemność — jednostajna, nieprzenikniona, beznadziejna —

I trwoga zdjęła Abrahama—i lęk.

Oto — on rzucił tam wszystko, co tyłu za szczęście by miało, by dla duszy swej ukojenie znaleźć gdzieś, kędyś daleko, wśród pustyń, wśród lasów, wśród nieznanych i strasznych okolic.

On z utęsknieniem takim światła dla duszy swojej, ochłody dla serca swego szuka — On Boga znaleźć chce, choćby kosztem ofiar wszystkich, choćby na krańce świata iść było potrzeba.

A oto ciemność znalazł, straszną, beznadziejną ciemność —

Mrok okrutny — bez promyka otuchy. —

On nie wiedział, że ciemność—światłości zwiastunem—

Że za nocą—dzień idzie złoty.

Że mrok bezgwiezdny, w którym dusza tonie—objawienia Bożego poprzednikiem.

Że Słońce-Apollo z Latony-nocy się rodzi.

I oto nagle rozsnuły się ciemne, czarne chmur opony.

Pękła na dwoje zasłona niebios, jak owa później w świątyni, gdy Chrystus umierał na krzyżu.

I skrawek jasny, niepokalany, świeży odchylił się nieba.

A na tle czystych lazurów, jakby w kryształowej toni bezdennego górskiego jeziora — gwiazda promienna zabłysła.—

I pośród mroków, co jeszcze otaczały wszystko, co olbrzymią część nieba kryły jeszcze w sobie, i góry, i ziemię, i wszystko chłoneły—dziwnie świeciła ona—brylantowym, jasnym, nieskalanym blaskiem.

I nie nie widać było na ziemi i na niebie—ją tylko wielką, czystą, boską.

I odbłask jej drżący i złoty, co się ślizgał niepewny po falach rzeki, płynącej opodal — i tajemniczo lśnił się w kroplach deszczowych, co z drzew palmowych zwisały, jakby łzy jakieś wielkie — i w rosie, co kwiatki i mchu pokrywała żdziebelka, perły w nie sypiąc i brylanty.

I noc rozpaczna, trumienna, co wprzód w otchłań jakąś beznadziejną zmieniała świat — pod jej błogosławionym światłem w chwili jednej, w noc jakąś smutną, łzawą — ale taką, co nadzieję wsacza do duszy i serce koi zbolale — przeistoczyła się nagle.

Tak samo świecić musiała ta gwiazda nocy owej, gdy Peri — nieszczęsna raju wygnanka — po raz pierwszy smutek swój niebiosom zwierzała —

I kiedy Kain po spełnionej zbrodni ręce swe łamał skalane, a żona jego i siostra, słodka Awam, pocieszała go miłosnym objęciem i głowę jego w białe biorąc dłonie, łagodnie obracała ku niebu.

I tak zapewne świeci zawsze — gdy rozpacz duszą miota, grzeszną może, lecz nie znikczemniałą.

Gdy walka wre w wielkich duszach —

Gdy wielkie serca drą się w kawały.

I podniósł Abraham oczy swe, za światłem stęsknione, ku czarownej gwieździe onej, w której spokój był taki wśród ogólnej świata rozpacz—i czystość i jasność wśród nocy straszliwej—i litość wielka dla świata — i dobroć — i taka otucha—i piękność tajemnicza, a dziwna...

I dusza jego, stęskniona za tym przedmiotem wielkim jakimś i godnym czci i ukochania—

Zabrzmiała radością.

Oto, co kochać może i czcić — przed czym upaść i czołem bić o proch ziemi.

I czemu oddać serce swe, które dotąd niczym zapelnione być nie mogło.

„Ta gwiazda przedmiotem ukochań twoich i czci twej niech będzie —

Bogiem duszy twej — i serca twojego.“

I ze łzami radości bił Abraham czołem o twarde granity jaskini i łzy swe mieszał ze łzami deszczu, co padał przed chwilą, a które się na listkach kwiatów i w głębi barwnych, wonnych kielichów perliły.

A gwiazda owa we łzach przeglądała się jego i jasne swe lała w nie światło, jakby im błogosławiąc —

A do serca radość i szczęście.

I przebył tak z czołem, o ziemię wspartym, Abraham czas długi, bo oto znalazł, czego szukał, za czym tęsknił —

I dobrze mu było i błogo, i słodko w prochu i poniżeniu przed tym, co dusza jego za rzecz godną czci i miłości uznała.



A kiedy podniósł Abraham oczy swe ku gwieździe owej w wyłomie chmur czarnych na ciemnym tle lazurów przeczystych —

Poznać jej nie mógł już.

Chmury, co ją otaczały, kirem swym dodając jej blasku, znikły gdzieś, odeszły, spłynęły kędyś z wihrem, co sunął nad światem, w koronach drzew szeleszcząc i tłukąc się o ściany skalne, i w szczelinach granitów skarżąc się cicho. —

Niebo było jasne — bez cienia i skazy —

Lśniło, jak szata srebrnolita, miljonami skier gwiazdnych —

I gwiazda owa Abrahama, ta królowa wprzód — jedyna —

Stała się jedną z wielu — jedną z miliona. —

A gdy szukał jej Abraham tęsknemi oczyma, a zwątpienie, jak ciemny ptak nocny, znów żarłocznie spadło mu na duszę — oto błednąć zaczęły niebiosy.

Ciemny wprzód lazur prześwieślać się jął coraz przejaśniać i błednąć —

Jakby w trwodze przed czymś —

I srebrzyć się, jakby czyjeś srebrne chłonał w siebie blaski — wciąż — wciąż więcej.

I gwiazdy bladły na nim — gasły — gasły

Wsączały się w przestworze, jakby uciekały kędyś daleko, gdzieś w nieskończoność — w strachu jakimś — w popłochu —

I nagle zza gór szczytów wytoczył się księżyc — wielki — srebrny — blady.

Zatrzymał się jakby na chwilę, obejrzał wokoło i cicho popłynął po srebrzystym teraz niebios sklepieniu —

I oto — odrazu świat się cały w jakąś bajkę czarowną przemienił — w sen srebrny — w anielskie jakieś marzenie —

Rzeka — w kryształów zmieniła się tonie — czyste, jasne, nieskalane — i palm gaje w zwierciadle swoim odbiła, i szczyty skał, srebrnych od cichej poświaty księżyca —

Lasy palmowe, senne i ciche, płaczące kroplami deszczu, co z długich liści od czasu do czasu spadały, stały, otulone w blaski srebrne posrebrzonej od księżyca mgły białej, jakby żywa baśń jakaś —

I w srebro czyste zmieniło się wszystko, na co srebrny promień księżyca padał —

Gór szczyty — i skalne złomy — i mchy wilgotne — i piaski pustyni —

Jasne stało się wszystko — czyste, białe, srebrne —

Jakby aniołów rzesze nieskalanych zstąpiły ku ziemi z blaskami razem księżyca — nieskończonemi, długimi, szeregi —

Czy nadziemskich jakichś dziewic roje — białych, i jasnych — z liljami srebrnymi w dłoniach — z białymi kwiatami u skroni —

Jakby powódź myśli czystych, świętych spłynęła na grzeszną wprzód, ciemną, smutną ziemię — i w raj zmieniła ją dziwny.

Patrzył Abraham na bladą, srebrną, jasną twarz księżyca, co się wznosiła wyżej coraz i coraz wspanialej i wyniosłej, gasząc gwiazdy wszystkie przed sobą, potoki coraz hojniejsze blasków zlewając wokoło.

Patrzył na majestat ten cichy, łagodny, a potężny taki i tajemniczy.

I na cuda, jakie rozbudzał wśród świata —

I dziwiła go cisza srebrna, nieruchoma, z jaką świat cały przyjmował niebieskiego gościa —

To czei pełne i świętego lęku uszanowanie, z jakim wszystko korzyło się pod błogosławiącą ręką księżyca —

I ta potęga jego i moc.

I snąc srebrne promienie, co świat objęły wszystek — i do duszy jego się dostały —

Bo oto jasno stało się w niej i błogo.

„Omyliłem się, za Boga biorąc gwiazdę, co znikła tak prędko, co rozplynęła się w blaskach księżyca, ze czcią głęboką ustępując mu miejsca.

Nie gwiazda Bogiem, lecz księżyc, co gwiazdy gasi wszystkie.

Co świat cały przeistacza w czarowne marzenie — zaledwo wejdzie —

Któremu świat cały cześć oddawa, w ciszy i milcze-

niu korząc się przed nim, jakby w cichej, zadumanej modlitwie —

Nie gwiazda, lecz księżyc jest Bogiem.“—

I upadł znowu w radości ducha Abraham na twarz swą, iż znalazł Boga, którego szukał, za którym tęsknił tak dawno.—

I czołem bił przed nim — i siwą głowę kładł z radością korną w prochu pustyni —

I lzy swe czyste wylewał.

Lzy radości — błogosławieństwa — szczęścia —



I długo, długo w kornej postawie przed srebrną tarczą księżyca, z czołem w prochu i z sercem, wezbranym radością — przebył tak Abraham.

A kiedy podniósł oczy, by spojrzeć raz jeszcze na umiłowane oblicze Boga — wszystko już było inne dokoła.

Zniknął ów sen piękny, to czarowne, anielskie marzenie, które świat snił cały pod działaniem srebrnych promieni.

Pierzchno rozmarzenie natury, jak pierzcha zaduma z dziewiczego czoła, gdy tego ujrzy, o którym myślała —

Ocknęły się drzewa, wody, trawy, zioła, co nieruchome, skamieniałe w blaskach księżyca były, jakby zamagnetyzowane tym blaskiem.

Ozwały się, obudziły ptaki i z pod wirchów skalnych, z pośród szczelin między złomami granitów — wyfrunęły licznie z krzykiem i śpiewem.

Zmieniło się wszystko.

A księżyc, ów władca nocy, ów pan wszechmocny, który przed chwilą cuda takie czynił — przed którego mocą i wdziękiem korzyło się wszystko, pod którego słodkim spojrzeniem z taką słodczą marzył ów świat cały — i cudnie tak — i błogo —

Księżyc, który czcił Abraham, jako Boga — ten szu-

kany, upragniony przedmiot tęsknot, takich olbrzymich i duszę szarpiących.

Księżyc blady, jakby strwożony, przerażony i smutny strasznie, że umiera — konał —

I patrzył bledszy coraz przed siebie —

Kędy zorza wstawiała zza lasów, co szumem ją swoim witały, w purpurę strojna królewską — czerwone blaski słała przed sobą na niebo czyste, ścierając zeń zbladłą pozłotę księżyca — i rumieniła wody rzeki, co zbudzona szept swój rzucała modlitewny ku niej — i skały ponure granitów — i piaski smutne pustyni.

Patrzył Abraham, jak konał w smutku i trwodze srebrny Bóg jego — jak bladł, zanikał wobec uśmiechniętej, radosnej jutrenki —

I nic nie ujmowało się w naturze za krzywdą, którą czyniła księżycowi.

On konał smutny, a oto wszystko radowało się wokoło — szezebiotały wesoło ptaki, szemrały radością liście palm wysokich i wody hymn wesela szeptały.

Jutrenka wschodziła, rosła, potężniała — jako władczyni wszechpotężna, ukochana przez wszystkich, oczekiwana, upragniona —

Ona wznagała się, jaśniejsza coraz — coraz bardziej złota i wesoła —

Jakby czuła potęgę swą i moc — i pewna była, że ona królową ukochaną, nie mającą równej —

I natura, otrząsnąwszy się ze snów i marzeń nocy, witała królową Jutrenkę z radością — przypadała jakoby do stóp jej, jak dziecię, co matkę swą wita — garnęła się ku niej, jak niemowlę, co się do piersi wyrzywa, pokarmem wezbranej; jak kochanek, do którego, wśród marzeń cudnych o niej, zniździe kochanka-dziewica.

A pośród brzasków czerwonych jutrenki — i pieśni natury — i poszumu drzew i wód — i wiatru radosnych szmerów — zza lasów dalekich, co pasmem zielonym mroczyły krańce pustyni — zbłysło słońce —

Źródło światła — ciepła — wesela —

Początek życia — niabe i ziemi ozdoba.

Błysnęło słońce, a potem ku górze wzniosło się dumnie.

Księżycą nie było już — i jego władztwa nie zostało śladu —

A natomiast promienie słońca złotem swym i ciepłem zalały wszystko —

Czystym, jasnym złotem.

I szło tak słońce promienne, wszechwładne, dumne, cudne, jasne — coraz wyżej — coraz wyżej —

Patrzył Abraham, i serce w nim drżało. Nie żałował już księżyca, co zginął, a przed którym, na twarz upadszy, noc całą przeleżał — nie żałował czarów — ni snów srebrnych — ni dziwnej jego zadumy.

Czyż porównać on się może ze słońcem? co ledwie błysnęło zdaleka, już księżyc w trwodze, blady, smutny — kona —

Nie — słońce Bogiem jest, to wszechpotężne — to blasków pełne — to wielkie, wzniosłe nad wszystko —

Skąd radość wszelka spływa na świat cały —

Tak myślał Abraham i jak wprzód przed srebrnym obliczem księżyca — tak padł on teraz na twarz przed słońcem —

Owszem, z większą czcią jeszcze i z głębszym ducha pokłonem.

Omylił się wprzód, ale teraz już się nie myli, bo cóż nad słońce może być większego?

Słońce — słońce Bogiem —

Słońce czcić będzie — słońce kochać i przed nim drzeć chce, jak trawa, gdy wiatr poranny ją trąci — i korzyć się w prochu i nicości, jak świat cały, kiedy wschód jego poczuje. —

I czoło swe starcze bił Abraham o twarde granity i włos swój siwy brudził w prochu, co próg skalny groty jego pokrywał — i w zachwycie się zatopił szczęścia —

Że znalazł wreszcie i napewno i nieodbicie Boga swego — pragnienie duszy — i wesele serca. —



I znowu leżał tak długo, Abraham w prochu i poniżeniu głębokim.

A kiedy głowę podniósł, by Boga swego ujrzeć jeszcze, by w cudną twarz jego się wpatrzeć —

Słońca — nie było już na niebie.

Tylko tam kędyś, za ścianą twardych granitów, co piętrzyły się groźnie ku górze — czerwona paliła się luna, jakby stosu wielkiego, na którym Boga spalono. —

Wielka, czerwona, smutna, krwawa luna.

I smutek czuć było wszędzie — i w trwożnym krzyku jastrzębi — i w smutnym liści szeleście — i w wody, krwią czerwonej, poszumie — i wiatru modlitwach żalobnych. —

Umarło, skonało słońce; te resztki świetlane tam, na zachodzie — to smutne tylko tej śmierci żalobnej świadectwo. —

Więc lży polały się gorzkie z oczu strwożonych Abrahama. —

To wszystko, wszystko złudzeniem było — i ta gwiazda — i księżyc — i słońce. —

On Boga szukał — i zdało mu się, że znalazł — i cieszył się tak bardzo, a oto wszystko rozwiało się i znikło.

I cóż on pocznie teraz, gdzie pójdzie, gdzie szukać będzie?

Czyż wiecznie, wiecznie z boleścią swą i smutkiem zostanie?

I padł znowu Abraham na zimne głązy i czołem swym bił o ziemię i jęczał, aż skały granitowe, współczuciem tknięte, coś odpowiadać mu zaczęły, jakby pocieszać go chciały — i orły ze skał zleciały się wieńcem — zdziwione, czy współczujące.

Aż Anioł Pański jasny, cichy, biały stanął przy nim

i łagodnie, słodko ręką swą podniósł go — i do czoła jego się dotknął.

A pod tym błogosławionym dotknięciem Anioła — pokój wstąpił w serce Abrahama — i cisza głęboka nappełniła duszę jego — i światło wielkie, niż sto słońce większe, wstąpiło w niego —

I w zachwyceniu i radości zrozumiał Abraham —

Że nie gwiazdę — nie księżyc — nie słońce czcić trzeba —

Ale Tego, co gwiazdy zapalił — co księżycowi blask dał — co słońcu świecić kazał.

Poznał Abraham, że nie stworzenie jest czymś — ale Stwórca —

Pan gwiazd — i słońce — i wszechrzeczy —

I jasno mu było odtąd w duszy —

I wielbił Pana.



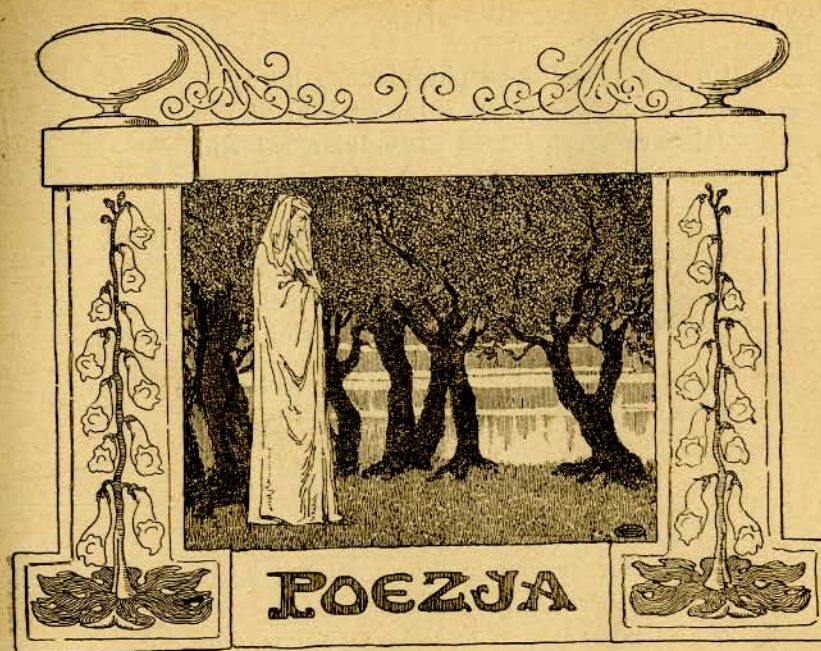
Ileż to razy, parci tęsknotą wiekuistą ducha, co szuka przedmiotu, godnego czci wielkiej i ogromnego ukochania — przed złudą zginamy kolana — omamieniu hołd nasz dajemy i miłość, by z boleścią w duszy potym poznać swój błąd — i gorycz zawodu. —

I ileż to razy, goryczą tą struci, zawodem złamani — zgasać dajemy gwieździe, co nad czołem naszym świeciła, lub w błoto i proch ją strącamy. —

Błogosławiony Abraham — on znalazł wreszcie to, czego szukał —

Ukojenie tęsknot swych i pragnień. —

Kwiecień, 1908.



MARJA GROSSEK.

Do Duchów.

(Ustęp z poematu „Oblęd niebieski”).

Chrzęszczą bezlistnych konarów kołczugi
Pod oknem pustych celi monastera.

— Wapienna światłość przez szkła się przeciera,
Wiatr fletuje po kominach fugi.

Jest to noc duchów — dziś mamy Lararja!
Oto Gehenna, wyciągnawszy szyję,
Gardłem tych topól suchotniczych wyje —
Otwieram okno, mówiąc Zdrowaś Marja.

Ten wiatr żałosny!... ten susz, którym szurga,
Te trupy kwiatów na mogile rabat,
Te w chmur postaci pędzące na sabat
Wiedzmy, szatany, plemię Demiurga,

Co gna przed sobą potępieńcze hordy,
Jakiemiż przestrzeń zalewają skargi!
Jak wrzeszczą jakieś nadludzkie zatargi!
Łka Rozpacz... rżęzą i chychoczą Mordy.

Noc duchów sądna! — noc straszna — Zaduszek!
Wszystkie, co z trupich wyszły już spopieleń,
Wyroku nowych dziś czekają wcieleń,
Dokąd — w przebraniu chmur, wichrów i suszek —

Te krzyczą gwałtu, te w proch padły twarzą,
Te wiatery trzęsie przerażenia febrą,
Te cicho ronią łez kropliste srebro,
— A tam na niebie ich czyny się ważą!

Wielki Duch Świata kształci ich naturę,
Wiodąc przez wcieleń przeróżnych katusze
Drabiną stworzeń wstępujące dusze
Z niebytu coraz o wschód wyżej w górę.

Za życie, którym rządził instynkt gruby,
Spycha je znowu w dół metempsychozy —
Krusząc materji zbyt twarde powrozy,
Wątląc je w ogniu powtarzanej próby —

Aż to, co było: krzem, porost, ameba,
Wszech-żyć wszech-smutne przeszedłszy historje,
Wzbija się w typu człowieczego glorię
I z Gienijuszu odchodzi do nieba.

* * *

Drzwi na żelaznej otwieram zasuwie...
— Wy, które przez to płyniecie nadmieście,
Bywajcie Duchy! Do mnie! Jak jesteście...
Poświadczyć, jako to, co teraz mówię,

NAPRAWDĘ PRAWDA — nie jedna z tych balad,
Któremi Nianka Fantazja, przywykszy
Ból nasz kołysać — gdy nam się baśń sprzykrzy,
Drugą wymyśla do nowego sta lat.

Umęczył mię ten szalony korowód
Wszelakich może — O, jeśli ciał śmiercie
Nie znicestwiają dusz razem... Potwierdźcie!
I przyjdźcie do mnie tej nocy NA DOWÓD.

Mówcie, Umarli! — czemuż tak milczycie?
Czemu nikt jeszcze z tamtej strony grobu
Nie dał o sobie znać do tego globu?...
— Także nas otchłań dzieli nieprzebycie?!...

Takaż niemożność wszelkich porozumień?...
Wzgarda dla ziemi? — czy zawieść do ziemian?
Czy śmierć tak strasznych dokonywa przemian,
Że się różnimy aż do niezrozumień?...

Nie motyl nie wie, wzięwszy kwiatu barwy,
Wolny od grubej konieczności żeru,
Kochanek róży — mieszkaniec eteru,
Że się wylenił z takiej samej larwy?...

Milczycie... z posad świat się niechaj zrusza,
Życ waszych dzieła młot rozbija losu,
Szłocha Sierocość najdroższego głosu...
Milczycie... Cóż was milczeć tak przymusza?

Światło mądrości, dobroci balsamy,
Miód pocałunków, ni piorun rozkazu
Nie wyjdzie więcej... nie, nigdy — z odrazu
Zamurowanej na zawsze ust bramy...

Tak obojętną wam ludzkość żyjąca,
Kość z kości waszej — o zbiegłe Piastuny!
Czemuż, w trumienne okryty całuny,
Nie przyjdzie który z was w południe słońca

Na środek rynku pomiędzy kupiectwo,
Któremu gęby zdumienie rozpląta,
Rzec: *oto jestem gość z tamtego świata,*
Przychodzę złożyć o prawdzie świadectwo — ?

Wy, coście za to marli, kaznodzieje!
O Duszo która... litośna czy chrobra,

Przyjdź! przyjdź!... powinnaś! powinnaś dla dobra!
Losów byś świata zwróciła koleje...

Przyjdź, Duszo która! przyjdź do mnie! mów do mnie!

* * *

Jak świsał wicher!—chmur zawarczały kotły —
Chwila ciszy... i drzewa piach zamiotły
Czubem... topole — strach! legły poziomie!

Gałęzie w trzask... grad się posypał bierwion,
Skrzydłami drzwi dom bije, jak ptak nocy —
Ida na siebie niebem dwaj Obłocy:
Modry ze srebrem... czarny, krwią unerwion—

Księżyc łysk! łysk! (w pochodzie tak latarnia)—
Okien i drzwi skrzydła się zwarły z hukiem,
Ciemno... z niedźwiedzim sunie Coś pomrukiem,
A za nim szturm przypuszcza, wyjąc, psiarnia—

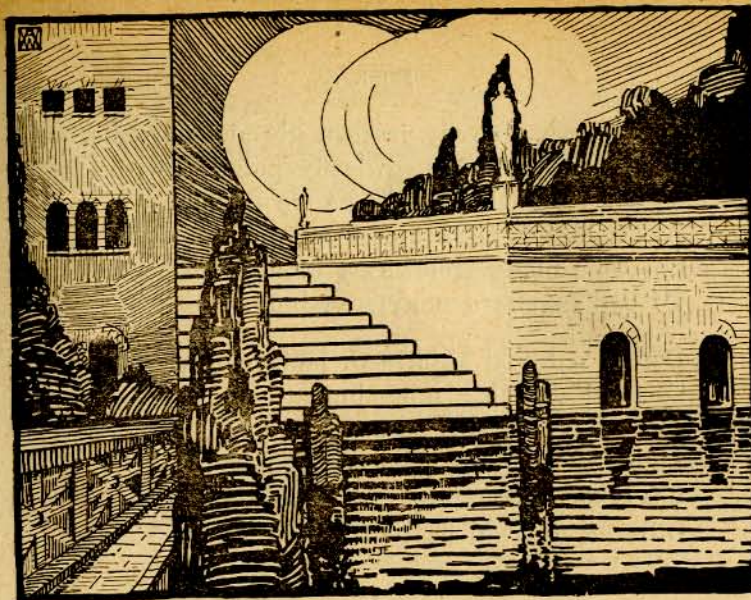
To straszny łów... to sfory grają czarta...
Uciekać!... prędejl!... gdzież?... nie widzę wchodu,
Nie puszcza ktoś... pcha nazad... w głąb ogrodu...
Wrywam się... wlatuję w pół umarta...

Przez próg wczepiły się palce ze stali
We włos... fosforem błysło z palców pięci...
Zatrząskam drzwi... i padam... w niepamięci,
Tocząc się w głąb... jak kamień na dno fali.

Nagle przyklękam—wsparszy się na rękę —
Tkwiłam już w pustym nicości momencie,
Gdy na przetkliwym nerwów instrumencie
Drgło: *Ktoś tu jest...*

* * *

W głębokim okna wnętrzu
Stoi..., księżycem odziany srebrzyście
W płaszc, który cieniów zbrzdziły linijki,
Głowa po czoło w okryciu zawijki,
A na niej wieńcem laurowe liście.



MARJAN ZBROWSKI.

Na schodach.

Do mego domu nad morzem, w ogrodach,
Kamienne wiodą schody. Bluszcz i wino
Oplotły poręcz. Klon rośnie przy schodach,
A róże kwitną nad czarną ścieżyną
I proszą białe i pasowe kwiecie
Pod stopy, które—cierń znają na świecie.

Nieraz, gdy przyjdzie noc błogosławiona,
I świerszcze w sennych lipach się rozdzwonią,
Lubię na schodach siadać — ja i żona...
Tak cicho! Róże tchną wilgotną wonią,
Jakby noc wonność sączyła z kielicha!
A ciemne morze wzdycha, woła, wzdycha...

Czasem, gdy księżyc o wieczornym chłodzie
Z morza wypłynie, jak Afrodis sama,
I lśniący wlecze włos po czarnej wodzie,
Naprzeciw schodów z olech się czyni brama
I widać srebrną topiel u wylotu.
Cud! — Czekać tylko rusałek chichotu...

A świerszcze wtedy jeszcze głośniej dzwonią,
Róże tchną wonniej, gwiazdy pełniej kwitną
I—zda się—schody kołyszą się z tonią,
A rusańczaną pieśń złoto-błękitną
Śpiewają olchy-królowny i klony...
To bajka żywym uchyla zasłony.

Dawny a blizki świat!—O, jakiż cudny!
Czołami siwych nianiek bursztynowy;
Jak dziecko żywy, śpiewny, nieobłudny,
Jako bór straszny, jako bór echowy,
I tryskający zewsząd życia kwiatem:
Lilją na wodach, na polach bławatem.

Wszystko tak iści się, co serce marzy,
A prawda, jako miesiąc w chmurę, świeci.
Czego nie może jawa, tam się zdarzy,
Gdy dusza wszystkie ognie swe roznieci
I stworzy swoją konieczność serdeczną,
Łaskawą, straszną jak piorun i wieczną.

Siedmią pieczęci jest ten świat zamknięty
Przed duszą, która w małych rzeczach szpera.
Z wielkiej tęsknoty, jako Bóg, poczęty,
A dzieciom swoje stolice otwiera
I rumieńcami ich rycerzy wieńczy,
Jak laurem. Cudny świat—bosko-młodzieńczy.

Patrzę i słucham. Powstaje przedemną
Dzieciństwo i jak jaskółka szczebiota.
I widzę matki twarz, stroskaną, ciemną...
Aż naraz serce we mnie załopota...
Czuję jej dłonie i usta na głowie.
„Co tobie, synku?“—słyszę—Któż tak powie?...

I widzę, jak mi w twarz zagląda pilnie
I odgaduje, czego nie rozumie.
O, czuje serce jej—czuje niemylnie,
Coby zataił—Któż, jak ona, umie

Krażyć nademną wciąż, jak gołębicą;
Jak dobrowolna za mnie pokutnica?

Wiem, żeś tu za mną, o moja rodzona,
Przywędrowała niewidzialnym cieniem.
Nieznane tobie ni dom ten, ni strona,
Ni wielka woda, cichym srebrna lśnieniem.
Przywędrowałaś, jako ptak skrzydlaty,
Głowę mi ścisnąć przed snem, jak przed laty.

Twe serce!—Dziś ja, gdy znam świata czyny,
Wiem, jaki gorzki los to serce miało;
Jakie je krzywdy piekły, a bez winy...
Dzisiaj dopiero wiem, jak mnie kochało;
Ile łez słonych połknęło nierzadko,
Kryjąc przed dziećmi płacz. O, moja matko!

Uściśnij, ale dziś się zmieniają role.
Ja ciebie wezmę, jak dziecko, na rękę.
Usta serdecznie położę na czole.
Może zapomnisz o swej długiej męce.
Błogość nad nami jest jak droga mleczna.
Dziś będziesz dzieckiem mym, moja serdeczna.

A o mnie bądź spokojna. Dobre duchy
Są już koło mnie i serca mi strzegą.
Ani się boję losu zawieruchy,
Ani się kłaniam łaskawości jego.
Jeżeli jeszcze żyć potrafię pięknie,
To o cóż, matko, serce ci się złęknie?

Nieraz mnie życie swym piaskiem zawiewa,
Że jestem długie dni jak zaczadzony.
Czczość duszna skręca wtedy moje trzewa;
Szatan błazeńskie bije mi pokłony
I policzkuje mnie i dech mogilny
Nawiewa na mnie, lżąc, a jam bezsilny.

A to jest groźne dla mnie upomnienie,
Abym otrząsnął pył i szedł od świata
Sfinks.

Bo przyjdą wielkie wody i płomienie,
I wicher, co jak smok wyjący lata,
I zniszczą wszystko, czym się człowiek puszy,
A nie ostoi się nic, oprócz duszy.

Kto się więc duszą, jak złotym księżycem,
Przed potęgami przemian nie wykaże,
Zginie, lub będzie ze startym obliczem,
Jak grosze, z których zdarto królów twarze.
Znaki te czytam na ziemi i niebie,
W sobie się zbieram i precz idę—w siebie.

Bywa to nawet, gdy pod dziką gruszą
Na ścierniu siadę z legawcem w południe.
Kwiatki mi polne naraz serce ruszą.
W polu jest cicho, złocisto, bezludnie
I tylko dziecko, co z krowami chodzi,
Piosnki, jak szary skowronek, wywodzi.

Nie uczył śpiewać nikt szarej dzieciny.
Duszyeczka sama się w śpiewaniu kwieci.
Tak żdźbło gwoździka, albo konieczyny
Gra amarantem, gdy słońce zaświeci.
Wszystko ma duszę i kwiat swój i pieśnię,
Które wyśpiewać musi, jakby we śnie.

I ja zapadam w sen. Coś się wkoło mnie
Dzieje. Żdźbło każde ma oczy i lico.
Świat mówi—mówi bez słów, lecz ogromnie.
Pod widzeń jego stoję nawałnicą,
Które mi czujną oblatują duszę,
Niby gołębie dzikie polną gruszę.

I dusza wszystkie swoje części spręży
I błyska, jako miecz w proporców szumie.
Wszystko się ku niej tajemnie wyteży,
A ona wszystko czuje i rozumie.
Wtedy to sercem świat ogładam żywy —
Cóż więcej można mieć?... Jestem szczęśliwy.

A na to szczęście bym się nie zamienił
Z nikim—i za nic nie dałbym tej chwili.
Cóż, że los troską drogą mi zacienił;
Że ciemne jutro, jako jastrząb, kwili,
Gdy z młodzieńczego mego pióropusza
Zostało pełne pióro—moja dusza?

Toż się uraduj ze mną, miła moja,
Więcej, niż gdybym miał wielkie dostatki.
Tu jest coś więcej. Wieczna na mnie zbroja,
Nie widna nawet pilnym oczom matki.
Ta mnie od ciosu śmiertelnego chroni
I jak dzwon, kiedy w nią uderzą, dzwoni.

Nie myśl też o tym, że w Boga nie wierzę;
A gdy pomyślisz, miej w sercu pogodę
I mów, jak dawniej, za mnie twe pacierze,
Lecące, jako złoty liść na wodę,
Która niebiosom niebem odpowiada,
Że liść, szeleszcząc, jakby w niebo pada.

Pacierze matek są, jak mięta sucha,
Na węglach serca w wonny dym idąca.
Biją z nich mocne aromaty ducha,
Co nie za siebie Boga w serce trąca.
Choć inny pacierz mój—uczcić je umiem.
Dziś, gdy przemierzył świat, matkę rozumiem.

Ja też modlitwy odmawiam w skrytości,
A ołtarz stawiam, kiedy duch zawoła.
Czasem na piasku na rycerskiej kości,
Czasem na szlaku wysokim sokoła;
A nieraz modłę się, jakbym na szpadzie
Kładł rękę;—czasem w pszczelnym chłopskim sadzie.

A nieraz cały świat mi jest ołtarzem,
A patriarchą czas w słońca kołpaku,
Bogowie wszyscy wieją trybularzem,
Organy morza grzmia. Duch czeka znaku.

Rusalki w wieńcach z lipowego kwiatu
Głoszą hosanna słonecznemu światu.

A czasem, jak dziś,—o Boże, jak błogo,
Jak cicho w sercu moim... Klon szeleści,
Anieli idą gwiazd niebieskich drogą
I złociste nam malują powieści
O dobrych ludziach, którzy sercem ładzą
Żywot i w ciszy o swych duszach radzą.

Od tych anielskich skrzydeł blask się kładzie
Na kamień schodów i na nasze lica.
Jesteśmy, jakby na niebieskiej radzie,
Gdzie duch się ducha widzeniem zachwycą.
Róże w miesiącu białą chłodną czołą
I pachną. Morze woła, wzdycha, woła.

I myślę, że tu na tych obcych schodach,
Gdzieśmy usiedli, jak dzikie gołębie,
I odlecimy precz; że na tych wodach,
Co nam szumiały pieśni dziewczęstwie,
Jest nasz rodzinny dom, gdzie wszystko znane
I—jakby nas kochało—ukochane.

Niechby tu przyszli moi przyjaciele.
Kto w duszę ranny, znajdzie mu balsamy.
Wierność niezłomną i serca mam wiele
Dla tych, co ze mną szli przez trudne bramy;
A tym, co w ciężkiej odeszli mnie chwili,
Odpuszczam, pomnąc, jacy niegdyś byli.

I przywołuję pamięć wszystkich ludzi,
Do których choć raz zagadało serce.
O, strasznym trudem każdy z nich się trudzi.
Niejedna dusza mdleje w poniewierce,
Wpleciona w losu nielitośne koło.
Gdybyż jej wrócić dawny blask na czoło?

Lecz są, co z walki wynoszą sztandary,
Choć strach o życie szeregi im pruje.

Niżli na hańbę iść—lepiej na mary.
Tych, jak żołnierzy żołnierz salutuję,
I, choćby mnie nie znali, pozdrowienie
Ślę im serdeczne poprzez nocne cienie.

O, niechże noc ta ludziom błogosławi,
Niech da im serca pogodne i mocne.
Kto czuwa, niech się pogoda jej zbawi,
Kto śpi, niech róże śnią mu się północne,
Białe, lejące wonność na ścieżyny.
Niech wszyscy wrogom swym odpuszczą winy
Oprócz jednego...

Niechaj w istocie każdej, która żyje,
W każdym listeczku, w robaku, w kamieniu
Dusza się sperli, jak rosa. O, bije
Serce w naturze i w miesięcznym lśnieniu,
Śpiewa o sobie niesłuchane pieśni.
Kto je usłyszy, ból, jak marę, prześni.

Mój dom, bo zwię go już, jak domownicy,
Ma okna białe, sam z czerwonej cegły.
Stoi ostatni w lipowej ulicy.
Dach płaski. Bluszcze nań, pnąc się, wybiegły,
Wiatr na nim posiał jakieś wątle zioła...
Łąki i gaje, i cisza dokoła.

Tu żyłem, jakby w cichym uroczysku
Bez ludzi, ale z duchami pobratan,
Słuchając morza i jaskółek pisku.
Nie śmiał tu zajrzeć płaski życia szatan.
Tu mi się sniły sny duże, stuletnie.
Tu—w sercu mogę rzec—żyłem szlachetnie.

A dziś ostatnia noc. Okna otwarte,
Chłodem i czarną cichością nalane,
Na sen wołają. Wiatr zbudził lip wartę,
Aż drgnęły. Cóż to?... Czy mam oczy szklane?—
Gwizd słychać... świata głos ostry, daleki...
Jutro odchodzę stąd... Może na wieki?...



EDWARD SŁOŃSKI.

Zamiast wiązanki kwiatów...

PAMIĘCI A. SMACZIŃSKIEGO.

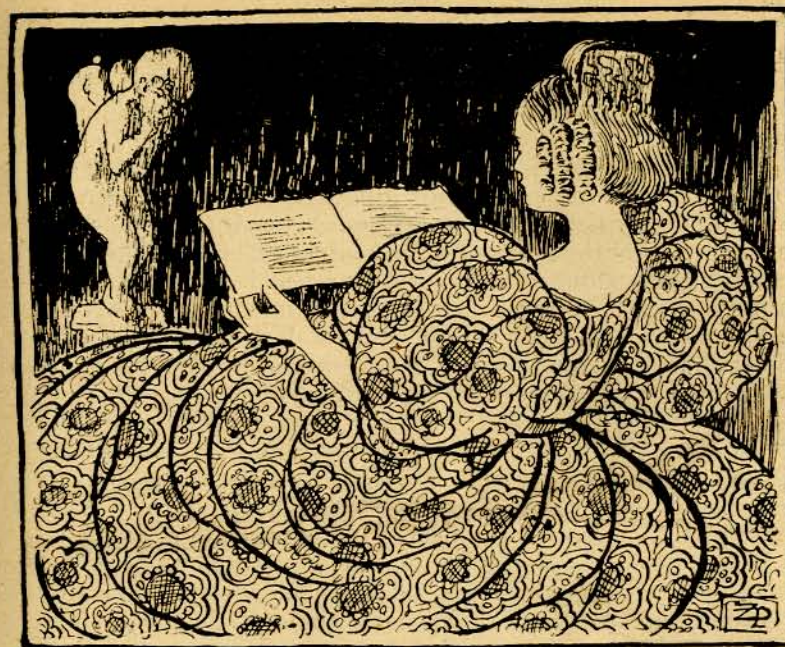
Zamiast wiązanki kwiatów,
rzuciłem dziś w twój dół
garść ziemi tej, pod którą,
jak żywy, będziesz czuł.

Jak żywy, będziesz leżał,
patrzący z grobu w świat,
cierpiący wraz z żywymi
i wraz z żywymi rad.

Umarły będziesz czekał,
czy wszędzie gdzie twój siew,
boś w ziemię tę przed laty
wsiał swoją żywą krew.

Więc zamiast wonnych kwiatów —
zebrałem z naszych pól
garść ziemi, w której dojrzał
we krwi rosnący ból.

Niech leży w twoim grobie,
niech twój wypełnia dół
ten święty pył, pod którym
ty będziesz Polskę czuł.



ADOLF CHYBIŃSKI.

„Śpiewacy-mistrze norymberscy” Ryszarda Wagnera.

(Dokończenie).

W „Śpiewakach-mistrzach” posługuje się Wagner językiem poetycznym „meistersingerów” i Hansa Sachsa, językiem archaicznym i wierszem, zwanym „Kniltelverse”, rymowanym, 8 — 10 zgłoskowym. Jak w „Pierścieniu” umie Wagner naśladować „Stabicim” najdawniejszych eposów niemiecko-giermańskich, a w „Tristanie” alliterację, tak „Śpiewakach-mistrzach” umie wżyć się w ducha wiersza Hansa Sachsa. W wyżej wspomnianej pracy pisze doskonały znawca metryki „meistersingerowskiej” Dr Curt Mey o wierszu Wagnera: „Jego forma jest niezbyt ściśle zachowana; szczególnie rytmika jest u Wagnera o wiele żywsza i nieregularniejsza, niż u Sachsa: to sprawiło dra-

matyczne życie. U Wagnera można liczyć tylko akcentowane zgłoski, gdy Hans Sachs przestrzega jambowego charakteru wiersza („Der Meistergesang in Geschichte und Kunst“, str. 107).

Tenże autor uzasadnia język „Śpiewaków-mistrzów“ następującymi słowy: „Gdy inne dramaty Wagnera są zupełnie niezależne od przestrzeni i czasu, „Śpiewacy-mistrze“ stanowią wyjątek; są oni związani z lokalnym charakterem Norymbergi, czasowo zaś z XVI stuleciem, a więc z historycznym niemieckim życiem obywatelskim z czasów reformacji. Chcąc nam dać żywy obraz owej epoki, musiał zapobiec brakowi lokalnego kolorytu. Do tego należy także język“ (Op. cit. 106.)

Dr. Mey wykazał w swej wartościowej pracy, że Wagner naśladował nie tylko metryczne, ale i poetyczne formy „meistersingerów“. Słusznie zarzuca krytykom, że ich podejrzenia, kategorycznie wypowiedane, jakoby Wagnerowi brak było ścisłej formy, są śmieszne (op. c. str. 95 i nast.) Oto znajdziemy w tekście „Śpiewaków-mistrzów“ owe „bar'y“, często bardzo interesujące i regularnie zbudowane, np. przemowa Pognera przed cechem (p. tłum. Bandrowskiego, str. 29 od słów „Gdy święty Jan“ do str. 30 i słów „Słuchajcież“; schemat ilości wierszy 7+7+10), odpowiedzi Waltera na pytania Kothnera (tł. B. str. 38 od słów „Na zamku mym“, do str. 40 i słów „Niech mistrzów serca wzruszy“, schemat: 8+8+16); barem, który według cechowych wyrażen mógłby być nazwany „przydługim“, jest 81-wierszowa pieśń próbna Waltera (sł. B. str. 42, 43 i 49; schemat: 29+29+23), będąca zastosowaniem sztucznej poetyki „mistrzów“, mimo to jednak zbudowana bardzo regularnie. Inne „bary“ są: serenada Beckmessera (tł. B. str. 86-87, 87-88, 88-89 i 90, schemat: 7+7+6, trzykrotnie), Waltera pieśń o śnie (tł. B. str. 115, 116-117 i 130-131; potrójny schemat: 7+7+11*), wreszcie barem jest pieśń turniejowa Waltera (tł. B. str. 148-149, 149 i 150; schemat: 13+13+15**). Część form jest ściśle zamknięta i regularna, czasem na-

*) W tłumaczeniu Bandrowskiego dwa pierwsze „bary“ nie odpowiadają schematowi oryginału. Schemat 6+7+10 musiałby Sachs absolutnie zganić. To samo drugi schemat tłumaczenia: 7+7+9 (choć poprawniejszy).

**) W tłumaczeniu Bandrowskiego schemat 11+12+15 jest błędny; Walter nie zwyciężyłby w ten sposób... Beckmessera. Potę-

śladowana z poezji („Schwank“) Hansa Sachsa, którego słynny hejnał „Wach auf, es nahet gen den Tag“ Wagner włożył w usta ludu, witającego mistrza na błoniach norymberskich (tł. Bandr. str. 140-141). Również formy dialogów są zwarte, a gdzie panuje pewna swoboda, tam Wagner ujmuje ją w formę muzyczną.

Curt Mey dowiódł wielkiego poczucia formy u Wagnera, wykazując, że całe dzieło jego jest jednym wielkim „barem“. Pierwszy i drugi akt — to dwie „stolle“ poetyczne, a trzeci — to ów „Abgesang“, zakończenie, będące konsekwencją dwóch stoli. „Byłoby błędem — pisze Mey (op. c. str. 93) — gdybyśmy chcieli formę baru uznać za zasadę dla innych dramatów Wagnera, nawet dla trzyaktowych. Ale w „Śpiewakach-mistrzach“ forma ta wynika z treści“.

* * *

Przechodzimy wreszcie do stosunku muzyki do poezji w „Śpiewakach-mistrzach“.

W zestawieniu z innymi dramatai muzycznymi Wagnera „Śpiewacy“ posiadają swój zupełnie odrębny styl. „Tristan“, „Pierścień“ i „Parsifal“ zdradzają mimo swych ideowych odrębności pewne pokrewieństwa języka muzycznego, nawet stylu — i to pokrewieństwa silne. Oczywiście ze stanowiska absolutnego wagnerowskiego indywidualizmu nie brak ich także w „Śpiewakach“ (np. monolog Sachsa.) Mimo to odrębność ich nie ujdzie uwagi tego, kto nawet powierzchownie zna dzieła mistrza z jego najdojrzalszej epoki. Ta odrębność wynika z treści i charakteru dzieła (milieu!). Wagner nie porusza w nim najgłębszych rzeczy „des Reinmenschlichen“, nie pragnie być za wszelką ceną filozofem-muzykiem, jak niemal we wszystkich innych dziełach swych. Monolog Sachsa i wstęp do trzeciego aktu stanowią tak silnie odrębny wyjątek, że zwracają na siebie uwagę, przerastając wartość najpiękniejsze nawet momenty liryczne całości. Słusznie C. Mey zaznacza (op. c. 118), że „jako komedia, jako odzwierciedlenie świata — nie zaś jako *pra-obraz*, jak owe tragedie — musieli „Śpiewacy“ także w muzyce otrzymać zupełnie inną postać. Ta odrębność „Śpiewaków“ dokumentuje się przedewszystkiem tym, że są one prawie wy-

pionoby go nie tylko ze strony cechu. Sachsi taki uczeń nie przyniósłby zaszczytu. Muzycznie są one identyczne, lecz tu i o poezję i o rzetelną wierność przekładu idzie.

łącznie polifonicznie opracowane, przyczym widzimy, że Wagner spoglądał ku sztuce arcy mistrza Jana Sebastjana Bacha, niemniej i Händla. Chcąc dać obraz dawnej epoki życia niemieckiego, musiał przejąć się duchem dawnej muzyki. Że poza Bacha i Händla nie pragnął sięgać, to ze stanowiska czysto artystycznego jest zbyt jasne. Walter von Stoltzing, jako przedstawiciel romantyzmu, oraz tendencji ku nowym światom sztuki, musiał również znaleźć w muzyce Wagnera odpowiedni wyraz. — I tak połączył mistrz dwa światy w sposób najdoskonalszy i jedynie możliwy, połączył bez reszty. Profesor Adler robi w swym „Wagnerze“ (str. 289) słuszną uwagę: „W każdej części dzieła, która odznacza się historycznie archaizującym charakterem, można szczegółowo śledzić staranną miarę w użyciu dawnych i nowych środków.“ „Styl „Śpiewaków-mistrzów“ jest stylem sui generis w słowie i tonie“ — pisze dalej uczony wiedeński (op. cit. 292 i nast.) „Jak zewnętrznie pewne mańjery są wzięte z baroku muzycznego, tak techniczna robota jest stosunkowo zbliżona do sztuki Jana Sebastjana Bacha. Jeśli w „Tristanie“ Wagner konsekwentnie przeprowadził i zużytkował celowo tematyczną robotę Beethovena na usługi dramatu muzycznego, to w „Śpiewakach-mistrzach“ związek z dawniejszą muzyką jest jeszcze ściślejszy. Widzimy to szczególnie w ensemble'ach i chórach, także w części instrumentalnej. Przytym sztuka Wagnera dojrzała w nich do pełnej samistości; do najwyższej doskonałości.“ „Materiał (temat) „Śpiewaków-mistrzów“ dał mu sposobność do tego, nie tylko w wykonaniu zewnętrznego zamiaru, lecz także w przeprowadzeniu jego zasad przy równoczesnym zużytkowaniu i zastosowaniu wypróbowanych środków artystyczno-technicznych z przeszłości.“

Co przedewszystkim zbliża fakturę „Śpiewaków-mistrzów“ do dawnej opery — to właśnie liczne chóry ensemble'e i liczne partje, posiadające zamkniętą formę, oraz pewne środki techniczne (skład orkiestry, koloratury i t. p.).

Chóry w przedwagnerowskiej operze często, prawie zawsze odgrywały małą rolę w *dramacie*, były wstawkami, arjami i pieśniami, pisanymi na kilka głosów, nie stanowiąc czynnika dramatycznego, lecz były one — jak Wagner się wyraził („Gesammelte Schriften“, III, 270) — „dekoracyjnemi maszynami teatru, którym kazano chodzić i śpiewać“, „niemym zbyt kiem kulisowym, zamienionym w pe-

łen ruchu hałas“. Wiemy, jak po „Lohengrinie“ Wagner skąpo (racjonalnie skąpo) używa chórów; zjawiają się one tam, gdzie zachodzi tego niezbędna a naturalna potrzeba. Jak rzecz się ma w „Śpiewakach-mistrzach“? I jaką rolę odgrywają w nich chóry? Prof. Adler czyni spostrzeżenie, bardzo zresztą jasno ze stanu rzeczy wypływające, że „Wagner chce w rzeczywistości dopuścić chór tylko jako osobę działającą, podobnie jak każde inne indywiduum w dramacie. Tu nie ma chór zadania uzupełnienia harmonicznego muzycznego aparatu, lecz bierze udział w samodzielnym polifonicznym wykonaniu i prowadzeniu dzieła. Najkonsekwentniej prawdopodobnie jest ta zasada przeprowadzona w t. zw. „scenie bitki“ ze „Śpiewaków-mistrzów“, gdzie różne grupy, jako indywidua, występują przeciw sobie i gdzie naprzemian — wznoszenie się i opadanie ruchu melodyjnego w pojedynczych ugrupowaniach głosów jest widoczne już przy czytaniu partytury. Niemniej jednak zrobił Wagner użytek z harmonicznego wyłącznie prowadzenia chóru w swych dwóch ostatnich dziełach: „Śpiewakach-mistrzach“ i „Parsifalu“ (por. Adlera „R. Wagner“, str. 185). Przeszedłszy wszystkie chóry w partyturze „Mistrzów“, dojdziemy do następujących wniosków: w I scenie I aktu chór, śpiewający chorał, jest uzasadniony, nietyle ze względów dramatycznych, ile jako efektowne i oryginalne rozpoczęcie opery i jako jeden z malarskich (opisowych) i charakterystycznie nastrojowych czynników; w drugiej scenie tegoż aktu chór terminatorów, drwiący z Dawida, jest również operowy, nie bierze bowiem bezpośredniego udziału w toku akcji dramatycznej, jest raczej piękną wstawką, która ma na celu dać słuchaczowi odetchnąć po długim dialogu Waltera z Dawidem i przygotować go na monolog Dawida, będący epilogiem tej sceny. monolog, w który wpada zresztą bardzo będący na miejscu niedługi (trzywierszowy) chór terminatorów; w I scenie II aktu chóry terminatorów, przeważnie dialogowe, są raz mniej, raz więcej dramatycznie uzasadnione, ale większego znaczenia prócz czysto muzycznego nie posiadają; natomiast chóry „sceny bitki“ są może najdoskonalszym wzorem dramatycznego zastosowania tego czynnika, tak efektownego, a tak często używanego bez głębszej przyczyny, t. j. tylko w celu podania słuchaczowi melodji, rozpisanej na głosy; otóż właśnie w scenie V aktu III znajdziemy dowody, że i Wagner tendencyjnie czynił koncesje na rzecz... tych

w parkiecie; chóry krawców, szewców i piekarzy są dramatycznie martwymi punktami, jakkolwiek przyczyniają się z dodatkiem innych scenicznych i teatralnych akcesorjów do rozwinięcia na scenie pierwiastka malowniczości charakterystycznej kosztem akcji dramatycznej; bardziej racjonalne jest użycie chórów w tejże scenie, poczynawszy od tego miejsca, gdy zaczyna się taniec, najlepsze zaś obok „sceny bitek“ jest zastosowanie chórów, jako głośnej opinii podczas „popisu“ Beckmessera — a więc w duchu greckiej tragicii. Wogóle, zwłaszcza w drugiej odsłonie III aktu, nie brak miejsc, w których chóry mają raczej oratoryjny, niż muzyczno-dramatyczny charakter. Dlatego trudno nie podpisać w całej rozciągłości zdań prof. d-ra Adlera: „O ile chór w „Śpiewakach-mistrzach“ jest użyty dramatycznie i jak każda z osób bierze udział w toku akcji, o tyle służy on, podobnie jak ensemble'e, równocześnie jako czysto muzyczny środek. Jego włączenie jest więc z jednej strony dramatycznie uzasadnione (niezawsze — przyp. autora), z drugiej strony przez obszerność swego zastosowania w budowie dzieła ma muzyczną przewagę. Jest więc w zakończeniach trzech aktów bardzo znacznie zatrudniony, podobnie jak w każdym finale t. zw. wielkiej opery z poprzedniej epoki“ (Adler, op. cit. str. 296 i nast.). To, co powiedzieliśmy o chórach, możemy powtórzyć o t. zw. „ensemble'ach“. W „Pierścieniu Nibelunga“ zespoły córek Renu i norn są — jak prof. Adler słusznie zauważył (op. cit. 185) — symbolem ich przynależności, podobnie jak przysięga zemsty Brünnhildy, Guntera i Hageny w „Zmierzchu bogów“. Podobnie, jak chór, znalazły ensemble'e obszerne zastosowanie w „Śpiewakach-mistrzach“ i w „Parsifalu“. W „Śpiewakach“ są one w części dramatycznie uzasadnione, w części wyłącznie muzycznie zastosowane. Te zespoły są często tak ułożone, że panuje nietylko różnorodność kontrapunktycznych melodji, lecz i tekstów. To ostatnie jest zupełnie racjonalne, o ile chodzi o dramatyczność, czego najdoskonalszym dowodem jest np. spór mistrzów w I akcie, ich równoczesne sprzeciwianie się Sachsowi i krytyka śpiewu Waltera i t. d. I o nich można powiedzieć, że są „symbolem przynależności“, wskutek czego są uzasadnione dramatycznie; stosunek ich, jako czynnika dramatycznego do zewnętrznych faktów akcji jest analogiczny, prawdziwość zaś ich odruchów wprost nakazuje im wypowiadać jedno i to samo różnymi słowy. Inna rzecz, gdy weźmiemy pod

uwagę „ensemble“ *liryczny*, jakim jest słynny kwintet ges-dur Sachsa, Waltera, Dawida, Ewy i Magdaleny. Jest to jeden z najcudowniejszych i najbardziej mistrzowskich (także kontrapunktycznie) kwintetów wokalnych, jakie dotychczas napisano. Wprawdzie tych pięć osób dramatycznych wyraża swe uczucia, identyczne co do ich psychologicznej treści, ale ich liryczny charakter przy równoczesnej, choć niezbędnej różnorodności tekstu poetycznego, wzgl. tekstów, jak również dość szerokie ich opracowanie *muzyczne*, wyłączają się same przez się z jednolitego toku akcji dramatycznej, tak jak to widzimy w operach dawnego stylu, panującego i dziś, niestety, mimo ewolucji wagnerowskiej. Bez wątpienia finale tej części III aktu jest muzycznie bardzo piękne, ale mniej jest ono usprawiedliwione z absolutnie dramatycznego punktu widzenia — jest bowiem dramatycznie nienaturalnym to izolowanie pięciu osób tylko celem wylewu lirycznych uczuć, jak nienaturalnym jest po kwintecie nagłe „ocknięcie się“ i wstąpienie ich na drogę akcji realnej. Monografowie wagnerowscy usprawiedliwiają podobne kwestje tym, że Wagner nawrócił się w „Śpiewakach-mistrzach“ do *romantycznej* opery, uprawiającej z predylekcją dłuższe liryczne ustępy na scenie, jakkolwiek one nie wypływają z akcji, a co najmniej tamują jej swobodny i nie krępowany choćby najpiękniejszymi wstawkami muzycznymi bieg. Nie zapominajmy, że wśród tworzenia „Śpiewaków-mistrzów“ Wagner miał na myśli *przyzwyczajenie* publiczności do tych właśnie rodzajów opery, które bynajmniej nie wygasły i dziś jeszcze — niestety! — a przez kompromis z niemi chciał zdobyć niezachwiane stanowisko wśród tych, o których prawie zawsze wyrażał się z pogardą — nie bez zupełnej słuszności.

Reasumując nasze uwagi, kończymy je skonstatowaniem, że nietylko sam temat literacko-poetyczny wymagał pewnego retrospektywizmu od Wagnera, lecz sam Wagner na chwilę zatrzymał się w wyciągnięciu ostatecznych wniosków ze swych twórczych pomysłów na polu reformy dramatu muzycznego, pomimo, że właśnie w „Śpiewakach-mistrzach“ udało mu się, dzięki potędze gienjusz, kilkakrotnie pójść dalej w wydoskonaleniu techniki dramatyczno-muzycznej, niż przedtem i potem. Ale ogólnie oznaczają one pewien kompromis z właściwościami lirycznej, romantycznej opery, co zresztą niemożliwym było w „Śpiewakach-mistrzach“ do uniknięcia. Tylko *muzycznym*

areydzielem będący kwintet daje nam możność zapomnienia o jego dramatycznej problematyczności.

Jak zastosowanie wielkie chórów i ensemble'ów z jednej, tak styl całego dzieła z drugiej strony, jest dowodem, że Wagner chciał posłużyć się środkami technicznymi, wziętymi z przeszłości muzycznej. Pod względem formalnym spotykamy się w „Śpiewakach-mistrzach” z równie zaokrąglonemi i zamkniętymi „numerami”, jak w dawnej operze. Także traktowanie wokalnych partii jest zupełnie w swym charakterze odmienne, niż wszystkie późniejsze jego dramaty muzyczne, pomimo, że jak w technice dramatycznej, tak i w tym wypadku wielokrotnie Wagner sięga szczytów udoskonalenia najkonsekwentniejszego swych reform epokowych — a więc i tu „porozumienie”, jakkolwiek porozumienie, przynoszące tym razem z sobą dowód tego, co Niemcy zwą „Auf-richtigkeit gegen sich selbst”: mianowicie posługiwanie się efektownymi środkami z dawnej opery w sposób uzasadniony ideą dzieła. I to należy również do gienjalności i mistrzostwa. I tak np. „turniejową pieśń” Waltera von Stoltzing lub serenadę i popis „na łące” Beckmessera, albo wreszcie „szewcką pieśń” Hansa Sachsa i piosnkę Dawida do słów „Nad Jordanem stał święty Jan” i t. p. można uważać za typowe „numery” tenorów z oper; ale jeśli te „dramatis personae” śpiewają swe pieśni, to dlatego, że wymaga tego treść akcji, nie zaś aby kompozytor li tylko dla dogodzenia publiczności włożył w ich usta piękne arje i pieśni, jak to bywało przed Wagnerem (i po Wagnerze, niestety!) ze szkodą dramatycznej jednolitości dzieła. Inaczej mówiąc: te osoby śpiewają pieśni, ponieważ o śpiewaniu jest mowa w tekście. Rzecz inna, że najczęściej te „numery” pozostają w pamięci publiczności, tak jak się to dzieje z „najpiękniejszymi” arjami z niewagnerowskich oper. Jak Wagner w „Śpiewakach-mistrzach” umiał stworzyć szereg popularnych (właśnie wspomnianych) „numerów” bez dania koncesji publiczności — tylko dzięki swemu wielkiemu gienjuszowi dramatyczno-muzycznemu, tak też zdołał ujarzmić sobie elementy operowe, które szczególnie upodobała sobie publiczność: do tych należy przedewszystkiem *koloraturowy śpiew*, *ornamentyka muzyczna* (tryl, biegnik, mordent i t. p.). Wiemy, że Wagner zasadniczo odrzucał wszelkie koloratury, jako nienaturalny czynnik w śpiewie, będący antytezą normalnego stosunku muzyki do tekstu, stosunku, który nakazuje

zgłoskę kłaść przeciw nucie, rzadko przeciw kilku nutom. We wszystkich dramatach muzycznych Wagnera znajdziemy co najwyżej tryle, najczęściej ulubione przezeń mordenty, użyte jako środki wyrażenia affektu, nie jako dekoracja lub pusta ornamentyka.*) Wyjątek stanowią „Śpiewacy-mistrze”, gdzie zastosowanie koloratury, jako charakterystycznego, wzgl. charakteryzującego czynnika, jest bardzo rozległe i bardzo pomysłowe. Znany muzyk niemiecki prof. dr. Fritz Volbach, znawca Händla, u którego koloratury grają w swej barokowości niepoślednią rolę, napisał piękną i treściwą rozprawkę p. t. „Die Gesangs-koloratur bei Richard Wagner” **), w której słusznie zauważył, że koloratury są tym środkiem, który uwydatnia różnicę między dawnym a nowym kursem muzyki, i że Wagner nie mógł znaleźć lepszego sposobu, jak umieszczenie właściwych meistersingerom koloratur „w tych miejscach, gdzie podkreślenie historycznego kolorytu było potrzebne” (l. c. str. 249). „Jednak nie w samym ich zastosowaniu leży właściwe znaczenie, lecz rodzaj i sposób, jak Wagner używa tu wszędzie koloratury, jest tym, co wzbudza podziw”. Przecistawiając śpiewakowi z Bożej łaski, Walterowi — zasklepionych w pedantycznym kramie formułek „meistersingerów”, używa Wagner koloratur, jako tego środka, który sam przez się jest sztuczny, lecz nie wyraża: a zatem jest to *komiczno-satyryczny podkład*, wywołujący serdeczny śmiech u słuchacza, rozumiejącego (nie tylko odczuwającego) grę kontrastów. Dotyczy to np. wyliczania różnych tabulaturowych sztuczek meistersingerowskich przez Dawida, w obecności Waltera, i odczytywania praw tabulatury przez Kothnera w I akcie. Beckmesser, jako najcharakterystyczniejszy, napuszony w swej ciasnocie rzemieślnik, jest sam całym zbiorem rubasznie brzmiących koloratur, których używa tyle, że rysunek melodii zupełnie się zaciera. Także w partji Hansa Sachsa znajdziemy koloratury, których artystyczna miara, jakby symbol tej szlachetnej postaci, jest takim przeciwie-

*) Polecieć można specjalne studjum prot. d-ra Seidla p. t. „Der Doppelschlag im Rienzi” („Wagneriana”, I, 62 i nast.), także Juliusza Hey'a „Deutscher Gesangsunterricht” (Lipsk 1886, 4 tomy).

**) Znajduje się w „Richard Wagner-Jahrbuch”, herausgegeben von Ludwig Frankenstein, Erster Band, Leipzig 1906, Deutsche Verlagsactiengesellschaft (str. 244—251).

stwem trywialnej, ograniczonej pedanterji Beckmessera. Mają one jednak ilustracyjne po większej części znaczenie: np. w miejscu, gdzie Sachs grozi Beckmesserowi, iż mu takt wypisze piórem na skórze, lub gdy, chwalać Waltera za jego „Meisterweise“, robi koloraturę, jakby wskazywał, że Walter zostanie przyjętym do grona tych, których jest ona symbolem muzycznym. Wogóle ornamentyka wokalna w „Śpiewakach-mistrzach“ jest motywem przewodnim, który zmienia się, jak Proteusz, zależnie od charakterystyki i sytuacji. Jak śmiech ludzki jest rodzajem koloratury, która nie ma w sobie nic ze sztuczności, o ile sam śmiech nie jest w danym razie sztucznym, tak w „Śpiewakach-mistrzach“ są podobne wypadki umiejętnie celowego zastosowania ornamentyki: najlepszym przykładem jest koloratura nad słowami „o jerum, jerum, hallohe“, kończącymi trzy zwrotki „szewskiej pieśni Sachsa (akt II, scena V). Że i w tego rodzaju stosowaniach koloratur wzorował się Wagner na Bachu, wystarczy wskazać na analogiczne postępowanie Bacha w kantatach i t. p. dziełach. Jeśli prawdą jest to, co kursuje w kołach wagnerystów, że Wagner chciał skarykaturować Händla, to musielibyśmy wprawdzie nazwać to gienjalną karykaturą, ale nie możemy dać tym pogłoskom wiary, nawet w imię hasła: Quod licet Jovi-Wagnerowi, non licet... Wolfrumbowi, heidelberskiemu profesorowi, odnoszącemu się do uwielbianego przez Beethovena Händla z dogmatyczną niechęcią i grymasną jednostronnością.

Inną charakterystyczną cechą antykizującego stylu „Śpiewaków-mistrzów“ jest *styl kontrapunktycznej faktury, styl polifoniczny*. Jakże on odrębny i inny, niż we wszelkich dziełach Wagnera, a jak załatuje kontrapunktem muzycznego baroku, epoki Bacha, Händla, Fuxa, Telemana i t. p.! I tu widzimy celowość postępowania Wagnera, który „stare czasy“ charakteryzował sposobami staremi, używając ich jako środka do celu, nie zaś jako „Wirkung ohne zu Grund liegende innere, genugende Ursache“, nie ten kontrapunkt, o którym Wagner pisze, że jest „sztuczną zabawką sztuki samej z sobą, matematyką uczucia, mechanicznym rytmem egoistycznej harmonji“, lecz ten, o którym możnaby powiedzieć również słowami mistrza:

„Und in eigner Fülle schwellend,
Und aus Herzens Tiefen quellend
Spottet er der Regeln Zwang...“ *)

Pewna kunsztowność kontrapunktów w „Śpiewakach-mistrzach“ jest oczywiście usiłowaną, umyślną. Widzimy to już w kapitalnie charakterystycznym wstępie do tego dzieła, gdzie w „holdzie“ łączy Wagner polifonicznie (równocześnie) trzy tematy: temat „Meistersingerów“, temat „Meistergesangu“ (jako symbol specyficzności) i temat Waltera von Stoltzing. Kunsztowność, będąca w tym wypadku symbolem otoczenia i atmosfery „meistersingerowskiej“, staje się jakby symbolem: zwycięski temat Waltera w górnym głosie, w średnim i dolnym jakby podstawa techniczna—gdyż tylko na technicznie pewnych podstawach można budować *swobodnie* gmach prawdziwej sztuki. Ale tych „sztuk“ nie znajdziemy w żadnych innych dziełach Wagnera; zachodzące zaś łączenia dwóch tematów wcale się nie dają niewprawnemu uchu odczuć, jako „sztuczka“, lecz działają, jak synteza uczuć dwóch istot, których z osobna są samoistną kwintesencją, lub jak myślowe skojarzenie się żyjącej wspomnieniem jednej istoty (tematu) z drugą. Wreszcie polifonia w „Śpiewakach-mistrzach“, jest wyborym środkiem do osłonięcia zbyt daleko idącej popularności wielu motywów i nadania im bardziej „reprezentacyjnego“ charakteru—i równowagi artystycznej. Że Wagner nie mógł dla samego stylizowania odstąpić od swych indywidualnych zasad tworzenia i że w „Śpiewakach-mistrzach“ znajdziemy tam, gdzie należy, specyficzną wagnerowską polifonię, jest to rzeczą zrozumiałą, równie jak i to, że pomimo dążności do niezbędnej w temacie tego rodzaju djatoniki nie mógł Wagner nie posługiwać się chromatycznymi harmonjami, z których stworzył cały słownik języka muzycznego, tak przebogato zużytkowany w „Tristanie i Izoldzie“. — Już powyżej zaznaczyliśmy, że mimo swej stylistycznej odrębności posiadają „Śpiewacy-mistrze“ wiele wspólnych cech z innymi dramatami muzycznymi Wagnera. Pokrewieństwo to jest widoczne np. w charakterze niektórych

*) Oczywiście, nie mamy tu na myśli tych „halabardzistów autorytetyzmu“, którzy gotycką architektonikę pewnych form kontrapunktycznych chcą przy pomocy halabardy nielogiczności postawić na głowie i kazać jej w tej pozycji maszerować ku „postępowi“ i „przyszłości...“ w „odosobnieniu (nieobecności) ducha“.

motywów (także motywów przewodnich), będących muzycznym językiem wagnerowskim. Wiemy, że każdy z wielkich artystów, bądź poetów, bądź muzyków, posiada taki własny język, słownik środków wyrażania, który spotyka się w dziełach, nawet nie mających ze sobą wspólnego pod jakimkolwiek względem. Język ten przybiera wprawdzie najróżniejszy wygląd, lecz pewne wyrażenia, pozornie różne, dadzą się sprowadzić często do jednego typu. Widzimy to u Bacha, Beethovena, u Mozarta, Schuberta, Chopina, zarówno jak u Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, a zwłaszcza u neoromantyków. Są to poniekąd systemy językowe—nawet retoryczne. Znany badacz Wagnera, Hans von Wolzogen, wykazał te „paralele muzyczno-dramatyczne“, powtarzające się w dziełach Wagnera, wychodząc zupełnie słusznie z założenia, które wypowiedział już Fryderyk Schiller, że „cały efekt w muzyce (jako pięknej, nietylko przyjemnej sztuce) polega na tym, aby wewnętrznym poruszeniom umysłu towarzyszyły zewnętrzne i odzwierciedlały je obrazowo“. W swej bardzo cennej książce p. t. „Musikalisch-dramatische Parallelen Beiträge zur Erkenntnis von der Musik als Ausdruck“ (Lipsk 1906) podaje Wolzogen mnóstwo przykładów tego muzycznego paralelizmu, mającego zresztą w psychologii zupełnie uzasadnienie; „muzyka jest wyrażeniem—wyraża treść uczuć—pokrewnym treściom uczuć odpowiada pokrewna forma wyrażenia“. Oczywiście takie uzasadnienie i taka norma dotyczy zawsze każdego artysty z osobna, nie zaś wszystkich razem. To są właśnie zasadnicze cechy t. zw. „motywów przewodnich“ i są one w swej racjonalności choćby przez całą twórczość Wagnera psychologicznie uzasadnione, tak że np. twierdzenie p. Noskowskiego: „Motywy przewodnie są pod względem psychologicznym niemożliwe“ (por. „Echo muzyczne“ 1888, № 240) polega na kompletnym niezdawaniu sobie sprawy, *dłaczego* „motywy przewodnie“ istnieją choćby u... Mozarta i Beethovena. Wagner bowiem nie był pierwszym, który je stosował; pierwszy jednak uzasadnił je teoretycznie, wskazując na ich wybitne własności asocjatywne. Curt Mey bardzo słusznie zaznaczył (op. cit. str. 119), że „przewodnie motywy“ w „Śpiewakach-mistrzach“ są przeważnie „motywami przypomnienia, wspomniania“. Czyż jest to „niemożliwość psychologiczna“, gdy jedna z osób dramatu, wspominając o swym szczęściu, nieszczęściu, rozkoszy lub smutku, albo o innej osobie, mającej silnie zarysowany

profil dramatyczny, znajduje wyraz swych myśli i uczuć w odzywającym się w orkiestrze motywie o identycznej treści, uplastycznionej charakterystyczną harmonią, rytmem i barwą? Motywy przewodnie mają jeszcze znaczenie formalne: „służą w swej symbolice (Auseinanderlegung) i w swym rozwoju, jako podkład tonalny, i są materialem dla budowy dzieła“ — pisze prof. Adler (op. cit. 302). „Ich przeprowadzenie umożliwia danie ogólnych obrazów nastrojowych, duchowych projekcji na silnej podstawie ogólnego tła. W „Śpiewakach-mistrzach“ zdołał Wagner w takim wykonaniu dać nietylko muzyczną charakterystykę, nietylko objawienie praw twórczych, lecz i czysto muzyczną piękność“.

Podobnie jak system motywów przewodnich znalazł w „Śpiewakach-mistrzach“ udoskonalenie tak wielkie, że tylko „Parsifala“ w tym względzie można postawić wyżej, tak też i sztuka *dIALOGU muzycznego* osiągnęła w tym dziele doskonałość najwyższą.

Orkiestra, jaką Wagner posługuje się w „Śpiewakach-mistrzach“, jest pełną orkiestrą klasyczną z uwzględnieniem trzeciej trąbki, tuby i harfy. I w tym dziele istnieje pewna odrębność techniki instrumentacyjnej, upozorowana zapewne odmiennym rodzajem stylu polifonicznego. Dlatego też brzmienie orkiestry w „Śpiewakach“ jest zgoła inne, niż np. w „Tristanie“. Nie jest ono wolne od pewnego massywnego przeładowania, obcego innym dziełom Wagnera. Huczne i patetyczne fragmenty uwertury są najtypowszym tego przykładem. Być może, iż zwiększona orkiestra „Tristana“ i „Pierścienia“ była przeszkodą do rozpowszechnienia tych dzieł, stąd użył Wagner mniejszego zespołu. Dr. Otto Neitzel pisze w swej pracy p. t. „Richard Wagners Opern“ (Stuttgart i Berlin 1904, 3 wyd., str. 332), że „należałoby bez skrupułów sporządzić taką (nową) partyturę, któraby uniknęła przeładowania orkiestry“; „zarówno dzieło, jak i publiczność, zyskałyby tylko na tym“. Jakkolwiek nie można odmówić słuszności temu zdaniu, to jednak nikt nie dopuściłby się przynajmniej obecnie takiego ikonoklazmu muzycznego. Rzecz się ma tu, podobnie jak z symfoniami Brahmsa: dobry dyrygent (np. A. Nikisch) usunie massywnie brzmienia przez odpowiednie zmiany w dynamice poszczególnych grup instrumentów. Niedawno miałem sposobność słyszeć wstęp do „Śpiewaków-mistrzów“ pod

dyрекcyj G. Mahlera; massywności nie słyszałem. Raziła ona jednakże, gdy słyszałem ten utwór pod dyрекcyj G. Fischera w „Teatrze księcia rejenta“ w Monachjum; massywności nie zdołało usunąć umieszczenie orkiestry pod sceną w zagłębieniu. Z uwzględnieniem tych wyjątków cała partytura „Meistersingerów“ przedstawia arcywzór mistrzowskiej instrumentacji—zwłaszcza te partje, w których występują mniejsze zespoły.*)

* * *

Na zakończenie mych uwag, które bynajmniej nie mogły być wyczerpujące, ani też nie były pisane z zamiarem wyczerpania przedmiotu, niech mi będzie wolno przytoczyć charakterystyczny list Wagnera, pisany 2 października 1850 r. do Liszta:

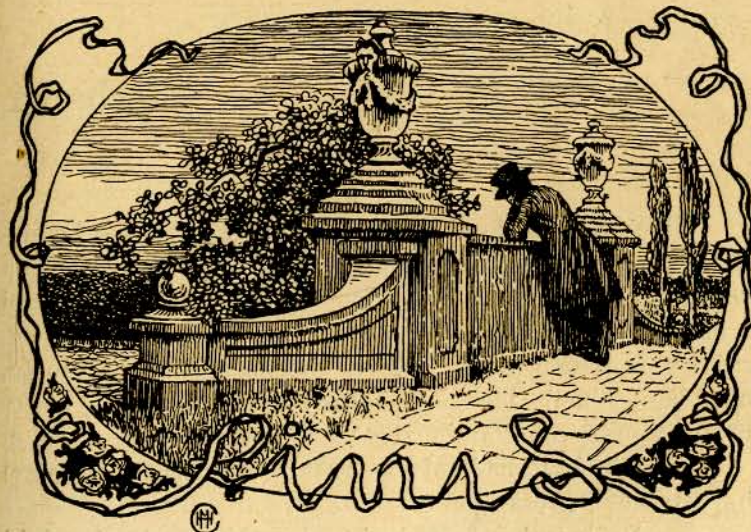
„Zaznaczasz w swym liście ze szczególnym naciskiem, że nieprzyjaciół, którego mamy zwalczać, leży nie tylko w gardłach śpiewaków, lecz i w gnuśnym filisterstwie publiczności i osielstwie krytyki. O najlepszy przyjacielu, jestem tak dalece w zgodzie z tobą, że nie potrzebuję tego aż zaznaczać. Jednakże nie uznaję przeciwnych zadań, które się stawia publiczności; nie uznaję tego, że zarzuca się publiczności brak zrozumienia sztuki, natomiast oczekuje się dla tej ostatniej zbawienia ze strony tych, którzy z góry wlewają w publiczność inteligencję artystyczną. Przez takie postępowanie możemy tylko nastraszyć publiczność. Powiedziałem: nic innego nie żądam od publiczności, prócz zdrowych zmysłów i ludzkiego serca. Wydaje się to niewiele, a jednak należałoby cały świat przewrócić, aby do tego doprowadzić... „Zdrowe zmysły i ludzkie serce“! Nic więcej, a jednak przecież wszystko, jeśli się zważy te bezdennie zepsute zmysły i złą hipokryzję tych skórzanych serc tak zwanej publiczności. Przyznaj, że celem poprawienia tego małego błędu należałoby urządzić potop!“

A więc: zdrowe zmysły i ludzkie serce! Długo one były deprawowane przez sfery, rej wodzące w kulturze muzycznej Warszawy; długo wołała kulturalniejsza prasa i publiczność słowami „Parsifala“:

*) Kto chce szczegółowiej zapoznać się z instrumentacją tego dzieła, temu polecam wyborne studjum Eug. Thomasa „Die Instrumentation der Meistersinger von Nürnberg“ (Manheim, 2 wyd.).

„Wybaw nas z rąk winą zbrudzonych!“

Niech ten epokowy fakt, jakim jest wystawienie „Śpiewaków-mistrzów, przywróci jej to, czego Wagner żądał, niech nauczy ją rozpoznawać Beckmesserów między krytykami i muzykami, niech wreszcie młoda muzyka polska będzie tym Walterem Stoltzingiem, ignorującym manifesty rzemieślników-„mistrzów“, zasklepionych w formułkach taniej estetyki muzycznego oportunizmu!





WACŁAW GRUBIŃSKI.

Zabawa.

Ponieważ mleko wzdeło się raptem, jak żywe, i z niesłychanym pośpiechem parło ku górze, aby wypłynąć na zewnątrz, więc pani Marjanowa szybko odstawiła rondel z ognia na kuchenny stół, a jednocześnie spojrzała z wyrzutem w stronę drzwi, jakby chciała westchnąć: Józiu, oj, Józiu, Józiu!—lecz w tej samej chwili drzwi się otworzyły, i próg przestąpiła służąca z zawiniątkiem w ręku.

— Nie było badjanków—rzekła zadyszana—wzięłam herbatników, proszę pani.

— Herbatników? Szkoda. Pan Ernest bardzo lubi badjanki. Kawa gotowa, moja Józiu... nalej i podaj. Dla pana Ernesta ciemna, wiesz, jak zawsze, a dla mnie i dla panienki mleczna.

— Tak...

— Długo bawiłaś.

— Bo nie było w jednej cukierni...

— Ciasteczka połóżysz na rżniętym talerzu.

— Dobrze, proszę pani.

Pani Marjanowa dotknęła koniuszkami palców siwiejącej głowy, jakby chciała sprawdzić, czy wszystkie szpilki i szpileczki są na swoich miejscach, a następnie, odwiązawszy fartuch i położywszy go na krześle, opuściła kuchnię. Szła przez pokój stołowy do pokoju córki, gdzie zostawiła kochaną Stefę z miłym panem Ernestem, który od dwóch miesięcy stał się częstym gościem w ich domu, a w oczach dobrej pani Marjanowej uchodził za zakochanego. Pani Marjanowa patrzyła na to rodzące się uczucie z całą serdecznością, a gdy zauważyła, że i Stefa miewa nieraz jakieś niezwykle miękkie tony w głosie, kiedy rozmawia z młodzieńcem, że niebieskawą mgiełką zachodzą jej lazurowe źrenice, gdy odpowiada tylko na jego pytania, i na pytania bardzo, bardzo proste, wówczas ta zacna, pięćdziesięcioletnia wdowa poczęła się radować z całej duszy i pieścić ukrytą nadzieję, że jej kapryśna córka wyjdzie zamaż, stworzy rodzinę, wyda na świat wnuków... I na łagodnej, ujmującej, siecią maleńkich zmarszczek porysowanej twarzy tej skromnej kobiety, kobiety od dziesięciu lat niemal sieroczej, na twarzy tej istoty cichej, nigdy się na przeciwności losu nje skarżacej, ubóstwiającej niewolniczo córkę, na jej ładnej niegdys twarzy wykwitał żółty rumieniec szczęścia.

— Niech się kochają — mówiła sobie — niech się kochają!

A choć wiedziała, że pan Ernest nie jest bogaty, że całym jego skarbem zamaszysta młodość i niezła posada w banku, pragnęła go zobaczyć mężem smukłej Stefy, bo szeptało coś jej matczynemu sercu, że nie zawiedzie się na tym wesołym, ale z pewnością czułym, kawalerze, że ożeniony wzmoże się w siły, zdwoi przedsiębiorczość, potroi talenta, a pod ostrogą wdzięków ukochanej żonki, takiej ślicznej Stefy! kto wie, czy nie zdoł będzie i majątku! Cóż w tym niemożliwego? Pan Ernest nie należy do przeciętnych ludzi, dość spojrzeć w jego kare oczy. Zresztą niech tylko żyją w dostatku...

Ale Stefa, lekkomyślna Stefa, może nie zechce wyjść za Ernesta. Jej nigdy nie można być pewnym. Pomimo miękkich tonów głosu, pomimo niebieskawych mgiełek w lazurowych oczach, pomimo wszystkich pozorów uczucia, Stefa powie: nie — i rzecz skończona. Przecież było już tak kilka razy. Szalone dziecko! Na co ona czeka? Skończyła przed tygodniem dwadzieścia trzy lata... W razie nieszczęścia — cóż dostanie w spadku po ubogiej wdowie? Mały kapitalik, z którego nie można żyć. Teraz, dzięki emeryturze po nieboszczyku ojcu, ma w domu wszystko, co niezbędne, żeby wszakże móc pozwolić sobie na rozrywki, musi udzielać lekcji dwum niepojętnym paniąkom. I tyle ma życia, tyle wesołości! Smutna nie bywa nigdy — raduje się, lub jest pogodna. Bo czarująca Stefa żyje dniem dzisiejszym, jutro jej nie obchodzi, nie znosi najlżejszej troski, najdrobniejszego kłopotu, chce się czuć zawsze — jak ona to nazywa — wolną, niczym nie skrępowaną... Co prawda, bardzo jej z tym do twarzy, ślicznej, smukłej, złocisto-włosej dziewczynie!

Pani Marjanowa uśmiechnęła się do swoich myśli, a raczej w myśli uśmiechnęła się do córki i nacisnęła klamkę drzwi, za którymi zostawiła ukochaną Stefę z obiecującym panem Ernestem. Drzwi odchyliły się bez szmeru i rozmarzona matka weszła do niedużego pokoiku, aby zaprosić młodzież na podwieczorną kawę. Zaledwie jednak wzrok jej padł na otomanę, gdzie przed kwadransiem siedział nieskończenie miły gość o jedwabistym wąsie, panią Marjanową wstrząsnął mocny dreszcz, dreszcz niespodziewanego przerażenia! Zadrżała, niby ptak, zdradziecko zawikłany w sieci, i skamieniała, jak pod urokiem czarów. Jej łagodne oczy wypłynęły na wierzch i stężały, jakby na widok straszego potwora o podwójnym grzbiecie, o czterech nogach i czterech rękach, który raptownie wylazł z pod podłogi i ułożył się na otomane. Jęk zgrozy uwiązł w jej ściśniętym gardle, i otwarte usta oniemiały; w uszach poczęło jej śpiewnie dzwonić,

jak to bywa wówczas, kiedy po ogromnej wrzawie nagle zapanuje głusza. Stała, jak słup, bez ruchu, bez władzy w myślach, bez władzy w członkach, przeniknięta jednocześnie dwoma piorunami: zdumieniem i przerażeniem. Jeden piorun huczał: „czyż to możliwe, ażeby Stefa... zapomniała się do tego stopnia? I żeby pan Ernest, miły pan Ernest, żeby pod boki poważnej matrony, w drugim pokoju! w sąsiednim pokoju! Nie, to przywidzenie, omamienie, sen!

A drugi piorun huczał: „patrz, co się dzieje, ha, ha, ha! Niewinna córka, pod twoim dachem, z panem Ernestem, z obiecującym panem Ernestem, ha, ha, ha, ha!

Pani Marjanowa wpiła się rozszerzonymi żrenicami w widok, który ją odrętwiał, i stała przed nim nieruchomo, jak przed połyskliwym węzem, co niewiadomą siłą, siłą węzową, ujarzmiła spotkaną ofiarę, niby rozkazem potężnego ducha. Ta okropna chwila ciągnęła się wieczność.

Przeszył powietrze rozpaczliwy krzyk spłoszonej Stefy! Pani Marjanowa drgnęła.

— Niechże mama wyjdzie! — zawołała córka.

Pani Marjanowa, przez pół ocucona, poczęła krzątać się na miejscu i szepnęła:

— Kawa... kawa — zaraz...

— Niechżeż mama wyjdzie!! — wrzasnęła Stefa po raz drugi.

Pani Marjanowa spuściła powieki i, zawstydzona, cicho wysunęła się z pokoju. Nawet nie zamknęła drzwi za sobą; przymknęły się same. Podeszła do stolika z samowarem i bezwiednie siadła na krzeselku, na którym nigdy dotąd nie siadała. Głupkowaty uśmiech wykrzywił jej wargi; z czoła zsunęły się rozbite myśli i pospadały w rozmaite strony; z oczu wyglądała pustka albo nieprzytomność. Nie spostrzegła Józki, która przyniosła kawę i ustawiła ją na stole wraz z herbatnikami.

Józka ukradkiem zerknęła na panią i, zdziwiona trochę jej nieruchomością, wyszła.

Zapadło milczenie. Brzęczały muchy i przechadzały się po woskowanej podłodze, zasłanej, niby chodnikami, litemi pasami złocistego słońca. Między półkami coś do siebie zrzędził stary, ochrypnięty zegar. Na kolorowym obrusie stygła biała kawa... W pokoju było duszno...

Brwi pani Marjanowej podbiegły ku sobie, jakby na naradę, i zatroskana kobieta wstała. Spojrzała ku przymkniętym drzwiom—tam było cicho. Załamała ręce. Wargi jej drżały bezdźwięcznie, aż zgubiły ledwie dosłyszalny szept: „O miłosierny Boże!“ Szept zsunał się ze zbladłych ust, jak z więdnącego kwiatu oberwany listek. Pani Marjanowa zapłakała. Lecz płakała krótko i bez głosu. Umieją tak płakać starsze kobiety milczącymi łzami, łzami nie podobnymi niczym do wielkich brylantów lub kałakuckich pereł, długo, ozdobnie wiszących u młodzieńczych rąk, nim ciężko stoczą się ku ziemi... Łzami płakała brzydkimi, które się płasko rozmazują po miękkiej sieci żółtawych policzków, i długo nie schną i zaogniają mokre powieki.

— Co robić? — jęknęła w duchu. Nie śmiem im spojrzeć w oczy! Chyba wyjść, wyjść z domu!

I znów bezradnie spojrzała ku przymkniętym drzwiom. Tam było cicho. Wstrzymała oddech—jęła nasłuchiwać. Cicho. Zupełnie cicho. Jakby w pokoju nie było nikogo. Nie słychać rozmów, ani stapań, ani przesuwania krzeseł... Ale Stefa i pan... ale oni są. Nie mogli frunąć przez otwarte okno, a jedyne drzwi prowadzą do jadalni. Bo cóż mają mówić? Wstydzą się... Wstydzi się jed... i drugie... Biedna, biedna Stefa!

Pani Marjanowej znowu zwilgotniały białka i zaczerwieniły się powieki, splotła chude palce i jęknęła:

— Boże mój, co robić!

Oslabione nogi zniewoliły ją do osunięcia się na krzesło. Przed chwilą widziany, wstrząsający sercem każdej matki obraz przypomniawszy się jej oczom z całą jaskrawością. Pani Marjanowa omal nie krzyknęła i zakryła twarz rękami.

...Brzęczały muchy i przechadzały się w promieniach słońca. Między półkami, zastawionemi tanią porcelaną, zrzędził coś do siebie stary, ochrypnięty zegar. Na kolorowym obrusie stygła biała kawa... I było duszno.

Pocziwe, wycieńczone szydełkowymi robotami ręce pani Marjanowej zwisły z dwóch stron bioder. Ale na jej odsłoniętej twarzy nie rysowała się już groza, ani rozpacz, jeno skupienie myśli, zadumanie, które rzuciło na zmarszczone czoło zgnębionej kobiety coś w rodzaju pogodnego światła. A gdy po chwili wstała z krzesła, to prawie mogło się wydawać, że jej stare usta rozweselił uśmiech. Podeszła ku przymkniętym drzwiom i... rozjaśnioną twarz zciemniła chmura. Sięgnęła dłonią, jakby zamierzała popchnąć drzwi i... zawahała się. A w pokoiku Stefy było cicho... pewnie milczeli zawstydzeni... jedno wstydziło się drugiego... biedni... Nieszczęśliwej wdowie znów zafalowało rzewnym wzruszeniem macierzyńskie łono. Ścisnęła szczęki, żeby nie zapłakać; zdławiła szloch, stanowczym ruchem wyprężyła głowę i powtórnie chciała popchnąć drzwi, lecz skierowała się do kuchni. Niechaj służąca zawiadomi Stefę i pana... pana Ernesta, że podano kawę. Pierwsze kilka kroków pani Marjanowa szła spokojnie, jak za kojącą myślą, ale u samych drzwi coś nią targnęło, raptem rzuciła się na klamkę, którą zaszarpała, i tak gwałtownie wpadła do kuchni, jak wystraszony zwierz, uciekający przed pogonią. Gonił ją płacz i dogonił, ten odpędzony twardo przed minutą. Wpadła do kuchni z łkaniem. Józia zerwała się ze stołka i nie wiedziała, co począć. Rozdziawiła gębę, rozszerzyła oczy i stała zdumiona, bezradna, gdy jej pani oblewała się gorzkimi łzami, przyległszy twarzą do zielonego kufra. Wreszcie stropiona służa wydobyła z siebie cichy szept:

— O Jezu, co też pani jest?

Nieszczęsna wdowa zaszlochała głośniejsz, aż dobrą dziewczynę odbiegło zdumienie, a przeniknęła żalność, i zapytała płaczliwie:

— Po co pani... oo!?

Ale pani Marjanowa w odpowiedzi lkała.

Józia wstrząsnął dreszcz.

— Pójdę po panienkę! — zawołała w strachu i już chciała biec, gdy pani Marjanowa pochwyciła ją za fartuch.

— Czekaj... — wyjąkała — zaraz... to nie... zaraz... zaraz się uspokoję.

Józię odszedł strach.

— Do czego podobne — rzekła z wyrzutem — aby pani... oo!

— Daj mi w co nos wytrzeć.

— Niech pani w fartuch.

Zapłakana wdowa siąknęła w fartuch, co jej od razu ulżyło, poczym, wzięwszy głęboki oddech, tłumaczyła rwącym się jeszcze głosem:

— Nic mi nie jest, Józiu... Wspomnienie... Przypomniało mi się coś przykrego.

Józia łypnęła podejrzliwie dwójgłosem szarych źrenic.

— Ale już przeszło, moje dziecko, przeszło, już jestem spokojna.

Pani Marjanowa wstała z zielonego kufra i zbliżyła się do wyboistego lusterka, które błyszczało, jak zakurzona blacha, między obrazami świętych. Z trudnością ujrawszy w tej szykaniu lustro mętne i karykaturalne odbicie swej twarzy, pani Marjanowa rzekła niby obojętnym tonem:

— Teraz, Józiu, idź do panienki i poproś na podwieczorek.

Józia chciała się zdziwić, że kawa dotąd nie wypita, ale pani domu nagląco dodała:

— Spiesz się. Ja także idę, tylko pierw poprawię uczesanie.

Służąca wyszła, a pocziwa wdowa prędko obmacała liczne szpileczki we włosach, potym otarła palcami łzy, wyprostowała się i z ciężkim westchnieniem przekroczyła próg.

Józia już wracała. Ale w jadalnym pokoju nie było jeszcze nikogo.

Pani Marjanowa stanęła przy stole, utkwivszy zachwienione oczy w odsłoniętej teraz części sąsiedniego pokoiku, którego drzwi Józia za sobą nie zamknęła.

Wlokła się długa minuta. Pani Marjanowa stała nieruchomo, patrząc uparcie w pokój uwielbianej córki; wszakże na jego sękatym progu wciąż jeszcze nikt się nie zjawiał. Ciszę maciły rozbrzęczone muchy; zrzędził coś do siebie ochrypnięty zegar; powietrze tłoczyła letnia, popołudniowa duszność...

Pani Marjanowa zaczępnie chrząknęła. Z sąsiedniego pokoiku odpowiedziało jej milczenie swoją głuchą mową.

Pani Marjanowa zadzwoniła szklanką o spodeczek i szurnęła krzesłem. Znow odpowiadziało jej milczenie.

Pani Marjanowa stała jeszcze nieruchoma, ale poczyniała się już niecierpliwić. Już ją nawiedzała myśl wtargnięcia do pokoju córki, i już obmyślała nawet pierwsze słowa, jakimi przemówi, gdy... w otwartych drzwiach wyrósł, jak duch z nicości, czarnobrewy, karo-oki, obiecujący pan Ernest, a za nim sunęła wiotka, złocistowłosa, rumieńcem opalona Stefa.

Pan Ernest nie patrzył wprost na panią Marjanową; w ruchach skrępowany, błakał się wzrokiem po kątach i półkach, lecz w jego ciemnych źrenicach drżał powstrzymywany śmiech, lśniło młodzieńcze, niemal uczniakowskie, rozbawienie. Wszedł z zakłopotaniem, czepiając się oczami ścian, pieca, obrazów, niby niepewny, niby zawstydzony... i nagle jasno spojrział na wzruszoną wdowę.

Ona, póki jej młodzian unikał, nie spuszczała z niego oczu, piła go oczami, pożerała, i, co niepojęte, jednocześnie i tym samym wzrokiem pochłaniała córkę. Burzył się w jej macierzyńskim sercu gniew, lecz drżało i tkliwe współczucie; nawet żółte zmarszczki na jej starym czole układały się w hieroglif: Biedni, zawstydzeni... i dłonie

mówiły splotem: Biedni, zawstydzeni...; i pochylenie głowy powtarzało: Biedni, zawstydzeni... Wtym pan Ernest spojrział na wzruszoną wdowę spojrzeniem jasnym, słonecznym. Poczerwieniała i przymknęła oczy; potem wskazała drżącą ręką kawę i siadła w milczeniu do stołu. Pan Ernest rzucił z pod cienistych rzęs promień wesołości na rumieńce Stefy i też w milczeniu siadł przed swoją szklanką.

Stefę łechtała śmieszność położenia, ale ją chłostał jednocześnie wstyd, z którego się rodziła zgrzytająca wściekłość, wściekłość, gotowa wszakże za lada podmuchem zmienić się w huragan śmiechu, albo burzę łez. Teraz zapłoniona Stefa odpowiedziała panu Ernestowi na jego figlarne spojrzenie zmarszczką między równiutkimi brwiami i, utopiwszy lazury oczu w zimnej białej kawie, siadła cichutko za stołem naprzeciw miłego współwinowajcy.

I znów się jąła wlec długa minuta ciszy, napełniona brzękiem uprzykrzonych much, zrządzeniem stetryczanego zegara i coraz mocniej tłoczona parną a gęstą dusznością.

W głowie pani Marjanowej szamotały się dwie hordy najsprzecznějších myśli; w piersiach walczyła nieśmiałość z odwagą; chciała coś powiedzieć — zalały jej wyblakłe wargi i zacisnęły się mocno, a oczy raptem zwilgotniały i rozmoczyły deszczem zmartwienia miękkie podoczne torebki, niby uliczkę, pełną wyboi. Widząc to, Stefa zagryzła usta, a na pogodnej twarzy pana Ernesta zaiskrzyło się zniecierpliwienie. Szybko zakręcił łyżeczką w kawie i poprawił się na krześle w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: Zaczynacie być nieznośnie nudni! Dość mam tego, kończmy!

Potoczyła się leniwie jeszcze jedna ciężka i nieobrotna chwila milczenia.

Pani Marjanowa nie otarła łez i nie podniosła powiek, lecz jej zacisnięte wargi zelżały, potem wykonały, jakby dla wprawy kilka bezdźwięcznych poruszeń, i wreszcie wyszedł z nich głos, może niewiele silniejszy od

szeptu, jednak spokojny, albo raczej taki, który za spokojny mógł uchodzić.

— Czemu nic nie mówicie? — zapytała.

Stefę to pytanie zadrapało po wnętrzościach, jak kocie pazury, ale siedziała bez drgnięcia.

Pan Ernest, któremu na razie zrobiło się „nieprzyjemnie“, uczuł w sekundę później falę powracającej wesołości. Wziął dobrze utrzymanymi paluszkami herbatnika i, niby z zajęciem oglądając go nad szklanką, dźwięknął salonowym tonem:

— Owszem... rzeczywiście... jakoś rozmowa się nie klei.

A po chwili dodał:

— Prawdopodobnie wskutek gorąca.

Chrząknął.

— Tak, pogodę mamy śliczną. Śliczną. Fakt niezbity.

Chrząknął.

— Fakt niezbity. Ale czasami upał przebiera miarę. I dokucza. Tak... tak...

Ponieważ nikt nie podtrzymywał tych światłych spostrzeżeń i milczenie znów gotowe było lec twardym kamieniem między biesiadników, więc coraz bardziej rozbawiony młodzian rzekł, przekąsiwszy najpierw herbatnikiem:

— Upał oczywiście jest potrzebny, ja o tym wiem; na przykład dla zboża. W czasie żniw. Jest więc ponieważ dobrem społecznym... czyli złem koniecznym. Lecz wogóle...

Tu znów roztropnie chrząknął.

Przez usta Stefy przebiegł cień uśmiechu.

Pan Ernest popił.

— Kawa doskonała — mruknął — bo chłodzona. Tylko, zdaje się, bez cukru?

— Bez — wyrwało się niechący przygnębionej wdowie.

— A w pani kawie, panno Stefo, utopiły się dwie muchy. Niech pani nie miesza.

Stefę znowu zaczerwienił gniew, skłócony z dojmującym wstydem. Lazurówkami żrenicami zaświeciła w twarz pana Ernesta i zezowała w stronę matki, która usłyszała tylko zgrzyt perłowych ząbków, bo opuszczonych powiek dotąd nie podniosła. Pan Ernest, nie zadowolony z zachowania się złocistowłosej panny, nagle ostudził rysy oblicza twardą, lodowatą uprzejmością i po krótkiej chwili jadłowicie szepnął:

— Widzę, że się panie nudzą w moim towarzystwie.

A następnie dodał:

— Dopiję kawę, bo zimna, rokoszna — wszak panie pozwolą? — i odejdę.

Matka i córka poruszyły się z widocznym niepokojem. Córka nie pragnęła zostać sam na sam z matką, matka zaś... matce zaszumiało w głowie. Jakto, po dokonaniu tak strasznego, tak hańbiącego czynu, sprawca spokojnie wychodzi? wychodzi, żartując, przez nikogo nie zatrzymywany? wychodzi, jakby nic nie zaszło?! Boże litościwy, co się dzieje! Pani Marjanowa duszkiem pochłonęła szklankę niecukrzonej kawy i oparła zapłakany wzrok o pałające lica ukochanej Stefy.

— Panie — zaczęła, patrząc wciąż na Stefę — Panie Erneście... — Głos jej dygotał. — Po tym, co pan... zrobił... Nie, nie może pan zaprzeczyć, bo widziałam. Widziałam, panie Erneście! Jak pan po tym wszystkim może odchodzić tak... tak... zwyczajnie, nie nie powiedziawszy? Jak pan ma serce, człowiek tak ładnie wychowany... odchodzić... zwyczajnie?!

Pan Ernest w dobrze udanym zdziwieniu wybałuszył oczy, jak najuprzejmiej przytym przechylając głowę.

— Nie rozumiem. O czym pani mówi?

— Widziałam, panie Erneście, widziałam!! Niechże się pan nie zapiera! — powtarzała rozpaczliwie wdowa.

— Ale, no, ale... co pani widziała?

-- Jakto, każe mi pan jeszcze opowiadać?!

— Ponieważ nie wiem, o co chodzi...

Pani Marjanowa załamała ręce.

— Nie, to już jest chyba szczyt bezwstydu! Panie Erneście, przecież powiadam panu, że widziałam! Pan zresztą o tym wie! Na cóż to kłamstwo, głupie, wstrętne kłamstwo?! mówię, że wszystko widziałam! Stefa, Boże, Stefa, powiedz!

— Niech się mama, proszę, uspokoi.

— Poco się zapieracie?!

— Ja się nie zapieram! — wybuchnęła Stefa.

Zaległo milczenie, krótkie, jak po runięciu pioruna.

— Słyszysz pan? — zaczęła znowu pani Marjanowa, wstydliwie odwracając głowę od pasowej córki i niepewnie spoglądając na młodzieńca, który rozchylił obszerne wargi, tym razem w szczerym zdumieniu. — Słyszysz pan? A pan chciał odejść.

— Tak jest... proszę pani... chciałem, a... czy to pozostaje w jakim związku?

— Co?

— No niby... jedno z drugim?

— Tamto... z pańskim odejściem?

— Tak.

— Przecież chciał pan odejść... nie nie powiedziałeś.

— Proszę mi wierzyć, że zapierałem się jedynie przez — przez nieświadomość. Gdybym był wiedział, że pani, mówiąc „widziałam“, mówi o tej... tej drobnostce, niezwłocznie bym... Ale, niestety, nie zrozumiałem.

Pan Ernest sięgnął po herbatnika i, zanim go ukąsił, rzekł nader wytwornie z lekkim półukłonem:

— Jeżeli zaś życzeniem pani jest, abym zabawił dłużej, to uczynię to z prawdziwą przyjemnością, gdyż nigdzie mi tak mile czas nie płynie, jak w towarzystwie pań.

Stefa niecierpliwie mięła na zwartych kolanach małą serwetkę, ściągniętą ze stołu, i, najeżona, patrzyła w kawę.

Zaognione oczy nieszczęśliwej matki przebiegł szybki dreszcz.

— Panie Erneście — powiedziała przytłumionym głosem — tu nie o to chodzi. Tu nie chodzi o to, czy jest panu miło w naszym towarzystwie. Po tym, co pan zrobił... Ja się dziwię, że pan dotąd... Po tym, co pan zrobił... przecież młody honorowy człowiek... po tym, co pan zrobił, powinien prosić pan o rękę Stefy.

Pan Ernest raptem się uśmiechnął tak niepewnie, jak wykwinny gość, który w czasie trwania uroczystego obiadu rozgryzł pieprz i nie może odpowiedzieć na pytanie pięknej a pociągającej biesiadniczki. Stefę oblały strumienie potu.

— Ależ, mateczko... — szepnęła z przestachem, a następnie zaraz uśmiechnęła się skruszona i onieśmiona, jak dziewczątka, co się tłumaczy wstydem i zakłopotaniem.

Znów legło milczenie.

Na pomarączoną twarz biednej kobiety wystąpiły zwolna dwie ceglaste plamy.

— Pan... nie odpowiada... — wydławiła z gardła głosem podobniejszym raczej do stęknęcia.

— Ależ... mamó, mamó! — wykrzyknęła córka napół błagalnie, napół rozpaczliwie.

Pani Marjanowa spojrzała w jej stronę i nowe łzy zalały macierzyńskie, kochające oczy.

— Co mateczka mówił — oburzała się pasowa Stefa. — Proszę być przecież rozsądną. Niechżeż się mamusia uspokoi.

Stefa płonęła, szumiała oddechem, jej błękitne oczy błyszczały, jak gwiazdy. Pierwsze wykrzyki padły z purpurowych ust gniewliwie, ostro, ale natychmiast się op nowała; poczęła mówić gorąco, serdecznie, śmiało patrząc w matczyne, nierozsądne łzy, które powinny były wyschnąć pod balsamicznym technieniem słów, prawdziwie mądrych, czerpanych bezpośrednio z pięknej księgi życia.

— Poco mama się unosi? — ciągnęła nieco ciszej złotowłosa panna — Poco wogóle wspomina mama o tej... całej sprawie? poco mnie mama wstydzi?! — Wypieszczone palce splotła i ścisnęła. — Mamusieczku droga, nie powinnaś była wcale o tym mówić.

— Dziecko moje, chciałam...

— Nie nie mów, matusiu! Wiem przecież, co, nie-stety, chciałaś. Chciałaś, żeby pan Ernest ożenił się ze mną.

— Tak...

— Ależ mamusiu, mamusieczku... — Stefa urwała — Tylko się nie unoś... Ja... nie chcę wyjść za mąż za pana Ernesta.

Chwila ciężkiego milczenia przeleciała między mówiącymi, jak działowy pocisk.

— Znowu się przerażasz — podjęła Stefa. — Posłuchaj spokojnie. Ach, że o tym trzeba, trzeba mówić! — załamała rączki. — Mateczko złota, wiem, że chcesz najlepiej, jesteś dobra, za dobra... ja bywam często niewdzięczna, przebaczone. Nie przerywaj, pozwól! Ale... źle sobie tłumaczysz... dałaś się opanować pierwszemu wrażeniu... no tak, tak, mateczko: trochę przesadzasz. Tylko się nie gniewaj.

Pani Marjanowa wyszeptwała jakieś niewyraźne zdanie.

— Daj mi skończyć, mamó. Trochę doprawdy przesadzasz. I z tym ożenieniem... Czuje, że ze wstydu czerwienieję... Tylko już spokojnie, mamó... Tak, z tym ożenieniem... poco, ach, te rzeczy brać tak... jednostronnie?

W głowie biednej wdowy zaczynało szumieć.

— Jednostronnie? — zapytała — Jakto?

— No, ja wiem, że, owszem, no, że nie wypada aby dziewczyna z porządnego domu... nie powinnam była...

— Jakto? — powtórzyła pani Marjanowa w rosnącym wciąż oszołomieniu.

A córka ciągnęła:

— Owszem, moja mamó, no zgrzeszyłam, ale przecież, no zastanów się, no cóż to znów tak złego... samo przez się...?

Pani Marjanowa rozchyliła usta.

— Samo przez się to właściwie przecież... nie nie znaczy. A mateczka zaraz wszystko widzi czarno... zmuszać chce Ernesta... pana, by się ze mną żenił. Co on sobie pomyśli?! W jakim mnie mama stawia wobec niego położeniu! Ach, to krępujące! Jednocześnie nie zapytałaś mnie nawet, czy się zgadzam wyjść za niego za mąż. No zastanów się matusiu, no, moja najlepsza, chyba i ja w tej sprawie mogę coś powiedzieć, przecież tu o mnie, na miły Bóg, chodzi!

Wielkie zdumienie odebrało pani Marjanowej mowę. Pijącym wzrokiem patrzyła w twarz Stefy, która przemawiała głosem pieszczotliwym, owijała nim stroskaną matkę, jak rozkochanym, jedwabistym pnączem, łasiła się najmniejszym ruchem złotowłosej główki, poruszeniem ramion, falowaniem piersi, nieledwie drgnieniem rzęs, szmerem oddechu... Była prześliczna, jak mieniący się w słońcu kosztowny djament, i czarowała, jak zalotna wróżka.

Młodzian przestał kruszyć w palcach herbatnika i w zachwyceniu oglądał współwinną. Pałała ogniem tęczowych promieni. Drżała w podnieceniu, ale w podnieceniu dobrze okiełznanym. Niosło ją wzruszenie, ale jej nie ponosiło. Zwinęła się, niby pantera o srebrzystej szerści i powiedziała straszną prawdę matce, ta nierozsądna dziewczyna, i młodzieńcowi jednym słowem dała znać, że się nim bawi, tylko, tylko bawi, to dumne, dzikie, czarujące dziecko! Obojgu powiedziała prawdę, ach, co za zuchwalstwo! I ile wdzięku! Cały miliard wdzięku!

W zadowoleniu iście artystycznym chciał pan Ernest krzyknąć:

— Stefa, wiesz, czym jesteś? Najwykwintniejszą na świecie blachostką! Wartaś pocałunku, moje ty małe, drogocenne cacko!

Ale się powstrzymał od tego okrzyku. A w sekundę później Stefa zajaśniała wyszukańszym czarem, zapieniła się, jak złote wino, szumem perłowym upajającego bałamuctwa. Jej dotąd miękkie poruszenia ramion nabrały lotnej wiotkości motyla, jej kibić drgała, jak słoneczny promień poprzez lęklive listeczki brzozy, światło jej żrenie grzało, nie paliło, i zapytała głosem, który zdawał się mieć białe, dobre rączki, głaszczące czule matczyne wzburzenie:

— Czy mnie matuchna aby zrozumiała?

Pani Marjanowej biły młoty w skronie. Z ogarniającego ją dotąd zdumienia wypełził wolno strach i, niby liną, krępował jej szyję. W głowie się coś zaroiło, w uszach zadzwoniło, pani Marjanowa zapragnęła mówić, ale ciągle jeszcze rozchylone usta nie zdołały wydać najslabszego dźwięku. I oto znowu chciało spaść milczenie, jak nieproszony gość z księżycy, gdy czarnobrewy gość odsunął palcem okruszyny ciastka i głosem, dostrojonym do serdecznych tonów przemówienia Stefy, wślizgnął się nieznanie z pomocniczym słowem.

— Tak, tu o to chodzi — podjął bardzo cicho, ale nie za cicho — żeby uniknąć nieporozumienia.

Poprawił krawat i uprzejmie kaszlnął.

— W rozdrażnieniu łatwo wziąć czarne za białe...

— A mateczka dzisiaj strasznie rozdrażniona! — rzekła uczuciowo córka.

— Właśnie, panno Stefo, za to my musimy być tym rozsądniejsi.

Zwrócił się do wdowy:

— Ach, ja nie jestem przeciwny małżeństwu, niech mnie Pan Bóg broni! A pani mnie, niestety, w ten sposób pojęła. Bo i dla czegoż miałbym być przeciwny? Owszem, małżeństwo wogóle, a zwłaszcza, zwłaszcza w szczególności... naturalnie, ależ naturalnie!

Odsunął się trochę wraz z krzesłem od stołu i z godnością ciągnął wyluszczenie dalej.

— Pani mnie nie rozumiała. Ja małżeństwo cenię. Tak samo je cenię, jak i pani, jak i panna Stefa. Małżeństwo to nie byle co, ja wiem, małżeństwo to rzecz poważna, rzecz na całe życie.—Najuprzejmiej kaszłał.—Lecz dlatego właśnie, że to rzecz poważna, trzeba się wystrzegać pomieszania pojęć, lekkomyślnych ujednoznacznień małżeństwa ze sprawami, które... może do pewnego stopnia przypominają to małżeństwo... zewnątrznie, z pozorów... które jednakowoż nie wspólnego ze świętą powagą małżeńską nie mają. Czy mnie aby pani dobrze rozumiała?

Pani Marjanowa zapomniała w pilnym zasłuchaniu choćby tylko skinąć wskazującym palcem.

— Chciałem wytłomaczyć tylko fakt, że co innego jest małżeństwo, a co innego... znów... zabawa.

Młodzian odchrząknął.

— Jeśli się zabawę zmiesza z obowiązkiem, czyli utożsamia, to się, proszę pani, chyba źle uczyni, bo zabawa z obowiązkiem nie wspólnego mieć nie może. Ja jestem z szacunkiem dla... no, obowiązku, ale również myślę, że zabawa to rzecz tak niewinna... choćby przeciw niej świadczyło tysiąc sto tradycji! tysiąc obyczajów! dopóki człowiek zechce się weselić! Jakto, proszę pani, czyż szczerza wesołość miałaby być rzeczywiście winą, czy przestępstwem?! Miałoby być zabronione człowiekowi szczerze się zabawić? jak on chce, jak pragnie?! Ależ w takim razie, cóż mu pozostaje? Bo, nareszcie, człowiek, proszę pani, czym jest, proszę pani, człowiek?

Pan Ernest pytał coraz przenikliwiej, ze wzrastającym wciąż jakby przejęciem.

— Przecież to biedne, nieszczerne stworzenie! I jeszcze mu odbierać prawo do pustoty?! Zabrać mu ostatnie jego małe dobro: radość niewinną w igraszkach? zabrać mu wesołość? szczerą ochotę do uciech? zabrać mu ten biedny jego zbytek, zbytek prawdziwie żebraczy: zabrać mu to lubie jego prawo do zabawy?! Poco? na miły, miły Bóg, na co?! Niech się pośmiejże pocziwy biedota,

niech się poraduje. Za zgryzoty życia, za wieczne kłopoty, za nieprzyjemności. Życie to nie figiel, życie to... to twardy obowiązek. Człowiek żyje, żyje, potem przyjdzie śmierć... zakopią w ziemi... Czy mnie aby pani dobrze rozumiała? — dodał po chwili posępnej zadumy. — Może wypowiadam się nie dosyć jasno? — Opuścił skromnie oczy ku podłodze. — Chciałem tylko stwierdzić, że... że właśnie pani... raczej, to jest, panią, panią rozdrażniło... i niepotrzebnie rozdrażniło... wskutek pomieszania pojęć...

Mówił coraz ciszej, coraz mięcej, cieplej, jakby się obawiał spłoszyć słuchającą.

— ...Każdy jest omylny... — powiedział niemal szeptem — Ludźmi i tylko ludźmi jesteśmy — rzekł już tak wnikliwie, jak gdyby dusza gadała do duszy.

— Mamusieczka padła ofiarą pomyłki — wybiegło z ust Stefy, niby przesłodka, balsamiczne technienie.

Na to pan Ernest zaśmiał się oczami, lecz z jego warg spłynęły słowa ciche i uprzejme:

— Właśnie tę samą myśl pragnąłem wypowiedzieć.

Rzekł i zaraz potym trochę się zakasłał.

— Teraz, kiedy już mamusia wie zupełną prawdę, niechżeż się mamusia uspokoi — nalegała pieszczotliwie Stefa.

Pan Ernest przytaknął:

— Oczywiście. Teraz już niema powodu... Teraz, kiedyśmy już wyjaśnili prawdziwy stan rzeczy... kiedy podejrzenia pani, oparte na błahych pozorach, sądzę, że zdołaliśmy rozwiać... chyba nie pozostaje nam nic innego, jak w dalszym ciągu, po dawnemu, spokojnie, przyjemnie, żyć w najlepszej zgodzie. Widzę, że się pani uspakaja. Sprawia mi to niewymowną radość. Cierpieć przez pomyłkę, ach, to wielka przykrość! A jednak pomyłki, te smutne pomyłki, ileż napsociły w życiu! ile przez nie popłynęło łez! a nawet ile wykopały grobów. Nie, doprawdy, nie chcę o tym myśleć. Weszliśmy na bardzo smutny temat.

Pani Marjanowa pokiwała głową. Zmarszczki jej pośółkłej twarzy wypokraczył ból. Długo patrzyła na kochaną Stefę i schrypniętym, jakby zardzewiałym głosem wyjęczała:

— A więc doczekałam się, że moja córka...

— Mamo, chcesz powiedzieć głupstwo! — zawołała Stefa, ciemna z oburzenia.

Pani Marjanowa zacisnęła szczęki. W szparkach jej oczu kręciły się łzy; promykiem wzroku mętym a bolesnym biczowała córkę, która błyskawicznie stanęła przed matką, wyprostowana, jak harfiana struna.

— Mamo — wyrzuciła ze zduszonego gardła — to, co... tam widziałas, to nie była podłość! przysięgam ci, mamo!

Stefa kipiała, niby wściekły war, ale ostatkiem sił powstrzymywała wybuch.

— Pani męczy córkę — rzekł młodzian do wdowy tonem poważnej, serdecznej wymówki. — Swawoliliśmy... nie więcej...

Pani Marjanowa, jakby nie słyszała. Więc pan Ernest zamilkł. I do pokoju znów wkradła się cisza z niezwykle głośnym brzęczeniem much, z wściekłym zręzeniem zegara i z upałem tak przytłaczająco ciężkim, że oddychanie stawało się pracą.

Stefa usiadła na poprzednim miejscu, łokciem oparła się o stół, lecz nie zdążyła zakryć smutnych oczu, nim z nich wyciekły brylantowe łzy i potoczyły się po purpurowej drodze, niby po niebie szkarłatnym od łuny przesuwające się wielkie komety.

Młodzian zwiesił głowę. Powietrze ciągle nabierało wagi.

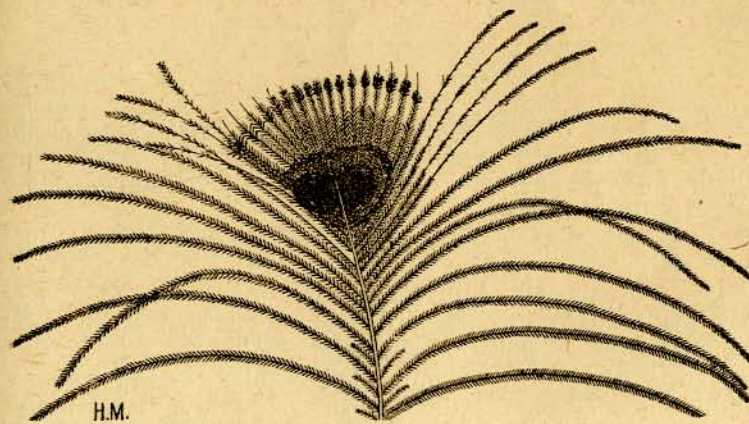
Panią Marjanową zatargał niepokój. Stefa, śliczna Stefa płacze! Pani Marjanowa splotła chude dłonie — cierpi, och, jak cierpi! Na jej dobre serce padają łzy córki, jak ołowiane deszcz ciężkich wyrzutów. Stefa nie jest podła! Stefa i podłość! w to przecież nigdy pani Marjanowa nie uwierzy. Drgnęła. Chciała wstać. Lecz

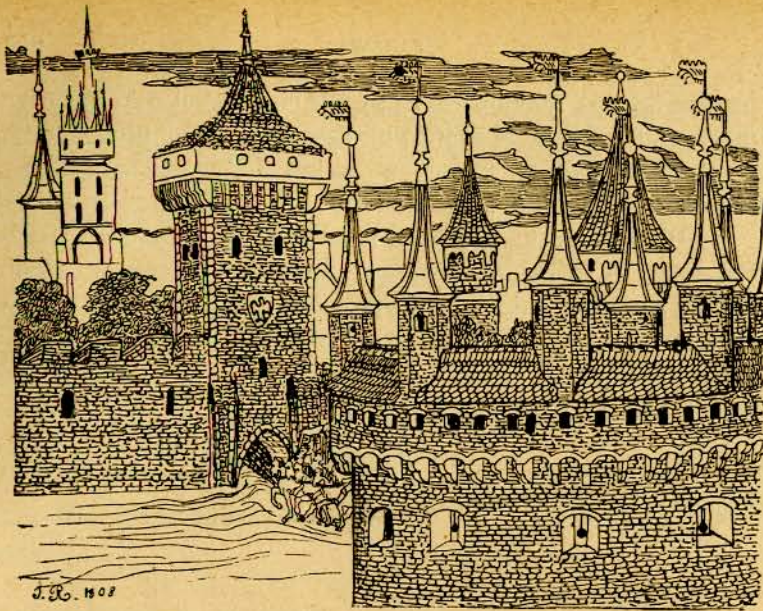
jeszcze ją coś trzyma... A tu Stefa płacze! Ach, co za męczarnia! Pani Marjanowej zawraca się w głowie; niewysłowny ból gniecie ją w dołku. Jedynaczka... Stefa... złotowłosa... wiotka... martwi się... łzy leje!

Biedna matka chlipie. Wstała z trzeszczącego krzesła, idzie do córki na pijanych nogach i bierze ją, drgając, w kościste objęcia. Stefa wybuchnęła rozpaczliwym szlochem... skrzywdzona; zatrzepotała się, jak biedny ptak, i przytula buzię do mateczynych piersi, jak przestraszone, skarżące się dziecko.

Pan Ernest pojał osobliwość chwili — i z szacunkiem wyszedł.

4/V 908 r.





JÓZEFOWA KOTARBIŃSKA.

Ze wspomnień o Adamie Asnyku.

I.

Artysta-rzeźbiarz z ostatniej chwili bytu ciała Asnyka na ziemi utrwalił — śmierci piętno. I leży przedemną blada gipsowa maska... Wzrok mój szuka śladów życia... Wywołuje w myśli szeregi wspomnień...

Słyszę cichy głos, wyrazy rozmowy, półuśmiechy i westchnienia. Widzę oczy, które tyle razy blask rzucały, całą postać, która żywa wchodziła między nas, a z nią wespół najpospolitszych wydarzeń życia snuł się niepospolity motyw wielkiego ducha.

I oto leży przedemną tylko blada maska, droga, smutna pamiątka. A mimo myśli, że „po wszystkie czasy, przez obszar daleki, wiążą się istnieć kolejne ogniwa“, z głębokim żalem patrzę i widzę, że promienie ócz tych zagasły. Usta zamilkły. Aureola talentu, wiedzy, myśli, nie ożywia już tego czoła, pod którego strażą stało — tyle cudów duszy. Cisza i martwota.

* * *

Twarz Asnyka była jedną z tych, co, raz widziane, trwają w pamięci na zawsze.

Na wysokie jego czoło spadały w pewnym estetycznym nieładzie promienie srebrnych włosów, nos rysował się wyraziście, usta przykrywały długie, opadające wasy, krótki zarost okalał twarz chudą, przez której cienką skórę przebijały wszystkie żyły skroni.

Z pod krzaczastych brwi, naprzód wysuniętych, patrzyły głęboko osadzone oczy, to zgaszone, jakby przykryte cieniem, to błyszczące jasno przyżywieniu i rozmowie, pełne głębokiej zadumy, powagi i smutku.

Cała postać wysoka, wątła, nieco pochylona. Chód kołyszący się, chwiejny.

Asnyk był niesłychanie nerwowy. Chwili nie siedział spokojnie, sadowiąc się w fotelu bez końca. Jeżeli czytał, miał gazetę, poprawiał bezustannie binokle, odrzucał opadający promień włosów z czoła. A w rozmowie poruszał krzaczastymi brwiami, to wysuwał brodę i wasy naprzód, to je cofał, a wszystkie fibry twarzy drgały i cały drżał — jak motyl na szpilce.

Mimo to i mimo pewnego zaniedbania, powierzchowność miał wytworną, delikatne obejście i dostojeństwa pełną postać. Przychodził czasem do nas tak wyczerpany i osłabiony, że blady, ze zgasłymi oczyma, głosem stłumionym, mówił powoli: „umieram“ i zapadał w fotel na sekundę bez ruchu. Ale w tej samej chwili, jeżeli rozmowa go zajęła, jeśli wszedł ktoś, kogo lubił, ożywał się i nawet błyskał dowcipem, który był zawsze subtelny i przenikliwy.

Mieszkał arcy-skrótnie. Miał domek parterowy, swój. Bibliotekę miał w nieładzie, zostawił stosunkowo książek niewiele, choć tonał w bibule.

Mieszkanko było małe, niskie, jakby zapadnięte w ziemię; z zewnątrz i wewnątrz odrapane, zaniedbane. Sień dzieliła je na dwie połowy.

Jedną połowę zajmowały dwa pokoje, w których przyjmował znajomych.

W pierwszym było małe biurko, zaciśnięte w kącik, skryte pod stosem rupieci, zakurzone, bezładne.

W drugim — na stole, na kanapie, na fotelach, stolikach, na podłodze z wyblakłym dywanem, słowem, wszędzie, gdzie tylko mogło coś leżeć, leżały papierzyska, książki i pisma.

Gromady, stosy, składy książek, gazet, zeszytów, zda się, pod sufit nagromadzonych, a wśród tego za wielką gazetą lub książką, w głębokim fotelu, dopiero coś drgnęło, coś się ruszyło, zaszeleściało... i wychylała się piękna głowa z oczyma pełnymi myśli-zadumy. To Asnyk. Na ścianie, między oknami, wisiał portret zmarłej żony poety, na drugiej portret jego własny, naturalnej wielkości, malowany przez Strażyńskiego. Krzyż hebanowy z białym z kości słoniowej Chrystusem... To wszystko.

Drugą połowę, przeznaczoną na sypialnię, poznałam później znacznie, wśród ciężkiej jego ostatniej choroby.

Za domem był ogródek, równie zaniedbany, jak całe domostwo, a kres jego naturalny znaczyła wążka, brudna rzeczka Rudawa.

Było w kuchni dwoje starych służących, Wawrzyńcowie, był nędzny psina i była straszna jakaś bezkobiecość w tym wszystkim. I za życia zawsze raniło mnie to, nad czym cierpiałam, odwiedzając grób jego pusty — nie znać tam było, żeby go kto kochał.

To było mieszkanie człowieka samotnego o duszy zamkniętej.

Nikt tam nie śmiał ruszyć w żadnym kącie, jak nie śmiał zajrzeć w głąb jego duszy.

W jednym z ostatnich swych wierszy, który nie był drukowany w żadnym zbiorze Asnyka, poeta mówi:

Kto nie umie z piersi własnej
Wysnuć uczuć tęczy jasnej
I miłością świat obdzielić,
Kto nie umie raju stworzyć
I w nim szczęściem drugich ożyć
I w ich losy swoje wcielić—
Ten, choć duszy swej nie splami,
Nie wyprosi niebios łzami

Jałowemi

Odkąd z raju nas wygnano,
Trzeba kochać — i kochaną

Być na ziemi.*)

*) Jeden z kilku wierszy, pisanych na tekturowych paletach dla protektorek balu na Szkołę polską w Białej im. Asnyka. Drukowany prawdopodobnie w „Dzienniku Poznańskim“, z przeznaczeniem dochodu na tenże cel.

Ale sam — ludzi, na ogół, nie kochał.

— Mam dużo dla ludzi uczuć antypatii w sobie. Do tego stopnia, że antypatyczne uczucia muszę poskramiać, walczyć z nimi — mawiał nieraz. Był przyjacielem St. Hrumińskiego, a kochał z pewnego rodzaju słabością jednego Sewera Maciejowskiego, postać niezmiernie sympatyczną, pełną życia, werwy, zamaszystego humoru i fantazji. Wiecznie się o coś niby gniewali, sprzecali. Sewer z uśmiechem, drwinką, żartem, przekomarzaniem. Asnyk serjo, czasem zapalczywie. Ale naprawdę gniewało Asnyka najwięcej tylko to, jeżeli Sewer wyjechał i opóźnił termin powrotu. Wtedy przychodził do nas i z irytacją powtarzał: „Wie pani, nie wraca, znów nie wraca, choć przyrzekł. A brak mi go, brak bardzo, kocham go, mimo to, że bywa nieznosny.“

W młodości poślubiła ich walka za Ojczyznę i wierne szli razem do końca. W Krakowie lat kilkanaście bywał Asnyk w domu Sewerów codziennym gościem. U nas bywał codzień, jeśli oni wyjechali, albo jeśli się ze sobą czasem pogniewali, z czego, o małości serca! bywałam zadowolona i mówiłam im nieraz, że zawsze ta poswarka trwa dla mnie zbyt krótko.

Był ich przyjacielem. Był przyjacielem całej ich rodziny. Ale to była przyjaźń poety. On umiał kochać idee, ludzkość. Kochać naród. Wiedział, co ból, ten ból jakiś wielki, zbiorowy, wielkie nieszczęście, wielkie cierpienie, wielka zagłada, wielka rozpacz nad krajem całego mogiła. Ale nie umiał, wprost nie umiał przeżywać bólu, nieszczęścia, czy niepowodzenia swego przyjaciela. Nie umiał radzić, więc ginał w ciężkich czy drażliwych chwilach, gubił się bez śladu, odnajdując się znów, gdy złe mijało.

Miał jedynego syna. Matka, dając mu życie — odeszła. Asnyk opowiadał to z głębokim wzruszeniem.

— Włodzio urodził się w Poznaniu. Mój teść był doktorem, chciał nad córką czuwać, więc tam pojechała i w tydzień po przyjściu na świat dziecka — umarła. Chore serce nie przetrwało ciężkiego przejścia. Była jedyną córką rodziców, którzy po stracie dziecka, zniechęcili się. Córka ich miała serce chore, ale oni snąć mieli — serce małe.

Wnuka zatrzymali u siebie. Do ojca wrócił, mając lat czternaście i wtedy go poznałam. Oczywiście, stosunek ten w założeniu zwichnięty był i nienormalnie się też ura-

biał. Asnyk kochał chłopca po swojemu. Syn, jak sam opowiadał, był chowany w nienawiści do ojca, przysłuchiwał się nieraz długim rozprawom, mającym na celu pozabawienie go sukcesji po żonie... A jakkolwiek ów posiew nienawiści nie przyjął się na jego gruncie, to już sama taka atmosfera nie mogła wpłynąć dobrze.

Umysł ojca mu imponował. Wobec poezji, całej twórczości jego — zachował chłód. A serc swoich się nie nauczyli. Nie żyli razem, a kiedy się zeszli — nie umieli się przeczytać. Chęci były dobre, ale chłopiec, choć inteligentny, inaczej był szlifowany. Ściany ich dusz nie przylegały bezpośrednio do siebie.

Częste troski przygniatały z tego powodu Asnyka, który wogóle był wobec całej sprawy kierowania chłopcem — bezradny.

Ta bezradność występowała zresztą nieraz w całej jego działalności. Wszelki czyn go przerażał. Od postanowienia, rozstrzygającego słowa uciekał na kraj świata. Kiedy raz toczyła się jakaś sprawa w radzie miejskiej, w której z przekonania musiałby wystąpić opozycyjnie, a na razie względny towarzyskie czyniły tę sytuację drażliwą: „Najwyższy czas uciekać“ — powiedział, żegnając się, i wyjechał... na Cejlon.

Wrócił oczarowany podróżą. Opowiadał, że wszelkie opisy nie dorównują rzeczywistości. W Bombaju zatrzymał się dwa dni. Zwiedził miasto, a za miastem wyspy, „owe sławne Mallabarhill, na których wznoszą się Wieże milczenia, gdzie składane bywają ciała umarłych, na pożarcie sępom, krążącym w wielkiej ilości w pobliżu.“

O samym Cejlonie mówił z entuzjazmem. Z hotelu, w którym mieszkał, miał cudny widok.

— Wzrok ogarniał nieskończoność oceanu Indyjskiego i całą linię wybrzeży od portu i fortyfikacji aż do Mount Lavinia, które widać było przez zielone wstęgi gajów palmowych, magnolji, mimozy i tamaryndów.

— Cała ta część miasta, w której mieszkałem — stanowiła jeden wspinały ogród; wille Bengalów i Europejczyków pomieszczone w nim były z chatami Syngalezów.

Niezapomniane wrażenie wywierało na nim jezioro wewnątrz miasta, pokryte białymi kwiatami lotosów.

Zdaje się, że ponad opowiadanie w potocznych gawędach o wspinałej florze Cejlonu i bogatej faunie Indji — gdzie „jak w Arce Noego, można ciągle spotkać wszystkiego po parze“, ponad kilka listów, pisanych do Sewerów

Maciejewskich, które są, a kilka do syna, które nie wiem, czy istnieją, niewiele więcej z tych wrażeń zostało.

Listów nie cierpiał pisywać.

— Zmieniły one wogóle charakter — mawiał. — Piszę się dziś listy realniejsze, mniej dysertacji i metafor, więcej rzeczywistych potrzeb. Wszelkich kwestji osobistych i drażliwych unikam w liście, nie dotykam ich nigdy w piśmie. Do filozofowania nie mam ochoty, to nie mój *genre*. Zostaje rzeczywista potrzeba, którą załatwiam w krótkich najczęściej wyrazach, i na tym koniec.

A kiedy raz, podczas rozmowy, bawiący u nas p. Leopold Méyet, zachęcał Asnyka do napisania wspomnień z podróży...

— Czytałem dużo podróży i dużo pięknych rzeczy — odpowiedział, ale gdy porównywałem to potym z naturą, tyle znajdowałem zawsze kłamstw, że to mnie nie zachęca do pisania. Zresztą, prozą trudno mi pisać, prozaikiem jestem nieszczęśliwym.

* * *

Cienia pychy czy zarozumiałości, ani na punkcie swej naprawdę gruntownej i szerokiej, olśniewającej wprost wiedzy, ani na punkcie swego talentu, nie dostrzegalam u Asnyka nigdy. Przy wielkiej godności skromność była jego cechą. Pochwały przyjmował w milczeniu, z pewnym zakłopotaniem.

Wchodził zawsze nieśmiało, bywał więcej zażenowany, niż pewny siebie. Mówił cicho. Zdania nie narzucał. A list, który przytoczę, zaświadczy, jak skromnie cenil swą pracę.

Za pośrednictwem mego męża robił układy o swe wydawnictwo z firmą Gebethner i Wolff; pisze do nas do Warszawy:

„Dziękuję najserdeczniej za otrzymany list i za tak żywe zajęcie memi sprawami. Doprawdy, że mnie Szanowni i Kochani Państwo zawstydzacie swoją dobrocią. Na warunki ofiarowane zgadzam się, to jest za 1200 rb. odstępuję prawo wydania puszczonej przez cenzurę poezji, w granicach drukowanych poprzednio tomów, w jednej ozdobnej edycji, a drugiej popularnej, rozumie się na raz jeden z zastrzeżeniem na później prawa własności. Co do zaliczki, to radbym otrzymać połowę ceny, t.j. 600 rubli w terminie mniej więcej do 15 lutego 1897 r., żebym mógł wyjechać nieco na południe.

„W ostateczności poprzestałbym na 500 rb. Nie targuję się wcale i nie żądam żadnej nadwyżki za popularną edycję, bo mi chodzi więcej o spopularyzowanie moich rzeczy, a w ogólności warunki, uzyskane z łaski Sz. Państwa, uważam za nadspodziewanie korzystne.

Dziękując raz jeszcze za wszystkie trudy, poniesione dla mnie, życzę wszystkiego dobrego i pozostaję z serdeczną wdzięcznością i przyjaźnią.

Adam Asnyk.“

Za każde zaproszenie dziękował, był za nie wdzięczny. O swej osobie i pracach swoich mówić nie lubił.

Kiedy raz wobec niego i kilku innych osób, mąż mój przeczytał „Pigmaljona“, Asnyk powiedział: „Wobec autora czytając, panie Józefie, zawsze bezpieczniej jest wymienić jego nazwisko, bo nużyby kto po skończeniu zawołał: „jakież to głupie!“

Tego samego „Pigmaljona“ w kilka dni mąż mój mówił na estradzie.

— Na estradzie wyszedł „Pigmaljon“ stokroć potężniej—opowiadał mi Asnyk.—Ale wie pani, ja straszne przechodzę chwile, gdy co swego słyszę. Jeszcze, o ile to jest w teatrze, można się cofnąć w głąb łoża, zaszyć w kacie. Ale na koncercie, gdzie i na prawo, i na lewo, i ze wszystkich stron patrzą... to rozpacz!“

A *propos* głośnego czytania opowiadał, że w 60 roku całemi pakami szwarcowali Słowackiego i często czytali głośno..

— Ja raz miałem zabawne zdarzenie. U pewnego mecenasa, gdzie było parę osób, zacząłem głośno czytać „Kordjana“. Wśród całego zapалу mojej deklamacji ktoś opuścił pokój, potym ktoś drugi, trzeci... aż nareszcie spostrzegłem, że deklamowałem z emfazą przed pustym pokojem. Zostawili mnie samego...“

Dalej toczyła się tego wieczoru nie wyczerpana nigdy na ten temat rozmowa, z czytaniem wyjątków, tym razem z „Beniowskiego“. Asnyk utrzymywał, że wszystkich twórców „nastroju“ wyprzedził Słowacki, w takim np. niezrównanym ustępie, który, jak mówił, bez końca powtarzał w młodości:

„W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne,
Przeglądał blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne,
Jedna z marmuru, a druga z promienia,

Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne

I nie ruszały włosów i odzienia.

Między kolumny na niebie się kreśląc,

Staliśmy, jak dwa sny, oboje myśląc.

Asnyk, zasunięty w głąb fotela, stłumionym swym głosem, z wzrokiem, w dal puszczonego — deklamował, ale tym razem, w roku 1894, nie wyszedł nikt z pokoju.

* * *

Na krytykę nie był wrażliwy.

— Czy wiecie państwo — mówił prawie z humorem przy dzisiejszym redaktorze „Czasu“, p. Rudolfie Starzewskim, którego towarzystwo zawsze bardzo lubił, określając umysł jego wyrazem „geistreich“, — dostałem strasznie cięgi od Niemojewskiego. Napisał wiersz a propos wiersza mojego „Włoży“, gdzie mnie masakruje. Odsadza od wszystkiego, jednocześnie powiada, że naród przejdzie nademną do porządku dziennego.

Z tym wszystkim ucieszył mnie ten wiersz; na tego rodzaju napaści nie jestem wrażliwy, a wiersz sam doskonałe zrobiony, doskonałe napisany.

Jestem przede wszystkim artystą, to też zupełnie obiektywnie to sędzę i chociaż na mnie strasznie napada, kontent jestem, że taki wiersz się pojawił.

A kiedy w nawiązanej na ten temat rozmowie, p. St. przytoczył artykuł p. L. Méyeta, w którym wyczytał, że jedno z pism po śmierci Słowackiego dało notatkę: „umarł J. Sł., autor tego i tego“ — nic więcej, Asnyk opowiadał:

— Pierwsza recenzja o moim tomie w „Przeglądzie Polskim“ w 1869 r. była taka: „pojawiają się różne książeczki z wierszami, pełne błędów stylowych, gramatycznych, często ortograficznych. Tom wierszy Ely'ego różni się od nich tym, że od błędów stylowych, gramatycznych i ortograficznych — jest wolny“. Więcej nie.

— Krytyka mnie nie dotyka, przeciwnie już wówczas pomyślałem: mają rację, bo niema błędów ani gramatycznych, ani ortograficznych. I o ile niema rażącej niesprawiedliwości, jestem na krytykę dosyć obojętny.

Mąż mój, co wynikło z rozmowy, był zdania, że Chmielowski nie zrozumiał w wielu razach ostatniego wówczas wydanego tomu Konopnickiej, że np. przepiękny wiersz „Tama“ nie poruszył go.

— Bo on nie ma spontanicznego odczucia poezji — powiedział Asnyk — dopiero dochodzi drogą rozumowania i badań do danych wniosków. A poezję trzeba przede wszystkim odczuć. Kwestja krytyki poezji naogół jest rzeczą bardzo trudną. Mało kto pisze krytyki poezji dobre. Brandes jednak napisał wspaniałą rzecz o „Kainie“ Byrona.

* * *

Asnyk czytał — bez końca. Każda książka go interesowała. Najnowszy romans Huysmans'a, dzieło filozoficzne Nietzschego, kronika Prusa, wiersz Konopnickiej, Tetmajera, Kasprowicza, powieść Sienkiewicza i Orzeszkowej, dziennikarstwo całego świata, słowem śledzenie we wszystkich kierunkach postępu i twórczości myśli ludzkiej — to był jego świat. Zawiść była mu obcą. Pięknym wierszem cieszył się, zalecał do przeczytania. Dzielił się chętnie wrażeniami, a wszystko, co przechodziło przez filtr tego wytwornego umysłu, było interesujące, niepospolite. To też mimo spokoju i ciszy, cechującej jego obejście — jeśli się znalazł w towarzystwie, które go odczuwało — nadawał zaraz swoje piętno zebraniu.

Cały djapazon rozmowy mimowoli podnosił się o parę tonów, a pospolitość codziennego życia takim potrafił oświecić promieniem, że w jego towarzystwie z dnia powszedniego — robiła się zawsze jakaś uroczystość bez świąteczności.

— Mnie bo arystokracja ma za demagoga, a partja postępowa za zaprzedanego arystokracji — mówił kiedyś. I musiało tak być.

Arystokracja, ta, która myślała, czuła i czytała, zrozumieć nie mogła, jak człowiek tak wysokiej kultury umysłowej, tak subtelny, tak istotnie arystokratycznego ducha, nie będąc demagogiem może tkwić w kołach, w których się obracał.

Koła zaś, w których się obracał, prócz może kilku jednostek, nie były w stanie wspiąć się na wyżyny, w których duch jego przebywał — ani osiągnąć szczytnie liberalnej jego myśli. Asnyk — na tle małomieszczańskim — wyglądał jak wytworny, egzotyczny storczyk na łanie kartofli.

Aż mi żal nieraz było, kiedy go widziałam, ginącego pośród buf, modnych rękawów — postrojonych, pulchnych

mieszczek. Nikt tam do jego osoby należnej nie przywiązywał wagi. Był tylko między innemi, zarzucony w szarzyźnie pospolitej atmosfery, którą umie w całej pełni stworzyć mieszczański salon — ze swym życiem bez ideału, nawet wśród tak kulturalnej atmosfery, jaką ma Kraków.

To też, co prawda, mało bywał, wyróżniając dom pp. Dr. P., bo ją uważał za kobietę, przerastającą inteligencją czy sprytem — oczywiście tylko swoją sferę. Był też tam otoczony pewnym kultem, często grywał w winta, a pani domu grała z nim — ostatnią, niestety, partję, jaką grał w życiu, w dn. 25 Kwietnia 1898 r.

* * *

Towarzyskości, w tym łatwym znaczeniu, już nie miał, kiedy go poznała; przeciwnie, mówił mi kiedyś, że chciałby spieniężyć dom i osiąść w lesie — samotnie, choćby nawet zupełnie ludzi nie widywać. Zgodziłby się na to chętnie.

W młodości bywało inaczej.

— Raz z Heidelberga, opowiadał nam, pojechałem do Schwarzwaldu, gdzie kryła się cała magnateria francuska, bo we Francji wrzała wojna.

Była tam, między innemi p. L....berg, z córką, miss Mary, młodziutkim, ładnym stworzeniem. Byłem wtedy młody, pełen inwencji; pamiętam, raz urządziłem wycieczkę, do której przygotowałem wozy drabiniaste z dzwonkami i biletami, jak do tramwajów. Na miejscu wycieczki czekała żywność, kwiaty dla dam i różne niespodzianki. Bawiliśmy się doskonale, a były to czasy, w których pito jeszcze na cześć narodu polskiego w moje ręce, jako jego przedstawiciela. Rozmowa toczyła się po francusku i po angielsku. Na pożegnanie obsypano mnie kwiatami, pani L....berg była kuzynką Rotszyldów, miss Mary była piękna... Obie panie zapraszały mnie do Biarritz... Ale do Biarritz — nie pojechałem... A dziś... a dziś, kończył ze zgasłym już spojrzeniem, odrzucając promień włosów z czoła, dziś musi to być już brzydka kobieta owa miss Mary...

W tej fazie życia, w której ja poznałam bliżej Asnyka, lubił już tylko małe, ale dobrze kółko. Wejście osoby, z którą nie sympatyzował — a tym na imię był legion — zamykało mu usta. Kurczył się dziwnie cały i chował, jak ślimak w skorupę.

Raz, pamiętam, dostałam srogie napomnienie, że niebacznie dopuściła do wejścia istotnie, dziwacznej starej panny, która przerwała gawędę. „Na co było ją wpuszczać, nam było dobrze bez niej“, bardzo dobitnie, wysuwając brodę naprzód, cały zdenerwowany szepnął mi Asnyk, i dopóki nie wyszła — nie przemówił słowa. Takie sceny powtarzały się od czasu do czasu z gośćmi, którzy poza dniem przyjęć pojawiali się niespodziewanie, to też zaproszenia na śniadanie czy obiady wysyłałam zawsze po naradzie z panem Adamem.

* * *

Kobiety zajmowały go już więcej, jako wspomnienie, aniżeli jako teraźniejszość. Na wszelkie żarciki lub lekkie insynuacje w tej mierze — odpowiadał zawsze: „jestem już za stary“.

Lubił jednak wyjątkowo poza p. Sewerową Maciejowską, którą ogarniał jednym uczuciem z jej mężem, bo tych dwojga ludzi nikt nigdy w myśli nawet nie rozdzielał — pannę J... G., śliczną, anielską dziewczynę. Miała złote włosy, niebieskie oczy i białą duszę. Kiedy patrzył na nią, nieraz znać było, że myśli: „nie dla mnie już rumieńce róż!“...

Jako o guście przelotnym opowiadał o Szapirce, aktorce krakowskiej i o miłości dla Modrzejewskiej.

Poza temi wspominał jeszcze o swej znajomej p. R., jako o kobiecie, która miała szczególny dar mówienia... i poza tym nie pamiętam, aby się którą z dam znajomych zachwycał.

— Wogóle — cenię więcej w kobiecie przymioty temperamentu. Są one ważniejsze w codziennym obcowaniu od cnót charakteru.

— Kobiet, oddanych tak dalece sprawom społecznym, że aż to graniczy z zaniedbaniem spraw ich kobiecości, nie lubię. Ale nie jest dla mnie kobietą pełną ta, która nie interesuje się wszystkim, co obchodzi jej społeczeństwo, która w nie nie wnika, ta jest dopiero dla mnie prawdziwą kobietą, która cieszy się lub cierpi razem z ogółem i która odczuwa wszystkie szczęścia i nędze ludzkie.

Taka Orzeszkowa — to prawdziwa kobieta-obywatelka. Ja też dla niej nietylko jako dla pisarki-artystki, ale i dla jej cnót obywatelskich prawdziwe, głębokie mam uwielbienie.

Dla Orzeszkowej miał Asnyk niesłychaną cześć. Oddając czołobitność wielkiemu artyzmowi Sienkiewicza, wielkiemu sercu Prusa, najdonioślejsze znaczenie społeczne przyznawał Orzeszkowej.

— Nie czytałeś pan „Nad Niemnem“, mówił do pana Starz., to pan koniecznie czytaj. Jest to idealna powieść, prześliczna! Ma tyle poezji, tej nieuchwytniej, niedopowiedzianej. Bo cechą prawdziwej poezji powinno być niedomówienie. Domyslniki układają się stosownie do indywidualności czytającego. To, co jest w muzyce, że każdy ton wywołuje obraz inny, a każdy słuszny, to samo w poezji. I to właśnie w wysokim stopniu jest u Orzeszkowej. Co tam dramatu — w tej postaci matki, nie mogącej w synu odnaleźć tego, co znaleźć chciała... przeczytaj pan koniecznie, panie Rudolfe — mówił, chociaż pan tego nie odczujesz tak, jak my, cośmy przeżyli rok 63-ci.

We mnie ta powieść poruszyła wszystko“.

* * *

Ale kiedyś wszedł Asnyk bardzo zirytowany. Wyszła praca jednej z kobiet o Nietzschem. — Jak może socjalistka apoteozować Nietzschego, kiedy jeśli socjalizm jest znihilizowaniem jednostki dla dobra ogółu, to teoria Nietzschego depce, miażdży, gruchocze wszystko i wszystkich, byle zadowolnić jednostkę.

Tak go ta kwestja rozgniewała, że zaczął uogólniać teorię na niekorzyść umysłów kobiecych.

— Wyznam szczerze, że wogóle w twórczość umysłu kobiecego — nie wierzę i nie mam dotąd jej dowodów; pod względem artyzmu kobieta może się wznieść wysoko, jako pisarka, ale jednego w umyśle jej zawsze brak, to jest — logiki.

Nie jestem za broniem im praw do kształcenia, przeciwnie, stworzyłbym im wszystkie drogi, wszystkie uniwersytety, wtedy dopiero okazałoby się, jak niewiele by z nich korzystało i wtedy właśnie owe uniwersytety, odarte z uroku niedostępności, miałyby tylko te słuchaczki, których umysł zupełnie by temu odpowiadał.

* * *

— Kłamstwa nie cierpię, mówił Asnyk, i wystrzegam go się starannie. Nie mówię o kłamstwie konwenansowym, choć i w tych wypadkach mam stałą wadę. Mogę do

pewnego punktu unosić się delikatnością i kłamać dla zachowania pozorów uprzejmości. Ale jest kres, poza który przejść nie mogę, i tym sposobem tracę często w jednej chwili plon długiej pracy.

Tak np. zdarzyło mi się raz, że były tu jakieś panie przejezdne. Sześć dni asystowałem im, oprowadzałem... bawiłem... Siódmego—ani rusz! Zamknąłem się, uciekałem, nie odpowiadałem na listy, na wezwania i pozwoliłem im odjechać z najgorszą o sobie opinią.

I tak całą pracę swoją sześciu dni — zmarnowałem.

* * *

Położenie finansowe Asnyka, choć przechodził krach wiedeński i spadek papierów, w których miał 30.000 zlr., odziedziczone po rodzicach, a zrealizowane za 1.500 zlr., choć płacił parę razy weksle za przyjaciół, nie było opłakane.

Na znacznym majątku syna miał dożywocie, swój domek i jeszcze jakieś gdzieś pieniądze. Ile, nie wiem, ale wiem, że były, bo nieraz mówił, że nie odbiera regularnie procentów.

— Jestem jako kwiat, kosą podcięty — mówił raz, wchodząc do nas. — Wyszedłem z „Reformy“, więc nie mam pensji redaktorskiej, procentu mi nie przysyłają, zasoby wyczerpałem, słowem, jestem jako kwiat, kosą podcięty.

A że tego samego dnia układy o druk powieści Sewera z „Kurjerem Warszawskim“, a co zatym idzie i zaliczka, na razie nie doszły do skutku, a my zmuszeni byliśmy nawet zaciągnąć jakąś małą pożyczkę w Kasie Zaliczkowej, więc ogólny dobrobyt naszego kółka i nasza znajomość przedstawiała się dosyć — komicznie, i jedno koło drugie, mówiąc sobie, że się nie zginie wśród możliwych przyjaciół...

Na temat jednak swych naprawdę możliwych przyjaciół był sceptycznie usposobiony. Opowiadał nam kilka jaskrawych epizodów ludzkiego egoizmu, a nad przyjaźnią nie egzaltował się, co wypływało z jego natury. Gdy jednak raz śledził w dziennikach jakąś literacką kłótnię w Warszawie —

— Nie to jest złe — mówił — że się kłóca, ale to jest złe, co często uważam, że po najstraszniejszej wymianie zniewag rzucają się potem sobie w objęcia. Ja nigdy nikomu nie powiedziałem przykrego słowa, ale gdy kogo pożegniam — to na zawsze.

* * *

W tych czasach napisał „Zamarłą Oazę“, czytał ją nam — a kiedy w dalszej rozmowie — namawialiśmy go, żeby pisał więcej —

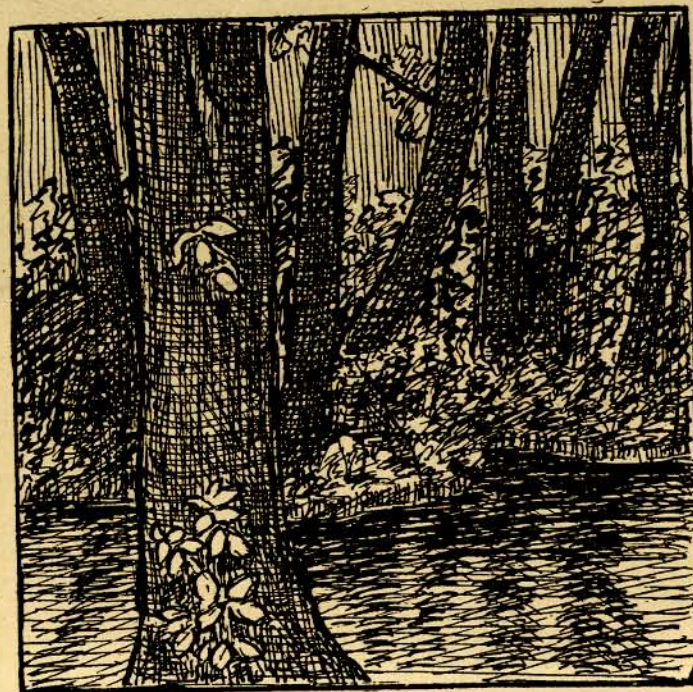
— Samo pisanie — rzekł — nie przedstawia dla mnie trudności, bo zanim co napiszę, mam gotową całość w głowie. „Braci Lerche“ pisałem trzy tygodnie. A obecnie mam dramat. Napisałem 5-ty akt. Jest mi to obojętne, od którego zaczynam, bo całość już gotowa. Ale nie umiem pisać na zamówienie. A co prawda w Warszawie drukują mi tak rzadko, że wprost odchodzi ochota pisać i posyłać.

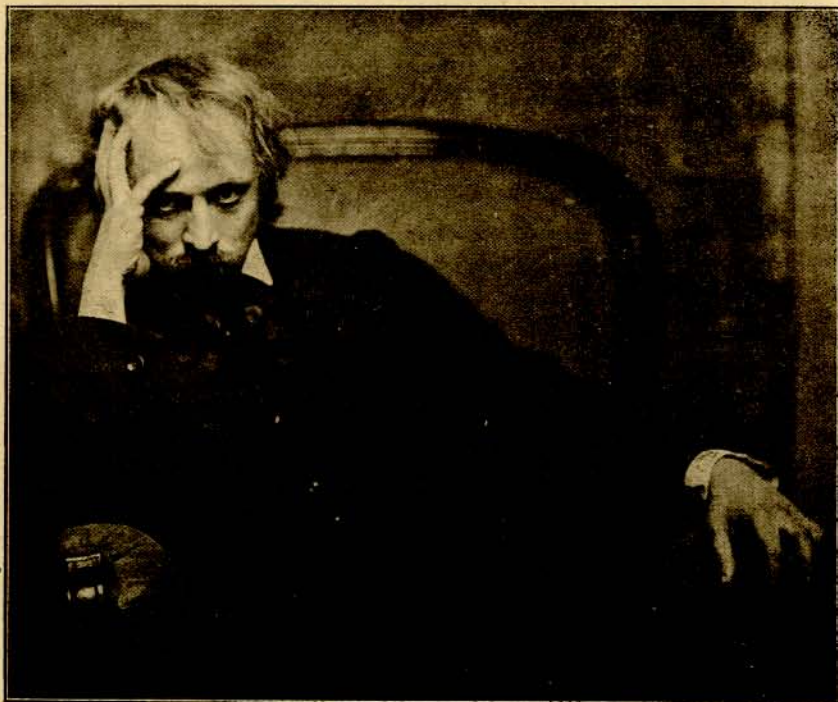
Z piersiami jestem źle. Mam wrażenie, że coś w nich rozdarte, a wyjechać dalej nie mogę, bo nie mam za co. Naogół zaś jestem w takim rozstroju, jakgdybym głową na dół spadł z Mont-Blanc.

W jakiś czas pojechał na Węgry, nad jezioro Czorbę.

— Jestem jak wieloryb, któremu wsadzono harpunę. Rzucam się w głąb morza i myślę, że to ukoi ból — mówił na pożegnanie.

(Dok. nast.)





Kamery Dun Kowal



Jan Rembowski: „Nad polami“.

JAN KLECZYŃSKI.

Rzeźba współczesna.

(Dokończenie).

VI.

Żeromski pisze o ludzie polskim:

„Wszystko w nim nie samo swoje, nie własne“.

„Głucha w nim tylko, pierzchająca na wsze strony siła...“

„Zuchwała w nim tylko dzikość, jak w morzu, w lesie tatrzańskim i w szczerym polu“...*)

*) „Duma o Hetmanie“.

Cudne to, święcie głębokie słowa.

Lecz skoro te straszliwe a niesforne siły, bywało, zjednoczą się, skupią do wielkiego dzieła, to tworzą rzeczy ogromnie swoje własne, przemocne, lecące w nieskończoność jakąś olbrzymią, prostą i jasną linią, nieznaną w innych narodach — chyba u prastarych ludów Wschodu.

Takim skupionym w sobie olbrzymim dziełem bywał każdy atak husarii na dziesięćkroć liczniejsze zastępy, takim był Kirchholm, taką Samosierra, takim 17-sty kwiecień 1794 roku w Warszawie, takimi legjony polskie i legiendy lat ostatnich — legiendy samotne, przeklinane przez „pierzchające na wsze strony siły“...

Takimi też są dzieła wszystkich wielkich artystów polskich: „Król Duch“, „Improwizacja“, „Nad morzem“, witraże Wyspiańskiego, straszliwe ukochania Żeromskiego, wściekle tęsknoty Podkowińskiego i Chopina.

Szarpie się w dziełach tych duch olbrzymi, jednolity, w więzieniu ziemskiego istnienia i wybiega w bezbrzeżne kolumnady gwiazd, gdzie wichry lodowate mrozą lawę płomienistych myśli w iskrzące się niezniszczalnym blaskiem, nieśmiertelne Piękno. Tryskają z serc miłujących strumienie żywej krwi, gnane żarzącą tęsknicą — i zastygają w girlandy księżycowych kwiatów, w ostrołuki wschodnich świątyń, sadzonych brylantami łez.

Lecz za wysoko błyszcza te cuda nad „zuchwałą dzikością“ narodu. Między ciżbą, ośleplą ze strachu, odurzona troskami o nędzę istnienia, między ciżbą, co zuchwałość swoją nawet utraciła, a gwiazdami, co jej świecą, wołając ku życiu, ku chwale, ku wielkim przeznaczeniom, płodom odwagi, mocy i poświęceń — teraz przepaść głęboka, błotnista. Ciżba przeklina krew krwi swojej, serce serce swoich. Zapatrzyła się w to tylko, co „nie samo swoje, nie własne“.

* * *

Wielkiej drużynie twórców polskich brakło dotychczas jednego: twórcy, coby w trwałym, kamiennym materiale wykuli na wieczność ten pęd olbrzymi, to przebo-

gate życie, które zawiera się czasem w wybranej duszy polskiej. W rozmachu pomysłów swoich był takim twórcą Kurzawa, ale go wdzięczne społeczeństwo zabiło. Czysto polski impet mają dzieła Biegasa, ale wiemy już, iż rzeźbiarz ten, czasem wprost gienjalny, nie umiał świadomie opanować swego szalonego pędu. Zaledwie w kilku twórcach opanowuje go bezwiednie, intuicyjnie — w innych kształty rozdzierają bujne, zuchwałe, lecz „pierzchające na wsze strony siły“...

Nie wiem, czy rzeźby Dunikowskiego — już stworzone i te, które stworzone będą, — wypełnią ten brak w kulturze narodu. Trudno jest o tym wydawać stanowcze sądy współczesnym. Ale to stwierdzić muszę, że Dunikowski jest twórcą, do głębi *pokrewnym* wszystkim najśmielszym duchom polskim.

I jemu pieni się w duszy ten sam war żywiołowej energii, ten sam płomień, co wszelką pracę rozżarza i nadaje jej kształty gigantycznych dzieł cyklopów. I w nim tryskające ognie ducha — „pierzchające siły“ — mają moc *skupiania się*, zespalandia się w niezwalczony potok, w jedną pędzący stronę — streszczania się potęgą woli twórczej w jeden pocisk, co umieszczany bywa świadomą dłonią w twór sztuki — „jak nabój w burzące działo“. I w nim palą się świętym ogniem olbrzymie, gwieździste marzenia, zdobywcze sny o Pięknieniu, „powstańcze dумы“ — jak je określał zgasły Jan Wroczyński — te buntownicze, samostne pomysły, które wściekłym życiem zapładniają ugory ziemi naszej i budzą nienawistne wrzaski w bezwładzie woli narodu, w jego leniwej śpiączce, w jego niewolniczym „rozsądku“. I w nim ta sama bezwzględność, to samo nienasycenie w poszukiwaniu najsilniejszego wyrazu swej idei, swego uczucia — ta sama niedościgła patetyczna linia, która ma w sobie takie szaleństwo pędu i taką płodność, że rozwija się dalej tam, gdzie już to, zdawałoby się, niemożliwe, gdzie zawrót ogarnia zmysły.

Posłuchajmy polonezów Chopina, jego mazurków, nokturnów... Uderza w nich jedna zasadnicza, najbardziej

swoista cecha: wzbierające uczucie — potęgi, namiętności, czy bólu — płynie tam olbrzymiami, coraz straszliwszymi falami, dochodzi, zdawałoby się, do szczytu, dech zapiera. Porywa nas uniesienie... nie już chyba większego przeżyć nie można! I wtym widzimy — tak, jak to bywa, gdy się wchodzi na olbrzymią górę: to, co zdawało się być szczytem, było zaledwie pierwszym załamaniem się drogi — przed nami nowa góra. Czujemy, jak dalece nasze uczucia wobec tych tytanicznych były małe... Dalszy rozwój pieśni jest tak prosty i logiczny — lecz piętrzy się coraz bardziej!... Wreszcie myśli i uczucia nasze lecą, jak na skrzydłach anielskich wielkiego twórcy — coraz wyżej, coraz wyżej — jeszcze chwila — byłoby nie sposób przeżyć tego pędu, tego wulkanicznego wybuchu — ale nie — dalej to ukojenie — ukojenie, również opadające falami, co iść się zdają w nieskończoność... ukojenie, o tyle przenoszące siłą wyrazu wszystko, czego się można było spodziewać, jak przeszła nasze oczekiwania piętrząca się namiętność. Tak bywa z zaciekłemi, nienasyconemi rytmemi mazurków, tak z królewską linią polonezów, tak z tęsknotami etiud, nokturnów, preludjów... Jakby wypowiadano pożądaną, którym nigdy nie danym będzie ziścić się na ziemi.

Czyż nie to samo jest w locie orłowym strof Słowackiego, w tej nigdy nie kończącej się girlandzie błyskawic? Czyż czym innym są te niesłychane w dziejach poezji wichry i cizze u Przybyszewskiego, lub te z rozpłomienionych djamentów i szafirów kute gmachy żarzącej się miłości, gmachy tak lekkie, że zdają się unosić w przestrzeni, a takim bólem nabrzmiałe, że przeważałby on ciężar gór? Jakim cudem stworzona jest ta do obłędu piękna równowaga?

Albo weźmy jasną, prostą, a tak oszałamiającą budowę nieskończoności, jaką nam dał Mickiewicz — i albatrosowy bieg jego Farysa. Albo otchłań cierpień Ewy Pobratyńskiej. Albo Marsz pogrzebowy Podkowińskiego. Albo „Niobidów“, lub „Stworzyciela“ Wyspiańskiego — lub jego św. Salomeę — patrzmy — jeden jeszcze milimetr,

nie! — jedna setna milimetra dalej — linja ta przeszłaby granice wyrazu — stałaby się niezrozumiałą, może karykaturalną — lecz nie — ona żyje, pręży się szaleństwem potęgi, boleści, ona woła, krzyczy, płacze, lub w rezygnacji opada, wyciąga w rozpacz ręce w niebo i zastyga u kresu ekspresyjności, poza którym — jak u Chopina — niepodobnaby już znieść nadmiaru wrażenia.

W wielkiej sztuce polskiej zawsze jesteśmy na najwyższych przełęczach uczuć, na wąskiej, skalistej grani, ponad którą lśni już tylko bezmiar gwiazd. Jeszcze jeden krok — a dzieła te runęłyby w bezdenne przepaści, w otchłanie chaosu, z którego wydzwignęły się na skrzydłach nieskalanego natchnienia, spadłyby z tego orłowego gniazda, na którego sam widok lęk lodowaty ogarnia nienawykłych do wyżyn i lotu.

Nie spadną jednak nigdy... chroni je to właśnie, że wyszły z przepastnych głębin ziemi prostą, szczerą linią, gorejące słonecznie jasnym żarem pełni serc, co wiedzą, że do innych serc mówią, nie zaś do mózgów, żądnych olśnienia. Chroni je w najgłębszym tego wyrazu znaczeniu — ich *artystyczność*, ich *miara* — olbrzymia, lecz wyczuła na cały rozmiar tej olbrzymiości — do ostatniego drgnięcia ekstatycznej wyobraźni.

Te właściwości — olbrzymiość i prostota — fantastyczność i miara — stanowią sztuki polskiej odrębność, czar, piękno — jej *styl*.

Spojrzyjmy teraz na dzieła Dunikowskiego.

Oto „Fatum“: wyrasta nagle przed bezbronnym Człowiekiem, jakby z duszy jego wykwita postać straszliwa — zrasta się z nim w jedno, chwytą go lwiami łapami za obydwie ręce, przygniata je nieubłagane ku ziemi, zwisa nad nim całym potężnym kadłubem i ciężką, olbrzymią czaszką... Pręży się człowiek, resztek sił już dobył, odchyła głowę w tył ruchem już beznadziejnym — już się nie szamoce — czuje, że zginie, że niema ratunku — zastygł w rozpacz.

Co za bezwzględny i prosty pomysł! Czy nie przy-

pomina się ostatnia scena z „Bolesława Śmiałego“, kiedy trumna srebrzysta „wali się na króla“?

Co za bezwzględność i prostota w traktowaniu obydwu postaci! Pomówimy jeszcze o tym — tymczasem spojrzymy jeszcze na straszliwie wyciągnięte, napięte do ostatnich granic mięśnie. Te olbrzymie łapy potwornego „Fatum“ cisną ręce człowieka tak, że jeszcze trochę więcej — a zmiażdżyłyby je w bezkształtną masę lub oderwały od ciała. Ale nie — one obezwładniają tylko — obezwładniają zupełnie — aż do omdlenia. Pod nimi czuć opór żywego ciała — opór znieruchomiał, już bierny — odczuwany jednak z nieomylną wyrazistością. Ten opór jest właśnie miarą artystyczną życia wewnętrznego tego dzieła. To właśnie daje mu życie potężne, wyolbrzymiałe, ale wyczone „do ostatniego palca“ — jak mówi o rzeźbach Dunikowskiego p. Eligjusz Niewiadomski *). To czyni go tworem wielkiej sztuki *polskiej*, która *siłą* wyrazu doprowadza do krańców subtelności.

Inna rzeźba — która runęła z rusztowania na pierwszej wystawie dzieł artysty: „Beznadzieję“:

Dwie postaci skłębione, zawieszone w przestrzeni, lecące w otchłań w śmiertelnym uścisku. Jak orzeł Prometeusza, tak wżarła się w piersi człowieka potworna postać i rozdziera je pazurami. Co za ręce rozpostarte bezradnie, co za nogi, skłębione w bezsilnej rozpacz! Ta rzeźba — to była lawina, z gór lecąca, huragan, trzaskający konarami stuletnich drzew. Walka w otchłani — w obliczu tylko nieskończoności. Czy nie przypominają się wszelkie „Szały“, wydarte z piersi polskich artystów?

„Byt“: jedno życie powstaje, drugie, rodząc je, umiera. Nowa istność wybiega z gwałtownym, tęsknym krzykiem z łona matki, a ona opada bezwładnie z męką starości, co już spełniła swoje przeznaczenie.

Dwa razy tworzył Duninowski tę rzeźbę. Pierwsza znana już jest ogółowi — druga jeszcze w pracowni artysty.

*) W „Tygodniku Ilustrowanym“, № 9 r. b.

Obie postaci prawie że równe rozmiarami. Patrzmy, co za bezwład, rozpacz w tej matce — w drgawkach jej potężnego ciała jeszcze bunt, może tylko wysilek... A Młodość ręce przytulone do piersi wznosi nieśmiało, jak kwiaty, modli się i rwie do życia, do chwały — a rwie się z bolesnym jękiem budzącej się świadomości. Ach, jak te ręce i cała postać Młodości bieży w górę niepowstrzymanym pędem, jakże lekka, a jakże potężna linja jej postaci! Ten pęd szalony — to dusza polska, wybrana.

Mówię tu specjalnie o drugim wykonaniu „Bytu“ — pierwsze było surowsze, ostrzejsze w liniach, ale niemniej silne i jednolite w wyrazie.

A oto rzeźba, która już nie istnieje, ale którą przypomnieć bardzo warto (była źle odlana przez samego artystę — nie miał nikogo przy tej pracy do pomocy — sam ją zniszczył). To była „Miłość“, lecz tak pojęta, że można podpisać: Twórczość.

Dwie postacie, złączone ze sobą jakąś przedziwną falistą linią, co zdaje się je obie unosić w powietrze, kołysać...

Ona zdaje się być z niego, z duszy twórcy poczęta istotą, patrzy nań do głębi przenikającymi oczyma. Twórca pochyla się ku niej, zaledwie śmie uchwycić drżącymi palcami delikatne dłonie tej zjawy, wsłuchuje się w tajemnicze, święte prądy, które z jej rąk przelewają się w jego dłonie, wsłuchuje się w rytmy piękna, które sam przeczuł i stworzył, w rytmy jej wiotkiego ciała, w rytmy jej duchowych piękności, które promieniają z jej oczu... On nie śmie patrzeć wprost na to boskie piękno. On wyczuwa je wszystkimi nerwami, on widzi oczyma duszy, nie oczyma ciała, że postać ta, którą wyśnił w swej wyobraźni, spłynęła ku niemu, że patrzy nań, że jest tuż-tuż koło niego — ach, tylko uchwycić to zmienne, wieczne, nieujęte piękno, zanim przejdzie święta chwila, zanim rozwieje się widmo...

Ta rzeźba była na pierwszej wystawie Dunikowskiego w Warszawie, lecz bardzo się z niej śmiano... Na później-

szych wystawach, gdzie widziano kobiety w różnych stanach macierzyństwa, mówiono wiele i mądrze o zakamieniałym „realizmie“ — ba! — „naturalizmie“ Dunikowskiego i jego „perwersyjnych“ gustach...

Nie potrzebuję chyba dowodzić polskości tego przewiotkiego, przesubtelnego pojęcia Miłości. Tak. Obok potęgi, kruszącej wszystko po drodze tragiczności, umie Dunikowski odtwarzać też takie uczucia — delikatne, jak płatki kwiatów.

Ostatnia kompozycja Dunikowskiego (jeszcze w pracowni) „Bóg“.

Zjawia straszliwa okazuje się oczom drobnego człowieka, postawionego w otchłani świata, na drobnej kuli, której widać tylko cząstkę u spodu olbrzymiej rzeźby. Człowiek pręży się w okrzyku wielbiącego przerażenia, wyciąga ręce, zatacza się — a wicher mu włosy rozwiewa — wicher grozy — bo oto idą od kuli, na której stoi, jakby dwa promienie, dwie płaszczyzny, których bieg w nieskończoność tłumaczy się z nieublaganą, prostą ekspresją — a u szczytu tych płaszczyzn — Bóg-widmo — jakaś głowa pochylona, jakby w szalonym pędzie, i ręka wyciągnięta, hieratycznie, nakazująco, ręka wszechmocna i błogosławiąca. — Dreszcz przenika widza.

Oto pomysł niesłychanie śmiały, a tak nic nie literacki — czysto rzeźbiarski. Zastanowimy się jeszcze nad tajemnicami ekspresji tej rzeźby. Teraz zauważmy, że ta bezprzykładna śmiałość — ta linja wyciągnięta aż do granic możliwości — ta fantazja, olbrzymiość i prostota — poznajemy je — to sztuka polska.

Dunikowski jest rzeźbiarzem rdzennie polskim.

* * *

Łatwo zrozumieć, że taki żywiołowy pęd wyobraźni, jak u Dunikowskiego, napotkawszy na swej drodze konieczność „usiłowania realizmu“ (choćby w akademii wobec modelu, a później w portretach), przełamał od jednego zamachu wszelkie przesady „dokładności“ odtwa-

rzania. Być może, że ośmielił go do tego sam fakt istnienia Rodina i Vigelanda — ale o żadnych „wpływach“ ani jednego, ani drugiego mowy tu być nie może. Jak zaraz zobaczymy, śmiałość Dunikowskiego ma przyczynę tylko w nim samym, w jego bogatej, twórczej duszy, w jego olbrzymiej intuicji i głębokim *samokrytycyzmie*.

Dość, że pierwszy portret, jaki stworzył (malarza Szczyglińskiego), bucha już takim szalonym życiem, że żadnego realizmu, „pomimo uderzającego podobieństwa“, tutaj ani śladu. Potęga wyrazu rozsądza tu formę, wziętą z natury — tworzy formę inną, chociaż jeszcze nie stylową, ale już pełną „charakteru“, bogatą i jednolitą. Widać już tutaj dążność, rozwijaną i uświadamianą stopniowo w późniejszych dziełach, do możliwie prostego i jasnego określenia danego kształtu i wypowiedzenia tego wrażenia, jakie wzbudził w artyście.

Rodin nazywa to właśnie *narysowaniem kształtu* — ale jeśli usiłowania Rodina zmierzały, jak wiemy, tylko do tego (pozornie), by oddać jedynie „charakter“ („syntezę kształtu“) danej postaci, to Dunikowski zaniechał tych realistycznych mrzonek, lub może intuicyjnie wszedł na drogę uświadamiania własnego wewnętrznego pędu: chciał tworzyć, ujrzawszy dany kształt, twór *nowy, inny, osnuty tylko na kształcie ujrzanym*.

W gruncie rzeczy obydwaj artyści dążyli (Rodin bezwiednie) do tego samego, bo wiemy już z poprzednich rozdziałów, że nie poza artystą, ale w samym artyście jest i „charakter“ postaci, na którą patrzy, i „życie“ i wszelka „synteza“. Ale wiemy także, iż omyłki Rodina pochodziły właśnie z jego fałszywego stanowiska wobec natury, wiemy, jak dalece *kępowały* go jej *wzory*, jak dalece psuły mu bezpośredniość jego odczuć, czyniąc bądź co bądź zależną jego *wyobraźnię* od *zewnątrzności*.

Otóż Dunikowski, zrywając wszelkie *zewnątrzne* hamulce, doszedł do jeszcze szerszego, swobodniejszego i prostszego traktowania kształtów, z natury wziętych, niż Rodin. Dunikowski bowiem *zapanował* nad niemi. To

dało mu możność do stworzenia własnego, jednolitego, bo z głębi duszy płynącego języka rzeźbiarskiego, dążącego do wytworzenia *własnego stylu*.

P. E. Niewiadomski nazwał twórczość Dunikowskiego „straszonym buntem duszy wolnej“, „buntem przeciwko życiu“ (współczesnemu, które „zeszło ze szlaków boskich“). Niewątpliwie, świetnie i pięknie to określa wiele rzeźb Dunikowskiego, ale ze szczególniejszą siłą da się zastosować do tych, których tematem bezpośrednie wrażenie z natury.

Wolna, niepohamowana dusza, szalony pęd żywiołu, twórcza moc Dunikowskiego, rzuca się na kształt widziany, jak burza, wydobywa zeń z szatańską jasnością jego potworność, nędzę, a na dobitkę wścieklej ironji daje mu twarz o cudnym wyrazie przeczystej boleści, bezbronnej wobec ohydy bytu — tak jak w tej kobiecie nagej, o której pisałem wyżej, porównyując tę matkę z Ewą Vigelanda. Albo tworzy portrety ludzi nie takich, jakimi są (choć przy wszystkich charakterystycznie określonych właściwościach ich rysów), lecz takich, jakimi „powinni być“ (jak mawiał Matejko). Albo też wyobrażenia, zapłodniona pięknie spływającą fałdą szaty z macierzyńskiej postaci kobiety, wydłuża te linje, ożywia, układa z nich prosto i logicznie przeprowadzoną kompozycję, pełną niesłychanie skupionego wyrazu, który, jak to zaraz zobaczymy, porwał krytyków... niemieckich. Mówię oczywiście o słynnych już teraz trzech postaciach kobiecych z ostatniej wystawy.

Jednym słowem Dunikowski wszędzie wobec natury jest twórczym, jest *panem*, jak mówi p. Niewiadomski, nigdy zaś — niewolnikiem, — ba! nigdy nie tworzy ten prawdziwy artysta czegoś, co by zakrawało na jakiś kompromis pomiędzy własną wolą a wszelką zewnętrżnością.

Taką pańskość, taką niezachwianą pewność dały Dunikowskiemu dwie właściwości, które kojarzą się nader rzadko, aby wytworzyć wielkiego artystę: zuchwały impet wewnętrzny i świadomość siły swoich środków.

Kiedy się patrzy na twórczą pracę Dunikowskiego, ma się wrażenie, że osoby, które portretuje, są dla niego jakby tylko przypomnieniami kompozycyj już gotowych, oddawna przemyślanych, przeżytych, i wybuchających teraz z siłą żywiołu wyzwolonego. Temu człowiekowi robota pali się w ręku, glina wali się na przygotowany szkielet z pasją, która rozplomienia nawet patrzącego. Ta wściekła walka z materiałem, co słuchać go musi, co zawsze ulegnie po najtwardszym oporze, robi wrażenie niezapomniane. Portret jest żywym, charakterystycznie podobnym kształtem już po pierwszym posiedzeniu. Dalej to już tylko dopełnienie, bogacenie stworzonej postaci... oczywiście, że nie „pomadowanie“, „wygladzanie“ — tak popularne w „szerokich“ kołach wielbicieli naszych bardziej uznawanych sław... Doznajemy złudzenia, że tak tworzyć może tylko wielki, intuicyjny, ale nieuświadomiony talent...

Jest to złudzenie zupełne. Ta pozorna „łatwość“ tworzenia — to wynik długoletnich zmagania się z samym sobą, wzlotów, załamywań się, szarpanin, uświadamiań. Dunikowskiego specjalnie miałem na myśli, pisząc w rozdziale II-im o mękach uświadamiającego się artysty. Pleż ten człowiek rzeźb swoich zwał, ile razy jedną i tę samą rzecz poczynił, dążąc z impetem niepowstrzymanym, z coraz zaostrzającą się inteligencją do opanowania siebie, do wydobywania męczącej go, jasnej, mocnej, a tak nieuchwytnej wizji twórczej! Ani chwili zastoju, wieczne dążenie naprzód, coraz większe zrozumienie swoich „mimowolności“ intuicyjnych, coraz subtelniejsze i bogatsze kształty, coraz większa prostota. Stąd też coraz większa łatwość tworzenia, która doprowadziła go w końcu do *prawie* że już sformułowanego (w głównych zarysach) własnego stylu, do dzieł tak kolosalnie śmiałych, jak „Bóg“ i do tak arcydzielного portretu, jak portret p. Kazimierza Kamińskiego (umieszczony obecnie na wystawie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych).

Tę samowiedzę artystyczną Dunikowskiego podkre-

ślał również bardzo stanowczo p. E. Niewiadomski, pisząc, że „to szerokie ujęcie, ten *świadomy, inteligentny* wybór tylko najistotniejszych pierwiastków formy jest wybitną i, w naszej sztuce, — bezprzykładną właściwością talentu Dunikowskiego“, że „pod tą wielką, uproszczoną formą kryje się ogromna wiedza rzeźbiarska, zupełne opanowanie kształtu człowieka“, że „Dunikowski zna doskonale całą jego budowę, jego wiązanie, całe rusztowanie wewnętrzne, całą mechanikę ruchu“, i „że te właśnie rzeczy podkreśla on z siłą, a nawet pewną brutalnością, brzydząc się wszelkim retuszem, półśrodkom“, że wreszcie „Dunikowski posiada ogromną, a trudną sztukę milczenia tam, gdzie milczenie jest niezbędné“.

Oto jest cudowne określenie! Tylko prawdziwy artysta mógł się na nie zdobyć — bo tylko artysta wie, jak „trudną jest sztuka milczenia“ — poświęcania pięknych, wabiących, a niepotrzebnych danej idei artystycznej szczegółów, reminiscencji zbytecznych z realnego świata! Tę sztukę nabywa się tylko przez olbrzymią kulturą artystyczną, przez *odwagę* zaparcia się efektownych „sposrządzeń“, na które każdy mały talent (pisarski, czy inny) tak jest łasy! *Trzeba wiedzieć, co się chce wyrazić* — i nie zbaczać na manowce. Trzeba więc się wyzbyć nietylko takich realistycznych szczegółów, ale niemniej *dowolnego fantazjowania*; odrzucać wszelkie niepotrzebne pomysły, jakie nasuwa niesforna wyobraźnia. Jest to jedna z najtrudniejszych w świecie rzeczy w sztuce: wiedzieć, co dane dzieło *wzbogaci*, a co je zbytecznie *obciąży*, lub wykrzywi. W swoim czasie (w „Kurjerze Codziennym“ i „Nowej Gazecie“), w artykułach „O twórczości świadomej“ wyjaśniałem obszerniej tę kwestję, twierdząc, że w sztuce współczesnej Przybyszewski, Wyspiański (w malarstwie i niektórych dramatach) i Dunikowski tę właśnie świadomość mają w wysokim stopniu.

Otóż ta, nielicznym tylko artystom właściwa cecha świadomości *własnych* środków artystycznych (nazywają to nieraz stworzeniem własnej, odrębnej „techniki“) odró-

żnia wybitnie Dunikowskiego od wszelkich „impresjonistów“, nie wyłączając nawet Biegasa i Vigelanda.*) On wie, czego chce, co ma do powiedzenia — a to jest w sztuce wszystkim — wie zaś, że ma do powiedzenia co innego, niż już powiedziała, tworząc, natura — wie, że jeśli jej dotyka, to o niej coś chce powiedzieć, nie zaś ją *naśladować*.

* * *

„Jedno oko, patrzące z wyrazem żalu, tęskoty lub wesołości, jeden uśmiech ust lub ich skurcz bolesny, jedna pięść lub noga, drgająca ruchem — będą zawsze więcej warte od wymierzonych, wycyrklowanych, zbudowanych podług najczystszo szablonu proporcji kształtów, w których nie będzie czuć drżenia nerwów i tętna krwi“.

Ta prosta, a tak trafna uwaga Witkiewicza**) mogłaby dzieła Dunikowskiego obronić od wszelkich zarzutów. Że dzieła jego żyją, że ma on cudowny poprostu dar przemieniania gliny w żywe ciało, że umie to czynić po czarodziejsku kilku dotknięciami swej ręki — to przyzna-

*) Porównajmy te harmonijne poematy linji w trzech kobietach Dunikowskiego z drobnymi przeczuciami poezji, jaką wy dobył Vigeland z szat współczesnych.

**) Cała praca niniejsza, zarówno jak moja poprzednia, działalność krytyczna, dowodzi, że moje założenia krytyczne różnią się dość zasadniczo od poglądów Witkiewicza. Powołując się niejednokrotnie na tego *wielkiego*, o wiele niedocenionego u nas krytyka, nie stoją jednak bynajmniej w sprzeczności z własnymi zapatrywaniami. Gdyż krytykiem, według mnie, nie jest ten, kto stworzył jakąś prawdziwą (?) teorię, lecz ten przede wszystkim, kogo natura obdarzyła wyjątkową wrażliwością estetyczną. „Le goût est aussi rare que le génie“ — mówi Rodin. Otóż nie znam ani jednego wypadku, w którym Witkiewicz nie odczułby prawdziwego, nawet najbardziej „dziwaczego“ talentu. W tym już jest wielkość. Przytym Witkiewicz ma rdzennie *polski* sposób odczuwania, a niektóre jego *metody* krytyczne są arcydziełami logiki. Każdy więc krytyk, nawet o poglądach zupełnie różnych, znajdzie w Witkiewiczu punkty styczne, punkty oparcia dla własnych poglądów.

wali mu nieraz najzaciętsi wrogowie. Ale u nas jest taka moda: przyznać człowiekowi talent i jednocześnie zmieszać z błotem najukochańsze dzieła jego — te, w których dał najsilniejszy wyraz swoim dążeniom. Przez to zaprzecza się właściwie temu talentowi wszelkiej racji bytu, czyni się z artysty jakiegoś mańjaka tam właśnie, gdzie najwięcej jest sobą.

Nie mówię już o takich, którzy gienjalne skróty Dunikowskiego uważają za jakieś „niedbałe szkicowanie“. O tych nawet wspominać nie warto. Ale coś powiedzieć o takich, którzy tę najzewnętrzną kwestję rozumieją, lecz pokrywają dzieła jego stekiem wyzwisk?

Najwściekleszy atak przypuścili krytycy warszawscy na te właśnie dzieła artysty, które stanowiły zupełne zerwanie z wszelkim „realizmem“ i gdzie odtwarzał bezpośrednio kształty, które dusza stworzyła i kazała utrwalić na wieczność. „Dziwactwa“, „okropności“, „potworności“ i t. p. epitety, jak ze śmietnika, sypały się na tak wspaniałe, proste, potężne kompozycje, jak „Fatum“, „Byt“, „Miłość“, „Beznadziejność“, gdzie mowa rzeźby, mowa proporcji dochodziła do porywającej, miazdząco silnej ekspresji. Wogóle zakorzenił się w Warszawie iście potworny, kabotyński zwyczaj: krytyk uważa siebie za wyżynę wyroczni: jeżeli napisze, że czegoś „nie rozumie“, uważa zadanie swoje za skończone—dzieło sztuki nie nie warto. Napisano o tych rzeczach Dunikowskiego, że są „niezrozumiałe“, że to jakaś „metafizyka“ (ach, co za śmiałość rzeźbiarza — myśleć!), a więc rzeźbiarz jest „na zły drodze“, „pozuje“, jest „nieszczery“ etc. Tymczasem są to dzieła czysto porzeźbiarsku skomponowane, przemawiające „wielkimi masami światła i cieniów“, jak mówi p. Niewiadomski, subtelnościami ruchu, architektoniczną budową, nieznacznymi pochyleniami postaci, ich rzutem w przestrzeń, czy skupieniem, bezwładem, czy wściekłością. Dunikowski myśli wartościami czysto rzeźbiarskimi—kształtami, proporcjami, sylwetkami, linjami i ich wzajemnym stosun-

kiem. To jego język uczuciowy, to jego dusza. Rzeźbiarz to w każdym calu.

Niemcy, wrogowie nasi, o wiele względniejszymi okazali się dla polskiego artysty. Oto kilka wyjątków z krytyk:

W. Fred w „Die Zeit“ pisze:

„Ten człowiek napotka zapewne silny opór, mianowicie „rozsądnych“, „znających się“ z publiczności, ale według mego odczucia należy mu przyznać mocny talent i wiedzę“. „Pomimo, iż dał szereg kobiet w różnych stadjach macierzyństwa, *nie jest to bynajmniej naturalista. Stylem jest wszystko, co on tworzy.*“ Dalej pisze o „pięknie profilów i twarzy tych tragicznych matek“ i o „potędze stylizującej ujmowania płaszczyzn“.

B. Z. w „W. Allgm. Ztng.“:

„Zupełnie nadzwyczajny człowiek. Rzeźbiarz, *jak gdyby z czasów gotyku, monumentalny, architektoniczny* i pełen mocy wyrazu. Jego postacie kobiece, które stają z kamiennie mocnymi („starren, festen“), smutnymi, patrzącymi w najdalszą przyszłość rysami, te kobiety, które pomagają burzeniu, te — może — rewolucjonistki, albo też tylko poprostu te kobiety, co w życie wchodzi, należą do najciekawszych wizji plastyki współczesnej.“

Ludwik Hevesi—„Fremdenblatt“:

„Przerazająca prawdziwością biją cztery kobiece postacie Ksawerego Dunikowskiego. Warjacje na temat macierzyństwa, pełne proletariackiego fatalizmu, głowy na pół średniowieczne w swej naiwnej prawdzie. Bronzowy biust takiej matki — to jakby kawał historii naturalnej. Zresztą młody ten ultras wzbudzi niesłychaną opozycję, gdyż jego plastyczne zuchwałstwa sięgają do czwartego wymiaru. Jego wielka grupa „Fatum“, do której to przedewszystkiem się odnosi, przedstawia dwie niespełnialne ludzkie formy, z których jedna rozpada się pod przeemocą drugiej; zagadkowa fantasmagorja, która mimo to przecież coś już istniejącego przypomina: dziwaczne rynnny paryskiej Notre-Dame.“

Karol M. Kuzmany—„Die Kunst für alle“:

Zaczyna od tego, że „trudno w słowach wypowiedzieć jego dążenia.“ Trudno też o pokrewną mu zjawiskę w sztuce. „Najprędzej jeszcze możnaby pomyśleć o Munchu, który farbami pragnie wyrazić to samo, co Dunikowski w tworach trójwymiarowych: uczynić widzialnymi burzliwe wewnętrzne wydarzenia.“ Dalej pisze, że on techniką swoją „włada w stopniu doskonałym“ (vollständig beherrscht), o czym świadczą przekonująco portrety, jakoteż postać kobieca“ (*naga*, ta sama, która najgwałtowniejsze oburzenie wywołała w Warszawie). „Jego mistyka wzrusza się tragiczną myślą o rozrodczym przekleństwie ludzkości i tylko ze wstrętem widzi w płodzie wiecznie objawianą chęć do życia. *Dunikowski oddala się od realizmu, który jest dla niego tylko punktem wyjścia*“ — i na dowód tego twierdzenia przytacza Kuzmany silnie odczuty i zrozumiany opis „Fatuma“. Kończy tym, że „siłę suggiestyczną tych rzeźb nie mało trzeba cenić“ i że obok nich, jak zabawki, wyglądają wszelkie jasne i „definitywne“ rzeźby innych — choćby pełne wdzięku i milej gładkości“.

Wreszcie *Servaes*, obok Kuzmany'ego i Hevesi'ego najwybitniejszy krytyk niemiecki, pisze w „Tag'u“ berlińskim, że widzi w nim pewną „barbarzyńskość i ekstazyzność“, lecz jednocześnie „coś z newrozy rewolucjonisty, który jest gienjuszem“. „Dunikowski nie cofa się przed najokropniejszym.“ „Nie za to jednak go cenię.“ Jego „trzy postacie kobiece mają tak swoisty rytm ruchu i tak nadzwyczajną, a jednak prostą *wibrację duchowego wyrazu*, że wciąż się do nich wraca. *Są one w najzupełniejszym znaczeniu tego wyrazu skomponowane plastycznie, wywierają wrażenie przez płaszczyzny, zarysy i architektoniczną budowę*. W Dunikowskim wre jeszcze wszystko, lecz, zdaje się to być owocne wrzenie“.

Dosyć!

Nie przytaczam tu wszystkich głosów prasy niemieckiej. Wybieram te tylko, w których odczuwam bezpo-

średniość wrażenia i pewien poziom kultury. Pomijam oczywiście również „dobre“, jak i „złe“, recenzje, zarówno te, w których pisano o „nadzwyczajnym życiu“ jego dzieł, jako też te, w których nazywano je „gienjalnymi okropnościami.“ Takich wszędzie dużo.

Ale tego może wystarczy, aby przekonać*) publiczność warszawską, że ani Miriam, zamieszczając w swej przewspaniałej, czystemu Pięknemu poświęconej „Chimerze“, podobizny dzieł Dunikowskiego, ani p. Niewiadomski, pisząc o nim płomienne i głębokie studjum w „Tygodniku Ilustrowanym“, ani ja wreszcie—wtrącając swoje wielbiące trzy grosze, nie ulegamy żadnym osobistym złudzeniom co do mocy tego wyjątkowego talentu.

Szkoda, że też nikomu z warszawskich krytyków na myśl nie przyszło, aby z równą Niemcom bezstronnością i zapalem do sztuki polskiej wczuć się w te dzieła, wczytać się w te runy tajemnicze (runami takimi—każda sztuka), za którymi ukrywał się świat tak bogaty. Ale u nas czytać jeszcze nie umieją — zgłębiać nasz alfabetyzm w sztuce byłoby to chcieć morze połknąć. Rzeźby Dunikowskiego krytykowano i krytykuje się w imię... kultury europejskiej! Ponieważ podobnych utworów w Europie nie widziano, wmawiano w publiczność—i do dziś dnia się to czyni,—że to utwory barbarzyńcy**)—ba, nawet niektórzy admirałowie jego sztuki łaskawie nazywać go raczyli „najdzikszym“ z rzeźbiarzy. Nie widzieli, że w jednej linii tych „dziczyn“ tkwi więcej kultury artystycznej, aniżeli... Ach, pardon—przerwijmy tu lepiej, jak Gustaw w Dziadach... zresztą niechby tylko choć odrobina dobrej woli, choć odrobina chęci przełamania swego duchowego lenistwa. Możeby wtedy najbardziej „kulturalnemu“ (ciekawym, na czym można

*) Wiem przecież, iż tylko „zagraniczne“ świadectwa, a nie najściślejsza logika przekonać ją mogą.

**) Jeżeli *Servaes* używa tegoż epitetu, to z jakimiż zastrzeżeniami!

w Europie kształcić swoją kulturę rzeźbiarską, jeśli się Grecję poniewiera, jako „pozbawioną wyrazu“! — a o Rodinie mówi się z „szacunkiem“, poza którym tkwi tylko bojaźń rzeczy niezrozumianej a sławnej(?) krytykowi przyszło na myśl, że, aby taką rzecz, jak np. „Miłość“, stworzyć, trzeba jakiegoś przewiotkiego, przesubtelnego ustroju duchowego, który porównać by można w tym wypadku chyba z Poem... A może zresztą nie tylko w tym wypadku — bo ten samotny, zapoznany w swoim czasie poeta miał również, obok takich pajęczych delikatności uczuć moc, co wstrząsać będzie na wieki każdą czującą duszą — i świadomość środków swej sztuki — i widmo-wość straszliwych, nieubłaganych zjaw...

„W każdym wielkim dziele artystycznym, pisał Ruskin, ukrywa się jakieś wielkie wołanie, i naszą własną będzie stratą, jeżeli go nie dosłyszmy. Wielu ludzi nie wie nawet, o co idzie, aż wezwani zostaną przez swych towarzyszy“.

W Warszawie dzieła Dunikowskiego witali krzykliwym belkotem — głusi.

* * *

Jak określić ten bezsprzecznie dojrzewający w Dunikowskim własny styl?

Péladan mówi: „W efektach świetlnych natury doścignąć niepodobna; ale najmniejsza linja syntetyczna ją przewyższa (w wyrazie), ponieważ *linja istnieje tylko w wyobraźni ludzkiej*. Oto dlaczego kurs estetyki powinienby stać się kursem architektury i rozpoczynać się od *gieometrii uczuciowej*“.

Otóż tę „gieometrię uczuciową“, tę twórczą, syntetyczną linję Dunikowski posiada w stopniu zupełnie wyjątkowym.

Szerokie płaszczyzny, „wielkie masy światła i cieniów“ rysują się linjami niesłychanie żywej, a jemu tylko właściwej ekspresji, — mają zupełnie „swoisty rytm ruchu“ i własny „rytm duchowego wyrazu“: wyrażają

z jasną, wprost dydaktyczną potęgą lot w przestrzeń, wściekłość tłumionego życia, pożerającą tęsknotę. Przy tym zaś — i to jest może najbardziej charakterystyczne: robią wrażenie olbrzymiości.

„Istnieje w antykach — pisze Rodin — pewna zadziwiająca tajemnica życia, która każe zanikać wszelkiemu pojęciu o rozmiarach. Kiedy rzecz jaka jest dobrze zbudowaną (*organisée*), wielkość leży w ujęciu rzeczy (*modelowaniu*), a nie w objętości. Gdyby sfotografowano wieżę Eiffel i statuetkę Tanagryjską i gdyby pokazano te dwa zdjęcia osobie, nie znającej żadnego z obydwu przedmiotów, osoba ta napewno zawyrokowałaby, że statuetka większa jest od wieży. Gruszka, jabłko — są, z punktu widzenia modelowania, wielkie, jak planety.“

Ta gienjalna uwaga Rodina odnosi się doskonale do „sposobu ujmowania rzeczy“ Dunikowskiego. Krytycy niemieccy, jakeśmy to widzieli, zupełnie trafnie, z zadziwiającą jednogłonością podkreślają *monumentalność* rzeźb Dunikowskiego. Kiedy odgadują w nim „architekta ciała ludzkiego“ i mówią o rzeźbach na Notre Dame z jego powodu, odczuwają go bardzo właściwie.

Rzeźby Dunikowskiego tęsknią za olbrzymiością, mówią o niej, są jej wyrazem. Jemuby trzeba gmachy budować i ozdabiać — tak szeroki giest tkwi w każdej z jego postaci, tak wielkie a proste ich ujęcie.

Widzieliśmy już w trzech kobietach-matkach tę właściwość tworzącego się stylu Dunikowskiego. Jeszcze wyraźniej zaznaczyło się to w „Bogu“. Tutaj dopiero możemy podziwiać „gieometrię uczuciową“, tę mowę proporcji wielkiego artysty. Cóż to za bajecznie proste środki, jak subtelne wycucie ich stosunków ekspresyjnych! Gdyby odległość między Bogiem i człowiekiem była większa, czy mniejsza, gdyby stosunek wielkości głowy Boga do wielkości człowieka był inny, całe dzieło straciłoby swój potężny, przerażający wyraz. Otóż to właśnie jest rzeźba: znać miarę wymowy linji i giestów, wiedzieć, *gdzie*

stosunek proporcji przestaje działać na wyobraźnię, gdzie naprawdę zaczyna się geometria, a kończy sztuka.

A teraz pytanie: czy można tę geometrię określić jeszcze wyraźniej? Czy takie stosunki można *ująć w liczbę*? Wątpię. Właśnie rzeźba upadła wtedy, gdy znaleziono liczbowy podkład greckiego stylu... To trzeba czuć, a nie rachować. Wyliczenia to rzecz przyszłych, więcej ciekawych, niż odczuwających krytyków... Dla żywych potrzeba życia, duszy, nie liczb.

Stąd nie potrafię na liczbach dowieść, w czym oryginalność mowy proporcji Dunikowskiego, w czym tajemnica jego techniki, w jakich odstępstwach od natury tajemnica wyrazu jego portretów, ani jakimi cyframi wyraża się jego „geometria uczuciowa“ w twórcach fantazji. Czy możnaby to zbadać na podstawie rzeźb. Wschodu (np. w „Bogu“), czy przez podkreślane przez Niemców podobieństwa do gotyku (naga kobieta z embrjonem, Dante), czy może pomimo wszystko, przez pewne podobieństwa z ekspresją ruchów Grecji (przesubtelne, nieznaczne pochylenia głów w wielu rzeźbach—np. w tejże „gotyckiej“ postaci, w portrecie własnym, w szerokich, jasnych płaszczyznach każdej rzeźby), czy wreszcie przez zbliżenia do niektórych prymitywów włoskich i — do rysunków Wyspiańskiego? — tego nie wiem.

Ale to bije w oczy, że to mowa własna, zupełnie nowa, a tak prosta, tak wyraźna, że nazwałem ją dydaktyczną, choć jest zarazem tak gorejąco żywą mową wyobraźni. Może to właśnie połączenie dydaktyczności z wyrazem uczuć stanowi istotę stylu? Péladan nazywa dzieło sztuki „rozumowaniem za pomocą form“. W tym określeniu niema zaznaczenia, że przecież to „rozumowanie“ jest właśnie *nową formą* samo przez się. Ta nowa forma nie powstaje tylko z kombinacji kształtów już danych, lecz powstaje *twórczo*. Jeżeli więc tu jest mowa o rozumowaniu, to jest to *mowa i logika uczuć*, które tworzą sobie własny język...

* * *

Czarem rzeźb Rodina są ich przedziwne efekty świetlne, ich miękkość. Mają przytym potęgę życia i bogactwo charakteru.

W poczynającym się zaś stylu Dunikowskiego innego rodzaju tkwi Piękno. Jego mowa, równie jak i Rodinowska, nie jest jeszcze bynajmniej *doskonałą*. Jest to jeszcze mowa ostra, szorstka, ale niesłychanie silna, olbrzymia i zarazem przesubtelna w tym, co wyraża. Zdobywa się przytym już teraz niekiedy na miękkość i śpiwność (np. w portrecie własnym z homunculem na rękę, w postaci wydzierającej się Młodości w „Bycie“ — w nowej interpretacji — w rzeźbie „Miłość“, w główce dziewczynki, co, jak kwiat rozkwitający na wiosnę, wita życie), nigdy zaś nie bywa sztuczną, ani sztywną. Rzeźby Dunikowskiego nieraz wprawdzie dość ostro odcinają się od ścian, od tła, ale piękno ich mówi linią architektoniczną, budową, płaszczyznami, wściekłym pędem wewnętrznym, jednolicie i zwarcie wyrażonym, dążeniem w nieskończoność.

Rodin ogarniał rzeźbę ze strony bardziej zewnętrznej, technicznej — i znalazłszy swoje własne sposoby budowania pięknie odcinających się od tła kształtów, z natury wziętych, dostosowywał dopiero do tych sposobów swoje pomysły. Dunikowski zaś uświadamiał swój pęd wewnętrzny, swój rodzaj wyobraźni. Stąd Rodina tworzy są, zewnętrznie, dekoracyjne, że tak powiem, rzecz biorąc, piękniejsze, Dunikowskiego zaś, przy zewnętrznej szorstkości, jednolitsze, bardziej zwarte. Rodinowskie są bogatsze w szczegóły, u Dunikowskiego tych szczegółów mniej, ale jest coś niesłychanie drogocennego: zaczątki zupełnie wyraźnego, własnego, z głębi duszy płynącego stylu, będącego wykwarem współczesności i to współczesności czysto polskiej.

* * *

„Czerpmy formy z przyrody, a dusze z duszy naszej. Nieinaczej postępowali starożytni. Wyrazili siebie

samych; wyrażmyż siebie i my. Korzystajmy jednakowoż z doświadczenia. Ostrzega nas ono, że wielką sztuką w Atenach było wyobrażanie Jowisza i Pallady; wielką sztuką w Medjolanie będzie zatym malowanie Jezusa i Madonny“.

Tak mówi w swoim „Ostatnim wykładzie“ Leonardo da Vinci*). Nie wiemy jednak, co będzie wielką sztuką w Europie dzisiejszej...

Ale wolno snuć na ten temat marzenia.

Żyjemy wszyscy życiem wewnętrznym, mniej zaś naturą. Natura ta jednak nie tyle przemawia do rzeźby, co do malarstwa. Rzeźbie, jako też poezji, stają otworem olbrzymie przestrzenie wyobraźni.

O co się wyobraźnia ta oprze?

Mam wszelkie prawo twierdzić, iż o idee wszechludzkie, nie brane, oczywiście, jako abstrakcje, lecz jako potężne odczucie wspólnego, wszystko ogarniającego *życia*. To może stanie się religią, wytworzy myty bohaterskie—zapłodni dusze artystów tak bogato, jak w Grecji, jak w czasach Odrodzenia...

Jaki wtedy „kierunek“ stanie się sztuki udziałem? Mówmy tylko o rzeźbie.

Wiemy już, że nawet z form współczesnych stworzyć można piękno — i to tak pełne wymowy, jak u Rodina, Meuniera, Vigelanda, Biegasa i Dunikowskiego.

Wiemy dalej, że o ile rzeźbiarz odtwarza obecnie nagość—buduje ciała z wyobraźni, *sprawdzając* tylko szczególne potrzeby na modelu, ale nie mając możliwości czerpania wrażeń bezpośrednich z nagich ciał, ani *żyć* temi wrażeniami. Tego się sztucznie nie osiąga.

A więc przypuszczać można dwa rodzaje rzeźby: 1) impresjonistyczną, wyrażającą przejawy życia współczesnego, a więc oczywiście postaci ludzkie w ich odzieży współczesnej, 2) wielką sztukę rzeźbiarską, opartą o wy-

*) Ułożonym przez Péladana. Przekład Miriama.

obraźnię i abstrakcję — przypominającą — może — rzeźbę egipską, asyryjską...

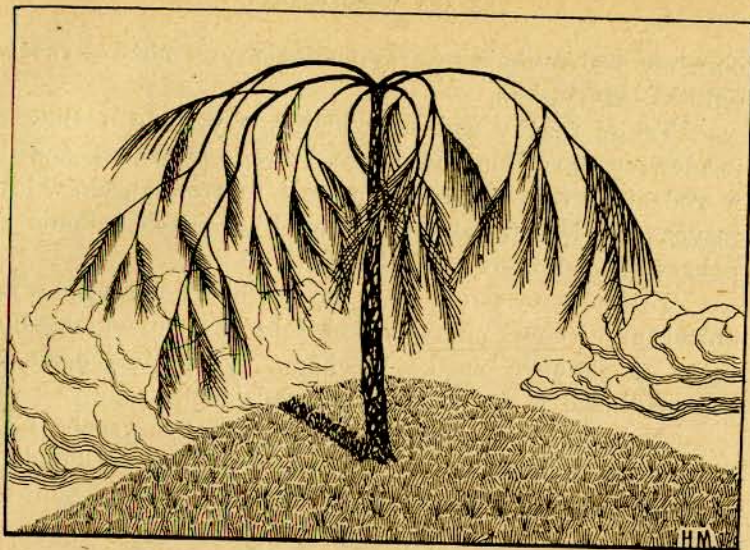
Takiej rzeźby zadatki widzimy wyraźnie u Biegasa i nade wszystko u Dunikowskiego, którego uważać można nie w rodzaju wyobraźni (choć może i to trochę), ani w hieratyczności, lecz w monumentalności i architektonizmie za pokrewnego duchowo Wschodowi.

Zwrot w tę stronę daje się również dostrzegać w architekturze (nowe pomysły architektów niemieckich—być może, że zapożyczone ze Wschodu, być może jednak, że przypadkowo w ten charakter wpadające).

Najprawdopodobniejszym jest więc, że rzeźba i architektura połączą się, tak jak to bywało na Wschodzie, w jeden żywy organizm, który wypowie wielkie syntezy wieku.

W organizm ten wejdzie zapewne olbrzymia praca twórczo-krytyczna Rodina, jego sposoby techniczne i wiele z jego traktowania kształtów, z natury wziętych—ale też styl, w zaczątkach stworzony przez Dunikowskiego—styl linijno-architektoniczny, śmiały, olbrzymi — rozwinięty może jeszcze przez niego samego, lub dopiero przez jego następców. W tym właśnie znaczenie tych dwóch potężnych artystów. Drogi ich twórczości, wręcz sobie przeciwnie, spotkają się może we wspólnej, wielkiej syntezie.





ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA.

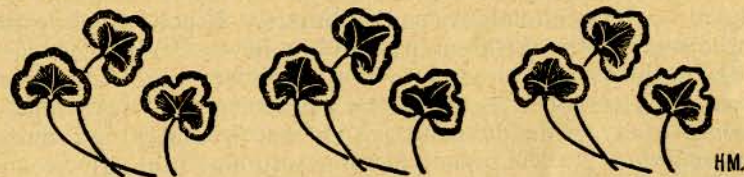
RÓWIEŚNICE.

(Ciąg dalszy).

Tydzień jeszcze brak było do tego dnia, w którym ciotka Małgorzaty odbierała zwykle pieniądze, a w domu nie było już prawie ani grosza, pomimo kredytu u właścicielki najbliższego sklepiku. Małgorzata czyniła wciąż mnóstwo prób zdobycia miejsca, mozolnie obmyślała sposoby ratunku—ale dotychczas znalazła tylko dwie lekcje tygodniowo po dwadzieścia pięć kopiejek godzina, u krawca w sąsiednim domu. Porcje, wyznaczane przez ciotkę, odstępowala Jankowi, który musiał się odżywiać w chorobie — sama żyła wyłącznie niemal chlebem i wodnistą herbata. Wychudła bardziej jeszcze, skóra na jej twarzy stała się bledszą i bardziej obciągniętą, powieki poblekiwniały.

W duszy jej zmartwychwstawała przeszłość dawna w całym swoim nieogarnionym smutku. Spełniała wszelkie prace domowe, wyręczała wciąż ciotkę, by usprawiedliwić jakoś swój pobyt, zupełnie tutaj niepotrzebny. Nosila wodę ze studni w pogiętym kubie blaszanym —

zupełnie, jak za czasów dzieciństwa, łupała brane na kredyt „scepty“, łamała je o kolano, paliła ogień pod blachą. Gdy, kręcąc się po domu, otwierała szafę jaką, kufer lub szufladę, buchał na nią gęsty zapach wilgoci i pleśni, którym przesycone były tutaj ściany, ubranie, pościel. Zapach ten kojarzył się w jej pojęciu zawsze z postacią ciotki, z wyobrażeniem świętych obrazków na ścianie, ze wspomnieniami dzieciństwa. Przypominała sobie zwłaszcza dzień jakiś, kiedy wróciła ze szkoły chora na febrę, jadła cytrynę, a później piła wodę z beczki, do której rynną ściekała z dachu woda deszczowa. Nabierała wodę w ręce stulone, a z palców zziębniętych, czerwonych kapaly zielonawe kropelki. Cały ten dzień miał we wspomnieniu Małgorzaty ów jakby zielonawy zapach. I wyobrażnia jej nie wiedziała nawet napewno, czy to jest zapach nędzy, czy zapach młodości.



Jednego popołudnia, wracając z nieudanej jakiegś wyprawy, postanowiła wstąpić do Nowickiej i pożyczyć od niej ze dwa ruble.

Zastała tylko Nowickiego. Weszła przez drzwi niezamknięte i zobaczyła go leżącego na zasłanym łóżku, w ubraniu. Palił papierosy, a przy łóżku na krześle stała szklanka z rzadką kawą czarną i wyciśnięta cytryna na spodku. Małgorzata bystrym wejrzeniem ogarnęła sytuację.

— Żony niema? — zapytała.

Nowicki podniósł się na jej widok, obciągnął ubranie.

— Ewa poszła z całą bandą do szczepienia ospy.

Znów pęknie ładnych parę kopiejek.

Miał wielką, czarną, siwiejącą brodę, bujne włosy i z wyglądu podobny był do uczonego albo rozbójnika.

— Może pani poczeka—zapropomował z kurtuazją.—

Zaraz powinna wrócić...

Apatycznie usiadła na podanym stołku. Nie miała siły wracać znów bez niczego.

— A ja sobie urządziłem dzisiaj święto, do budy nie poszedłem. Czasem trzeba sobie przecież przypomnieć, że się jest człowiekiem.

— Naturalnie —

— Pani to się musiała o mnie nasłuchać dobrego—no! Ewusia kochana, niewinna ofiara—lubi się gdzieś trochę poskarżyć. A i ciocia dobrodziejka—przyjaciółka. Także numer — —

— Żona pańska nie mi nie mówiła—przerwała Małgorzata, ziewając.

— A Mania—może nie skarżyła się na ojca, tyrana, co nie jest taki głupi, żeby się żywcem dać im zjeść — Nie mówiła może pani, że jak się upiję, to robię w domu awantury — — —

— Sama je słyszę wieczorami w ogrodzie, o ile okno u państwa otwarte... wytłomaczyła spokojnie. — Zresztą—poco mamy właściwie o tym mówić? — — Małgorzata obejrzała się, jakby w zamiarze pójścia sobie.

Nowicki się zmieszał.

— Nie chciałem pani obrazić. Niech zdechnę na miejscu, jeżeli chciałem panią obrazić — — Widzi pani — dla mnie to wielkie święto porozmawiać sobie z człowiekiem wykształconym — Bo i ja przecież. To jest — głownie kiedyś. Ja do pani, jak do człowieka, który może zrozumieć. — Bo przecież mnie w domu nikt nie rozumie — — I ja miałem swoje czasy — ale gdzie to! — I ja przecież żyłem — Schodziliśmy się u przyjaciela, poety! Też urzędnikiem przy pocztach był — — Grałem na skrzypcach — artystycznie — Całe wieczory — na muzyce, rozmowie, czytaniu wierszy... Jeden u niego się zaczynał: „Na szczytach gór Proletariatu“... nie pamiętam, jak tam dalej — ale śliczne, podniosłe, ogromnie podniosłe — — Ach — o czym to się wtedy nie mówiło, nie marzyło! — Ja miałem być artystą — — I, co pani szanowna powie, — ten poeta to się powiesił jeszcze w młodych latach o taką tam... A ja znów się zmarnowałem — przez dzieci i przez nią — —

Małgorzata z męstwem słuchała; oparła się łokciem o stół i w zamysleniu patrzyła przez okno na dalekie dachy i niebo. Gdzieś wysoko bardzo kołowały w słońcu małe, czarne ptaki. — Tymczasem Nowickiemu odbiło się; przeprosił Małgorzatę, wypił resztę kawy i garścią otarł wąsy.

— Każdy powie, że takie kłótnie i skandale w rodzinie — to tylko przez pijaństwo. Ale to nie taka prosta rzecz. Bo widzi pani — wszystko trzeba brać głębiej — i wtedy się rozumie. Naprawdę — to tak jest: w każdym

człowieku siedzi głęboko jedna straszna myśl. To jest myśl o okropności świata... Tylko jeden jest taki głupi, że nawet wcale o tej myśli nie wie, drugi znów żyje, jak świnia—więc mu taka myśl w mózgu tłuszczeniem obrośnie, trzeci się powiesi, jak ten mój przyjaciel poeta. A inny musi od tej myśli uciekać — więc pije. I to właśnie jest całe pijaństwo — — — A potem zbierają się różni mądrzy panowie, naradzają się, kombinują—żeby ludzie przestali pić—bo wszystko złe, to z picia, cała nędza, bieda, nieszczęścia. Dobrze było, jak taki jeden miał odczyt dla robotników bez pracy: o dodatnich stronach abstynencji i jarstwa. Mądrzy niby, a nie rozumieją, że to nie nędza z pijaństwa, tylko pijaństwo z nędzy.—Bo żeby człowiek jeszcze i wódki nie miał—to przecież się tylko powiesić. Po pijanemu człowiek zobaczy przynajmniej, jakie mogłoby być życie... Później naturalnie, kiedy się obejrzy, jak żyje naprawdę, — to go djabli, rozumie się, biorą. Więc dopiero przeklina wszystko, co mu najbliższe na drodze do takiego życia, często kopnie prosto w czyje serce. Tęsknota go zeżyra, szalona tęsknota do tamtego, co raz poznał po pijanemu — no i znów do knajpy... Robi się nalogowy... Jutro mogą sobie nawet rzeczy sprzedawać, z posady wyrzucać—ale ostatni wieczór jeszcze mój, jeszcze sobie mogę odejść do życia, mogę z sutereny wyjść do ogrodu — —

Polazł chwiejnie do obdrapanego stolika, małą szufladę wyciągnął i przebierał...

— I mam wspomnienia... — mrucał ciszej. — Kiedy sobie czasem gram, przychodzą razem z melodjami — — Mam tu schowane — pamiątki — — — I mnie kochała kobieta — jaka kobieta... Śliczne dziecko, delikatne — jedno marzenie... Spotykaliśmy się w ostatnich alejach ogrodów — — stała w cieniu, nieśmiała, czekająca... Ojca miała, co ją katował.. Listy czasami przysyłała z kwiatami — — —

Nagle porwał się.

— Czy pani sobie wyobraża, on ją bił! Takie dziecko święte...

Wynalazł kopertę starą i położył przed Małgorzatą. — I czemuż pan się wobec tego ożenił?

— No—później, później — — — Mój Boże, miłość najczęściej się na tym kończy — — — A ta rodzina życie mi zmarnowała, dzieci i żona mię zjadły. Dzieci można mieć tylko, jak się żyje z renty. A ona tego nie mogła

zrozumieć.—Wie pani, co w kobiecie najpodlejsze?—zazdrość. Zawsze była zazdrosna—o byle kogo. Wiadomo, co z tego wynika—co rok prorok. A później zarzynaj się człowieku dla tych darmozjadów. Czym ja mógłbym być, gdyby nie ta—! Ona talent we mnie zabiła, wszystko zabiera—samica, dla tych swoich szczeniąt. Świata za niemi nie widzi... Sama jest bez duszy, więc nie rozumie duszy mojej...

Małgorzata automatycznie przerzucała stare szczątki listów. Pod oczy podpadały urywki rozkochanych zdań, jaskrawiły się błędy ortograficzne.

— O, niezapominajka—łzawo rzekł, dobywając z koperty jakiś malutki strzep brudu.

Znów podniósł się i przebierał w szufladzie.

— Ja do pani to wszystko mówię otwarcie i bez wstydu.—Ja mogę obnażać swoje rany, bo wiem, że mówię do człowieka. O—ja panią znam. W pani jest dusza!

Wydobył nową kopertę i niósł Małgorzacie ostrożnie, jak szklankę z wodą.

— Mówić z człowiekiem a z człowiekiem—to jest różnica. Z człowiekiem wykształconym, który rozumie—to jest rozkosz duchowa. Przed panią—ja się nie lękam odsłonić swoich przekonań, chociaż je mam dla siebie. Chciałem pani właśnie powiedzieć, że ja—ja jestem materialista właściwie. I w nic nie wierzę. Niebo—głupstwo, piekło głupstwo. Ale co się tyczy nieśmiertelności duszy—o, to ja nie, to ja nie... Ach—psiakrew—bo gdyby po tym wszystkim nie, po tym, co tu na ziemi—Tak do końca—i nic więcej—! —!

Mówiąc, potrząsał w powietrzu kopertą w palcach trzymaną. Zamyślił się.

— Tak—nie wierzę jednym słowem we wszystkie te bajdy księżowskie. Więc tak samo jest nieprawda, żeby Adam i Ewa wypędzeni byli z raju. Pani wie—oni dotąd tam żyją—szczęśliwi—A my jesteśmy—wiem—od mały... Oni dotąd tam żyją—z dobrimi zwierzętami, wśród drzew i prześlicznych kwiatów. I nikt tam na nich nie nastawia jadowitego węża. Zły archanioł leży zabity pod bramą, a oni żyją w wiecznym szczęściu. Co się tyczy nieśmiertelności—to tam idzie po śmierci dusza—takie jest moje przekonanie!—Ja o tym z nikim nie mówiłem dotąd—wyznał rzewnie.

Przypomniał sobie. Wyjął z koperty promień włosów jasnozłotych, związanych nitką różową.

— O ma pani—jeszcze pamiątka z tej pierwszej miłości.

— Śliczne włosy—rzekła Małgorzata i uśmiechnęła się nagle.—Szczególna rzecz, ogrońnie podobne do włosów pańskiej żony.

Nowicki popatrzył ze zdziwieniem.

— Bo też to są właśnie włosy Ewy.

— Jakto—więc owa miłość—?

— A tak—tak—odrzekł z niechęcią pewną i wychylił się oknem na podwórze.—No, ma ich pani, wszystkich w komplecie... Prowadzi to to, jak kwoka—



W historii dni ostatnich była chwila, kiedy Małgorzata przeżyła chrzest zbrodni.

Zacząła się taka nędza, że pomimo ofiar Małgorzaty, Janek grymasił, że jest głodny. Czasami płakał z wycieńczenia, bał się śmierci i prosił o zimne mleko, którego dłużej dawać na kredyt nie chcieli. I nadszedł dzień, kiedy Małgorzata pod różgami kryształących się od łez wejrzeń brata raz jeszcze zdecydowała się pójść do Hani. Weszła wysoko, pod drzwi same i nawet spieszyła się. A przez całą drogę starała się myśleć wyłącznie o Janku. Stała pod drzwiami pewną chwilę i później zadzwoniła. I prawie radość uczuła, dowiedziawszy się od służącej, że pani wyjechała.

Ale wracała powoli, snuła się wzdłuż ulic leniwymi krokami.

Był upał nie do zniesienia, jakgdyby w środku lata. Rozżarzone kamienne kolosy, stojące wzdłuż płonących w słońcu trotuarów, ziały ogniem. Małgorzata wędrowała pod pręgierzem słońca w swej sukni czarnej, wełnianej, ściągającej gorące promienie. Szła mokra od potu, dygocząca z niezrozumiałego zimna wewnętrznego, chwiejąca się z przygnębienia na nogach omdlałych.

Jak i zeszyłym razem—udanie się do Hani była to próba ostatnia.—Więcej już nie...

We drzwiach otwartych sklepu o ścianach ze szkła, za którymi na pochyłości świeciła szachownica soczystych owoców południowych—stał młody pan i pił wodę sodową,

bladopurpurową od soku i perlistą. „Szczęśliwy pan“ półsennie skonstatowała Małgorzata.

„Do domu, do domu“—marzyła, dusząc się gorącym powietrzem, jak dymem. „O, jasna wodo, rzeko chłodna, rzeźwiąca, między zielonemi łąkami“ — — wezwała na próżno.

Przemykała się pod murem, z głową schyloną i zmrużonemi oczami. Ktoś zatrzymał ją.

— Panno Małgorzato — —

Podniosła oczy, stanęła, zaczerwieniła się blado. Spotkała pannę Hof, od której ostatniemi czasy była pożyczyła około trzech rubli w paru dawkach. Na kilka zapytań uprzejmych odpowiedziała pośpiesznie i zaraz tłumaczyć się zaczęła, czemu dotąd oddać nie może.

— Ale niechże pani sobie tym głowy nie zaprzęta. Wiem przecież, co to jest choroba w domu — — pogodnie rzekła panna Hof. — I doprawdy, gdyby nie to, że właśnie w tej chwili — ledwo jakoś do końca miesiąca —

Małgorzata konstatowała, że łatwiej pożyczać jest od ludzi biednych, niż od bogatych. Hani, na przykład, nie dotąd nie była winna.

Panna Hof spieszyła się na lekcję w tę samą stronę, więc szły razem czas jakiś. Opowiadała Małgorzacie szczegóły o smutnych losach szkoły. „I to więc jeszcze“...



Gdy Małgorzata wróciła do domu, ciotki nie było. Janek leżał cicho przy oknie otwartym, którym świeciło słońce.

— Obie się gdzieś włóczęcie i człowiek musi sam leżeć całemi godzinami — narzekał. — Przyniosłaś coś dobrego?

— Nie, teraz nic jeszcze. Jadłeś kaszkę?

— Dała mi ciocia—ale to takie świństwo. Wiesz—doprawdy ciotka jest podła. Przecież, jak kto jest chory, to już powinien mieć takie głupstwo, jak mleko — —

— No cóż, ona sama nie ma — —

— Ale! co ona ma pieniędzy w kasie!

Małgorzata wyszła zrobić coś w kuchni. Zawołał jej.

— Słuchaj — I znowu mi nie przyniosłaś bzu — —

— Mój złoty, widzisz przecież tyle bzu przez okno —

— Ale to jest *przez okno*. Przecież mówiłem: chcę tylko jeden malutki kawałek bzu.

— Ja wiem. Prosiłam gospodarza. Ale, widzisz, cały bez jest wydzierżawiony tej babie, co go rano zrywała.

— W zeszłym roku wolno było rwać... Trzeba było poprosić baby — —

Właśnie teraz jej niema. I zresztą—ona sprzedaje...

— No tak, tak—rzekł z rezygnacją i uciekł. — Głównie to, że chciałem powąchać — — Jak wącham bez, to mi się zawsze coś przypomina — —

— W całym ogrodzie pachnie... Przysunę łóżko trochę do okna...

— E, tu nie wchodzi. Okropnie czuć mydliny — —

— Wiesz co, pójdę pod okno i będę machała chustką, to musi nalecieć zapachu — wesoło rzekła.

— Spróbuj — — zezwolił.

Małgorzata wyszła znów na słońce. Pośród liści ciemnozielonych wisiały sennie w białawym powietrzu pachnące kwiaty, jak strzępy bladofioletowej koronki. Stanęła pod oknem i machała białą płachtą, wpędzając do środka powietrze.

— No co, pachnie?

— Aha, trochę pachnie — odpowiedział z ciemnego wnętrza głos kochany, bardzo słaby.

Małgorzata zagryzła wargi i machać przestała. Uderzona pomysłem nagłym, obejrzała się przelotnie po pustym ogrodzie i podwórzu. Tylko pod sienią w słońcu leżał na boku Mazgaj z wyciągniętymi sztywno wszystkimi czterema łapami. Więc podeszła prędko do cieniowych krzewów, błyskawicznie ułamała kilka gałęzi kwiatowych i te śliczne wonne bladolila kiście wrzuciła przez okno w cień pokoju, prosto na łóżko Janka. Usłyszała, że się roześmiał.

— Ukradłaś?—pytał ciekawie, gdy wróciła do pokoju.

— A naturalnie! — odrzekła z humorem.

Trzymał giętkie gałązki nad głową i przytykał kwiaty do swego małego nosa.

— Nadzwyczajnie pachnie. A czy kto nie zobaczył?

— Nie, nikt, chyba Mazgaj udawał tylko, że śpi...

— Ach, Mazgaj! zawołaj mi go tutaj! dziś nie był jeszcze —

Małgorzata zawołała psa. Wbiegł ochoczo, pełen niezwykłej uprzejmości. Przemknął pośpiesznie przez kuchnię, wpadł do pokoju i przedniemi łapami wskoczył

na łóżko Janka. Zaczęła się orgja radości niewymownej. Pies machał ogonem, bębniąc nim w nogę od stołka, i zarazem czynił wszystko, by za wszelką cenę polizać w twarz Janka. Chłopak bronił się ze śmiechem przed jego rozdziawioną paszczą, purpurową, mokrą, wykładaną ślicznymi zębami i ozdobioną zwieszającym się z boku, dygocącym jęzorem.

Żółte, pełne serdecznej radości oczy Mazgaja nagle spowaźniały. Poruszył czarnymi nozdrzami i obejrzał się badawczo. Odrąz zrozumiał, jakie jest źródło lubej woni: na stołku przy łóżku leżał kawałek kajzerki. Oczy żółte rozradowały się znowu, jęzor wypadł z uśmiechniętego pyska, ogon walił w drewno. Ale wszystko to było już pod innym adresem. Mazgaj patrzył na bułkę i wyraźnie dawał Jankowi do zrozumienia, że właśnie ma apetyt.

— No, można, — rzekł Janek i zezwolenie potwierdził gościem.

— E — nie dawaj psu — wyrwało się Małgorzacie, gdy Mazgaj spożywał już pastwę.

— Cóż—taki kawałek... Zresztą była taka twarda — A widzisz, dobre. Ale niema już więcej — —

Pies ukoił się nieco i Janek głaskał go spokojnie po łbie, oglądając z pod spodu wiszące uszy.

— Ach, żebyś ty wiedziała, jakie on uszy ma brudne!..

Mazgajowi już się sprzykrzyło, ale nie okazał tego przez delikatność. Spuścił łapy z łóżka, przyjął jakąś sztywną pozę i tylną nogą drapał się w puszyste piersi, przyczem mordę wyciągał w stronę nieba, w konwulsyjnym grymasie odsłaniając ostatnie zęby. Następnie pokręcił się po pokoju, udając, że nie rozumie wołań Janka. Wreszcie uśmiechnął się paszczą i oczami, machnął ogonem na pożegnanie i wybiegł tak prędko, jakby mu się przypomniał nagle jakiś bardzo ważny interes.

— Mazgaj! Mazgaj! — wołał za nim Janek.

— Daj mu pokój—rzekła lekceważąco Małgorzata.— Zmęczysz się. Później znów ci go zawołam.

Leżał cicho i znów bawił się bzem. Wpatrywał się w gęstwą kwiatów pachnącą i cieniistą, w zamyśleniu przebieierał listki. Mięśnie koło oczów i ust ścigały się na jego twarzy.

— Wody przynieś, bo zwiędła — grymasnie mówił.

Małgorzata czuła, że znów płakać zacznie. Najbardziej już tego znieść nie mogła. Przyniosła wody w kubku blaszanym i Janek wstawiał w nią kwiaty. Ale było ich

mało i miały za długie łodygi. Kiście przekrzywiały się, wypadały z kubka nazewnątrz, wystawiając w górę zmoczone, zielonobrunatne patyki. Małgorzata pomagała mu ułożyć bukiet, ale doprawdy było bardzo trudno. Janek zaczął się złościć. Wreszcie rozplakał się.

— Uspokoiła go, ułożyła bez w kubku; cicho chodziła po pokoju, pospiesznie i bezpłodnie rozmyślając.

— Czytaj co — odezwał się. Miał oczy zamknięte, ale na policzkach ciągle pełno łez.

Czytała mu coś o pampasach. Janek znał już tę książkę, ale Małgorzata nie mogła znikąd dostać nic nowego. Między książkami, których dostarczał jej Wroński, nie było żadnych zajmujących dla Janka. Tylko ta jakaś podróż po Ameryce Południowej.—Z zamkniętymi oczami słuchał. Wyobrażał sobie szerokie, puste stepy. Na ślicznych koniach, w rozwianych płaszczach fantastycznych, uganiają się po przestrzeniach gauchosy, półdzicy pasterze stad nieprzeliczonych. Nie boją się wichru ani słońca, ani dzikich zwierząt. Szukają przygód i walk, z nożem czatuja na wroga, krwawą rywalom poprzysięgają zemstę. A siodła wysadzone mają drogiemi kamieniami.

Czytając, Małgorzata z ponad liter patrzyła na twarz brata; ciągle nie otwierał oczów; zbliżone do siebie końce brwi wzniesione były ku górze i taki sam wyraz boleśności leżał po obu stronach ust.

Po pewnym czasie przyszła ciotka. Uczyniła Małgorzacie wyrzut przelotny za nieumyte w kuchni szklanki.

— Taka jestem spocona, że nawet nie wiem — oznajmiła.

Gdy rozebrała się i w nałożonej tylko na koszulę spódnicy oraz boso chodziła po kuchni z półgłosnym mamrotaniem, Małgorzata wyszła za nią i drzwi od pokoju cicho zamknęła.

Ciotka spojrzała pytająco.

— Stało mu się coś? — spytała ?gościem ukazując drzwi, za którymi był Janek.

Małgorzata zaprzeczyła w milczeniu głową.

— Grymasi? — mój Boże, dobre było dziecko, a teraz taki naprzykrzony... Chcesz czego?

— Ciocia wie, że sklepiczarka nie da już nic bez pieniędzy — rzekła szorstko.

— Sama myślę o tym więcej, niż ty! Ale się przecież nie rozedrę. Zrobiłam, com mogła — byłam w kasie.

Żadnego gadania niema, żeby procent wcześniej dali — to darmo. Trzeba poczekać te głupie pięć dni.

— W jaki sposób poczekać? bez jedzenia?

— A cóż ja wiem —

— My możemy obie poczekać, ale nie Janek — rzekła Małgorzata cicho. — I zresztą naco czekać? Ciocia przecież wie. Jak się z tego zapłaci sklepik i mieszkarnie, to znów zostanie na cały miesiąc osiem rubli —

— Musisz pamiętać, że teraz pralni już niema. Co jest, to jest — a więcej się znikąd nie wydrze. Potoś się przecie uczyła...

— Ale to jest zupełnie niemożliwe — ciocia rozumie? — dla chorego niemożliwe! On nie ma najpotrzebniejszych rzeczy... On się musi odżywiać, a dziś naprzykład jest głodny — rozumie ciocia? — głodny! Ja nie pozwolę, żeby i ten się tak zmarnował, jak tamci! — nagle wybuchła syczącym szeptem.

Ciotka stanęła nieruchomo.

— Patrzcie ją! I ona z tym do mnie! — krzyknęła głosem cienkim ze zdumienia. — Widzieliście! Ale co ty chcesz jeszcze, co ty odemnie chcesz? Ktoby na świecie to jeszcze robił, co ja robię? Jaką ja mam starość przez was? Gdzie ja mam jaki odpoczynek?... A róbże sobie, co chcesz! szukaj gdzie pieniędzy!

Małgorzata wyraziła myśl, która męczyła ją dawno już: żeby ciotka część kapitału swego z kasy wzięła, drobną część jakąś — sto, dwieście rubli — dla ratowania Janka. Musi przychodzić lekarz, potrzebne lekarstwa, dużo mleka —

Mówiła ciężko, prędko, nieprzerwanie, dygocąc z podniecenia. Ciotce oczy krwią nabiegły.

— Czy ci się w głowie pokręciło, warjato jedna! — rzuciła się z akcentem dzikiej jakiejś trwogi, prawie rozpacz. — Co tej znów do głowy przyszło! To jest rodzina, to jest wdzięczność! Co mogę, przecież daję, Matko Boska, dzielę się każdą bułką — jeszcze by ze skóry obdarli! Ty wiesz, co to jest praca? ty wiesz, co to jest całe życie w pralni — krzyczała.

— Chcę tylko stu rubli.

— Tak, tak! Ja wiem, co to jest raz ruszyć. Ja wiem, co mnie tamci kosztowali! A z czegożbym ja żyła do śmierci? z twojej łaski, prawda? z twojej nauki? Moje jest — i nie ruszę ani grosza! Przysięgam sobie nie ru-

szyć! Moje jest! I żebym tu kamieniem padła, jeżeli ci dam ruszyć grosik...

Z pokoju przedarło się słabe wołanie:

— Czego tam znowu wrzeszczycie? — grymasił Janek. — Ciągłe te klótnie — — Drzwi otwórzcie —

Ciotka głos zniżyła, kończyła prędko:

— I co tu gadać, przecież widzę. Janek z tego nie wyjdzie, z Wackiem zaczęło się tak samo. Czy z leczeniem, czy bez leczenia — wszystko jedno. A ja nie potom charowała czterdzieści lat, żeby na starość dziadówką zostać. Jak umrę, to sobie możecie wszystko rozdrapać — ale póki ja żyję, nie dam — nie dam! —

Małgorzata doznała nagle paroksyzmu nienawiści. Przelotnie spojrziała oczami zmętniałymi po krwią zalanej, pomarszczonej twarzy tej kobiety. Ze zgrozą pojęła żądzę nagłą, która ścisnęła jej krtani i zakrzywiła ręce. W palcach miała konkretne pragnienie chwycenia opartej o piec siekiery. Owiał ją duszący dym zbrodni.

Zbladła zupełnie, wybiegła z sieni ostatnim napięciem woli. W ogrodzie przedzierała się pomiędzy drzewami i drapiącymi gałęzmi, chodziła tam i z powrotem w pachnącym lesie bżów. Rozumiała, że gna ją szal. Ból dziki w gardle i skroniach wydierał z krtani krzyk tłumiony, jakieś głuche, urywane, zduszone stękania. W piersiach kłębił się straszliwy płacz —

Uklękła gdzieś na szmaragdowej ziemi i szamotała rękami pień drzewa nieruchomy, skręcała się, łamała paznokcie na twardej korze. Uciec chciała od tego nacisku na mózg, od huku pulsów, odbijających się echem dzwoniącym w otchłani świata. W oczach miała białe płomienie, w nozdrzach gryzący dym. Zdawało jej się, że traci przytomność.

Powoli położyła się na trawie, czoło na pięściach oparła. Miała oczy zamknięte i leżała bez ruchu. Oddychała głęboko wilgotnym zapachem trawy.

Zwolna stawała się cisza i martwota. Myśli odpłynęły równo i zwiewnie po jakiejś białej, matowej płaszczyźnie, zsypały się bezszelestnie do nieodgadnionych głębin. Dusza nachyliła się, spojrzeć chciała — ale zbyt czarno było tam na dnie. Odwróciła oczy zamyślane, sennie szybowwała pod bladofioletowym niebem, kołysała się w łodzi powietrznej, zrobionej z bzu, zawieszanej na sznurach z zapachu...

Małgorzata poruszeniem rąk wyczuła perliste dotknięcie wody. Otworzyła oczy. Było prawie zupełnie ciemno, rosa leżała na trawie i liściach. Zdała dochodziło jakieś wołanie.

Ciężko dźwignęła się z wilgotnej ziemi. Nigdy w życiu nie była taka słaba. Idąc, czepiała się rękami gałęzi. Nieznany dotąd ból objął ją pierścieniem powyżej pasa.

Gdy weszła do kuchni, ugodziło ją spojrzenie starych oczów, zapuchłych od płaczu, oczów kobiety, która ją wychowała. Chciała w milczeniu przejść do Janka.

Ciotka zwiżała dosyć duży pakiet. Głosem zirytowanym i złym rzekła:

— Można przecież sprzedać jeszcze to.

Małgorzata przyjrzała się. Była to piękna suknia z czarnego atlasu, kupiona niegdyś od handlarki starzyzną, wspinała suknią, o której ciotka marzyła zawsze, że w niej będzie pochowana. Małgorzata nic nie odrzekła i weszła do pokoju.

— Śpisz? — cichutko wyszeptła, pochylając się nad Jankiem.

— Nie — odrzekł, nie otwierając oczów. — Poco ty się drzesz z tą ciotką? Tak mnie to męczy — — —

Widziała znów łzy pomiędzy rzęsami jego oczów zamkniętych.

— Cicho, cicho, ptaku. Już nie będziemy więcej... Ja sama już widzę, że niema właściwie o co...

Przez okno z miękim zapachem nocy wchodziła daleka, smutna muzyka.

— Jakie ładne — — rzekł Janek.

To stary Nowicki grał melodie swojej młodości. Pieśń skrzypcowa snuła się taśmą jedwabną poprzez kryształowe powietrze.



Po drugim śniadaniu Hania wyszła do parku z Johannesenem. Dzień był pogodny niezmiernie i słodki. Po jasnych alejach parku płynęły rzeki światła słonecznego i wlewały się w cień, jak do oceanu. Nizko strzyżone

trawniki prawidłowymi linjami ujmowały grupy i klomby krzewów, wielkie pnie drzew wytryskały z zielonego pluszu, jak ociosane pale, i podpierały w górze napółprzezroczyste, żółtawozielone sklepienie, przepuszczające promienie słoneczne, jak szyba oranżerii.

Schodzili wdół, skąd ponad szczytami drzew i zło-cącą się nisko kratą ogrodzenia widać było wdole czarowny obraz okolicy. Rozległe pola zielone, ruchome pod wiatrem, niestałe, grzazkie jakby na podobieństwo bagien, niskie, kwietne dale łąk, przeciętych w kierunkach różnych jedną wciąż wąską rzeką, której droga znaczyła się intensywniejszą zielenią i malachitowemi kopułami olch. Przez całą niezmierną zieloną nizinę szła prosta, wąziutka, jak śnieg biała linja szosy, podobna do silnie wyprężonej taśmy. We wnętrzu horyzontu słały się granatowe z oddalenia lasy, wzgórza błękitniejące na przezroczystym niebie. Bliżej przez zielen pól przeglądała jeszcze ciemna brunatność szarej ziemi.

W punktach odległych, w głębokich zatokach lasów bieleły domki malutkie, wsie i pojedyncze chaty, zatopione chmurami zieleni. Z prawej strony leżała wdali drobna szaroczerwona plama: przez lornetkę widać było fabrykę z zabudowaniami, a za nią najbliższe miasteczko.

— Och — jest tu ładnie — powiedziała Hania do Johannesena.

— Pogodny, jasny kraj — powoli rzekł.

— Myśli pan o ojczyźnie swojej, gdzie jest inaczej? Jest taka piosenka Griega — żalosna, żalosna... Tęsknota za ojczyzną — — —

— Może w uczuciach jest coś, co się wydaje tęsknotą za swoją ziemią. Ale doznawałem tego w równie silnym stopniu — tam, nad fjordami. — Pomyślał chwilę. — Prawda, że i tam byłem już prawie, jak cudzoziemiec —

— To nie dlatego — zaprzeczyła Hania — Niektórzy ludzie są cudzoziemcami wogóle, na ziemi — — — Wszyscy ludzie może — — — Zdaje mi się, że świat cały jest jedną wielką obczyzną... Mamy wszyscy jakieś przedbytowe wspomnienie, wyobrażenie nieznanego kraju rodzinnego, cudnego niesłuchanie. Wydaje się, jakby niektóre ze spotykanych tu kwiatów — tam rosły. I te się lubi najwięcej. Tak samo kocha się też niektóre melodie — jak gdyby się je kiedyś, dawno, tam słyszało — —

— A może dlatego tylko istnieje tamten świat, że

się właśnie najwięcej lubi niektóre kwiaty i kocha niektóre melodie —

Hania rzekła po pewnym namysle:

— To jest zupełnie inteligentne przypuszczenie.

Johannesen uśmiechnął się i obejrzał Hanię przełotnie. Wydawała się taka dziecinna, wygłaszając ten sąd. Odwróciła głowę — i ujrzał teraz jej profil nieprawidłowy z noskiem okrągłym i nazbyt wysuniętą górną wargą.

— Czy pani zawsze jest taka smutna? czy tylko nudzi się pani w Neanderthalu? —

Dostrzegł, że się zaczerwieniła. Jej ogromnie poważne, zasmucone oczy aż zwilgotniały od rumieńca. Wyraz tych oczów zaprzeczał kategorycznie wszystkiemu, co mówiła cała postać, stawał murem między Hanią i światem.

— Prawie zawsze — obiektywnie odrzekła. — Przecież z przyczyny owej — tęsknoty za ziemią rodzinną...

— Ta tęsknota jest poto tylko, aby ozdabiać jeszcze bardziej piękne życie, aby dać treść kwiatom ziemi i melodom. Aby pogłębić szczęścia powab — — —

— Nie to, tylko nie to — wesoło zaprzeczyła. — Szczęście jest niedobra rzecz. Szczęścia w życiu boję się bardziej, niż dżumy — —

— I dlaczego tak?

— Szczęście musi być grzechem, skoro później jest kara... Mówię — jak się łatwo domysleć — o Polikratesie...

Zstępowali coraz niżej, niedbale wybierając rozwidlenia malowniczych alei. Bładozielone kotary cienia rozsuwały się bezszelestnie i odsłaniały amfiladę komnat o ścianach ruchomych, zrobionych tylko z liści. Z poza cienistych kęp półokrągło wypływały ku oczom zatoki młodej trawy, podmywającej najniższe gałęzie amfiteatralnych zarośli. Na pochyłościach szmaragdowiwały do słońca polany, spryskane ostromleczem i stokrotkami. Z placów zielonych były prosto w niebo białe pnie młodych brzoź, jak fontanny, i gdzieś wysoko, niby w sferze sztucznego seledynowego oświetlenia, rozpryskiwały się nagle w mgły złotawe, rozstrzępiałe w powiewne, leciuchne pióropusze. Po przez strzeliste, nagie, pod niebo odlatujące za liśćmi pnie drzewne ukazywały się nieprzewidziane oddalenia, wtulone w przestrzeń kryształowe głębiny.

Szli wciąż przed siebie — jakby w bezładnym, podświadomym poszukiwaniu usprawiedliwienia, dążyli bezwiednie ku czemuś, co musi być tam w dole, poza ostatnimi drzewami, ku tajemniczemu celowi, dla którego istnieje cudny, wielomorgowy, ogromnie stary park.

Johannesen przyglądał się naturze z ogromnej odległości, jak nieznajomy, z obcej zupełnie dziedziny przybyły niedawno, przymrużał pod słońce majowe swoje zło-tawe rzęsy.

— Najbardziej, jak wydaje mi się, — mówił głosem delikatnym, — potrzebna jest ludziom łaskawa, uśmiechnięta, boska wyrozumiałość dla grzechu. Zrozumieć powinni tę prawdę śliczną, że wcielenie się grzechu jest jedynym jego odkupieniem. Przewyciężenie siebie, wyrzeczenie wszelkie — jest spotęgowaniem grzechu, a pokonanie rozkoszy — rozkoszą najszczytniej wyrafinowaną...

Wszędzie po trawie, pomiędzy drzewami i po alejach rozrzucone były krople słonecznego światła, niby ziarna bursztynu. Mówiąc, Johannesen patrzył z uśmiechem, jak te centki słoneczne wyskakują z ziemi na suknię Hani, mkną ku ramionom, migają na włosach i znów rzucają się na ziemię — aż do tego miejsca, w którym kończy się Hani cień niewidzialny. Idzie tak wciąż naprzód — niby obsypana żywymi cekinami.

— A wszystko razem — kończył — najbardziej uroczą ozdobą życia...

— Chciałabym wiedzieć więc, co jest sam grzech — rzekła Hania, daleko patrząc.

— Myślę, że przeciwstawienie się wszelkie, akt wyboru, śmiałość. W sobie: przeciwstawienie stałej, normującej życie mocy — mocy nowej, zwyciężającej. Umierające, zwyciężane moce, wymyśliły grzech. Może właściwie zwycięstwem jest tylko, czystym faktem zwycięstwa — Jest radosnym wydarzeniem na rozłogach przestrzeni i czasu — — —

— Idziemy dalej?

Kończyły się aleje światowe. Na drodze stała ściana gąszczu o młodych liściach i nieruchomym powietrzu. Wgłąb — jak zaczarowane, kryte drzwi — wiódł przegrodzony gładką gałęzią wylot ścieżki, podobnej do krętego tunelu.

— Jeżeli pani tylko nie zmęczona — —

Wstąpili w dzikość, w naturę, w maj. Ogromne drzewa stały w milczeniu, tuląc do siebie cień. Dołem

krzewy puszyste, żółtawozielone i seledynowe, lite, jak wały, niedostępne. Na ziemi nagiej brązowe, dawne liście, gałązki pokruszone. W wilgotnym mroku zwisały złote kwiaty jakiejś akacji, pachniały różowoherbaciane jęczyczki wiciokrzewu.

— Szczęście — i maj — to grzech pierwotny, grzech pierworodny. Zwycięstwo, odniesione nad śmiercią, która jedna jest bezgrzeszna — i dlatego na wszystkich jasnych rzeczach życia kładzie napisy grzechu. — Zwalczając grzech maja, popełniamy morderstwo, — przechodzimy tylko do innej formy grzechu. Stygmaty świętej Teresy, kult bezbożny słodkich ekspiacji świętej Magdaleny, co główkę złotą i piersi różowe schylała nad ukochaną księgą, królewski przepych wizji świętego Antoniego, cała potworność uroczna cnót i tortur średniowiecza, dzika rozkosz martyrologii, delirja ekstaz ascetycznych, tajemne cienie podziemnych korytarzy klasztornych, małżeństwo nieprawe występku i skrucy — — ogromna wszechświatowa zbrodnia chrześcijańska: morderstwo maja — — —

— Czemuż więc? — — dla nowego jedynie grzechu — wszyscy marzyciele, asceci, mistycy — — ?

— Nieszczęśliwi kochankowie natury, miłujący ją bezwzajemnie... Gardzą szczęściem życia niedostępnym — szukają innej rozkoszy — — Albo tacy, którzy mieli w życiu nazbyt wiele majów, których już zmęczył zapach pierwszego szczęścia. Ci stają się często fałszywemi prorokami — i nawołują lud do poszukiwania rozkoszy — w katakumbach.

— Jeżeli tylko znajdują — obroniła Hania.

— Mają słuszność, sami szukając. Byle tylko z mądrości takiego szukania nie czynili obowiązujących systemów etycznych dla ludzkości. Trzeba mieć w życiu bardzo wiele majów, aby znajdować szczęście w wyrzeczeniu. Inaczej wyrzeczenie jest powrotem do stanu śmierci...

— Życie więc — wędrowanie radosne z grzechu w grzech — — ?

— W górę — po szczeblach grzechu — —

Wchodzili w samo serce tej nocy zielonej. Z cieniów szła woń głęboka, roślinna i wodna. Ziemia dyszała ciężko. Z oddalenia toczyła się powietrzem opowieść niewiarogodna o upale słonecznym, światłość soczysta przesiąkała przez roślinne sklepienia, osadzając na liściach cały swój żar.

— Byle zapomnieć o śmierci, byle zapomnieć o śmierci — nagle powiedziała Hania.

— Dlatego wielbię najbardziej grzech pierwotny, grzech maja — —

Zapytała z uśmiechem:

— Należy pan do kochanków natury — szczęśliwych?

— Wspaniałomyślnych tylko — odrzekł. — Nie złorzeczę, chociaż okrutna jest i niewzajemna.

— Ja złorzeczyłabym.

— Pani? — Ach, pani jest sama radosnym zdarzeniem natury, atomem maju — —

Hania zatrzymała się zdziwiona.

— Myśli pan to naprawdę?

— Czyżbym się pomylił — — żartobliwie wątpił.

Hania oparła się o złotawy pień wysokiego drzewa, dłońmi łowiła nad głową najniższe, jasnozielone gałęzie.

— Daleko, daleko, daleko jestem od wiosny — — mówiła smutnie.

— Skąd smutek średniowieczny? w taki dzień? — o pani Haniu — grzech — —

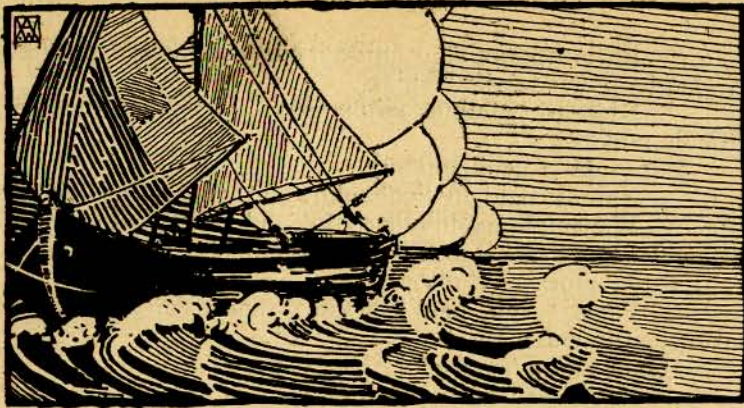
— Oddawna jestem już na tym szczeblu...

Roześmiała się głośno i znowu powtórzyła:

— Byle zapomnieć o śmierci, — byle zapomnieć o śmierci...

(Dokończenie nastąpi.)





Na fali.

Zbliżająca się wielka rocznica i sposoby jej uczczenia. Czy „opłaca się” portret Słowackiego? Cząbry i combry w poezjach Juliusza. Konkurs dramatyczny „Kurjera” i konkurs poetycki „Sfinks”. Pierwsza rocznica śmierci Wyspiańskiego w Krakowie i — w Warszawie. Protest przeciw „skandalowi literackiemu”. Odczyty i nowości literackie.

Szukałem dziś długo w powodzi bibuły dziennikarskiej wydanej niedawno odezwy w sprawie budowy pomnika Juliusza Słowackiego we Lwowie. Przerzuciłem ze sto numerów gazet, znalazłem w nich z pięćdziesiąt artykułów wstępnych i korespondencji, omawiających obojętne dla nas w gruncie rzeczy, jedno więcej hałaśliwe wystąpienie cesarza Wilhelma; znalazłem sporo wzajemnych zarzutów i wyrzutów, jakimi częstują się dziś po dziennikach nie tylko przeciwnicy, ale — nawet obficie daleko — niedawni przyjaciele i sprzymierzeńcy polityczni; odgrzebałem całą kopalnię grzechów magistrackich, dosłuchałem się nawet ostatnich ech zgrzytów filharmonijnych, — tylko gorące słowa odezwy, nawołującej do składek na pomnik Juliusza, zaprzepaściły się gdzieś wśród tych pokładów piasku, niezawsze nawet białego, niezawsze czystego piasku... A że odezwę w paru pismach czytałem niedawno z pewnością, więc wniosek stąd prosty wypływa, iż litery jej i wyrazy rozwiały się i ulotniły

w przestrzeni, nie chcąc przeszkadzać warszawiakom w poobiedniej drzemce lub przechadzce, w studjach strategicznych nad postęпами uzbrojeń Czarnogórze i Serbji „pobratymce”, w zagłębianiu się wreszcie nad politycznym i społecznym znaczeniem ostatniej rozmowy Wilhelma z tyle głośnym dziś hr. Zeppelinem.

A jednak wśród powszednich trosk i kłopotów, wśród naszych dreptań codziennych do biur, sklepów, cukierni, resurs, klubów i kabaretów, wśród całej tej szarzyzny życiowej, płytkiej i brudnej, jak kałuża przydrożna, zbliża się zwolna, lecz nieubłagane ów dzień setnej rocznicy, która — ludziliśmy się jeszcze tak niedawno — miała tchnąć ducha nowego w szerokie warstwy inteligencji, miała nas zbliżyć do podniebnych wzlotów, do ideałów i dążeń tego, który Warszawie, „żałosnej wdowie ludu polskiego”, kładł pieśni swoje pod nogi i wierzyć nie chciał w możliwość jej duchowego upadku...

Czy my uczymy i jak uczymy setną rocznicę Słowackiego? Czy poprzestać mamy na wmurowaniu tablicy pamiątkowej w domu, w którym mieszkał kiedyś wielki poeta, czy też zdobędziemy się na jakiś akt woli zbiorowej, godny naprawdę twórcy „Króla Ducha”? Na to ostatnie nie zanoszę się jakoś tymczasem. Zdrowe i dojrzałe społeczeństwo ma tyle spraw ważnych na głowie! Gdzie mu tam myśleć o „chorobliwej” twórczości Słowackiego... Myślę za nie, jak dotąd, wydawcy. Jedna edycja dzieł wielkiego poety ukazała się już podobno, druga ma wyjść za dni parę; doczekaliśmy się już nawet wydania portretu Słowackiego i ogłoszenia konkursu jego imienia. Portret wraz z trzema innymi (Mickiewicza, Krasińskiego i Chopina) wydała księgarnia Centnerszvera i S-ki: Mickiewicza i Słowackiego — według oryginałów Kazimierza Mordasewicza, dwa pozostałe — według dawnych portretów Ary Scheffera. Jest to wydawnictwo prawdziwie artystyczne i kładzie wreszcie kres kómpromitującemu brankowi, jakiego doznawaliśmy do niedawna. Nie dalej, jak przed rokiem, obszedłem w poszukiwaniu możliwego

portretu twórcy „Króla Ducha“ wszystkie niemal księgarnie i sklepy z rysunkami, lecz potrzebnego mi wizerunku nie znalazłem. W jednej z poważniejszych firm objaśniono mnie przytym, że dawne wydania portretu Słowackiego wyczerpały się, a nowe „nie opłaciłoby się zapewne“, bo nikt o ten portret nie pyta. Wyszedłem czymprędzej z bogatego składu rysunków, w którym odbytem największym cieszą się podobno przedśmiertne męki grzesznika, dekorujące stale okna wystawy. Wyszedłem—zarumieniony, sam nie wiem, czy za siebie, że się wyrwałem „naprzekór prądowi“ z tak niewłaściwą zachcianką, czy za społeczeństwo, które z „dzieł sztuki“ nabywa tylko męczarnie grzeszników, umierających w otoczeniu djabełskim lub -- biegun przeciwległy — pocztówki z bosemi aż po szyję pięknosciami, albo nawet różne sceny ciekawe, konfiskowane od czasu do czasu przez strażniczkę dobrych obyczajów—policję. Wyszedłem i nie znalazłem w Warszawie, w całej ogromnej Warszawie, portretu poety, który akurat siedemdziesiąt lat temu „skrwawionych nóg Warszawy sięgał głową“ i zapewniał, że ona zawsze gotowa „swą krew Chrystusową rzucić na twarze wąpiące i blade“, a jeśli klęka, to tylko „po tę koronę, co spadła z głowy i u nóg jej leży“.

„O jak smętne są proroctwa poetów“—możnaby powiedzieć z Juljuszem i już tylko zaznaczyć dla uzupełnienia obrazka, że bezowocna peregrynacja moja po Warszawie, w celu zdobycia podobizny jej piewcy, odbywała się w tym samym niemal czasie, kiedy to kłóciliśmy się tak zawzięcie, dokąd sprowadzić mamy drogocenne jego prochy z obczyzny.

Dzisiaj zmieniło się już to i owo. Słowacki zaczyna być poszukiwanym, Słowacki staje się modnym. Wiemy już nawet, dzięki jednemu z komentatorów, że wyraz cząbry w „Grobie Agamemnona“ („Tu cząbry smutne gór spalonych pachną“) znaczy to samo, co combry—zapewne cielece lub baranie... Maluczko, a dowiemy się rzeczy jeszcze ciekawszych i może nawet zaczniemy sami czytać

Słowackiego, aby się przekonać — bez komentatorów i komentarzy — że on naprawdę posiadał serce — serce, „więcej warte“, niż to, co za nie dawali na świecie ci, co kupują serca na tandecie“.

Tymczasem zaś „Kurjer Warszawski“ zapowiedział, że ogłosi w numerze noworocznym konkurs dramatyczny w hołdzie Słowackiemu i przeznaczył na ten cel rubli tysiąc. Pomysł niewątpliwie godny uznania, byle tylko wywołał utwory—godne Słowackiego. Pod sekretem podzielę się z czytelnikami wiadomością, że i Redakcja „Sfinksa“ ma zamiar w jednym z najbliższych zeszytów ogłosić *konkurs literacki imienia Juljusza Słowackiego*. Nie rozporządzając (tymczasem) tysiącami, musimy być jednak powściągliwsi od kolegi z Krakowskiego Przedmieścia i poprzestać na przynęcie skromniejszej. Chcielibyśmy, aby ten konkurs nasz, którego nagroda wynosić będzie tylko — *złotych tysiąc* (brzmi to okazalej, niż gburowate trochę sto pięćdziesiąt rubli), przyczynił się w pewnej mierze do wznowienia jednej, zarzuconej dziś niemal formy poetyckiej, rozpowszechnionej jednak bardzo za czasów Słowackiego. Chodzi nam mianowicie o tak zwaną *powieść poetycką*. „Grażyna“, „Marja“, „Jan Bielecki“, „Ojciec zadżumionych“, „Kirgiz“—w formie tej powstawały ongi arcydzieła. Poetom dzisiejszym, choć tyle między nimi talentów prawdziwych, brak tchu, czy wytrwałości do rzeczy dłuższych. Może tym razem nie nagroda skromna, lecz wielkie imię Słowackiego, z którym związać pragniemy ten pierwszy turniej poetycki „Sfinksa“, pobudzi niektórych z nich do napisania rzeczy dłuższej trochę a jednolitej. Mamy na myśli utwory epickie lub epicko-liryczne, nie krótsze od 400 i nie dłuższe od 600 wierszy. Bliższe szczegóły tego konkursu oraz skład sędziów ogłosimy wkrótce i szczęśliwi będziemy, jeżeli turniej nasz przyczyni się do powstania jednej bodaj powieści poetyckiej, godnej wzorów, które nam zostawili w puściźnie wielcy nasi poeci romantyczni.

Setna rocznica urodzin Słowackiego wywoła jeszcze

dużo pomysłów, ale tymczasem w pierwszą rocznicę śmierci Stanisława Wyspiańskiego (28 listopada) wystawiona ma być w Krakowie niegrana dotąd nigdzie tragiedja twórcy „Wesela“, p. t. „Noc listopadowa“. Dyrektor Solski nadaje temu przedstawieniu charakter nader uroczysty, zapraszając na nie z całej Polski gości ze sfer literacko-artystycznych. W następnym zeszycie „Sfinksa“ zdamy sprawę z tej niezwyklej premjery, tu zaś żal wyrazić musimy, że teatr warszawski nie postarał się chociaż o wznowienie w dniu tym „Bolesława Śmiałego“, jedynej sztuki Wyspiańskiego, którą wogóle wystawia. W ostatnich czasach p. Kamiński dał nam wprawdzie dwie rzeczy ciekawe („Wesele Figara“ Beaumarchais'ego i „Przywódce“ Krzywoszewskiego), o których pomówimy obszerniej w najbliższym przeglądzie teatralnym, wogóle jednak w repertuarze warszawskiej sceny dramatycznej uderza pewien brak umiławania wielkiej poezji. Jeszcze parę miesięcy, a zapomnimy, jak brzmi na scenie cudowny wiersz Słowackiego, a tej szkody nie zastąpią nam najbardziej aktualne i najlepiej wyreżyserowane premjery.

Że jednak i Warszawa umie się niekiedy ująć za poezją i poetami, dowodem jej protest energiczny przeciwko skandalowi literackiemu, jak słusznie w „Głosie Warszawskim“ nazwał Zdzisław Dębicki „ocenę“ „Białego sztandaru“ Gomułickiego przez jakąś grafomankę krakowską, znajdującą się tak na poezji, jak gęś na rachunku różniczkowym. Sprawa nabrała już dziś rozgłosu. Skandalem w niej jest nie to, że jakaś pani Marja, mająca dużo wolnego czasu, napisała sobie urągliwy artykuł o poecie, którego zaliczamy wszyscy do mistrzów słowa polskiego, na którym wielu z nas kształciło swój wiersz i swój język. Ale skandalem, i to skandalem oburzającym, jest fakt, że znalazło się pismo polskie, noszące w dodatku obiecujący tytuł „Przewodnika oświatowego“ (ładny przewodnik!), które widocznie ogłasza na swych łamach wszystko, co mu byle jejmość przyniesie. I skandalem jest to, że u nas ocenę utworów literackich powierza się tak

często młodym, początkującym pisarzykom, którzy sami kształcićby się mogli i powinni na autorach, traktowanych nieraz w podobny sposób, jak owa pani B. potraktowała Wiktora Gomułickiego. Nie słyszała o nim widocznie, nie zapoznała się dokładnie z zawartością ocenianej naprędce książeczki. A swoją drogą musi ona być obdarzona słabym bardzo poczuciem artystycznym, a nawet nie posiadać go wcale, skoro nie odczuła piękna prostej, ale pięknej formy, bijącego z wierszy tego zbioru, przenikniętych nawskroś chrześcijańską ideą miłości i przebaczenia:

„Raczej pierś podaj na przebicie,
I z serca kulom uczynić cel,
Niżbyś po cudze miał iść życie
I krwawił ducha swego biel.

Raczej oplwany bądź i zbity,
Jako u słupa Człowiek-Bóg,
Niżbyś przez klątwy i przez zgrzyty,
Świadczył, żeś bratu swemu—wróg“...

Są jednak, jak się okazuje, różne upodobania i gusty...

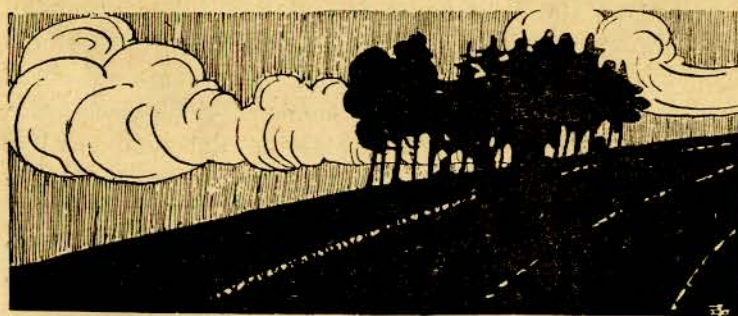
Aby skończyć z poezją i poetami, zaznamy jeszcze ciekawy odczyt prof. Lutosławskiego o Darwinie i Słowackim. Prelegient przeciwstawił w nim znanej teorii transformizmu wielkiego uczonego angielskiego przypuszczenie inne, wyprowadzone z niektórych pism Słowackiego i poparte hipotezą Henryka Bergsona, rozwiniętą w jego dziele p. t. „L'évolution créatrice“. Przypuszczenie to daje się streścić w formule: „źródłem przemian materialnych muszą być przemiany duchowe“. Ewolucja duchowa ma więc pociągać za sobą wznoszenie się coraz wyżej na szczeblach drabiny przemian. Z ciekawą pracą prof. Lutosławskiego, której ciągiem dalszym ma być odczyt o psychologii Słowackiego, zapoznamy zapewne czytelników naszych w całości.

Z innych odczytów, których mnóstwo odbywa się w tym czasie w Warszawie, na wyróżnienie i—wysłuchanie

zasługuje niewątpliwie szereg prelekcji Aleksandra Świętochowskiego z zakresu dziejów etyki greckiej, rozpoczęty 25 b. m. pięknym wykładem o Etyce przedsokratesowej. Odczyty odbywać się mają we środy o 6-ej i w niedziele o 1-ej, a tematami ich dalszemi będą: Sofiści, Sokrates, Cynicy, Cyrenaicy i Hedoniści, Plato, Arystoteles, Stoicyzm, Epikureizm, Eklektyzm i sceptycyzm, wreszcie (30 grudnia) — Nowoplatonicy i Nowopitagorejczycy. Szkoda, że taka ciekawa i przez takiego prelegienta przygotowana serja wykładów nie urządzona została w obszernej znacznie sali. W Towarzystwie Kultury Polskiej było nam stanowczo za ciasno.

Za ciasno zrobiło się, niestety, i w niniejszym zeszycie „Sfinksa“, wskutek czego nie możemy w nim pomieścić ani przeglądu teatralnego, ani działu sprawozdań i ocen literackich. A ostatnie miesiące przyniosły nam plon obfity. Na sprawozdanie czekają „Duma o hetmanie“ Żeromskiego, piękny i ciekawy zbiór nowych powieści Sieroszewskiego, nowe wydanie „Podróży do Włoch“ Taine'a, w przekładzie A. Siegietyńskiego, nowe zbiory i wybory poezji, nowe studja, dramaty i powieści, słowem całe mnóstwo „nowości“, nad któremi góruje wspaniała prawdziwie książka Witkiewicza o „Matejce“, wydana z przepychem królewskim przez lwowskie Towarzystwo Nauczycieli szkół wyższych.

WŁ. B.



PIERWSZY ZJAZD STOWARZYSZEŃ SPOŻYWCZYCH.

W d. 27—31 Października obradował w Warszawie Pierwszy Zjazd Spółdzielczych Stowarzyszeń Spożywczych w kraju. Uczestniczyło w Zjeździe 411 delegatów, co ze względu na warunki, w jakich Zjazd został zwołany, uważać należy za liczbę znaczną. Program zamierzony był bardzo obszerny; ze Zjazdem połączono kursy dla prowadzących stowarzyszenia spożywcze z zakresu towaroznawstwa, rachunkowości, zagadnień, dotyczących organizacji stowarzyszenia, prowadzenia sklepu i t. p., co obok głównego zadania Zjazdu: narady nad najważniejszymi zagadnieniami ruchu spółdzielczego — stanowiło obszerny i obfity materiał.

Program wypełniono całkowicie; ten wynik zawdzięczać należy trafnie ułożonemu regulaminowi, przyjętemu przez Zjazd; nie tracono czasu na narady przedwstępne nad porządkiem obrad, warunkami dyskusji i t. p., lecz przystąpiono wprost do pracy.

Przedstawiony Zjazdowi obraz obecnego ruchu spółdzielczego u nas na zasadzie cyfr, ustalonych przez przeprowadzoną pod tym względem ankietę, wyraża się w liczbach następujących. Wszystkich stowarzyszeń spożywczych istnieje u nas 672, z tych tylko 49 powstało przed 1906 r., wszystkie pozostałe po tym okresie; liczą one razem 83.000 członków, mają 1½ miliona rubli kapitału zakładowego, obroty ich sięgają 13 milionów rubli. Pierwsze miejsce pod względem rozwoju stowarzyszeń spożywczych zajmuje gub. Piotrkowska (156 stowarzyszeń o liczbie 23.000 czł. przy 450.000 kapitału zakładowego i 5 milj. rubli obrotu.) Jest to gubernja najbardziej fabryczna, i u nas powtórzyło się zatem to zjawisko, jakie spotykamy w Anglii, że pionierami kooperacji są robotnicy i okręgi fabryczne.

Liczby powyższe pozwalają mówić o ruchu kooperacyjnym, już jako o ruchu rzeczywistym, jako o zjawisku trwałym, a nie o jakiejsz przemijającej efemerydzie. Pogłębienie łożyska prądu tego, wytworzenie dla niego prawidłowych podstaw — stanowiło główne zadanie Zjazdu.

Rezolucje, powzięte przez Zjazd, ujmują te podstawy; są one następujące.

Dopiero Hurtownia Centralna umożliwi współdzielczym stowarzyszeniom spożywczym nabywanie towarów z pierwszej ręki, po cenach hurtowych, z najmniejszą obawą o ich dobroć i przy zmniejszonych kosztach handlowych, a dając oparcie nowopowstającym spółkom, ułatwi ona zakładanie nowych stowarzyszeń, a tym sposobem przyczyni się do wzrostu ruchu kooperacyjnego w naszym kraju. Hurtownia ta kierować się winna kilku zasadami następującymi: sprzedaż wyłącznie za gotówkę, prowadzenie na początek tylko artykułów masowych, trzymanie na składzie tylko niektórych towarów, wysyłanie pozostałych prosto z fabryk, prowadzenie handlu wyłącznie hurtowego, t. j. dostarczanie towarów tylko w jednostkach hurtowych. Kapitał Hurtowni powstaje drogą udziałów, deklarowanych przez stowarzyszenia w stosunku rb. 5 od członka, z czego płatnych od razu po rublu od członka. Udział stowarzyszenia wynosi najmniej rb. 100. Dla ułatwienia działalności przyszłej Hurtowni Centralnej Zjazd wzywa Stowarzyszenia, aby przy ważniejszych stacjach kolejowych, naokoło których grupuje się dostateczna liczba stowarzyszeń, przystąpiły do wytworzenia związków spółnych zakupów i wspólnej dostawy; dla obeznania kierowników stowarzyszeń z zadaniami takich związków, należy organizować dla nich specjalne kursy.

Dalej Zjazd uznaje potrzebę założenia Związku stowarzyszeń spożywczych i wyraża przekonanie o konieczności przystąpienia niezwłocznego do opracowania ustawy takiego związku. Jako zasadę opodatkowania stowarzyszeń na utrzymanie potrzebnych im instytucji związkowych, Zjazd przyjmuje 1 rubla od 1000 rubli obrotu, jednakże niemniej, jak 15 rubli od stowarzyszenia i nie więcej, jak rb. 300. Do chwili utworzenia Związku utworzyć należy przy Towarzystwie Kooperatystów Biuro Informacyjne.

Zjazd uchwala zniesienie sprzedaży na kredyt w stowarzyszeniach, a co do podziału zysków i sprawy środków obrotowych uznaje, że udziały członków stowarzyszeń spożywczych nie powinny być niższe, jak 10 rubli, z możliwością wpłacania ich ratami. Przy braku kapitału obrotowego stowarzyszenie powinno trzymać się zasady, że lepiej jest pożyczyć pieniądze, niżeli towar kupować

na kredyt. Stowarzyszenie powinno dążyć do powiększenia kapitału obrotowego własnym dorobkiem i w tym celu z czystych zysków wypłacać członkom nie więcej nad połowę tej sumy, która przypada do podziału, drugą zaś połowę przeznaczyć w równych częściach na kupno nowych udziałów i na kapitał rezerwowy, który tworzyć należy dla dalszego rozwoju przedsiębiorstwa. Należy propagować, że najlepszym użytkiem, jaki mogą członkowie zrobić z dywidendy, jest obrócenie jej na kupno nowych udziałów. Dywidenda, jaka przypadałaby od obrotu, dokonanego przez nieczłonków, powinna być przelewana do kapitału rezerwowego. W stosunku do pracowników: zawieranie umów piśmiennych z wyszczególnieniem obustronnych praw i obowiązków, wybór na sklepowych dla początkujących i mniejszych stowarzyszeń ludzi miejscowych, a szczególnie kobiet ze środowiska stowarzyszonych, urządzanie odpowiednich kursów dla wyrobienia tego rodzaju pracowników, a celem pobudzenia sklepowych do większej sprawności, wyznaczania im, oprócz dostatecznej pensji, pewnego procentu od obrotu ludu od czystego dochodu.

Tak się przedstawiają w ogólnych zarysach najważniejsze uchwały Zjazdu.

Przebiega w nich przedewszystkiem pragnienie oparcia ruchu kooperacyjnego na mocnych podstawach praktycznych, a dalej dążenie do zapewnienia mu możliwości dalszego rozwoju przez stworzenie następnego etapu ewolucyjnego — Hurtownia i Związek.

I słusznie; tylko przy uwzględnieniu tych warunków, przy szybkim i pomyślnym ich urzeczywistnieniu, może ruch spółdzielczy spełnić swe zadanie, najlepiej wyrażone w dwóch formułach kooperacyjnych: „trzeba swoje sprawy brać w swoje ręce“ „na wspólny pożytek każdego.“

Następny Zjazd, zapowiedziany na Czerwiec r. 1909, powinien posunąć nas o krok jeden ku temu celowi.

Dr. R.



OCENY I SPRAWOZDANIA.



Mieliśmy w ostatnich miesiącach mnóstwo wystaw. A więc przede wszystkim wystawa w T. Z. Sztuk Pięknych: „Sztuka w życiu dziecka“, która poruszyła całą Warszawę i spowodowała kilkanaście odczytów o sztuce. Zdaje się, że z odczytów tych i z tej wspaniałej wystawy wysnuto u nas dość niespodziewany wniosek: sztuka ma dziecko uczyć od najmłodszych lat patrzeć... na naturę! Wniosek ten ściśle się wiąże z kwestją stosunku artysty do natury. Otóż ani nas, ani dzieci, ani nikogo na świecie nie nauczy się patrzeć na naturę inaczej, jak tylko ucząc patrzeć—na naturę. Ucząc zaś dzieci patrzeć na sztukę—uczymy je *mowy artystycznej*, tak jak się je uczy pisać i czytać—uczymy je rozumieć *mowę sztuki*, *mowę rysunku* barwy i bryły, nie zaś czego innego, nie natury. Że to dziecko wykształci i wysubtelni od najmłodszych lat, że otworzy mu całe światy, że zadowolni jego wrodzony instykt ku sztuce, ku wypowiedzaniu się za pomocą rysunku i barw—to tutaj jest jedynie prawdziwie cennym, żadne zaś utylitarne cele, żadne „subtelności obserwacji“, żadne inne „kształcenia“, które należą do innych dziedzin życia i nauki wymagają innej.

Urządzono następnie w „Zachęcie“ wystawy zbiorowe prac pp.: G. Pilattiego, A. Neumanna, J. Rembowski, St. Masłowskiego, K. Dunikowskiego, M. Borucińskiego, M. Koźniewskiej, K. Brandla i H. Piątkowskiego, u p. Kulikowskiego zaś widzieliśmy obraz dioramiczny M. Suchorowskiego „Córka Nany“ i prace p. Wł. Nałęcza.

P. G. Pilatti sobą jest tam, kiedy opowiada o barwnych, żywych scenach na rynkach miasteczek—tam wszystko mu żyje, drga, mieni, się grubym wprawdzie, ale

rzeczywistym życiem. Próby jego w innych kierunkach słabe dają wyniki. Szkicowe, nerwowe, szybkie opowiadanie — to jego żywioł.

P. A. Neumann jest poważnym artystą, który szuka najsilniejszego wyrazu dla swych odczuć. Szuka mozolnie, szczerze — pomimo to jednak nie wszystkie jego dzieła robią wrażenie szczeroci. Obok bardzo, ale to bardzo pięknej „Wiosny“ i kilku pejzażów, owianych podobnym świeżym i jasnym technieniem, p. N. dał szereg sumiennych wypracowań, w których to pierwsze wrażenie nie pogłębiło się, lecz zatraciło pod wpływem pracy. Czy stąd nie wypada wyprowadzić wniosku, że te drugie wrażenia nie były tak silnie odczute? Czy pejzażysta *ma obowiązek* wczuwania się w każde zjawisko? Chyba nie. Lecz, być może, iż w „Wiosnie“ można było ogarnąć wrażenie od jednego zamachu, w innych zaś (naprz. w tatrzańskich zachodach słońca) to nie było możliwym—zjawiska te trwają sekundami, zmieniają się co chwila — może więc p. N. najsilniej odtwarza bezpośrednie wrażenia, lub te, które częściej sprawdzić się dadzą i przez nowe odświeżać.

W każdym razie, podkreślam, to prawdziwie sumienny artysta, nie zadawający się byle jakim odtworzeniem wrażeń, dążący do ich wypowiedzenia w *całej* pełni, nie dowierzający ani swej „wprawie“, ani swym przeczuciom, jednym słowem artysta, który chce być pa-nem swoich środków i swojego talentu, chce być świadomym twórcą.

Podobne właściwości stanowią wybitne cechy dwóch zgoła odrębnych indywidualności twórczych: p. M. Koźniewskiej i p. Borucińskiego, których dzieła charakteryzuje jeszcze bezwzględna szczeroci artystyczna.

To ostatnie streszcza w sobie zresztą wszelkie przymioty prawdziwego artysty: kto jest szczerem, maluje tylko to, co ukochał; tego, co się kocha, niepodobna malować byle jak—jest się sumiennym; sumiennym nie będzie nikt, kto nie wie, dlaczego w danym miejscu położył plamę białą, czy sinawą, dał zarys o milimetr szerszy czy węższy, lub kto nie rozłożył sobie z góry obrazu na pojedyncze wartości, walory—jest się twórcą świadomym.

Szczeroci — jak to wykazywałem w studjum o rzeźbie—prowadzi też bezpośrednio do prostoty, do skończoności czystości wyrazu — do stylu.

Ale do tego trzeba też potężnej śmiałości. Tę posiada p. Boruciński w stopniu bardzo znacznym. Jego stylizowane, witrażowe kompozycje są wspaniałe. Jego pejzaże mają soczysty, pełny kolor, rysowane są, zarówno jak portrety, szeroko, pewnie, po męsku. Widać tu wpływy jedynej u nas, poza krakowską akademią, szkoły prawdziwie artystycznej, której p. B. jest uczniem — Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych. Szkoła ta daje najsilniejsze podstawy rysunku twórczego, uczy ucznia samemu sobie radzić, zgadywać, tworzyć — profesor jest tylko do pomocy w uświadamianiu się młodego artysty, do radzenia mu, poprawiania błędów, wskazywania sposobów łatwiejszych, prostszych, niż te, których próbuje uczeń. Wreszcie szkoła dba specjalnie o rozwój stylowości, o sztukę stosowaną — i stąd uczniowie jej wciąż odnoszą zwycięstwa na konkursach artystycznych. Prace p. B. zostały wystawione właśnie z okazji rozstrzygnięcia konkursu imienia p. Płoskiej. P. B. otrzymał na nim pierwszą nagrodę — choć nie brakło tam prac wcale ciekawych i samodzielnych. Ale wielki talent i gruntowna kultura, jaką p. B. wyniósł ze szkoły, rozstrzygnęły jak najsłuszniej na jego korzyść.

P. M. Koźniewska nie dąży do silnych kontrastów barwnych, jak p. Boruciński, niema też tego rozmachu i pewności siebie. Jednakże dała silny wyraz swej indywidualności artystycznej. Jej prace są zciszone, o barwach subtelnych, niezwykle harmonijnych i delikatnych, jakby nieśmiały. Trzeba się dobrze wpatrzeć w te obrazy, aby dojrzeć w nich prawdziwą głębię, jakiej są wyrazem. Oto proszę zobaczyć ten „Poranek w Frascati” — to prawdziwy klejnocik. Jak to jest skomponowane! Jakże potrzebne jest, wśród tych delikatnych różowości i świeżości barw, owo lśnienie wody na pierwszym planie! Jakże ten cały obrazek ożywia się, cały lśni, jakby od rosy porannej! Jakież głębokie, radosne szepty, jakież zawstydzone, ciepłe spojrzenia ukrywają się w jego cichej głębi, zamglonej jeszcze po śnie. Albo „Pacierz wieczorny”: co za miękkość, pewność rysunku, co za subtelnie wyczułe pochylenie głowy dziewczęcej, co za delikatny koloryt. Te dwa obrazy dają zupełnie odrębne miejsce p. K. w sztuce polskiej. Od portretów możnaby wymagać więcej śmiałości w traktowaniu. Ale wtedy możeby nie było w nich tej cichej zadumy w oczach.

Niezmiernie trudną do scharakteryzowania jest bujna

indywidualność artystyczna p. J. Rembowskiego. Jako rzeźbiarz, dał kilka niezwykle interesujących prac, których jednak, znając je tylko z reprodukcji, nie mogę bliżej określić. Jako malarz, p. Rembowski znany jest szeroko z wspaniałej kompozycji „Nad polami” i z cyklu bardzo pięknych rysunków, gdzie potęgą wyrazu walczyła o lepsze z subtelnością i lekkością tworzonych postaci. Rysunki p. R. powstały pod wyraźnym wpływem Wyspiańskiego, nie były jednak ani na chwilę naśladowaniem wielkiego mistrza. Wpływ ten rozwijał wielki talent p. R., pomagał mu do uświadomienia się. Obecna wystawa odsłoniła też wpływy innych artystów — co jednak widać tylko w kilku utworach. W pozostałych, szczególnie zaś w niezmiernie subtelnie rysowanych portretach, w akwarelach, których wdzięk i lekkość napewno nie powstały pod wrażeniem innego artysty. p. R. pozostał sobą — duszą o wrażliwości jasnej, głębokiej i czystej. Zresztą zdumiewająca łatwość, jaką okazuje p. R. w przyswajaniu sobie cudzych środków technicznych, nie wyłącza bynajmniej jego twórczej szczerości. Można tak silnie odczuć dzieło sztuki, jak naturę — można odczuwać je jeszcze silniej — wżyć się w nie — myśleć i żyć duszą innego twórcy, przejąć się każdym drgnieniem jego dłoni. Tak. W ten sposób właśnie rozumiałem wpływ Wyspiańskiego — wpływ zbawienny, bo świeży, zapładniający, najgłębiej, najrdzenniejszy polski. Przytym p. R. posiada niezwykle wytworny talent dekoracyjny, posiada głęboki, szczery, zupełnie swoisty liryzm — jest to więc wielce skomplikowana organizacja twórcza, której rozwój musi polegać na zwyciężaniu tego, co było, na walkach z sobą, z innymi, walkach o technikę, o opanowanie samego siebie...

Jednym z najoryginalniejszych talentów polskich jest p. St. Masłowski. Artysta to nieprzejednany, nieuznający kompromisów. Wtedy jest najwięcej w zgodzie z sobą, gdy daje swoje słynne, wykwintne akwarele — wrażenia bezpośrednie z natury, malowane z lekkością, przypominającą Japończyków. Niektóre z akwarel tych mają siłę i głębokość tonów, osiąganą zwykle tylko w obrazach olejnych. Takiej przejrzystości oddali, takiej siły koloru nie mają, z wyjątkiem Fałatowskich, niczyje akwarele. Zadziwia w nich także artystyczność kompozycji, wdzięk układu. To człowiek, który kocha swoje twory i wie, co robi. Jeżeli się nawet myli — to myli z nadmiaru uczucia,

ogarniającego, chcącego ogarnąć wszelkie dziedziny twórczości, wszelkie dziedziny życia. Jak dalece żywy to artysta, nie uznający hasła oderwanej od współczesnych wydarzeń sztuki — dowodzą jego ostatnie obrazy akwarelowe o treści, która zatrzęsie sercem każdego Polaka. Tam są głębokie pokłady liryzmu — trzeba je umieć odnaleźć.

P. Nałęcz ze szczególną siłą odczuwa pewne ciepłe tonacje, które spowijają miękkim światłem łany dojrzewających zbóż, łubinów. Tworzy z tych brunatnawych, różowo-złotych odcieni drobne, zharmonizowane, przesłizne całości. Lubi subtelne szarości na liściach olch i wierzb nad łąkami — odtwarza je z prawdziwą pasją — i z wielką łatwością, daje jednolite wrażenia. Wtedy jest artystą interesującym i szczerym. Inne tematy może mniej silnie go zajmują.

O p. Dunikowskim piszę obszerniej na innym miejscu.

O p. Brandlu mam to tylko do nadmienienia, że więcej czuje rysunek, niż kolor, to też jego pejzaże są chybionymi próbami, ale jeden z własnych portretów ma dużą siłę wyrazu. Mocno rysowaną jest też „Katedra“.

„Córka Nany“ — to nie była sztuka, lecz sensacja, która miała dawać złudzenia rzeczywistości — w dioramie.

Obrazy H. Piątkowskiego — to bardzo jaskrawe, bardzo nieszczerze, quasi-impresjonistyczne pejzaże, z postaciami, jakby wykrojonymi z żurnalów mód — dla ozdoby.

J. KL.



Sprostowanie. W artykule „Ze wspomnień o Adamie Asnyku“ na stronie 301 w wierszu *piątym od góry* wydrukowano mylnie nazwisko Stanisława Krzemińskiego. Zamiast: „Był przyjacielem St. Hrumińskiego“, powinno być: Był przyjacielem St. Krzemińskiego. Przy sposobności zaznaczamy, że p. Stanisław Krzemiński, druh i towarzysz broni Asnyka, obiecał nam uprzejmie nadesłać wkrótce obszerniejszą pracę o Asnyku, opartą na wspomnieniach swych o tym wielkim poecie i na nieznanej jego korespondencji.

Deotyma.

Chylące się do zachodu złote słońce pięknego dnia jesiennego rzuciło blask swój promienny na wielotysięczne tłumy, odprowadzające na miejsce wiecznego spoczynku tonącą w kwiecie trumnę Deotymy. Warszawa, która znakomitej poetce nie szczędziła za życia laurów i uznania, uczciła i po śmierci autorkę „Polski w pieśni“ pogrzebem uroczystym, wspaniałym. Cały ten przepych pożegnalny, którego Deotymie pozazdrościłby mogli najwięksi, gdyby poza grobem dymy kadzideł ziemskich nie rozwiewały się ostatecznie w wielkim morzu obojętności, cały ten przepych, powtarzam, łącznie z świątecznym nastrojem większości uczestników i wyjątkowo piękną pogodą jesienną, dostrojony był dziwnie do koturnowego trochę życia poetki, która w najcięższych chwilach uniała zawsze prawie zachować równowagę i po-



Sfinks.

godę ducha, a powszednim dniom nawet nadawała cechy uroczystości świątecznej.

Ale te tłumy, kadzidła i kwiaty, te przemówienia i pieśni, ta królewska pompa zewnętrzna, pokrywająca zresztą, jak bywa często, melancholję i smutek głęboki wobec marności i znikomości rzeczy ludzkich, cała ta uroczystość pogrzebowa — była może tym razem czymś więcej, niż zbiorowym hołdem pośmiertnym, składanym ceniom zasłużonej poetki, nieznanej zresztą bliżej naprawdę tym rzeszom niezliczonym, które na jej pogrzeb pośpieszyły. Ja przynajmniej doznawałem wrażenia, że żegnamy tu nie tylko Deotymę, utalentowaną poetkę i wybitną wogóle kobietę, ale że razem z nią opuszcza nas niepowrotnie jakaś część dalekiej już, a jednak drogiej nam jeszcze przeszłości, że zrywa się oto jakaś nieś tradycji, że pękło ogniwo, które w ciągu lat wielu łączyło dwa obce dla siebie i dalekie już bardzo, a jednak nieobojętne sobie nawzajem światy.

Bo Deotyma, w ostatnich latach zwłaszcza, była jakby żywym, ostatnim już niemal pomnikiem minionej epoki, która, mimo różnice wszystkie w zestawieniu z czasami nowymi, mimo swe błędy i wady, zachowała jednak urok niewygasły dla pokoleń następnych. Nie dobę romantyczną mam tu nawet na myśli, choć w tej epoce (r. 1834) urodziła się i wzrastała autorka „Branek w jasyrze“ i „Sobieskiego“, choć czeiła Mickiewicza i na „Panu Tadeuszu“ styl swój kształciła podobno. Wnuczka Jana Pawła Łuszczewskiego, ministra spraw wewnętrznych i religijnych za Księstwa Warszawskiego, uwielbiana i błogosławiona po pierwszych występach poetyckich przez Franciszka Wężyka, Kajetana Koźmiana, Franciszka Sal. Dmochowskiego, Ignacego Humnickiego i innych koryfeuszów ostatnich dawnego kierunku, zachowała ona w swej organizacji duchowej, w atmosferze, która ją otaczała, w swej twórczości nawet — jakieś technię tamtej właśnie doby i poniekąd uważana być może za ostatnią, zapóźnioną przedstawicielkę pojmowanego

najszlachetniej „klasycyzmu“ polskiego. Tym wytłomaczyć by można te liczne dytyramby, kantaty i ody („Oda do Słowa“, „Oda do Czynu“, „Oda do Przyrody“, „Oda do Pokoju“, „Oda do Miłości“ etc.), rozsiane wśród jej poezji, tym się tłumaczy zimna nieco poprawność formy wielu bardzo jej utworów, niezwykle tematy niektórych, ten wreszcie pierwiastek cudowności, występujący np. w pierwszym śpiewie „Sobieskiego pod Wiedniem“ i rozlany w całym poemacie, który również uważać by można za urzeczywistnienie późne gorących marzeń klasyków naszych o epopei narodowej. Choć z drugiej strony zarówno w tym poemacie, jak w całej twórczości Deotymy, były i takie pierwiastki, jakich napróżno szukalibyśmy wśród pokolenia „klasyków“ naszych z Księstwa Warszawskiego i Kongresowego królestwa. Niektóre, późniejsze zwłaszcza jej utwory liryczne, obok formy kunsztownej zawierają i nutę uczucia szczerzego; znać, że ich źródłem nie głowa była, lecz serce. W sercu również maczała poetka pióro, malując odległe dzieje „Branek w jasyrze“ i prześlicznej „Panienki z okienka“, a zwłaszcza odtwarzając bohaterską wyprawę wiedeńską umiłowanego gorąco króla Jana. Na wszystkim zresztą, co pisała, odbijało się piętno jej indywidualności wybitnej, potrafiła być sobą i iść własną drogą, mieć własne upodobania i antypatje. Z wielkich romantyków naszych w żaden sposób nie mogła się pogodzić ze Słowackim, chociaż przyznawała mu talent wielki. Nie miała do niego sympatji. Były to poprostu różne całkiem organizacje duchowe, nie mające prawie punktów styecznych. Co innego zupełnie Mickiewicz, Krasiński...

Z poetów obcych Homer i Goethe imponowali jej może najbardziej. „Kto się poety szczyci imieniem, sam rozkazywać powinien natchnieniu“ — ta myśl autora „Fausta“ trafiała jej bardzo do przekonania. I natchnienie, a przynajmniej dar rymotwórczy, który w młodości pierwszej imponował tak wszystkim improwizacjami, zdawały się istotnie posłusznymi woli poetki, której talent do ostat-

nich chwil niemal odznaczał się dziwną żywotnością. Ona sama uważała nawet, że dopiero w r. 1892 smyczek jej trafił wreszcie na ton oddawna szukany. „Od tej chwili—pisze w pamiętniku—i dopiero od tej chwili uczułam się umysłowo dojrzałą.“ Na strunach narzędzia swego mogła już teraz wygrywać swobodnie, co jej się spodobało i jak jej się spodobało, pisanie stało się dla niej bardzo miłym, chociaż i teraz, jak mówi, łatwym nie było, „bo im człowiek lepiej co umie, tym więcej od siebie wymaga“. Nie było więc może łatwiejszym, lecz dawało poetce „owoce takiego smaku i gatunku“, jakiego sobie życzyła, kiedy pierwiej „wychodziło mi co innego, niż chciałam, i trąciło goryczką niedojrzałości“. „Szkoda tylko — dodaje Deotyma, że ta dojrzałość przyszła tak późno, w chwili, kiedy miałam już lat 58 i kiedy ciało zaczęło już na dobre wypowiadać służbę. Nowy to dowód, że człowiek składa się z dwóch istot nierównomiernych sobie, nietylko pierwiastkami, ale i wiekiem. Oto ze mnie jeden przykład więcej, że istota materialna już się starzeje i już w pył kruszy, podczas kiedy istota duchowa dochodzi do swej pełnoletności.“

W zwierzeniu tym, które przytaczam według zawartych w książce Pługa o Deotymie wyjątków z jej pamiętnika, a które przed kilkoma miesiącami miałem sposobność słyszeć w obszerniejszej formie z własnych ust poetki—nie było rzeczywiście złudzenia, ani przesady. Pisane w ostatnich czasach ustępy „Sobieskiego“ świadczą wymownie, że teraz jeszcze, mając lat z górą siedemdziesiąt, panowała ona świetnie nad formą i treścią. Tym bardziej żałować należy, że największe dzieło jej życia pozostało, niestety, niewykończonym, choć roku lub dwóch lat wystarczyłoby zapewne do „dośpiwania ostatnich zwrotek“. Tak długo jednak nie dane już było poetce przystanąć „na brzeżku ziemi“, na której, co prawda, czuła w ostatnich czasach coraz większą pustkę dokoła siebie.

Świat, choć gwarny, oddawna niemył wydawał się

niekiedy poetce, na co skarżyła się już w r. 1876 w przytoczonym niżej w całości wierszu „Dwa pokolenia“:

„Trudno wpośród nowych ludzi
Nowych szukać mi przyjaźni.
Starodawna pieśń ich nudzi,
A mnie — nowa pieśń ich drażni.“

Pocieszała się jednak myślą, że — na imię wspólnej ziemi i na dźwięk strun boleści serce dwóch pokoleń jednakowo w dalszym ciągu uderza. Dla talentów młodych miała zresztą do ostatnich dni życzliwość szczerą; na pamiętnych czwartkach swoich otwierała im gościnne podwoje, nie szczędząc pochwał i zachęty.

* * *

Czwartkowe zebrania Deotymy... Swieży opisał je ładnie i prawdziwie Czesław Jankowski w „Słowie“. Wspomnienia jego położą może kres najfałszywszym wieściom i sądom, które o nich krążyły w Warszawie, powtarzane i rozsiewane przez tych zwłaszcza, którzy na nich nigdy nie bywali. Nie znałem ich w dobie świetności największej, ale z tych kilkunastu wieczorów, które przed jakimś lat dziesiątkiem, jako najmłodszy członek tak zwanego „Parnasu“ warszawskiego, spędziłem w jej salonie literackim, pozostało mi wspomnienie miłe jakiegoś oderwania się od szarzyzny życia codziennego, jakiegoś pobytu w atmosferze szczerego kultu piękna. Nie trzeba tylko wyobrażać sobie, że Deotyma improwizowała na nich z trójnoga, a zebrani — palili kadzidła. Okres improwizacji, szkodliwy może nawet dla rozwoju talentu poetki, skończył się prędko. Po powrocie z wygnania, na które w głąb Rosji towarzyszyła ubóstwianemu ojcu, na zebraniach tych słyszało się tylko odczytywane wyjątki z nowych utworów Deotymy samej lub jej gości, prowadzono rozmowę o literaturze, sztuce, smutnych najczęściej zdarzeniach dni ostatnich — i nie sędzę doprawdy, aby ta atmosfera, którą się tam spotykało, szkodliwszą

była dla talentów od atmosfery cukierniano-restauracyjnej, tak ulubionej w czasach ostatnich...

Wyjazd z Warszawy, później młyn życia z troskami codziennymi — nie pozwoliły mi uczęszczać stale na „czwartki“ Deotymy, które zresztą w ostatnich czasach przybrały charakter skromnych zebrań popołudniowych grona najbliższych znajomych i przyjaciół sędziwej poetki. Deotyma jednak zachować mnie raczyła w pamięci i mile bardzo odpowiedziała na zaproszenie moje do współpracownictwa w „Sfinksie“. „Dziękuję też — pisała po komplementach paru z powodu ofiarowanej sobie książki — za wezwanie mnie do grona współpracowników tego wabnego „Sfinxa“, do którego najchętniej przyłączę się niekiedy. Cieszę się niezmiernie, że są dusze waleczne, które w tych trudnych i chaotycznych czasach, odważają się na szukanie błękitnej przystani, skąd można będzie pogodnym spojrzeniem ogarnąć rozhukane widnokręgi życia. Szersze omówienie tych rzeczy odkładam do obiecanych mi odwiedzin“.

Z powodu druku w „Sfinksie“ XV śpiewu jej epei odwiedzałem ją w tym roku kilkakrotnie. Deotyma interesowała się rozwojem pisma, wybierała sama ilustracje do swego poematu, a w rozmowie z nią podziwiałem nieraz żywość jej myśli, trafność niektórych uwag i spostrzeżeń. Nie miała wcale złych przeczuć, przypuszczała, owszem, że dane jej będzie dokończyć poemat o Sobieskim, zwłaszcza, że pisanie posuwało się teraz prędko i nie męczyło jej prawie.

Do najmilszych pamiątek zaliczam parę jej listów z tego czasu, ostatni zwłaszcza z 10 czerwca, w którym poetka dziękuje w słowach gorących za przesłane egzemplarze „Sfinksa“ z „Sobieskim“ i za parę słów życzliwych, napisanych przezemnie o tym poemacie. Gdy ją widział w czerwcu po raz ostatni, obiecywała dać mi na jesień pieśń nową lub wybrać dla „Sfinksa“ jedną z niedrukowanych jeszcze dawniejszych. Śmierć Deotymy była dla mnie niespodzianką zupełną, a zasmuciła mnie

tym głębiej, że wiedziałem dobrze, jak bardzo wykończyć chciała ukochane swe dzieło, w które z siebie włożyła tak wiele. „Sobieski“ jej — obok „Branek w jasyrze“, „Panienki z okienka“, a poniekąd i „Wandy“, oraz szeregu utworów drobniejszych — choć niewykończony, pozostanie jednak w literaturze, jako zdobycz trwała, jako dzieło dużego talentu, dużej pracy i dużej miłości. I przetrwa zapewne sądy tych, którzy niedawno jeszcze wyrażali zdziwienie, że w „Sfinksie“ taki długi ustęp z niego drukowałem... Ach, bo u nas uznaje się zwykle jeden tylko, modny w danej chwili rodzaj sztuki, a po „przeszłości ołtarzach“ depce się bardzo chętnie, nie dając nawet wzamian za to nadziei, abyśmy kiedyś mieli sami — „doskonalwsze wznieść“...

* * *

Mimowoli i niepostrzeżenie prawie uderzyłem w strunę wspomnień. Ale bo też pod świeżym wrażeniem śmierci takiej, jak Deotyma, twórczyni, którą się znało i ceniło, dla której od dziecka miało się jakiś kult w duszy, trudno przystępować odrazu z wagą i miarą do bogatej jej ducha puścizny. Można czuć tylko, że literatura poniosła stratę, że zamknęła się niepowrotnie jedna jej karta piękna — na uwagi krytyczne nie czas jeszcze. To też z powodu artykułów i wspomnień, które w pierwszych dniach po śmierci Deotymy posypały się tak obficie, grzesząc — jedno panegiryzmem, drugie powściągliwością i chłodem nadmiernym, dwa tylko pożegnania gorące silniej, mym zdaniem, przemawiają do duszy. Oba z serc niewieściich wypłynęły i prosto do serca trafiają.

Jedno — to przemówienie Hajoty nad trumną Deotymy, przemówienie, broniące wymownie poetkę przed rozpowszechnionym zarzutem chłodu. Drugie — to piękny artykuł Elizy Orzeszkowej p. t. „Na mogiłę Deotymy“, umieszczony w „Kurjerze Litewskim“. Niech nam wolno będzie na zakończenie przytoczyć z niego dwa ustępy. „Twórczość jej — pisze o Deotymie znakomita autorka

„Nad Niemnem“ — przypadła na dzień feralny, ale ona potrafiła przerobić go na to święto, w którym duch twórczy przed wielkim nieszczęściem przyklęka i królewskimi pieśniami krew z poranionych stóp jego omywa. Kochała Boga i prawa Jego, kochała Ojczyznę — i dwa te kochania ściśle z sobą sprzęgnięte, najwyraźniejsze piętno wytłoczyły na myślach, w poetyckiej oprawie utworów jej zamkniętych. Była mistrzynią w tworzeniu dla myśli opraw, jakby z marmuru kutych, doskonale w liniach swych regularnych, okrytych ornamentyką bogatą, lecz powściągliwą...”

„Nie władnąc lub w słabym stopniu władnąc liryką, ta kobieta dzierżyła w dłoni siłę, która na przestrzeni historii nielicznym tylko dłoniom męskim dostała się w udziale. Dzierżyła ona rzadką i zarazem wielką siłę epicką. Piękne już jej próby objawiały się u początku cyklu, nazwanego „Polska w pieśni“, lecz jako twór doskonały i wspaniały wykwił z niej poemat epiczny: „Sobieski pod Wiedniem“.

Tyle z autorki „Nad Niemnem“, którą w dalszym ciągu zastanawia, że z trzech wielkich poematów epickich, jakie literatura polska w ciągu wieku ostatniego wydała („Pan Tadeusz“, „Pan Balcer w Brazylii“ i „Sobieski pod Wiedniem“), dwa wyszły z pod piór niewieścich. Czy dzieło Deotymy wytrzyma na dłuższą metę próbę czasu, jak wytrzymał ją ongi niższy od niego artystem poemat rycerski Potockiego o wojnie chocimskiej? Na pytanie to przyszłość odpowie. Wierzyła w to, jak się zdaje, poetka i ta wiara sił jej dodawała do pracy wprost olbrzymiej. Na obojętność pewną, z jaką się u pokoleń najmłodszych spotykała, mogła sobie powtarzać z otuchą, że — „co jaśnieć ma na wieki, to nie może lśnić dla chwili“.

Wł. B.

30/IX.

DEOTYMA.

Z poezji i improwizacji.

MODLITWA.

W szczęściu jest — tem szczęściem samem,
W enocie — wytrwania potęgą.
W cierpieniu — pociech balsamem.
W grzechu — poprawy przysięgą.

Bóg się w swym istnieniu błogiem
Nie modli, bo w żadnym niebie
Nie zna wyższego od Siebie,
I dlatego jest On Bogiem.

Anioł z pochylonym czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może,
I dlatego jest aniołem.

Człowiek, z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień czy radości kole,
Modli się, gdy chce, ma wolę,
I dlatego jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie i umie,
Tylko jedno mu nieznanem:
On się modlić nie chce w dumie,
I dlatego jest szatanem.

1852 r.

Z SONETÓW DO OBLUBIEŃCA.

I.

Czy wy sędzicie, że niebiańskie dziecię
 Nie mogło strzaleć utkwieć w duszy mojej?
 Wszak miłość osiła, na której Bóg stoi,
 Poezją w życiu, — a życiem w poecie, —
 Cierniem, z którego ofiara się plecie; —
 Może i kluczem do szczęścia podwoi; —
 Bezdenną czarą, co przyrodę poi; —
 Berłem mężczyźnie — koroną kobiecie.
 Jedną syn ziemi wiedzie w mirtach, w bieli,
 Przed skrzający ołtarz; — druga, lilja w celi,
 Nazareńskiego zaślubia młodzieńca.
 I jażbym tylko w sercu lodowatem,
 Nie czuła iskry, która wstrząsa światem?
 Ach! i ja kocham!... kocham oblubieńca!

II.

Czyście słyszały oblubieńca mego?
 Kiedy on westchnie, płacze skała głucha...
 Kiedy przemówi, narody się zbiega;
 Kiedy zaśpiewa, Bóg z rozkoszą słucha.
 Czy znacie imię oblubieńca mego?
 To święte imię, wśród istot łańcucha,
 Wiąże człowieka do pierwszego ducha;
 W księdze tajemnic, to imię Omega.
 To imię żaglem, w który czyny stroim,
 By się unosić nad przyszłości morzem,
 To imię pierwsze po imieniu bożem!
 Podziw wasz rośnie... już w zachwyty go zmienię...
 Słuchajcie, siostry: oblubieńcem moim
 Jest duch niebieski, duch duchów: Natchnienie.

Sierpień 1856.

ODPOWIEDŹ.

Samotne dziewczę szło daleką drogą.
 „Czyż cię — pytano — samotność nie nuży?
 „Czemuż z wędrowców nie wybierzesz kogo,
 „Za towarzysza podróży?“
 — Jeśli się znużę, sama wam obwieszczę.
 Widzę was wszystkich, od wszystkich odchodzę.
 Nie, — ten, którego wiernie czekam, jeszcze
 Nie przeszedł po mojej drodze.
 „Niewidzianego jakżebyś poznała?“
 — Jak? Niepodobny on tu do nikogo.
 Wiem, bo w mej duszy obraz jego pała.
 Nie, jeszcze nie szedł tą drogą.
 On gdzieś jest... Czuję to po sercu bicia.
 Gdzie? Dotąd nie wiem. Na ziemi? Czy słońcu?
 Czy jakiej gwiazdzie? Spotkam go przy końcu,
 Lecz może aż w innym życiu.

1866 r.

PIOSENKA W KARPATACH.

Każda góra ma swą chwałę,
 Swe podanie i swój szczyt,
 Na nich leżą śniegi białe,
 Jakby jakiś wieczny świt.
 Orzeł wisi na szafirze,
 Jak na tarczy rznęty znak,
 Prąd potoku brnie po zwirze,
 Jakby twardy życia szlak.
 Głos odradza się cudownie,
 Gada w echu dusza gór.
 Stoją skały, jak warownie,
 Okłębione dymem chmur.
 Sto źródłek z jam bulgocze,
 Jakby klótnia srebrnych larw.

Przez obłoczki pół-przezrocze,
 Sto bajecznych świeci barw.
 Gra w pozłocie zielonawej
 Roztoczony wachlarz gór.
 Błękitnieją na nim stawy,
 Jakby oczy pawich piór.
 Ogień pryska z piersi pstrąga.
 Puchem fjołków pachnie głaz.
 A kosodrzew się przeciąga,
 Jak zakłęty w drzewo płaz.
 Na koniku, okazale,
 Pasterz jedzie z dolnych pól,
 Tuż pod gwiazdy, na swe hale,
 Jak w swym państwie jedzie król.
 Idzie steczką Podhalanka,
 Na jej licach róże dwie.
 Rwie jagody, rwie do dzbanka,
 Jak poeta myśli rwie.
 Gemza śmiga przez otchłanie;
 Za nią strzelec, iskra gór.
 Owce zwisły na polanie,
 Jakby biały pereł sznur.
 O wieczorze trzoda wraca,
 Postrachami ćmi się las.
 Przy ognisku siedzi baca,
 Żółte guzy wbija w pas.
 Konwie stoją pod szalasem,
 Niby w liljach, mleko w nich.
 Idzie zbójnik Czarnym lasem,
 Za nim wojsko duchów złych.
 Jakby rumak rży lawina.
 Orkan puścił cugle wód,
 Skrzącą kosą bory ścina,
 Jak śmierć ludzki ścina ród.

Wichry pędzą skroś manowca,
 Z gór na góry, w jeden skok.
 Piorun zrywa zrab lodowca,
 Jak królewne chwytą smok.
 Zcichły gromy, lecz zwaliska
 Zostawiły w gmachu skał.
 Płyną chrzęszcząc rumowiska
 Z trumny wieków chaos wstał.
 Lśnią nabrzmiące wodospady,
 Jak pałace z tęcz i szkła.
 Siadł na skale kobziarz blady,
 Nad nim słońce, niżej mgła.
 Szumi kobza — szumią drzewa,
 Grajek słucha pieśni gór.
 Każda góra swoją śpiewa.
 Tysiąc szczytów — jeden chór.
 Wzlatuj duszo! Przegoń wiatry!
 Nad burzami pieśnią żyj!
 Niech się święcą matki-Tatry,
 Na ich łonie sercu lżej.

1860 r.

NIEŚMIERTELNIK.

Nie ma barw, ni aromatów,
 Odosabnia się od gminu,
 Arcykapłan w państwie kwiatów,
 Nieśmiertelnik, brat wawrzynu.
 Umaczany w glori złotej,
 Z ascetyczną, bladą cerą,
 On jest świętym kwiatem cnoty,
 Co rozkwitnie tam dopiero.
 Póki wiosna tęcze kładzie
 Na zielonym swym warkoczu,
 Nikt, w jej rajskim chodząc sadzie,
 Nie zatrzyma na nim oczu.

Ale zima ścięła kwiaty
I marzenia omyliły,
I sam wawrzyn usechł z laty,
A on stoi u mogiły.

Stój, samotny i daleki,
By się ludzie domyslili,
Że co jaśnieć ma na wieki,
To nie może lśnić dla chwili.

1876.

DWA POKOLENIA.

Coraz rzadziej na mnie woła
Głos mi znany, albo miły.
Coraz gęściej dookoła
Rozrastają się mogiły.

Trudno wśród nowych ludzi
Nowych szukać mi przyjaźni.
Starodawna pieśń ich nudzi,¹
A mnie — nowa pieśń ich — drażni.

Oni dla mnie dziwni tacy!
Świat, choć gwarny, jakiś niemy.
Czy w zabawie, czy przy pracy
Tylko w pół się rozumiemy.

A jednakże i z nowemi
Nie zerwałam ja przymierza,
Ach, na imię wspólnej ziemi
Serce równo nam uderza!

I choć w dawnych lat powieści
Wspomnień mych nie rozumieją,
Kiedy dotknę strun boleści,
Rozumiemy się — nadzieją.

1876

PIEŚNIOM NA ODLOCIE.

Obejrzałam się na życie.
Pieśni moje, czy słyszycie?
Nawołuję was!
Już od plonu brzmieją śpichrze,
Róg myśliwski gra na wicherze,
Do odlotu czas!

Porzućcie gniazdo wasze,
Gaj pożółkły, wień poddasze,
I okienka chat.
Nawiążujcie trójkąt stada,
Co jak harfa się układa,
I odlećcie w świat!

* * *

A nie lećcie nadaremnie.
Dary nieście mu odemnie,
Pod skrzydłami ksiąg.
Czego łaknie smutna rzesza,
Co pociesza i co wskrzesza,
Rozsypujcie w krąg.

A nie miejcie wzroku sowy,
Ani szpony krogulcowej,
Ani kruczych szat.
Dość już gońców czarnej troski!
Wy roznośćcie uśmiech boski
Na splakany świat.

* * *

Czy kto z dobrą, czy złą duszą,
Wszystkim, wszystkim, którzy muszą,
Przez ten padół iść,
Przy gołębach piór szeleście
Z pozdrowieniem Pokój nieście,
Jak oliwny liść.

Tym, co czoła mają chmurne,
Co na piersiach cisną urnę
Przeplakanych strat,
Rzućcie błękit ponad głowy,
Niech w pogodzie lazuruwej,
Zmieni im się świat.

* * *

Mistrzom wiedzy i rachuby,
Którzy w życiu samoluby!
Widzą chytrą grę —
Na zeschnięte serc ich wióry,
Zapał nieście tchem wichury,
Jak czerwoną skrę.

Tym, co struci są goryczą,
W niebo patrzą buntowniczo,
Nienawistnie w świat —
Nieszczęśliwi! Tym na łono
Rzućcie Miłość rozplonioną,
Jak różowy kwiat.

* * *

Wołającym za ochłoda,
Synom słońca, którzy wiodą
Z huraganem bój —
Pokazujecie tę Nadzieję,
Co w pustyni palmy sieje,
Pod palmami — zdrój.

A na końcu, jak w początku,
Wszystkim, wszystkim, bez wyjątku,
Do skończenia lat —
Wracające z nieba goście,
Na promieniu gwiazd, przynoście]
Wiarę w inny świat!

1887 r.



DEOTYMA.

Z „Sobieskiego pod Wiedniem”.

(Zakończenie śpiewu trzeciego).

— „Za mną!” — Król krzyknął — spuścił się nizina
I pierwszy wjechał na most Dunajowy.
Już polskie wojska chorągwiami płyną;
Zaklekotały po belkach podkowy.
— O piękna chwilo szczęśliwszych stuleci!
Sto białych orłów na sztandarach leci —
Tysiąc skrzydlaczy na rumakach bieży —
A gdy ich obraz do wody odpada,
Zdaje się oczom, że orle dwa stada
Niosą i most i rycerzy.

— „Patrz, to jak Cezar w ów dzień Rubikonu!”
„Lepszy! Cezara wiodła samowola;
„Ten idzie w imię Bożego Zakonu.”
To zdanie wyszło z ust Xięcia Karola,
Który, w nadbrzeżnym ukrywając się gaju,
Śledził spotkanie i przejście Dunaju.
Tuż za nim drugi z pod liści wyzierał;
Był to Graf Henryk Dünewald, mąż prawy,
O złotym sercu, wyborny Jenerał,
Dziwnie młodzieńczej postawy.

Sfinks.

Dziwnie, bo krzyżyk już zdobył go szósty.
 Oczy miał świetne, z wąsików dwie kreski
 Przy szczerych ustach. Teraz temi usty
 Rzucił wykrzyki: — „Ach, bravo Sobieski!
 „Ach, wielki człowiek! I takie pigmeje
 „Chciały go spętać? Ba! On z nich się śmieje.
 „Cięższe ten olbrzym rozrywał już pęta!
 „Pytasz mię, Xiążę, skąd ci się zuchwali
 „Znaleźli tutaj? A to ich nasłali
 „Nasi kochani Xiążęta.

„Mieli nadzieję w tym Panu Ministrze.
 „I mnie wciągano, ale się wymknąłem.
 „Jakim ja prawem, jakim ja mam czołem
 „Dawać nauki mistrzowi nad mistrze?
 „Ja nawet słuchać nie chciałem ich wcale.“
 — „Dobrześ uczynił, dobrze, Jenerale,
 „Ach, co ja cierpię na brzydkiej tej znowie...
 „Jabym chciał ptakiem polecieć z nim razem!“
 Tak szepcąc, obaj serdeczni mężowie
 Wzrok paśli cudnym obrazem.

Na innym wzgórku inaczej gadali
 Xiążęta Rzeszy, co wyszli z namiotów,
 Aby swych posłów podpatrywać z dali.
 Jeden tam wróżył: — „On jednak przejść gotów!“
 Drugi pocieszał: — „E... może zawrócić?“
 A teraz, niemi, do miejsca przykuci,
 Na most wejrzeniem ciskali niemiłem.
 Zwłaszcza też Kurfirst Saski, najeżony,
 Mruczał, ruszając grubemi ramiony:
 — „Warjat. Ja wciąż to mówiłem.

„Czy nie warjactwo tam iść, w paszczę smoka?
 „Wlazł, to niech ginie. Już ja tam nie wlezę.
 „I chce rozkazy nam dawać z wysoka,
 „Jakby wassalom! Trzeba go wziąć w ryzę,
 „Albo Polacy tu wszystkim zawładną.

„Nie byłby Cesarz ściagnął mię tak snadno,
 „Gdybym się spodział, czym ja tutaj będę...“
 — Inni szemrali: — Tak! To zapaleniec.
 „Niechby pomagał, jako sprzymierzeniec,
 „Lecz poco ma brać kommandę?“

Za to w szeregach niemieckich żołnierzy
 Było wzburzenie. Wzięła ich oskoma.
 Kto mógł się wymknąć, to biegł do wybrzeży.
 Tam sobie Króla wskazując rękoma,
 Wołali z żalem: — „O... to wódz prawdziwy!
 „Rwą się Polacy za Dunaj? Nie dziwy!
 „Z takim to można iść nieustraszenie.
 „Ach, gdyby nie te Ministry nudziarze,
 „I my by poszli wszędzie, gdzie on każe,
 „Przez wodę i przez płomienie!“

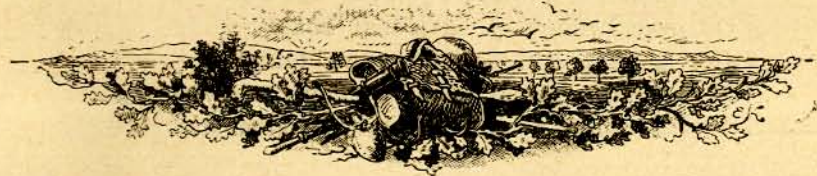
Król jechał zwolna. Od chwili do chwili
 Przystawał, chwalił sumienną budowę.
 Pontonierowie czapki podnosili,
 A ich okrzyki, jak ognie rotowe,
 Szły za nim. Wielu skakało na łodzie,
 By go raz jeszcze zobaczyć w przechodzie.
 Widok ten każde rozpogadzał czoło,
 Rzeźwiały w sercach nadzieje złamane.
 W powietrzu nawet, pod wróżbą wesołą,
 Dzień się zanosił na zmianę.

Już od godziny, od wyjazdu Króla,
 Zadęte niebo pojaśniało zlekka;
 Złotem nasiąkła obłoczna półkula.
 W połowie mostu zjaśniała i rzeka.
 Wiatr się poderwał, świetlane owieski
 Rostrząsł po wodzie, i jeszcze Sobieski
 Do przeciwnego nie dojechał końca,
 Już Anioł polski, schowany w błękiecie,
 Skrzydłami rozciął wiotkie chmur spowicie,
 I rzucił z nich — promień słońca.

Król podniósł rękę. — „No, patrzcie Waszmoście:
„Słonko! Śmialemu i pogoda służy.
„Coś Wezyr warty nie stawiał przy moście?“
— Tu na ląd wjechał, i z nadrzecznych wzgórz
Spojrzał po kraju, po zgliszczów szeregu.
Ach, co za przepaść od brzegu do brzegu!
Tam raj! Tu piekło. Już śmierć przeszła tędy.
Oto jest miejsce, gdzie Tulno w gruz legło;
Zwał murów, nagą krwawiących się cegłą,
Popstrzonych rdzawemi śwędy.

W koło, kraj pusty. Może i nie pusty?
O tam... coś pełza pod spaloną ścianą,
W krzakach... dwa cienie. Co migną, to staną.
Żmije, czy ludzie? Z zacisłemi usty,
Skośne źrenice w jadących wlepili,
A jeden szepce: — „Mnie oko nie myli,
„To nie są Niemcy. O... ten, co ma pierze
„U bark, djabelnie wygląda na Lacha.
„I tamten... wszyscy! Ależ, przez Allaha!
„Skąd ich się tylu tu bierze?

„Aj, coraz gorzej! Czy widzisz? Ten z grubą
„Kitą na czapce, to ów król, co w dawnym
„Przepowiedzeniu grozi nam zagubą.
„O! Jam go dobrze widział pod Żórawnem!
„Trzeba umykać wiadomą nam drogą
„I dopaść koni. Do Chana! Z przestroga!“
Znikli. — Tymczasem, już biegł jakiś młody
Hussarz, niósł szyszak, nalany pod miarę.
— „Bierz, Królu“ — krzyknął — „rycerską tę czarę,
„Dunajskiej napij się wody!“



CYPRJAN NORWID.

Odezyty o Słowackim.

(Dokończenie).

V.

Mamy oto przed sobą dwa poematy: „Beniowski“ i „Król Duch“; obydwa są niedokończone, stanowią one jednak moment najdzielniejszy w piórze Juljusza Słowackiego.

Historja cywilizacji jest tak młoda, że pełnoletności swej nie dorosła, oczekuje bowiem na papiery legitymacyjne z mumji egipskich i z azjackich pomników, a których pismo i słowa ledwo że sylabizować dotąd umieją: ale zdaniem moim czego jest brak najwięcej, to *pamięci* *serca*! Dobrze to bowiem czytać postęp idei, porozstawianych jak równania algiebraiczne, jedna po drugiej, ale czy kto pomyśli, ile boleści, ile rozdarć każde narodzenie się myśli potrzebowało? Dopatrzone nareszcie, że we wszystkich semnickich hieroglifach opuszczone są samogłoski, co już jest wielką zdobyczą, a kiedyż to dopatrzą, ile jest w historii opuszczonych łez, łkań, rozdarć i tortur, które są powszedniemi towarzyszami narodzenia się i wydojrzenia każdej prawdy. Jako więc królowa Jadwiga, kiedy dano jej wiedzieć o zapłaconej krzywdzie, pytała — *a kto lży zapłacił?* — tak pyta się dziś dusza chrześcijanina, czytając historję tryumfalną. Wdzięczny przeto jestem

poezie, który stara się uwiecznić nie tylko pobożowiska, ale i jęki z bólei i wrzawę i cierpienia walki dokonywanej, bo są one dla dziejów właśnie że tym, czym owe wyrzucane samogłoski z pomników semnickich. I gdyby się dziś mogło rozejść to brzmienie wykrzyknika *Ach!*, jakie szło przez wszystkie wieki i narody, byłoby to tyśiąćroć lepiej od wielu ksiąg wyjaśniło dziejów tajniki.

Wielkiej zaiste odwagi trzeba, by uwiadamić i uwiecznić współczesne i potoczne momenta. Słowacki miał tę wielką i największą odwagę, i on jeden, podobno, że miał ją czasu swego. W Beniowskim na każdej karcie czuć się daje powietrze jakieś nie miejsca ale czasu, kiedy otwierać ust nie można, a milczeć się nie godzi i można tylko sykać z bólu i być przeto uważanym za sykającego węża, chociaż się jest syczącym z bólu niewolnikiem. Pod tytułem tego Juljuszowego utworu czytelnicy w myśli podpisali wyraz „powieść”, tak jak na murze owym, gdzie dla wymagań policyjnych pod rzeźbionym *orlem* — podpisano „paw”. Ta też książka rymów o *różnych wielkich boleściach*, nazwana Beniowskim, za poetyczny a urwany romans uchodzi! Treść jej ścisła, naga określona prozą, uokrociłaby poezie czas pracy, ale dla społeczeństwa oczystego zmarnotrawiłaby go może napróżno. U inkwizytorów weneckich były stoły, z otworem okrągłym w środku, a otwór ten nakryty był hełmem: wokoło stołu urzędnicy spisywali, co wyglądająca głowa hełmu mówiła, gdy ciało tak posadzonego winowajcy pod stołem poddawano torturom. Mało też sensu było w tym mówieniu, ale słowem i ideą, łączącą porwane wyrazy, był *gwałt*, a zaś echem gwałtu — odpowiadające mu z łona sprawiedliwości przekleństwo! Tak rymy Beniowskiego, związku i toku na pozór nie mające, nie miałbym do niczego innego przyrównać.

Przekleństwo bowiem nie jest rozłączne z każdą pogwałconą prawdą, każda prawda narodzona krzywo i ironicznie dlatego tylko, że jej nie dano narodzić się inaczej — sądzi przez to samo społeczeństwo i jest to naj-

silniejszym samego siebie przekleństwem. Zniepokuj tak słowo prawdy, aby nie mogło w spoczynku i pogodzie dojrzeć, a ludzie się nim strują o tyle, o ile zniepokoiłi je... Przemilczenie nawet samo potępia: sułtan pewien dlatego tylko z lekkiej choroby umarł, iż niewolno było domyslać się i mniemać, jakoby chorować mógł słońca pokrewny — milczenie rzuciło na niego klątwę — i umarł!

Na posiedzeniu drugim odłożyliśmy na później rzecz o przekleństwach, dodam więc tutaj, kiedy miejsce po temu, że przekleństwo jest przeciwbłogosławieństwem, które w formie modlitwy się wyraża. Powie mi kto: „jakiż może modlitwa mieć związek z przekleństwem?”, a ja mu odpowiem, czyliż ten, który przeciwko samemu sobie nie modlił się — modlił się kiedykolwiek? zaiste nie. Jeżeli więc modlimy się przeciwko sobie samym — tedy przeklinamy się. Każde bowiem dążenie do doskonałości jest przez to samo jakoby przekleństwem samych siebie w niedoskonałych popędach naszych. Poema Beniowski tak dalece pełne jest przekleństw, iż treścią jego jest to właśnie, co jest podrzędnym; forma tak ironiczna, że nawiasy są celem. Jest to jakoby rozmowa z próżnemi formalnemi i zewnętrzniemi ludźmi, do których po gawędce potocznej o pogodzie i o wielu innych rzeczach mówimy nawiasem: „a czy nie pogadaliśmy teraz trochę o prawdzie lub o łzach, które poród prawdy wyciska?”...

Po wytłomaczeniu zaś, do ila Anelli jest poematem, u bieguna zamierzeu cywilizacji stojącym, rozumiemy już wierność tego, że sybirski bohater daje znowu nazwisko swoje zbiorowi rymów, ostateczności socjalne mających za przedmiot. Anelli jest Beniowskim po Olimpijsku, po wiecznemu, i odwrotnie — Beniowski jest Anellim po *dzisiejszemu*.

Przechodzimy następnie do drugiej części to jest do najciemniejszego poematu „*Król Duch*” i dlatego słów kilka o ciemności wyrzec musimy. Od osobistości autorskiej Adama Mickiewicza nie można odjąć pierwszej części „*Dziadów*”, utworu, który poetę stanowczo przed światem

ukazał, tak jak od pierwszego wydania poezji Mickiewicza nie można niemniej odjąć listu jego do krytyków i recenzentów. Bohaterem „Dziadów” jest głęboko czujący człowiek, miany za obłąkanego przez ludzi małych, dla których wszystko to, co przechodzi ich szkiełko kieszonkowe, istotnym przeto samo nie jest. Tak wystąpił Mickiewicz, którego utworów część spora i dzisiaj jeszcze nie jest jasna, a był sławny i jest sławny. Zygmunta Krasińskiego prawie połowa pism niezrozumiałą pozostaje, a był sławny i jest sławny. Dla Danta stworzono osobny wyraz „*dantesco*”, co znaczy, zawile ciemno i niezrozumiale, a był sławny i jest sławny; o Szekspirze też samo... Jakże więc może być, aby krytycy, ci tak logiczni ludzie, sławili to, co za niezrozumiałe ogłosili? — nie chcę na to bynajmniej odpowiadać, niech się tłomacza ci, co *sądzą*, a nie ci, którzy *objaśniają*; co do mnie dodam tylko, że niema pisma perjodycznego polskiego, w którymby nie było świadectwa, dla mnie, że wyłączenie mam o ciemności stylu pojęcie. To zaś, tak jak i tamto, nie dziwi mnie, jedno i drugie jest nielogiczne i właśnie dlatego jest mi jasne. Nie mogę ja albowiem utrzymywać, że prawda jest teorią samą, gdyż nie wiedziałbym, czym się sprawdza, gdyby, mówię, praktycznej i sprawdzającej ją strony nie miała? Prawda obejmuje życie, jest więc niejasna, bo obejmuje rzecz ciemną; gdybym odjął prawdziwe życie, odjąłbym jej to, co ją sprawdza, ale byłaby jasnym fałszem. Winszuję zaś tym, co życie jasno widzą, dla mnie jest ono sprawą pełną stron dramatycznych, a nie automatycznych, a więc i zawilych, skoro zaś musiałbym od prawdy oddzielić życie, musiałbym zaraz podejrzewać, że ona jest fałszem, i, dopuszczając tylko, że do niej wchodzi życie — dopuszczam, że jest prawdą. Ja myślę, że to jaśniejsze jest od zarzutów, jakie krytycy robią.

Wstęp ten nie jest od rzeczy i niepodobna zamilczeć, co jasnością, a co ciemnością zowią, skoro się ma o najciemniejszych z utworów mówić. Zwierciadło płaskie

i oko suche, a nie strudzone czuwaniem, jasne są i jasno odbijają przedmioty, ale co innego bywa z oczyma, które zalewały łzy; woda także rozlana na talerzu jasną ma powierzchnię i wyraźnie ciasny świat odzwierciadla, ale co innego jest z *Okiem Morskim w Tatrach*, w którego głębiach burze huczą, rozpamiętywując znany im zbliżka potop świata. Sama nawet igła magnesowa stale i niezmiennie do jednego punktu nie zmierza, ale dewjuje na mil wiele... Nauki też, tak zwane ścisłe, *sciences exactes*, zyskują jasność swych teorii przez to właśnie, że mają za cel tylko *połowę prawdy*, i dlatego, powiedziałbym raczej, że, w obliczu prawdy, są *inexactes*. „Wprawdzie dziesięcioro bożych przykazań, jakkolwiek życie ma na celu, jest jasne i logiczne, ale to pochodzi z tej przyczyny, że w nich nakazano tylko to, czego *nie trzeba robić*, a zatym są one połowiczne. Dzikim ludziom powiedzmy np. „nie kradnij”, to pojmą jasno, ale nauczmy no ich np. „przebaczać nieprzyjaciołom”, to zaraz — z powodu, że myśl ta objęła już całą prawdę — będzie ona dla nich niejasną i, po raz pierwszy, ci dzieci spostrzegą, że trzeba prawdę nie tylko *usłyszeć*, ale *usłuchać*. I oto będziesz im niejasnym, i oburzą się, i postawią ci może jeden z krzyżów owych, którymi przez XIX wieków na planecie kreśliła światłość pochod swój... Każdy przyjmuje prawdę teoretyczną, ale niejeden odepchnie ją, skoro się pokaże, że ona nie tylko logiczna jest, ale i współpracy wymagająca — a więc, jeżeli wołamy o jasność, czyż nie wołamy czasem o nasz spokój, o naszą bezwładną wolność, o inercję. Słowacki powiada w jednym z listów swoich, „że za Sasa — jeżeli na sejmie lub sejmiku człowiek który, o wyższym pojęciu ducha narodowego, przemawiał — to z kąta gdzieś najciemniejszej sejmowej ławki wydobywał się zaraz głos wołający: „jeżeli co masz — w trzech słowach jasno nam wytłumacz, a nie czmuc oczu”. Umysły takie są zaiste więcej jak ubóstwione same w sobie i przez siebie — cóż podobniejszego Tytanowi?... Wszechmocny poddał bowiem samą wszechmocność prawom świata,

jeżeli sześć dni pracował, a siódmego od pracy odpoczął, gdy tymczasem ludzie owi, podobni do Azjackich władców, żadnego wyższego prawa nad osobiste bezprawie uznać nie chcą i nie sięgają nigdy wzrokiem duszy poza ciasny widnokrąg arbitralnej swej jaźni; głos ich: „*Ja* jestem harmonją i sądem wieków—*Ja* jestem środkiem i celem, głos od Azji wołający: „*Ja* i Hurrach!“ Czy poznajecie jego tony i skąd płynie? — równał się on Bogu i pieniał się, a potem trawę gryzł, jak zwierzę ciche, w obłąkaniu swoim. Nazywał się on Nemrod i Semiramis i Neboh-odno-car, — aż w Judei puszczech, głos ów „*Ja* jestem...“ napotkał głos inny, który kazał owszem „*Ja* jestem niczym, jam głos tylko wołającego na puszczy“, a potem wraz onemu *Ja* odrzekło *nie Ja* w osobie Zbawiciela. Ale chciał on jeszcze spróbować, czyli *nie Ja* prawdziwe jest, i poznał, ale to było już przy pękaniu się skał, było przy ciemności słońca, jako włosianej tkaniny ciemność, było za późno. Więc rzucił włócznię swoją, przebódl i, przez szramę rany, zobaczył dopiero—twarzą w twarz—to „*Nie Ja*“ i zadrżał... Czy mam teraz objaśnić i poemat „*Król Duch*“, który właśnie że dopiero co wytłumaczyłem, czy też mam zejść w szczegóły i powiedzieć, że w utworze tym bohaterem jest „*Ja*“?

A naprzód, w utworze tym „*Ja*“ jest to Her Armeńczyk, trzeba było albowiem wziąć powieść grecką o przechodzeniu dusz, dlatego, iż cały pas wieków budowa poematu obejmuje—tym więcej, iż w przed chrześcijańskiej karcie Grecja republikanizmem swoim onemu Azjackiemu *Ja*, przez samo jej demokratyczne *my*, technicznie zaprzeczała była. W poemacie zaś *Król Duch* napotyka się na drugim pasie dziejów Iwana Groźnego (ostateczne jakoby tegoż Azjackiego *Ja* wcielenie), a który dopiero gdy żerdź oparł żelazny na nodze sługi Kurbskiego; słuchać mogło tyle prawd czytanych, o ile w ciele zwiastuna onych ranę uwiercił—krwi utoczył i ducha zmacał. Najjaśniejszej Rzeczypospolitej tarcza pod królem Batorym staje tu mocą Bożą, jak Judea. Książę Andrzej Kurbski

biblijnym nawet stylem w liście swoim odzywa się, mówiąc do Cara: „za co pomordowałeś silnych w Izraelu?“ *Król Stefan*, niemniej dziwnym na pozór sposobem, chce *osobiście w pojedynku* z tym „*Ja*“ się spróbować; wiedział król zaiste, co robił, jeżeli sam wyraźnie pisał: „*gdzież ty jesteś, panie Boże rosyjski, wystąp przedemną*“, ale pojedynek ów mistyczno-heroiczny dopiero bosa i rozdarta noga na Golgocie kończy, mówiąc „*Nie Ja*“, i zwyciężają przy komety blasku. Przypomina mi to ustęp pieśni, który znalazłem był u Benedyktynów na Święto-Krzyskiej górze, kiedy podróżowałem po Polsce.

„Tak kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na północ głowę skłoniwszy spoziierał,
— Gdyż w oliwnym
Gaju dziwnym
Wszcząwszy mękę,
Skłaniał rękę
Ku północnym ludziom.“

Oto więc najciemniejszy poemat, skoro go się będzie czytać, ze strony życiowej nań patrząc i ze stanowiska chrześcijańskiej cywilizacji go uważając — zrozumiałym się wyda.

Zygmunt Krasiński był w Rzymie w czasie tym, kiedy wyszedł „*Król Duch*“, ale zachwycony był pięknnością samego języka i mawiał mi nieraz, że uważa go za piękniejszy co do formy nawet od przekładu Jerolimy Wyzwolonej Piotra Kochanowskiego, acz winienem przecie i to dodać, że kardynał Mezzofanti, mówiąc raz ze mną, wyraził się był, „iż Tassa w oryginale nie czytuje, bo milej mu jest czytać tłumaczenie polskie Piotra Kochanowskiego!“ Mimo to, Krasiński *Króla Ducha* nie pojmował i wyrozumieć ogółu jego nie mógł. Ktokolwiek też życzy sobie czytać poemat ten tak jasno, jak się czytają dzienniki — ten celu swego nie otrzyma. Ciemna to zaiste i burzliwa historia Azjackiego „*Ja*“ w dziejach, a koniec tej mono-epopei naznaczony zwycięstwem tego „*Ja*“ nad sobą samym:

„Śpijże, mój kształcie pierwszy... z ducha zdjęty...
 Świecący wdali, jak księżyc na nowiu;
 Upiorny, za krew wylaną przeklęty...
 W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
 Kłatwa na Ciebie! jak na djamenty,
 Na Bazaltowe kolumny w pustkowiu
 Pierwszej natury z ducha budowane,
 W ciemności, w chmury i w piorun ubrane...”

Cały ten tok energii historycznej, rozbijając się o konieczność własnej osobistości, wypowiada:

„Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
 I dalej szedłem; a jużem był Boży. —
 Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
 I świat się komet deszczami zatrwoży,
 Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem;
 Duch — ukazany w pierwszej świata zorzy...
 Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
 A lat tysiące są, jak jedna chwila.”

Od Armenji, gdzie wedle podań Arka zatrzymała się, przechodząc przez Iberję, Kaukaz, Scytję, Roxolańję, Markomańję, Kimbrję aż do Kaledonji, napotyka poeta różne ludów przedświty, napotyka je tam i sam bezładnie. W dwóch wierszach maluje dwieście lat, w jednej łunie sto pożarów, a w zamachu jednym i jednym miecza poświęście — rzezie całe; każdy też czytelnik, obznajmiony z historjofilią mytów, zrozumie, że gdyby w toku epopei, mającej za bohatera „Ja“, było więcej ładu — epopeja ta byłaby raczej systematem filozofji dziejów. Albo tu zamęt jest konieczny, albo pomysł całego poematu niewłaściwy. Myśl wszelako ogólna mono-epopei wyraźnie i bez właściwego jej omroku czytelną jest w ostatnim momencie, to jest kiedy przesilenie osobistości, w owym „Ja“, dotyka praw bożych i przechodzić się zdaje wszelką miarę, a jest jednak *spowiedzią* tylko:

„I któż by to śmiał w księgi ludzkie włożyć,
 Dla sławy marnej, a nie dla *spowiedzi*? —
 Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
 Uderzyć w Niebo tak, jak w tarczę z miedzi,

Zbrodniami przedrzeć błękit, i otworzyć,
 I kolumnami praw, na których siedzi
 Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
 Aż się pokaże Bóg w niebiosach *blady*...”

Co znaczy ten Bóg *blady*? oto *Bóg Syn*, *Bóg umęczony* — Bóg człowiek w chwili śmierci i w chwili zwycięstwa swego na ziemi! Poeta określa spotkanie z Azji przeprowadzonego „Ja“, w Iwanie Groźnym, z wszechmocnym cywilizacji chrześcijańskiej „nie Ja“. Dlaczego zaś Królowi Duchowi też sama forma jest nadana, jakiej Tasso, a za nim Piotr Kochanowski do pierwszej epopei chrześcijańskiej użyli — to się lepiej wyjaśni tym, co powiem niezwłocznie.

Gdybym miał otworzyć zdanie moje o epopei, wtedy, co do epopei chrześcijańskiej postąpiłbym tak, jako gdyby wszystkie pejzaże, jakie kiedykolwiek malowano, przyszło w całość ułożyć. Można by zaś tego dokazać pod czterema warunkami światła: wschodu, zachodu, północy i południa je ustawiwszy. — Tak samo też i epopeje, które mają za przedmiot ciąg chrześcijańskiego żywota i cywilizacji, można by w cztery ułożyć postacie. I oto najpierw Jerolimę wyzwoloną poczynalaby się o świecie dziejów, w czasie jutrzni młodej, którą wszyscy poeci głoszą, jako natchnień źródło — jako gwiazdę zaranną, w samej młodości sił poczętą. Dlatego to Tasso nawet rozpoczyna przez obraz Jutrzni. — Drugą w następstwie epopeję, odpowiadającą pierwszej, lecz jak zachód odpowiada jutrzni i wschodowi, jest Don Quichotte. Bohater właśnie że nie twórczy, ale tylko już zamagnetyzowany przeszłością i resztą jej fantastycznego płomienia zażegnany, porywa on się z łoża do dziennych prac, w chwili, gdy go noc zaskoczyła; zdało mu się jakoby, że to przedświt, a to był ostatni słońca blask — jest to *epopeja restauracji*. Godfryd jest typem energii twórczej. Don Quichotte typem energii nadrobionej i sztukowanej, jakoż najnieszczęśliwszy to w historji człowiek, wszystko na nim zlatane aż do załupę; nie kontynuator to, nie expiator, ale opętaniec

rzeczy przysłych, podobny do tych antykwariuszów urojenia, którzy sami przed sobą gotowi są kłamać rzadkości bibliograficzne lub na starej broni herby podrabiać, aby choć na chwilę się ułudzić. Najsmutniejszy to typ — płakać można, czytając Don Quichotta, gdy przeciwnie grzać się młodości ogniem przy czytaniu Jerozolimy.

Oto więc wschodowy i oto zachodni blask wszelkiej epopei—ale że dziejów całość nietylko ma twórczość żywotną i rozstrój, kryty blichirem łatanego naśladownictwa. Ale że ona ma jeszcze i momenta wczasu, wypocznienia prozy, któreby południem nazwać można; w te więc czasy wakacji, i bohaterem takiej epopei nie byłby już Godfryd, nie Don Quichotte, ale poczciwy chłopiec, jaki dzielny i szczerzy—*Pan Tadeusz*—i oto jest trzecia epopeja w toku chrześcijańskiego życia. Co zaś do czwartej, której światłem nie byłby ani zorzy promień, ani zachodu czerwoność, ani południowego słońca realizm, tę musiałby oświecać księżycowych przesilen moment lub godzina północy, takiej to epopei początkiem zdaje się być Król Duch — miała to być, zdaje się, epopeja fenomenologiczna, jakiej dotychczas jeszcze nie ma żadna literatura.

W duchu czasu jednakże zarodek tego leży — charakterem dzisiejszej poezji jest to, że za bohaterów bierze ona idee, albo bezosobiste fenomena—wszystko to są jeszcze Manfredy, Hamlety, Wertery, Gustawy, Fausty i t. d., nie są to właściwie epopeje. A jednakże śmiem mniemać, że poza obrębem czterech powyższych—chrześcijańska epopeja nie istnieje. Luzjady albowiem nie można uważać jeno za drugą połowę Jerozolimy Tassa. Komedia boska Danta nie jest również epopeją, bo w niej bohater współczuje tylko, nie zaś działa, jest ona prędeż Odyseą, bo jest wędrówką do ojczyzny, jakkolwiek tą ojczyzną nie Itaka już, ale niebo. Jest jeszcze i więcej ksiąg różnych, bohaterskim rymem pisanych, ale te są tylko epizodami treści powyższych.

VI.

Gdybyśmy do pojęć o najoryginalniejszych Słowackiego utworach dodali sprawozdanie o dramatach i powieściach, pozostałoby tylko ocenić rzecz języka jego, poczym moglibyśmy utrzymywać, żeśmy dopełnili zadania. Co zaś do biografji, tej całkowitego rysu mamy prawo oczekiwać od tych, którzy całe życie, jak np. Józef Reizenheim—a nie jedną część jego, jak ja, znają.—Tu wszelako winien jestem wskazać jeden szczegół—szczegół to już pośmiertny, ale ma związek z metodą przeciwstawienia Anhellego i Wigilji Bożego Narodzenia, wyżej przez nas przyjętą. W roku 1840 ta część Paryża, co jest parafją ś. Filipa de Roule, nie miała jeszcze pięknych gmachów, które ją teraz zdobią.—W końcu 1839 r. Julusz Słowacki mieszkał tam i pisał Lillę Wenedę—w kwietniu zaś 1840 r., kończąc list do Zygmunta Krasińskiego, który jej za wstęp służy, tak się odzywa: „niech ta postać do nas obojgu należy, niech będzie jako łańcuch, łączący dwóch Wenedów ręce nawet w śmierci godzinie.—A tych dwóch wodzów, czy ty myślisz, Irydjonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią...” Jeżelibyśmy teraz obyczaj palenia na stosie usunęli, zobaczylibyśmy, że tak w rzeczywistości, jak we wspomnieniach, wypełniło się Julusza przepowiedzenie; zwłoki bowiem jego postawiono w kościele parafjalnym ś. Filipa. A gdy wiele lat upłynęło i gmachy okazalsze tam w tej części miasta stanęły, jeden z tych gmachów nabyty został przez rodzinę Zygmunta Krasińskiego, gdzie też wielki poeta umarł, a zwłoki jego, iż wedle prawa w parafjalnym wystawione musiały być kościele, położono przeto na tychże deskach, gdzie lat temu kilka Julusza spoczęła trumna. Trzeba było wszelako, aby wpierw cała ta część miasta przebudowaną została i aby tamże, nie

gdzieindziej, wśród ogromnego Paryża stał gmach, w którym Irydjona autor skonał. Wiersze, do których w tragedji odnosi się ten wypadek, są następne: „O! patrz, zabity brat na piersiach mi spi. — Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma? — Nie rusz łańcucha. — Gdzie stos dla umarłych? — Masz zgłiszczę — burza zgasiła pochodnie.“ Kończąc czytać te wiersze i wiedząc, jakiego to wypadków składu trzeba było, aby się te rzeczy z sobą powiązały, chce się powiedzieć słowo—Amen. Co wszelako piękniejsza, to, że do tego brata w pieśni, kiedy mu to pojęcia obywatelskie nakazały, nie wahał się Juliusz tak piorunową rzecz napisać, jak ów wiersz do autora psalmów — chciał go on nawet spalić potym, ale obecny temu pan Edmund Chojecki z ognia rękopis wyrwał i w Lipsku wydał. Polityczna osoba Juliusza wierna była klejnotom republikańskiej przeszłości naszej wedle świecznika konfederacji barskiej;—co do przyszłości, siedł on promieniem krzyża prosto i śmiało, widoczne to jest w liście, pisanym do księcia A. C.—W liście do Emigracji widzimy go niemniej proszącego o pamiętanie, że nie tylko stanowcze wypadki, ale i ciągłość idei zbawia społeczeństwo, z normalności swojej wytracone. Gdy religijność źle przetrawiona i jednostronne stanu naszego pojmowanie narobiły rozdarć tyle—Słowacki nie uległ czasui elementom i widzimy go do instancji najwyższej, bo do grobu Zbawiciela, boleści swoje i kielich swój zanoszącego. Kiedy był czas, że chciano Korab Piotrowy zastąpić balonem, steru jeszcze nie mającym,—Juliusz od tej reformy na narodowej drodze się odsunął i w Beniowskim, robiąc aluzję do Nadniemeńskiego wieszczu, tak się odzywa, rzekę swoją rodzimą na świadki biorąc:

„Ty także sławna, że fal twoich gwary,
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, że wielki, że w sławę płyniemy,
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy“.
Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?

Jaka wam świeci — gdzie? portowa wieża?
Lub w *Sławiańszczyźnie bez echa toniecie*,
Lub na koronę potrójną papieża
Piorunem myśli podniesione śmiecie
Gnacie. Znam wasze porty — i wyrzeża!
Nie pójdę z wami i t. d.

Tak się to określa na wsze strony narodowy jego republikanizm z ducha.

Po obrazie tym polityczno-socjalnym stanowiska poety, na straży swojej stojącego, przechodzimy do języka wogóle. Na posiedzeniu pierwszym widzieliśmy, że przed zaświtem na narodowości, poeci, rozpoczynając języków nowych tworzenie, nie przestali być wieszczami, owszem same językowe ich prace, intuitywnego natchnienia potrzebujące, słusznie tego domyślać się każą; w pracy tej dla przyszłości, oczywista, iż wieszczami byli.—To objaśnia nam mnóstwo następstw, a mianowicie tłumaczy ten fenomen, że wszyscy poeci, postępu nieco przynoszący zarówno w rozbracie ze społeczeństwem swym bywali;—jakże albowiem, posuwając społeczeństwo w przyszłość i język uczuć przyszłych mu przynosząc, porozumiewać się jasno z obecnością,—jakże można swobodnie rozmawiać z ludźmi, których język się tworzy? Nie jest że to tak, jak gdyby kto zdawkową monetą płacił wtedy, kiedy ta jeszcze od stempla oderwać się nie może, albo gdy jest gorąca i do czerwoności rozpalona! Ale kiedy poeci, najbardziej nad jej utworzeniem pracujący, doraźnie ze społeczeństwem współczesnym pogodzić się nie mogą,—za co by znowu mieć przyszło tych pocziwców, którzyby woleli, aby monety owej, parabolicznie określonej, wcale nie było, lub którzyby trudności jej tworzenia znać nie chcieli. Nie byliż by podobni do wdziękoszów, którzy przeglądają się w zwierciadłach, merkurjuszem od spodu powlekanych, ani wiedząc, iż otrzymywanie tych zwierciadeł febry śmiertelne sprawia. Krytycy tu przede wszystkim odpowiedzialni są, jeżeli nie przestrzegają bacznie o wzajemnych pracy obowiązkach. Gdyby zatym

przyszło całość poetycznej służby Juljusza na tym polu, na polu, mówię, języka ocenić, zaprawdę, że należałoby z góry wyznać, iż tu on równego sobie niema. Żaden: ani Adam, ani Zygmunt, ani Bohdan, ani sam Jan nawet Kochanowski, nie mieli, tak jak Juliusz, w jednej lirze języków wszystkich wieków, wszystkich, że tak powiem płci; od języka Bogarodzicy do pamfletu, od rycerskiego słowa—do dziewczyny, dźwięk słowiczy mającej w swym akcencie. I oto jest jakoby klejnot korony jego i dlatego to jasnym będzie, co ktoś powiedział, że gdyby się słowa mogły stać nagle indywiduami, a gdyby więc ojczyzną był język i mowa, tedy posąg Juljusza stałby głoskami stworzon z napisem „*patri patriae*“.—Kochanowski bowiem miał tylko jeden język, Mickiewicz jeden, Zygmunt, Bohdan, Malczewski i każdy z tych filarów słowa narodowego jeden, ale Słowacki Juliusz wszystkie wieków, czasów, społeczeństw, typów i płci języki miał.—W tej to zapewne myśli rzekł o sobie, jako czoło wielkiemu Adamowi stawiający:

„Choć mi się oprzesz dzisiaj—przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył...”

W narodzie bez publicznego bytu, w publiczności bez własnych form, w społeczeństwie *chcenia* iskierkowate, ale chęci stałej niemającym, — podobało się Opatrzności, że trzech postawiła poetów, sybillicznym natchnionych duchem, a przeto obejmujących prawdy wieszczce w fenomenologiczny form całokształt,—Mickiewiczowi było dano, że Mojżeszowy język gniewu narodowego lwia nasrożył grzywą, jakby bój trwał. Zygmunt Krasiński tegoż czasu sejmowy, senatorski, publiczny majestat słowa tak uprawiał, jakby za dni wielkich Rzeczypospolitej. I kłamali obydwaj. Mickiewicz ów gniew narodowy, Zygmunt życie — kłamali, jak niańki dzieciom chorym powieściami bezsenne króćąc noce, albo jak Korybantowie starożytni

w miedziane uderzając tarcze, aby Saturn, płacz dziecka usłyszawszy, całej przyszłości w nim nie pożarł!

Wszelako i to nie dość; potrzeba było także i westalski, dziewiczy język stworzyć; dziś albowiem jeszcze na palcach policzyć można damy polskie, poprawnie mówią swą mówiące. Bohdan Zaleski pracę tę zaczął, a i Teofil Lenartowicz, któremu się wydaje, że przedewszystkiem ludowy język odtwarza, żeńską właściwie stronę onego odnalazł.—Jakkolwiek bowiem mamy dwie poetessy: Żmichowską i Deotymę, pierwsza jednak daleko więcej męskim piórem od wielu męskiej płci poetów pisze; Deotyma zaś wcale żeńskiego słowa nie uprawia i jest raczej arcy-szanownym teozoficznym fenomenem. Muza jej sybilliczna, ale niewieściej służby w chrześcijańskim już społeczeństwie ani spostrzegła; — tym więc większa ważność jest, powtarzam, niewieściego języka. — Badacze natury nieomylnie roślinom płeć przyznają — trawce nawet, którą człowiek nogą potraça, nie odmawiają jej bynajmniej, ale korona zmysłów, mowa, wcale pod tym względem ważona nie jest. Kiedy po upadku literatury narodowej bywali młodzi ludzie skazywani do lochów i więzień za jednej książki przeczytanie, zdarzało się, że damy, gotowe nieść ulgę więźniom owym, na niebezpieczeństwa narażały się, ale wiele było, które piękną polszczyzną mówić nie były w stanie. Jest to zarówno krwawe, jak śmieszne; — czyliż albowiem nie mógł więzień, tak heroicznie pocieszany, odpowiedzieć: „nie narażaj się Pani, ale raczej mowę ojczystą szacuj, bo za to właśnie ja tu cierpię“.—Trzeba było więc odrodzić, albo też i stworzyć w literaturze naszej żeńską mowę ojczystej połowicę, aby przeto zagaic dźwiękiem i muzyką jej właściwe życie potoczne. Albowiem gasło i to także, a skutki tego wygasania dotychczas jeszcze są widoczne. Dla tych to jeszcze przyczyn, skoro weźmiemy poezje innych ludów, znajdziemy tam typy niewieście, gdy tymczasem poezja polska typu niewiasty polskiej prawie że nie wydała. Malczewskiego Marja—to raczej krzyk kobiety, która ani kochanką, ani

żoną rozwinąć się nie może,—mogła była być wszystkim, wszelako zaduszona jest w chwili upostaciowania swojego. Mickiewicz lepiej i dyplomatyczniej się wywiązywał z zadania tego; on Grażynę swoją hełmem przykrył i tak dosadnie, że nie wiesz do końca, czy to mąż jest, czy to niewiasta. Aldonę w wieży schował i nieprzejrzanym murem przed oczyma samego męża jej osłonił. Telimeny myślę, że za typ polskiej niewiasty brać nie można, a Zosia jest jeszcze małoletnia! Charaktery niewiast Zygmunta Krasińskiego są to notatki na marginesie jego poematów. U Słowackiego Balladyna jest personifikacją z pewnego wysnowania ballad gminnych wynikłą. Lilla Weneda—legiendowym obrazem albo jedną z tych architektonicznych masek, podpierających gzemisy, masek, których czoła wyzierają, ale których szyja, pierś i ciało w płaskość ściany przepada. Jednym słowem, poezja nasza pod tym względem podobna jest coś do tego okrętu Lambry, który rozstrzeliwać kazał żeglarzy swoich, skoro się w kobiecie pokochali. Nie wiem, czy to dobrze, że poezja tak młoda surowszą się być okazuje od samego Pisma ś., ale jest szkoła, która brak ten za teologiczny bierze nabytek. Szkoła ta ułomność ma za całość skończoną, a chorobę wszelaką nazywa umartwieniem i nędzę ludzką mieni wolą Bożą. Do tej to szkoły z Zygmuntem Krasińskim powiedziałbym: „...Poezja wszystko to ozłoci ...kiedyś!“ — ale czy wytłumaczy?... czy stworzy?...

Kiedy tak Opatrzności podobało się, zsyłając narodowi wieszczów, nad rozłamaną istotą jego społeczeństwa czuć, Słowackiemu, jak to widzieliśmy, dostało się w podziale utrzymać język, wszech-język narodowy,—dla tego to, nietylko czuł on to natchnieniem, jak inni, ale wiedział jasno, co wypełnia, wiedział, co czyni i, zaiste, że winien był to wiedzieć; bo w robotę taką wchodzi nie już sama poezja, ale artyzm techniczny i sztuka w całej swej nagości. Powiada on przeto wyraźnie, o co mu idzie:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny, jak Aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
—Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.
Z niej wszystko dobyć—zamglić ją tęsknotą;
Potym z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potym w promieniach ją pokazać złotą,
Potym nadętą dawną przodków pychę,
Potym ją utkać Arachny robotą,
Potym ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...
I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mówą, którą sam przed wiekami umiał.
Potym by, cicho mżąc, rozważał sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej—w grobie.
Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum!—precz, mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wizarze
Jakiej opoki, co—wieków pamiętna—
W sumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno—wielkie imię...

Po takowym zdaniu sprawy z języka Słowackiego przejdźmy do poglądu na tragedję i powieści jego, ale następujące słów kilka pierwszej są niezbędne.

Hymny i psalmy, nawet rapsody heroiczne, nawet powieści pojawiać się w literaturze mogą odrazu, ale *dramat*, jako Minerwa z mózgu Jowiszowego, wyskoczyć nie może. Grecy do dramatu mieli przygotowaną drogę przez Bahiczne Trahos; Kalderon zaś i Szekspir przez chrześcijańskie misterja. Gdzie zaś teatr z własnego nie wzrósł korzenia, tam czekać on musi, stojąc na boku

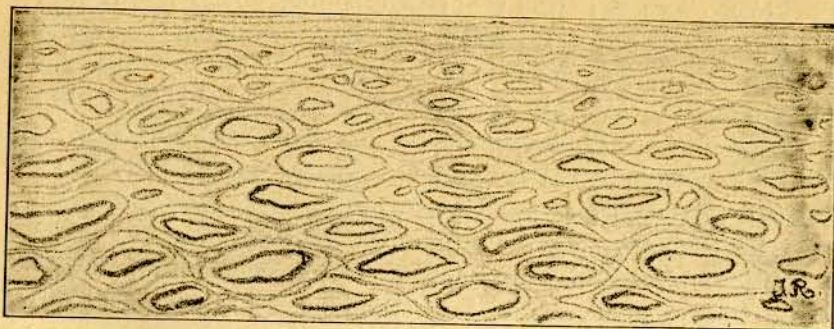
gmachem dużym, a raczej próżnym i bezużytecznym rusztowaniem—czekać, karmiąc społeczność pożyczonemi tworzywami. I jeżeli Solon gorszył się poczynającą namiętnością Ateńczyków do dramatu, utrzymując, że wprowadzenie tych przedstawień kłamstwu, naśladownictwu i intrydze da początek;—to zdanie jego tak surowe odnieść można prędzej do wprowadzonej obcej, nie zaś do tej z korzenia rodzimego wyrosłej dramaturgji. Jednym słowem, aby życie w siebie wglądało, potrzeba przecież, aby za sobą pozostawiło formy swoje; czas więc przygotować musi pierwiej szczeble, na które wszedzszy, rozglądanie się społeczeństwa w sobie samym nie może moralnych korzyści nie przynosić. Cały przecież ogół naszego bytu i form będzie na scenie kiedyś, jak widzimy wiek zeszły, ale pozostanie zeń to wszystko, co żywotne, co wieczne. W świecie nawet moralnym, wszystko to, co lada kto udać już potrafi i przyoblec, wchodzi pod tą samą kategorię, co ubrania wieku zeszłego... Dlatego to miłość wyrażała się tyle wieków, a przecież list miłosny z przeszłego wieku każdy, trochę talentu i archeologicznych wiadomości posiadający, naśladować potrafi, gdy tymczasem listu współczesnej nam formy uczucia nie tak łatwo byłoby udać. Czas niekoniecznie *naszym*, ale i my czynszownikami czasu jesteśmy, nie *dzisiaj* więc jest *nasze*, jak zwykle mówią, ale *wczoraj* i *onegdaj*, a dziś warunkowe bardzo; prawda ta obowiązuje bezpośrednio dramę. Gdyby dramaty czyli tragiedje Juliusza Słowackiego były pisane przed Kochanowskim, postawiłyby nas na równi z literaturą hiszpańską lub angielską; dziś są one ekspiacją szczerą za teatr warszawski, karmiony od kolebki winem szampańskim i to tym jeszcze winem, którego Szampańja nie wydaje. I jeżeli Fredro, Korzeniowski, Bogusławski są dramaturgami, ale nie mają języka epok, to Lilla Weneda, Sen srebrny i Mazepa wymaganiom tym zupełnie odpowiadają,—jest to nietylko zaleta, ale obywatelska zasługa.

W powieściach Słowackiego, bajrońskiej formy nie godzi się uważać za naśladowczą, tak jak Wallenrod

i Marja Malczewskiego, mimo tejsze formy, naśladowczemi nie są.—Na posiedzeniu drugim, Byrona kreśląc ważność, tłumaczyłem to—tu tylko dodam, że naśladownictwo, w stosunku do tych, którzy coś obowiązującego cały rozwój ludzkości przynieśli, nie jest rzeczą naśladownictwa, ale człowieczości i że, jak Kopernikistami nie godzi się zwąć astronomów, tak bajronistami poetów.—Słowacki, w przedmowie do *Lambra*, mówi wyraźnie, że *są to dzieje tych znajomych naszych, po których zgonie przedwczesnym, bliscy długo mawiają, czym oni być mogli, a dalecy, że nie byli niczym*,—mówi więc nie o urojonych typach, ale o znanych i żywych. Było to pisane w r. 1833. Miał on dziwną współczesność i może dlatego właśnie współcześnie był niepojmowany. Współczesność albowiem jest dwojaka. Kiedy w Warszawie 1836 r. nocą budzeni bywaliśmy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasłać pożegnanie wysyłanym na Sybir, Słowacki wtedy z draczego końca Europy Anhellego ojczyźnie przysyłał,—to jest pierwsza współczesność. Tej samej zaś zimy, w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, „że rozpowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje“.—Oto druga współczesność.—Słowacki miał tę pierwszą, bez której poeta jest tylko kaligrafem lub notariuszem.

Literatura żadna pewno takich nie miała czytelników, jak ci młodzi czytelnicy w Wilnie i w Warszawie, którzy krwią i łzami kartki czytanej poezji okupywali. Katastrofy te były zaiste rzezią niewiniątek w wigilję odrodzenia się słowa narodowego.—Ani laury żadne, ani rozgłos nie ozłacały im czarnych więzienia kątów! Cześć więc oddaję Słowackiemu za to, że on ze swoją lirą na tych polach bywał przytomny. Okazał on tym prawdziwy patrycjat serca swego i ta to obywatelska współczesność dała mu igłę magnesową, zamiast stylusa, w rękę. Tym chętniej zaś oddajemy tu Słowackiego zasługom sprawiedliwości, im wyraźniej sam świadczy, o ile mu to za życia odjętym było. Píše on do Zygmunta Krasińskiego:

„Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. — Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi; a kiedy skończył zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal morza Egejskiego utonął.“ — Współczesności zatym dwie jest zawsze, a dzień, w którymby jedna z nich wygasnęła, byłby albo dniem dojścia postępu do kresu, albo wygaśnięcia zupełnego wszelkiej energii postępowej, ale zbliża się pora — zbliża się dzień i już — już jest we drzwiach, kiedy to, co tu zowiemy *współczesnością*, większe rozmiary przyoblekszy, stanie się jedyną formą i jedynym organem... koinspiracji! Pojmując to jasno i wszechstronnie, nie można się zaprawdę nie radować, — doszliśmy więc do obowiązującej wiek potęgi — do *współczesności, uważanej jako siła, potrzeba i obowiązek razem.*



ZOFJA RYGIER-NAŁKOWSKA.

RÓWIEŚNICE.

(Ciąg dalszy).

Minęło już trzy dni, odkąd pan Uluski wyjechał w sprawach jakichś do jednej ze stolic zachodu. A Worosnicki wciąż nie przychodził. Hania oczekiwała go o zwykłej porze — oczekiwała napróżno. Ogarniała ją w godzinie mijającej niecierpliwość nie do zniesienia, łzami paląca w gardle, a z dna duszy wybuchał niepokój, że może nie przyjsć zupełnie wciągu tych paru dni — *jedynych.*

— Cóż to znów znaczy, Haniu? — zadała sobie pytanie surowe w imieniu duszy.

W odpowiedzi roześmiała się głośno i źle.

— No tak, no tak, no tak — skonstatowała.

Zrozumiała, że coś w niej, w głębi samej zostało postanowione. I nad postanowieniem tym zamknęło się wieko z żelaza, wieko grobów królewskich. Była napół ciekawa, napół zasmucona — jakgdyby bukiet kwiatów niezmienne ulubionych rzuciła do płynącej rzeki.

Ulica, na której mieszkała Hania, odbiegała wgląd ogrodów, była pozbawiona ruchu i miała bruk staromodny, pod kołami dźwięczący doniośle. W godziny oczekiwań Hania nauczyła się wszystkich najsubtelniejszych odcieni turkotu. Była to cała filozofja. Poznała skomplikowane cechy zjawiska, przycichanie, jakby różniczkowanie się grzechotania kół na uderzenia pojedyncze — w momencie pewnym, gdy konie zwalniały nieco biegu z powodu bruku zepsutego. Rozkochana była w szumie dalekim, nadpływającym z lewej strony. Och — byle nie załamał się tylko, nie zagubił w nicestwie ulicy poprzecznej. Gdy się przybliżał, udawała, że o nim nie myśli, by zdarzenia upragnionego nie odstraszyć czekaniem zbyt natarciwym. Czasami mijał bramę i szedł dalej, w niewiadomość. Ten moment trudny do uchwycenia, spadał w łopocące oczekiwanie, jak zły piorun. Lepiej już było, gdy konie skręcały pod kątem prostym w boczną ulicę — bo prędkiej zabijało możliwość radosną, spadało na serce w momencie mniejszego natężenia nadziei.

Ale czasami łoskot kół urywał się naprzeciw okien. „Kochane konie“ myślała wtedy. W tej porze bowiem przyjechać mógł tutaj on tylko. O zdarzenie szczęśliwe w państwie oczekiwania. — — —

Całokształt zdarzeń tych odebrał Hani pewne stałe zasmucenie życia i obdarował ją wzamian mnóstwem małych smutków i radości. Był to zysk niezaprzeczony. Właściwie mówiąc, Hania była teraz zupełnie szczęśliwa. Zaczęła pić kawę czarną bez cukru, by w życiu wpleść nieco goryczy i uchronić się od losu Polikratesa.

Teraz już Hania szła w pocałunki bez trwogi, z uśmiechem radosnym, jak do kraju najukochańszych marzeń. Z ufnością bezgraniczną, z sercem cicho bijącym — na całym nieskończonym świecie odszukiwała tego jedynego człowieka, spośród ludzkości całej rozpoznawała go po znaku niezawodnym, po śmiertelnym dreszczu szafu, który ciało jej małeńkie przebiegał na jego widok, po jasnowidzeniu nieomylnym: „tyś jest“...

Napróżno teraz, czekając, wpatrzyła się w „miłość“ tę z uwagą i pewnym okrucieństwem. Szła wstecz, od dni ostatnich poczynawszy, uświadamiała sobie wszystko przypomnieniem szczegółowym.

Kochała więc chyba — *malgré tout* — oczywiście kochała. Zwłaszcza tak — w oczekiwaniu, w samotności, retrospektywnie — gdy czuła napewno filozoficzną możebność utraty. Na przypuszczenie samo, że coś wogóle zmieniłoby się mogło — drętwiała z przerażenia. I po tym poznawała, że jest szczęśliwa niezmiernie.

Nie teraźniejszość najważniejsza była w tej miłości. Słuszność miała doświadczona pani Awratyńska, że w życiu kobiety „najważniejsza rzecz to jest przypominanie sobie, rozpamiętywanie“ — —

I dla Hani rozkosz zdarzeń miłosnych, fragmenty pieśnyczot, ujęte w klamry czaru, — były całkowicie niedostępne. W oszłomieniu brała je do rąk, jak kwiaty, i, nie oglądając, zamykała w sercu. Później dopiero — —

Ach, tak! Nie w rzeczywistości kochała, lecz w wspomnieniu. Dopiero, gdy była sama, pochylała się do serca swego, do swego ogrodu.

Miała oczy zamknięte i uśmiechnięte usta. Z drżeniem mistycznym rozważała dzieje nieprawdopodobnej miłości. [Pod powiekami zmartwychwstawał miniony, szalony świat. Dygocącymi zębami rozgryzała owoce tamtych kwiatów, wpijała się głodnie w ich pluszczące krwią rozkoszy wnętrza, mdlała w dzikim wichrze bezpamiętnego kochania —

W rana leniwe, odebrane snowi, w późne wieczory przed zaśnięciem, zwinięta, jak kot, na wielkim łóżku, ciepła, odurzona snem, zbliżka krążącym, wiodła swą drapieżną robotę przeżywania po setne razy tych samych skarbów niepojętych.

Wszystko to, odkąd *stało się*, — jej było wyłączną własnością. Odkryła prawo nowe: że dziejami świata krocząca rzeczywistość jest jedynie obdarowywaniem jej nieustającym, że przemijając — staje się jej przynależnością

bezsprzeczną. Za dary bogate błogosławiła czas, przestrzeń, byt.

Na sznurze jedwabnym przesuwiała w ekstazie różańcowe paciorki najdrogocenniejszych klejnotów—i milczeniem ust suchych, żarzących się od krwi, głosiła nieskończoności szaloną modlitwę do życia.

Były tam pocałunki, odebrane nieszczęśliwym bogom, legiendy nieprawdopodobne z czasów, kiedy nie było jeszcze ziemi, zapomnienia, obejmujące międzyplanetarne obszary martwego wszechświata jedną cienką gałęzią kwitnącego drzewa, kwiatów girlandą pachnącą.

Na cichy, władny zew pamięci — zjawiał się on — w chmurach melodji, za purpurowemi dymami żądź i marzeń gorejących. Nigdy oglądany w rzeczywistości nie był tyle drogi, ile w tych pojawach kłamliwych, nieistniejących — — —



„No czekam, no czekam“ — sugerowała Hania na odległość, wydzierając z siebie całą moc nakazu, całe natężenie woli w tym jednym ogniskując chceniu.

Błąkała się cicho po domu pustym, załamywała ręce. „Czekam — —“ Stawała u okna i oczy, chciwie szczęścia, topiła w tętniących fioletach zmierzchu wiosennego. Dymne wonie były chmurami od pobliskich ogrodów, w dali niosły się matowe grzechotania pojazdów. Istotą całą pożądała dzikiego rytmu kopyt rozpędzonych, doznawała halucynacji nadchodzących szumów.

Na ramach okna otwartego zaczęła rozpostarte ręce, wychyliła głowę. Słyszała — — Widziała nawet — Nadjeżdżał — Więc takie rzeczy się stają!... Straszne, jak pożar w biały dzień, pożar rodzinnego domu w słoneczne południe...

Odwróciła się, stała bez ruchu, czekała kamienne. Cała ta chwila wydała jej się nagle podobna do uśmiechu jakiegoś człowieka, uśmiechu, który pamiętała skądś poprzez nieodgadnione ciemności — — —

Srebrny turkot dzwonka ciał ją przez głowę, jak ostrze, przyjęła w obręb świadomości wyrok złowieszczy. Pochyliła się, gdy przez pokój przechodziła służąca; na zapytanie skinęła głową, że przyjmuje.

Usłyszała jego głos—i pojęła, że wszystko to są rzeczy od dawna przeznaczone. Konieczność, odwracająca koleje świata.

Prędko wyszła naprzeciwko Worośnickiego i podała mu rękę gięstem szorstkim, prawie koleżeńskim. Później—gdy odeszła służąca—zajęła się całkowicie ciągnięciem za liść jednej palmy. Nie miała odwagi do przebycia nastąpić mającego kawałka życia. Zamarła w przewidywaniu.

Stała półodwrócona u owej palmy z liśćmi, jak zielone pióra. Między nią i Worośnickim piętrzyła się zaporą, jak zwykle na początku spotkania, mur, zrobiony z wyrazów powitania, towarzyskich uśmiechów.

Hania pierwsza przez mur ów przerzuciła wyzwanie. Nie odwracając się, powiedziała:

— Pan wie — mąż wyjechał —

Słowa te spadły po drugiej stronie, jak blok marmuru. Ciężko zawirowało powietrze.

— Tak? — z trudem wyrzekł.

— Myślałam, że pan —

— Nie wiedziałem —

Milczeli chwilę, stojąc w miejscach swoich.

Hania z wolna powróciła oczami do Worośnickiego. Spojrzenia zwarły się, zczepiły nierozzerwalnie, wpiły w siebie nawzajem z cichym skowytem. Rozkosz przerażająca czaiła się tam do zdradnego skoku, zapierała dech, ostrzyła pazury swej nienawiści milczącej. Hania czuła w całym ciele dzikie skoki pragnienia, słyszała ciężki grzechot gdzieś wdół staczających się myśli. Żądza biła się w niej z widmem własnej swojej grozy, głowę

Proszę pana, ja nie jestem owieczka... I niby — zależy to odemnie też — w drobnym pewnym stopniu...

Woroński zastąpił jej drogę. W oczach jego załamywały się nieskrywane ognie. Twarz stała się złą, nieopanowana w nagłych skurczach, brzydka.

— Pani przywykła pewnie do jakichś żartów z ludzi. Ale tym razem nie uda się pani zabawa — — mówił naiwnymi słowami myśl wroga, nienawistną.

— Ja do tego tylko przywykłam, że życie śmieje się ze mnie....

— Zdaje mi się, że czyni zupełnie słusznie.

— Ja wiem...

Woroński cofnął się przed głębokim smutkiem jej wzroku. Blisko stojąc, nie wyciągnął do niej rąk. Doznał nagłego onieśmienia.

— Niechaj pan usiądzie—o tam—łagodnie rzekła.— I ja coś powiem panu...

Usłuchał.

— Doprawdy, rola, jaką mi pani narzuca... — zaczął, przygryzając zły uśmiech.

— Nie—nie — — Widzi pan, to będzie takie ładne... Za dużo wiosny jest dzisiaj w powietrzu, za dużo gorąca i zapachu — — Taka w tym jest groza... Ja się boję... I my tak zrobimy, to będzie takie ładne... Właśnie dziś kłam nadać wiosnie, wyzwolić się zpod przemocy — — Ja nie wiem czym.. Ale to właśnie jest we mnie najsilniejsze — — Jestem szczerą —

Woroński przyglądał się Hani z niedowierzaniem.

— Pani nie zdaje sobie sprawy, jakie to zabawne kazać mi wysłuchiwać takich rzeczy.

— Nie — nie — — prosiła. — Niechaj mię pan zrozumie, niech pan nie będzie zły... To wszystko jest prawda. I ja bym tak chciała—ten wieczór właśnie. Taki cudny wieczór. Później już pamiętać będę przez całe życie. Zawsze pamiętam najmilej rzeczy niedokonane — Czy dobrze?

Przez chwilę w powietrzu aromatycznym ciężko dyssała cisza.

— Czy dobrze? To będzie takie ładne — —

Ważyl w sobie złe myśli.

— Gdybym wiedział... Gdybym mógł wiedzieć — —

— Że co?

— Gdybym mógł wiedzieć, w jakim stopniu pani teraz jest przewrotna — —

— Hania nie odpowiedziała. Zapatrzyła się w otwarte drzwi kamiennego balkonu, w tajemnicę wieczoru wiosennego. Rozważała, z jakiej przyczyny i w celu jakim staje się to—i tak, jak się staje.

Główną przyczyną była naprawdę to, że tak właśnie było bardzo ładnie. Najładniej—i dziwnie mocno. Zdawało się, że jest to wyciąganie do niemożliwości ciężkiego łańcucha, który nie pęka dlatego, że jest z żelaza — tylko zgrzyta i dzwoni dziwnie.

A po drugie — ach! (Hania uśmiechnęła się cicho, z oczami spuszczone) — tak, zdaje się, że dziś właśnie przewyciężenie grzechu więcej dać mogło rozkoszy, niż sam grzech. Nazbyt wiele było płomieni w oczach jego i nazbyt były ładne, by miała je gasić, oddając im się na pastwę. „Nie chcę wodą kryniczną być dla twego pożaru“ mówiła w duszy do Worońskiego. „Nie chcę być wodą, która wre od rzuconego w nią rozpalonego kamienia—i później stygnie wraz z nim. Chcę chłodne oczy moje napawać twoim pożarem — — —“

— Wszystko prawdą jest, co mówiłam dzisiaj.

Wytrzymała jego spojrzenie.

— Wierzy pan?

Po namyśle odrzekł: — Wierzę.

Hania ucieszyła się ze zwycięstwa. Jednocześnie ze swą szczególną wyrazistością uczuła, jak dziwnie obcym stał się dla niej Woroński, prawie wrogi. Ze zgrozą przekonała się, że właśnie od niego czekała zaprzeczenia, że w nim pokładała całą wiosenną swoją nadzieję. Że tym razem wszystko, co mówiła, stało się kłamstwem, ponie-

waż on uwierzył. „Jaka ja jestem biedna“ — pomyślała prędko, przelotnie—i uśmiechnęła się, by nie odgadł.

Przez cały wieczór siedział zdala od niej — tak, jak tego zapragnęła. Rozmawiali sobie ładnie o rzeczach delikatnych, o tęsknocie za wiosną, kwiatami. A właśnie na dworze była wiosna i wszędzie kwitło dużo kwiatów.

— Wiosna jest ogromnie dziwna — mówiła Hania. — Najbardziej tęskni się za nią wtedy, kiedy jest właśnie — A ze wszystkimi rzeczami jest odwrotnie — — —

Rozmawiając, uśmiechali się często. Ale to było smutne. Wszystko odbywało się bowiem na grobie tego cudnego wieczoru wiosennego.



Woroński pożegnał się z Hanią wcześniej, niż zwykle—i odszedł. Uczyniło jej to przykrość—jakgdyby go przez to utracić miała. A przecież wiedziała, że ją kocha—jakkolwiek nie mówił jej o tym nigdy. Wiedziała, że ów niepokój i żal pozostał w niej po wieczorze umarłym, po szczęściu ominiętym — — ale przecież było przed nią tyle jeszcze wieczorów szczęśliwych.

W ów cudny patrzyła w błądy błękit nocy, w jasne gwiazdy. Tłumiła łzy...

Marzyła sobie, że tak, jak się stało, stało się już po raz ostatni. Odtąd iść już będzie zawsze za głosem pierwszym, za królewskim głosem wiosennej natury. Będzie się wsłuchiwała w ciche, cudowne wołanie życia. Uczyni z siebie ofiarę pogodną na jego ołtarzu kwiatowym. Jutro zaraz—pierwsza wyciągnie ręce do pieszczoty. Ma przecież prawo do szczęścia — —

„Prawo do szczęścia“—półgłosem powtórzyła i uśmiechnęła się — „kupiłam je za cenę zbyt drogą doprawdy—za nieudolność doznawania szczęścia...“

Więc już nic — więc już nic z życia — — —

Zazdrościła kobietom o katolickim sumieniu, kobietom Francji i Hiszpanji, u których poczucie obowiązku walczy z namiętnością, zostaje pokonane — i wtedy jest dramat, zemsta fatum. I wtedy jest szczęście — — Zazdrościła im tego żywiołowego buntu przeciwko więzom ochronnym, szalonego odgięcia sprężyny zpod nacisku zewnętrznego ascezy lub cnoty — — Ona, która wolna była zupełnie—więc nie umiała pragnąć niczego — — —

Marzyła sobie, żeby tak — wbrew woli Alberta — mieć siłę zerwać z estetyką niewoli, skoro zerwać potrafiła z jej moralnością. Zerwać z estetyką cmentarzy, na których rosną kwiaty świetniejsze niż na dzikich leśnych polanach — —

Mąż jest podobny—wnioskowała—za mężem bowiem najmniej tęskni się wtedy, gdy go niema...

Hania żartowała, żeby się nie rozplakać.

Marzyła sobie, że jest dzika, po trawie mokrej chodzi, ubrana tylko w skóry, ma włosy rozpuszczone i smagłe, sprężyste ciało. Tańczy szalony taniec na cześć boga drewnianego, zabija zwierzęta, ptaki, ryby. Niczego jej nie żal. Nie jest dobra, ale nie zna także rozkoszy okrucieństwa. Żyje tylko — i zaledwie tyle wie, że jest sobą. Formuła świadomości jej brzmi: jestem, więc jestem. Ach—kiedy, kiedy to było, Haniu?

I oto—nocą raz—przychodzi on. Człowiek dawny, brunatny od wichru, deszczów i słońca. Skóry też jego są odzieniem, w ręce ma oszczep na dzikie zwierzęta lasu. Przychodzi człowiek o wielkiej mocy chcenia, człowiek, który nie waha się, skoro zapragnie. Porywa—bo chce—i czasu na myśl zimną nie zostawia, wzrokiem nieśmiałym nie bada odpowiedzi oczów (...oczów, które śmieją się wtedy zawsze poza spuszczone mi rękami...). Porywa do swego klanu—na własność wyłączną, do swego namiotu ze skór, do bezpiecznego domu na palach — wysoko, ponad wodą rzeki płynącej — — —

Jakież to smutne, co uczyniłaś z nami, niedobra kulturo...



W pogodne popołudnie Hania szła z mężem i Worosnickim najpiękniejszą ulicą miasta, pomiędzy jasnozielonemi ogrodami. Śliczne drzewa, wyznaczające drogę, otulały się już w bladofioletowe szale zmierzchu, niebo stawało się coraz bardziej głębokie, aby wyjawić tajemnicę gwiazd. Poprzez gobelinowe desenie małych listków mgławiły się ściany perłowe pałaców, złocenia krat, poza którymi kwitły na ziemi białe tulipany i hjacynty. Powietrze cicho drżało od czaru wiosennych pachnidel.

Spacerowali sobie, wiodąc leniwą rozmowę ludzi, zżytych ze sobą bardzo, a niezupełnie dobranych. Myśli ich różnolitemi drogami odchodziły na ucztę wiosny.

Hania milcząc, słuchała obu. Kolejno spoglądała na jednego i drugiego.

Niebardzo doprawdy różnili się między sobą — obiektywnie rzecz biorąc. Obaj tak znacznie wyżsi od niej. — Idąc pomiędzy niemi, Hania nie mogła nie pomyśleć, jak dziwne to jest zdarzenie, że dwaj ci ludzie są temi jedynemi, których usta całowała. I myśl ta przejęła ją cichym przerażeniem, wskutek czego uśmiechnęła się swawolnie.

Pan Ułuski powrócił z zagranicy o tydzień później, niż miał powrócić. Hania jednak nie została kochanką Worosnickiego. Stało się zupełnie odwrotnie, niż postanowiła sobie kiedyś („można kochanką być artysty, ale kochać go nie wypada“). Kochała go bowiem. Kochała... „Boże mój, czemuż tak wielka jest drabina póluczuć między miłością i niemiłością?“ — westchnęła Hania, rozmyślając o tym. „Czy jednak — czy nie dzięki temu czasem życie jest takie ciekawe?“

Od dziwnego owego wieczoru popsuło się coś między Hanią i Worosnickim. Zasunęły się między niemi rzeczy nieuchwytnie, pretensje w połowie tylko sformułowane, mgły niedowierzania — zasłona prawie przezroczysta, jak japońska kotara z paciorków szklanych — Hania zła była, że się tak psuje wiosna.

Jednocześnie wiele zmieniło się w stosunku Hani do męża. Gdy nadszedł telegram, że przyjeżdża, wybrała się na dworzec i witała go z prawdziwą radością. Człowiek ten był jej czystym sumieniem.

Na skutek rozstania — czy też poprostu na skutek wiosny — nastało dni kilka, które wydały się Hani w pierwszej chwili niemal powrotem dawnej miłości. Była tym bardzo zdziwiona, gdyż odkąd mąż zdradził ją poraz pierwszy, postanowiła sobie nieodwołalnie, że nie będzie go więcej kochała. Dni te były dniami prawdziwego szczęścia miłosnego. Mąż, wracając do domu, przynosił Hani przepyszne kwiaty, wieczory spędzali razem. Przytym oboje byli tym wszystkim nieco zmieszani. Był w tym wdzięk jakiś, który pociągnął Hanię. Zdawała sobie sprawę z tego, że ten tuman miłosny pozostaje w stosunku pewnym do rozdźwięku, jaki zapanował między nią i Worosnickim, i że ma się do tego rozdźwięku, jak skutek do przyczyny. Ale nie chciała już teraz z niczym walczyć, nad niczym się zastanawiać.

Aż jednego dnia przyniesiono jakąś kopertę o bardzo niewinnych pozorach, z popielatego, cieniutkiego papieru, zaadresowanego do pana Ułuskiego. I ten wieczór Hania spędziła w domu sama.

Uczyniło jej to przykrość bardzo małą. Dało natomiast możność rozważenia na chłodno zdarzeń, które zaszły przez ciąg owych paru dni wiosennych. Pomyślała o Worosnickim i serduszko jej skurczyło się z bólu. Miała takie wrażenie, jak mężczyzna, gdy zdradzi dobrą, bardzo kochaną narzeczoną. Zdradziła bowiem człowieka najbliższego na całej ziemi, człowieka, który nie uczynił

jej nigdy nie złego, który niedobry był dla niej wtedy tylko, kiedy za bardzo ją kochał. On jeden rozumiał najbłękitniejsze cienie jej myśli, pieścił się z najgłupszymi jej kaprysami, stawał po jej stronie przeciwko wszystkim złym rzeczom życia. On ją prowadził do ślicznego świata muzyki, nie gniewał się o nic, co mówiła mu najbardziej złego, wdzięk znajdował w tych rzeczach nawet, które w niej były niesmaczne i brzydkie. Taki był kochany, taki miał uśmiech nieporównanie miły — i grał tak delikatnie, gdy był smutny. I jemu — odebrał Hanię „pan z zupełnie innego świata“, trzeźwy, zrównoważony, po gościńcu kariery kroczący bezwzględnie do celu, lekceważący wszystko, co nie było z jego świata, nie raczący nawet być zazdrosnym o artystę — —

Hania po raz pierwszy zrozumiała, co to znaczy „grzech“. Skręciła się ze wstrętu.

Jakaż wstrętna, jakaż zupełnie obca rzecz wśliznęła się podstępem do jej serca, przebrana w pocziwy kostjum legalnej miłości. Jakiż dar poniżający złożyła jej pamięci rzeczywistość tej wiosny. Jakim sposobem stać się mogła w Hani taka rzecz? Co znaczył ów romans dni ostatnich z człowiekiem dalekim, obojętnym — z człowiekiem przed laty kochanym?...

Ach więc to — to właśnie jest — *disons le mot* — „chuć“ owa, o której słyszała oddawna, i której nie знаła dotąd, chociaż kochała już tylokrotnie. To — pod owczą skórą sakramentu budzący się na koniec „temperament“. To jest siła owa nieodparta, o której mówią mężczyźni, kiedy czynią grzech przeciwko życiu i miłości.

Żyła w piekle jakimś, pomiędzy szatanami, w nierozpętałnym systemacie grzechów. Chodziła nad bezdenną rozpadliną życia po dziwacznych szczeblach miłości, pięła się w górę i zstępowała, oglądając z różnych punktów coraz dziksze widoki. Z dusznej cienistości wiosennych ogrodów w potwornych reliefach wyłaniała się cała fantastyczność nakazów etycznych — pod nowymi przykaza-

niami widniały — jak na palimpsestach — zatarte ślady dawnych. Sprzeczności skakały na siebie, oplatały się wzajemnie, jak lłany, w uściskach dusiły słabsze, walące się mury zakrywały świeżą zielenią. Przez gąszcze przedzierała się myśl chłodna i — odwracała wartości. W przykazaniach wszystkich szukała rzeczy jednej, rzeczy takiej, któraby wszystkim przykazaniom była wspólna. I z tej rzeczy uczynić chciała — ostatnie przykazanie.

Hania myśl wyteżała, aby pojąć, czemu kochanie Worośnickiego, które dotąd uważała instynktami za grzeszne, obecnie wydało jej się ekspiacją upragnioną po dniach minionych. Czy nie dlatego czasem, że kochanie to dawało jej oprócz szczęścia wiele goryczy?

A więc — może więc — — I jedno jeszcze: nie czułaby tak winy swojej, gdyby w tych rzeczach, gdyby w stosunku jej do męża był przymus tylko, poświęcenie, gdyby w tym nie było żadnego z gatunków miłości. Ale Hanią nie powodowało poświęcenie, och nie! — Najgorsze było to właśnie, że dni owe były dla Hani dniami doniosłego erotycznego szczęścia.

A więc — — — Hania z kamiennych tablic zdzierała pozieleniałe litery przykazań. I pisała powoli: czy czasem grzech nie jest wszędzie tam, gdzie jest szczęście? Czy wszelkie wyrzuty sumienia nie są tylko fizjologicznym przerażeniem, polikratesowym przerażeniem wobec szczęścia — — ?

Rozmyślała często o tym wszystkim — i zwykle do takiego dochodziła wniosku.

Rozglądała się po wiosennym świecie, wpijała oczy uważne w radosną, zbiorową twarz tłumu. Nie szukała tam jednak odpowiedzi. O tym przecież najmądrzejsi ludzie nie wiedzą... Szukała właściwie pociechy.

Całą duszą, całą tęsknotą i marzeniem powróciła teraz do Worośnickiego. Idąc obok niego, spoglądała czasem oczami mdlejącymi z kochania. Postanowiła sobie, że będzie teraz śmiała i silna, że odważy się wziąć na siebie całą odpowiedzialność za miłość. Że może — raz

w życiu — — — że pójdzie przez świat, jak przez ten tłum wiosenny — wroga i pogardliwa, w sercu swego szczęścia skupiająca pioruny.

A zarazem pomyślała, że nie znajdzie sił na bój z olbrzymim mocarstwem fałszu świata.

Szła przez tłum, mając po prawej ręce męża, po lewej — kochanka. I pojmowała stopniowo, że cały ten fałsz świata zamieszkał duszę jej bezpowrotnie.

Bokami stały cicho wielkie drzewa, topiąc listki złotawe w dobrych, różowych promieniach odchodzącego, nisko gdzieś nad horyzontem zpoza mgieł spoglądającego słońca.



— Jeżeli pan i dzisiaj odejdzie, nie powiedziawszy mi nie *takiego* — to wszystko skończy się.

— Cóż to znaczy: „wszystko się skończy“...

— To znaczy, że — — nawet na ulicy nie będę się panu kłaniała.

— Kiedy nie rozumiem, co mam powiedzieć, — mówił z uśmiechem i bawił się małą komicznie ręką Hani.

Pan doskonale wie — rzekła surowo z naciskiem, ale nie odbierała mu ręki. — I powiadam: będzie to bardzo złe, jeżeli pan tak pójdzie — i bardzo poważne — tym razem.

— Ja uważam, że właśnie wszystko jest dobrze — powtórzył z uporem. — Rodzaj naszej — — znajomości nie wymaga właściwie żadnych objaśnień z mej strony, żadnego „zadośćuczynienia“... Pani sama zresztą życzyła sobie, aby tak właśnie było. Jest wszystko wedle woli pani — — —

— Pan rozumie, o co mi chodzi — rzekła znów Hania, i stawało jej się coraz smutniej. — Pan wszystko wie — i dziś jest ostatni dzień — — —

— Nie nie wiem, doprawdy — rzekł i roześmiał się znowu. Wstał, aby się zegnać. W Hani serce zamarło.

— Ja proszę — —

Pamiętała przecież, wiedziała to dobrze, że kochał ją napewno. Słowo to nigdy zamienione nie zostało między niemi, ale pewność była — w patrzeniu, w pocałunkach. Więc w imię tego prosiła dzisiaj. Niechaj powie — niechaj zapadną się między niemi owe zapyry nieistniejące, niedowierzanie jakies, gra w obojętność, wypominanie minjaturowych przewin dawnych.

— Ja proszę — — serce Hani było nieodpartym, złym przecuciem.

Och, wiedziała przecież. Znała prostą formułę zaklinania szczęścia, broń, którą napewno odniosłaby zwycięstwo: ów szczerzy, żywiołowy giest kochania, ruch rąk wyciągniętych, zatrzymujących — — Tak pewna była... Ale nie uczyniła tego nigdy dotąd. Hania mogła tylko pozwolić się kochać i całować — sama nie potrafiła.

Zbroiła się w odwagę. Ach, pierwsza powiedzieć: „kocham“. Jednym słowem przebłagać za rzeczy dawne, zgasić ten jego uśmiech obcy i niedobry, w oczach dalekich, w oczach utraconych obudzić znowu ciepło kochania.

Ze wszystkich rzeczy najtrudniejsze są te, które dopiero stać się mają; jakież łatwe są rzeczy, które dawno przeminęły. A najbardziej konkretne z rzeczy trudnych są rzeczy mówione. I Hania nie była w stanie powiedzieć tego słowa.

Ale nietylko to. Wewnątrz uczucia żalu wyrastała jedna myśl kryształowa, podobna do niektórych kwiatów, mówiąca prosto, że w tej chwili słowo takie — nie napewno byłoby prawdą. Znowu to samo, co wówczas, kiedyś, tylko dziwniejsze jeszcze. Bo przecież płakałaby

teraz z żalu — a tego pewna nie była. Z jednakich odległości patrzyła na upór Worosnickiego i na swój smutek.

— Ja proszę — — mówiła tylko.

Nie odchodził jeszcze. Wywarła na sobie przemoc postanowienia — i przytuliła się twarzą do jego dłoni; na włosach uczuła chłodne, przelotne pocałunki. — No? — zapytała.

— Poco pani to wszystko tak ślicznie udaje — rzekł z drżeniem w głosie, chociaż śmiał się ustami.

Hania głowę podniosła i spojrzała nań z wyrzutem. Musiała jednak zębki zacisnąć, aby nie parsknąć śmiechem. „Szelma, jak to on odgadł doskonale“. — Zarazem jednak przejął ją żal i trwoga.

— Jakie to niedobre, jakie to niedobre — mówiła. — Przecież ma pan tyle dowodów. I dziś jest ostatni dzień. — — Jeżeli pan jeszcze dzisiaj pójdzie — i nie się między nami nie zmieni — to już na zawsze — —

Ale Worosnicki zobaczył jej oczy, zanim zdążyła opuścić powieki.

— No i jakże mogę to wszystko brać na serjo, pani Haniu, kiedy pani mówi ze śmiechem takie okropnie poważne rzeczy.

— Wcale się nie śmieję — — Ach, jak panu nie żal wiosny — właśnie zaczął się maj... Jaby już o jedno tylko prosiła: niechaj się nie zmieni, niechaj się nie zmieni do końca maja — —

— A później?

— Później mi już wszystko jedno... Tylko niech maj nie będzie zepsuty — —

Worosnicki śmiał się zupełnie bez ceremonii.

— Więc, powiada pani, tylko maj?... Właśnie coś podobnego myślałem. Ha-ha! Jakże to długo — aż do samego końca maja — —

Hania się zdziwiła. „Czyżbym znów powiedziała jakie głupstwo?“

— Pan już stanowczo odchodzi?

— Tak, spieszę się dzisiaj. Sama pani powiedziała przecież, że nie trzeba marnować maja...

Hania nie bardzo zrozumiała, co miał na myśli.

— Dowidzenia więc — zęgnęła go chłodno, zdziwiona jego złym śmiechem.

Kiedy już poszedł, Hania pojęła, że cała ta rzecz jest zupełnie i bezpowrotnie popsuta.

Podeszła jeszcze do otwartego okna i stamtąd patrzyła, jak zatapiał się w groźną tajemniczość majowej nocy. Ach — zawołać jeszcze, zawołać po imieniu:

— Gustawie — —

Ale i na to nie miała odwagi czy dostatecznej chęci raczej. Utraciła coś, czego nieposiadanie jest męką, ale posiadanie żadnej prawie nie przedstawia wartości.

Dopiero, gdy znikł już — i rzecz stała się bezpowrotna — Hania uczuła nagły, rozdzierający ból w piersi, słyszała chlupotanie krwi, wypadającej ze zmiażdżonego serca.

— Cóż to — rzekła do siebie z uśmiechem. — Albo nie jestem ową Hanią, która serca, jak róże różowe wrzuca bez żalu do morza — —?



Została teraz w domu zupełnie sama. Nawet służba już się gdzieś porozłaziła („przez dyskrecję zapewne“ — uczyniła Hania luźne przypuszczenie). A Koko był rozespany i niechętnie przyjął propozycję zabawy. — Znowu ta nuda...

Myśłami nie można się bawić — zwłaszcza, jeżeli są takie zupełnie smutne. Możnaby spać — gdyby nie te gwiazdy cudne. Możnaby przypominać sobie różne zdarzenia miłości — gdyby — — —

— Ach, odejdz, odejdz odemnie, duszo — prosiła.

Doznała wielkiego spokoju wrażenia rozległego, białego chłodu wewnątrz piersi. Jakie to cudne — — —

— Powiedz mi — kto jesteś?

— Dusza twoja, Haniu.

— Dusza?

— Uczyniłam, co chciałam.

— Ach — —

— Chociaż nie masz słuszości: godziny, na które rozłączasz się ze mną, tracisz.

— Niekoniecznie przecież jesteś mi potrzebna — wesoło mówiła Hania.

— Tak sądzisz?

— Nie dlatego, żebym ciebie nie lubiła... Ale — wszakże jesteś tylko marzeniem o mnie — —

Dusza uśmiechnęła się.

— Mylisz się maleńka. To ty jesteś tylko — jednym z moich kaprysów... I wszystko, co cię spotyka, ja wymyślam, by ci było weselej — —

Hania obróciła się, aby ją lepiej zobaczyć. Postanowiła skorzystać ze sposobności.

— Ach, powiedz mi, jak ma się rzecz z grzechami — zapytała ciekawie. — Boję się, że nieraz musiałaś być na mnie obrażona.

— Ależ przeciwnie, Haniu — uspokoiła ją dusza. — Ogromnie lubię grzechy twoje, ponieważ drogo mi za nie płacisz.

— Płacę?

— Nie wprost oczywiście. Mam na myśli wszystkie te przesłiczne podarunki.

— Nie mówmy o tym — uprzejmie zlekceważyła Hania.

— Jakże delikatna jesteś. Czemu jednak nie miałybyśmy rozmawiać otwarcie?

— Więc?

— Podarunki ze skruchy twojej... Ten sznur z rubinów, osadzonych w platynie... Pamiętasz nieporównaną ową noc bezseną — — — Upał nie [do zniesienia, ciężar przesłodki spełnionego grzechu na pieszczonej niedawno

piersi, reinkarnacje oszałamiające zdarzeń przeżytych, splecione z najkrwawszymi rumieńcami obłąkanego wstydu.

Hania siedziała z zakrytymi oczami.

— Prawda wszystko — szepnęła.

— Czas odmierzam biciem twego przerażonego serca, które noszę na złotym łańcuchu. I nie cięży mu ta niewola.

— Jest dobrowolna.

— I — co najważniejsze... O Haniu, Haniu, pozwolisz mi być szczerą?

— Pragnę bardzo...

— Otóż — Haniu — podarunki te są — mimo wszystko — zawsze dowodem tego, że siebie najbardziej ukochałaś —

— Co mówisz? — Są to wprawdzie drobnostki tylko, niegodne ciebie... Jednakże — —

— Pomyśl dobrze, przypomnij sobie tylko — —

Hania głowę spuściła.

— Nie mnie potrzebna jest skrucha, tylko tobie. Potrzeba ci fizycznej rekompensaty za rozkosz. Ja zaś — ja jestem zupełnie od czego innego.

— Ty — dusza?

— Nie biorę udziału w grzechach twoich. Im płomienniejsz oplatają cię moce życia, tym chłodniejsza jestem — dalsza — — —

Hania oczy zmrużyła, przez rzęsy spoglądała, jak przez woal. W perspektywie powietrznej kołysały się mgławice kwiaty, jak zmaterializowane duchy. Powietrze pełne było woni.

— Duszo — nie mów tak. Ach — ileż razy... Nie, nie byłabym czuła rozkoszy tak boleśnie, gdybyś nie była wówczas ze mną — —

— Wówczas — nie był to grzech...

— A jednak pokuta — później — jeszcze straszniejsza — —

Dusza milczała długo. Bładła.

— Nie wiem wszystkiego. Tak samo nie wiem. Smutna jestem — — I kocham cię nieskończenie...

— Kochasz? — Hania westchnęła.

— Kocham. I nie wiem, co dzieli, co różni nas właściwie. Całą tę przepaść jedną krótką myślą przefrunąć mam w cząstce czasu, krótszej od sekundy. Tęsknię za tobą — —

Wstała—i bezszelestnie zbliżała się. Hania zawołała:

— Ach!

Zatrzymała się, pełna żalu.

— Czemu? Nie jest dobre, co czynisz — Haniu —

— Lękam się—lękam się teraz powrotu twego —

— Ty, Haniu?

— Gdy wstępujesz we mnie, staje się taka smutna...

— A jednak — — przecież tobą, tobą tylko jestem —

Co to znaczy?... Wierna, nieodstępna — w nieskończoność — —

— Ty? — Hania gorzko się zaśmiała. — Zapominasz, że umrę.

— Pamiętam. Umrę z tobą.

— Czyżby śmierć nie była właśnie rozłączeniem?

— Nie — nie — — Jesteśmy przejawami jednego bytu, Haniu, „*appearances*“ (przypominasz sobie Bradley'a?). Bowiem od rzeczywistości zarówno odległe jest ciało, jak kwiat, dusza jak woń... Byt nieskończenie będzie trwał owa rzeczywistość istotna — a ty i ja, Haniu, przejawy, luźne, przelotne, odrzucone w momencie śmierci, która jest jakąś wesołą przygodą bytu — —

— Umrzesz razem ze mną? — szeptała Hania, nie pojmując.

— — Wierna zawsze, w ziemi z tobą leżeć będę — i życie damy innym przejawom życia — — Na cmentarzach rosną kwiaty cudne, wiążące podziemia śmierci z królestwami bytu —

— I tam — w koronach — pomiędzy liśćmi?

— Tak — —

Hania zanosila się od płaczu.

— I więcej nie — — o duszo — duszo — duszo — —

Na oczach jej leżały kojące ręce niematerialne.



— Niechaj pani sobie wyobrazi, co za nowina — rzekła pani Awratyńska, uśmiechając się z pewnym zażenowaniem.

— Cóż takiego?

— Owa Sternówna, która śpiewała wtedy na koncercie, jest kochanką Worośnickiego.

— Czy rzeczywiście? — Hania uśmiechnęła się równie i w oczy pani Elizy zatopiła pogodne spojrzenie, leciuchno tylko przymrużając rzęsy.

— Napewno. Lękałabym się powtórzyć pani plotki, ale podobno wszyscy już o tym mówią... Mąż mój, wie pani, jest z nim dosyć blisko. Wczoraj byli we troje na jakiejś tam kolacji. Mówię, bośmy się nią interesowały. Pani—przypominam sobie — stawała nawet w jej obronie. A Marjeta poprostu się w niej zakochała — —

— Tak, tak.

— Tylko—prośba: niechajże pani będzie dyskretna. Nie chciałabym, aby Worośnicki myślał, że to odemnie wyszło — —

— Och, naturalnie.

Hania stała przed lustrem i wkładała powoli kapelusz. „Nie przestając się swobodnie uśmiechać, nałożyła swój wielki, biały kapelusz wiosenny, cały zasypany fioletkami“—komentowała w myśli z całą dokładnością i uwagą, w trzeciej osobie, jakby mówiła o kimś nazewnątrż będącym. „Nie przestając się uśmiechać. Oto uśmiecha się jeszcze. Wciąż jeszcze uśmiecha się, z całą uprzejmością żegna przyjaciółkę“. — W sprawie tego wyjazdu dam pani odpowiedź dziś jeszcze, po porozumieniu się z mężem. Najlepiej przez telefon — prawda? Chociaż gdyby

pani tak łaskawa...— „Poprawia tiul bladofolkowy, w lustrze raz jeszcze ogląda kokardę. I wcale nie pobladła“.

Na ulicy Hania spostrzegła, że iść nie może i gięstem zatrzymała przejeżdżającego dorożkarza. Wrażenie zwiewnej, półsennej nieprzytomności, jakiegoś zbyt silnego kwiatowego zapachu... Wchodząc do dorożki nieostrożnie, nadepnęła suknię i upadła kolanem na stopień z czarnej, świecącej się blachy, z ażurem jakimś pośrodku. Zerwała się pospiesznie i powiedziała woźnicy adres. „Ach, jak przyjemnie wiezioną być do cichego, bezpiecznego domu...“ Już potem zorjentowała się, że prócz numeru bramy numer mieszkania wymieniła zbytecznie.

Na ulicach kwitły kasztany, wędrowały tłumy ludzi w słońcu. Dojrzała idące pod rękę małżeństwo znajome, oddała ukłon ożywiony, uśmiechnęła się w przelocie. „Więc chyba nie się nie zrobiło?“—półgłośno zapytała.

Prędko, prędko—ach, ząbki zacisnąć z całej siły—przeczekać—aż minie. Tę dobrą stronę mają rzeczy takie, że przemijają kiedyś. Nieraz słyszała o tym Hania.

— Wyjadę sobie z niemi—i wszystko cudownie się skończy — rośła.

Stało się dziwnie gorąco i sucho. Powietrze cicho trzeszczało w uszach, promienie słoneczne upadały z szaleństwem. Jakgdyby świat dostał gorączki.

Hania rada była, że cała ta niewypowiedziana męka odbywa się nazewnątrz jej świadomości. Że taka jest daleka od czegoś strasznego, co się zrobiło. Ach — jak dobrze... Byle tylko przeczekać, przeczekać — —

Jedna tylko w tej chwili obudziła się żądza, z którą Hania zmagala się wszystkimi siłami, żądza krzyknienia. Raz jeden krzyknąć — bardzo głośno. Wszystkoby się skończyło napewno — — —

Opędzała się od pokusy, jak od psa złego. Rozchyliła usta i sprobowała jęczeć cicho. Łoskotowi kół powierzała tajemnicę swojej męki — Uczuwała ulgę...

— Haniu! Haniu! — rzekła surowo, prędko, jakby

przemawiała do kogoś w malignie, kto nie poznaje otoczenia.

Zapłaciła woźnicy i prędko biegła po schodach. Dom kochany... Byle dopaść...

— Jesteś, Berti? tak wcześnie?—dziwiła się.

Mówiła do niego, jak z przepaści. Zdawało jej się, że może nie usłyszeć słów jej z takiej głębi. Ale nie miała siły podnieść głosu.

Prawie szeptem zakomunikowała mężowi, że Awrałyńscy wyjeżdżają na wieś we czwartek najbliższy, że pragnęłaby nie czekać już i wybrać się razem z niemi. Czy można? czy nie sądzi Berti, że lepiej będzie, jeżeli nie pojedzie sama — — ?

„Co to się wszystko dzieje?“ rozmyślała zarazem. Czytała kiedyś, że w teatrze starożytnego Rzymu role osób, mających umrzeć, grali przestępcy na śmierć skazani. I w miejscu odpowiednim naprawdę zabijani zostawali na scenie. Coś takiego z nią było. Więc czyż warto—całą komedią ową przedtym odgrywać z takim staraniem? Wiadomo przecież, jak się skończyć musi — — —

Boże!

Od jakiejś myśli swojej odskoczyła z cichym okrzykiem. Jaka to była myśl?—Poszukiwała jej teraz naprędce, uganiała się za tą myślą po jakichś pustkach świadomości. Znaleźć nie mogła — i to był teraz jej smutek jedyny. Ach — o to więc tylko chodzi... Boże mój, drobnostka, myśl jakaś... Widocznie więc nie się nie stało... Cóż się takiego stało?...



Hania znalazła się nagle na samym dnie klęski życiowej. Jednym mechanicznym ruchem jakiejś ślepej, bezmiernie złej mocy została odrzucona na drugi brzeg, brzeg pustki, zniszczenia i śmierci.

Cieleśna świadomość straszliwego zdarzenia nie opuszczała jej ani na chwilę — wówczas nawet, gdy myśl, oszołomiona męką, zamierała — z głową na jakichś kamieniach...

Co to się działo, nie pojmowała już zupełnie. Świat walił się z łoskotem w otchłań niezmierną. Zgłiszcza całego życia mieszały się z mnóstwem kwiatów, które przynoszono Hani ciągle, bo przecież była wiosna. Ten zapach wiśni kwitnących, zapach narcyzów bezpożytecznych — po co? po co? po co?

Szła przez życie odruchami, inercją. Codzień na przykład była uczesana, a nie pamiętała, kiedy i jak to czyniła. Codzień o czymś rozmawiała z mężem — a o czym — nie interesowało jej to w stopniu najmniejszym.

Przez cały ten czas jedno żywiła marzenie: na pięć minut o tym przestać myśleć. Ale napróżno marzyła. To — było z nią wszędzie: w teatrze, na spacerach, w domu, we śnie. W momentach rozmów ożywionych z niepojętymi ludźmi rozmyślała nad tym, w jaki sposób zabić tego nieskończenie złego, tego najukochańszego człowieka. Zemstę wyrzucić rozkoszną, za szyję pochwycić drapieżnemi palcami i dusić, w oczy przerażone, w ubóstwione oczy patrzeć z szyderstwem do samego dna — — Za taką męczarnię...

„Jak mogłeś, jak ty mogłeś...”

Krokami lekkimi chodziła po wielkim salonie, oscylując z pedantyczną prawidłowością między zamkniętym, ukośnie z rogu pokoju wyrastającym fortepianem, i niską szeroką kanapką, obstawioną delikatnemi palmami. Na jednym stoliku, którego kształt harmonijny przypominał jej z wyrazistością szczególną jakiś jeden wieczór miniony, jasną, rozwianą plamą bielił się w kryształowym wazonie wielki bukiet kwitnących wiśniowych gałęzi. Mrok stawał się coraz głębszy. W ciszy z niedalekiego gabinetu dochodził stłumiony głos męża i nieznanego jakiegoś człowieka. Wszystko było tak samo.

„Jak ty mogłeś” — szeptała, załamując bezsilne łapki.

Wsluchiwała się w cichutki płacz duszy, umęczonej śmiertelnie, duszy dobrej i strasznie pokrzywdzonej. —

„Przecież tak kochałam” — — —

Oto niedawno szczęśliwa była bez miary, pieściła się żartobliwemi swemi troskami i smutkami prześlicznymi. W chłodne poranki wiosenne rozpamiętywała z mgłą na oczach zamkniętych czar bajeczny wczorajszych pocałunków. W wieczory zakłète, stojąc u okna, słuchała we wspomnieniu melodji najpiękniejszych, które grywał — —

Od dnia owego nie tknęła fortepianu. Stał zamknięty i niemy, jak trumna, kryjąca rzeczy umarłe...

Niedawno szczęśliwa była bez miary. Widziała przed sobą — aż po kres życia — dłonie dobre, rozgarniające smutki, jak gałęzie jadowitych drzew.

Badała uważnie każdy kąt pamięci. Wywłóczyła przed oczy, jak skarby ze skrzyni, wszystkie zdarzenia czarodziejskie, szepty, nachylenia głowy, uśmiechy, dzieje monograficzne wszystkich pocałunków. Rozkładała je na przestrzeni żalostnej, jak kwiaty na czarnym aksamicie — i błakała się między niemi, odchodząc od przytomności z żalu.

Wszystko, co w tamtym szczęściu było z ciała — przeistoczyło się w żywą, cielesną torturę, a co było z duszy — stało się nieskończoną żalobą. Od męczarni swojej odwracała oczy, broczące łzami, bezsłownie zanurzała się pod poziom świata.

Noce przeżywała straszliwe.

Spadało nagle, jakby z wysokości wielkiej, skoki ciężkim, a cichym, jak skok pantery. Miękie i drapieżne, układało się na kołdrze brzemieniem nie do zniesienia. — To była cisza nocy... Hania zwijszała się w przerażeniu nieopanowanym — — —

Z głębi szło dalekie szlochanie duszy podeptanej, od uczty życia straconej w podziemia. W mózgu stawało się zimno i białe, po piersiach drapały pazury ciszy, jej

oczy hjeratyczne, niewidzialne, przebijały świadomość, jak sztylety bezdźwięczne, nakierowane kunsztownie ręką okrucieństwa.

Pod naciskiem potwornym z nieistnienia wyłaniały się powikłane rojowiska halucynacji, obrazy skłębione nieszczęsnych wydarzeń, praw wiecznotrwałych i straszliwych...

Hania leżała bez ruchu, udając, że śpi. Czy może spała właściwie. Nie tak piekielnego nie może się dzieć na jawie. Widziała tam, jak wrywano skrzydła żywym, małym ptaszkom, łamano kruche dziobki, wyklómano oczy maleńkie. Myszki szare w przerażeniu straszliwym uciekały od kotów o łapach aksamitnych i rozwartych różowych paszczekach. Seledynowe pasikoniki wlokły się bezwładnie ze złamaniami przez dzieci nóżkami. Cmy o cudnych skrzydłach, jak starodawne gobeliny, opalały sobie pyszczki z czarnymi wypukłymi oczkami, bijąc się o szkła lamp. Miljony drobnych owadów konały długo, nadeptane ślepymi nogami ludzi. Zakopywano w ziemię żyjące szczenięta i młode koty, gnano w płomienie tabuny oszalałych z trwogi zwierząt stepowych. Nieskończona epopeja śmierci.

Czym jest dziwne owo życie — malutki, przerażony ptak na nieobjętym, czarnym morzu...

Czym jest wobec śmierci wszechwładnej, ogarniającej wszystkie punkty przecięcia czasu i przestrzeni? — —

W nieskończoności zamarłej żywym jest tylko krótki moment niniejszy... Wszystkie historie ludzkości, dzieje literatury, sztuki cywilizacji — mówią o trupach, cała wiedza ludzka jest biblioteką Ksiąg Umarłych, cała przeszłość ogromna świata jest cmentarzem. Nieżywa ziemia owinięta jest warstwą śmierci, poryta grobami, każda epoka jej dziejów jest trupiarnią, w głębi jej drzemią cmentarze lasów i mórz. Na najświeższych pokładach śmierci pasorzytuje życie. Małe grupy ludzi, zwierząt i roślin żerują na grobach, nędzni dożywotnicy pasą się

spuścizną po umarłych, w nieskończonym, straszliwym królestwie śmierci, nie znający sensu swego bytu, w trwodzie i niewiedzy króciutko żyją. I dziwiłeś się proroku nowy, że to „umarli rządzą nami...”

Królestwo śmierci nieobjęte sięga do wczorajszego dnia. A dzień jutrzejszy — — —

Przyszłość — — ? Hania zerwała się, z gardła wypadł krzyk zdławiony przerażenia. Na piersiach siadł podwójny ciężar ciszy...

Cóż są te byty jutra, mające dopiero się stać, co znaczy dzisiaj, że żyć będą, czym jest ich straszliwy stan przedżyciowy? — Gdzie pochowane są teraz w nieskończoności ich potencjalne istnienia, ich oczekujące wcielenia możliwości? — — Ach — dzień dzisiejszy jest trumną dnia jutrzejszego i sam umiera w jutrze — —

Osaczony przez przeszłość umarłą i martwą przyszłość, na wysepce życia stoi człowiek, produkt rozkładu i jego jutrzejszy materiał, a myśl jego jest sarkofagiem świata...

Tylko śmierć, śmierć — —

Hania oczami przerażeniami ujrzała jakieś twory niepojęte, owe szeregi nieprzeliczone bytów potencjalnych, które umarły przez rozpoczęciem istnienia. Miljardy ziarn niezasianych, zjedzonych jajek, kawioru, miljardy nieurodzonych dzieci. Cóż to jest takiego, co to znów znaczy — całe to rozpasanie śmierci? Wszakże każdy, kto żyje, umiera — a przecież nie każdy umierający żyje. — Co staje się z niemi?... Co staje się z tym mnóstwem jej własnych dzieci, wyrzucanych gdzieś co miesiąc z wata higroskopijną. Pomyślała, że oto snują się gdzieś — niewidzialne, tajemne, straszliwe. Usiłowała obliczyć, ile ich mogło być w jej życiu. Przypominała sobie z trudem, kiedy to stało się po raz pierwszy. Ach Boże, Boże — to przerażenie, to zamarcie serca dzieciennego na nowy, niepojęty, obezwładniający ból, na nieznany widok bladej krwi... Odgadła pewnie wówczas, że po raz pierw-

szy wewnątrz niej staje się śmierć, śmierć jakiejś możliwości istnienia. I odtąd przez tyle lat jest wciąż areną śmierci, pokorną służebnicą ponurych, czarnych w tajemniczości wyroków.

Jakim przypadkiem stało się, że sama istnieje? — Ona właśnie... Przypadek jakiś fantastyczny... Przeleżała się braterstwa swego z miliardem istot, nie żyjących nigdy, z całymi zastępami niedobytów. Ujrzała je teraz — owe ponure familje duchów, rzucające życiu wyrzut wieczny. Cóż za męka musi być straszliwa: nie móc istnieć, męka podobna do duszenia się. Tęsknić za bytem, jak za powietrzem. Oto snują się, patrzą z wyrzutem niedokształconemi oczami — te, co ani na chwilę nie wyszły z otchłani śmierci... Widzi je, te straszne twory z pod mikroskopu, główki olbrzymie, łapki małe na oczach, oparte o kolanka... Miljardy — miljardy — — — Odsuwają paluszki bezkrwiste, odmykają służem zalepione powieki — — — Te oczy — te oczy — — — !



Zgrzyt przyciszony zatargał ciszą i ciemnościami, amfiladą mieszkania przemknęły lekkie szelesty. Hania porwała się, usiadła na łóżku. Szukała zapalek, bijąc paznogciami po blacie stolika.

Około drzwi skradały się przycajone stapania. Na ciele Hani obciągnęła się skóra.

— Ty...? Albert?

— Cóż to, nie spisz, Haneczko?

— Chodź tutaj — —

— Służę ci — — W tej chwileczce — —

Wszedł. Nachylił się nad łóżkiem.

— Cóż to Hani? — Zapach duszny wiosennej nocy i jakichś perfum kobiecych szedł od niego na Hanię, jak chmura.

Oprzytomniała. Leżąc, zamknęła oczy.

— Nic — nic — — — Złęklam się tylko. Myślałam, że ktoś obcy.

— Staralem się nie obudzić ciebie. Cicho wszedłem. Nawet drzwi nie trzasnęły. Niechaj Haneczka śpi spokojnie — —

Pocałował ją ostrożnie. Owiał ją znów ten czarowny zapach wiosenny, podobny do zapachu hjacyntów. Pomyślała o tajemniczej, dalekiej wiosnie, o kwiatach, rozwijających się gdzieś tam za oknami — — — Usłyszała, jak mąż wyszedł na palcach do siebie, drzwi przymknął cicho. Była znowu sama.

Starala się zasnąć, leżała na wznak bez ruchu. Cisza dysząca czaiła się zdaleka, blisko słychać było powolne uderzanie serca.

Czuła coraz wyraźniej, jak wraz z nią łagodnie kołysze się łóżko, żeglując pośród ciemności. Po chwili pojęła, że leży tak na dnie łodzi, wysłanym piórami nieznanymi ptaków — i dokądś płynie — w ciepłą, cichą noc gwiazdzistą. Słyszy chlupotanie słodkie wody, ocierającej się o krawędzie, słyszy wilgotne nucenie wiosł niepotrzebnych, wlokących się za łodzią, jak zmęczone skrzydła. Dokądś płynie po nieskończonej wodzie. Na włosach ma wianek z fioletów, cała jest zasypana ciężkimi, pachnącymi gronami hjacyntów. Ręce rozpostarte oparła na burtach łodzi, bawi się złotymi łbami delfinów, które stoją ogonami do góry i podpierają baldachim z czarnego aksamitu w gwiazdy — czy też niebo... Tak płynie — — może do wiosny. Znalazła nową drogę... Bo na tamtej rozwarła się przepaść... Znalazła nową drogę szczęścia —

...Czy niema tutaj nikogo? — Ach, wiedziałam, że będziesz — — Spotkanie, cudowne spotkanie na morzu... Wołałam ciebie kwiatami — pamiętasz? „Można słyszeć kwiaty...” Przyszedłeś na wołanie fioletów i hjacyntów — Twoje pocałunki na powiekach zamkniętych...

Hania rozumiała, że to jest przecież sen. Właściwie bowiem chodzi o coś zupełnie innego — —

Naprawdę odeszła już od tego — daleko, daleko. Jest

w obcej stolicy. Trzeba tylko jaknajprędzej przejść park, rozległy park miejski, podobny do lasu. Ale jest późny wieczór jesienny — w parku pusto i ciemno, deszcz drobny pada. Nie widać prawie nic, ale Hania zna drogę. Była w tym mieście niedługo po ślubie — i pamięta doskonale.

Alejami ciemnymi idzie spiesźnie. Most jakiś... Nie było tego chyba dawniej. Schyla się, patrzy uważnie, by nie zabłądzić. Rękami namacała deski obślizłe, ruchome, niedopasowane bierwiona. Most bez poręczy — most nad głębokim kanałem. Daleko wdole między wysokimi, cembrowanymi brzegami przepływa czarna woda do zbiornika krytego, do dużego jeziora pod ziemią. — Kłeka, pełnie na kolanach, palcami czepia się bierwion obmokłych, przytula do dygocącego drzewa. Musi przejść, prędko przejść, bo inaczej nie może dostać się do mamy... Most trzeszczy, huśta się, czarna woda szumi w straszliwej głębi pomiędzy zbutwiałymi wiązaniami. Ach — tędy nikt nie chodzi — — — Boże, byle do drugiego brzegu... Albert ze śliczną dziewczyną jest gdzieś, gdzie Hania musi iść — aby dowieść, że wcale nie jest zazdrosna... Bo to jest właśnie Sternówna... Ona tak pachnie hjacyntami... Trzeba się spieszyć — — Ach, jeszcze niema połowy... Brak jakiejś deski, ręka wpada do otworu... Ktoś ją wpycha, deski rozstępują się, trzeszczą — otchłań czarna i ta woda pomiędzy chrzęszczącymi wiązaniami. Ześlizguje się, ostatnia deska rozlazła się w uścisku rąk — — Spadła... „Mamusiu, mamusiu...“ Jest gdzieś tam na dnie, w czarnej wodzie płynącej... Napróżno chwytą się ścian wysokich z cegły — mokrych i gładkich... Takie ciemności — — Wołać nie może ratunku. Nikogo niema — — Płynie z prądem, po twarzy liżą ją jakieś rośliny plugawe, obślizłe zwierzokrzewy, w gardle brud wody... Doszła do szyi kanału, wpadła w głąb nieskończoną, podziemną... Już jej nie widać — — Ach — — jakaż męka straszliwa — — zamknięta jest tam pod ziemią... Więc aż taka jest śmierć?...

Nazajutrz otrzymała Hania strasznie zły list od Małgorzaty. Krótkimi słowami przypominała cel wizyty swej przed trzema tygodniami i wyrażała zdumienie wobec sposobu, w jaki zareagowała na to Hania.

Przeczytawszy, Hania zaczerwieniła się: „Mój Boże, zupełnie zapomniałam... Ale gdzież mi — o takich rzeczach“...

W liście podany był adres dla odpowiedzi: „przeprowadziła się widocznie“, wywnioskowała roztropnie Hania. Uznawała swoją winę i dla naprawienia jej postanowiła sama pojechać do Małgorzaty. — „Gdzieś na przedmieściu“ — — — zastanowiła się. „Ach, wszystko lepsze, niż to przebywanie wieczne sam na sam ze swoją męką“...

Dorożka zawiozła ją na sam kres miasta i stanęła przed wysoką bramą drewnianą, pomalowaną na żółto. Hania weszła na dość duże podwórze, gdzie rosły luźno jasnozielone drzewa, przesłaniające stojącą w głębi chatę w sposób niewymownie malowniczy. Widok chaty owej zpoza drzew narzucał się wyobraźni nieodpartą pewnością: że „tam mieszkają ludzie szczęśliwi“. — Po bokach podwórza przechylały się przez niewysokie ogrodzenie białe, młodziuchne gałęzie kwitnących drzew sadu.

Napotkaną jakąś kobietę zapytała Hania o mieszkanie Małgorzaty. Wskazanemi przez nią, niedomkniętymi drzwiami weszła do kuchni, pełnej cuchnących oparów. Tu ujrzała przy balji wielką babę, która spytała ze zdumieniem:

— A do kogo to?

Hania miała fatalną ideę zapytać:

— Czy zastałam panienkę?

Do kuchni ze strony przeciwnej nagle weszła Małgorzata. Poważnie z pewnym roztargnieniem przywitała Hanię i zapoznała:

— Pani Ułuska — moja ciocia —

Ciotka podała Hani rękę, obtartą naprędce fartuchem.

— Pójdziemy może do ogrodu, bo w mieszkaniu duszno — rzekła Małgorzata.

Wyszły razem. Małgorzata poprowadziła Hanię przez furtkę w owym niskim ogrodzeniu, poza którym widać było kwitnące drzewa. Znajdował się tu dość obszerny sad na przejściu do pustych błoni, ciągnących się po drugiej stronie domu.

— Ach, jak tu cudnie! — zawołała Hania.

Była godzina przedwieczorna i niebo pokryte było jasnogranatowymi chmurami, grożącemi burzą, pierwszą burzą wiosenną. Kwitnące drzewa schylały białe swe gałęzie na malachitowe puchy gęstej, wysokiej trawy, usypanej pyłem turkusowym niezapominajek.

— Poczekaj, przyniosę co, to można będzie się na trawie — rzekła Małgorzata.

Hania próbowała zapoznać się z jakimś psem posępnym i chudym. Leżał niedaleko chaty w pozie majestatycznej, przyglądał się Hani zmrużonemi oczami i żadnej nie zwrócił uwagi na jej wołanie.

Małgorzata nadeszła ze starą chustką, którą zasłaniała dawniej okragłe okno komnaty zamku Roussillońskiego, i rozpostarła ją na trawie, pod zwisłemi kwitnącemi gałęziami. Usiadły obie, a Hania położyła się zaraz w zwykłej swojej pozie — i z cichą rozkoszą rozpatrywała bliźutki horyzont równiny za sztachetami, białe chmury wiśni kwitnących, na tle niskiego granatowego nieba i niezapominajki, zatopione pachnącą trawą.

Po raz pierwszy — odkąd spotkała ją krzywda od życia — Hania znalazła się pośród natury, dającej ukojenie. W oszołomieniu brała w siebie jej uśmiech tkliwy. Przejął ją cichy żal, uczuła chłusnięcie łez w gardle; zapragnęła objąć niski pień najbliższego drzewa, do chropowatej kory przytulić skronie — i długo płakać za majem zabitym.

Milczenie wyczekujące Małgorzaty przypomniało jej z czym tu przyszła. Skrępowana niemiłym chłodem, zapytała:

— Jak się nazywa ten pies?

— Mazgaj.

— Dlaczego Mazgaj? — Mazgaj, pójdź tu! — Czy gryzie ta kanalia?

— Zdaje się, że dosyć jest zły.

Pies poruszył tylko przymkniętymi powiekami i z poprzednią niechęcią krótko przyjrzał się Hani. Dopiero na wołanie Małgorzaty nadbiegł z ożywieniem, kłapiąc wesoło pyskiem i czyniąc wicher jedwabistemi kudłami gwałtownie rozmachanego ogona.

— Sympatyczna sobaka — zaopiniowała Hania i korzystając z pogodnego nastroju, pogłaskała duży łeb Mazgaja.

Położyła się znów na grzbiecie, zaplotła ręce na oczach i pospiesznie zakomunikowała Małgorzacie, że ów Awratyński wyjechał wówczas, zanim zdążyła o tym z nim pomówić — ale że teraz zobaczy go niedługo, bo do nich na wieś się wybiera — i Awratyński będzie mógł z tym towarzystwem załatwić sprawę Małgorzaty listownie. I żeby się Małgorzata nie gniewała, bo ona sama miała w ostatnich czasach takie przykrości, takie kłęski — — Powinna zrozumieć — przebaczyć — —

— Och, ja rozumiem. O to szło mi tylko, żeś nie zawiadomiła mnie zupełnie, nie dałaś znaku życia — — wyjaśniała Małgorzata łaskawie. — A cóż się tobie zrobiło?

— Mnie? — Hania uśmiechnęła się i z trudem przypominała sobie treść swego smutku. — Ja — chciałam właściwie usłuchać twojej rady — — —

— Jakiej rady?

— Chciałam uczynić głupstwo. Nawet postanowiłam sobie nieodwołać — —

— Z okazji tego — muzykanta?

— Tak — —

— No i co?

— I nie zrobiłam oczywiście —

— No wiesz — — Może ten był tylko niedostatecznie ponętny...

— Ach, co ty wiesz!

Hania brwi ściągnęła i zadumała się głęboko.—Przyczyna była taka jak zwykle — mówiła.—Może i rację miałas wtedy, w zimie... Lęk o utratę — — estetyki — — zaśmiała się.—Słuchaj!—rzekła nagle takim tonem, jakby uczyniła straszne odkrycie, — w zimie ja byłam jeszcze zupełnie szczęśliwa...

— Tak — — ?

— Nigdy jeszcze nie przeżyłam nic tak strasznego, jak ten maj.

Małgorzata śmiała się cicho. Każde jej słowo podminowane było głuchą złością.

— I ciebie—i ciebie więc nieszczęścia spotykają — na wiosnę — — ?

— Obie zarówno—odrzucone jesteśmy od drogi życia prostej — łagodziła Hania. — Mnie spotykają klęski w poszukiwaniach szczęścia... Ale wyrzeczenie się go zupełnie zemści się jeszcze na tobie. Nie wolno usuwać się bezkarnie od mąk poszukiwania — —

— Mnie nic nie grozi. Jakaż może być zemsta?

— Zemsta życia. Ja wiem już, co to jest — —

— Mnie nic nie grozi—powtórzyła Małgorzata.—Ja mam serce ogniotrwałe, serce z asbestu... śmiejąc się wciąż, mówiła.

Hania umilkła na chwilę, rozżalona niedobrym tonem tych słów. „Cóż ja jej takiego zrobiłam?“ — myślała.

Leżąc, zatapiała oczy smutne w białe chmury kwiatów, tarzające się niemal po ziemi. Widziała gdzieś nad horyzontem małe, dalekie błyskawice; połamane ognie jakby wyskakiwały zpod ziemi. Grzmotów nie było słychać.

Chociaż Małgorzata była zła, Hania czuła się u niej lepiej, niż w domu. Z niechęcią myślała o powrocie.

— Ach — gdybyś ty wiedziała, jak jabym chciała mieszkać tutaj... Boże—ta cisza—i sad —zupełnie, jak przy wiejskich chatach... Już tyle lat, jak nie widziałam maja na wsi...

Mówiąc, zauważyła, że Małgorzata patrzy gdzieś w bok ponad trawę, dziwnymi, głęboko tragicznymi oczami.

— Czy nie jest ci lepiej tutaj, Małgorzato? — tamten twój pokój był taki ponury...

— Owszem, dobrze mi jest — odrzekła, oddzierając zwolna oczy od upatrzonego punktu.—Tylko jedna rzecz... Nie przeprowadziła się tu stamtąd moja dusza. Została sobie tam —Zostały tam wszystkie moje marzenia walczone, wszystkie sny marmurowe przylepiły się do tamtych ścian... Nie mogłam ich zabrać ze sobą... I lepiej może. Trzeba się przecież przyzwyczaić do rozstania ze swoją duszą — —

— Do rozstania się z duszą?—I ty — — ? dziwiła się Hania.

— Naturalnie... Przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie — na zawsze — — — Śmierć ukochana... Jest upragniona bardziej, jeżeli życie jest do niej podobne...

— Myślisz, że nie umiera? że dusza nie umiera?

— Wierzę w to, wyobraź sobie Haniu. Bawię się śliczną myślą o tym, że nigdy nie umrze.

— A ja przestałam wierzyć...

— Dlaczego?

— Można się rozstać z duszą — i to nie jest śmierć.. Zresztą niedawno umówiłam się z duszą moją, że umrzemy jednocześnie... Ona jest ogromnie dobra — —

— Więc może niektóre umierają, a inne żyją wiecznie... Może są takie dusze słodkie, miłe, radujące się i smucące wraz z ciałem — i z nim razem umierające — —

— Te spotykać można na cmentarzach — w woni kwiatów i szeptach liści...

— Ale te inne—drapieżne dusze, obojętne, karmiące się cierpieniami ciała, wypijające z niego krew... One nie umierają nigdy — i żyją pokutnie i żałobnie pomiędzy gwiazdami...

Hania słuchała cicho. Posunęła się i położyła głowę na kolanach Małgorzaty.

— Dobra bądź dla mnie — powiedziała.

Małgorzata zmieszała się. Z pewnym roztargnieniem pogładziła włosy Hani.

Zagrzechotała zcichą furtka otwierana. Hania podniosła głowę. Zza drzew jasnych wyłoniła się ciotka Małgorzaty w jedwabnej sukni czarnej. Wyglądała tak uroczyście, że Hania nie poznała jej narazie. — Przyszła, gdyż uważała za stosowne porozmawiać nieco z przyjaciółką siostrzenicy. Nie chciała usiąść na rogu chustki, ofiarowanym jej uprzejmie.

— Garderoby nie chcę pognieść — wyjaśniła i dalej mówiła, stojąc. — Pani przyjaciółka Małgosi — prawda? Co ona mi o pani nie naopowiadała! Nic, tylko wciąż o panie Annie — jaka śliczna, jaka mądra, jak za męża dobrze wychodzi...

Hania spurpurowiała.

— Ja również bardzo... bardzo kocham Małgorzatę...

— Dobra dziewczyna, nie mogę się skarżyć. Nie żałowałam na jej edukację... Tylko, że teraz akurat takie nieszczęście z tą posadą. A przecież mówiłam —

— Szkoda tylko, że odwiedza mię tak rzadko... próbowała wtącić Hania.

— A może chodzić. Nikt jej tu przecież nie trzyma. Tylko, jak na złość, Janek chory —

— Brat twój? — zwróciła się do Małgorzaty.

— Tak, niezdrow już drugi tydzień. Zaziębił się. — Moja ciociu, ja z panią Ułuską mam jedną rzecz do omówienia —

— O, zaraz! mało będziesz miała jeszcze czasu! — Pani posiedzi jeszcze u nas. Nie puściłabym nawet, bo tylko patrzeć będzie burza.

— Tak, zdaje się. Chociaż ja się nie boję burzy.

— Ale — taki kawał do miasta.

— Kazałam czekać dorożkarzowi...

— Ano — chyba, że tak... W tych stronach nawet trudno o dorożkę — — A możeby pani wypila z nami kawy? — zapytała, jak zwykle, tonem, wyrażającym domysł najbardziej nieprawdopodobny.

Hania nie wyczuła sytuacji. Chcąc uczynić przyjemność babie w atłasie, okazać się demokratyczną wobec Małgorzaty, słodko rzekła:

— Ach, z ochotą! Taka jestem głodna!

Ciotka sposepniała przelotnie. — To lepiej — — rzekła, jakby napróżno usiłując przekonać samą siebie. — Ja zaraz przygotuję!

Oddaliła się majestatycznie, dźwigając w garści długi ogon atłasowy. Niedaleko furtki kopnęła nadskakującego jej nie w porę Mazgaja.

Hania znów przytuliła się do Małgorzaty i półgłosem mówiła, patrząc w niebo:

— Jakże ja tobie zazdroszczę tej mocy twojej, twojego serca z asbestu — — Teraz, kiedy odepchnięta jestem od mego szczęścia... I to, że właśnie jest maj... Powiedz, dlaczego rzeczy takie stają się w maju — — Przecież to zbrodnia — — przecież to jest zbrodnia — —

Małgorzata przymrużała oczy podłużne.

— A czy — o tym nie myślisz, że masz na sumieniu takie same zbrodnie?

— Ja — — Skąd ty wiesz? — Mam rzeczywiście...

Hania chwyciła ręką gałąź najbliższą, głaskała małutkie kwiatki. Strząśnięte płatki obsypały się obłoczkiem chwiejnym na ich głowy.

— Dobra już jesteś, prawda? Jesteś jedyna na całym świecie, jaką mam. Wszystko odwróciło odemnie swoje jasne oczy — — Tylko ty — i takie gałęzie... Nie mam nic więcej — —

Małgorzata uśmiechała się niewidzialnie ponad głową Hani. Na tych samych gałęziach rozwieszała swoje spojrzenia posępne — pomiędzy uśmiechami, czepiała się wzrokiem niezapominajek błękitnych, rozsnutych pasmami po trawie. Zpośród kwiatów, jak przez otwory w ścianie, spoglądały na nią mordercze źrenice niebezpieczeństwa.

— Powinnaś mię rozumieć, bo i tobie musi być smutno, kiedy brat chory — prawda? Nic tak nie zbliża, jak jednoczesność smutku...

Brwi Małgorzaty rozsunęły się zupełnie nisko nad oczami, powieki zmrużyły się przed mrocznym widmem owej grozy, spoglądającej poprzez kwiaty wiśniowe.

— My jesteśmy na dwóch biegunach smutku, Haniu. A droga do nich prowadzi przez cały świat — —

Hania podniosła się nieco, mówiła głosem zasmuconym:

— I ty mnie męczysz... Dlaczego i ty mnie męczysz?... To jest takie niedobre — — —

Wpatrywała się żałośnie w chłodną twarz Małgorzaty, poszukiwała jednego choćby miększego rysu koło jej ust surowych. Napróżno. „Dlaczego ja ją tak lubię?“ — uczyniła sobie wyrzut.

— Wiem już, co tobie grozi — rzekła po chwili.

— Cóż takiego?

— Grozi ci jeszcze — kiedyś w życiu — wielkie straszne szczęście — —

— Co ty mówisz? — Ach, jaka szkoda, że nie jesteś wieszczką — — Małgorzata śmiała się głośno, pokazując mnóstwo zębów. — Gdybyś sprawdziła się — taka śliczna przepowiednia...

— Posiadasz jeden niezbędny do tego warunek — mówiła Hania poważnie — może najważniejszy warunek: umiesz z łatwością niesłychaną deptać cudze uczucia.

Małgorzata przestała się śmiać.

— Przepraszam cię — rzekła prosto, ale bez ciepła.

Milczały przez chwilę ciężko i wrogo. Patrzyły obie w tę stronę, gdzie z niewidzialnej, bezdennej przepaści pomiędzy horyzontem i brzegiem nieba wyskakiwały raz po raz małe, ciche błyskawice.

Małgorzata przygięła się — jakby pod ciężarem, głowę nachyliła do ziemi i zamknięte powieki oparła na dłoniach.

— Mam tak pogruchotane siły... — rzekła, wyjaśniając. — Nie potrafię opanowywać teraz mojej nienawiści, nie chcę nawet tego — —

— Nienawiści?... — spytała się Hania.

— A tak. Nienawidzę przecież mnóstwa rzeczy — na przykład fijołków fałszywych na kapeluszu twoim, ga-

zowej kokardy pod brodą. Małgorzata mówiła powoli, jakby rozgryzając w zębach wyraz każdy. — Wydaje mi się, że masz duszę tak samo polakierowaną, jak buty, że na wszystkie swoje marzenia nakładasz białe rękawiczki, że twoje sny o szczęściu zawsze chodzą w gorscie... Słuchaj, Haniu, przecież ty w takim smutku nie zapominasz fryzować sobie loków, ty się w to nieszczęście ubrałaś, jak w nowy kostjum wiosenny... Nieprzystosowanie twoje jest już teraz twoim tylko złudzeniem... Nie-nawistne mi jest w tobie ustosunkowanie rzeczywistości i marzenia — reglamentacja ideałów — — — Ja poprzez zewnętrzność twoją nie mogę już dostrzec ciebie. Zresztą — tłumacz sobie, jak chcesz, to wszystko, Haniu — — Mnie umiera ostatni brat.

Hania słuchała w milczeniu — i nawet niebardzo się dziwiła.

Coś było w tym koniecznego i jakby przewidzianego zdawna. „No, teraz powinnam już iść“ — postanowiła, ale nie mogła się zdobyć na taki akt woli. Siedziała bez ruchu, z głową pochyloną, zupełnie bezradna i bardzo osłabiona. Miała cielesne niemal wrażenie otrzymanywanych uderzeń. „Oto, co znaczy wdawać się z demokracją“ — powiedziała sobie. Ale zdawała sobie zupełnie sprawę, że w tej chwili nie to najbardziej jest prawdą. Prawda była jakaś inna. Ale Hania nie miała na nią siły.

— Ciocia moja woła nas na kawę — rzekła Małgorzata.

Powstały z ziemi. Hania zaczęła się żegnać.



Burza obeszła bokiem i ani jedna kropla deszczu nie upadła na miasto. Z pod granatowych chmur wybuchnął nagle zachód purpurowy.

Hania jechała w stronę śródmieścia. Był zmierzch — Sfinks.

tylko martwe okna niektórych gmachów żarzyły się odbitym pożarem nieba, mieniły się, jakby oblane krwią. Jedne gasły, rozbłyskały nowe i wciąż goniły za Hanią dziwnymi spojrzeniami, niby zakrwawione oczy. A gdy poszarzało niebo, zagasły wszystkie okna — i wyglądały, jakby się pokryły bielmem.

Od cieniów odpadać zaczęły gibkimi rzutami pierwsze latarnie, wytryskały nagle z głębin, jak tajemnicze kwiaty.

Główna arterja bogatej dzielnicy czerniła się zbitą, ruchomą gromadą ludzi. Tłum rozradowany był pogodą, gdyż oczekiwał był już burzy, cieszył się z niewykonania groźby. Nad światem lekko pochyliła się łaska ciepłego majowego wieczoru.

Hania oglądała w przelocie młode liście na drzewach, rosnących wzdłuż ulicy, czepiała się oczami przemijających twarzy... Tłumy, tłumy, tłumy... Dorożkę zatrzymała i wysiadła, wmieszała się pomiędzy ludzi, by poczuć, że jest minimalnym składnikiem tłumu. Zagubić się, zniknąć dla siebie samej zapragnęła.

Dziewczęta — wciąż nowe, młode, urocze, dziewczęta, takie, przed którymi jest jeszcze całe życie nieznajome. Pośród pastwy żerujący mężczyźni. Rodziny solidne. Młodzież spacerująca — wśród rozmów, marzeń, projektów. Obcy ludzie — Czyż naprawdę tak dalecy są od niej?... Czy obcość nie polega czasem na tym, że mówić nie wolno do siebie? Gdyby podeszła do tej jednej młodej dziewczyny — Idzie sama, a uśmiecha się oczami. I powiedziec: „A wie pani, że to nic radosnego — życie... Ci, co je poznali, — tęsknią i czekają na życie zupełnie tak samo jak pani“ —

Hanię opadł smutek, jak dym. Czyż naprawdę jest na tej ulicy tyle wiosen, ilu ludzi?... Ujrzała pod nogami otchłanie, ścielące się ze stron wszystkich... Sam fakt, że ja nie jest ja — owa tajemnica bliska, codzienna — ważniejsza jest od całej tajemnicy bytu. A na samym jej progu siedzi śmierć.

Chwilami sądziła, że nic nie stało się od chwili, gdy po raz pierwszy w życiu ujrzała taką ulicę, jako małą, ciekawą życia Hania. Nie umarł nikt, nie stała się żadna zbrodnia codzienna. Tłum ten sam, niczym nie wstrząśnięty, Hania ta sama, mała, skamieniała wówczas — i teraz nagle wskrzeszona. Jakaż jest właściwie różnica istotna między wspomnieniem i rzeczywistością?... Sama psychologia nie bardzo o tym wie.

Usiłowała terazniejszość niniejszą uczynić wspomnieniem, przeczytać nekrolog chwili przeżywanej — Przypuścić, że już wszystko przeminęło... Że przewioła tędy śmierć — —

A ci wszyscy tutaj tak doskonale udają, że nie wiedzą, że naprawdę zupełnie nie myślą o tamtym. Cie kawe poco. Sami przed sobą przecież. Tak usilnie starają się zapomnieć o tym, co najważniejsze.

Ludzie, idący wokół niej, zachodzili na siebie, płatali się, rozsuwali, pozostawali w tyle.

— Pamiętajcie o śmierci, pamiętajcie o śmierci — cichutko powiedziała do nich wszystkich Hania.

A przecież oni to — zdaje się — mają rację, — dochodziła do wniosku. Ach tak, ach tak. Czyż nie dla tego właśnie pamięta o tym za nich wszystkich, że to ja właśnie ten niesłychany, ten upojony wieczór wiosenny zastał samotną na całym oszalałym świecie.

Uczuła żal do wiosny, że nie jest rzeczywista i ogromna, że jest mała, pojedyncza i przypadkowa, że inną widzą ją każde oczy.

Szła zupełnie sama, zupełnie nieznajoma. Ze skupieniem rozpatrywała pękające kwiaty cienistych kasztanów, tuż obok małe gwiazdy na dalekim, wyjaśnionym, bladobłękitnym niebie, u kresu perspektywy mgła biała wa... Przez lzy badawczo przyglądała się wiośnie.

Wiosno — nie pozwól — —

Zbliżała się do domu. Pustą, szeroką, lśniącą w elektrycznym blasku ulicą doszła do znajomej bramy.

Dzwoniła kilkakrotnie do drzwi. Napróżno. I ode-

szła od drzwi ciemnych — odegnana w ten wieczór, bezdomna. Od drzwi własnego domu, jak od życia.

Nie miała, doprawdy nie miała dokąd iść w ten wieczór miłości i wiosny.

Próbowała ostatniego środka: szła przez podwórze na schody kuchenne, których nie знаła zupełnie. Może tylko dzwonek popsuty i ktoś ze służby jest w domu.

Wstępowała powoli, kołysana płynąciami skądś skoczonymi tonami prymitywnego instrumentu. Echa demokratycznej zabawy... I to jeszcze do tej wiosny...

La la — la la la — —

Jakiż smutek, jakiż smutek beznadziejny... Ta melodia znana, wzmocniona akustyką podwórza, z otwartego gdzieś okna płynąca...

Ujrzała pionową linję światła, jak latarnię w przystani: dostanie się więc do domu. Pchnęła drzwi niezamknięte — i stanęła w progu z cichym okrzykiem.

Rozległa kuchnia pełna była ludzi. Hanię uderzył upał, gwar, muzyka, szalejące pary kawalerów i kolorowych służących. I w mgnieniu jednym wszystko skamieniało, krzyk i muzyka urwały się nagle — na widok niespodzianie wchodzącej, na gorącym uczynku chwytającej „pani“.

Hania zmieszana przeszła szybko przez opustoszały środek kuchni i otworzyła drzwi do ciemnego mieszkania. Ściany jadalnego pokoju wyszczerzyły się na nią okazami starej porcelany, trupio bielejącej w ciemnościach.

Obróciła się jeszcze.

— No grajcie, grajcie sobie — powiedziała im do brotliwie, z wysiłkiem.

Zamknęła drzwi i utonęła w cieniach i pustce. Szła wciąż głębiej i głębiej.

Z kuchni doleciało parę nieśmiałych taktów i zamilkło. Nie tańczyli. Zabawa popsuta była bezpowrotnie.

Hania usiadła w jakimś fotelu i walcząc ze łzami zdejmowała rękawiczki.

— Boże — Boże — — szeptała, jakgdyby się stało coś okropnego.

Służąca weszła nieśmiało, drżącym głosem proponując światło, herbatę.

— Nie, nie trzeba, nie trzeba.

Dziewczyna pocałowała ją w rękę.

— Pani gniewa się na nas. A to brat Weroniki...

— Ale skądże. Nigdy przecież nie gniewam się, jak się kto bawi...

Służąca odchodziła zwolna, targana najoczywściej wyrzutami sumienia. Hania została sama.

Siedziała długą chwilę. Później podeszła do fortepianu, cicho odchyliła wieko (po raz pierwszy) i pianem najsłabszym, szeptem prawie grać zaczęła pierwsze takty *Lunatica*.

Ale zaraz prawie opuściła ręce i głowę położyła na klawiszach. Łzy niepowstrzymane spływały na chłód kości kremowej.

Było cicho zupełnie — tylko jakieś dalekie, dalekie echa szumów, szmery życia...

Wiosna przechodziła gdzieś odległymi drogami, wieczór czarodziejski mijał, okrążając ją zdaleka...

(Ciąg dalszy nastąpi.)





SAVITRI

(Fragment. — Pieśni I — IV.)

Z sanskrytu przełożył A. LANGE.

Słuchaj mię, Yudisztiro¹), cudowne przygody
Opowiem ci królowny szlachetnej i młodej,
Pani, co z wysokiego idzie pokolenia;
Wszystko, co los jej zdarzył; Savitri z imienia.

Był król na Madrach, sługa praw,
Król obowiązku mocy zdan,
Pobożny, prawdomówny, cny,
litosny, zmysłów swoich pan;
Toż sławny, pewny, szczodry pan,
mieszczan i włościan czujny druh,
Imieniem Asvapati — król;
błogosławiony, szczęsny duch.
Jeno bezdzietny radża był,
on, zmysłów pan, służebnik prawa:
W podeszłych leciech surowy król
do najsurowszych ćwiczeń stawa.
By dzieci posiąć — wielki post,
prawidła straszne wybrał sam.

Asceta — nie jadł prawie nic,
Potężny zmysłów swoich pan.
Dziesięć tysięcy zatem król
coraz Savitrze ofiar kładł —
Przyczym co szósty jadła czas
ów nieugięty — miernie jadł. *)
I wedle srogich onych praw
ośmnaście radża przeżył lat,
A gdy ośmnaście przeszło lat —
wówczas Savitri²) duch był rad.
Cieleśnie tedy, panie mój,
królowi nagle się objawi;
Jako radosny, cudny wid
w ogniu się żywo rozemgławi;
Spełniając modłów króla treść,
do Asvapati tak-ci prawi:

SAVITRI. Rozgłośny twój ascezy trud,
spętane zasad grozą grzechy:
Pobożność twa, surowość twa —
to dla mnie żywy źródło uciechy,
Łaskę wybieraj, królu mój,
Madrasów królu, jako chcesz:
Krom, aby nie był owy dar
wbrew pobożności — wszystko bierz!

ASVAPATI. Wszystkich umartwień moich cel
był ten, ażeby posiąć dzieci.
Syny mieć liczne chcę: mój ród
niechaj uwiecznią skroś stuleci.
Jeśliś mi rada — ten ja dar
wybieram, o przeczysta pani.
Najwyższym obowiązkiem ród
utrwalić — uczą nas bramani.

SAVITRI. Oddawna, królu, znałam już,
o czym twe serce wciąż wspomina;

*) Hindowie jadaliby 5 — 6 razy dziennie; Asvapati na każde sześć razy — jadał tylko raz.

Znając, z Pradziadem³⁾ dawno już
mówiłam, aby dał ci syna —
Za twą pokutę. Zasię ów
Pan-Bytujący-Sam-Przez-Siebie⁴⁾
Córę przepiękną, niby kwiat
ambrozji—zesłać ma dla ciebie.
A teraz przeciw woli nieb
już nie głos żadnej przeciwmowy.
Radosna, Brahmy⁵⁾ wyrok ten
głoszą—oddawna już gotowy!

Gdy wyrozumiał święty głos
król, bożej łaski pożądanie
Czuając, zawoła: „Pani, mów!
mów, żali rychło to nastanie?“
A gdy Savitri zniknął wid,
powrócił król na swe pielesze:
Bohater wielki, sługa praw
ku swego ludu żył uciesze.
Gdy zaś niektórzy minął czas,
przejęty ślubów upragnieniem,
Żywot najpierwszej ze swych żon
zapłodnił radzą swym nasieniem.
Królewskiej córce owoc ten
Malavji—z modłów cnych brzemiennej—
W wybranym łonie zwolna rósł,
jako miesiąca łuk promienny.
A gdy właściwy nadszedł czas,
dzieweczkę zrodzi mu Malavja.
Szczęsny z narodzin owych król,
ofiary wielkie bogom sprawia.
Że daną jest z Savitri łask,
z ofiar Savitri, cnej bogini:
Savitri imię dali jej
czcigodny rodzic i bramini.
Ta żywocudna, jako Śri⁶⁾,
królewna rosła niby kwiat:

I gdy za dniami tak szły dni
dziewica ślubnych doszła lat.
— Szerokobiodra panna ta
jest jako złoty obraz bóstwa!
Kiedy dziewicę ujrzy gmin,
taki był głos wśród ludu mnóstwa.
Lotosookiej panny tej,
co blask szerzyła na wsze strony—
Jednakże nie śmiał wybrać nikt,
jej promiennością urzeczony.
Ta, myjąc głowę, czyniąc post,
w Agnisa zbliży się okręgi —
Ofiary składa wedle praw
i z braminami czyta księgi.
Poczym ofiarne kwiaty w dłoń
weźmie—i godny pokłon czyni —
I tak ku ojcu swemu szła,
piękna — jak złota Śri-bogini.
I oto klęknie mu u nóg
i naprzód ofiaruje kwiecie —
Pobożnie ręce składa w krzyż
i z boku stanie piękne dziecię.
Że taką młodą widział ją
tę córę swą bogopodobną,
A po jej wiano nie szedł nikt —
była królewska myśl żałobną.
— Córko, twych godów nadszedł czas,
a nikt cię dotąd nie wybiera:
Więc męża szukać sama jedź —
równego—cnotą bohatera.
A który ci pożądał mąż —
niech naprzód poznam, kto ci luby:
Poczym, zważywszy całą rzecz,
z wybranym twym ci sprawię śluby.—
Czytałem zasię w księgach praw
braminów mądre argumenty:

Więc i ty słuchaj moich słów,
 Kto jest potępion i przeklęty.
 „Ojciec, co za mąż nie da cór;
 mąż, co nie zbliży się do żony;
 Po śmierci męża zasię syn,
 leniwy matce do obrony.“
 Wyrozumiawszy słów mych treść,
 pospiesznie męża szukaj w świecie,—
 Od klątwy ojca swego chroń —
 więc—jako mówię, czyń me dziecię!“

To rzekszy, córce swojej król
 braminów—starców myśli prawej—
 Za towarzyszków drogi dał
 i tak ją nagli do wyprawy.
 Ona do ojca padnie nóg,
 zarumieniona, zbożna dusza:
 Pokorna treści jego słów
 w daleką drogę wnet wyrusza.
 Na złotokowny siada wóz —
 w czcigodnym księży swoich kole.
 I objeżdżała lasów głąb
 i świętym mówi swoją wolę.
 Gdzie bądź asceta jaki był —
 toż jedzie wnet do jego chaty:
 Do nóg mu pada — prawi rzecz —
 i dalej jedzie w bór—we światy.
 Wszędzie—w pustelniach—w głębi puszczy
 składa królewna dary liczne —
 I tak objeżdża wszecz i wzdłuż
 głębokie lasy okoliczne.

II.

Tymczasem radża, Madrów pan,
 z posłańcem bogów, cnym Naradą⁶⁾—
 Siedząc śród zamku swego izb,
 pobożną bawił się biesiadą.

Obszedszy w koło obwód puszczy —
 i świętych sadyb wszystkich ciszę —
 Savitri do dom wróci znów
 a wraz z nią mędrej towarzysze.
 Toż gdy z Naradą ojca wraz
 obaczy dziewa ta świetlana —
 Pochyli się — i obu wraz
 ukłon oddaje po kolana.

NARADA. Dokąd chodziła córka twa?
 o królu, skąd powraca do cię?
 W latach jest ślubnych! Czemu zaś
 jeszcześ jej za mąż nie dał w cnocie?

ASVAPATI. W tym celu właśnie, mistrzu mój,
 wysłana wraca dzisiaj z boru.
 Posłuchaj, święty... Powie nam,
 jak dokonała rzecz z wyboru.
 Jak było wszystko — ściśle mów —
 tak radża dziewie zapowiada.
 Ta zaś, ujawszy ojca dłoń —
 spokojna rzecze mu a blada.

SAVITRI. Na Salwach władał zacny król,
 który po ścieżkach prawdy kroczy,
 Król Dynmatsena — tak się zwie:
 lecz pociemniały jego oczy.
 A gdy mu zagaś oczu blask,
 zaś syn był jeszcze w leciech mdły —
 Zabrał mu ziemię, zabrał tron
 wróg jego dawny, sąsiad zły.
 Ów ze swym młodym chłopcem wraz
 oraz z małżonką pełną cnót —
 Wyruszył w ciemne głębie puszczy
 i pokutnicze życie wiódł.
 Zrodzony w mieście jego syn
 wyrastał w czarnym owym lesie:
 Na męża wybrał go mój duch —
 Narzeczon mi — Satyavan zwie się.

NARADA. O biada — biada! Wielki błąd
 Savitri czyni tu świetlana — —
 Ach, nieświadoma! że więc tak
 wybrała cnego Satyavana.
 (Że prawdę mówił ojciec król,
 że matka jego z prawdy znana —
 Przetoż braminów był to sąd,
 iż nosi imię Satyavana ⁹⁾.
 Przytym, że konie lubił on —
 i sztuczne stada lepił z gliny —
 Cudnie je maszcząc w barwy pstre —
 Czitrasva ¹⁰⁾ nazwan z tej przyczyny.)

ASVAPATI. A zatym czy szlachetny ów —
 czy panny godzien jest młodzieniec,
 Czy jest cierpliwy, chrobry, cny —
 Satyavan — ojca ulubieniec.

NARADA. Promienny, jako Vivas-vat ¹¹⁾,
 jak Brihaspati ¹²⁾ — pełny chwały,
 Jak Mahendra ¹³⁾ mężny jest,
 jak sama Ziemia wytrzymały.

ASVAPATI. Czy szczodry jest królewicz ten?
 czy prawdomówny, czysty, zbożny?
 Czy jest foremny, zręczny — mów —
 a na wejrzenie ochędożny?

NARADA. Jak Rantideva ¹⁴⁾ Sankrty syn —
 tak wobec mienia swego miary
 Szczodry, a prawdzie służy tak,
 jak Śibi ¹⁵⁾ zrodzon z Usinary.
 Jak Yayati ¹⁶⁾ — szlachetny jest,
 zaś oczom miły, by kwiat somy;
 Asvinom ¹⁷⁾ równy jego kształt,
 tak mi Satyawan jest wiadomy.
 Pan sam nad sobą, witeż ów,
 ów prawdomówny, zmysłów pan,
 Przyjazny, nieposępny, cny,
 skromny, a świetnej chwale zdan.

A zawsze jasny jego duch,
 toż wierny słowu a wytrwały:
 I pustelników cały gmin
 żarliwie głosi mu pochwały.

ASVAPATI. Więc młodzian pełny wszelkich cnót,
 tak mi twój święty głos powiada.
 Lecz teraz, jeśli znasz, to mów,
 jaka rycerza tego wada?

NARADA. Jedna jest wielka wada w nim,
 co się z cnotami jego wiąże...
 Lecz jej nie złamie żadna moc!
 Taką zaś wadę ma ów książe.
 Taką ma wadę książe ów,
 że leży w losach Satyavana —
 Iż, gdy od ślubu minie rok —
 nie jego dni będzie przerwana.

ASVAPATI. Savitri luba — idź że, idź —
 innego bierz — nie Satyavana!
 Jedna — lecz straszna wada w nim —
 z cnotami jego powiązana.
 Jak mi to Narad święty rzekł —
 Surowe boże są wyroki,
 Że jego duch w fatalny dzień
 z cielesnej wyjdzie precz powłoki.

SAVITRI. Dziedzicznym w życiu jeden raz,
 za mąż się idzie jeden raz,
 Dam ją, powiada ojciec raz:
 a te trzy *raz* — to wiąże nas.
 Długi czy krótki żywot ma,
 duszę cnotliwą czy swawolną:
 Wybrałam męża jeden raz,
 drugiego wybrać mi nie wolno.
 Kiedy wyteża się nasz duch —
 więc naprzód słowem się objawi,
 Potem wynika jako czyn:
 taką zasadę cnota stawia.

NARADA. Najlepszy z ludzi! mocny duch,—

w Savitrze, córce twej, się żarzy —
 Od obowiązku tego nikt
 oderwać jej się nie odważy.
 I żaden człowiek nie ma — wierz,
 cnót, jakie żyją w Satyavanie —
 Przeto mnie cieszy ten tu ślub
 i to dziewicy tej wytrwanie.
 ASVAPATI. Więc niewzruszona treść jej słów,
 czyn niechaj idzie za jej słowy;
 Postąpi tedy — jakoś rzekł,
 boś ty przewodnik mój duchowy.
 NARADA. Nie odmieniony niechaj ślub
 Savitri twej się w życie wcieli:
 Teraz cię żegnam: idę w świat —
 Bóg niechaj szczęściem was obdzielił
 To rzekszy, powstał Narad ów —
 i w trzecich niebios leci progi:
 Król zaś weselny złoty wóz
 gotował córce swej do drogi.

III.

Tedy, co jeno trzeba, król,
 na zaślubiny córki młodej —
 Przygotowuje — wedle praw
 i w bór udaje się na gody.
 Braminów zatym liczny tłum,
 kapłanów oraz ofiarników
 Zawoła radża w czysty dzień
 i rusza w las do pustelników.
 W pośrodek wreszcie płyną puszczy,
 gdzie Dyumatseny jest siedlisko:
 Do króla mędrca ruszą wraz,
 aby pokłonić mu się nisko.
 Pod *szalą*¹⁸⁾ siedział święty król —
 w zadumie czystej i głębokiej;
 Na macie z *kuszy*¹⁹⁾ siedział on
 najczcigodniejszy król bezoki.

Radżariszemu²⁰⁾ radża ów,
 jako przystoi — złoży cześć, —
 Poczym z pokorą mówi doń,
 O swej osobie daje wieść.
 Pustelnik wzajem odda cześć
 i, praw świadomy, gościa wita:
 — Cóż twe przybycie znaczy, mów —
 tak radżariszi radży pyta.
 Wówczas zamiarów swoich treść
 i córy swej postanowienie —
 O Satyavanie stałą myśl
 ów opowiada Dyumatsenie.
 ASVAPATI. Savitri, o radżarszi mój,
 to dziecię moje wymodłone,
 Pobożny — za pobożność jej —
 dla syna twego weź za żonę.
 DYUMATSENA. Pozbawieni królestwa, zamieszkali w lesie²¹⁾
 uprawiamy tu cnotę, w pokucie wytrwali —
 Ona zaś nienawykła, jakże trudy zniesie,
 jak będzie żyć, wyrosła w złotej zamków halli?
 ASVAPATI. Zło i dobro, co w bycie tkwi oraz niebycie —
 Ona zna równo ze mną owe tajemnice:
 Nie do mnie więc, o radžo, słowa te mówicie —
 z niezłomną wolą-m przyszedł tu — przed twoje lice
 Nadziei nie zabijaj mej,
 żem tu przyjaźnią stanął zgięty —
 Proszę, wysłuchać błagań racz
 i nie odpychaj mię, o święty!
 Gdy równy mi twój ród i stan,
 gdy odpowiednie nasze wiana:
 Mą córę za synowę bierz,
 za żonę twego Satyavana.
 DYUMATSENA. Dawno mi pożądaną ten,
 radžo, zaszczytny związek z tobą,
 Lecz, żem utracił ziemię, tron —
 tu oto błędę z swą żalobą.

Więc, mówię, dawno mi ta myśl
 już była, radź, upragniona:
 Niech dziś odbędzie się ten ślub,
 niech dziś zostanie jego żoną.

Zwoławszy tedy cały tłum
 braminów leśnych, księży wiele:
 Jako przystoi — króle dwa
 wyprawia dzieciom swym wesele.
 Król Madrów wonezas córkę zdał,
 posag wypłacił jej bogaty:
 Poczym radości pełny znów
 w królewskie wraca swe komnaty.
 Satyavan zasię pełną cnót
 małżonkę piękną gdy posiędzie,
 Uszczęśliwiony był. Niemniej
 ona, że mężem jej on będzie.
 A gdy rodzice pójda w świat
 ona — porzuci zdobne szaty —
 I włoży na się — twardy pas
 i bury walka²²⁾ owłochaty.
 Raduje świekrę szyciem szat
 i usłużnością wciąż gotową;
 Świekra — napięciem modłów swych
 i zawsze mądrą swoją mową.
 Wreszcie słodyczą duszy swej —
 Niezachmurzonym jej spokojem —
 Oraz uprzejmą cichą czcią —
 budziła radość w mężu swoim.
 Tak żyła ona w puszczy tam,
 w pośrodku dobrych ludzi tych —
 I przepędzała cały czas
 na zbożnych trudach, modłach cnych.
 W jej duszy jednak, chociaż mdła,
 ale trwająca w dzień i w nocy —
 Wciąż tkwiła pamięć owych słów,
 co rzekł jej prorok wielkiej mocy.

IV.

Toż, gdy mijała bądź, jak bądź,
 wyroczna czasu fala chyża —
 Nadchodził w końcu owy dzień,
 co Satyavana śmierć przybliża.
 Savitri liczy dzień za dniem,
 jak się jej męża los przeważa:
 Pamięć Narada groźnych słów —
 jej serce dręczy i przeraża.
 „Za trzy dni umrze — za trzy dni!“
 tak myśli trwożna w swoim duchu —
 Więc postanowi święty czyn —
 trzy doby twardo stać, bez ruchu. —
 Gdy zaś usłyszy zamysł ów
 asceta święty, król wygnany,
 Wnet do Savitri słowa te
 rzecze, ogromnie zatroskany.
 — Zbyt trudny istic zamysł ten,
 któryś powzięła, córko droga —
 Trzy dni bez ruchu twardo stać —
 próba to — mówię — nazbyt sroga.

SAVITRI. Nie trwóż się, tato, w duchu swym,
 wypełnię śluby swe bez złud —
 Postanowiłam sama trud,
 sama wykonam owy trud.

DYNMATSENA. By łamać śluby — tego rzec
 nikt ci nie mocen, o królewno,
 Wykonaj klątwę swoich słów,
 takby ci każdy rzekł na pewno.
 Wyrzekszy za się słowa te —
 milczał pobożnie król bezoki;
 Savitri stała wciąż a wciąż,
 jak nieruchomy pień wysoki.
 Gdy zaś wigilja przysła dnia,
 w którym nadpełza już Marzana:²³⁾

Savitri stała całą noc
 w bezruchu—wciąż—dla Satyavana.
 Dziś wschodzi ten wyroczny dzień —
 ona ofiarny znicz zastawia;
 A gdy na *yuge*²⁴⁾ słońce łni —
 obrzędy ranne wraz odprawia.
 Wówczas braminów siwych tłum —
 świekra i świekrę kołem wita:
 W pokłonie — ręce złoży w krzyż —
 wciąż—jakby w ziemi łono wryta.
 Najpotężniejszych zaklęć pieśń
 wygłasza tedy święty chór —
 Na niewdowieństwo jej!—ten chór,
 co zamieszkuje ciemny bór.
 „Niechaj się stanie!”—rzecze tak
 w pokucie wielkiej pogrążona —
 Świętego chóru żywą treść
 przejmuje w treści swego łona.
 I na tę chwilę, mgnienie to,
 o którym mówił jej Narada,
 Królowna czeka — czeka drżąc —
 i wciąż rozmyśla o tym błada.
 Naówczas świekra oraz teść
 do tej królowny, co bez ruchu
 Trzy doby stała, jako pień,
 mówią radośni w swoim duchu.
 — To umartwienie zyszcze dank,
 boś wykonała je serdecznie.
 Posłuchaj — nadszedł jadła czas.
 Stanie się, co ma być koniecznie.

SAVITRI. Gdy się przybliży słońca skon,
 wtedy się jeno jadło bierze.
 Taki jest serca mego głos,
 tak się nakazów prawa strzeże.
 Gdy przemawiała w sposób ten
 Savitri — w sprawie jadła czasu —

Na ramię topór wówczas wziął
 Satyavan, aby iść do lasu.
 Savitri zasię rzecze doń:
 — O Satyavanie, nie chodź sam!
 Ja pójdę razem z tobą w bór —
 tak cię nie mogę puścić tam.

SATYAVAN. Toż nigdyś nie chodziła w bór —
 tam bardzo ciężkie wiodą drogi:
 Wycieńczył ciębie długi post —
 omdleją rychło twoje nogi.

SAVITRI. Nie, nie wycieńczył mnie ten post —
 ani zmęczonam jest od stania —
 Kłębam się iść za tobą w bór:
 małżonek tego nie zabrania.

SATYAVAN. Jeżeliś kłęba się iść w bór —
 uczynię podług twojej chęci,
 Lecz pokłon starym o to zrób,
 by nie karcili mię ci święci.
 Więc ta pokłonem bijąc w krąg
 do świętych starców mowę ma:
 — Oto małżonek idzie mój
 w bór po owoce i po drwa.
 Więc przyzwolenie — błagam was,
 dajcie, rodzice moje drogie —
 Abym z nim razem poszła w bór:
 dziś się rozłączyć z nim nie mogę.
 Iść musi! Zebrać trzeba drwa,
 bo *guru*²⁵⁾ jego znicz by zgasł —
 Nie zatrzymujcie go! Toż on
 bądź jak bądź poszedłby dziś w las.
 Dziś mi tu śród was mija rok,
 a nie chodziłam nigdy tam,
 By ten kwiecisty widzieć bór,
 lecz dziś ochotę wielką mam.

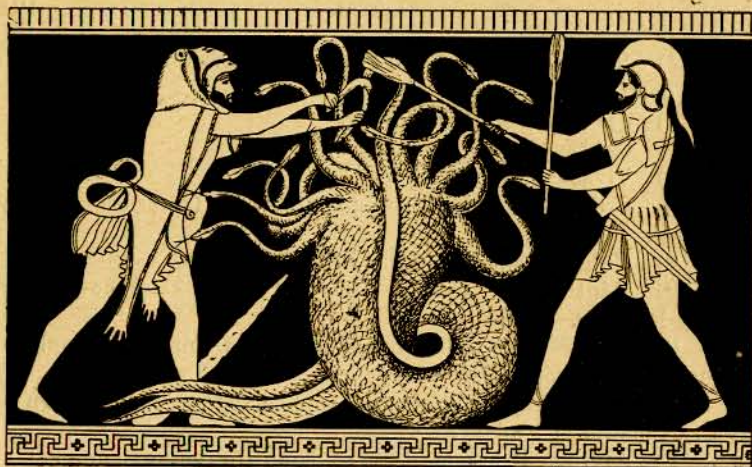
DYNAMTSENA. Odkąd Savitri—z ojca rąk—
 została drogą mą synową:

Niepomnę! iście pierwszy raz
 z proszącą zwraca się przemową.
 Tedy, gdy taka jest twa chęć —
 idź—za swym mężem, w bór—świetlana!
 Uwagę jednak córko miej
 po drodze wciąż na Satyavana.
 Tak zgodę starych mając, szła —
 szła uśmiechnięta wciąż na oko —
 Z małżonkiem swoim w głuchy las,
 lecz w sercu troskę ma głęboką.
 Tak w różnobarwną lasów gąszcz
 szli—śród czarownej wkrąg zieleni—
 Po której błdzi pawi tłum —
 wszystko to widzi cudna ksieni.
 Potoki srebrnych widzi fal,
 drzewa — owocem kryte bujnie —
 Satyavan do niej rzecze: Spójrz!
 ona zaś w niego patrzy czujnie.
 Niby to wkoło toczy wzrok,
 ale wciąż męża swego śledzi —
 Bo już umarłym-ci go ma,
 Narady pomna zapowiedzi.
 I tak z małżonkiem swoim szła,
 powolnym krokiem stąpająca:
 I rozdwojona w sercu swym —
 i chwili tej wyczekująca.

Objaśnienia:

- 1) Yudisztira — król z rodu Pandava, któremu wieszczek Markandeya opowiada historję Savitri.
- 2) Savitrî — córka boga słońca (Savitâ) — zapładniające ciepło — rodzicielka — rzymska Juno Lucina; małżonka Brahmy.
- 3) Pradziad (bogów) — Pitâmahâ — Brahma.
- 4) Svâbhutâ — przezwisko Brahmy.
- 5) Brahma — bóg najwyższy.
- 6) Śri — bogini piękności.
- 7) Agnis — bóg ognia.

- 8) Narada, Narad — pół-bożek, syn Brahmy, święty mędrzec, posłaniec bogów.
- 9) Satyavan=Prawdomówny.
- 10) Czitraswa znaczy Pstry koń.
- 11) Vivasvat — pan słońca.
- 12) Brihaspati — bóg-kapłan niebieski (zarządca planety Jowisza).
- 13) Mahendra=Maha Indra — wielki Indra.
- 14) Rantideva — jeden z królów dynastji księżycowej, potomek Bharaty.
- 15) Sibi — syn Usinary i król ziemi Usinary, — ideał pobożności i szczerości.
- 16) Yayati—syn Nahusza—praojciec rodów Yadu i Puru — typ szlachetności i ofiary.
- 17) Asviny — bracia dwaj — bogowie zorzy porannej — Kastor i Polluks.
- 18) Szala (śala) — *vatica robusta*.
- 19) Kusza (kuśa) — trawa, z której pleciono maty — *poa cynusuroides*.
- 20) Radżariszi (radżarszi) — radża (król), który zarazem jest świętym ascetą (riszim).
- 21) Tu zmienia się na dwie sloki miara wiersza; zjawia się metr zw. *Vamsastha*, składający się z 48 sylab, czyli z dwóch wierszy po 24 sylab — co da się po polsku przełożyć na cztery aleksandryny.
- 22) Valkal (valkala) — okrycie ze skóry antylopy lub kozy.
- 23) Marzana — w oryginale *marana* — t. j. poprostu śmierć.
- 24) *yuga* — miara rolnicza — 18 cali. — Również (w stosunku do słońca) miara czasu.
- 25) gurû — nauczyciel duchowny.



JAN KŁECZYŃSKI.

Rzeźba współczesna.

IV.

Zatrzymałem się dłużej nad Rodinem dlatego, że w nim streściły się wszystkie, dręczące rzeźbę współczesną, zagadnienia. Wszystko, co mówiłem z jego powodu, o odstępstwach od fotograficznego wizerunku natury, o trudności uchwycenia ruchu, charakteru, życia—powtarzać by teraz trzeba przy krytyce innych twórców nowej rzeźby w Europie. Stąd też te strony przy omawianiu ich pominę, jako dowiedzione. Nie twierdzę przez to bynajmniej, by Meunier, Vigeland, Dunikowski byli naśladowcami Rodina. Ani trochę. Co do pierwszego, to on rozwijał się zupełnie niezależnie od Rodina i inaczej zupełnie, na innych tłach. Vigeland zaś i Dunikowski być może, iż zaledwie *ośmieleni* zostali przez Rodina do swobodnego, szerokiego traktowania kształtów w naturze widzianych, lecz nawet w nieczym go nie przypominają.

* * *

Co to jest styl?

Zdanie „le style c'est l'homme“ oznacza mniej więcej to, co jest indywidualnością, nie stylem. „L'homme“—może się wyrazić też w cudzym stylu—weźmy choćby tylu japońskich artystów, tak odrębnych, a wyrażających się przecież w jednym stylu.

Péladan, ten dziwny umysł o przebogatej, subtelnej kulturze, który potrafi jednak czasem powiedzieć efektywny, pusty paradoks, twierdzi, iż „zawsze się ma styl swojego przedmiotu“ i „jeżeli przedmiot nie ma żadnego stylu, w rezultacie otrzymujemy zero“. To jest nonsens, gdyż tym samym „przedmiotem“ są drzewa na japońskich i holenderskich obrazach lub kobiety w rzeźbach greckich i rodinowskich. Wiemy już zresztą, że w artyście, a nie w naturze jest „życie“, „charakter“, przejawiający się w dziele sztuki, a więc — i styl.

Brzozowski znów mówi tak: „styl—to akcent własny rzeczy, które przez nas mówią, lub też panowanie bezwzględne, drapieżna, królewska swoboda we władaniu temi rzeczami“.

Pierwsza część tego zdania dałaby się zredukować do poglądu Péladana, gdyby nie dodatek „*które przez nas mówią*“—co już oznacza jakieś wcielenie w dany „przedmiot“, utożsamianie się z nim wyobraźnią, intuicją czyli przeżywanie wrażenia od natury odebranego, tworzenie podobne do tego, jakie kieruje naukowymi odkryciami—tworzenie właściwie więc nowej rzeczywistości, której stosunek do „rzeczy w samej sobie“ jest nam nieznany.

Ale to jeszcze nie tłumaczy istoty stylu, tłumaczyć może zaledwie istotę pewnego rodzaju przejawów sztuki (np. pełne charakteru, choć nie stylowe, portrety).

Wiecej znacznie objaśnia druga część tego określenia. „Drapieżna, królewska swoboda we władaniu“ to jest istotnie jednym z kardynalnych warunków *każdego* stylu—i odnosi się nie tylko do „panowania“ nad wrażeniami, lecz także do władania nad całą duchową treścią swej duszy, nad jej syntezą.

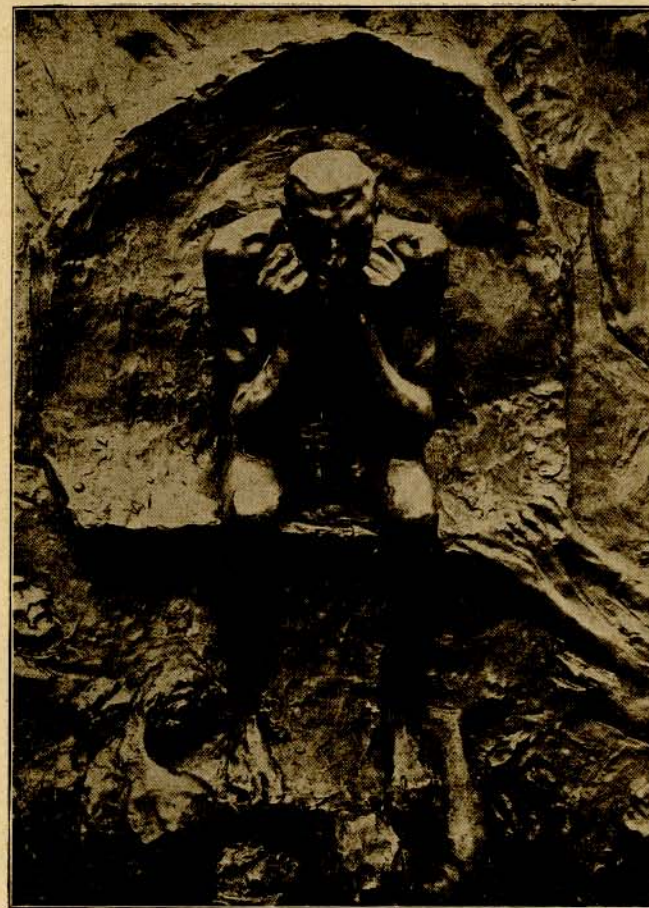
Sztuka jest mową duszy—mową uczucia. Każda ze sztuk ma swoją mowę: muzyka — rytmikę i dźwięczność, poezja też same właściwie pierwiastki, malarstwo — linję i barwę, architektura i rzeźba—mowę proporcji, kształtów, ich ciężaru i wymiarów. Proporcja — miara — stosunek użytych części składowych mowy danej sztuki — to właściwie pierwiastek *każdej* sztuki. Ale w architekturze i rzeźbie proporcja występuje jako czynnik w stopniu, że tak powiem, najczystszy, najkonieczniejszy. To podstawa tych dwóch sztuk. Bez niej nie istniałyby, z nich się narodziły. Można jeszcze sobie wyobrazić wartościowy utwór poetycki, malarski, nawet muzyczny, w którymby braki w proporcjonalności, równowadze pewnych czynników, składających się na dane dzieło, nie odbierały mu cech Piękną. Ale rzeźby, architektury bez proporcji pomyśleć nie można. To tak, jakby pomyśleć muzykę bezdźwięczną i nierytmiczną. Taki gmach, czy figura, która by nie mówiła proporcjami, byłaby jakąś bezmyślną kupą gruzów, czy gliny (np. domy warszawskie). Rzeźba zaczyna się dopiero tam, gdzie występuje mowa proporcji.

Mowę każdej ze sztuk stworzyły i kształtowały wieki. Szło to taką samą drogą, jak wytwarzanie się mowy zwykłej. Nowe sposoby danej już, wynalezionej już mowy wytworzone zostały przez nowe warunki życia, które szukało swojego własnego wyrazu. Jeżeli wyraz ten doszedł do pełni doskonałości, pojawiał się styl.

Styl więc jest to pełna synteza wyrazu w danym dziele sztuki. Synteza logiczna, jasna i żywa, która zapewne że powstała przez „królewską, drapieżną swobodę” we władaniu tym, co chciała wyrazić.

Dlatego tak wielkie znaczenie przypisałem powyżej „usiłowaniom realizmu”, że jest to droga do odnalezienia owej skończonej syntezy wyrazu współczesnego życia zewnętrznego, co łatwo może doprowadzić do syntezy wyrazu własnej duszy — do własnego stylu.

Oczywista więc, że nowym stylem w danej sztuce będzie wynalezienie nowego rodzaju jej mowy. Nowy



„SZATAN”, RZEŻBA VIGELANDA.

ten rodzaj opierać się musi na *zasadniczych* pierwiastkach, ją specjalnie charakteryzujących. A więc w muzyce będzie to nowa rytmika, nowa dźwięczność — i logiczne tej rytmiki i dźwięczności przeprowadzanie (np. Chopin). W poezji — oprócz powyższych pierwiastków jeszcze nowe konstrukcje obrazów, zdań etc. — wszystko to jest zresztą ściśle związanym z pojawieniem się nowego stylu (np. nowy styl Przybyszewskiego polega na nowej rytmice prozy, uwarunkowanej jego specjalnym rytmem uczuciowym, jego rodzajem wyobraźni, kojarzeniem się pojęć, różnymi właściwościami umysłu). W malarstwie — nową wymową linii i barw (np. Wyspiański).

W rzeźbie i architekturze nowym stylem będzie stworzenie *nowej mowy proporcji*.

* * *

Przewycięzenie wszechwładnej hypnozy mowy proporcji greckich przyjąć mogło tylko stamtąd, gdzie kultura największa, z krajów, które przez dwadzieścia wieków żyły kulturą grecką i jej logicznym rozwojem: z Włoch i Francji.

Tam też pojawili się: Donatello, Michał Anioł i Rodin.

Ale zarazem — dlatego właśnie, że ta grecka kultura wżarła im się w każdy nerw, w każdą kroplę krwi, trudno im — jak pokazałem na Rodinie — stworzyć coś bezwzględnie nowego w rzeźbie, coś, coby zapomniało zupełnie o „klasycznych“ wzorach.

Stąd też całkowite odrodzenie rzeźby ma szanse powstać raczej tam, gdzie *obca przeszłość* nie wycisnęła tak dobitnych śladów na duszach, tam, dokąd jednak potężnie przeniknęło współczesne życie i gdzie mogły się wyrazić bezwzględnie szczere i bezpośrednie wrażenia z tego życia, ośmielone obaleniem przesądu greckiego przez Rodina.

Tak by można było wnioskować „a priori“. Samo życie jednak sprawdza te wnioski — w nowych rzeźbach Północy: Norwegji i Polski — w rzeźbach Vigelanda i Dunikowskiego.

Zastrzegam się: nie mówię *w tej chwili* o jakiejś absolutnej *wartości* tych twórców, ale jedynie o ich *zupełnej odrębności*.

* * *

A Meunier?

Jest to wielki, pierwszorzędnny rzeźbiarz — nie wnosi jednak do sztuki pierwiastków zupełnie nowych. Na nim właśnie przedewszystkiem sprawdza się wpływ klasycznego świata — i to chociaż Meunier czerpał bezpośrednio z rzeczywistości — i to z rzeczywistości prawie zupełnie w rzeźbie przed nim nie spotykanej (oprócz Rodina) — ze świata robotniczego.

Ach, prawda! Zapominam, że piszę to w Warszawie! Już słyszę drwiące zapytania: Jakto? Więc pan uważa Vigelanda za większego artystę od Meuniera?

A więc jeszcze raz powtarzam: nie za większego, lecz za oryginalniejszego. Vigeland kilka tylko rzeczy stworzył, które godne są stać obok Meunierowskich górników — może nawet jedna z nich tylko godną jest tego zaszczytu: „Szatan“, zbudowany, jak ze stalowych mięśni, żywy, przerażający, o sępiim wyrazie całej postaci i smutku bezdennym, co wyziera z pod jego straszliwie ponurego czoła, szatan zbudowany w bajecznych skrótach rzeźbiarskich, nie mających jednak nic wspólnego z grecką stylizacją kształtu człowieka. Ale ten Szatan przewyższa nawet potęgą Meuniera...

Vigeland*) jest jedynym w Europie szczerym, bezpośrednim impresjonistą. Dunikowski jest nim także, ale Dunikowski jednocześnie wybitnie dąży do własnego stylu, chwilami nawet zupełnie już te dążenia opanowuje — podczas gdy Vigeland wciąż walczy intuicją, przeczuciami, nieświadomym talentem, chwytającym

*) O Vigelandzie istnieje wspaniałe studjum Przybyszewskiego w „Na drogach duszy“. To mnie uwalnia od głębszej charakterystyki tego rzeźbiarza, którego tam określono z gienjalnym wnikiem w istotę rzeczy. Poprzestaję więc na kilku czysto formalnych uwagach.

w sposób dla niego samego tajemniczy szaleństwo, piękno i brzydotę współczesnego życia. Stąd potrafi on stworzyć pięknego, ale słodkawego Anioła, a jednocześnie potworne postaci Adama i Ewy, w których szpetota zatracza wszelką poezję, a zamienia się w jakąś zimną, choć bolesną notatę o upadku współczesnych ludzi. Ta para istot wychudłych, o brzuchach napęczniałych, o wyschniętych powykręcanych gnatach, odtworzona jest bez wszelkiego współczucia, lecz z jakąś tępą rozpaczą.

Ach, tu nasuwa się mimowoli wspomnienie krytyk warszawskich o Dunikowskim. Tak, zarzucano mu szpetotę — nie dostrzeżono tylko, że jego najostrzej sądzona naga kobieta o członkach prawie że równie rozpaczliwych, jak Ewa Vigelanda, ma jednak coś w całej postawie, co chwyta za gardło. W jej nieznacznym pochyleniu głowy, w bezradnym ruchu ręki, w cudownych poproście ustach na twarzy, przypominającej Madonny Lippiego, przemawia to „coś“, jako konsekwentnie przeprowadzone uczucie, wyraz wyczuły w całej tej kompozycji i narzucający się widzowi z siłą niepokonaną — widzowi, co mowę rzeźby rozumie.

Otóż tego właśnie czegoś, tej mocy współczucia brakuje bezpośrednim impresjom Vigelanda wtedy, kiedy wskazuje na nędzę współczesnego życia.

Lecz jeśli weźmiemy jego „Taniec“, znajdujący się teraz w Krak. Akademii Sztuk Pięknych, to ujrzymy, co ten szczery rzeźbiarz umie powiedzieć — nawet w tak drobnej kompozycji. Cóż tam za poezję stworzono z kształtów współczesnych — z naszych szat tak zdawałoby się nie mówiących! W jakim szalonym, a pięknym ruchu splecione te dwie figury, ledwie że naznaczone. Ten „Taniec“ — to szczyt bezpośredniości w rzeźbie. Tam „natury“ niema — istnieje tylko jej wrażenie, potężnie odczute przez artystę — istnieje raczej zanotowana przeczuwana synteza tego wrażenia.

Tej bezpośredniości niema u Meuniera. Jest on — a raczej był — umarł kilka lat temu — zbyt wielkim

artystą, aby choć przez chwilę był nieszczerym. Ale to człowiek zachodu, człowiek z kulturą grecką, narzuconą mu od szeregu pokoleń. Jego szczerość od początku musiała tchnąć duchem klasycyzmu. Jego bezpośredniość musiała załamywać się, przeszedłszy przez pryzmat hellemńskich wyobrażeń i form.

Dążył on do stylu bohaterskiego. Starał się wżyć w życie proletariatu, zrozumieć heroizm robotnika, co własnymi rękami buduje przyszłość ludzkości. Ale było to odczucie i zrozumienie raczej intelektualne. Jego górnicy to rzeźby wcale nie realistyczne, to nie postacie z dramatów Heijermansa, ani też figury, któreby przypominały dawne malarstwo holenderskie, — lecz robotnicy wprowadzeni w zwyczajnym, codziennym ubraniu, ale występujący w dramacie, pisanym najdoskonalszym wierszem klasycznym.

Potęga wyrazu tych rzeźb jest wielka. Postacie Meuniera żyją potężnym, choć opanowanym, życiem. Jest w nich bujność i spokój. Jest *na pozór* synteza greckiej stylizacji z wycuciem współczesności. Żadnej drobiazgowości, rzecz ogarnięta szeroko, z rozmachem, w śmiałości linii. Wszystko tu stało się potęgą, bohaterstwem.

Ale pomimo to jest w tym pewna, narzucona z góry, ostra, sztywna linja. Chwilami brak tym postaciom surowym uroku, brak tej jakiejś, przeczuwanej przez Rodina, cudnej harmonii greckiej, nie są to owe figury „wolne“, które zlewają się świetlistymi konturami z tłem nieba, powietrza. Ci ludzie mają w sobie olbrzymie męstwo, ale też jakąś oschłość tego męstwa. Wpływ Grecji jest u Meuniera daleko głębszym, niż u Rodina, który zużytkował tylko pewne motywy techniki greckiej poto, by się od Grecji wyzwolić. Meunier zaś przejął się wprost ich formami, starał się wnikać w ich ducha, w ich *pozę*. Stąd też wielki rzeźbiarz belgijski uchwycił pewne linje, pewien wyraz greckiego heroizmu, lecz nie dotarł, bo dotrzeć nie mógł, do źródeł powstania owych linii. Jego tragiedja twórcza jest więc zarazem i głębszą, i bardziej

formalną niż u Rodina. Będąc silniej duchowo zrośniętym ze światem starożytnym, niż Rodin, sądził, że potrafi tego ducha wprost przystosować do wyrażenia współczesnych tragiedji. Stąd też, pomimo całą śmiałość i oryginalność jego koncepcji, wieje jeszcze jednak od nich pseudoklasycyzmem.

Wycucie powyższych właściwości podyktowało zapewne Péladanowi takie zdanie:

„Meunier — pisał — wydobył z górnika rysy patetyczne; ukazał nam jego nędzę nie ukazawszy rytmu jego ciała, ani też jakiegoś giestu nieznanego“. I porównywa Meunierowskie postacie do „niewolników lub jeńców antycznych“.

Jest to sąd oczywiście przesadzony, ale w porównaniu do niewolników antycznych tkwi jednak część prawdy.

„Rytm ciała“, wbrew Péladanowi, wrogowi form współczesnych, istnieje bardzo silnie w rzeźbach Meuniera. Jest on tylko, jak wzmiankowałem, nieco sztywny, czy suchy, czy poprostu sztucznie klasyczny, bo bez greckiej śpiewności, płynności kształtu — tylko z jego nieskalaną, wspaniałą po rzeźbiarsku „postawioną“ budową.

To, co tworzył Meunier, jest pierwszorzędną rzeźbą, niema tam rzeczy słabych, niedociągniętych, jest to praca wielkiego artysty, który całą duszę wkładał w swoje dzieło. Niemniej jednak nie stworzył nowego stylu, bo nie wyzwoił się z pod władzy greckiej.

* * *

Przejdźmy teraz do rzeźby polskiej. Wprzód jednak musimy rzucić okiem na ogólny stan sztuki u nas.

V.

Rewolucja, jaka odbywa się w sztuce polskiej, ogarnęła stopniowo wszystkie jej dziedziny. W malarstwie datuje ona od czasów impresjonizmu, pierwszych kry-

tyk Witkiewicza i wścieklej kampanji przeciw Podkowińskiemu. W poezji—od czasów książki Miriama o Maeterlincku, dzieł Przybyszewskiego i powstania „Życia“ krakowskiego; w muzyce rozpoczyna się teraz twórczością „Młodej Polski w muzyce“ i coraz silniejszymi wołaniami młodej krytyki przeciw wszechwładzy zastarzałych tradycji warszawskich; w rzeźbie, po odosobnionej, krótkiej walcie Kurzawy z bezmyślnością ogółu, przejawiała się w dziełach Dunikowskiego i Biegasa.

Treścią tej rewolucji — walka o swobodę twórczą, o śmiałość, samodzielność, zerwanie z tępym, bezmózgim przesądem artystycznym, zwanym „realizmem“, o to, by nie stosowano do dzieł sztuki logiki, „jaką się zazwyczaj w życiu widzi“, lecz aby zrozumiano, że każde dzieło sztuki, jako twór żywy, żyjący duchem artysty, który go z siebie wyłonił, ma własną swoją logikę, poczętą z woli twórcy.

Jest to walka o wyobraźnię, o potęgę i bezwzględność środków artystycznych, walka z beztreściwością, z burżuazyjną „gładkością“, fałszywym „wykwintem“, lakierowanym „smakiem“, a przytym walka o kulturę, o to, co technicznie przynieśli już artyści Francji, Niemiec, Norwegji.

To ostatnie wiązało się przedewszystkim z rewolucją w malarstwie. Artyści nasi kształcili się przeważnie zagranicą. Musieli tak czynić. Nie mieliśmy jeszcze własnego, oryginalnego malarstwa — samodzielnego nie tylko w duchu, ale też technice. Malowaliśmy po monachijsku, po düsseldorfsku, po parysku. Walka więc przez czas długi redukowałą się u nas do walki o obce teorie techniczne, o obcą kulturę, o nowe sposoby odtwarzania wrażeń, bezpośrednio od natury odebranych, nawet nie o ich syntezę. I chociaż artyści nasi mieli na swoje poparcie pierwszorzędnę, uznane już powagi zagraniczne, dziś dopiero ogół nasz przyzwyczaja się do tych nowinek technicznych, jakie wniósł kiedyś Podkowiński, Pankiewicz, Wyczółkowski, Aleksander Gierymski. Dziś już napadać

na sztukę tych artystów nie wolno w tak bezmyślny sposób, jaki temu lat 15 należał wprost do obowiązku sprawozdawcy z wystaw w „szanującym się“ dzienniku.

Lecz teraz malarstwo nasze przechodzi inną fazę. Pod wpływem Stanisławskiego, Chelmońskiego, Witkiewicza (w sztuce stosowanej), a nadewszystko Wyspiańskiego zaczęło się usamodzielniać, przestało szukać obcych bogów, znalazło swoich, oparło się na nich i na tym, co znaleziono w sztuce ludowej, w ornamentach staro-szlacheckich, znalazło własne szkoły—akademję krakowską i warszawską Szkołę Sztuk Pięknych — i nabiera coraz bardziej indywidualnie polskiej fizjonomji. Można już teraz mówić o malarstwie polskim, o stylu polskim, o polskiej „sztuce stosowanej“.

Tymczasem jednak, właśnie dlatego, że malarstwo nasze, przeszedłszy przez najbardziej wyrafinowaną kulturę artystyczną, staje się rdzennie polskim, że zaczyna pozbywać się naleciałości szkół i kierunków obcych, co zostało podkreślonym przez krytykę niemiecką z powodu ostatniej wystawy towarzystwa „Sztuka“ w Wiedniu*) — więc już zaczynają się u nas rzucać zajadłe na tę tworzącą się samodzielną kulturę polską. Już zazdrośnie i bezmyślnie zaczyna się obniżanie znaczenia krytyk swoich i obcych o wystawie wiedeńskiej, już tworzy się formalna naganka na działalność „Polskiej sztuki stosowanej“, mówi się o koterjach i klikach, zamiast uznać to, co jest jasne, jak słońce, że wchodzimy wreszcie w znak prawej, oryginalnej twórczości, że dążymy do przetworzenia całego życia polskiego, do wydobycia go z barbarzyńskiej gnuśności i obojętności na sztukę, na piękno, do wydobycia go z pod wpływów nam obcych i już nie potrzebnych.

Ale choć groźnie zapowiada się walka, zwycięstwo kultury polskiej pewne. To już nie znęcanie się nad

*) Patrz „Tygodnik Ilustrowany“ N. 12 z r. b.

gieńjalnemi samotnikami, jak Podkowiński, ale walka z całym, licznym, świadomym swych celów i środków zastępem artystów, opartych na tradycjach narodu i gieńjuszów jego.

Muzyka „młodych“ przechodzi obecnie przez fazę podobną tej, w jakiej znajdowało się malarstwo nasze lat temu piętnaście. To również walka o to przeważnie, co przynosi technika obca (Wagner, Strauss, d'Indy, Debussy), lecz także i to, co przynosi Chopin, dotychczas u nas niedość rozumiany (jak tego dowodzi młoda krytyka—Chybiński, Opieński). Ma więc nowa muzyka polska potężną pomoc w powagach obcych i w tym, iż duchowo pokrewną jest, pokrewną czuje się Chopinowi.

Nasza „młoda literatura“ nie miała i nie mogła mieć takiej pomocy. Jeżeli wspomnę o wielkiej sławie, jaką zdobył sobie w Niemczech „der geniale Pole“ Przybyszewski, to będzie, przeciwnie, dowodem naszego wpływu na Niemcy, a nie odwrotnie, ich znaczenia, czy poparcia. To też walka była zażarta i jeszcze nie jest zakończoną. Rewolucja w literaturze naszej — tak jak ostatnio w malarstwie — szła zupełnie samodzielnie drogami. Jest ona wielkim wypadkiem artystycznym nie tylko u nas, ale też w kulturze wszechświatowej. Dość wziąć pod uwagę Przybyszewskiego i Wyspiańskiego i znaczenie ich choćby tylko dla dramatu, albo Żeromskiego, o którego twórczości zadługo by tu mówić trzeba, by jej wszechstronne wpływy wykazać.

W każdym razie jednak mogła krytyka nasza wyszukać nici, wiążące poezję polską z olbrzymami romantyzmu — ze Słowackim, Mickiewiczem, Norwidem, Krasińskim. Powinowactwa duchowe i językowe stały się widocznymi — znalazł się argument dla tłumów.

Ale zupełnie wyjątkowym jest stanowisko rzeźby polskiej. Niema ona żadnej przeszłości, żadnych tradycji. Nowa rzeźba polska — Kurzawa, Biegas, Dunikowski — jest właściwie pierwszą samodzielną twórczością w tej

dziedzinie sztuki u nas. Nie można przecież mówić na serjo o *twórczości* Brodzkiego, Madeyskiego, Godebskiego, a nawet, ściśle rzecz biorąc — również Welońskiego, Lewandowskiego i Laszczki. Ci ostatni trzej rzeźbiarze, zresztą wybitnie zdolni, nietylko że nie stworzyli własnych środków wypowiedzenia się, ale też pracom ich daleko do poziomu, jaki cechuje dzieła dawniejszych malarzy naszych, którzy w obcej formie, w obcej technice zdołali wyrazić własne dusze, którzy mieli wielkie *talenty*, nie tylko zaś wielkie zdolności (np. Rodakowski). Zresztą przejąć się środkami, formami cudzemi rzeźbiarze nasi nie mogli — gdyż środki te, formy te w całej Europie były już — jak to widzieliśmy wyżej — czymś martwym i niezdecydowanym — nie wiadano — do Rodina, Meuniera, Vigelanda — czego od rzeźby można żądać. Ten stan rzeźby europejskiej umiał się odbić na wyżej wymienionych artystach naszych starszego pokolenia, którzy gieńjuszami nie są. Kilka dzieł bardziej wartościowych, jakie wydali — „Gładjator“ Welońskiego, „Kalina“ Lewandowskiego, „W Nieskończoność“ Laszczki — są to rzeczy czysto przypadkowe, nie wiążące się z całokształtem ich działalności artystycznej. Te niewyraźne przeczucia jakiejś syntezy wyrazu, jakichś własnych linii, własnych pomysłów formy, jakie znajdujemy w tych rzeźbach, nie rozwijają się w żadnym innym dziele tych artystów, nie zamieniły się u nich w stałe usilne dążenia, w walki wewnętrzne w celu uświadomienia samych siebie.

Ponieważ jednak to samo, co o nich, powiedzieć można było o całej nieledwie rzeźbie europejskiej, więc też nie dziwnego, że ogół nasz i krytyka uwielbiała Brodzkich et consortes, usiłując wmówić w społeczeństwo, że istnieje jakaś rzeźba polska. Witkiewicz rozwiewał już te złudzenia, pisząc o „cyrkowych“ produkcjach Madeyskiego i o tym, że „Mickiewicz“ Kurzawy jest dziełem, „przenoszącym *siłą wyrazu i ruchu—życia*, a więc siłą talentu to wszystko, co u nas w rzeźbie dotąd zrobiono i dziś się robi“.

Ale głos Witkiewicza, pomimo całej swej mocy i olbrzymiego wpływu w rzeczach malarstwa, pozostał bez wpływu na stanowisko ogółu co do rzeźby. Jeżeli zaczynano już rozumieć, że nowatorstwo w malarstwie i poezji posiada rację bytu, jeżeli gdzieś uważano już nawet, że dawanie czegoś bezwzględnie nowego w tych sztukach jest zaletą, jeżeli nawet — co jeszcze rzadsze — pojmowano, że ten tylko jest naprawdę artystą, kto *tworzy*, a nie powtarza bezmyślnie za innymi, — to wszystko to nie stosowało się do rzeźby. W rzeźbie nie wolno było być oryginalnym. Wyśmiewano się z każdego, kto ośmielił się przypuścić możliwość podobnej herezji. „Forma“ — panie — to grunt — brzmi jeszcze do dziś dnia zasada „estetyków“ polskich. Ale co za forma, czyja, skąd wzięta — niewiadomo. Kryje się w tym tylko, jakieś niewyraźne uwielbienie dla „czystych form natury“, czyli zwykłego „naśladownictwa natury“, czyli zabójstwa sztuki.

Wobec takiego snobizmu i akulturalności ogółu łatwo zrozumieć, dlaczego powitano wrzaskami oburzenia i śmiechem rzeźby Biegasa i Dunikowskiego, dlaczego obydwaj ci pionierzy rzeźby polskiej musieli staczać w krakowskiej akademii sztuk pięknych formalne boje już nie tylko o swoją sztukę, lecz o swoją egzystencję w szkole — i to pomimo, że Dunikowski dostał tam medal złoty za wspaniały portret malarza Szczyglińskiego (reprodukowany z ogromnemi pochwałami w „Die Kunst“).

Biegas zdobył się wreszcie na czyn heroiczny. Wysłał rzeźby swoje do „Secesji“ wiedeńskiej. Przyjęty tam z uwielbieniem, zrobił potym swoją wystawę w Paryżu i stał się odrazu sławnym człowiekiem, którego obecnie nawet w Polsce nie ośmielają się już poniewierać...

Inaczej Dunikowski, talent olbrzymi, świadomy swej drogi, dążący naprzód z żelazną konsekwencją, znacznie głębszy i silniejszy, niż Biegas, któremu do szybkiego i bardzo zasłużonego zresztą sukcesu pomogły realistyczne

szczegóły przy dość przystępnej, choć niewątpliwie zajmującej fantastyczności. Otóż przeciwko Dunikowskiemu, któremu z pewnością Biegas wiele zawdzięcza w szerokim traktowaniu kształtu i który — do czasu tegorocznej wystawy „Sztuki“ w Wiedniu — miał nieszczęście wystawiać swoje dzieła tylko w Polsce, zwróciła się cała pasja bezkrytycznego tłumu i krytyków, zamiłowanych w porcelanowym pięknie grzecznie „wykończonych“, dłubanych posągów. Może być dumnym z tego przyjęcia Dunikowski. Dzieła jego wzbudzały od pierwszej chwili ich pojawienia się to, co dla każdego artysty jest największym tryumfem: miłość jednych, nienawiść drugich. Nie „uznanie“, lub lekceważenie, lecz właśnie miłość i nienawiść. Wzbudzały i wzbudzają uczucia silne, bo tkwi w nich moc twórcza, świeża, suggestywna, niepokojąca swoją śmiałością, zerwaniem z wszelkim szablonem, z tradycją wielbionych „prawideł piękna“, tkwi nowe, potężne *życie*.

To podwójne działanie przejawiało się ze szczególną siłą na ostatniej wystawie dzieł Dunikowskiego. Spory, jakie tam prowadzono, dyszały namiętnością. Nienawiść, z jaką niektórzy skądinąd łagodni ludzie obrzucali obelgami te wielkie w linjach, majestatyczne, tak wymowne rzeźby, miała w sobie coś głęboko zastanawiającego. Słyszałem pewnego zresztą wybitnie inteligentnego człowieka, który wyraził pragnienie porozbijania kijem tych dzieł talentu polskiego, twórczości polskiej. Inny znów wyznał rzecz ciekawą: że każdą rzeźbę Dunikowskiego lubi, ale skoro widzi ich tyle naraz ogarnia go jakieś rozdrażnienie, czuje się wyprowadzonym z równowagi i — ucieka.

Niewątpliwie, że silna sztuka tylko dla silnych jest przeznaczoną. A zwłaszcza dla tych, co nie boją się do dna poruszyć własnej duszy, dla *żywych*, pełnią uczuć żyjących...

* * *

O Biegasie, jako potężnym, oryginalnym talencie, pisałem już nieraz. Tu zanotuję tylko, że pomimo błędów, wad, w jakie popadł zbyt szybko — jak mańjera nie tylko form, ale też ich powtarzających się kojarzeń — znaczenie jego w rozwoju rzeźby jest bardzo duże. Tkwi ono w jego niczym nieskrępowanej wyobraźni, w przypomnieniu, że rzeźba, tak jak każda inna sztuka, na niej tylko opierać się winna, że z wyobraźni tylko wykwitłe dzieła są prawdziwą sztuką. Takie rzeźby, jak to bóstwo, przywalające olbrzymiami pięściami księgę przeznaczeń, jak „Wiatr“ — postać o szczególnych ostrych konturach i oczach, jakby pijanych wichrem, w szatach, unoszących ją lekko ponad ziemią; jak niewielka, a precudna grupa „Przeczcucie“, gdzie dwie postaci tulą się ku sobie w instynktownym przerażeniu, jak „Król Grzechu“ o zimnych oczach gadu, jak rzeźby dziwne, przypominające pierwotnych Światowidów, jak wreszcie kilka znakomitych impresjonistycznych portretów, pozostaną w świecie sztuki nazawsze. Niestety jednak wspaniałe nieraz pomysły Biegasa nie zawsze bywały czysto rzeźbiarską fantazją. Biegas nie miał dostatecznego samokrytycyzmu, nie miał tej jasnej świadomości, któraby zdolna była odróżnić, co w danym pomysle stawało się „literaturą“, a co było kształtem rzeźbiarskim. Naprzykład bardzo częstym motywem są u niego głowy, wyłaniające się z jakiejś kłębiącej się bezkształtnej masy, której w rzeźbie nie podobna było wyrazić. Nie mam nic przeciw temu, by kilka sztuk w jedną łączyć. Ale, jeśli się chce malarskie, czy nawet muzyczne, czy literackie wrażenia wyrażać w innej sztuce, to należy to czynić środkami, tej sztuce dostępnymi — a więc w rzeźbie wyrażać się tylko po rzeźbiarsku. Tego Biegas nie potrafił, pomieszał wrażenia i marzenia z innej dziedziny sztuki z rzeźbą, — na tym się potknął. To jego błąd główny, to przyczyna chaotywności niektórych jego form, dlatego jedynie, a nie dla śmiałości pomysłów, wiele dzieł jego technię, pomimo całą potęgę ich, barbarzyństwem, dlatego stworzone prze-

zeń formy nie okazały się zdolnymi do rozwoju i doskonalenia, a tylko do powtarzania się. Stąd Biegas nie potrafił stworzyć stylu, tylko mańjerę. W tym też zasadniczo różni się od Biegasa Dunikowski, którego wyobraźnia jest w nieskalanej czystości rzeźbiarską, jego mowa — mową form i proporcji, bez przymieszek jakichkolwiek naleciałości literatury lub malarstwa. Jeżeli rzeźby Dunikowskiego, jak zaraz zobaczymy, robią nieraz wrażenie malowniczości, muzycznej harmonji, i imponują głębokim, prostym wyrazem myśli — to dzieje się to jedynie wskutek mistrzowskiego, żywego władania mową swojej sztuki, świadomego operowania subtelnościami sposobów wyrażania się po rzeźbiarsku.

* * *

Obok Dunikowskiego i Biegasa pojawiła się w Polsce w ostatnich latach cała plejada młodych rzeźbiarzy, którzy w miarę sił zrywają również z szablonem, starają się o szczerość, tragicznie zmagają się z trudnościami swej sztuki.

Oto Mazur, szczerzy impresjonista, autor wielu znakomitych, pełnych życia figurek i doskonale zbudowanego „Górala“. Oto Brejer, który w swoim „Topielcu“ i świetnie modelowanych głowach (próba samodzielnej stylizacji) wykazał dużą siłę ekspresji czysto rzeźbiarskiej. Oto p. Stabrowska, rzeźbiarka o poważnym, szczerym talencie, Chrzanowski — rzeźbiarz o dużej kulturze i opanowaniu, Lepla (niestety znany mi tylko z reprodukcji) bardzo ciekawy, jak się zdaje, impresjonista, próbujący nowych w rzeźbie tematów. Ma bardzo wiele życia. Kuna, Hofman, Biernacki, Szczepkowski, Ostrowski, próbujący fantastyczności i nieraz wiele wydobywający sentymentu.

Co do Wacława Szymanowskiego, jest to niewątpliwie *artysta*, który postawił sobie cele niełatwe, cele prawdziwej sztuki, dążącej do odtwarzania płodów *wyobraźni*, do wydobywania wyrazu i ruchu. Lecz forma jego roz-

plywa się, robi wrażenie, jakby zrodziły ją marzenia malarsko-literackie (np. „Improwizacja“ w warszawskim Tow. Zachęty Sztuk Pięknych), czy jakiś barokowy impresjonizm.

Wittig posiada oryginalność czysto powierzchowną, i — zapożyczoną z Francji. Charakteryzuje go bojaźń określonych form, które też rozmazują się już tam, gdzie się powinny zaczynać. Nazwano to, nie wiem dlaczego „malarskością w rzeźbie“. Glicenstein jest zapewne poprawniejszy w modelowaniu od innych, ale własnej fizjonomji nie posiada, *wyobraźni rzeźbiarskiej* nie ma — może są pewne ślady literackich myślowych skojarzeń.

(Dok. nast.)



MICHAŁ ANIOŁ: Fragment z pomnika Medyceuszów we Florencji.



ANNA WOLFFOWA.

PEŁNIA.

(Fantazja księżycowa.)

*Wszystkim moim przyjaciółom z Lido—
we wdzięcznej pamięci
poświęcam.*

... Czy jest na świecie coś bardziej dalekiego, bardziej zimnego i milczącego, nad księżyc w pełni?... A przecież nic nie potrafi pręcej i goręcej przemówić do duszy ludzkiej, jak ta samotna, oddalona, zakłeta w milczenie gwiazda... I nie posiada większej mocy budzenia biednych, zastygłych w życiowej doli, zmartwiałych od bólu i męki — ludzkich serc...

— A więc posłuchaj mnie, mój przyjacielu, — biedny ziemski wędrowcze, — i chodź!.. Usiądź tam, na osrebrzonych poświatał kamiennych schodach mojego wiejskiego domu, i oprzyj wygodnie zmęczoną głowę o zimną balustradę stopni... Zwolna otoczy cię cisza wieczoru, przepojonego rosą, i zapach lipcowej nocy... W spragnione szerokiego oddechu płuca nabierz woni stojących opodal w sennej zadumie lilji — a kwiaty kaprifolium położą się same, cicho, u twoich stóp...

Strudzone dłonie spleć wtedy na kolanach, ale otwarte oczy podnieś ku górze. — Tam — skąd w promiennej aureoli spogląda na ciebie ta zimna, niby obojętna na wszystko, samotna gwiazda, spłynie na ciebie cud... Wpatrz się w nią dobrze — z całą ufnością, mój przyjacielu! — I czekaj cierpliwie twojej godziny szczęścia...

* * *

— Rychło, a poczujesz je w całym sobie...

— Zimne, niebieskawe światło, zacznie przemawiać przedziwnie...

— Zdawać ci się będzie, że kragła, płaska twarz — uśmiecha się do ciebie dobrotliwie, i rozplynniony w wonną ciszę dookoła — poczniesz słyszeć szelest twej własnej, budzącej się do życia duszy... Jak zwiędły od żaru kwiat, spryskany ożywczą rosą, będzie ona zwolna rozchylać swe martwe płatki...

— Jasne pasma zwirowanych dróg parku, widziane zdala, zaczną wsączać w strudzoną twą jaźń świetlane strugi ukojenia, a ciemna zieleń trawników, z rozsianymi tu i owdzie pękami białych róż — przypomni ci miękkie, ciche kobierce, na których w każdej chwili wypocząć mogą znużone twoje członki!...

— I niedługo już poczujesz w sobie pewną fizyczną moc, orzeźwienie, — a wówczas, zwolna, zacznie się też budzić z umęczenia — twój duch...

— I w jasną przestrzeń księżycowej na niebie pełni pošlesz pierwszy odruch zbudzonej z odrętwienia myśli — twoje: „Ach, tak — pamiętam!...”

* * *

— Zbudzone, drogie wspomnienia!...

Pamiętam!... Pamiętam!...

* * *

— Pamiętam tę dawną, jasną noc, w wiejskim sadzie...
Stara jabłoń, cała w kwieciu, jak jeden ślubny bu-

kiet, zagląda do niskiego okna saloniku — Majowa noc wonią aż dusi...

Cały dom już śpi — a my młodzi — rozejść się do swych pokoi nie możemy, nie mamy siły!...

— Żal nam tej cudnej nocy, żal rozstania i żal tych uczuć, które serca nasze są przepełnione — jak milejące wulkany...

— Więc ostatni uścisk ręki... „Dobranoc, dobranoc!... Do jutra!...”

— Ale chciałoby się raczej podać sobie gorące usta, bo ramiona prężą się same do uścisku. — Tylko księżyc zdaje się spoglądać zbyt niedyskretnie, czy trochę drwiąco, a biały kwiat jabłoni sypie cichutko swe płatki na nasze młode głowy — niby jakiś wymowny a kojący symbol...

— Więc jeszcze jedno spojrzenie długie, gorące, a takie głębokie i błogie — i „Do jutra!”

* * *

— Pamiętasz?... — mówi dalej pełnia.

— Pamiętam, pamiętam!...

— Ta wspaniała noc w Szwajcarii!...

— Dumne, ośnieżone szczyty gór, lśniące poświatą miesiąca, niby królewską koronę!... Tam, nad wijącą się białą wstęgą drogi, roziskrzony firmament. Gorzki zapach alpejskich dzikich ziół i mdłych anemonów...

— Złowrogie, czarne, w cieniu skał przepaści, i wartki, rozwścieczony spad górskiego strumienia. Białe piany, niby srebrny tuman, unoszą się i rozplývają w przestrzeni, a wody, po kamienistym łożu, niosą, zda się, w swym krzyku — całą skargę twardej, ludzkiej doli...

— Jakże spokojny a potężny majestat białych gór, wyższych ponad wszelkie ziemskie sprawy! — Nad udręczenie ludzkich ciał i nad mękę karlich dusz!...

* * *

— Pamiętam, pamiętam?!...

— Cicha melancholja zahypnotyzowanego pełnią włoskiego jeziora...

— Tafla wód przejrzysta, szafirowa, a pośrodku niej wyspa—niby uśpiona baśń... Ramiona gór chronią ją miłością od powiewów, bojąc się, by tego słodkiego, spokojnego oblicza nie pokryła bruzda smutku... Niech szafirowa baśń śpi!... Z nad brzegów patrzą w toń lustrzaną wiecznie smutne cyprysy, a szare oliwki wyciągają doń rozpacznie pocięte ramiona, jak szereg odtrąconych kochanków... Magnolje — szelestem twardych liści nucają jej kołysankę, śląc kadzielnice słodkich woni w roz-srebrzoną wyż.

— A gdzieś, w dali, mknie cicha łódź...

— Jakaś wezbrana uczuciem pierś wyrzuca pieśń — ze łzami... Echa tę pieśń roznoszą w dal, aż pod stoki Monte-Baldo!...

— Czyjeś serce cierpi i płacze, a ty wraz z nim...

* * *

— Pamiętam — Pamiętam...

— Pociąg mknie całą siłą, z głuchym hukiem, po tajemniczej obcej ziemi... Jasne światło księżyca rozlewa się łagodnie, po nasrożonym morzu kamieni... Skały, strzepy, dzikie parowy, urwiska i tunele, w krainie, tchnącej rozpaczą i pustką... Zda się, Golgota, dla ukarania ludzkości za popełniony grzech!... A tam, w dali, poza tym pasmem smutku i cierniowych dróg, wielki łuk srebrnego Adrjatyku...

— Kragła, jasna tarcza na firmamencie, niby dobroczynny far boski, wskazuje biednym pielgrzymom drogę — w świat lepszy, szerszy... I budzi zamarłe nadzieje, i zachęca słodko do wytrwania mieszkańców tej skalistej nędzy...

Takim przez okna pędzącego wagonu wydał mi się ten nieznan, smutny szmat Gorycji. Lecz serce moje biło mimo to szybko i mocno nieopisanym uczuciem i na-

dzieja. I zdało mi się, że ten niebieski far świeci tu tylko dla mnie — jako cicha przystań, stworzona dla mej tak udręczonej woli!...

* * *

— A pamiętasz?... Pamiętasz?...

— Nad szerokim, ciemnym kanałem, stoi zaklęta w miasto — przeszłość...

— Czas idzie, wieki płyną, a ona w kamieniu, marmurze i spiżu,—stoi tam, zawsze, tak samo!... Królewski uśmiech krasi jej lica, poszarzałe od pyłu lat — ale czar tego uśmiechu trwa nad ludzkością wiecznie... Smukłe są filary jej krużganków, misterne kraty bram, przepiękne, wyśnzione w myśli artysty, zarysy drzwi i okien, barwne marmury jej pałaców i świątyń... Z balkonów zwisają tęskne swe zwoje pnące róże, śląc tajemnicze wonie rozkwitłych kielichów w cichą, zamodloną w echach wspomnień toń... To miasto wiecznej tęsknoty i wiecznej pamięci... Więc promienna twarz księżyca daremnie budzi je do gwaru! Smugi jasnych wysłanników zaglądają ciekawie poza misterne kraty,—za filarami krużganków kładą się pieściwie na kamienne płyty posadzek — a z marmurów i mozaiek wydobywają barwę i złoto, królewskich iście tonów... Lecz zaklęte miasto echa swych wspomnień zbudzić już nie chce...

— I tylko fala, wiecznie miłośna, obejmuje z beznadziejnym łkaniem pozieleniałe stopnie opustoszałych pałaców.

— Wielki kanał milczy i marzy...

— Środkiem wód, w jasnej poświacie pełni, sunie czarna gondola.

— Zdaje się być widmem przeszłości, tak cicho mknie i tajemniczo.

— Na przodzie, gondoljer — ledwo porusza lekkim wiosłem, a łódź płynie...

— A może łódź posuwa sama moc szczęścia, ono to bowiem siedzi w głębi na czarnym, miękkim posłaniu poduszek.

— Przytuleni do siebie ramieniem, zasłuchani w szepczącą do nich z krążganków baśń—i... w siebie... — Dłoń w dłoni, a wzrok kędyś, zawieszony w górze, w rozświetlonym przestworzu...

— „Kochasz?“ pytają ledwie dosłyszalnie blade usta.

— „Kocham! Kocham!“ Odpowiadają drugie, tak cicho, jakgdyby bały się zbudzić czaru śpiącego miasta...

— Pamiętasz... Pamiętasz?...

— Tę twarz księżycą, tę ciszę, i śpiące w świetle pełni pałace, i te słowa, i zapach wody?... Taki świeży, miękki, wonny fijołkami, czy tuszem — zapach wody!... Czy ty pamiętasz?...

— A teraz powróć myślą tu, do kraju, bo jesteś tylko na moim małym gankul... W oddali, we wsi, psy poczynają szczeleć... Lipy tak mocno pachną, a i te wysmukłe lilje, stojące białą ścianą na grzędzie.— Na polach, wśród łąnów dojrzewających zbóż, nawołują się słodko przepiórki, a w akacjowej starej alei trzepoce onieśmiona blaskiem tej widnej nocy — sowa...

— Psy zwolna szczeleć przestają...

— Zimny kamień balustrady chłodzi tak dobrze skronie, a także ten lekki wiatr, co niesie od pól zapach rosy!...

— I nie spostrzegłeś wcale, że księżyc zakreślił już duży krąg na rozświetlonym niebie — choć oczy twoje nie zeszły z niego przecież ani na chwilę!...

— Dookoła, jakby wieńcem, otoczyły go tylko drobne, mgliste chmurki — niby hufiec twoich strudzonych myśli.—

— Bo ileż to dróg przeszedłeś teraz wspomnieniem — drogi mój przyjacielu!... Jakże daleką zrobiłeś podróż, aż w głąb samego siebie!...

— Prawie uwierzyć ci trudno, że znajdujesz się jeszcze tu, na tym samym miejscu, i żeś jest ten sam—tak bar-

dzo znużony życiem człowiek!... Miałeś wszak tyle przed sobą obrazów i tyle drogich osób pieściłeś niemal swą dłonią...

— I czuleś żar bardzo kochanych ust, — i słodki ciężar blizkiego ci ramienia—a te małe, drobne ręce leżały znów na twoich bijących uczuciem skroniach, tak miękko!...

— Prawdaż to była, złuda, czy sen?...

— Nie. To tylko ten jasny na niebie czarodziej roztworzył przed tobą na chwilę duszę twą własną i skarbiec twojej pamięci... Co szare w twym życiu i smutne — pokryła łagodna noc, a coś miał najświętszego — poczęło w tobie żyć...

— Więc przeżył przed sobą tęskne ramiona, czując w nich teraz młodość i moc—i w tę jasną przestrzeń rozświeconego pełnią świata—rzucasz z głębi rozmodlonego serca:

— „O ty piękna, samotna gwiazdo nocy, tak daleka, zimna i cicha. Jest że na świecie większy nad ciebie czarodziej?!“...

— Więc bądź błogosławiona, godzino cudu!...

Ustronie, 14 lipca 1908.





ADOLF CHYBIŃSKI.

„Śpiewacy-mistrze norymberscy” Ryszarda Wagnera. *)

O „Śpiewakach-mistrzach” napisano dotychczas tyle książek, broszur i rozpraw, że literatura, dotycząca tej najgłówniejszej opery „komicznej”, mogłaby stanowić bibliotekę wielbiciela dzieł Wagnera nawet wtedy, gdybyśmy wyłączyli to, co o „Śpiewakach-mistrzach” napisali bio- i monografowie całej jego twórczości. (Dokładniejszy spis specjalnych rozpraw o tej operze znajdzie czytelnik w I tomie dzieła prof. dra Artura Seidla p. t. „Wagneriana”, 1901, I, str. 253—257.) Nie kuśząc się o napisanie t. zw. „czegoś nowego”—to bowiem jest możliwe dla komentatora Wagnera tylko w bardzo korzystnych warunkach, t. j. gdzie Wagner jest publiczności dobrze znany ze sceny, estrady i domowych studiów — pragnę w myśl wezwania Redakcji „wyjaśnić pu-

*) Utarty tytuł opery Wagnera „Śpiewacy norymberscy” jest dlatego fałszywy, że nie wyjaśnia znaczenia słowa „Meister-singer”. Chodzi o to, że „śpiewaczy” charakter tych Norymberczyków był i jest historycznie połączony z charakterem ich mistrzostwa *rękodzielniczego*, które w dziele Wagnera odgrywa niezmierznie ważną rolę. Francuzi nie nazywają opery Wagnera „Les Chanteurs de Nurenberg”, lecz „Les Maitres-Chanteurs de N.” Nie wolno nam krzywić lub przeinaczać epitetu wagnerowskiego dla prostej „wygody” lingwistycznej. (Przyp. autora.)

bliczności znaczenie tej opery”, która, mimo wszelkich pozorów „prostoty”, a raczej tego, co Niemcy zowią „Harmlosigkeit”, jest dla publiczności polskiej najtrudniejszym do zrozumienia dziełem Wagnera, gdyż mimo „wykładu” o istocie sztuki i tworzenia, a więc mimo ogólnego estetycznego podkładu, jest to najbardziej niemiecka z oper niemieckich. To też, znając dotychczasowy stosunek publiczności warszawskiej do Wagnera z drugiej epoki („Pierścień Nibelunga”, „Tristan”, „Śpiewacy-mistrze”, „Parsifal”) i to Wagnera-dramaturga, zdziwiłem się niemało, gdy doszła mnie wiadomość o zamiarze wystawienia w Warszawie „Śpiewaków-mistrzów” przed zaznajomieniem publiczności z „Pierścieniem” — „Walkirję” grano zawstydzająco niewiele razy — i „Tristanem”, a więc dziełami, których podkład psychologiczny, mimo swej większej, niż w innych operach i w „Śpiewakach” głębi, jest ze względu na swój ogólnoludzki charakter przystępniejszy do zrozumienia i odczucia, niż obfitujący w sporą garść specyficznych cech „Śpiewacy”. Będą oni równie trudni do zrozumienia dla publiczności polskiej, jak wiele kompozycji Chopina dla nie-Polaków. Dlatego zamiar i postanowienie dyrekcji (względnie byłej dyrekcji opery warszawskiej), zasługuje, aby o nim wyrazić się słowami, wyjętymi ze „Śpiewaków”:

„Scheint mir nicht der rechte”

i, powatpiewając o *moralnym*, *wewnętrznym* „powodzeniu” tego dzieła, dodać:

„Wie wird's mit dem geh'n?...”

A jednak nie można odmówić b. dyrekcji sprytu... Wszak postanowiła wprowadzić do Warszawy ten utwór Wagnera, o którym mistrz wyraził się, że jest „*ein leichter Genre*” (wspaniała w swej dobroduszości ironja!). „Śpiewacy-mistrze” posiadają wiele artystycznych „Schlage-rów” (w *wyższym stylu*), wiele efektów, na które „bierze się” publiczność nawet wtedy, gdy — rzecz jasna — nie pojmuje zasadniczej idei wielkiego dzieła. Oto: w pierwszym akcie tańce i błaznowania szewskiej gawiedzi terminatorów, reagujące znakomicie na długie dialogi, których nie-niemiecka, albo i nie przygotowana specjalnie do zrozumienia *tekstu* niemiecka publiczność słucha, jak wykładu z zakresu lingwistyki lub paleontologii, w czym nazbyt często pomaga jej... czerwony ołówek zielono, lecz

praktycznie myślącego reżysera lub kapelmistrza; w drugim akcie też same błaznowania tych samych aspirantów do zanego rękodzieła, kłownowskie egzerccje Beckmessa (spotęgowane na scenach prowincjonalnych gwoli krotchwilii szan, zbiegowiska teatralnego), oraz długotrwała bitka („Raufereizesse“) norymberskich mistrzów i terminatorów, posiadająca tę własność, że w partyturze zachwyca *ucho* fachowego muzyka wielkim kontrapunktycznym mistrzostwem, na scenie zaś i w realnym brzmieniu wśród piekielnych wrzasków scenicznego „tłumu“, rywalizującego z masownością dźwiękową orkiestry — co razem czyni jedyny w swym rodzaju nieartykułowany chaos, osiągnięty zapomocą najprostszych harmonii, przyczem muzyk sili się na łowienie mistrzowsko splecionych tematów w wielokrotnie kontrapunktycznym uścisku, względnie ścisisku, publiczność zaś zapomina o muzyce i zamienia się w gapiów, rozkoszujących się długotrwałym widowiskiem bójk, wobec której oko wygrywa stanowczy rekord nad... uchem; w drugiej odsłonie trzeciego aktu tańce, „bandy“ na scenie, mnóstwo efektownych kostiumów, „namioty z napojami i łakociami“, pochody piekarzy, krawców i szewców ze sztandarami, rzucanie kwiatów i t. p., czyli... „Dolina szwajcarska“ (z garden-party, confetti, bufetami), przetłomaczona na wiek XVI, a więc to wszystko, o czym Ryszard Wagner wyraził się raz do naszego znanego historyka sztuki i prof. uniwersytetu lwowskiego, d-ra Jana Boloza-Antoniewicza, że jest napisane „für das liebe Publikum, dla krawców i szewców na scenie i w parkiecie“ (p. „Słowo polskie“, 1898, z 29 marca, nr 75). Jak widzimy — była dyrekcja opery warszawskiej może nie miała wyobrażenia o pedagogii publiczności *in rebus wagnericis*, ale... Tymczasem Lwów zapozna swych mieszkańców z całym „Pierścieniem Nibelunga“ już w tym sezonie, co zasługuje na bezwzględne uznanie. Ale wystawienie „Śpiewaków-mistrzów“ przed „Pierścieniem“ i „Tristanem“ jest równie mało racjonalne, jak zapoznanie Warszawy z „Salome“ przed „Śpiewakami“.

* * *

Temat taki, jak „Śpiewacy-mistrze z Norymbergi“, leży daleko od istoty polskiej kultury, polskiego czucia, jako specyficzny wytwór ducha i temperamentu niemieckiego, niemieckim sposobem myślenia przepojony i możliwy tylko w Niemczech, historycznie zaś wyłącznie

z kulturą niemiecką związany. I dlatego właśnie wymaga wyjaśnień i szczegółowych komentarzy.

Wiek XIV to schyłek i upadek poezji rycerskiej w Niemczech („Minnesang“), spowodowany moralnym upadkiem stanu rycerskiego, zmaterializowaniem tych rycerzy, którzy blisko 250 lat dzierżyli ster na Parnasie niemieckim, wydając wzbudzające dziś jeszcze nieklamany zachwyt epopeje, powieści poetyczne i liryki, w których niebieski kwiat romantyki średniowiecznej był opleciony świeżą zielonością pieśni ludowej. Równocześnie z upadkiem rycerstwa nabierają kulturalnej tężyzny miasta — stan mieszczański. Stają się one siedzibą uniwersytetów, przemysłu, sztuk plastycznych, muzyki, sztuki stosowanej, nauki i t. d. Jak wszystkich rękodzielników wpisywano w cechy, tak i mieszczan-poetów. Małostkowość i śmieszne strony cechowych urządzeń znalazły oczywiście echo w poezji mieszczan, która — ograniczana małym, jakby murami miasta ścieśnionym światopoglądem — nie mogła mieć tej bezpośredniości i swobodnego lotu myśli, co poezja — poezją żyjących rycerzy, szukających przygód miłosnych i znających kunszt artystycznego życia, pełnego niespodzianek, kojarzącego w sobie najwyższe rozkosze i najstraszniejsze niebezpieczeństwa. Dogmatyczność życia pocziwych rękodzielników, chcących być też „gescheit“, przeniosła się na ich poezję, którą usidlono postronkami reguł i obniżono do rzędu szewstwa lub rymarstwa. Riemann bardzo trafnie, choć zwięźle, zaznacza różnicę między „Minnesängerami“ (rycerzami) i „Meistersingerami“ (rzemieślnikami): „Najważniejsza różnica między minnesängern i meistersingerami polega na wyłącznym ograniczeniu się tych ostatnich do suchego parafrazowania tekstów biblijnych prozą (którą mimo wszelkiej ścisłości w liczbie zgłosek, wiersza i sztucznych rymów trudno nazwać poezją), wraz z całym aparatem pseudouczonych, posługujących się obcemi słowami, oraz historycznymi i mitycznymi aluzjami. O wiele lepsze są właśnie melodie do tych poezji, które obecnie można łatwiej badać („Handbuch der Musikgeschichte“, II Band, I Teil, Lipsk 1907, str. 483). — Wglądnijmy nieco w wewnętrzne urządzenia szkół meistersingerów, zakładanych po wszystkich większych miastach niemieckich już w XIV stuleciu (Moguncja, Strassburg, Kolmar, Frankfurt, Würzburg, Praga, Wormacja, Norymberga, Augsburg, Monachjum, Ulm, Ratisbona, Wrocław, Gdańsk, Bazyleja i t. d.). Jak w rze-

miośle i cechu, tak i w tej rzemieślniczej „poetyckiej” szkole istniały stopnie, od terminatorów począwszy, na majstrach skończywszy. *Uczeń* („Schüler”) studiował *tabulaturę*, t. j. kram reguł, według których tworzone i wykonywano poezje z melodjami; *przyjaciel szkoły*, czyli towarzysz („Schulfreund”) znał już prawa poetyki i metryki, obowiązujące w cechu „śpiewaków-mistrzów”; „śpiewak” („Singer”) umiał śpiewać *obce* poezje i melodje; „poeta” („Dichter”) był w stanie według *obcych* wzorów (zwanych „Töne”) zrobić poemat i melodję do niego; „mistrzem” („Meister”) zaś był ten, który *nowe* wzory wymyślał, a więc *samoistne* w metryce i melodji. Wszyscy ci przedstawiciele różnych rang poetyckiego rzemiosła schodzili się w gospodach, aby śpiewać, niedzielne zaś popołudnia przeznaczone bywały na popisy nowych „mistrzów” i „poetów”. Obierano przewodniczącego („Gemerck”), krytyka („Merkmeister”), archiwariusza („Schlüsselmeister”), skarbnika („Büchsenmeister”) i rozdzielającego nagrody („Kronenmeister”), przyczem dodawano „krytykowi” czterech pomocników („Merker”).

Ta poezja w fartuchu miała swe ambicje: mianowicie według żywionych wówczas „tradycji” sięgała aż do... X wieku po Chr., a należeć mieli do niej tacy gienjalni „Minnesingerzy”, jak Walter von der Vogelweide i Wolfram z Eschenbach. Ale z rycerską liryką mieli „meistersingerzy” tylko zewnętrzne cechy wspólne: mianowicie formy poetyczno-muzyczne — *duch* jej bowiem był im obcy i niedostępny. Zarówno w rycerskiej, jak i w mieszczańskiej poezji była w użyciu forma t. zw. *baru*, składającego się z pewnej ilości zwrotek („Gesätz”); *zwrotka* zaś rozpadała się na 2 części: *wstęp* („Aufgesang”), rozdzielony na 2 *części* („Stollen”), do których dorabiano jedną i tę samą melodję, i „zakończenie” (z inną melodją), do którego czasem dodawano *częstkę* („Stollen”) z melodją tą samą, którą dodawano do jednej z *części* wstępu. W każdej z licznych zwrotek melodja wstępu była ta sama, zaś w zakończeniach zmieniała się, co, jak historycy muzyki zauważyli, przypomina formę ronda muzycznego. Oczywiście i metryka w zakończeniu była inna, niż we wstępie. Zadaniem każdego „meistersingera” było dać nowe sztuki metryczne i nową melodję: a więc „Ton” und „Weise”, lub wogóle „Weise”. Nic dziwnego, że silono się na coraz nowsze pomysły i coraz sztuczniejsze rymy — istniały strofy o 100 rymach — tak że wreszcie zaczęto

tym kunsztownym wysiłkom, stawianym za wzór, nadawać nazwy... jeszcze dziwniejsze. Fanatyzm formalistyki poetyckiej, noszący na sobie piętno rzemieślniczego ograniczenia i wyjałowienia ideowego, solidność ciasnoty pojęć o sztuce, szczerłość i spontaniczność uczuć i języka były kitem, łączącym ówczesne mieszczaństwo, ówczesną demokrację myśli i instynktów. Jedynie Norymberga XVI stulecia zdobyła się na większą swobodę artystyczną, a wiele poezji Hansa Sachsa, którego i Goethe obdarzył łaskawym wspomnieniem, nie podlegało bornirowanej „złotej przeciętności”. Ponieważ owe niedzielno-popołudniowe popisy odbywały się w kościołach, przeto zwłaszcza pod wpływem fanatyzmu reformacyjnego obierano tekst Biblii za źródło poetyckich parafraz. I tu Norymberga stanowiła pewien wyjątek.

Interesującym jest przebieg popisów. „Krytyk” z czterema pomocnikami zajmował miejsce dobrze osłonięte i baczył na to, o ile popisujący się własnym utworem rzemieślnik czynił zadość surowym przepisom tabulatury. Do największych przestępstw należały wyrażenia i myśli, niezgodne z zasadami chrześcijaństwa i Biblii, oraz niejasność; obok tego liczono 32 paragrafy, dotyczące błędów językowych i formy.

Niektóre cechy „Meistersingerów” przetrwały... aż do XIX wieku. W Ulm (Bawaria) zwinęto „interes” w r. 1839, w Memmingen (tamże) w r. 1852. Norymberga wyrugowała mistrzów rękodziela z poezji już w połowie XVIII wieku. Profesor Max Koch daje w swej „Geschichte der deutschen Litteratur” (1897, str. 60) bardzo zwięzłą i trafną charakterystykę kulturalnego znaczenia rzemieślniczej sztuki rymotwórczej: „Niezaprzeczenie scholastyczna uczoność starych mistrzów-śpiewaków może nam się wydać bardzo bezduszną, ale zasługują na uznanie usiłowania tych szanownych rzemieślników, aby sztukę uprawiać według najlepszej chęci i możliwości. Schodzenie się rozdzielonych ściśle według rzemiosła członków cechu celem odbywania wspólnych posiedzeń o charakterze cechowym, miało wpływ bardzo korzystny. Zajmowanie się poezją oddziaływało zachęcająco na poczucie artystyczne tych rzemieślników, których przemysł artystyczny podnieca nas do gorliwego naśladownictwa. Jednostka była zachęcaną do samodzielnej artystycznej działalności bardziej, niż się to dzieje w różnych obywatelskich chórach i „Lutniach” (w oryg.: „Liedertafeln”) XIX wieku, będących dalszym ciągiem starych szkół śpiewackich

w zmienionej postaci". (Dla chcących bliżej zapoznać się z tą ciekawą instytucją polecam bardzo sumienne dzieła: Curs *Mey'a* „Der Meistergesang in Geschichte und Kunst“, Lipsk 1901; Georga *Münzera* „Singebuch des Adam Puschmann“, Lipsk 1907; Paula *Runge'go* „Die Sangesweisen der Colmarer Handschrift und die Liederhandschrift Donaueschingen“, Lipsk 1896, oraz drobne rozprawki *H. Riemanna* w czasopismach muzycznych niemieckich.)

Dłużej rozwodziłem się nad istotą „meistersingeryzmu“, gdyż jest to wprost nieodzowne dla zrozumienia dzieła *Wagnera*, który w swych „Śpiewakach-mistrzach norymberskich“ dał niezmiernie plastyczny obraz zwyczajów tego jedynego w swoim rodzaju cechu, możliwego w narodzie o tak surowej solidności, jak niemiecki. Znajdziemy też w dziele mistrza wszystkie niemal zwyczaje tych rzemieślników, o których mówiliśmy wyżej. Zaraz pierwsza scena przenosi nas do kościoła Katarzyny w Norymberdze, w którym odbywały się popisy „śpiewaków-mistrzów“. W drugiej scenie pierwszego aktu terminator Hansa Sachsa, Dawid, zapoznaje Waltera Stoltzinga z urządzeniami cechu, ustawami, regułami i warunkami zostania mistrzem, a inni terminatorzy ustawiają tym czasem katedrę dla „krytyka“ (*Beckmessera*), gdyż właśnie po nie-sporach ma odbyć się narada cechu i wyzwoliny kandydatów.

Lecz *Wagnerowi* ani fabuła, ani „obrazy rodzajowe“ nie wystarczyły tak, jak *Lortzingowi* dla jego opery komicznej „Hans Sachs“ (1840), lub dramatycznemu poematowi *Deinhardsteina* „Hans Sachs oder die Meistersinger“, który *Lortzing* przerobił z pomocą aktora Filipa Rogera na libretto dla swojej opery. Jeśli bowiem chodzi o źródła, które *Wagner* miał do rozporządzenia, to w istocie wiele literackiego materiału nie dostarczyły one muzykowi. Nie dużo również mógł czerpać z „Norymberskiej kroniki“ Jana Krzysztofa Wagenseila z r. 1697. Uczony monachijski prof. dr. F. Muncker przypuszcza, że z duchem poezji „meistersingerów“ zapoznał się *Wagner* przez czytanie poezji Hansa Sachsa, odznaczających się „ludowym, świeżym, humorystycznym tonem, charakterystycznym językiem, pełnym starych, dialektowych lub familiarnych słów i form, łatwo rymującym się staroniemieckim wierszem, który wzbogacony metrycznymi licencjami, wprowadzonymi przez młodego Goethego i pomnożonymi

dowcipnie przez *Wagnera*, był dla poety dramatycznego najwygodniejszą formą artystyczną do wyrażenia pojęć i uczuć zarówno duchowo najwyższych i najgłębszych, jak i drastycznych i pospolitych w sposób poetycznie silny i równocześnie ludowo-popularny“ (por. „Richard Wagner, eine Skizze, seines Lebens und Wirkens“, Bamberg, 1891, str. 84).

Pierwszy plan napisania opery komicznej na temat zwyczajów i życia *meistersingerów* norymberskich powstał w r. 1845, gdy *Wagner* zmęczony mozolnym, a nie pociągającym dla twórczego ducha dyrygowaniem w operze drezdeńskiej, wyjechał na odpoczynek do Marjenbadu; przyjaciele radzili mu, aby po tragicznych dziełach („Holender-tułacz“, „Rienzi“, „Tannhäuser“), mało porywających żadną lekkiej duchowej strawy publiczność, napisał „eine Oper leichteren Genres“. *Wagnerowi* myśl ta na razie spodobała się. Pisz o tym, co następuje: „Jak u Ateńczyków pogodna satyryczna gra (komedia) następowała po tragjedji, tak i mnie objawił się podczas owej podróży, dla wytechnienia odbytej, obraz utworu komicznego, który w istocie mógł się łączyć, jako satyrowa komedia, z moją „Walką śpiewaków na Wartburgu“ („Tannhäuser“). Byli to „Śpiewacy-mistrze norymberscy“ z Hansem Sachsem na czele. Pojmowałem Sachsa, jako ostatniego przedstawiciela artystycznie twórczego ducha ludowego i w tym charakterze przeciwstawiłem go *meistersingerowskiej* burżuazji, a najosobistszym wyrazem jej pedantyzmu upartego i tworzącego poezję według tabulatury uczyniłem postać „Merkera“ („krytyka“).“ Tyle pisze mistrz w swej „Mitteilung an meine Freunde“. Ale chwilowy weselszy nastrój nie trwał długo. „Moja natura reagowała—pisze *Wagner* dalej („Gesammelte Schriften“, IV, 287)—odrazu przeciw niedojrzałemu usiłowaniu wyładowania przez ironję treści siły mego popędu do wesołości—i sam muszę obecnie próbę uważać za ostatni wysiłek pożądanego pragnienia, które chciało pogodzić się z otoczeniem trywjalności, a od którego wywinałem się z bolesną energją już w „Tannhäuserze“*). W lat kilkanaście posłużył *Wagnerowi* temat „Śpiewaków“ wśród podobnych okoliczności do tego samego niemal celu. Pro-

*) Marjenbadzki plan „Śpiewaków-mistrzów norymberskich“ znajdziemy także w dziele K. J. Glasenappa „Das Leben Richard Wagners in sechs Büchern“ (Lipsk, 1905, tom II, IV wydanie, str. 452—454).

jekt marjenbadzki spoczywał, później znajdował się w ręku nieśmiertelnej, szlachetnej przyjaciółki Wagnera, pani Madyldy von Wesendonk, która zwróciła go mistrzowi w r. 1861, przypominając mu o nim w Wenecji (por. jednak Glasenappa op. cit. III, 350 i nast.). Przedtym jeszcze chwilowy pobyt w czarodziejskiej Norymberdze ożywił w Wagnerze marzenia: „Just klang nur's nach, wie eine Ouvertüre zu den „Meistersingern von Nürnberg“—pisał do pani Wesendonk już z Paryża („Richard Wagner an Mathilde Wesendonk“, Berlin 1904, str. 298). W Paryżu pracował przez 4 tygodnie, mieszkając przy ambasadzie austriackiej. Do pani Malwidy von Meysenberg, słynnej autorki, pisał w emfazie: „Poemat sprawił mi niezmierną radość; sądzę, że to jest mój najgłębszy utwór“ (cyt. według Glasenappa, III l. c.). Tylko niewielkie zmiany poczynił później Wagner. (Kolejne powstawanie tekstu opisał prof. dr. R. Sternfeld w piśmie „Musik“, Berlin, 1902, I rocznik str. 1810 i nast.). Aby zewnętrzna forma (poetyczna) tego dzieła (a więc temat) mogła znaleźć echo w muzyce, na to trzeba było lat wielu, w którychby poeta muzyk mógł jej sam w sobie i przez siebie doznać, psychologicznie pogłębić, własne doznania uczynić spirytus movens poetycznej i muzycznej całości—czyli wlać życie w szemat fabuliczny. Wagner pisał do pani Wesendonk 25 grudnia 1861 (z Paryża): „Dawny plan przedstawiał małą lub żadną wartość.“ Dzięki tej blisko 20-letniej przerwie, w której zaszły wypadki najbardziej wstrząsające Wagnerem i najżyźniej zapładniające jego niezgłębioną inwencję, mógł mistrz przystąpić do wykonania dzieła, o którego koncepcji pisał w tymże liście: „Tak, do tego (t. j. do wykonania takiego dzieła) należy doznać raju, aby wreszcie wiedzieć, co w takiej rzeczy tkwi“ („R. W. an M. W.“, str. 293.)

Tym rajem, w którym dla Wagnera rosły złote jabłka miłości, szczęścia i nieskończonej inwencji była miłość do pani Wesendonk, co do której dziś nie potrzebujemy posługiwać się zasłoną pruderji. Owocem tej miłości był „Tristan“, za którego „dziękował jej z najgłębszej duszy na wieki wieków“—a obok „Tristana“ „taka obfitość ziarn (pomysłów), że mógł tylko sięgnąć do niej, kiedy chciał, aby z łatwą pieczołowitością wychować dla siebie kwiaty“ (op. cit., str. 122.) Ale i ta pieczołowitość utrudniały mu zewnętrzne okoliczności, walka z przeciwnościami (głównie z winy jego nikczem-

nych i zajadłych w swym ograniczeniu wrogów), w części walka ze swym słabym ludzkim, nazbyt może ludzkim charakterem, mającym coś z „Holendra tułacza“, w części pragnienie ukończenia „Zygryda“. Ukończywszy w Paryżu poetycki tekst „Śpiewaków-mistrzów“, pragnął od razu przystąpić do strony muzycznej... W Biebrich pod Moguncją rozpoczął... Uwerturę odegrano już w roku 1862 w Lipsku na koncercie symfonicznym w „Gewandhausie“. Praca musiała iść nieźle, skoro mistrz w zapale pisał 22 maja do Weisheimera, kapelmistrza i swego „habardzisty“, jako w pięćdziesiątą rocznicę swych urodzin: „Od dnia dzisiejszego, od porannej godziny dnia moich urodzin wiem, że „Śpiewacy-mistrze“ będą moim najlepszym dziełem“ (cyt. według Glasenappa, III, str. 372). Dziś wprowadzić z mistrzem nie zgodzimy się, lecz ilekroć oczekujemy przedstawienia „Śpiewaków-mistrzów“, powtarzamy w duchu za panią Wesendonk: „Cieszę się na nie, jak na uroczystość!“

Z Biebrich musiał Wagner udać się do Wiednia; w Penzingu, niedaleko tego miasta, które dziś chce przewagneryzować inne, a które względem Wagnera okazało się dość lichą twierdzą ograniczonych Beckmesserów, pracował mistrz dalej nad „Śpiewakami“; chciał je wystawić na scenie wiedeńskiej. Ale klika wiedeńskich muzykantów i krytyków z Hanslickiem na czele, który zresztą przed niedawnym czasem sam przyznał się Wagnerowi, że jest... nieco ograniczony i widział w Beckmesserze swój portret, doprowadziła do tego, że pobyt Wagnera w Wiedniu stał się niemożliwym. Gdy zaś król Ludwik bawarski, gienjusz na tronie, podał pomocną dłoń mistrzowi, ten w r. 1864 w kwietniu opuścił stolicę Austrii, udając się do Monachjum, gdzie pragnął skończyć „Zygryda“, gdzie jednakże przyjaźń jego z królem Ludwikiem wywołała skandalicznie filisterskie oburzenie w ultramontańskiej prasie. Wagner pragnął pokoju. Udał się więc w grudniu r. 1865 do Tribschen koło Lucerny w Szwajcarii, aby tam do 20 października r. 1867 pracować wyłącznie nad „Śpiewakami-mistrzami“. Jak w Marjenbadzie tak i w latach sześćdziesiątych, jeden i ten sam cel miał na myśli: chciał od siebie odwrócić uwagę publiczności, aby uzyskany z trudem spokój zużytkować na wykończenie partytury „Śpiewaków-mistrzów“, która udowodnić miała, że pozornie trzyma się przyjętych w rzeczach teatralnych przedstawień zwyczajów („Herkommen“)“ (cyt.

według Glasenappa, IV, Lipsk 1904, III wydanie, str. 157; list od dra Pusinellego z 6 lutego 1866). Pomocnikami w tej wielkiej, muzycznie benedyktyńskiej pracy byli Hans von Bülow i Hans Richter: pierwszy pisał wyciąg fortepianowy, drugi porządkował partyturę, jako kopista. Z owych czasów posiadamy płomienny list gienjałnego Hansa von Bülowa do Aleksandra Rittersa, tego znakomitego muzyka, który Ryszardowi Straussowi odkrył drogę do wielkich czynów, odpowiadających jego indywidualności: Bülow pisze: „Pod wpływem oszalamiających wrażeń, jakich doznałem, będąc bezpośrednim świadkiem powstawania tego dzieła, nie wątpię, abym miał się mylić, jeśli przypuszczę, że Wagner jest na drodze do stworzenia swego najklasyczniejszego, najbardziej niemieckiego, najdojrzałego i ogólnie najprzystępniejszego dzieła. Nie może Pan sobie nawet w przybliżeniu wyobrazić tego absolutnie-muzycznego bogactwa, tej godnej Celliniego zdolności opracowania wszelkich szczegółów. Dla mnie jest najniemożliwszym do obalenia dogmatem: Wagner jest największym poetą tonów, zupełnie równym Beethovenowi, Bachowi — a prócz tego jeszcze czymś więcej. Jest wcieleniem niemieckiego ducha artystycznego, jego najtrwalszym pomnikiem nawet w tym razie, gdyby niemiecka mowa, a może i niemiecka muzyka, miała się stać «martwą» (cyt. według IV tomu listów Bülowa, Lipsk 1900, str. 141-42).

Ten sam artysta, jako kapelmistrz największy z dotychczasowych, dyrygował premierą „Śpiewaków-mistrzów norymberskich“ w Monachjum 21 czerwca 1869 r. Tegoż dnia i miesiąca święciło Monachjum 40-tą rocznicę wielkiego dzieła pod dyрекcją drugiego pomocnika Wagnera, Hansa Richtera, jako gościa w roku bieżącym. Niewielu uczestnikom tej uroczystości pozostanie w pamięci ten dzień szczęśliwy, w którym wielki kapelmistrz związał terazniejszość z premierą zapomocą coraz słabszej niestety wstęgi wagnerowskiej tradycji. Wiele niezrozumiałych i niezrozumianych szczegółów pierwszorzędnej wagi rozjaśniło się. Będąc szczęśliwym świadkiem tej wielkiej uroczystości, jestem wdzięczny Redakcji, że zaszczyciła mnie wezwaniem wyżej wyluszczonego: być może, iż uda mi się wyłożyć sfinksove oblicze dzieła Wagnera.

* * *

Kto chce zrozumieć ideowy „Leitmotiv“ dzieła Wagnera, ten musi zwrócić główną uwagę na znaczenie Hansa Sachsa*), najgłębiej pomyślanej postaci w „Śpiewakach-mistrzach“. Połączyć ją z wewnętrznym życiem mistrza — znaczy rozwiązać w większej części problemat dzieła. Ta właśnie postać sprawia, że pod pozornie wesołą powłoką opery kryje się głęboki tragizm, którego nie należy szukać w samym tylko tekście; znaleźć go można przede wszystkim w muzyce, która jest wyrazem tego, co Hans Sachs-Wagner w istocie myślał i czuł nawet w niejednej zabawnej sytuacji. Ten rozdźwięk od czuwał Wagner podczas tworzenia swego dzieła i to mając na myśli, pisał do pani Wesendonk: „Czasem od śmiechu, czasem od płaczu nie mogłem dalej pracować“ (op. c. str. 295). Profesor Gwido Adler czyni trafne spostrzeżenie, że „Śpiewacy-mistrze“ wznoszą się ponad istotę komicznej opery, równie — „jak się to stało dawniej z największym arcydziełem Mozarta, z „Don Giovanni“m, który, jako „opera-buffa“, nazwany został przez poetę „dramma giocoso“ i równie wysoko wzniósł się ponad tę gatunkową nazwę. Wspólną obu dzieł istotą jest, pomimo różnorodności ich ujęcia, że komizm i tragizm są uchwyczone u wspólnego źródła... W obu dziełach jest to najwidoczniejsze i najbardziej jasne w ich muzycznej części“ (G. Adler: „Richard Wagner“, Lipsk, 1904, str. 284 i 85.).

I Fryderyk Nietzsche, ten, mimo „Fall-Wagner“, największy wagnerjanin, twierdził, że najwyższego podziwu godnym dziełem Wagnera jest „Tristan“, że jednakże istnieje coś jeszcze dziwniejszego: sam twórca mianowicie, który po „Tristanie“ w krótkim przeciągu czasu mógł stworzyć obraz z tak zupełnie innego świata i tak zupełnie odmiennej barwy, jak „Śpiewacy-mistrze norymberscy“ (Nietzsche: „Richard Wagner in Bayreuth. Unzeitgemässe Betrachtungen“, II, strona 170). Na zupełnie jasne i logiczne wytłomaczenie tego zjawiska wprost anormalnego nie mógłby się nikt zdobyć — i zdaniem moim, nigdy nikt nie wytłomaczył sobie tego bez pseudopsychologicznej scholastyki. Nietzsche, miotając

*) Przypuszczam, iż czytelnikom znana jest co najmniej treść „Śpiewaków-mistrzów“ z polskiego tłumaczenia p. Aleksandra Bandrowskiego. Są jednak w tekście Wagnera rzeczy nie do tłumaczenia na język polski; stąd znajomość tekstu niemieckiego uważam niemal za niezbędną.

głazy potępienia z zaratustrowych gór, wyrażał się później „nieco” inaczej w „Fall Wagner”: „Jak Goethe jest zakapturzonym malarzem, Schiller mówcą, tak Wagner jest aktorem... Jako aktor, chciał naśladować tylko najefektowniejszego i najrzeczywistszego człowieka: mianowicie w najwyższym *afekcie*... Muzyka jest dla niego środkiem wyrażania — rzecz charakterystyczna dla aktora... Wagnera stosunek do muzyki jest *aktorskim*; dlatego może równocześnie przemawiać z najróżnorodniejszych dusz muzycznych i zupełnie odmienne światy („Tristana” i „Śpiewaków-mistrzów”) kłaść obok siebie... Nie zapomnijmy: *teatralnym* jest język, którym mówi sztuka Wagnera...” Nie wdając się w jakąkolwiek dyskusję z zapatrzowaniami wielkiego filozofa, muszę tylko to zaznaczyć, że wszelkie psychiczne doznania artysty przetapiają się w nim w ten materiał artystyczny, jakim włada, i jako gotowy zapas twórczy, czekają na sposobność wyładowania. To, co artysta-twórca chce wyrazić, może być zużyte twórczo w najróżniejszych chwilach: choćby materiał „x” był przeciwny materiałowi „y”, mogą twórczo wyładować się w bezpośrednim następstwie, choć mogły być przeżyte (doznane) i przechowane w najróżniejszych czasach. Niejeden tylko Wagner jest dowodem takiego „anormalnego” czy „sztucznego” procesu; możnaby wymienić, jako dowód... Szekspira. Czyż i u niego znajdziemy objawy... stanu aktorskiego? Czy zaś ostatnio przytoczone zdanie Nietzschego jest czymś, niestety, ludzkim aż nazbyt ludzkim, czy „ludzkim-nadludzkim...”, któż to odgadnie?! Gdybyśmy mieli szukać „aktorstwa”, synonimu nieszczerości, to może znaleźlibyśmy je w „Śpiewakach-mistrzach”, ale nie w ich odległości od „Tristana”, —lecz o tym później.

Jak powiedzieliśmy wyżej, przytaczając słowa Wagnera — „Śpiewacy norymberscy” byliby może operą komiczną, czy też komedią muzyczną, gdyby nie idea zgoła inna, ucieleśniona w postaci Hansa Sachsa, jednej z najgłębszych, najszlachetniejszych i najwznioślejszych, jakie Wagner stworzył, postaci, narysowanej z taką powagą, że jej treść psychiczna zdaje się wstrzymywać rozpętanie śmiechu, często taniego śmiechu, wywoływanego trywialnemi i komicznemi równocześnie typami i sytuacjami. Tłem, nie istotą najwnętrzniejszą, jest walka Waltera von Stoltzing z pedanterją ograniczenia, walka natchnionej (romantycznej) sztuki ze sztucznym, oschłym rzemiosłem

rymorbstwa. Ale walka ta kryje w sobie estetyczne „credo” Wagnera. Musimy nad nią zastanowić się nieco, gdyż jest bardzo charakterystyczna.

Wybornie przedstawił ją jeden z najpoważniejszych wagnerjanów niemieckich, profesor dr. Artur Seidl w dziele p. t. „Die Kunstlehre der „Meistersinger“ („Wagnerjana”, tom I, Berlin i Lipsk, 1901, str. 201 — 252)*. Zajęłoby zbyt wiele miejsca, gdybyśmy tę pracę szczegółowo rozważać chcieli.

Walter von Stoltzing stara się o to, aby zostać mistrzem w cechu „meistersingerów”; nie przeszedł szkoły, nie zna reguł. Wymienia mu je Dawid; lecz „straszny tonów stek” przeraża Waltera, nie przyzwyczajonego do ich pedanterji i bezwzględnego zastosowania przy śpiewaniu „konkursowym”. Jakie to były reguły, o tym już była mowa przy charakterystyce szkół poetyckich. Dawid, jako potulny i przyzwyczajony do urzędów „meistersingerowskich” terminator Hansa Sachsa, ostrzega Waltera:

„Iż mistrzem być, to błąd!
Śpiewakiem, poe^{ta}, trza być wprzód,
Zanim na mistrza podejmiesz trud.”

Walter, wiedząc, że od natychmiastowego zdobycia przezeń tytułu mistrza zależy otrzymanie ręki Ewy Pogner — odpowiada Dawidowi:

„Zostaje mi więc tylko mistrza plon!
Znaleźć mi trzeba do wiersza właściwy ton!”

Jego jedyną gwiazdą przewodnią jest miłość natury, której tajemniczym technieniem żyje, i miłość Ewy. *Te* dyktują mu prawa sztuki, wynosząc go ponad „kram reguł”; *te* zarazem dają mu nieograniczoną swobodę w pokonywaniu trudności, wynoszą ponad wyuczone w mozaikę szablonów meistersingerowskie i dają mu możność stworzenia sobie własnych, odpowiadających jego indywidualności praw twórczych. Gdy staje przed „mistrzami”, jako junak sztuki, dumny i niezależny, budzi w jednych niedowierzanie — zbyt bowiem jest wielkim, aby nie zasłużył na tę formę podziwu i uznania — u pedantycznego zaś Beckmessa pogardę, połączoną z zazdrością, przyczem, jak to często bywa w krytyce, ten śmieszny a surowy sędzia,

*) Bardzo wartościowa jest również rozprawka lipskiego docenta filozofji i estetyki, dra Raoula Richtera, p. t. „Kunst und Philosophie bei Richard Wagner” (Lipsk, 1906, 8°, 50 stron).

„merker“ ma podstawę do potępienia Wagnera w sprawie osobistej: współzawodnictwa o rękę Ewy. Tylko Hans Sachs, jako artysta, choć wierny zasadom i manierom swego czasu, rozumie, że Walter von Stoltzing ma swe prawa, według których tworzyć musi. Dlatego, przerywając Beckmesserowi, każe Walterowi śpiewać dalej, „na złość krytykowi“, przyczem i Walter znajduje sposobność pokazania „mistrzom“, że i według ich formuł umie stworzyć dzieło sztuki. Ale „mistrze“ słuchają głosu krytyka ze swego obozu.

„Kein Absatz wo, kein Koloratur,
Von Melodei auch nicht eine Spur!“

Ten wyrok Beckmessera zawiera wszystkie te zarzuty, które czyniono Wagnerowi, że brak mu formy, melodji, koloratury, że jego dzieła — jak wyraził się największy z Beckmesserów, E. Hanslick, autor pracy „Vom Musikalisch-Schönen“, tłumaczonej na język polski przez St. Niewiadomskiego — że jego dzieła „są końcem wszelkiej muzyki“. Nim Walter rozpoczął śpiew przed „mistrzami“, bada go jeszcze jeden z nich (Kothner), „kto zacz i skąd pochodzi“; jest to znane postępowanie zaśniedziałych muzykantów i krytykastrów, którzy zazwyczaj, nie mogąc oprzeć się napierającym na ich rzemiosło niezależnym muzykom, badają ich życie, wiek i stosunki, co rozstrzyga w ich sądzie o nowym, indywidualnym talencie, zamiast tego co i jak ten talent tworzy. „*Nil novi sub sole!*“ *) Walter, zgniewany postępowaniem Beckmessera, opuszcza z impetem katedrę, na której śpiewał. I to się nie podobą szanownej klice. „Nawet z katedry zeskoczył“ — a więc nie trzyma się taktyki tych zwyczajów, które zjednoczona w tępoście klika przyjęła za *conditio sine qua non* zewnętrznej reprezentacji. Daremnie Hans Sachs wskazuje „mistrzom“, że ich reguły mogą mieć zastosowanie tylko w tej dziedzinie, w której sami tworzą, Walter zaś należy do innej twórczej sfery. Powstaje awantura, wzniecona „oczywiście“ przez intruza-Waltera. „Mistrze“ nawet między sobą kłócą się (Beckmesser i Sachs), jako że i w klikach, zjednoczonych wspólnym hasłem (wzajemnej pomocy i usługi) znajdują się zarzewia sporów w postaci spraw prywatnych, co zresztą nie przeszkadza im łączyć

*) Stosunek pewnych „mistrzów“ i krytyków naszych do „Młodej Polski w muzyce“ jest jakby fotografią niektórych scen „Śpiewaków-mistrzów“.

się przeciw wpólnemu „wrogowi“ i, podobnie jak Beckmesser, posługiwać się w danym razie nawet oszczerstwem i inwektywą, a przede wszystkim uprzedzeniem i... fałszowaniem praw tworzenia, wśród powoływania się na rzekome „wzory klasyczne“.

A więc Walter nie został „wyzwolony“ na mistrza, nie otrzyma ręki Ewy, gdyż Pogner „mistrzostwo“ postawił za warunek jej otrzymania. Beckmesser, łakomy na ten przysmak, cieszy się, że Walter przegrał sprawę; boi się nieco Hansa Sachsa, który, jako pierwszy mistrz Norymbergi, mógłby przy śpiewaniu „konkursowym“ zdobyć nagrodę, ale jest dość pewny swego, skoro Sachs zgromił go słowy:

„Nie, mój cenzorze! Zbyt mylisz się.
Młodszym od nas ma być młodzian ten,
Co Ewki naszej spełni sen“.

Czyli: Hans Sachs nie będzie się starał o rękę Ewy, a rycerz „mistrzem“ nie został. Pogner jednakże uczynił zastrzeżenie, że wybór zależy od jego córki i od sądu ludu, który oceni „na łące“ śpiew kandydatów. To nieco przeraża Beckmessera. Ale i Ewa straciła nadzieję spełnienia swych pragnień wobec „niepowodzenia“ Waltera. Wybawcą może być tylko Sachs.

Akt drugi i pierwsza odsłona aktu trzeciego dają nam wyjaśnienie i psychologję Sachsa. Stary „Schuster und Poët daz“ żywi miłość do Ewy, miłość napół ojcowską. Jednak, wiedząc, że córka Pognera kocha Waltera, rezygnuje ze swych uczuć na rzecz dumnego rycerza, którego pieśń przejęła jego duszę i zjednała wyjątkowy respekt. To też gdy Beckmesser podejrzywał Sachsa-wdowca o konkury, Sachs dał mu odpowiedź miażdżącą. — Wieczorem zasiadł do warsztatu i pragnął myśli o Ewie zagłuszyć pracą. Zapach bzu i wiosna przejmują go; daremnie walczy z rezygnacją: „*s will halt nicht gehn!*“ A pieśń wiosenna Waltera, natchniona miłością, jeszcze nie przebrzmiała w jego sercu. On ją pojął:

„Lenzes gebot, die süsse Not,
Die letzten's ihm in die Brust:
Nun sang er, wie er müsz',
Und wie er muszt', so konnt'ers“.

Sachs czuje: i on mógłby o tym śpiewać... Ale... Czy nie lepiej byłby los z nim postąpił, gdyby mu odjął

twórczość...? Cień rezygnacji kładzie się na jasne myśli starego mistrza. I wśród takiej chwili zbliża się Ewa z prośbą o poradę — do niego właśnie, jakby na ironję. Ironja udziela się i jemu, ironja humoru, czy humor ironji. Przyjmuje Ewę żartami, które obrażają jej stroskaną duszę... Właśnie robi buty dla sławnego kawalera, któremu ona jutro będzie nagrodą... Ewa jednak szuka ocalenia i zapytuje Sachsa, czy i wdowiec mógłby wziąć udział w śpiewaniu konkursowym... Teraz Sachs odczuł przykrość z jej słów, obliczonych na podstęp. Nie — wdowiec zrezygnował. Ewa byłaby mu w domu żoną i dzieckiem.

„Miałby zabawkę po wieczny czas“.

Ale Hans Sachs jest stary. Ewa wprawdzie mówi:

„Cóż znów, za stary? Wszak sztuka tam
Rozstrzygać ma — nie serca ton“.

Sachs wie, dlaczego to Ewa mówi. Jest nieco zgniewany. Dlatego mimo uznania Waltera, że

„On mistrzem nie będzie nigdy zwan!
Kto mistrzem jest urodzony.
Ten między mistrzami ma ciężki stan“ —

mimo to radzi Ewie, aby „dumnego panka“ opuściła, „a szczęście gdzieś indziej błysnie mu“. — Gniew Ewy nie ma granic. Odchodzi z gniewem — „czuć smole tu“. Ale Sachs czuwa nad jej szczęściem. Odtąd ujął cały los Ewy i Waltera w swe ręce. Wie, że swym mistrzowskim śpiewem mógłby zdobyć turniej „na łące“ przed ludem, jako sędzią — ale postanowił nie śpiewać, i ta rezygnacja właśnie jest treścią wewnętrzną, *muzyką* „Śpiewaków-mistrzów“; w muzyce czujemy swobodną i wolną od trosk rezygnację. *Słyszymy*, że Sachs czuje co innego, a co innego mówi do Ewy. Jeśli on teraz nie ujmie w swe ręce całej sprawy, rycerz i Ewa nie znajdą szczęścia. Pragnie jednak rzecz przeprowadzić uczciwie, ale zarazem swą przewagę pokazać w całej pełni. —

Walter i Ewa siedzą pod kwieciami białymi; nie widzą innej rady, prócz ucieczki. Sachs patrzy na to z okien swego warsztatu i czuwa nad wykonaniem swego planu. Dlatego przeszkadza Walterowi w uprowadzeniu Ewy — zręcznie i uczciwie, nie przemocą, lecz podstępem. Stół swój stawia przed domem, tak że kochankowie nie

mają wolnej drogi do ucieczki, zwłaszcza że i stróż nocny w pobliżu, a Beckmesser oto nadchodzi właśnie, aby zaśpiewać Ewie serenadę. Hans Sachs w siódmym niebie — gdyż wszyscy troje wpadli w jego ręce. „Dla zabicia czasu“ śpiewa piosenkę o Adamie, Ewie i wynalazku butów; a w piosnce tej dopatrują się ukryci kochankowie ironicznych uwag, do siebie skierowanych. Wiedzą, co znaczy „wbicie sobie w piętę ostrego ówieka“ przez nich oboje, wiedzą, że to jest właśnie ich troška wspólna, z której ich Sachs tylko przez „uszywanie butów“ (Beckmesserowi) wybawi. Beckmesser doznaje ze strony Hansa przeszkody w wykonaniu serenady. Śpiew Sachsa pobudza go do wściekłości, stąd nie szczędzi brutalnych przezwisk, które nie skutkują; pragnie więc pochlebstwem dopiąć celu.*) Hans Sachs podstępem zachęca Beckmessera, zapowiadając mu, że w razie błędu w jego śpiewie stuknie młotkiem w kopyto. Beckmesser śpiewa, lecz czyni tyle błędów, że Sachs pukać nie przestaje.***) — Na balkonie pojawiła się Magdalena w ubraniu Ewy; Beckmesser sądzi, że to Ewa, Dawid zaś, zwabiony serenadą „merkera“, wychodzi z warsztatu i, myśląc, że Beckmesser śpiewa serenadę jego narzeczonej, Magdalenie, rozpoczyna próbować wytrzymałości pociągła na rozamorowanym przeciwniku Sachsa i Waltera. Awantura wszczynają się wśród wrzasków czeladników i mistrzów, zwabionych bitką. Zaczynają wszyscy przypominać sobie osobiste „rachunki“ i urządzają regularną „Rauferei“, tak charakterystyczną dla małomiejskich i wiejskich stosunków „towarzyskich“ w Niemczech. Walter i Ewa znaleźli się w przykłej sytuacji, z której jednak postanawiają skorzystać: mianowicie Walter z dobytym mieczem chce przecisnąć się przez rojowisko ludzi. Hans Sachs jednak czuwa. Chwyta rycerza za ramię i wciąga do swej pracowni, Ewę zaś popycha w ramiona Pognera, który też wyszedł przed dom. Stróż nocny zjawia się na pobojuwisku, lecz nie zasłaje nikogo.***)) Nastaje cichy

*) Wyborny symbol tych dzisiejszych „mistrzów“, którzy dla egoizmu i „sławy czy zysku“ zmieniają swe poglądy i stosunki do każdej osobistości, zależnie od tego, czy posiada zewnętrzne wpływy, czy też nie. Muzyka polska wie coś o tym.

**) Ci sami „mistrze“ wytykają błędy innym, sami jednak nie mogą się bez nich obejść.

***)) Doskonały symbol czasopism, które sprawy artystyczne załatwiają „post festum“, nigdy nie zabierając głosu wtedy, gdy należy — rzekomo dla obiektywności. Spełniają wprawdzie swój

nastrój księżycowej nocy w starym miasteczku, a ospale brzmiały róg stróża nocnego dopełnia resztę. (Kto miał sposobność błędzenia nocą po ulicach starej Norymbergi, wychodzących na otoczony starymi drzewami i zarostami zamek, ten znajdzie obraz swych uczuć i wrażeń w precyzyjnej, a tak prostej muzyce, kończącej drugi akt arcydzieła Wagnera).

Akt trzeci zaczyna się nieco epizodyczną sceną Sachsa z Dawidem. Przechodzimy dlatego do monologu Sachsa, najgłębszej części „Śpiewaków-mistrzów”. Wstępem poniekąd do słynnego monologu jest symfoniczna przygrywka do tego aktu. Nie można sobie bez niej wyobrazić trzeciego aktu, jakkolwiek znajduje ona pewną wariancję po raz drugi w monologu. Przytaczam równie piękne, jak treściwe i trafne słowa prof. d-ra G. Adlera: „Wstęp do trzeciego aktu ujmuje postać Sachsa w jej indywidualności, jako artystę i człowieka. Rezygnacja, która objawia się w połączonym z pieśnią szewską temacie „szalu-złudzenia“^{*)} osiąga tu łagodny, wyzwolony wyraz. Podwójne wprowadzenie hymnu reformacyjnego, pełniej i okazalej brzmiącego przy drugim powtórzeniu, symbolizuje zarazem rozpowszechnienie jego sztuki wśród ludu... Jako człowiek—rezygnowany, jako artysta—dążący naprzód i porywający za sobą, jest Hans Sachs zarazem reprezentantem każdego szczerzego artysty. W nim widzimy Wagnera w pełnej dojrzałości, tak jak w Walterze młodego Wagnera z epoki burzliwego parcia naprzód („Richard Wagner“, str. 301 i nast.). Ta rezygnacja jest, jak Henry Lichtenberger słusznie w swej dość już przestarzałej książce o Wagnerze zaznacza, „nie kwietywem, lecz motywem (podniętą) działania woli, początkiem nowszego, wyższego życia („Rich. Wagner als Dichter und Denker“, Dresden und Leipzig, 1899, str. 409—10), a „przez bohaterską rezygnację osiąga najwyższą doskonałość, jaką człowiek osiągnąć jest w stanie“

obowiązek, podobnie, jak ów stróż nocny, ale zawsze za późno. Albo ostrzeżenie stróża:

„Strzeżcie się nocnych duchów i mar!“

czyż jest mało wymowne? Trudno o bardziej ironiczny symbol!

*) „Wahn“ tłumaczy p. A. Bandrowski jako „szal“, co nie odpowiada pojęciu, które Wagner miał na myśli; dokładniej można je określić, tłumacząc: „szal-złudzenie“. Wszak monolog Sachsa — to szopenhaueryzm w zastosowaniu do dramatu muzycznego.

(tamże, str. 405). Prolog symfoniczny i monolog Sachsa — to jakby dyrektywa jego czynów, które widzimy w akcie trzecim, w obydwu odsłonach. Jak w całym dziele, tak zwłaszcza w monologu, cała akcja jest przeniesiona „nach innen“, a więc to, co Sachs mówi do siebie, posiada drugorzędne znaczenie wobec tego, co dzieje się w jego duszy — w muzyce. Rozmyślenia Sachsa przerywa Walter, który na wezwanie swego „gospodarza“ opisuje swój sen. Hans Sachs uczy go przytym „reguł“ mistrzowskiego śpiewu, jakkolwiek Walter niema nadziei zostania „mistrzem“ i z pogardą o „kramie reguł“ się wyraża. Sachs tłumaczy mu ich pożytek, a zarazem tajemnicę tworzenia:

„Gdy w nas młodości szczęsnej czar roznieca swe zapaly, że kochać chcesz świat cały, gdy pierś się wzdyma, wre w niej żar, zaśpiewać pieśń wspaniałą już wielu się udało; to maj ten śpiewał sam, gdy lato, jesień i zimy czas z troskami się zbliżyły... W doli tej, zamiast ziewać, zdołasz ty pieśń zaśpiewać, wówczas mistrzem będziesz zwany!... Reguły mistrzów trza posiadać i niemi zręcznie zawsze władać, to wspomnień wierni stróże, tych w młodych lat naturze wznieconych żarów, miłości czarów, ukrytych na serc waszych dnie, gdybyście nawet stracili je“.

Walter śpiewa pieśń o swym śnie: dwie pierwsze zwrotki „baru“ udają się. Trzecią, mającą być wyjaśnieniem snu, przyniesie „czas“. Sachs i Walter gotują się do popisów „na łące“.

„Obaj się przystrojmy świetnie...“

Gdyż świetny czyn wykonać trza“.

Przechodzą do innej izby, aby to uczynić.

Tymczasem wchodzi Beckmesser i znajduje na stole tekst pieśni, śpiewanej właśnie przed chwilą przez Waltera, a spisanej przez Sachsa. Oczywiście jest pewny, że Sachs będzie śpiewał na turnieju, aby Ewy rękę zdobyć. Najprostsza zatem rada: ukraść pieśń. Sachs wchodzi znów do pracowni. Wśród miotań się Beckmessera wychodzi na jaw jego kradzież i bezczelność, polegająca na tym, że, mimo swego podłego czynu, ośmiela się on nazwać Sachsa „najgorszym ze złodziei“. Karczemne popisy tego „mistrza“ napotykają na wspaniałomyślną wyniosłość Sachsa, który *darowuje* mu pieśń, a nawet zobowiązuje się nie przyznawać się do niej — wszak wie, że

Beckmesser nie pojmie jej i nie znajdzie „Weise“ do tego „Tonu“, gdyż ubiegłej nocy przekonał się, że umie on dość, ale źle. Beckmesser ucieszony, że bez trudu zdobył „pieśń turniejową“.*)

Ewa przychodzi następnie do Sachsa, niby „za interesem“, w gruncie rzeczy jednak z prośbą o radę. Najlepszą odpowiedzią była... trzecia zwrotka Waltera, który znalazł „wytłomaczenie“ snu, ujrzawszy Ewę. A gdy Sachs pochwalił mistrzowski śpiew Waltera, Ewa domyśliła się, że on właśnie nauczył jej rycerza reguł mistrzów; poznaje zarazem, jak bardzo nie poznała się na Sachsie, który ujął w swe ręce ster jej szczęścia. Wie, że Sachs zwyciężyłby na turnieju, z drugiej jednak strony mistrz

„zna o Tristanie i Izoldzie
Straszliwie smutną baśń;
nie chciałby w tym akordzie“...

grać roli króla Marke.**) Popycha Ewę w ramiona Waltera, którego pieśń oznacza cechową nazwą: „Morgen-trammdentweise“. Ogólne zadowolenie i wyzwoliny Dawida kończą tę odsłonę...

W ostatniej odsłonie Beckmesser śpiewa pieśń Sachsa fałszywie, wskutek czego traci nagrodę. W końcu zarzuca mu publicznie, że to on jest autorem tej pieśni, co Hans Sachs energicznie odpiera, oświadczając na to, że Beckmesser skarykaturował swą nieudolnością dzieło Sachsa. Jak ono ma brzmieć — to wskaże Walter. Rycerz śpiewa; pod wrażeniem chwili i Ewy zmienia pieśń swoją nieswoją, dodając jej pod wpływem uczucia — blasku i do-

*) Jako bliższe objaśnienie czynu Beckmessera, możnaby i z naszej kultury muzycznej przytoczyć analogiczne fakty. Jednym z nich byłaby „kwestja stosunku do pieśni ludowej a oryginalność inwencji“. Wszak niejednen Beckmesser, nie mający inwencji, umie posłużyć się ludową melodią, zwłaszcza mało znaną ogółowi, a nie podać źródła, skąd melodję wziął. Albo owe podstępne powoływanie się na „narodowość w muzyce“ i... krzywo-przysięganie na Chopina?! Co się zaś tyczy oryginalności teoretycznej i (cichego) stosunku do obcych, „daran zu deuten wag ich kaum.“

**) P. Bandrowski tłumaczy: „mieć z królem Marke waśń“ (tekst oryginalny: „...wollte nichts von Herrn Markes Glück“)!! Wszak w tym wypadku królem Marke byłby Sachs, a Tristanem, który „właśnie miał z królem Marke waśń“, byłby Walter. Tekst oryginalny należy wszak pojąć ironicznie.

skonałości. Otrzymuje od Ewy wieniec wawrzynowy, od Pognera zaś łańcuch, jako mistrz. Walter jednak

„Szczęśliwym bez mistrzów być chce“.

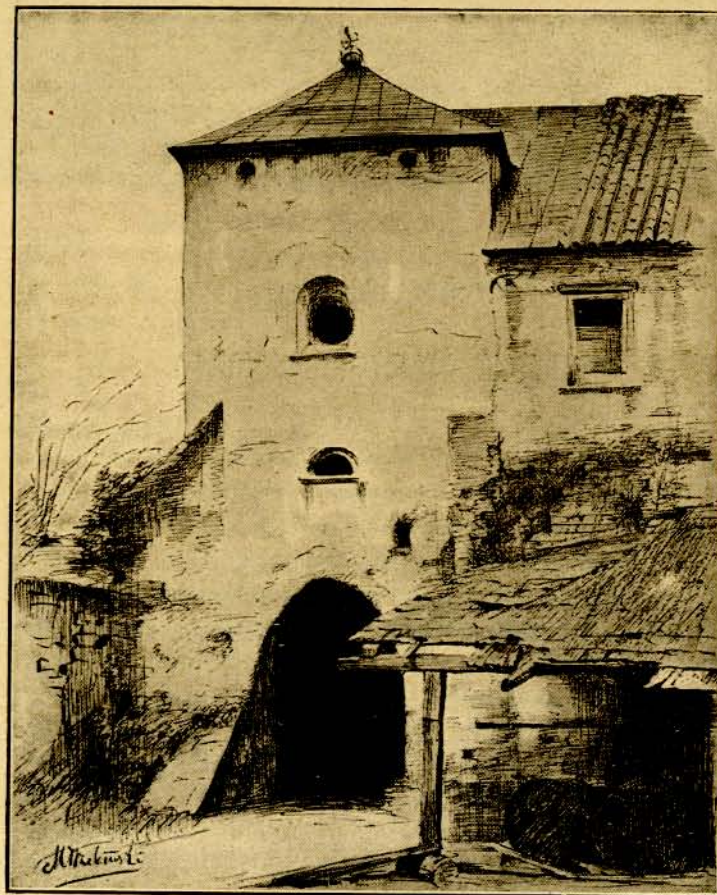
Sachs poucza go, że dzięki nim osiągnął dziś swe szczęście, nie zaś z powodu swych antenatów i herbów.

„Szczanujcie mistrzów dzieła,

By cześć ich nie zginęła!“

Sachs zawiesza łańcuch na piersiach Waltera, Ewa zaś wieniec wawrzynowy honoruje Sachsa, którego mistrze zwą swym naczelnikiem; lud urządza mu owację.

(Dok. nast.)





Na fali.

JUBILEUSZ ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

Po dniach burzy i wrzenia, po wiośnie rozbudzonych nadziei i marzeń — przeżywamy obecnie słotne dni jesieni. Powiędły zwarzone mrozem kwiaty, opadły z drzew liście, skapane w krwi purpurze. I drobny, lecz dotkliwy deszczyk bez przerwy siecze nam twarze, drażniąc jednych, wywołując w innych apatię i przygnębienie, zwykle uczucia chmurnych i dżdżystych dni jesiennych. „Co tam! Przyzwyczajmy się“ — mówią ci i owi i podnoszą wysoko kołnierze od palt, a ręce zbroją w parasole. Lecz o przyzwyczajenie nie tak łatwo. Więc zarówno instytucje i ciała zbiorowe, jak atomy społeczne — jednostki, pędzą z dnia na dzień życie w niepewności,

zdając się tylko czekać z niepokojem, jaką niespodziankę przyniesie ranek najbliższy...

Jedną z najmniej oczekiwanych i — co prawda — najmniej miłych niespodzianek takich — był wydany w ostatniej chwili, bo w przededniu otwarcia obrad, zakaz zapowiadanego od roku blisko i zatwierdzonego już w każdym szczególe zjazdu jubileuszowego w celu uczczenia czterdziestoletniej pracy literackiej, naukowej i społecznej Aleksandra Świętochowskiego.

Praca była niepospolita i owocna niezwykle, uczczenie w tej czy innej formie należało się jej niewątpliwie, nie ze względu na Jubilata nawet, bo widzieliśmy przecież, jak „dumnie, bez świata oklasków“ umiał on całe lat dziesiątki być sternikiem „duchami napełnionej łodzi“, ale wprost ze względu na odczuwaną szeroko potrzebę złożenia mu hołdu publicznego.

W ciągu lat czterdziestu Aleksander Świętochowski szerzył w społeczeństwie naszym zasady liberalizmu i demokratyzmu, był gorącym rzecznikiem postępu, był humanistą szlachetnym, stojącym wytrwale w obronie praw człowieka i praw narodu, był przytym jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich ostatniego czterdziestolecia, jednym z najgłębszych naszych myślicieli. Działalność jego, niezwykle śmiała i bezwzględna, spotkała się z oporem świadomym szermierzy przeciwnego obozu i z groźniejszą bodaj od nich inercją i bezwładnością pseudointeligientnych mas, zasklepionych w formułkach utartych i lękających się wszelkiej nowości. Nie było oszczerstwa, któregooby na niego nie rzucono, nie było kamienia, którymby go nie próbowano zranić, nie było kałuży, w którejby go skapać nie chciano. Ale kamienie i błoto odbijały się od jego piersi, wykutej, zda się, ze złomu greckiego marmuru. On przetrwał wszystko, na krok nie zbaczając ze swej drogi, nie wyrzekając się żadnego z hasel swej górnej i chmurnej młodości. Miał wrogów, ale miał również wyznawców i wielbicieli gorących, co hasła jego podjęli i popularyzowali. I doczekał się, że zaczęły one

wsiąkać w mózg i krew społeczeństwa, że stopniowo i nieświadomie przejmowali je nawet przeciwnicy.

Jeżeli w narodzie naszym od czasu pierwszych wystąpień Świętochowskiego nastąpił przewrót olbrzymi, jeżeli z klerykałno-szlacheckiego staliśmy się społeczeństwem nowożytnym, zdolnym do przyjmowania zarówno prądów życia współczesnego, jak poważnych wyników wiedzy, to leży w tym niewątpliwie niemała zasługa Jubilata, który jednym i drugim drogę torował, jedno i drugie popularyzował i szerzył...

Niejedną z myśli, niejedną z pewników, które dziś wątpliwości w nikim nie budzą, trzeba było dopiero z trudem niemałym szczepić na gruncie naszym, a ogrodnikiem, który tę pracę podejmował, który jej dokonywał ręką śmiałą i zręczną, choć czasem bolesną w dotknięciu, był właśnie prawie zawsze Świętochowski. Dziś, chociaż szron ubielił jego głowę zasłużoną, choć siły poderwała choroba, nie zszedł z posterunku, nie wypuścił z dłoni sztandaru postępu i poważnej pracy kulturalnej, w których widzi przedewszystkiem zadatki lepszej przyszłości.

* * *

Projektowany obchód jubileuszowy nie doszedł do skutku w formie zamierzonej. Miano wypełnić zjazd kulturalny na cześć Świętochowskiego szeregiem zebrań publicznych, poświęconych rozważaniu bądź wielostronnych zasług Jubilata, bądź najpilniejszych potrzeb naszych społecznych i oświatowych. W programie były również przedstawienia teatralne „Ojca Makarego“ i „Aspazji“, z których to ostatnie tylko doszło do skutku, pozbawione zresztą uroczystego, jubileuszowego charakteru.

Przybyły delegacje z adresami, przybyło dużo osób z różnych stron kraju, lecz wobec odwołania wydanych pozwoleń nie mogły zebrać się nawet razem i prywatnie tylko składały w ciągu dni paru życzenia i hołdy wielkiemu pisarzowi i działaczowi. Ale sama liczba przybyłych, obfitość zwłaszcza pokrytych tysiącami podpisów

depesz i adresów, między którymi widzieliśmy i takie, co nadeszły ze stron dalekich, z krańców Azji i Ameryki, a niektóre z bardziej nawet daleka, bo—od przeciwników politycznych Jubilata, wszystko to razem świadczyło wymownie o uznaniu i czci, otaczających dziś jego imię. Stało się ono, istotnie, pewnego rodzaju symbolem i sztandarem dążeń, w których obronie posiwiał Świętochowski.

W pamiętce dni jubileuszowych, wydanej przy tej okazji, mamy sformułowane w wyrazach lapidarnych promienne hasła, które przyświecały czterdziestoletniej pracy Jubilata. Gorącą miłością ogarnął on naród cały, ale, jak sam powiada, ukochał Polskę, nie jako szlachciankę i dewotkę, lecz jako orędowniczkę wolności i męczennicę. „Kto chce — czytamy tam — wydzielić ze społeczeństwa jakąś jedną jego gromadę, a inne skazać na śmierć, niech budzi i błogosławi te wichry, które wstrząsają naszym życiem i które rozdmuchują nas, jak tuman kurzu. Ale kto usiłuje i pragnie ratować cały naród, niech nie przyczynia się do obsiewania jego ziemi nienawiścią i do obciążania jego nieba gromowami chmurami.“ Autor pragnie wytworzenia wszelkiej mocy kultury, nie tej wszakże — dodaje — „która jest sytością lub przesytem, ogładą lub wiedzą wierzchniej warstewki społeczeństwa, leżącej na ciemności i nędzy niższych, ale tej, która jest oświatą i dobrobytem całej masy narodu“. Przemawiając gorąco w obronie ludu, „który jest piastunem polskości i twórcą naszego dorobku materialnego“, protestuje przeciwko narzucaniu na jego szyję arkanów partyjnych. I wierzyć nam każe w to, „co już dawno powiedziano, że Polska albo będzie ludową, albo istnieć przestanie“.

W krótkim „orędziu“ swoim Jubilat powtórzył raz jeszcze lub streścił to, co już przedtym mówił nieraz. Po długim doświadczeniu i rozmyślaniu pozostał przy hasłach młodości i wierze niepożytej w przyszłość lepszą.

* * *

Redakcja „Sfinksa“ poświęciła twórcy „Aspazji“ i „Duchów“ znaczną część zeszytu czerwcowego, gdzie obok artykułów o Świętochowskim, pięknego wiersza Konopnickiej i obszernej rozprawy Kotarbińskiego o „Duchach“, daliśmy czytelnikom świeżo napisany początek ostatniej części tego poematu dramatycznego, oraz wykonaną artystycznie reprodukcję portretu Jubilata.

Dziś pragnęliśmy tylko wyrazić żal, że znalazły się przeszkody niespodziewane, które nie pozwoliły skutecznie zapowiadającego się tak pięknie obchodu, i życzyć zarazem znakomitemu pisarzowi, by w pomyślniejszych warunkach dane mu było święcić złote z literaturą gody.



Z MYŚLI A. ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

...Gdy gienjusz odezwie się do ludzkości, ona mu naprzód odpowie kłutwą, a później dopiero błogosławieństwem...

...Trzeba nieść przed ludzkością, czy też przed narodem, wielką pochodnię, a nie poza niemi trząszyć długim batem. Niech rzesze ludzkie będą uczone przez tych, którzy je kochają, a nie gnane przez tych, którzy niemi rządzić pragną...

...Jedyną siłą rewolucyjną w świecie jest idea postępu, dla której niema nic wiecznego i świętego, która ciągle żąda zmian i wprowadza je, która niczemu nie pozwoli bezkresnie trwać i nikomu bezwzględnie panować...

...Jak ludy pierwotne odstraszały krzykami zaćmienie słońca, tak my nieraz odpędzamy nowe idee, które nam zakrywają blask tradycji, lub jak dzieci, dla rozjaśnienia mroku naszej chaty, rozkładamy po kątach świecące próchno...



Oeny i sprawozdania.

LITERATURA POLSKA.

ZOFJA WÓJCICKA-CHYLEWSKA. „Listy do Pana Boga“. Spowiedź grzecznej dziewczynki. Lwów, 1908. Nakład księgarni polskiej B. Połonieckiego.

Zbyt wiele aktualnego materiału etycznego zawiera ta książka: zachodzi obawa, by wśród nawału refleksji, które wzbudza, nie utonęło odczucie jej wartości artystycznej. Będą prawdopodobnie wiele pisali za i przeciw, rozbierając przeważnie treść dzieła.

Tymczasem „Listy do Pana Boga“ są dziełem sztuki. To przede wszystkim. Dlatego Anusia jest taką żywą, każdemu znaną pensjonarką. Dlatego, pomimo czuwającego nad nią oka Opatrzności, potrafi złościć się na dokuczającego Tadzika, martwić się z powodu odmrożonego nosa, zwracać uwagę na ładnie rozrzucone swe włosy i obmawiać swe koleżanki. Dlatego, chociaż zamiarem dzieła było wykazać ujemny wpływ ponurych dogmatów na rdzennie wesołą duszę dziecka, widzimy w niej tyle uroczej poezji, ptaszczej egzaltacji i białej, dziecięcej prostoty w porywach religijnych, w praktykach pobożności, w naiwnym prozelityzmie.

Metoda realistyczna została zastosowana bardzo trafnie do odtworzenia duszy dorastającej dziewczynki. Obfitość cech osłabia tendencyjność utworu, która raz i zawsze tam, gdzie autor jedną jakąś strunę zbyt natrętnie potraça. Zbyt jednostronne upostaciowanie idei byłoby znowuż symbolizmem i nie poruszyłoby nas tak, jak ta żywa, cier-

pięta i radująca się dusza podlotka. Autorka nie pokazuje nam załamania idei, lecz każde załamanie przeżyć, niejako w sobie doświadczając razem z bohaterką utworu, owianą taką ciepłą, taką przychylną sympatią. Chodzi tu nie o słuszność tego lub owego systemu wychowawczego, nie o prawdę i racjonalność, lecz przede wszystkim o te maleńkie, śmieszne, trzepoczące się bezradnie serduszek dziewczynki. I ten styl—niezaprzeczenie pensjonarski, niezdarny styl—nawet na końcu, kiedy brzmi trochę po bajronowsku patetycznie, wzywając śmierci i kląć życie—jest autentyczny, jest skopjowany z tych niezliczonych kajecików, które pisały podlotki naszych czasów, przeżywając pierwsze zwątpienia religijne i pierwsze „przebudzenia się wiosny“. I były to objawienia pierwsze na świecie i jedyne. I były to męki prawdziwe, doprowadzające do bólów głowy, do anemji, do ponurego smutku. Czyż dziecko jest zdolne do tego?—zapytają cudzoziemcy w państwie dzieci. Właśnie dzieci są zdolne. Dzieci odznaczają się tym, że wszystko biorą poważnie. Anusia Lewicka poważniej brała kwestję życia, niż ksiądz katecheta. Starsi są w stanie zadowolnić się względną hipotezą i zanurzyć się całkowicie w sferze czynu. Dziecko żąda kategorycznej odpowiedzi. Dziecko żąda bezwzględnej białości. Jedna plama zabija wszystko. Dziecko nie zna jeszcze tajemnych sprężyn życia, i biada mu, jeżeli uwierzy w przykazania swych moralistów, a co gorsza, zechce je w życiu stosować. Przykazania te są tego rodzaju, że wszczepiają rozkład w życie i przytępiają jego instynkty.

Żadna dylektyka katechizmowa nie podeprze tego, co obala niepowstrzymany prąd życia. I nie ostoja się wiara, osnuta na walce z życiem. I czyż nie jest grzechem naszym, grzechem małoduszności dorosłych, że pod wpływem oportunizmu pozwalamy dzieciom naszym wiarę tę w dusze wszczepiać i już przez tyle pokoleń koło roku piętnastego—przeżywać szaleństwo zwątpień, rozpacz pamięci o karzącej dłoni, wiekuisty popłoch pod nieodwracającym się nigdy inkwizytorskim okiem?

Czytajcie, kochający rodzice, coście tyle małostek i kompromisów uczynili „dla szczęścia dziecka“—czytajcie! Niech się wraża w wasze zasnute pajęczyną codzienności mózgi obraz okropnej męki dziecka, nieufności jego do was, ciężaru tego systematu wychowawczego, który mileżącym zezwoleniem utrzymujecie! Wczujcie się

w osamotnienie dziecka, które ze swym pytaniem do was zwrócić się nie śmie i ma świat własny, szczelnie od was odgradzony.

Życie dorastającego dziecka jest samotne i bezcelowe. Wie ono, że kiedyś przyjdzie to, co nazywają „życiem“, a teraz jest dla niego okres przygotowawczy. To wzmacnia w nim pierwiastki refleksji i liryki—duszę zaczyna trawić rozpaczna metafizyka i tragiczne zapasy z rozbudzonemi zmysłami.

Przeciwdziałać temu można przez wypełnienie życia dziecka czymś, co go przy ziemi, w weselnej atmosferze czynu utrzyma. Rozwój życia koleżeńkiego, zagadnienia społeczne, obcowanie z przyrodą, stowarzyszenia młodzieży, dające im jakiś cel, stawiające jakiś ideał—wszystko to pozwala z większą łatwością przebyć okres budzącego się krytycyzmu i dojrzałości fizycznej. A przede wszystkim—nie wolno wpajać w dzieci poglądów, które, tamując badawczość, wydają uczucie na krwawe tortury i pod brzemieniem przedwczesnej surowej odpowiedzialności, zabijają wszelki odruch bezpośredni.

Może autorce przyświecał przykład Franka Wedekinda, gdy swą książkę rozpoczynała, lecz potraktowała przedmiot zupełnie oryginalnie, i mała bogoburzyni Anusia Lewicka, jest prawdziwą polską dziewczynką. Jej chodzi nie tylko o swoje zbawienie, lecz i o zbawienie innych. Pierwszy to doskonały przyczynek do psychologii dorastających dzieci w naszej literaturze. I dlatego rodzicom, którym chodzi o rozumienie swych dzieci, nie wolno nie przeczytać tej książki.

SAVITRI.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI. *Miasto*. Str. 357. *Doktor Tomasz*. Str. 290. Powieści. Warszawa, Gebethner i Wolff.

„Są ludzie“, powiada autor, „którzy urodzili się ze stygmatem nieszczęścia na czole i wszystko, do czego się dotkną, znaczą swoim piętnem“. Są ludzie dobrzy, bardzo dobrzy, którzy może wskutek właśnie swej dobroci, biernej, bezwładnej dobroci—przynoszą ludziom nieszczęście. Mają fatalistyczne ręce, samo ich dotknięcie pali szczęście ludzkie, jak kłaki słomy. Zło tkwi nie w tych ludziach, jak nie w ludziach wogóle, ale istnieje poza niemi, jako zasada kierownicza bytu. Buduje i niszczy, wdeptuje ludzi w ziemię, tarza niemi po świecie, pluje z kąta w kąt, wlecze po ostrych kamieniach, wytrąca

z ręki miecz wielkich, potężnych czynów, a wkłada ni-
 kła, drewnianą szabelkę, upadła i skonać nawet im nie
 pozwoli, gdy czują się już ostatecznie zmechrani, uty-
 tłani błotem, gdy duszą się trupim ocuchem własnych dusz.
 Wszystko dzieje się mocą nieodwracalnej konieczności,
 przewidzieć, zapobiec nie można. Tak twierdzi autor—
 i tezę swoją demonstruje na szeregu postaci, które w obu
 powieściach (jedna jest dalszym ciągiem drugiej) przed
 oczy nasze stawia. Doktor Tomasz Powalski, Edwin, Nos-
 sek, Ignas, Irena, pani Ożdżyna—wszyscy ulegają jakiejś
 strasznej, nieublaganej konieczności, wszyscy cierpią lub
 sprawiają innym cierpienia — bo tak chce Zło, panujące
 nad życiem. Z metafizyką autora można się spierać,
 można zarzucić jej brak oryginalności, podnieść jednak
 należy, że ma on swój punkt widzenia na życie, ma swój
 szczyt, z którego ludzkie mrowie obserwuje. Czy całą
 ludzką duszę wypowiadał, czy potrafił, jak powiada Ren-
 nan, dla zupełnego odczucia rzeczy ludzkich obok łez
 zachować uśmiech ironji, obok gniewu litość, obok czci
 śmiech—to rzecz inna, w każdym razie umiał podpatrzeć
 w ludziach to, co widzieć chciał. Z każdej karty prze-
 bija duża umysłowa i artystyczna kultura i takt artysty;
 postacie żyją, czują i myślą. Niektóre rozdziały, szcze-
 gólnie w pierwszym tomie („Miasto“) uderzają siłą pla-
 styki i bogactwem kolorytu. Taki np. Nossek skreślony
 jest po dostojewsku, choć autor umiał uniknąć płaczliwej,
 marmeladowskiej nuty wszechprzebaczenia.

Dziwić się tylko wypada, dlaczego autor, znający
 tak dobrze Paryż, nie potrafił dać nam w drugim tomie
 nic więcej nad to, co dał, kreśląc epopeję d-ra Tomasza
 w Paryżu. Pułkownik Żłobin, wynalazca polski, Nowa-
 kowski—to eine alte Räubergeschichte—tyle się to już
 razy słyszało. Wogóle drugi tom słabszy jest, niż pierw-
 szy, ale niepodobna z tego robić p. Jaroszyńskiemu za-
 rzutu: literatura nasza w ostatnich czasach nie ma szczę-
 ścia do drugich tomów.

HENRYK ZBIERZCHOWSKI. *Malarze*. Powieść, str. 340. *Grający
 las*. Nowele, str. 144.

Zbigniew Olęcki namalował obraz, który imię twórcy
 rozniósł szoroko po świecie i do bark jego orłowe przy-
 czepił skrzydła. Idzie więc p. Olęcki z całą świadomo-
 ścią swej mocy w świat po laury wciąż nowe, lecz po

drodze wpada w figlarne sieci Amora: zakochuje się w bo-
 gatej i, rozumie się, pięknej p. Eli i, gdy przezwycięży-
 wszy trudności, jakie stawia rodzina jego wybranki, już
 ma zostać jej mężem—rozmyśla się i nie żeni. Nagła ta
 zmiana postanowień wpływa niszcząco na jego rozsądek
 i p. Zbigniew usiłuje za pomocą nędznej deklamacji prze-
 konać nas i siebie, że coś dla sztuki uczynił. Taką jest
 treść powieści. Co do jej wartości artystycznej (utarło
 się bowiem, że każda „powieść“ wartość artystyczną po-
 siadać musi), to trudno orzec coś nad to, że jest to dość
 zręczne naśladowanie Sewera i jego „powieści z życia ar-
 tystów“, jak mu się nieraz swoje utwory nazywać podo-
 bało. Ani jedna postać nie jest należycie narysowana,
 ani jedna nie przemawia ludzkim językiem; ani jednej
 sytuacji ciekawej lub choćby zajmującej. Całość robi
 wrażenie silva rerum, w którym p. Zbierzychowski umie-
 szczał wszystko, co w swojej tece posiadał: wierszyny, pa-
 rodje znanych autorów, okruchy dorywczych obserwacji,
 pogłębianych na miarę rynsztoków, któremi płynie myśl
 najjałowszego odłamu cyganerii krakowskiej.

„Grający las“—zbiorek. Jest tam baśń czarodziejska,
 nowela, humoreska, fragment powieściowy, wizja—co kto
 woli! A wszystko jałowe i nieszczerze. Autor hołduje
 dziwnemu zwyczajowi: kraje w kawałki swoje powieści
 i ogłasza oddzielnie takie szmatki, jako nowele. Np.:
 w „Grającym lesie“ umieścił nowelę p. t. „W tę cudną,
 jedyną noc...“, która figuruje, jako część rozdziału, w „Ma-
 larzach“. Opowiadają, że Chińczycy mają kult dla za-
 drukowanego papieru—tłumaczy się to tym, że nie po-
 siadają zapewne powieści pisarzy miary p. Zbierzychow-
 skiego. *Il faut ennoblir l'art!*

JAN GRABOWSKI.

TADEUSZ KONCZYŃSKI. *Białe Pawie*. Komedja w 3-ch aktach.
 Warszawa 1909. Gebethner i Wolff. Kraków. Gebethner i Sp.
 Str. 87.

Konczyński należy do talentów, których rodzaj naj-
 trudniej określić, pomimo, że nie jest to wcale talent ży-
 wiołowy, bezpośredni, bujny, rewolucyjny, wśród szalonych
 szamotań się ducha, jego upadków i jego wzlotów—włas-
 nego słowa, prawdy własnej poszukujący. Przeciwnie,
 Konczyński jest nadto zrównoważony i spokojny, ma
 umysł bystry, szeroko ukształcony, w zjawiskach życio-

wych łatwo się orjentujący. Występował już jako poeta, krytyk, powieściopisarz i dramaturg. Wahałbym się z określeniem, która właściwie dziedzina jest jego własną, tą, której będzie nadal wierny.

Bądź co bądź we wszystkich dziełach Konczyńskiego mamy, jak dotychczas, wspólne zalety i wady: więc owo zrównoważenie i spokój, które już w pierwszym jego dziele scenicznym, doskonale zbudowanym dramacie „Ochłani“, uwydatniły się wyraźnie; więc dalej wielką jasność i wypukłość transpozycji, czy to scenicznej, czy powieściowej, więc wreszcie wadę, wszystkim rzeczom Konczyńskiego wspólną: brak serca, brak uczuć cieplejszych. Zimno, płynące z kart książek Konczyńskiego, sprawia, iż dramaty jego i powieści robią wogóle wrażenie nieszczerých, nie z duszy autora płynących, lecz w każdym szczególe myślowo wykoncypowanych, wypracowanych.

To samo co do wad i zalet powiedzieć należy o „Białych Pawiach“. Owa komedia, wyśmiewająca dość dowcipnie i nieszablonowo obłudników, próżniaków i nieponików, przykrywających swą nicość duchową szatami sztuki, jest rzeczą bezwarunkowo sceniczną, do duszy jednak przemówić i głębszego wrażenia wyrzeć nie jest w stanie. Najlepszym typem jest w niej stary Dobieński, inne typy są może zbyt jednostronnie karykaturalne.

WŁADYSŁAW ORKAN. *Miłość pasterska*. Lwów 1908. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa—E. Wende i S-ka. Lwów, H. Altenberg. Str. 142.

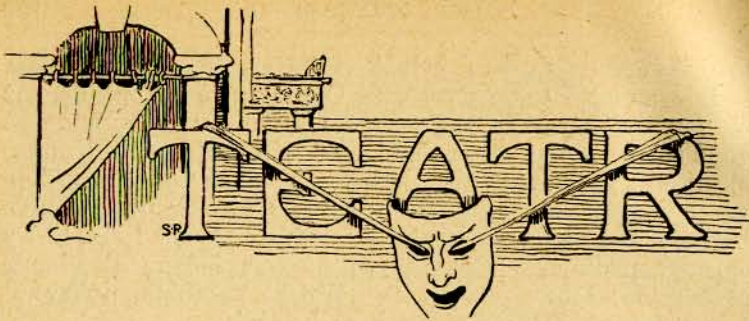
Młody dziejopis serc góralskich ma za sobą liczny poczet dzieł: nowel, dramatów, powieści, bajek, poezji. Wcześniej rozpoczynając twórczość literacką, Orkan należał do pierwszych współpracowników krakowskiego „Życia“, do tych licznych „młodych“, co zbierali się dokoła autora „Odwiecznej Baśni“. Z młodego góralskiego wyrostka o chudej twarzy, piekielnie czarnych oczach i zaciętych wargach, płonącego buntem, wyszedł talent niepośledni, bardzo jednostronny, ale w tej jednostronności więcej niż niepospolity. Pisząc wyłącznie o doli i niedoli ludu, wśród którego się urodził i do którego—syn uświadomiony i kulturalny—powrócił, umie Orkan sięgać do ukrytych dla obcych oczu głębi marzeń, rozumowań i odczuć góralskich. Niejednokrotnie, dla biorących dzieła jego zewnątrz, wydać się muszą one jeżeli nie nudnemi,

to jednostajnemi, kto jednak przejrzy duszę tych ksiąg, będzie zmuszony przyznać, że Orkan wprowadza go wciąż w nowe i nowe światy, daje kartę za kartą, godzinę za godziną z życia podhalan. W tym zakresie „Komornicy“ i „W Roztokach“ należeć będą zawsze do najlepszych książek w naszej literaturze. Co obok owej bezpośredniości uczuć i głębokiej znajomości życia ludu, który opisuje, podbija u Orkana, to owo serdeczne ukochanie przedmiotu i ta specyficznie góralska tęsknota, pokrywająca cieniem smutku karty jego książek.

W „Miłości pasterskiej“ mamy ciąg dalszy, nową kartę życia ludu; mamy szereg obrazków, odtwarzających erotyczną stronę życia górali: wszystkie tchną szczerością i prawdą, niektóre wprost czarują jakby świeżością górskiego powietrza. Prześliczne jest szczególnie „Schronisko“.

JAN IWĄŃSKI.





„ASPAZJA” ŚWIĘTOCHOWSKIEGO na scenie Teatru Wielkiego.

Są pewne etykiety, które krytycy nasi lubią przyklepać do niektórych dzieł i autorów. Na dramatach Świętochowskiego nakleja się u nas zwykle markę „niesceniczności”. Mają one posiadać poważne zalety literackie, lecz nie nadawać się do przedstawień teatralnych.

Wystawiona świeżo w teatrze Wielkim „Aspazja” mogłaby i powinna zadać kłam temu twierdzeniu. Dawno nie pamiętam takiego napięcia i skupienia w teatrze, takiego wprost zainteresowania się przebiegiem akcji scenicznej, jak to, które panowało na pierwszym przedstawieniu tego dramatu. A jednak po pochwałach zdawkowych, po stwierdzeniu między wierszami, że przedstawienie było zajmujące, stara piosnka o „niesceniczności” odśpiewana znowu została na różne tony przez sporą część sprawozdawców.

Za pozwoleniem, szanowni panowie, miałoby się ochotę powiedzieć. „Scenicznymi” i godnymi teatru, ba—powtarzania w nim nawet bez końca—są dla was te oklepane historie zdrad małżeńskich w kombinacjach najprzeróżniejszych, wypełniające dziś przeważnie repertuary teatralne; scenicznymi są sztuki, po których wysłuchaniu pozostaje w duszy niesmak tylko, lub w najlepszym razie czerzość i pustka; scenicznymi są operetki i farsy, na które po dziennikach—w tej czy innej formie—napędza się tak gorliwie publiczność; sceniczną jest ta cała nędza umysłów i uczuciowa, która od szeregu lat wysuwa tak często swą twarz bezmyślną ze sztuk swojskich i obcych, rozważanych przez was z powagą areykaplanów lub magów, choć nazajutrz nikt z was nie byłby zdolny na kwadrans bodaj myślać do nich powrócić.

Ale gdy niepospolity pisarz daje rzecz prawdziwie wartościową, gdy w przepysznych scenach przesunie przed oczyma naszymi jedną z najciekawszych epok dziejowych; gdy odtworzy nam wspaniałe postacie Peryklesów, Fidjaszów, Sofoklesów, Anaksagorasów, Sokratesów, ich rozmowy i przemówienia, ich szczytne dążenia i walki z odwiecznymi intrygami i złością ludzi-plazów i z odwieczną bezmyślnością tłumu—ach, wtedy mówi się dużo o pięknościach dialogu i innych drugorzędnych zaletach dzieła, ale robi się przytym takie zastrzeżenia co do jego wartości scenicznej i teatralnej, że przeciętny zjadacz drukowanego słowa, czerpiący swą mądrość z pism codziennych, zaczyna się namyślać poważnie, czy „Aspazję” wogóle zobaczyć warto, i—wybierze się w końcu na operetkę lub farsę.

Pomimo całego szacunku dla niektórych krytyków teatralnych, nie mogę się pozbyć wrażenia, że nadmierną pobłażliwością dla miernot lub sztuk przeciętnych i hyperkrytycyzmem w stosunku do rzeczy o wartości głębszej i trwalszej prasa nasza oddaje często nieszczególną przysługę teatrowi i przyczynia się nieświadomie do bala-mucenia publiczności.

Ciekawym może być „niezawodny” „Djabel” lub „sensacyjny” „Chrzest”, gdy zwłaszcza w pierwszym gra świetnie tytułową rolę Kamiński, a w drugim Frenkiel odtwarza znakomicie starego Blecha; eksperymentem wątpliwej wartości, mimo nastrojowego menuetu i aż dwóch par flirtujących małżonków, był „Skiz” p. Zapolskiej, a już niewątpliwie mogliśmy obejść się całkiem bez oglądania w teatrze Letnim „Chrzaszczów” p. Brioux z ich kłótniami i pseudo-dramatami. Ale—co prawda—wszystkie te sztuki i sztuczki mogły powstać lub nie, mogliśmy je widzieć lub nie—rzecz to dla naszej kultury artystycznej obojętna. Z całego repertuaru dramatycznego ostatnich paru miesięcy jedna tylko „Aspazja” była szczęśliwą pod każdym względem próbą przypomnienia nam znowu Sztuki prawdziwej, tej Sztuki, co nie za efektem chwilowym lub niespodzianką drastyczną goni, ale odtwarzać próbuje odwieczne zagadnienia i walki, odwieczne wątpliwości i męki ducha ludzkiego i odwieczne jego dążenie do światła.

Otóż trudno mi pogodzić się ze stanowiskiem tej części prasy, która nie umie przeprowadzić właściwej granicy między różnymi kategorjami dzieł sztuki: tą, co

chwilowo bawi lub drażni i przemija i przeminąć musi, zostawiając co najwyżej wspomnienie paru świetnych popisów aktorskich; i ta, co jest już trwałą zdobyczą literatury i na stałe wzbogacać by powinna repertuar, zdobywając sobie poparcie rzetelne krytyki, rozumiejącej istotne powołanie teatru...

Że „Aspazja“, której wysoką wartość literacką przyznawano oddawna, należy, i jako dzieło teatralne, do tej właśnie ostatniej kategorii, to dla mnie nie ulegało nigdy wątpliwości, a pierwsze przedstawienie tego dramatu w teatrze Wielkim potwierdziło tylko to przekonanie moje.

Zrobiono jednak „Aspazji“ Świętochowskiego inny jeszcze zarzut, wypowiedziano wręcz, że nie maluje ona Grecji i Greków z czasów Peryklesa, lecz ludzi dzisiejszych i stosunki współczesne. Być może, iż, poszukawszy dobrze, możnaby odnaleźć w niej anachronizmów parę: ktoś widzi je w sprawie strajku, ktoś inny w sprawie kobiecej, które w sztuce mimochodem poruszono, ktoś jeszcze w napaściach na arystokrację. Zapominamy tylko, że za czasów Peryklesa walka demokracji z arystokracją toczyła się istotnie, i że Aspazja, prowadząca rozprawy z artystami i mędrkami, mogła rzeczywiście wzbudzać nienawiść w „cnotliwych“ damach w rodzaju szlachetnej Elpiniki. Ludzie są ludźmi, choć żyją w różnych epokach, a między naszymi czasami i starożytnością grecką i rzymską znajdzie się z pewnością więcej cech wspólnych, niż się, z pozorów sądząc, wydaje.

Jeżeli jednak ten lub ów drobiazg w sztuce jest rzeczywiście odbiciem starć ideowych doby, w której powstał dramat, to jak świetnie za to zarysowują się w nim poszczególne postacie, z jaką intuicją i prawdą odtworzył autor ów bliski mu i drogi świat artystów i mędrków greckich, który roztacza w swej sztuce! Mędrzec Anaksagoras, sofista Protagoras, Sofokles i Fidjasz, młodzieńcy Sokrates i sam wreszcie rycerski i szlachetny wódz demokracji Perykles — ile nazwisk, tyle typów odmiennych, tylu ludzi odrębnych, drgających życiem w szczególe najdrobniejszym. Niemniejszą rozmaitość i barwność przedstawia w sztuce świat niewieści, w którym zwłaszcza wyodrębniają się trzy postacie: pełna wdzięku, rozumu i szlachetnej godności kobiecej Aspazja, wesola, dowcipna i zalotna Diotima, przeczuwająca śmierć wczesną i pragnąca zużytkować dobrze czarowne lata

młodości, zła wreszcie i przewrotna, zmysłowa i okrutna Elpinika, rozsnuwająca w sztuce sieć intryg, udaremniających w znacznej części płomienną wymowę Peryklesa. W kreśleniu tych postaci, w zarysowywaniu scen poszczególnych występuje całe mistrzostwo autora, który — co prawda — przebywając w wykwintnym towarzystwie poetów, mężów stanu, artystów i myślicieli greckich, mógł czuć się naprawdę w swoim żywiole, mógł ich umysły i serca rozumieć i odczuwać wybornie.

Dramat, odtwarzający, jak wiadomo, walkę Peryklesa z intrygami wrogów osobistych i politycznych, wyzyskujących przeciwko niemu ciemnotę ludu, który on uszlachetnić i podnieść pragnie, obfituje w szczegóły, pełne plastyki i barw charakterystycznych, to znów wzruszające głęboko. Piękną jest n. p. scena, rozgrywająca się przy końcu aktu drugiego między Aspazją a młodym Sokratesem, którego z powodu brzydoty „nikt nie kocha, tylko własna dusza...“ Ileż gryzącego sarkazmu włożył autor w sceny aktu trzeciego, w których występuje Elpinika i godny jej małżonek, bogacz Kalias! Ile ogólnoludzkiej, prawdziwej we wszystkich epokach i zawsze wzruszającej boleści wlał w skargi Anaksagorasa, oplakującego przedwczesny zgon ukochanego synka: „żebralbym przy gościach, w skwary i mrozy nie okryłbym nóg i głowy nawet listkiem glogowym, w burzę nie schroniłbym się nawet pod makówkę polną — gdyby oni mi za to żyli... Umarł. Nikt tam nad gwiazdami pragnień ludzkich nie słucha, bo nikt by mojemu nie odmówił...“ W dramacie swoim autor umiał połączyć w całość artystyczną rysy owej dalekiej epoki, na której tle rzecz się rozgrywa, z tym, co jest wieczne w duszy ludzkiej, z miłością i rozpaczą, z umiłowaniem prawdy i piękna, z dążeniami prometejskimi do uszczęśliwienia ludzkości. Hellenizm i prometeizm łączą się tu harmonijnie z humanizmem najszlachetniejszym, tym zasadniczym rysem twórczości i wogóle działalności całej Świętochowskiego. Młodzieńczy zapał i rozum dojrzały, głęboka wiedza i zrąbane boleśnie uczucie — podały sobie ręce, by stworzyć w tym ideowym dramacie rzecz dużej miary, ogarniającą promieniami swymi szerokie koło zagadnień, czarującą niezrównanym językiem, jedno wogóle z najlepszych i najcharakterystyczniejszych dzieł przyszłego twórcy „Duchów“.

Dobrze więc zrobiono, wybierając „Aspazję“ na przed-

stawienie jubileuszowe, a choć właściwy obchód nie doszedł do skutku, repertuar teatralny zyskał sztukę piękną i wartościową, która długo jeszcze powinna być jego ozdobą. Osobne uznanie należy się p. Kamińskiemu za znakomite wyreżyserowanie dramatu, oraz wszystkim występującym w nim artystom za petyzm, z jakim swe role przygotowali. I reżyser, i artyści zrobili wszystko, co od nich zależało, aby dzieło znakomitego pisarza wystąpiło na scenie warszawskiej w możliwie najlepszej oprawie.

Główne role Peryklesa i Aspazji powierzono pp. St. Knake-Zawadzkiemu i H. Marcello-Palińskiej. Pierwszy imponował gościem, postawą, dźwięcznością dykcji i wytrzymałością głosu, której probierzem wymownym była wspaniała obrona Aspazji w akcie ostatnim. I p. Marcello-Palińska nie zawiodła: bohaterka dramatu miała w jej interpretacji spokój klasyczny i wybuchy uczucia, osłonięta była pewną powagą, szlachetną, harmonizującą z dążeniami podniosłymi, których wyrazicielką jest w sztuce żona Peryklesa. Z ról i artystów innych zaznaczyć i wyróżnić musimy Anaksagorasa, odtworzonego z głębszym ujęciem intencji autora przez p. Rapackiego; dalej p. Kotarbińskiego, który drwił i rozprawiał, jak Protagoras prawdziwy; Bednarczyka, doskonale ucharakteryzowanego na młodzieńczego Sokratesa i świetnie odtwarzającego niedużą, lecz odpowiedzialną tę rolę. Z kobiet, oprócz p. Marcello-Palińskiej, miały większe pole do popisu pp. A. Lüde i F. Pichor. Pierwsza, jako Elpinika, druga — Diotyma — stworzyły postacie żywe i zajmujące. I inni zresztą — Leszczyński, Ładnowski, Roland (w roli odepchniętego syna Peryklesa), Wojdałowicz (wyborny Kaljas), wszyscy słowem, którzy występują w „Aspazji“, a afisz wykazuje czterdzieści parę nazwisk, przyczynili się do stworzenia całości wybornej, której artystom i reżyserowi powinszować można serdecznie. Na wyróżnienie szczególnie zasługują jeszcze sceny zbiorowe w akcie pierwszym i zwłaszcza ostatnim. Takiego prawdziwego, tak świetnie wyreżyserowanego tłumu nie widywaliśmy dawniej na scenie warszawskiej.

I wogóle przyznać musimy nowemu kierownikowi dramatu i komedji, że zewnętrzną stronę przedstawień doprowadza wprost do perfekcji. Nietylko wystawa sama, ale każda rola pojedyncza opracowane dziś bywają wspaniale. Znać, że nad teatrem czuwa artysta doświadczony,

zamiłowany w swojej sztuce i umiejący techną miłość do niej w otoczenie całe.

Nie możemy z równym uznaniem odezwać się o repertuarze. Pierwszym prawdziwie wartościowym utworem, wystawionym przez p. Kamińskiego, była dopiero „Aspazja“; przedtym dwie-trzy rzeczy, efektowne może, ale pozbawione głębszej wartości, a były i eksperymenty zgola zbyt czyste. W repertuarze przeważają przekłady, chociaż dobrych sztuk oryginalnych, nie granych dotąd w Warszawie, znalazłaby się litanja spora. Miejmy jednak nadzieję, że i repertuar podniesie się w przyszłości niedalekiej. „Wesele Figara“ Beaumarchais'ego i „Smocze gniazdo“ Nowaczyńskiego — które nam wkrótce pokazać obiecują — to w każdym razie brzmi lepiej, niż „Skiz“, „Chrzest“, „Chrzaszcz“, a nawet ciekawy skądinąd „Djabel“, stojący jednak dopiero na granicy sztuki prawdziwej. Czas najwyższy granicę tę przekroczyć — na stałe!

WL. BUKOWIŃSKI.

Z TEATRU ŁÓDZKIEGO.

W nędznym, szczupłym teatrzyku „Victoria“ obrała sobie locum nowoorganizowana trupa polska pod dykcją zaszczytnie znanego z dziesięcioletniej prawie pracy w teatrze krakowskim Aleksandra Zelwerowicza. Rozpoczęto sezon „Weselem“, granym ściśle według scenariusza krakowskiego (z wyłączeniem jedynie sceny z „Hetmanem“). Zarówno pierwsze przedstawienie „Wesela“, jak i następne, cieszyły się w Łodzi zasłużonym powodzeniem. Zasługa w tym nietylko nieśmiertelnego dzieła Wyspiańskiego, lecz i artystów, którzy „Wesele“ grali z takim pietyzmem i z tak świetnym zrozumieniem swych ról, iż zdołali poruszyć i rozgrzać zimną zazwyczaj publiczność łódzką. Oprócz Zelwerowicza, który w roli „Czepca“ był niezrównany, na plan pierwszy wysunęli się Siemaszko w doskonale pojętej roli „Stańczyka“ i Grabowski, jako „Pan Młody“; gra tego ostatniego, pełna zrozumienia głębszego, życia i werwy, pozostawiała niezatarte wrażenie. Personel żeński, naogół od męskiego gorzej w „Weselu“ reprezentowany, ma kilka sił bardzo wybitnych: szczególnie pp. Ida Gryfier, jako „Maryna“, i Iza Kozłowska, jako „Marysia“, zasługiwały na wyróżnienie. Szkoda tylko, że Ludwikowi Fritschemu, jednemu

z najlepszych artystów sceny łódzkiej, powierzono niewłaściwą dlań, zdaniem naszym, rolę „Dziennikarza“. Całość przedstawienia, dzięki znakomitej reżyserji i umiejętnej scenizacji, szła wybornie: niezawsze widzieć się zdarza tak świetnie, tak harmonijnie grane sceny zbiorowe.

Zelwerowicz zapowiada w obecnym sezonie cały szereg dzieł, będących chlubą i ozdobą naszej literatury, oraz szereg arcydzieł piśmiennictw obcych. Mamy więc ujrzeć w najbliższym czasie „Pana Jowialskiego“, „Irydjo-na“, „Dziady“ w inscenizacji Wyspiańskiego, cały szereg dramatów Szekspira (między innemi „Juliusza Cezara“), dzieła Przybyszewskiego, Shawa, Czechowa, Perzyńskiego, Nowaczyńskiego i wielu innych. W programie artystycznym dostrzegamy brak wszelkiej tandety scenicznej, a znając wytworny smak i kulturę umysłową obecnego dyrektora sceny łódzkiej, wierzymy, iż za jego rządów tandety w Łodzi nie będzie.

Na czele personelu artystycznego obok Zelworowicza, który wraz ze swym sekretarzem Maliszewskim jest osiłą i duszą całej trupy, stoją dwaj reżyserowie dramatu, znani, wytrawni artyści, Siemaszko i Mielewski, oraz kierownik operetki, znany zaszczytnie były dyrektor trup prowincjonalnych, Julian Myszkowski.

JAN IWĄŃSKI.



CZASOPISMA NIEMIECKIE.

„Das Literarische Echo“ № 19. Na uwagę w tym zeszycie zasługuje studjum L. Adelta p. t. „Ghetto Stimmungen“. — Omawia w nim autor nowe utwory, osnute na tle życia, tęsknot serdecznych i bólu rozczerowań narodu żydowskiego w średniowiecznym i społecznym „ghetto“. Wyrazicielami tych tęsknot i bólów są: Schalom Asch Izrael Zangwill i Herman Blumenthal. Każdy z nich maluje inne strony żydowskiego życia, w inne sięga czasy po wzory. S. Asch wy dobył się z rosyjskiego „ghetta“, dzięki powodzeniu, jakie miał jego dramat „Bóg zemsty“ w Berlinie. Teraz wystąpił z tragedją „Sabbatai-Lewi“ i z nowelami p. t. „Bilder aus dem Ghetto“. Tragedja osnuta jest na dziejach jednego z fałszywych Mesjaszów, jakich kilku wydały wieki średnie. Lewi swemi prorocत्वami o blizkim wybawieniu doprowadził Żydów do gorączkowego oczekiwania i — wobec swych najgorętszych wyznawców przeszedł na wiarę Mahometa. I takich oczekiwań i rozczerowań było dużo!

„Obrazki z Ghetta“ podają nam szereg typów i scen z życia Żydów rosyjskich w małym miasteczku: rabin-cudotwórca, scena pogromu etc. — wszystko z fotograficzną dokładnością, lecz pod względem artystycznym ustępują o wiele piękniejszemu „Tragiedjom Ghetta“ Zangwilla. Zangwill zna doskonale społeczne żydowskie dzielnice Londynu, prawdziwe „ghetto“ nędzy i ciemnoty, przechowującej dawne tradycje i obyczaje oraz tęsknotę do wyzwolenia „wybranego“ narodu. Piastuje te tradycje i tęsknoty starsze pokolenie, ojcowie, — młodzie zaś zrywają te nici, zrzucają z siebie wszystko, co ich łączy ze światem „ghetta“, lecz zarazem i z tradycjami przeszłości. Na tym tle rozdziału pomiędzy ojcami i synami rodzą się tragedje. Ciekawą jest nowela „Arka Noego“, wprowadzająca nas w świat nieznanych żydowskich sekt religijnych.

Blumenthal w dwóch powieściach p. t. „Knabonalter“ i „Der Weg der Jugend“ opowiada losy Dawida Segenreicha, urodzonego w małym galicyjskim mieście. Lata dzieciństwa i młodości, pierwsze brzaski myśli, piekło chederowej nauki i opisy życia żydowskiego w galicyjskiej mieścinie — oto treść tych powieści.

Jeśli się nie mylę, to w przekładzie polskim mamy Zangwilla nowelle p. t. „Marzyciele Ghetta“.

W tym samym zeszycie znajdujemy artykuł p. Witkowskiego p. t. „Die Regisseure des Mittelalters“, oparty na nowej książce Gustawa Cohena „Histoire de la mise en scène dans le théâtre religieux“.

français du moyen age", przetłumaczonej na niemiecki przez R. Bauera. W książce swej Cohen podaje mnóstwo ciekawych szczegółów o rozwoju sztuki dramatycznej w wiekach średnich z „mysterjów” kościelnych, o sposobach i środkach, jakimi rozporządzali ówcześni reżyserowie tych przedstawień i o stopniowym ich doskonaleniu się. Proste odtworzenie przez kilka osób w kościele sceny odwiedzin grobu Chrystusa podczas świąt Wielkiejnocy—oto pierwsze początki dramatu w wiekach średnich. Około X wieku zaczęto we wszystkich kościołach urządzać tę scenę, wkrótce dodając do tego i inne ze Starego Testamentu. Reżyserja tych scen była z początku bardzo nieskomplikowana, np. dwa krzesła wyobrażały Jerozolimę i Damaszek, gwiazdę, prowadzącą trzech królów do Betleem, wyobrażała papierowa gwiazda, którą jeden z królów niósł na kiju, tak jak to dziś jeszcze robią chłopcy, po wsiach i miasteczkach chodzący z „gwiazdą” na Trzech Króli.

Stopniowo powiększają się wymagania widzów i stosownie do tego cały aparat reżyserji: reżyser uczy aktorów, przeważnie duchownych, jak mają wyrażać różne uczucia, jak się poruszać na scenie, którą, z powodu braku miejsca w kościele, zaczynają urządzać na placach przed kościołem. Około XII w. zaczynają używać dla oznaczenia różnych miejscowości na scenie napisów; sposobu tego, jak wiadomo, użył i Szekspir w swym teatrze. Ażeby pokryć znaczne koszty tych przedstawień, zaczęły się około XIV w. tworzyć stowarzyszenia, jak np. „Confrerie de la passion” w Paryżu itp.

Koszta wystawienia np. „Mystère des Trois Doms” w pewnym mieście wyniosły około 20 tysięcy franków, a były i daleko kosztowniejsze przedstawienia.

„Kunstwart” № 16. „Die Gedanken über deutsche Schauspielkunst” Ferdynanda Gregori'ego zasługują na uwagę, gdyż myśli te można zastosować nietylko do niemieckiego teatru. Autorowi idzie o wyswobodzenie się z pod wpływu obcych pierwiastków w teatrze, szczególnie zaś tych, które polegają tylko na pięknych giestach i deklamacji bez głębszego odczucia intuicji poety.

Prócz tego znajdujemy tu studjum W. Ratha o poecie Ryszardzie Dehmelu.

„März” № 11. Dostało się ogromnie wszystkim przedstawicielom „Młodego Wiednia” w artykule F. Wittelsa. Autor nazywa ich „kupczącymi w przybytku sztuki” i wogóle miesza ich z błotem do tego stopnia, iż musimy tu podejrzewać jakieś osobiste obrachunki. Prawdą może być, że młodzi autorowie „zamiast na próbach swych dramatów, tkwią przy kasie i radują się, gdy złoty pieniądz tam wpada”—ale z tego nie można wyciągać takich ogólnych wniosków, jak to czyni autor tego pamfletu.

ST. KRAUZ.